wiesław myśliwski

widnokrąg

znak

wiesław myśliwski
widnokrąg

wydawnictwo
znak
kraków 2019

Grzegorzowi, synowi mojemu

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Prolog

Ten mały, chuderlawy człowieczek na fotografii, o wytrzeszczonych oczach, w gabardynowym, jakby za dużym płaszczu i przygnieciony jakby za dużym kapeluszem – to mój ojciec. Obok niego, w granatowym marynarskim ubranku z krótkimi majtkami, w marynarskiej białej czapce na głowie, w sandałkach i podkolanówkach – to ja. Matki nie ma z nami. Więc pewnie to niedziela. Nie byłbym zresztą w tym marynarskim ubranku.

Matka prawdopodobnie gotuje obiad, bo cóż by mogła innego robić w tę letnią, słoneczną niedzielę, jak to widać na prześwietlonej słońcem fotografii. Coś tam miesza w garnku, coś przestawia na fajerkach, podkłada szczapy pod kuchnię, gniecie ciasto na kluski, narzekając, że wciąż te gary i gary, za co ją tak Pan Bóg skarał, żeby nawet na spacer w niedzielę wyjść nie mogła. Zawsze w niedzielę chodziliśmy na spacery, miała lisa, kapelusz, torebkę, rękawiczki, pantofelki, wszystko w jednym kolorze, była panią, oglądali się za nią, a została kucharką. Może kłóci się z wujenką Martą, bo mieszkamy wszyscy na kupie u dziadków i o kłótnię nietrudno.

Nie tylko ciebie, nie tylko ciebie, łagodzi jak może wujenka Jadwinia, bo wujenka Jadwinia każdemu by nieba przychyliła i boli ją, kiedy kogo coś boli, wszystkich nas pokarał. Takie świnie i to pokolczykowali, niby twoje, karmisz, starasz się, rąk od tych kartofli już nie czujesz, jeszcze żarte to, a nie możesz zabić. Poczekaj, tylko wrzucę im do koryta, i pomogę ci.

Za to wujenka Marta nie daruje ani słowu matki. Panią! Widzieliście ją, panią! To po coś tu przyjechała? Trzeba było siedzieć w mieście, kiedy ci tak dobrze było. A lisa też mogę mieć, nie myśl sobie. O, pójdzie Władek,

zastawi wnyka, da się Kaźmierskiemu do wyprawy i będę miała. Pójdziesz, Władziu?

Wujka Władka ten lis aż podrzuca. Czyś ty, chlero jasna, rozum postradała? I gdzie byś w tym lisie chodziła? Po wsi? Żeby żandarm się przyczepił, skąd masz lisa, i mnie za dupę potem? Albo żeby nas ludzie obgadali, żeśmy się zbogacili i może na Żydach jeszcze? Chryste Panie! No, nie durne to? Człowiek dnia ani godziny niepewny, a ta lisa! Lisa jej się zachciało! I dając upust wezbranej wściekłości, przedrzeźnia wujenkę Martę. Lisa! Lisa! Pójdziesz, Władziu? Sakramencka! Żyły wypruwasz na doktorów, to o tym nie pomyśli. Skąd wziąć na lekarstwa, nie pomyśli. Tylko lisa! Lisa idź jej złap!

Wujence Marcie oczy zachodzą szkliście, przysiada w milczeniu na ławie pod oknem i bierze się za wyszywanie makatki. Dobra gospodyni smaczną strawę czyni. W niedzielę wyszywasz? Mówi znad różańca babka. W niedzielę grzech. A wujek Władek długo jeszcze nie może darować jej tego lisa. Lisa! Lisa!

Dopiero dziadek trzepie się swoim zwyczajem w kolano i ucina. Spokój! A potem łagodnie, z wysokości już swojego wieku, sam zaczyna o lisach, jakby on jeden o lisach wiedział wszystko. E, nie widać jakoś teraz lisów. Trochę tam kuropatw, zajęcy. A lisy jakby poznikały. Czy ta wojna, czy co? Nie było niby przepowiedni na lisy. Na kuropatwy tak. Nie będzie kuropatw, nie będzie i Żydów. Nie słychać nawet, żeby komu lis kurę porwał. A dawniej nie było dnia. Nie kurę, to gęś, kaczkę. I nory pozapadane, ani śladów, żeby wchodziły, wychodziły. Może jaka zaraza? I na lisy to nie teraz, w lecie. Teraz byle co, nie futro. Raz, dwa by ci wyleniało, Martuś. To dopiero zimą. Zimą im gęstnieje. I włos się robi grubszy, dłuższy, połyskliwy. Trzyma się latami potem. Drut tylko trzeba by

stalowy na wnyka. Jest tam kawałek na strychu. I wypatrzyć, którędy jaki chodzi. Ale to do zimy jeszcze ho, ho.

A skoro niedziela, to na obiad jest kogut. Dumny, karmazynowy, z purpurowym grzebieniem. Chodził co dopiero po obejściu, jeszcze widzę go, jak ze stada kur wybiera sobie tę kropiatą kokoszkę, podlatuje do niej, roztrącając na boki pozostałe kury, i hop! przygniata ją, potulną, do ziemi, po czym otrzepuje się i dalej chodzi dumny. Jeszcze krew kapie z jego odrąbanej szyi, znacząc ślad od pniaka do izby, gdy go wujek Stefan niesie za łapy w swojej wielkiej ręce, tłumacząc jak samemu sobie, nie rzucaj się, ty nagła, przecież już nie żyjesz. Ale kiedy staje w progu, kogut znowu rozpościera skrzydła, jakby chciał się nimi zaprzeć o futrynę. Trzymaj go, bo mi krwią ściany obryzgasz, krzyczy wujenka Jadwinia, a dopiero bielone. Ano, mówię mu, żeby się nie rzucał. Co mu mówisz?! Co mu mówisz?! Łeb mu uciąłeś i mu mówisz! Wujek ze złością ciska koguta do cebrzyka.

O, wielki kogut, ale to wielki kogut, dziadek pochyla się nad cebrzykiem, a kogut jakby słysząc, że go dziadek chwali, znów się pręży, trokuje. Dopiero gdy wujenka Jadwinia polewa go wrzątkiem z czajnika, kurczy się, flaczeje, i to jest jego wieczne odpoczywanie. A wujenka przepasuje się zapaską, podsuwa sobie stołeczek. Wyrwij mu ogon najpierw, przypomina dziadek. I wujenka całą garścią wyrywa ten ogon. Idzie wrzucić ten ogon pod kuchnię. Wydaje się, jakby pęk płomieni niosła, żeby ustrzec dom przed ogniem. Już łapie pogrzebacz, już zrywa fajerki. Wołam, wujenka nie wrzuca, zrobię sobie pióropusz! Będę Indianinem! Wujenka się waha, a masz, tylko sobie osusz. Po coś mu dała? Dziadek nie ukrywa niezadowolenia, chcesz, żeby się jeszcze dom kiedy spalił? A z czego sobie zrobi pióropusz, jak chce być Indianinem? Pawi u nas nie ma.

Tam zabobon, miałby się dom przez ogon spalić. Widzicie ją, będzie z ogniem igrała.

Wujenka obraca koguta na plecy, na brzuch, rwie, aż pióra chrzęszczą. Zostaw, mówi matka, sama sobie poradzę, a ty ubieraj się do kościoła, bo na mszę chcesz, a na sumę nie zdążysz. Zdążę, wujenka zwija się, aż jej się chustka obsunęła na tył głowy i uwolnione włosy czarną chmurą przesłoniły jej twarz, a jak się trochę nawet spóźnię, to się Pan Bóg przecież nie spostrzeże. Nie po to na krzyżu wisi, żeby patrzyć, kto się spóźnia.

Ma wujenka bogate te włosy. Nie piękne, nie gęste, lecz bogate. Stara Smykowa, sąsiadka, mówi nawet, bogachne. Ależ to bogachne masz te włosy, Jadwiniu, bogachne. Nie dał ci Bóg dziecka, ale chociaż włosy dał ci za twoje złote serce. Inne i tego nie mają. A wujek Stefan nieraz pogładzi wujenkę po tych włosach, kiedy nikt nie widzi, i nie powie nic. Ale wujenka wie, co chciałby powiedzieć, i co sobota myje te włosy. Tylko deszcz zaczyna padać, podstawia wiadro pod rynnę i łapie deszczówkę na to mycie. Nawet z pola potrafi przylecieć, kiedy deszcz pada, żeby nałapać deszczówki. Pełno tej deszczówki stoi w blaszanej beczce pod ścianą i w drugiej dębowej, i w kotle, bo nie może jej zabraknąć na żadną sobotę. A przecież zdarza się, że deszcz długo nie pada, nieraz całe lato susza zalega nad wsią, nad polami, a deszczówka musi być na to mycie włosów w sobotę.

Toteż w soboty wujenka już nie chodzi w pole i wszyscy to ze zrozumieniem przyjmują. Choć na wszelki wypadek co sobota rano wujek Stefan przypomina, to Jadwinia niech zostanie, włosy musi sobie umyć. Jeden tylko dziadek, nie żeby miał co przeciw temu, bo lubi wujenkę Jadwinię, nie może się nadziwić, że tak co sobota. We żniwa, no, to prędzej, nakurzy się, ale teraz znów nie ma tak kurzącej się roboty. A wszów i tak się nie wymyje, tylko trzeba grzebieniem wyczesać. Co ojciec z tymi

wszami? Wujek Stefan się obrusza. Jakich wszów? No, a jakich? Wszów. Zawsze mieli wszy we włosach. To już teraz nie mają? Oj, tata, tata, wujenka Jadwinia próbuje te wszy w śmiech obrócić, bym się chyba ze wstydu spaliła. A zostanę, bo trzeba dom trochę oporządzić na niedzielę, poprać, pozamiatać, obiad ugotować. I wujenka zostaje, żeby umyć te włosy.

Najpierw naciera te włosy naftą. Żeby miały połysk i nie wypadały. Potem obnażona do pasa, staje nad miednicą, piersiami prawie dotykając wody, bo i piersi ma wujenka bogachne. Chybaby się wypchnęły z miednicy, gdyby je obie naraz zanurzyła. Rozchodzą się na boki, tak im ciasno ze sobą. Obnosi wujenka te piersi po izbie, gdy dolewa gorącej wody do miednicy z sagana i gdy po pierwszym myciu chlusta mydlinami z sieni na obejście, i gdy drew podkłada pod kuchnię, czasem tylko podtrzymując je jedną ręką, żeby jej nie zatoczyły. Ale też nie musi się nikogo wstydzić, wszyscy w polu, ja pognałem krowy, i tylko Pan Jezus w Ogrójcu sam na sam z wujenką, ale też nie patrzy na wujenkę, bo się modli i ma oczy w górze. Toteż nawet w drzwiach nie przekręciła wujenka klucza, bo któż by mógł przyjść, najbliżsi sąsiedzi tak samo w polu i dalsi w polu, i cała wieś w polu.

Pochylona nad miednicą, ma wujenka całą głowę w pianie i zanurzonymi w tej pianie rękoma szoruje, jakby z miesiąc tych włosów nie myła, a piersi kołyszą się pod nią jak dwa dzwony w takt ruchów jej rąk. Nie widzi, nie słyszy, bo i oczy, i uszy ma zatkane pianą, a jeszcze szum szorujących rąk w głowie słyszy, gdy nagle jakby coś ją tknęło. Tak jak stoi nad miednicą, z rękami we włosach, nieruchomieje. Kto to? Ni to pyta, ni się płoszy, bo nie słyszała, żeby drzwi ktoś otwierał. A wujek Stefan swoimi wielkimi rękami podbiera te piersi wujenki wiszące nad miednicą, jakby szczenięta z barłogu podbierał. Wujenka udaje zdziwienie. Nie

poszedłeś w pole? Wróciłem się, że niby osełki zapomniałem. Chodź. Co ci się ubzdurało? Nie widzisz, włosy myję? A jak kto wejdzie? To i co? Długo? Ale i na krótko może wejść. To niech wchodzi. Nie z cudzą, tylko z własną. Poczekaj, niech choć spłuczę. Przekręć klucz. Po co? Chodź. I podkasuje wujence spódnicę, sadza ją sobie na kolana i huśtają się. Wujenka raz po raz unosi się z wujka kolan i opada, unosi się i opada, wzdychając, o, Boże, o, Stefuś. I coraz szybciej, o, Boże, o, Stefuś. Wujek coraz mocniej obejmuje wujenkę za piersi, aż z wujenki włosów piana rozbryzguje się po całej izbie. Nagle wujenka wydaje cichy jęk i zwiesza się wujkowi w rękach, a wujek przywiera głową do jej pleców. I tak siedzą chwilę, zastygli. Może tym razem da Bóg, Stefuś. Ano, może da.

Zapach rosołu napełnia już izbę, kiedy ostatni po sumie wracają dziadek z wujkiem Władkiem. O, pachnie, ale to pachnie, dziadek ledwo przekroczywszy próg, z lubością pociąga nosem. A bo stary kogut, to i pachnie, wujek Władek musi zawsze na przekór, a już zwłaszcza dziadkowi. Może to żal do dziadka tak z niego wyłazi przy każdej okazji, bo podobno to dziadek naraił mu wujenkę Martę za żonę. Tylko że mięso to będziemy jeść jutro, nim się ugotuje. Mówiłem, zabić tamtego kropiatego, mniejszy, bo mniejszy, ale nie taki złachany. Ale to pachnie, o, pachnie, dziadek z naciskiem powtarza.

I w tej samej chwili jakby karcąc się, że jeszcze z zapachu kadzidła po sumie nie ostygły, już nad zapachem rosołu łakomie się unosi, dodaje, no, to mądre miał dzisiaj ksiądz kazanie, o, mądre. Mówca z niego, ho. Wcale nie takie mądre, wujek Władek najwyraźniej ma ochotę posprzeczać się z dziadkiem. Gada, co mu ślina na język przyniesie. I wiecznie straszy, jakby nie dość było strachu i bez niego. Męki piekielne i męki piekielne. Mądre, obstaje dziadek przy swoim. Dla ojca wszystko, co ksiądz powie, musi mądre być. A księża też pletą nieraz trzy po trzy. Nie mądrze mówił,

zarazo, ile zła jest na świecie? To bez niego wiem, ile jest. Wielka mi znów mądrość.

Posiadali z daleka od siebie, wujek Władek przy stole, dziadek na ławie pod oknem. I gdy wydawało się, że już tylko czekają, kiedy się wreszcie ten kogut ugotuje, znów zaczynają o tym kazaniu księdza. Dziadek, że, o, mądre, wujek Władek, że wcale nie takie mądre. Dziadek, że to dzięki księdzu jeszcze Boże słowo chociaż w niedzielę się usłyszy. Wujek Władek, że Bóg co miał powiedzieć, to powiedział i umarł, a księża od siebie gadają. Gdzie by Bóg chciał księdzem mówić, ojciec, jeszcze takim, co nie wie już, ile brać za pogrzeb, za ślub, za chrzciny, za co łaska po kolędzie? A Bóg Łazarza wskrzesił i wziął co? Zamienił wodę na wino, gdy nie mieli co pić, i wziął co? Boże słowo zamienili na ludzkie, a wciąż mówią, że Bóg. A Bóg chce człowiekowi coś powiedzieć, to mu sam powie, czy w myślach, czy na polu, czy nawet po pijaku, nie pij, o, idź do żony, dzieci. A dziadek wszystko to kwituje warczeniem, ty zarazo, ty zarazo. A w końcu trzepie się w kolano, ty antychryście! I wujek milknie, bo z dziadkiem nie ma żartów, kiedy trzepie się w kolano.

Zapada cisza jak sprężyna napięta, ani wyjść, ani zostać w takiej ciszy. Toteż chociaż nikt izby nie opuszcza, wydaje się, że wszyscy poznikali, i tylko dziadek zły, naburmuszony na wujka Władka o to kazanie księdza, siedzi na ławie pod oknem, jakby czekał, że może ktoś przyjdzie. A za niedługo matka, wbiwszy widelec w gotującego się koguta, obwieszcza, to będziemy już jeść. I w tej samej chwili oczy dziadka, łagodniejąc z tej złości na wujka Władka, kierują się na babkę. Chociaż mogłoby się wydawać, że babki nie ma w izbie, bo nikt nie zauważył, kiedy wróciła, nikt choćby słowem tego nie poświadczył, więc może gdzieś tam jeszcze klęczy w wyludnionym kościele, w półmroku, bo już kościelny Seweryn zgasił świece, a może w ogóle nie ma jej na świecie.

Lecz oto babka objawia się z niebytu w najdalszym kącie izby, przy wielkiej starej skrzyni w zielonobure wzory, przykulona nad różańcem. Bo cóż z tego, że była i na mszy, i na sumie, a po południu pójdzie jeszcze na nieszpory, modlitw nigdy nie dość, tym bardziej że rodzina liczna, a prócz rodziny dom, stworzenia, stodoła, chlewy, sad, pola, wieś, to ile na to wszystko trzeba modlitw.

Szykuj, przynagla dziadek, bo jeszcze ten różaniec babka trzyma w rękach. I oto zaczyna się rola babki, jakby jej od wieków przypisana. Z głębokim westchnieniem babka wstaje, idzie do kredensu i wydostaje blaszane talerze. Gdyby się nawet nie wiedziało, że już pora obiadu, brzęk tych talerzy przypomniałby o tym. Te talerze są jak krążki wyblakłego nieba, ni niebieskie, ni szare, a na dnie każdego czerwieni się duży kwiat z czarnym okiem pośrodku, otoczony po brzegach wiankiem mniejszych kwiatków, takich samych czerwonych z czarnymi oczkami. Stare są, co widać po poobijanych śladach. W jednym nawet dziurka wyskoczyła i babka przewlekła przez nią kawałek gałganka. Nikt nie chce w tym talerzu jeść, więc przy swoim miejscu na stole go stawia. Dawno jakoś nie było druciarza we wsi, zalutowałby albo nita dał, i babka ciągle go wygląda. Dobry jeszcze talerz, gdzie masz teraz takie talerze, bo wszyscy każą babce go wyrzucić.

Dostała babka te talerze w wianie, kiedy wychodziła za dziadka, i dlatego tak broni przed wszystkimi tych talerzy, a z nią broni czasem i dziadek. Zwłaszcza przed matką. Bo matka prawie przy każdym jedzeniu wygaduje na te talerze, że wstyd już jeść, że jak u najgorszych, że jak można przez tyle lat było nie kupić porcelanowych, w porcelanowych teraz ludzie jedzą. Ale babka z dziadkiem są przeciw porcelanowym, bo porcelanowych ile by się już natłukło, a te są i są. Nie mówiła księża

gospodyni, trach, wypadnie z rąk choćby przy wycieraniu i po talerzu. A te są i są. Czy nie wiadomo z czego nawet pęknie. A te są i są.

Rozłożywszy talerze, przystępuje babka do dzielenia koguta, z powagą i namysłem, jakie przystoją sprawiedliwości. Temu udo, temu drugie udo, temu pół piersi, temu drugie pół, tam kuper, tu skrzydełko, drugie skrzydełko, szyja, za mało tych skrzydełek, za mało tych ud, więc tu coś ujmie, tam dołoży, przełoży, uszczknie, zamieni, doda, przepołowi, medytując, że taki wielki wydawał się ten kogut, taki wielki, póki chodził po obejściu, a nie ma czym dzielić.

Wujenki jak sowy wpatrują się, czy ich mężowie nie skrzywdzeni, i choćby oczyma podmieniają sobie większe na mniejsze kawałki, mniejsze na większe, i może to nawet dlatego tak wolno idzie babce to dzielenie. Zwłaszcza że i wujkowie nie są obojętni, lecz w napięciu szacują wzajemnie swoje talerze, nawet butem żaden nie zaszura po podłodze.

Tylko dziadek spokojny, bo ma zapewnione udo, i nie z woli babki, lecz sprawiedliwszej sprawiedliwości, kto wie, może Boga, który wraz z ziemią i to udo przypisał mu z każdego koguta na niedzielę. Toteż spogląda na talerze jakby z wysokości tej sprawiedliwości i od czasu do czasu poprawia sprawiedliwość babki. Stefanowi dołóż. Cóżeś Marcie tak skąpo dała? Jadwini dej skrzydełko, nie jemu. Ma już szyję, starczy mu.

Natomiast matka, uprzedzając sprawiedliwość babki, sama ją sobie wymierzy. Weźmie wątróbkę, żołądek, łepek, łapki, i powie, że to jej wystarczy, dosyć się nawąchała w czasie gotowania, na co wszyscy z wyrozumiałością się zgodzą. Najwyżej się upomni, żeby mnie czy ojcu babka za nią dała, albo tylko zapyta dla pewności, czy to dla mnie, czy dla ojca, i co nam sprawiedliwość babki wymierzy, wrzuci z powrotem do rosołu, żeby było ciepłe, gdy wrócimy, bo nas nie ma. My poszliśmy na spacer. Tak ojciec powiedział, po sumie pójdziemy na spacer z Piotrusiem.

Ładna dzisiaj pogoda. To idźcie. Jest w tym marynarskim ubranku, to niech go zobaczą. Tylko wróćcie na obiad.

Ale ojciec nie miał zamiaru wracać na obiad, bo nie znosił tego dzielenia koguta, i najchętniej w ogóle by nie jadł. Niepotrzebnie więc matka dla usprawiedliwienia nas, czy może zaklinając dręczący ją niepokój, powie, że mieliśmy wrócić na obiad, a jakoś nas nie widać. Nikt i tak nie zwróci na to uwagi, jedynie dziadek powie, że mógłby się jeszcze trochę pogotować ten kogut, bo przytwardy. Na co wujek Władek, że dla niego jest w sam raz, bo nie lubi, jak mięso od kości odstaje, a dziadek mógłby sobie zęby wprawić, bo wszystko jest dla niego przytwarde, marchewka przytwarda, pietruszka przytwarda.

Nie mają jednak ochoty do dalszej sprzeczki, ani dziadek, ani wujek Władek, wyłagodnieli przy tym kogucie, że nawet mówić, mówią z rzadka, co bądź i od niechcenia, bo po co jeszcze mówić i marnować słowa, kiedy je się. Słowa z jedzeniem za dużo naraz i nie przystają do siebie, nie wiadomo, mówi się czy je, a zresztą jedzenie też mowa.

Niby skończyli jeść, zostały tylko kości po kogucie, lecz szkoda jakoś wstawać od talerzy, kogut nie co dzień jest na obiad i nawet nie co niedziela. Więc obgryzają te kości z pozostawionych chrząstek, ścięgien, gryzą, miażdżą, wysysają. Wujek Stefan mówi, że w kościach jest najlepsze, i najgrubszą kość zgruchocze w swoich mocnych, zdrowych zębach. A kiedy ssie, to jakby pogwizdywał. I także dziadek, rozłupawszy nożem swoją kość po udzie, bo nie dałby przecież rady tymi paroma starymi zębami, mamle ją na wszystkie sposoby i potwierdza, że najlepsze. A bo w kościach jest sam smak, mówi wujenka Jadwinka i posysa cieniutko, ale też i kostki przypadły jej cieniutkie, ledwo żeberka czy ze skrzydełka. Wujek Władek za to ssie, aż mu się w policzkach doły robią, i najgłośniej ze wszystkich. Ale też dla wujka każda kość ma inny smak,

inny z uda, inny ze skrzydełka, z szyi, a najlepszy jest w łepku, mówi, ale łepek ma akurat matka. Potrafi zresztą ssać i bez ssania, obracając tylko kość w gębie, aż na wiór ją samą śliną przerobi. Lecz kiedy chce dziadkowi dokuczyć, ssie na całą izbę.

Nie możesz, chorobo, ciszej, dziadek nie znosi takiego ssania. I nie dlatego, że sam nie może, lecz wszystko, co od innych odstaje, psuje zgodę w rodzinie, to i ssać powinien każdy tak, żeby się zgadzało, chociaż każdy po swojemu i wedle kości, jaka mu przypadła. Bo wiadomo, kości kościom nierówne, choć z jednego koguta. Są kości, kostki, kosteczki, kosteńki, ale wszystko to się przecież zgadzało w kogucie, to i odgłosy tego ssania, choć różne, powinny się zgadzać, jakby kogut piał. Mógłbym po ciemku rozróżnić, że to wujek Stefan ssie, a to dziadek wysysa, wujek Władek, wujenka Jadwinia, wujenka Marta, babka.

Matka tylko nie ssie. Miastowa już się stałaś, o, miastowa, mówi wujek Stefan, nawet kości ssać już nie potrafisz. Ale zanim za mąż wyszłaś, potrafiłaś. Sporo lat tu z nami żyłaś i ssaliśmy, pamiętasz? Nie zapomina się tak prędko, kiedy coś się potrafiło, i od pierwszych zębów. I z politowaniem patrzą, jak matka oskrobuje sobie nożem te kosteczki z łepka, z nóżek, a przecież wystarczyłoby powsadzać je w zęby i wyssać. Najlepszy smak cię ominie, użala się wujek Stefan. Tak jak oni wyssą, że nawet pies się już nie naje.

Idziemy z ojcem w kierunku Zieleńca, a może Głębokiej Drogi albo Dziewiczej Góry. Trudno to odgadnąć z fotografii. Jej brzegi każą nam się ścieśnić. Ojciec ma ucięty nawet lewy łokieć. A pod stopami ledwo ścieżki można się domyślić, kończymy się nieomal z czubkami naszych butów. Ojciec ma chyba czarne kamasze, choć wydają się szare. Moje sandałki powinny być brązowe. Matka nieraz powtarzała, że dla chłopca w moim wieku najładniejsze są brązowe. No, i wojna, nie ma innej skóry, tylko

czarna lub brązowa. Lecz z szarości fotografii trudno to odgadnąć, czy są rzeczywiście brązowe. Nawet bujne liście na kawałku gałęzi wystającej z boku fotografii, nad naszymi głowami, nie mogą się przebić przez tę szarość, choć zapewne broczą zielenią. I także pogórzone pola za naszymi głowami, i jakieś drzewa pomniejszone do wielkości ziół, i kawałki nieba u góry, wszystko to pokrywa szarość. I mnie z ojcem podobnie, choć stoimy w jasności słońca w tę letnią niedzielę. Widać to po cieniu gałęzi na nas i po cieniu ronda kapelusza na ojca twarzy.

Trzymamy się za ręce i patrzymy gdzieś w przestrzeń, przed siebie. Ojciec tymi swoimi wytrzeszczonymi oczyma, ja wzrokiem skrzywionym przed słońcem. Te jego oczy są najwyraźniejsze w całej fotografii, one jedne wydobywają się z jej szarości. Wydaje się, że całe światło słońca tylko w nich się skupiło, przywracając im ich naturalny kolor, nie liściom, nie niebu, tylko tym wytrzeszczonym oczom ojca. Ale jakiego właściwie są koloru, piwne, niebieskie, czarne? Może gdyby patrzyły beztrosko, ze znużeniem czy uśmiechem, łatwiej byłoby powiedzieć, piwne, niebieskie czy czarne. Nie jestem też w stanie po sobie odgadnąć koloru tych jego oczu. Mam oczy po dziadku, tak się w każdym razie mówiło, masz oczy po dziadku, o, nawet lewa powieka tak samo ci drży.

Nie mam jednak pewności, czy te oczy ojca tak naprawdę patrzą. Gdyby nie to letnie słońce rozświetlone wokół nas, można by powiedzieć, że błagają o jasność w dookolnej ciemności. Lub może w jasności tego słońca, przenosząc wzrok poza widnokrąg, ujrzały nagle coś, co tylko w jakimś nadwidzeniu bywa dostępne ludzkim oczom, a w co nie chcą przerażone uwierzyć. I tak to fotograf utrwalił.

Skąd się wziął ów fotograf w tę letnią słoneczną niedzielę, w samo południe, na naszej drodze? I któż to mógł być, skoro nikt we wsi nie miał aparatu fotograficznego? Chciał ktoś zrobić sobie zdjęcie, musiał jechać do

miasta. No, i raz na rok na świętego Wincentego, kiedy odpust był, przyjeżdżał fotograf. Lecz robił tylko zdjęcia w wyciętym sercu, w mundurze ułana i na wielbłądzie, na pustyni, w stroju beduina. Te trzy tablice tylko z sobą woził, podobno od przedwojny jeszcze. Wystarczyło wstawić głowę i miało się zdjęcie, jakie kto chciał, w tym sercu, w mundurze ułana czy na wielbłądzie, na pustyni, w stroju beduina. Wujek Władek miał wszystkie trzy. Kiedy się sprzeczali z dziadkiem i dziadek nie miał już na wujka sposobu, wypominał mu te zdjęcia. Na wielbłądzie, zaraza. Ułan, zaraza. Jak dziewczyna w sercu, zaraza. No, nie pstro ma toto w głowie?

Lecz czy to akurat była wujka wina, że miał i w tym sercu, i w mundurze ułana, i na wielbłądzie, na pustyni, w stroju beduina, skoro nikt we wsi nie miał aparatu fotograficznego, a do miasta nigdy by wujek nie pojechał zrobić sobie zdjęcia, do miasta kiedy jeździł, to tylko na jarmarki. Poza tym lubił odpusty.

Wujek Stefan za to nie lubił odpustów, ale kiedy patrzył na odświętnie ubraną wujenkę Jadwinię, nie mógł się powstrzymać, żeby przynajmniej nie powiedzieć, tylko zdjęcie ci, Jadwiniu, teraz zrobić. Szkoda, że ktoś we wsi nie ma aparatu fotograficznego. Na co nieraz włączała się z westchnieniem matka, o, gdyby nie ta wojna, i aparat fotograficzny miałby Piotruś, mógłby wszystkim nam zrobić.

Miał aparat jedynie gefreiter Hanke z posterunku. Ale nie widziano go nigdy z tym aparatem w niedzielę. Chociaż to niedziela jest wymarzonym dniem na zdjęcia. Może nawet po to dał Bóg ludziom niedzielę, aby odświętnie ubrani, wymyci, pouczesywani mogli się ten raz w tygodniu przedstawić, jacy mogliby być, a nie jacy są. I niejeden zapewne bez przymusu, z własnej woli dałby sobie zrobić zdjęcie nawet i Hankemu, bo

nie byli przeciw zdjęciom. Lecz pokazał się Hanke na wsi w niedzielę, to aby z kaburą u pasa.

Za to w zwykły dzień tygodnia nie przeszło się przez wieś, żeby się nie natknąć na Hankego, jak z tym aparatem na piersiach, nieraz od samego rana, łowił ludzi niczym diabeł dusze i pstrykał. Pstryk. Pstryk. Czy to taką służbę ma, czy taką mściwość? Bo nikomu nie darował, młodym, starym, chłopom, babom, dzieciom.

Blady strach na wieś padał, kiedy Hanke pojawiał się z tym aparatem. Matki zabierały dzieci z drogi, zdejmowały suszące się garnki z płotów, suszące się łachy ze sznurów, bo nie daj, Boże, jeszcze weźmie pstryknie. Czy krowy ktoś gnał, to zawracał. Czy jechał ktoś furą, to podcinał konia i uciekał, a było za późno, bo Hanke tuż tuż, to zostawiał konia, furę, bat i wpadał w najbliższe obejście albo krył się w najbliższej zagacie. Czy na ławeczce pod chałupą ktoś siedział, to myk do chałupy jak zając. A nawet gdy ktoś odświętnie był ubrany, bo akurat szedł do księdza ślub lub pogrzeb załatwić lub do miasta do starostwa się wybierał czy do sądu, też schodził Hankemu z drogi. Bo nie lubił Hanke, gdy spotykał kogoś odświętnie ubranego w zwykły dzień tygodnia. Takiego mógł wylegitymować, wyprzezywać, a nawet zaprowadzić na posterunek.

Hanke zdjęcia robi, podawano sobie z ust do ust jak złowrogą wieść. Już jest pod kapliczką! Jest tu! Jest tam! Jest pod szkołą! Stoi przed chałupą Kalembasy! O, pies ujada u Marców, musi Hanke tam być. Poszedł do Boduchów, na szczęście Boduchy wszystkie w polu, dziadek tylko są, oj, naobraca on ci dziadka, naobraca, Boże, daj siły dziadkowi, żeby przeżyli to pstrykanie.

Bo Hanke nie robił byle jakich zdjęć. Hanke miał swój świat jak prawdziwy artysta, tylko ludzie we wsi tego nie rozumieli. Przede wszystkim wynajdywał dla swojego świata najgorzej ubranych, obdartych,

bosych, pokracznych, bezzębnych jak korzenie, o twarzach jak kora starych wierzb, jak wysuszona słońcem ziemia. O, wtedy gęba mu się rozjaśniała i powtarzał, sehr gut, sehr gut, wunderbar. I pstryk. A nie dał nikomu choćby włosów przygładzić czy chustki na głowie poprawić, czy koszuli wpuścić w spodnie, czy pozapinać guzików, nie mówiąc już polecieć do chałupy i choć trochę się ogarnąć. Tylko tak jak kogoś złapał, kazał mu się nie ruszać i pstryk. Czasem go ustawiał przy jakimś starym płocie, pod jakąś walącą się chałupą, pod uschniętym drzewem i pstryk. Czasem kazał się szeroko uśmiechać, jak ktoś nie miał zębów, albo czapkę czy kapelusz zdjąć, jak ktoś miał akurat czapkę czy kapelusz, a nawet i buty, czasem w progu siąść czy na kamieniu i zamyślić się, że się tak nad życiem zamyśliło. I powtarzał to swoje sehr gut, sehr gut. I pstryk. Czy jak ktoś z pola z zajdami szedł, zatrzymywał go i pstryk. Czy z sierpem, z kosą, z grabiami, ze snopkiem powróseł, pstryk. O, sehr gut, sehr gut. Wunderbar. A gdy pijanego spotkał, to szedł za nim i ze wszystkich stron go pstrykał, z dalsza, z bliska, tuż pod samą gębą, omal właził w niego z tym swoim aparatem, a pijany, jak pijany, jeszcze głupio się uśmiechał, bo mógł nawet nie wiedzieć, że to gefreiter Hanke go fotografuje, tylko że się Bogu tak spodobał.

Zwłaszcza lubił fotografować dzieci, a najbardziej te umorusane, brudne, w samych nieraz koszulach, bez majtek, jak to dzieci na wsi, gdy matka, ojciec w polu. Jeszcze kazał im się obsypywać kurzem czy taplać w błocie, gdy były za mało brudne czy umorusane. Choć nie można powiedzieć, dawał im cukierki za to albo głaskał po główkach, tak że dzieci chętnie się obsypywały czy taplały, jak to dzieci. I pstryk. Sehr gut. Sehr gut. Wunderbar. Zaglądał też w obejścia, a nawet wchodził do chałup. I pstryk.

A już z rodziną Madejów prawie że się zaprzyjaźnił. Choć Madeje mówili, że się zawziął na nich. Kupa ich była i bieda aż piszczała. Chałupę też mieli najbiedniejszą we wsi. Przykulona do ziemi, z jednej strony drągiem podparta, okienka nie większe niż główki kapusty, a i sami, od dziadków poprzez córki, synów, synowe, zięciów, aż po bachorów, nie wyglądali lepiej. Ale Hanke jaśniał na ich widok i witał się z nimi jak z dobrymi znajomymi. Poklepywał ich po plecach, a nawet próbował parę słów powiedzieć po polsku.

Zaraz też wyprowadzał ich na obejście, na słońce. Tu najpierw długo patrzył, gdzie to słońce nad obejściem, a potem według tego słońca ich ustawiał tu, tam, po całym obejściu, aż nieraz wydawało się Madejom, że to słońce na niebie tak ustawia. I wciąż mu było źle, wciąż od nowa ich ustawiał. Bo chciał, żeby i chałupa wyszła, i to po tej stronie z drągiem, żeby i stodoła, żeby chlewy, żeby płot, psia buda, żeby cały świat. To nagonił ich nieraz, że ledwo nogami Madeje powłóczyli, choć tylko po obejściu i nie wcale takim dużym.

Dziadków musiał nieraz aż popychać, ciągnąć, bo już odmawiali posłuszeństwa i woleliby, żeby ich zastrzelił. A ten, że niedobrze tu, lepiej będzie tam, i znów ich gnał. Albo tam. Może tam, jak ten prześwit, to wyjdzie i kawałek sadu. Choć jaki tam sad mieli Madeje. Trzy gruszki na krzyż z dwiema jabłonkami i jedną śliwkę sralkę. Prócz tego kilka drzew uschniętych, których nie miał od lat kto ściąć i wykopać.

A gdy dobił z nimi do takiego miejsca, że wreszcie uśmiech pojawił się na jego twarzy, to ich jeszcze czochrał, obszarpywał ubrania na nich, przesuwał tych do tyłu, tych do przodu, zamieniał tych na tych, tym kazał kucnąć, tamtym ścieśnić się, innym się wyciągnąć, a innym do ziemi przypłaszczyć. Albo którejś z córek czy synowych pierś spod bluzki wydostać i udawać, że niby to karmi zawiniętego w chustkę na ręku

bachora. Bo choć było bachorów u Madejów bez liku, to przeważnie wszystko już podrosłe. A jeszcze ich nieraz sklął, że niemrawo się ruszają i nie odgadują jego myśli.

Trzeba jednak przyznać, że i sam się nie oszczędzał, przyklękał, kucał, zbliżał się, oddalał, zachodził ich z jednego boku, zachodził z drugiego, czasami aż tym aparatem po gębach im jeździł. Wychodził na pniaka, na furę. Kiedyś nawet kazał im przystawić do strzechy drabinę i wszedł na tę drabinę, ale też mu było źle. Czapkę daszkiem obracał na plecy, to znów ją zdejmował. Odpinał się pod kołnierzykiem, odpinał pas z kaburą i kładł go byle gdzie. Mówili Madeje, że można by mu jak nic pistolet świsnąć. Ale po co? Nie słyszało się, żeby któryś z synów czy zięciów Madejów był w partyzantce. Nieraz pot mu czoło zarosił, a on pstrykał i pstrykał, to mówili Madeje, że aż diabła widać było w jego oczach. A gdy wreszcie skończył to pstrykanie i powiedział sehr gut, siadał sobie na pniaku czy kamieniu i ział, jakby po tym diable tak nie mógł przyjść do siebie.

Ale i Madeje czuli się po tym pstrykaniu nieraz zmachani jak nieboskie stworzenia. I stali dalej, jakby nie wiedzieli, czy są jeszcze na świecie, czy już tylko na tej fotografii. Aż dopiero musiał im Hanke powiedzieć weg.

Lecz nawet w największym artyście pojawia się czasem chęć sprzeniewierzenia się sobie i zrobienia czegoś najbardziej błahego i pospolitego. Toteż kto wie, czy nie w tym właśnie celu wybrał się Hanke w tę letnią słoneczną niedzielę na spacer, zabierając ze sobą ten jeden jedyny raz aparat fotograficzny. I to nie on nam, lecz my jemu nadarzyliśmy się z ojcem. Chociaż mogło by się wydawać, że nasze spacery tylko przypadkowo się ze sobą zeszły.

Uśmiechnął się z daleka do nas jak do dobrych znajomych, a gdy podszedł bliżej, ten uśmiech przerodził się omal we wdzięczność dla nas. Ojciec w tym gabardynowym płaszczu, który nawet w lecie, jeśli nie było

za gorąco, zwykł zakładać na siebie, w kapeluszu na głowie, ja w tym marynarskim ubranku, jakże odmienni musieliśmy mu się wydać od jego codziennego świata, jakże wzruszająco nijacy od tego, co zwykł fotografować. Może nawet spytał nas się, gdzie idziemy. A gdy ojciec odpowiedział, że na spacer, ubawiło go to, bo właśnie wracał ze spaceru. Spazieren, spazieren, powtarzał przez śmiejące się zęby. I musiało go to jeszcze bardziej utwierdzić w przekonaniu, że czegoś takiego, jak my, właśnie potrzebował, bo już dawno nie słyszał słowa spazieren, słowa tak nieodpowiedzialnego, beztroskiego.

Kazał nam się ustawić, że zrobi nam zdjęcie. Nie tam. Tam. Pod tym drzewem. Pod słońce. I oto stoimy z ojcem obok siebie, trzymając się za ręce. Ojciec w tym jakby za dużym gabardynowym płaszczu, przygnieciony jakby za dużym kapeluszem. Ja w granatowym marynarskim ubranku, w marynarskiej białej czapce na głowie, w sandałkach i podkolanówkach.

Naturalnie nie zdawałem sobie sprawy, czym ta chwila dla mnie będzie. Może nawet byłem niezadowolony, że ktoś nas zatrzymuje dla głupiej fotografii. I dlatego nie mogę mieć pewności, czy był to gefreiter Hanke, chociaż nie potrafię przypomnieć sobie nikogo innego, bo i któż by to mógł być? Nikt przecież nie miał we wsi aparatu fotograficznego. Toteż gdyby to było prawdopodobne, powiedziałbym, że nikt nam tego zdjęcia nie robił, a jedynie, jak to bywa ze zdjęciami, znalazło się po latach między innymi zdjęciami. Sądząc jednak po wytrzeszczonych oczach ojca, mógł to być gefreiter Hanke, bo przecież takimi oczami nie patrzy się, kiedy ktoś nam robi zdjęcie. Sam fotograf nim pstryknie, uprzedza, proszę się uśmiechnąć. A gdy się zdarzy, że zapomni, to samo przez się wiadomo, że do aparatu fotograficznego należy się uśmiechnąć, bo od tej krótkiej chwili nie ma już odwrotu.

Zwykle miał ojciec oczy łagodne, które patrzyły z jakimś wyrozumiałym smutkiem, ukrytym gdzieś głęboko, na dnie, lecz zarazem tak wyraźnym, że zapamiętywało się bardziej ten ich smutek niż ich kolor. I kiedy nawet się uśmiechnął, ten smutek nie opuszczał jego oczu. Widocznie jednak nie dowierzał, że oto stoi przed aparatem fotograficznym, bo gefreiter Hanke w przypływie chęci samorozgrzeszenia zapragnął zrobić nam zdjęcie. Może wydawało mu się, że stoi przed wycelowaną lufą, czekając, kiedy padnie strzał. Może nawet mocniej ściska moją rękę jak gdyby na pożegnanie. Może pragnie mi coś przekazać, lecz właśnie słowa uwięzły mu w gardle. A może wszyscy dorośli mieli wtedy takie oczy, lecz póki żyli, nie widać tego było, wychodzi to dopiero na fotografiach z tamtych lat, kiedy fotografie, zmęczone już długością pamięci, wyblakły, zszarzały. Mnie razi tylko słońce.

1
Bitwa pod Kannami

Nie wiedziałem wtedy jeszcze nic o Ikarze, lecz gdy się patrzyło ze wzgórza na tę rozciągającą się w dole równinę, aż kusiło, żeby rozpiąć na całą szerokość ręce, zatrzepotać nimi parę razy w powietrzu i wzbić się ponad nią, wyżej i wyżej, i zatoczywszy jedno, drugie koło ponad naszym domem, poszybować aż do Gór Pieprzowych i tam osiąść na ich wybrzuszonym cyplu czy obok, na którymś z wybulonych przęseł kolejowego mostu, czy nawet popłynąć razem z Wisłą, ponad nią, dopóki sił starczy, aż do jej kresu.

Nieraz się widziałem, jak te moje rozpięte ręce odrywają mnie od wzgórza, unoszą, wzbijam się ponad schody, ktoś tam wspina się po nich, przykulony, przygarbiony, trzymając się poręczy, a gdy jestem już nad naszym domem, wznoszę się jeszcze wyżej, żeby mnie matka czasem nie zauważyła, choćby po cieniu, jaki rzucam na ziemię, już zostawiam dom nasz poza sobą, lecz na nieszczęście drzwi do naszej sutereny są od strony równiny i z tych drzwi wybiega matka, wiedziona zapewne przeczuciem, bo przecież nie mogła usłyszeć mojego płynącego lotu, i krzyczy za mną w niebo:

– Cukier kupiłeś?! A sól?! A chleb?!

I od razu tracę moc w rękach, coś mnie ściąga jak latawca za sznurek, zniżam się, spadam i staję przed nią zawstydzony, że nie kupiłem, bo kupiłem sobie chałwy, a resztę przegrałem w obijanego z chłopakami.

Toteż jeśli chciałem się w jej oczach poprawić, a wysłała mnie akurat po cukier, sól czy chleb do miasta, zamiast schodzić po schodach w dół,

sfruwałem wtedy pod nasz dom, zeskakując z tych rozpiętych rąk tuż pod drzwiami do naszej sutereny. Choć i bez fruwania zwykle przebiegałem te schody susami, po dwa, trzy, a z góry po pięć i sześć, aż nie potrafiła matka nigdy ukryć zaskoczenia, graniczącego omal z lękiem, że jestem już z powrotem. Ale nie pochwałą mnie witała, pochwała zapewne wydawała się jej niewystarczającą miarą mojego wyczynu, a tym bardziej nie oddawała jej bezwiednie ujawnionego lęku, lecz czymś w rodzaju przestrogi:

– Skacz, skacz, aż złamiesz kiedyś nogę.

Chyba że była w pogodnym nastroju, co zdarzało się niezwykle rzadko i w chwilach jedynie zapomnienia, albo gdy ktoś z sąsiadów był akurat u nas, wówczas głos jej pobrzmiewał omalże podziwem dla mnie.

– Ależ ty, chłopak, fruwasz.

Te schody zaczynały się tuż za naszym domem i prawie w linii prostej, z niewielkimi odchyleniami w jedną, w drugą stronę, poprzerywane brukowanymi podestami co kilkanaście stopni, pięły się na sam szczyt wzgórza, na którym leżało miasto. Lub odwrotnie, jako że wszystko zależy od naszego miejsca w przestrzeni, przestrzeń bowiem określa nasze odczucia i wyobrażenia, a w konsekwencji nasz los, zaczynały się na szczycie tego wzgórza, na którym leżało miasto, i spadały kaskadą po najbardziej urwistej jego stronie aż do miejsca, gdzie brała swój początek ta rozległa równina. Tu właśnie stał nasz dom, od tyłu po wysokość sutereny wkopany w łagodniejące zbocze, choć można też powiedzieć, że był to jego przód, a myśmy mieszkali od tyłu, od tej rozległej równiny.

Prócz schodów prowadziły do miasta też inne drogi, łatwiejsze. Wiły się po wzgórzu licznymi załomami, łagodząc jego stromość, choć i wydłużając znacznie odległość. Można też było iść ulicą Browarną, prowadzącą, jak sama nazwa wskazuje, od istniejącego tu niegdyś browaru, która okrążała

całkiem wzgórze, wpadając do miasta nieomal z przeciwnej jego strony. Schodami było jednak najbliżej. Schodami było jakby na sąsiednią ulicę, tyle że położoną na najwyższym piętrze. A co najważniejsze, chodząc schodami, miało się poczucie, że się mieszka w mieście, a nie na jakimś tam podgórzu, na które ludzie z miasta mówili z wyższością Rybitwy. A nawet że się mieszka w najbardziej rdzennej części miasta, bo miało się tuż nad głową, w odległości upoważniającej do przyznania sobie takiego właśnie najbliższego sąsiedztwa, Collegium Gostomianum, Dom Długosza, zaraz za nim Katedrę, pałac biskupi, do tego wychodziło się wprost na Rynek.

Toteż chociaż narzekano na te schody, wszyscy chodzili do miasta schodami. Zresztą gdy się w dół schodziło, a tak lekko, bezboleśnie, jakby nogi same schodziły, uwalniając resztę ciała od jakiegokolwiek wysiłku, a z dołu akurat ludzie gramolili się w męce pod górę, było widać najlepiej, jaką cenę płacą za to, żeby mieszkać w mieście, a nie na jakichś tam Rybitwach. Ciała uwieszone kurczowo na trzeszczącej drewnianej poręczy, pokrzywione twarze, a zamiast ust rozwarte dziury, którymi łapali powietrze. Wydawało się, że dźwigają te schody u swoich nóg, jakby za jakąś karę. Aż nieprzyjemnie było kogoś takiego spotkać na swojej drodze. A najgorzej starzy, każdego, kto schodził z góry, omalże zabijali nienawiścią, jakby tylko w jedną stronę prowadziła droga po tych schodach, jak oni szli, pod górę. A z góry była gwałtem na przeznaczeniu.

Najbardziej niepogodzona na Rybitwach z tymi schodami wydawała się matka, która za każdym powrotem z miasta postanawiała, że musi koniecznie poszukać innego mieszkania, zarzekając się przy tym, że następnym razem pójdzie już którąś z tych okrężnych, dłuższych dróg czy nawet Browarną, choćby miała i pół dnia zmarnować. Lecz gdy jej znów przyszło wybrać się do miasta, szła schodami. Po czym wracała znowu

rozsierdzona, z tym samym wciąż postanowieniem, że musi poszukać innego mieszkania, może w Rynku, może za Katedrą, może z tamtej strony miasta, może tu, tam, bo za jakie grzechy mamy się tak męczyć po tych schodach i wiadomo dokąd? Cukier iść kupić, wspinać się jak do nieba, sól jak do nieba, chleb do nieba. A gdzie kartofle, mąka, kasza czy choćby kawałek słoniny, po wszystko do nieba. Chryste Nazareński, a zróbże coś z tymi schodami, bo jakbyśmy w piekle mieszkali, nie na ziemi! I ugruntowując w sobie to postanowienie, przenosiła swoje złorzeczenia ze schodów na całe wzgórze, na którym leżało miasto, że chyba sam szatan wymyślił to miasto na wzgórzu, bo nie Bóg, Bóg by człowiekowi różami usłał każdą drogę, gdyby mógł. Gdzież to dla ludzi takie miasto, miasta powinny leżeć na równiutkim i cały świat powinien leżeć na równiutkim.

To postanowienie szybko się jednak z niej ulatniało, w miarę jak opuszczała matkę złość. I za chwilę już nie pamiętała, że postanowiła poszukać innego mieszkania, aż do następnego razu, kiedy znów jej przyszło wybrać się do miasta. Bo złość w matce jakkolwiek gwałtownie wybuchała, że ledwo podpalona, już rozniecała się płomieniem, często z byle powodu, tak równie gwałtownie w niej stygła, przechodząc od razu w serdeczność, zgodność, wyrozumiałość wobec ludzi, świata, Boga, chorego ojca, mnie nieposłusznego, a nawet tych schodów, że przynajmniej dużo bliżej nimi do miasta.

Być może odżywała w niej pamięć, co się i za tym mieszkaniem nachodziła, i to studziło w niej złość na te schody i na to miasto na wzgórzu. Miasto było bowiem przepełnione różnymi wysiedleńcami, uciekinierami, rozbitkami, a jeszcze w większości domów mieściły się wojskowe kwatery, w co okazalszych urzędy, których namnożyło się jak grzybów po deszczu. Chociaż miało to szczęście w nieszczęściu, że front je ominął, przechodząc bokiem i odsuwając się od razu na bezpieczną

odległość, tak że spadło wszystkiego kilka pocisków, nie wyrządzając większych szkód, i chyba trzy bomby, z których jedna zburzyła browar znajdujący się niedaleko naszego domu.

Straciła już nadzieję, że znajdzie choćby jakikolwiek kąt. Zmęczona, bezradna weszła w końcu do jakiegoś sklepu, czy może nie wiedzą, gdzie tu byłoby mieszkanie do wynajęcia? I w tym to sklepie natknęła się na młodą, elegancką panią, która powiedziała, że w domu, gdzie mieszkają z siostrą, jest wolna suterena. Ktoś w niej nawet w czasie wojny mieszkał, tylko że to jest na Rybitwach. Gdyby jednak matka chciała, to zaofiarowała się sama porozmawiać z właścicielką, która mieszkała gdzieś w Rynku. Tą elegancką panią okazała się jedna z panien Ponckich, Róża czy Ewelina, nie umiała sobie matka przypomnieć, mimo że zaraz się zaprzyjaźniła z nimi, gdy tylko wprowadziliśmy się do tej sutereny, bo i przyjaźnie zawiązywała równie szybko, jak szybko i z byle powodu je zrywała.

W ojcu, co prawda, panny Ponckie nie wzbudziły zaufania, jakkolwiek same, z własnej woli, pomogły nam w urządzeniu tej sutereny, przynosząc kilka rzeczy od siebie, w tym dwa krzesła, jakąś półkę, jakąś makatkę na ścianę, jakiś widoczek, zasłonkę do okna, kilka talerzy, szklanek. I także później ciągle coś przynosiły, że może się nam przydać, a im tylko mieszkanie zagraca, albo że zmieniły na nowe i niepotrzebne im już czy że mają drugie takie same. No, a przede wszystkim miała matka wreszcie pójść do kogoś, porozmawiać, a nawet posłuchać tang, bo miały gramofon i całą etażerkę płyt z tangami i też lubiły, podobnie jak matka, tanga.

Zresztą w ogóle ojciec zrobił się nieprzystępny, milczący, odkąd zamieszkaliśmy w tej suterenie. Nawet mało co go cieszyło, że jest już po wojnie. Ledwo wstał, umył się, ogolił, ubrał, zjadł i zaraz tak w ubraniu kładł się z powrotem na zaścielonym już łóżku i ciągle tylko w okno patrzył

przed sobą albo w sufit nad sobą, aż go nieraz matka pytała, i cóż ty tam widzisz w tym oknie, w tym suficie.

I teraz ona czuła się w obowiązku nieustannie go pocieszać, żeby się nie martwił, bo na pewno wyzdrowieje, będzie miał lekarza, tylko trzeba się dowiedzieć, który tu najlepszy, da mu jakieś pastylki, a może i zastrzyki, i na pewno wyzdrowieje, bo znów nie taka to choroba serce, mało to ludzi choruje na serce? A po tej wojnie prawie każdy, jej też tak nieraz kołacze. A wyzdrowieje, to znajdzie sobie posadę, i nawet lepszą niż miał tamtą przed wojną. Będziemy znów chodzili do restauracji w niedzielę na obiady, na spacery, do kina. Mój Boże, całą wojnę nie byliśmy w kinie. A pamiętasz *Panią Walewską* z Gretą Garbo? Jak on się nazywał ten Napoleon, no, zapomniałam. Charles Boyer, podpowiadał ojciec, i nawet się ożywiał, a nie tyle ze względu na to kino, co na Napoleona. Wciąż mi w oczach stoi, jak ona go żegna na tych schodach, pamiętasz? Trochę tylko był za mały do niej. Mogliby wziąć wyższego. Wzrost nie świadczy o człowieku. No, ale w filmie mogliby, bardziej by do siebie pasowali. I na wysokim inaczej mundur leży. Na koniu tak tego nie było widać. Ale na tym balu jak tańczyli, pamiętasz? Gdzie to, żeby mężczyzna był o głowę niższy od kobiety. Albo *Kurier carski*. Napłakałam się, kiedy mu te oczy wypalali. Żeby tak człowieka męczyć, to już trzeba nie mieć krzty litości. Całe kino płakało. Tusz mi z rzęs się rozmazał, a tyś mi nawet nie powiedział. Dopiero w domu zobaczyłam, kiedy w lustrze się przejrzałam. Aż miałam na policzkach czarne smugi od łez. A od chusteczki jeszcze nos sobie usmoliłam. Eh, inne życie jest w mieście. Tylko wyzdrowiej. Zmienimy mieszkanie. Chciałabym, żeby choć dwa pokoje były. Piotrek miałby swój i my swój. I koniecznie od południa, a przynajmniej ten dla Piotrka. Dziecko, kiedy rośnie, potrzebuje słonka. I do nauki też słonko potrzebne. I tutaj byłoby bliżej rodziny. Stamtąd trzeba było jechać i jechać. A jeszcze

się przesiadać. Już tam nie chciałabym wracać. O, skoczy się i mąki czy śmietany, czy jajek się przyniesie, mleka. Gdzie kupisz teraz takie mleko ze śmietaną. A na zimę Stefan albo Władek choć kartofli by nam przywieźli. A co jabłek, gruszek, śliwek, wiśni mają w sadzie, mogłabym na całą zimę narobić, a im się i tak w większości marnują. Pamiętasz, po ile wiśnie były przed wojną? I czy zupę, czy pierogi, tak przecież lubimy zupy owocowe, pierogi. Mógłby nawet czasem Piotrek po południu skoczyć i urwać. A w żniwa czy w kopania poszłoby się im za to pomóc. Miałby człowiek większą śmiałość i od nich brać. I by się zaoszczędziło. Wiem, ile musiałam na życie wydawać.

Nie, już tam nie wrócimy. Pracował za dwóch, nie żałował ni czasu, ni zdrowia, nieraz po godzinach. Kiedyś nawet z zapaleniem płuc poszedł, gdy bilans przyszło robić, i ma przecież odznaczenia z wojny, a wciąż tylko starszy buchalter i starszy buchalter, a inni się co roku pięli. Żeby nawet przyjeżdżali po niego, nie wrócimy. Choćby i sam Sałacki. Ty się nie będziesz nic odzywał. Ja sobie z nim pogadam. To mąż przez tyle lat minuty się do pracy nie spóźnił. Sam pan mówił, teraz to już awans pana nie ominie, panie Zygmuncie. A miał pan kiedyś biegunkę, nic już panu nie pomagało, dopiero mąż, jeszcze z wojska, czymś takim fioletowym pana wyleczył, że od ręki panu przeszło. Niech pan sobie przypomni. Chociaż ja tam nie byłam zadowolona, że na ty z nim przeszedłeś. Na ty to przynajmniej trzeba wypić po kieliszku czy na obiad zaprosić. A nie w biurze i tylko rękę podać. Awansował, kto nadskakiwał albo i na drugich donosił. A choćby i sam ten Sałacki, to powiem ci, że nie miał wyglądu na kierownika.

O, mogliby sobie nawet tremo kupić, gdyby teraz większą pensję miał. Zawsze chciała mieć tremo, takie rozkładane, ze skrzydłami, żeby się można przejrzeć z boków, z tyłu, włosy jak się ułożyły. Może kredens,

kanapę, dobrze by było z fotelami, a może i wszystkie meble. Bo przecież tych tu z sutereny nie przeniesiesz na nowe mieszkanie. Dwa pokoje to trzeba a trzeba. I zresztą co to za meble. I koniecznie dywany. Dywany może najsampierw. Pamiętasz u Świtalskich dywany? Nie wiedział człowiek, jak wejść. Sucho było na dworze, a ona ciapków miała pełno w sieni i kazała zakładać. A dopiero później meble. Czy może meble najsampierw? Jak myślisz? Chciała koniecznie jasny orzech. To prawie wymęczyła na ojcu, że zgodził się na jasny orzech, i tak samo wymęczyła, że zgodził się na jawor, kiedy jej się na jawor odmieniło. Bo jawor jaśniejszy od słońca, a chciała, żeby jasno było u nas.

A choć układała tę ich przyszłość, kiedy on już wyzdrowieje, tak przekonywająco, zaradnie, w najdrobniejszych szczegółach i z takim zapałem, że aż się nieraz unosiła, ojciec wciąż tylko w to okno przed sobą patrzył czy w sufit nad sobą i z trudem dawał się od tego patrzenia odciągnąć. Kto wie, może pogrążony już był w głęboko skrywanym przed nią przeczuciu niedalekiej śmierci. Choć być może i ona w tym budowaniu ich przyszłości skrywała przed nim nachodzące i ją coraz dotkliwiej to przeczucie śmierci jego.

Jakąż więc drogę musiała przejść od pierwszych niepokojów o te kropelki, kiedy jeszcze w czasie wojny przyjechał na którąś niedzielę i oznajmił, że już więcej do pracy nie wróci, bo nastąpiła wsypa w ich organizacji, i przywiózł z sobą te kropelki. Wydawać by się mogło, cóż kropelki, a za każdym razem, kiedy odliczał je sobie na łyżeczkę do herbaty, lęk się w jej oczach pojawiał. Dokąd będziesz tak brał? Miałeś miesiąc, dwa najwyżej, a tu która już butelka?

I być może to od niego nauczyła się tych wszystkich pocieszeń, mimo że była z natury nieufna, podejrzliwa i nie tak łatwo było ją pocieszyć. Bo ojciec przypierany coraz natarczywiej przez nią o te kropelki do muru, imał

się najprzeróżniejszych sposobów, żeby tylko, broń Boże, nie zaczęła się domyślać, że naprawdę jest chory, a nie tylko ma zszarpane nerwy. Przeważnie zrzucał wszystko na wojnę. Nie tylko jemu przecież tak zszarpała te nerwy, wielu ludziom, lecz skończy się, to i jego nerwy wrócą do równowagi i znów będziemy żyli, jak żyliśmy przed wojną. Zamieszkamy znów w mieście, on obejmie posadę, a pewnie dużo lepszą, bo takich jak on buchalterów, z doświadczeniem, ze świecą będą szukać, co ty myślisz? I będziemy znów chodzili do restauracji w niedzielę na obiady. Będą robić przyjęcia i na jej imieniny, nie tylko na jego, zobaczysz. Będzie sobie mogła różne panie zapraszać i nawet wymieniał które.

I tak z tego do tego, jako że nic tak nie nadaje się do snucia marzeń o przyszłości jak wojna, zapominała matka o tych kropelkach, spychając gdzieś tam dręczący ją lęk, zwłaszcza że ojciec w tych pocieszeniach nawet stroje jej wymyślał, jakie będzie po wojnie nosiła: pantofelki, kostiumy, kapelusze, torebki, rękawiczki, sukienki, płaszcze, i na co dzień, i od święta, i w gości, i na bale. Będzie mogła co tydzień do fryzjera chodzić, a nie musi więcej głowy w domu myć, będzie mogła do manikiurzystki, kosmetyczki. Będzie znów jej kupował te same pisma, „Panią”, „Bluszcz”. I rozbrajał tym matkę tak skutecznie, że nieraz śmiejąc się z zadowolenia, zaprzeczała jednocześnie, a skąd ty weźmiesz na to wszystko? Oj, marzycielu, marzycielu. To musiałbyś dyrektorem zostać. I zresztą gdzie bym ci chodziła głowę do fryzjera myć, darmo tylko pieniądze wydawać, w domu będę myła i lepiej umyję niż u fryzjera. Czasem może tam do ondulacji przed jakimś przyjęciem. Ale to jak trwałe będą modne, bo mogą po wojnie już nie być modne. Czy do manikiurzystki? A po co? Co to nie potrafię sama paznokci sobie obciąć i lakierem pomalować? Wielkie mi znów co, malowałam sama i było dobrze. Też ci do głowy przychodzi.

Musimy oszczędzać. O, Piotrek rośnie. Ile to trzeba będzie za jego naukę płacić. A może drożej niż przed wojną?

Czasem jednak poddawała mu się bez najmniejszego sprzeciwu, gdy ją ubierał w te wszystkie pantofelki, kostiumy, kapelusze, torebki, rękawiczki, sukienki, płaszcze, szale, gdy ją wysyłał do fryzjera, manikiurzystki, kosmetyczki, gdy prowadził ją na spacery, do kina, na przyjęcia, na bale. A nawet łzy szczęścia zakwitały w jej oczach i wzdychając, mój Boże, żeby tak doczekać, całowała go w policzek, kochany jesteś mąż. I przez następnych kilka dni chodziła pogodna, znosząc bez wyrzekania trudy gotowania obiadów dla całej licznej rodziny, a nawet postanawiała coś z własnej kuchni ugotować dla urozmaicenia, żeby nie tylko wciąż wiejskie jeść. I czy wałkując kluski, czy obierając kartofle, czy stojąc nad parkoczącą kaszą, bezwiednie nuciła pod nosem jakieś tango. I już nie pytała go, gdy brał te swoje kropelki, dokąd będziesz brał?

Lecz po dwóch, trzech dniach znów niepokój zaczynał się w niej budzić. A coraz dotkliwszy, bo coraz dociekliwiej pytała i coraz trudniej było ojcu ubierać ją w te wszystkie pantofelki, kostiumy, kapelusze, torebki, rękawiczki, sukienki, płaszcze, szale, wysyłać ją do fryzjera, manikiurzystki, kosmetyczki, prowadzić do restauracji na obiady, na spacery, do kina, na przyjęcia, na bale.

– Może już nie musisz brać? Przecież sporo czasu już minęło, to kogo mieli tam zaaresztować, pewnie zaaresztowali. A jakby tamten miał cię wydać, toby już tu nieraz byli. Może powinieneś do lekarza pojechać. Albo chociaż idź tu do naszego felczera. No, ten wysiedlony, co u Sroków mieszka.

Ten niepokój o jego zdrowie zastrzegła sobie jednak wyłącznie dla siebie, bo gdy ktoś się z domowników pytał ojca, co mu w końcu jest, matka sama rozpraszała wszelkie wątpliwości:

– A co jest? A przez tę cholerną wojnę tak ma nerwy zszarpane. Skończy się, to ani chwili tu nie zostaniemy, bo co tu jest za życie, na wsi. Dostanie urlop, to nad morze na wywczasy pojedziemy. Wypocznie. I wszystko będzie dobrze.

Coraz trudniej jednak przychodziło ojcu kryć się z tą swoją chorobą. Jej objawy stawały się coraz widoczniejsze, coraz częściej kładł się, odpoczywał, wychodził zaczerpnąć świeżego powietrza, i to bez najmniejszego powodu, bo choćby do najlżejszej roboty nikt go nigdy nie ciągnął. Wszyscy jakby z jakiegoś wyższego przykazania strzegli spokoju jego nerwów. Utwierdzał ich zresztą w tych swoich nerwach, tłumacząc się, gdy ktoś tam rzucił mimochodem, że jakiś blady jest, może powinien więcej na słońce wychodzić czy zioła pić:

– Kiedy tak w ogóle to się czuję nieźle. Tylko te nerwy, te nerwy. A na nerwy nie ma dobrego lekarstwa. Na szczęście nie umiera się na to.

I wszystkich to zadowalało. Naturalnie z wyjątkiem matki, no, i może wujka Władka, bo kiedyś powiedział:

– U mnie nerwy, to się wścieknę i bym wtedy zabił. O, jak tego sukinsyna, co wybił oko naszemu Kruczkowi. Zabiłbym, niech tak skonam. A u ciebie jakoś tak dziwnie.

Lecz matka natychmiast wzięła ojca w obronę:

– Bo jak ktoś kształcony, to i nerwy u niego inne. Co człowiek, to nerwy. Jeden ma jak postronki, że koń mógłby ciągnąć, a inny jak niteczki, czyli babie lato. A u ciebie to nie nerwy, tylko wścieklica.

Ojciec zdawał sobie sprawę, że kiedy matka brała w obronę te jego nerwy, choćby przed takimi wątpliwościami, jak wujka Władka, był to znak, że nie tylko sama jest pełna wątpliwości, czy to rzeczywiście nerwy, ale kto wie, czy nie rozpacz już się w niej tli. I żeby podtrzymać w niej wiarę, że to tylko nerwy, uciekał się do jednego z tych swoich sposobów,

którymi zwykł ją w takich chwilach pocieszać, rozwijając w najdrobniejszych szczegółach wątek na przykład pantofelków, w jakich matka będzie chodziła, gdy znów zamieszkają w mieście, a on będzie na posadzie. Zwłaszcza że do damskich pantofelków miał szczególną słabość. Nieraz powtarzał, że kobieta może mieć skromniejszą sukienkę, być skromnie uczesana, brwi, rzęsy mieć niewycieniowane, niepodczernione, usta nieumalowane, nie mieć pereł, kolczyków, broszki czy nawet pierścionka, lecz pantofelki powinna mieć w najlepszym gatunku, dobrane do całości, odpowiednie do okazji, bo pantofelki świadczą nie tylko o guście, lecz także o charakterze.

Miała więc matka mieć czarne lakierki na przyjęcia, na wizyty, w goście, na bale, do teatru, jakby kiedyś przyjechał. Miała mieć białe na słoneczne letnie dni, białych nawet dwie pary, bo i ażurowe, i czółenka z otwartymi noskami. A do białych koniecznie polakierowane u nóg paznokcie, bo przy białych pantofelkach czerwone paznokcie dodają kobiecie powabu. Miała mieć brązowe na wszystkie pośrednie dni, pośrednie okazje, pośrednie pogody i do wszystkich niezdecydowanych ubiorów, spódnic, kostiumów, sweterków. Bo brąz, jak mówił, jest najbardziej rozległym kolorem w przyrodzie, no, i brąz to jesień, a jesień ze wszystkich pór najbardziej lubił. Nie mówiąc już, że miała matka brązowe oczy, a gdy się w tych oczach niepokój pojawiał, robiły się wówczas wielkie jak u zalęknionej sarny.

A przede wszystkim miała mieć wężowe, och, wężowe, to było jej najskrytsze marzenie. Nigdy nie mówiła o tym ojcu, lecz wiedział. Mówiła tylko, gdy kogoś tam sprzed wojny wspominali, powodziło im się, co tu dużo mówić. Miała nawet wężowe pantofelki, pamiętasz? Toteż kiedy mówił, że i ona będzie miała, zapominała natychmiast, że jeszcze przed chwilą pytała go z niepokojem w głosie, dokąd będziesz brał te kropelki?

Miało ci się poprawić, a jest coraz gorzej. Nie widzę? Widzę. Przyjechałeś, to nie brakowało ci tak powietrza. To nie same tylko nerwy. A przyznać się nie chcesz. Umierałbyś i byś się nie przyznał.

A gdy jeszcze w swojej hojności dorzucał do tych wężowych pantofelków taką samą wężową torebkę, taki sam wężowy pasek do zegarka na rękę, choć nie miała zegarka, lecz miała i zegarek mieć, firmy „Tissot”, niewielki, dyskretny, upatrzył już u jubilera, wówczas była skłonna nie tylko poddać się bez reszty tej z takim przekonaniem roztaczanej przed nią nadziei, lecz i tę nadzieję w nim podpierać:

– Abyś tylko wyzdrowiał, to damy sobie jakoś radę. Nie jestem jak inne rozrzutna. Wiesz przecież. Kupują bez namysłu, co im w oczy zaświeci, to, tamto. A człowiek musi myśleć, żeby i na potem starczyło.

A gdy nawet tę jej nadzieję mącił jakiś nagły, krótkotrwały lęk, miało się wrażenie, że jest to zwyczajny lęk przed szczęściem, pojawiający się, gdy szczęście zdaje się nabierać cech wiarygodności, a że z powątpiewaniem pytała o te pantofelki, to jedynie po to, aby jej zaprzeczył i tym bardziej uwiarygodnił to szczęście:

– Myślisz, że wężowe będą modne po wojnie?

Więc zaprzeczał, jak chciała:

– Oczywiście, że będą modne. Cóż ma wojna do tego? Za drogie są, żeby były niemodne.

– Za drogie? – płoszyła się, bo jeśli coś było za drogie, niejako z natury rzeczy budziło w matce popłoch. – To może nie będziemy kupować, jak takie drogie?

– Dlaczego mielibyśmy nie kupować?

– Piotrka przecież musimy uczyć. To na wszystko nas stać nie będzie. – To był ten najwyższy cel jej życia, którego nigdy nie traciła z oczu i którego nie były jej w stanie przesłonić nawet wężowe pantofelki, z wężową

torebką, paskiem do zegarka, a nawet zegarek. Ale można by też powiedzieć, że nie pozwalało jej to nigdy wznieść się na wyżyny ojca. – Jeszcze chcesz, żeby był lekarzem.

– Będzie.

– Ale wiesz, ile będzie to kosztować? Matko Święta! Mam chodzić w wężowych pantoflach, a on tam by może nie dojadał? Bym sobie tego nie darowała. Pamiętasz przed wojną, chodzili studenci po podwórkach z gitarami i śpiewali, żeby zarobić na studia. A jeden już po studiach nie mógł nigdzie pracy znaleźć. Czekaj no, co on takiego śpiewał? No, nie mogę sobie przypomnieć. Aż za gardło ściskało. Nawet Piotrek mu pięć groszy dał ze swojej skarbonki. To teraz pomyśl, że to nasz syn chodzi z gitarą i śpiewa. A jego matka w wężowych pantoflach paraduje. O, krowy goni na pastwisko, to za każdym razem mi się serce kraje. Nasz syn, mój Boże. Nie chcę.

– Uspokój się. Nasz syn nie będzie chodził z gitarą i śpiewał. Będzie mieszkał na najlepszej stancji. Przyjedzie na święta czy na wakacje, będziesz go z dumą przedstawiała znajomym. Mój syn. Może nawet za granicę na studia go wyślemy. Miałby przynajmniej renomę po takich studiach. A pacjentów ho, ho. Może do Uppsali lub Wiednia. Medycyna jest tam na najwyższym poziomie. Przychodzi kartka, a to z Uppsali lub Wiednia od syna. Przynosi listonosz telegram na twoje czy moje imieniny, a to z Uppsali lub Wiednia. Od czasu do czasu by przecież przyjechał, wychodzilibyśmy na dworzec po niego. Syn właśnie przyjeżdża z Uppsali lub Wiednia. A kto wie, mógłby się tam i ożenić i wtedy my jeździlibyśmy do niego.

– A nie daj Boże, nie chcę. Z jakąś obcą, co by po polsku nie umiała. Nie chcę. Nigdy bym się nie przyzwyczaiła do takiej synowej. Tu też może mieć u ludzi wzięcie, jak nie będzie zdziertus. A chociaż blisko. I czy

brudną bieliznę, czy dziurawe skarpetki to może przysłać, upiorę mu, zaceruję i odeślę. A i co by to był za pożytek, że gdzieś tam, w świecie, jest lekarzem? Czy to mało tutaj chorych? I przynajmniej każdy mu po ludzku powie, co go boli. Nie chcę.

Może przeznaczenie dało wówczas znać przez matkę, że nie zgodziła się, aby mnie ojciec wysłał do Uppsali lub Wiednia, tylko uparła się, że muszę jej przysyłać paczki z brudną bielizną do prania, dziurawe skarpetki do cerowania, co tak odbiegało od marzeń ojca, że wyglądało na szyderstwo, niezamierzone naturalnie, bo przecież matka broniła jedynie swoich racji z równym przekonaniem, co on tych swoich marzeń, tak że w rezultacie nie zostałem lekarzem.

Zresztą w tym czasie, kiedy oni roztaczali przed sobą moją przyszłość, chciałem zostać marynarzem. Tak właśnie napisałem w zadaniu, bo nam pani od polskiego zadała na lekcji, kim chciałbyś zostać? A prawie każdy z chłopaków tak pisał, marynarz, lotnik, generał, jeden tylko Fredek, że chciałby mieć dużo pieniędzy. Ale Fredek siedział już trzeci rok w tej samej klasie, więc mogło mu się znudzić wciąż pisać, kim chciałby zostać. Powiedziałem o tym ojcu i matce po przyjściu ze szkoły. Ojciec z wyrozumiałością rzekł:

– Ano, w twoim wieku tak się pisze. Ale będziesz lekarzem.

Matka natomiast zagniewała się nie na żarty:

– A idźżeż ty. Żebyś mi jeszcze utonął. – I do ojca z pretensją: – Trzeba było mu nie kupować tego marynarskiego ubranka. Było jakieś inne.

Więc już samo to, że na ów przypadek złożyło się tak wiele okoliczności, sięgających jeszcze czasów wojny, gdy ojciec, ukrywając swoją chorobę przed matką, wznosił dzień po dniu ów wielki gmach nadziei, i to z takich szczegółów, jak te wężowe pantofelki, już samo to wyklucza, że mógł to być przypadek.

Tych okoliczności dałoby się wymienić zresztą dużo więcej, a każda z nich, gdyby się dobrze nad tym zastanowić, miała nie tylko swój udział w tym, że spotkaliśmy się z Anną, lecz właśnie to, że spotkaliśmy się, dla każdej z tych okoliczności stanowiło uzasadnienie i w zależności od wzajemnego związku z innymi okolicznościami przeistaczało się w przeznaczenie. Bez tego byłyby to rozsypane drobiny, błąkające się samotnie w przestrzeni pamięci, wzbudzające co najwyżej żal, lub odwracając kolejność rzeczy, wszystko, co się kiedykolwiek zdarzyło, dałoby się sprowadzić do okoliczności powołanych przez przeznaczenie. Przede wszystkim sama choroba ojca, bo dzięki niej zamieszkaliśmy w tym mieście.

Gdy po kilku tygodniach front jakoś nie mógł wciąż ruszyć dalej, postanowiono wysiedlić nas na bezpieczną odległość, za Wisłę. Obiecywano, że na dwa, trzy tygodnie najwyżej, a przeciągnęło się to do ponad pół roku. Wrześniowe słońce grzało niczym w lecie, gdy ładowaliśmy nasz dobytek między drabiny na furmankę, bo kazał dziadek drabiny wujkom założyć, żeby więcej się zmieściło, i co kto wyniósł jakiś tobół z chałupy i ułożył między innymi tobołami, to zaczynał płakać, chociaż każdy po swojemu. Płakała babka, i to wszystkimi bruzdami swojej pooranej twarzy, jakby tak ze źródeł, nie z oczu, łzy jej ciekły, spływając tymi bruzdami ku brodzie. Płakała wujenka Jadwinia, ale wujence Jadwini nawet łzy dodawały urody. Płakała wujenka Marta, może najsmutniej ze wszystkich, bo jakby nie chałupę opuszczała, nie wieś, lecz świat. Płakał wujek Władek, choć wydawało się, że złości się tylko i przeklina, zwłaszcza że rzucał przy tym toboły na furmankę jak popadło, aż go dziadek upomniał:

– Układaj, chorobo, nie rzucaj byle jak. Nie wiadomo, jak daleko nam przyjdzie jechać.

Płakał wujek Stefan, choć niby tylko prosił wujenkę Jadwinię, żeby nie płakała. No, nie płacz, Jadwiniu, nie płacz. Płakał nawet dziadek, lecz jakby stosownie do swojego wieku, bo nie widać było, żeby łzy mu ciekły, a tylko chodził po obejściu i zaglądał do chlewów, stajni, stodoły, piwnicy, tu, tam i powtarzał:

– Trzeba teraz to wszystko na łasce zostawić. A może się wróci do ruiny. I zaczynaj od początku, jak po tamtej wojnie.

A ojciec siedział na schodach, bo ledwo wyniósł swoją walizkę, z którą przyjeżdżał zwykle na niedzielę, i od razu zbladł, zasapał się. I matka powiedziała:

– Nie wynoś. Siądź sobie. Resztę z Piotrkiem powynosimy. Dużo się zabierze? Boże Miłosierny, znowu musimy uciekać. I za każdym razem prawie wszystko zostawiać. – I też się rozpłakała.

A ojciec, jakby na przekór jej łzom, powiedział:

– Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Sami nie wiadomo kiedy byśmy się stąd od nich ruszyli. A tak skończy się wojna i zamieszkamy znów w mieście. Znajdę sobie posadę, może gdzieś w starostwie. Będą potrzebować buchalterów, co ty myślisz? Tyle ludzi ubyło przez wojnę.

Lecz ta nadzieja jakby zaczęła w ojcu wygasać, odkąd zamieszkaliśmy znów w mieście, w tej suterenie na Rybitwach. Coraz częściej się zamyślał i rzadko już kiedy wracał do tych swoich nie tak przecież odległych obietnic, jak to będzie po wojnie, że będą chodzili do kina, na spacery, w goście, na bale, a już o tych wężowych pantofelkach nie napomknął ni razu.

Na szczęście matka nie poddawała się, a też nowi sąsiedzi jak mogli, podtrzymywali ją na duchu, że wszystko będzie dobrze, bo każdy albo był

sam chory, albo miał kogoś w rodzinie chorego, albo wśród znajomych, bliższych, dalszych, więc nawet wiarygodne wydawały się ich pocieszenia.

Zwłaszcza pan Jaskóła, woźnica, okazał się prawdziwą podporą dla matki.

– Pani, już żem prawie trup był. Łyżki nie mogłem donieść do gęby. A dzisiaj, widzi pani, wożę węgiel, ładuję, zrzucam. Worki, paczki, co kto tylko chce, żeby mu przywieźć, zawieźć, bo na to jest woźnica, no nie? I w dwa konie. Tak mnie postawili doktory. A najwięcej doktór Okoń. Do doktora Okonia musi mąż iść.

Często też, gdy przejeżdżał obok nas, zatrzymywał konie i przychodził się dowiedzieć, jak tam ojciec i co mu doktor Okoń powiedział, bo za jego doradą wysłała matka ojca do doktora Okonia. I za każdym razem przynajmniej powiedział:

– E, lepiej dzisiaj mąż wygląda. Doktór Okoń, pani, to niech się wszystkie doktory schowają. Niedługo wódki się napijemy. Wspomni pani moje słowa. – Czasem nawet wyciągał tę wódkę, odbijał: – Nie ma pani jakiejś szklanki, bym się za zdrowie męża napił? – I zwracając się do ojca: – Pan nie? Ale już niedługo. To z żoną się napijemy. Napij się pani. O, i widzi pani, nawet wódkę mogę teraz pić. Nie napiję się, to życia we mnie nie ma. Chodzę jak otumaniony.

Czasem węgla nam trochę podrzucił, kiedy węgiel zwoził, czasem drzewa, a raz przytachał cały worek kaszy manny, bo zwoził kaszę mannę ze stacji do sklepów i wypadło mu, że ma dwa worki za dużo, to jeden sobie wziął, a drugi nam. Jedliśmy prawie co dzień tę kaszę mannę, i do zupy, i na sypko, i kluski z niej matka gniotła, i jakieś kotlety smażyła, jakieś racuchy, kiedyś nawet ciastka upiekła, a wciąż jeszcze siedziała w przepisach, co by się tu z kaszy manny dało zrobić. Wstręt już czuliśmy

do tej kaszy manny, jedliśmy przez zaciśnięte zęby, ale że nie było za bardzo co jeść, więc błogosławiliśmy pana Jaskółę.

Ze wszystkich mieszkańców Rybitw był najbogatszy. Dom miał okazały, murowany, z czerwonej cegły, kryty dachówką, prócz tego stajnię, chlew, wozownię, dwa wozy, cięższy i lżejszy, dorożkę, bo kiedy nie miał co zwozić, dowoził podróżnych z pociągu czy na pociąg, jako że stacja była od miasta jakieś trzy kilometry. Trzymał też dwie krowy, kupowaliśmy mleko u niego, a całe obejście było ogrodzone drucianą siatką na podmurówce. Mało z kim się z sąsiadów zadawał. Do nas tylko jakoś tak przylgnął, i to od pierwszego dnia, gdy go matka wynajęła, żeby zwiózł nas ze stacji na to mieszkanie. A gdy dowiedział się, że ojciec był oficerem, to nie wziął ani grosza, bo też służył w wojsku i kapralem był.

Nie tak wiele było domów na Rybitwach, nawet gdyby się wszystkie policzyło za domy, bo niektóre przypominały bardziej budy niż domy, tyle że, otoczone różnymi przybudówkami, chlewikami, komórkami, gołębnikami, sprawiały wrażenie małych fortec, niedostępnych dla obcych, w dodatku nie wiadomo było, czym się mieszkańcy tych fortec zajmują i z czego żyją, bo większość hodowała gołębie.

Było jednak kilka przyzwoitych domów, choć ma się rozumieć, nie tak okazałych, jak dom pana Jaskóły. W tym krawcowej Kuźmowej, do której matka czasem zanosiła coś do przerobienia ze starych rzeczy. Drugi przedwojennego policjanta Bazyluka, którego aresztowali, i to zaraz następnego dnia, jak się sprowadziliśmy na Rybitwy. I trzeci magistrackiego woźnego o hrabiowskim nazwisku Potocki, którego znaczenia jego właściciel musiał być w pełni świadom, bo przychodząc czasem w odwiedziny do nas, obiecywał ojcu, że niech tylko wyzdrowieje, a załatwi mu posadę w magistracie, i to dobrą, radził nawet kierownika podatków, to by ojciec mógł z łapówek dorobić sobie drugie tyle, bo pensje

są teraz niewielkie, nie to, co przed wojną, i wszyscy mają prawie równo. I czwarty nasz dom.

Nie odczuwaliśmy, co prawda, tak jego zalet, bo też w tej naszej suterenie nawet podczas najbardziej słonecznego dnia, poza niewielkim polem światła przy oknie, zalegał wszędzie półmrok, co powodowało, że życie skupiało się na ogół przy tym oknie. Przede wszystkim tu stał stół, mebel w hierarchii sprzętów, wiadomo, najważniejszy, ważniejszy nawet od łóżek, a nie tyle ze względu na jego konieczność, bo w tej roli łóżka są zapewne ważniejsze, lecz jako ów punkt każdego domu, od którego zaczyna się wszelka pamięć.

Toteż zadrościliśmy pannom Ponckim, jak też sobie wygodnie mieszkają, a nie dlatego, że nad nami, lecz one to właśnie zajmowały cały dom, który składał się z jednego ogromnego pokoju i drugiego małego, z obszernej kuchni, z osobnego pomieszczenia na mycie i spiżarni. Wchodziło się też do nich od frontu, a więc od strony wzgórza, bo my do naszej sutereny wchodziliśmy od zaplecza, a i schody do miasta prowadziły nieomal od ich drzwi.

Zwykle kiedy chcieliśmy się dowiedzieć, czy są w domu, nasłuchiwaliśmy ich kroków na suficie. Chodziły jednak tak cichutko, że trzeba było dobrze się w ten sufit wsłuchiwać, aby przynajmniej szmer ich stóp usłyszeć. Matka, gdy nie była pewna, czy są, czy ich nie ma, jak gdyby z potrzeby troski prosiła ojca albo mnie:

– Może ty posłuchaj, czy są.

I słuchaliśmy z zadartymi głowami, wstrzymując oddechy, a i tak trzeba było nieraz na domyślność rozstrzygać, biorąc i inne znaki pod uwagę, jak porę dnia, pogodę lub czy wspominała któraś z rana, że wychodzą, kiedy przyjdą, a nie tylko szmery stóp. Czasem zresztą łatwiej do rozstrzygnięcia prowadziło nadsłuchiwanie, czy od strony piwnicy nie doleci nas

przytłumione echo tanga, bo właśnie nad piwnicą znajdował się ten największy pokój, a jeśli były w domu, zawsze grały sobie tanga i do kuchni, która mieściła się nad nami, rzadko wtedy zachodziły.

– Co one, nigdy nie jedzą? – dziwiła się matka, gdy się nic nie dało na suficie usłyszeć. – Ano, młode jeszcze są, to młodością żyją.

Chodziła zresztą nieraz do nich posłuchać tych tang, a wracając, wzdychała z rozżaleniem:

– Mój Boże, już takiej muzyki nie będzie, jak była przed wojną. Mają *Nasza jest noc* i *Szczęście trzeba rwać jak świeże wiśnie*. Dużo mają. Bo co teraz za muzyka? Puściły mi, to aby szybciej. Same też nie lubią. Wolę przedwojenne. W sercu się przynajmniej czuje, a nie tylko po skórze. Uszy słyszą, a tu nic. I w głowie jazgot, jakby się garnków, fajerek naprzestawiał.

Oprócz tych wszystkich domów i nie domów znajdował się tu jeszcze stary, rozpadający się dworek, położony trochę z dala, nad ulicą Browarną, prawie już na skarpie. Kiedyś zapewne ładny, bo jeszcze z gankiem na kolumnach, lecz teraz bez drzwi, bez okien, z zapadniętym dachem i jedną ścianą całkiem zwaloną, a drugą przebitą, chyba pociskiem, na przestrzał. Stał spowity cały dzikim winem i otoczony gęsto bzami. Były różne, i białe, karminowe, fioletowe, i aż zatykało, kiedy kwitły. Toteż nacinałem nieraz wielką naręcz, kiedy kwitły, i zanosiłem po kryjomu przed matką i ojcem pannom Ponckim, żeby im się chociaż w ten sposób odwdzięczyć. Bo już pierwszego dnia, gdyśmy się sprowadzili na Rybitwy, a ujrzały mnie, obie naraz wykrzyknęły:

– Och, jaki miły chłopczyk. Tylko czemu taki blady? Nic, będzie przychodził do nas na kakao. – A ponieważ bardzo lubiłem kakao, to poczułem, że pod tą bladością zaczerwieniłem się, tak że słowa nie mogłem wydusić. I dopiero matka mi podpowiedziała:

– No, powiedz dziękuję.

Więc wydałem szept:

– Dziękuję.

– Co tak cicho? Nieśmiały jest – usprawiedliwiła mnie matka. – Przed wojną to pił co dzień kakao. Nawet miał taki specjalny dzbanuszek z dziubkiem. Z jednej strony pisało kakao, a z drugiej Ćmielów, bo mąż pochodzi z Ćmielowa.

Odtamtąd dzień w dzień kazały mi co rano przychodzić na to kakao. A gdy zdarzyło się, że nie poszedłem, zaraz jedna lub druga wychylała się przez okno z tego dużego pokoju, wychodzące na naszą stronę, i wołała:

– Prosimy na kakao, Piotrusiu!

A nawet przybiegały z pretensją, dlaczego nie przyszedłem, i żebym przyszedł koniecznie, bo stoi i stygnie. Nie będę pił, to wciąż będę taki blady. A muszę urosnąć, bo chyba chcę być mężczyzną. A taki bledziutki mężczyzna, to żaden mężczyzna. Mają tego kakao, bo im różni przynoszą. Może by i ojciec pił? Próbowały go namawiać. Lecz ojciec nie lubił kakao, a przede wszystkim nie przepadał za pannami Ponckimi.

Poniżej naszego domu, gdzie wzgórze rozpłaszczało się, przechodząc w początek rozległej równiny, stała nieczynna mleczarnia, zamknięta na cztery spusty, przez szyby nawet widać było w środku jakieś urządzenia, kotły, kadzie, a pilnował jej stróż Józef z psem Medorem. Po przeciwnej zaś stronie sterczało wielkie rumowisko po zbombardowanym browarze. Można było tam jeszcze znaleźć butelkę piwa pośród cegieł, nienadającego się, ma się rozumieć, do picia, ale było to zwykle wydarzenie na Rybitwach, o którym długo sobie opowiadano, podobnie jak o spotkanym przez kogoś tam duchu Żyda Kuferbluma, właściciela browaru. U niego to właśnie pan Jaskóła dorobił się przed wojną swojego okazałego domu, rozwożąc piwo, i to piwo przy każdej okazji wspominał. Gatunki, smaki, nazwy, moce, odcienie, z jakiej wody, z jakiego chmielu, a nawet które się

jak pieniło, które było na pragnienie najlepsze, a które po przepiciu, które kamień z nerek najlepiej spędzało, a które się na grzane najlepiej nadawało, z żółtkiem, z miodem, i wszystkie swoje przygody związane z tym piwem.

A trochę na uboczu, za browarem, stała piętrowa kamienica, należąca kiedyś do właściciela browaru. Była poszczerbiona gęsto przez odłamki i dach miała w połowie zerwany, a drzwi, okna zabite grubymi deskami. Nikt w niej nie mieszkał, lecz zwykle było tam najgłośniej. Ledwo mrok zapadł, a dochodziły stamtąd pijackie kłótnie, wyzwiska, przekleństwa, jakieś piski, chichoty, a nieraz w środku nocy zdarzało się, że powietrze rozrywał nagle spazmatyczny krzyk, budząc ze snu całe Rybitwy:

– Ratunku! Ludzie!

Czasem też wysypywała się z kamienicy pijana zgraja mężczyzn, kobiet i idąc jakby przez środek ludzkich snów, wykrzykiwała co sił w płucach różne sprośne piosenki. Kiedyś nawet zamordowano tam kogoś, a gdy zjawiła się milicja, wszystko było zabite deskami, jak było dotąd, choć w środku leżał trup, i drzwi musieli łomami oddzierać. Toteż każdy z daleka omijał kamienicę, a nawet w dzień strach było się do niej zbliżyć.

Zakradałem się tam czasem wbrew nieustającym przestrogom matki:

– Żebyś mi tylko do kamienicy nie chodził. Pamiętaj.

A choć strach mnie ściskał, to zarazem podniecało mnie, co też tam w środku się znajduje, jakbym się zakradał do kryjówki zbójców. Nie udało mi się jednak nigdy nic szczególnego zobaczyć, mimo iż przez szpary między deskami prawie całe pomieszczenie dawało się omieść wzrokiem. Jakaś słoma zbarłożona jakby od ciał, deski poustawiane na cegłach niby w stoły i pełno butelek po wódce, to wszystko.

A już z soboty na niedzielę nikt nie zmrużył oka na Rybitwach. I aż dreszcz przechodził od tych wszystkich odgłosów, jakie się z kamienicy roznosiły. Nawet matka, choć sen miała twardy, a wzdychała nieraz:

– Czy już Boga na nich nie ma? A choćby i policji.

Razu jednego, i to w samo południe, pośród tych barłogów, stołów i pustych butelek zobaczyłem nagle przez szparę w deskach samego Kuferbluma. Myślałem, że zwiduje mi się w tym jednym oku wetkniętym w szparę i przystawiłem drugie, lecz tak samo i drugim go zobaczyłem. Siedział na jednym z tych stołów, pochylony głęboko nad swoimi kolanami, i kiwał się, jakby do snu się usypiał. Lub może martwił się tak głęboko. Z całej twarzy aby kawałek białego czoła było widać i długą białą brodę, wspartą o te kolana. Był w mycce na głowie, w czarnym chałacie i gdyby nie ta biała broda jaśniejąca w półmroku, można by pomyśleć, że to tylko kłąb cieni zepchniętych przez sączące się ze szpar promienie w jedno miejsce. W pewnej chwili podniósł butelkę po piwie spod nóg i obracał ją ze wszystkich stron w ręku, po czym ze złością odrzucił przed siebie, aż się gdzieś tam z trzaskiem rozprysła. Poleciałem z tą nowiną do matki, niepomny, że miałem zakazane chodzić pod kamienicę.

– Mama, widziałem Kuferbluma!

– Co ty, dziecko, Kuferblum, a skąd?

– Widziałem, mama.

– E, zdawało ci się. Nie chodź mi tam więcej. Broń cię, Panie Boże.

– Był w mycce na głowie, w chałacie i miał długą białą brodę.

– A skąd wiesz, że był to Kuferblum? Znałeś go? Nie znałeś. Zresztą Żydów nie ma już na świecie. A mógł się ktoś z tej hołoty przebrać za Żyda. Różne bezeceństwa tam wyprawiają. Skaranie boskie. Umarłych, i to nie uszanują.

– Siedział i kiwał się, mama.

– Przestań. – Nie mogąc sobie poradzić, zwróciła się matka do wpatrzonego gdzieś tam w okno przed siebie czy w sufit nad sobą ojca: –

Powiedzżeż mu ty coś. Jak mógł widzieć? Jeszcze w dzień? A choćby i w nocy, to nawet duch by nie poszedł do tej sodomy gomory.

– Mógł widzieć – powiedział ojciec, nie wychylając się ze swoich myśli, w których zatopiony leżał na łóżku.

– E, z tobą też coraz trudniej się dorozumieć – zezłościła się na ojca, a mnie w tej złości odsyłając do pana Jaskóły. – To idź się spytaj pana Jaskóły, kiedy matce nie wierzysz.

– W mycce, w chałacie, mówisz? – zadumał się pan Jaskóła. – I brodę, mówisz, miał białą? Brody nie nosił. Nie był jeszcze taki stary. Może Mojsze Bławatnik. Albo Wende, buty. Albo Rozenkrajc, sklep miał naprzeciw Ratusza, tasiemki, guziki, nici, agrafki, tak, nosił brodę. Ale czy on jeszcze przed wojną nie umarł? A myckę, no, to Sztajn, zrywał ją czasem z głowy i trzepał o ladę, kiedy się zezłościł. Cholera! Cholera! Ale Kuferblum nie, Kuferblum to był pan. Zawsze w garniturze, w kapeluszu, płaszcz, rękawiczki, parasol. Nie poznałbyś, że Żyd. A jaką miał córkę, Jezu Panie. Synogarlica, mówię ci. Obiecywał, że napisze, jak już będą na miejscu. Może by się i dla mnie tam robota znalazła. Tutaj piwo już tak nie szło. Większe miasto musi być na piwo. W małym człowiek się wzbogaci i szlus. A w dużym nie ma końca, można się bogacić i bogacić. I ludzie różne piwa piją. A tu przeważnie z beczki. Ta butelka mnie tylko zastanawia. Etykiety nie widziałeś?

A na samym końcu, już przy szosie prowadzącej do mostu na Wiśle, stała jakaś stodoła, martwa, pusta, nawet wróbla nie uświadczył w niej, widocznie przez lata wydziobały do ostatniego ziarenka. Pozostała podobno po jakimś gospodarstwie, które spaliło się dawno przed wojną od pioruna. Urządzili w niej Rosjanie rzeźnię dla krów, które gnali z Niemiec do Rosji, a które nie miały już siły dalej iść. Zawiadował tą rzeźnią starszina Iwan, chłop jak tur, lecz bez jednej nogi, na szczudle. Gdy przyprowadzone stado

rozłożyło się po drugiej stronie szosy, gdzie rozciągały się łąki, a właściwie pokładło pokotem ze zmęczenia, starszina Iwan chodził i wybierał tę, tamtą, ciągnąc za sobą to szczudło z wysiłkiem i ocierając pot z czoła, jakby i on razem z tym stadem z Niemiec przyszedł, a jego pomocnicy, dwaj młodzi żołnierze, zaciągali wybraną krowę do rzeźni, czyli do stodoły.

Były z tym nieraz kłopoty, gdy krowa nie miała siły powstać, mimo namów, pokrzykiwań, klepania, głaskania, bo bić starszina Iwan nie pozwolił. Tłumaczył swoim pomocnikom, że gdyby tak do niej po niemiecku, to pewnie by wstała, bo to niemiecka krowa, ale że nikt z nich nie umiał po niemiecku, więc nakazywał po dobroci. Czasem to pomagało, zwłaszcza gdy się sam nad nią nachylił, poklepał, pogłaskał, popatrzył w zmartwiałe oczy, odgonił muchy z tych oczu, zerwał kępkę trawy, podstawił pod pysk, użalił się, zachęcił:

– No, jedz. Zmordowanaś pewnie? Ano, kawał drogi z Niemiec. Ale myśmy też do was szli na piechotę. I gdzie tam, z dalsza, bo znad Wołgi, z Sybiru. Pewnie, lepiej by było, żeby każdy w swoim domu siedział, ale nie zaczęliśmy tej wojny. A wojna nie omija i krów. Wstań.

Lecz czasem nie pomagało, bo krowa nawet łba nie była w stanie unieść z łąki. Jednym okiem przywarta do trawy, a to drugie też nie wiadomo, czy widziało pochylonego nad nią starszinę Iwana, bo jakby i ono do łąki należało, nie do łba. Wtedy zwracał się starszina Iwan do żołnierzy, którzy przygnali to stado, nawołując po wielokroć:

– Rebiata! Sałdaty!

Ale ci uwaleni, tak samo półżywi, zdarci, powrastani jak i krowy w łąki, nie chcieli nawet słyszeć, że to do nich woła. Dopiero gdy te swoje nawoływania podpierał przekleństwami, a czasem obietnicą wódki, podnosiło się kilku leniwie. Razem z pomocnikami brali krowę pod boki i jakby jakiś głaz wypierając pod górę i klnąc na czym świat stoi, stawiali ją

na nogi, a potem podtrzymując z obydwu stron, a jeszcze któryś ciągnąc jej łeb na powrozie, bo zwykle łeb w krowie stawia największy opór, prowadzili ją krok za krokiem, chwiejąc się razem z nią, do stodoły, czyli rzeźni. Tu starszina Iwan przykładał jej od razu na sztych w dołku za rogami długi szpikulec o wrzecionowatym kształcie i wypowiadając niczym egzekwie, no, koniec twojej męki, uderzał z góry w ten szpikulec pięścią i krowa waliła się na klepisko, nieraz jeszcze po rękach podtrzymujących ją żołnierzy.

Zaraz też pomocnicy zakładali zabitej łańcuchy na tylne nogi, podciągali ją na belkę nad klepiskiem i zabierali się do oprawiania, ubierając się przedtem w wyciarane w krwi i brudzie ceratowe fartuchy, no, i ostrząc noże. Pocierali te noże o długie metalowe osełki, prześcigając się między sobą, kto szybciej. Miałem wrażenie, że ich podnieca jazgot tych ostrzonych noży, bo szczerzyli zęby w uśmiechach, a na mnie skóra aż cierpła. Musiał ich nieraz starszina Iwan do porządku przywoływać, bo zapamiętywali się i coraz zajadlej ostrzyli te noże, jakby w werble do boju bili:

– Dosyć. Ostre są.

Na czas tego oprawiania wychodził przed stodołę, podstawiał sobie skrzynkę po amunicji, siadał i zapalał papierosa, potwierdzając tym samym, że to, co się będzie teraz dziać w stodole, jest już czymś pospolitym w porównaniu z tym jednym śmiertelnym uderzeniem pięścią w przystawiony do miękkiego dołka za rogami szpikulec, a w skali rzeźni, być może, nawet tajemnicą, niedostępną byle komu.

Skończył jednego papierosa, zapalał drugiego, a czasem zwiesiwszy głowę, patrzył tępo w ziemię pod swoją jedną stopą i końcem tego szczudła, jakby zmęczony już zabijaniem. Albo wodził wzrokiem po łąkach, gdzie wśród leżących krów kręcili się żołnierze noszący wodę

w wiadrach z pobliskiej łachy pod pyski tych, co nie miały siły wstać, i może liczył sobie po tych wiadrach, ile jeszcze krów będzie musiał z tego stada zabić.

Choć nie co dzień zabijał. Zdarzały się dni, że nie przygnano żadnego stada. Stodoła była wtedy zamknięta na kłódkę, a starszina Iwan z pomocnikami odpoczywali gdzieś na kwaterze w mieście. Lecz bywało, że i nocami zabijali, przy naftowych lampach porozwieszanych u belek, bo stado szło za stadem, a każde stado chciało jak najszybciej znowu ruszyć w drogę do Rosji, bo już następne za nim szło i następne. Pędzący je żołnierze nieraz sami zostawiali te najbardziej osłabione krowy, nie czekając, aż starszina Iwan przyjdzie i każdą z osobna wybierze.

Długo nie budziłem w starszinie Iwanie większego zainteresowania, mimo że wystawałem nieraz do późnego zmierzchu pod rzeźnią. Czasem mi się tylko spytał, czy nic lepszego nie mam do roboty, że tu stoję i stoję. Może matka mnie akurat w domu potrzebuje. Może coś jej trzeba przynieść, drew urąbać. Albo czemu nie pójdę się pobawić z kolegami? Mam chyba kolegów? Słońce, ciepło, wojna się skończyła, to tylko się bawić. A czasem upominał mnie, żebym nie wchodził do stodoły, o, tu przed progiem mogę sobie stać, jak już muszę.

Za to jego pomocnicy witali mnie zwykle porozumiewawczymi uśmiechami. O, jest. I pytali się, co słychać, jak spałem, czemu wczoraj nie byłem. Starszinę Iwana najwyraźniej to złościło, bo spluwał niedopałka, przydeptywał go, a właściwie wkręcał piętą tej jednej nogi w ziemię, po czym wstawał, poganiając pomocników, żeby szybciej. I nie czekając, aż skończą, ruszał na łąki po następną krowę.

A pod wieczór przyjeżdżał samochód i zabierał te wszystkie połówki, skóry, łby, flaki, a starszina Iwan i jego pomocnicy myli się, polewając sobie wodą z wiadra, przebierali się w żołnierskie mundury, zamykali

stodołę na kłódkę i już jako frontowi żołnierze, w których nie rozpoznałby rzeźników, ruszali na kwaterę do miasta.

Zdarzało się jednak, że samochód nie przyjechał. Wtedy tak samo myli się, przebierali w żołnierskie mundury i siadali przed stodołą: starszina Iwan na tej skrzynce po amunicji, pomocnicy na murawie, i czekając, śpiewali. To znaczy śpiewali pomocnicy, bo starszina Iwan kopcił jeden za drugim papierosy. A gdy zmierzch zaczynał ciemnieć, gasił kolejnego niedopałka, przydeptywał piętą tej jednej nogi, jakby znał kierowców, że skoro nie przyjechali, to już nie przyjadą, bo rzucał jakieś przekleństwo, a pomocnikom kazał zamknąć stodołę na kłódkę i ruszali. A na następny dzień dostawało się kierowcom za swoje, że nie przyjechali. Wyzywał ich od pijanic, swołoczy i najgorszych, uświadamiając im, że nie amunicję na front wożą, ale mięso, a mięso psuje się, nie mówiąc już, że następne krowy czekają na łąkach, a następne już idą z Niemiec.

Nasunęło mi to razu jednego myśl, żeby zakraść się do stodoły, gdy samochód nie przyjedzie, i ukraść łeb. A dlatego łeb, bo kupowała matka nieraz łeb na targu przed wojną, chwaląc się potem przed ojcem, że tak tanio dała, a będzie móżdżek z cebulką i ozór w sosie chrzanowym, i zupa na kościach.

– Ty naprawdę umiesz zaoszczędzić. – Ojciec z podziwem zwykle wysłuchiwał matki. – Mało która z żon by tak umiała. Dzięki twojemu oszczędzaniu mamy prawie całą pensję na książeczce.

Ten łeb nie dawał mi spokoju, ilekroć odrzynali go krowie i wrzucali do sąsieka. Toteż dzień po dniu oczekiwałem, że może dzisiaj samochód nie przyjedzie. Już od rana warowałem pod stodołą i stojąc w otwartych wrótniach, patrzyłem, jak starszina Iwan raz po raz przykłada szpikulec w te miękkie dołki za rogami, a po każdym uderzeniu wychodzi zapalić przed stodołę, a jego pomocnicy obdzierają skóry, obrzynają łby, jak

z czeluści wywalają z brzuchów stosy poskręcanych flaków, od których powietrze zanosiło się odorem skisłej karmy, rozcinają kołyszące się na łańcuchach wielkie bryły na dwie połówki i układają na inne połówki. I tak przyzwyczaiłem się do tego widoku, że już mi krów nie było żal, bo w myślach miałem tylko ten łeb, który stąd wyniosę, jeśli samochód nie przyjedzie. A każdy z tych odrzynanych łbów mógł być właśnie tym, który widziałem już niesiony w swoich rękach, biegnę z nim do domu, strach i radość na przemian czuję, serce wali mi młotem i wołam od progu:

– Mama, łeb przyniosłem!

– O, to będzie móżdżek z cebulką i ozór w sosie chrzanowym, i zupa na kościach. Mój Boże, tak dawnośmy móżdżku nie jedli.

I czasem tylko, jeśli któraś z krów nie miała siły sama przejść z łąk do rzeźni i ciągnęli ją jak kłodę po murawie za powróz u rogów, już półmartwą, a jeszcze z resztkami nadziei w gasnących oczach, że ją może ciągną w dalszą drogę do Rosji, ogarniały mnie wyrzuty sumienia. Pocieszałem się jednak tym, że to niemiecka krowa, a niemieckie krowy spłacają tylko wojnę, jak mówili żołnierze. I mówili, że gdyby sto lat gnał, i stado za stadem, jeszcze by nie spłaciły.

Szli razem z tymi krowami na piechotę, w kurzu, w skwarze, ledwo ciągnąc nogami, niektórzy utykali, a tylko jeden zwykle jechał na koniu, na przedzie lub na końcu stada. I kto wie, może nawet żal im było tych krów, bo bronili ich, gdy się ludzie dziwili:

– To takie marne te niemieckie krowy? A wojsko było takie prymne. Aż miło było popatrzeć.

– Przez drogę tylko zmarnowane. Ale tłuste były.

Tak samo starszina Iwan, patrząc nieraz na łąki, gdzie leżało uwalone ze zmęczenia stado, jakby odkrywał drugą stronę swojej rzeźnickiej duszy:

– Tyle krów. Tyle krów. A wszystko za winy ludzi. Dobrze, że już koniec wojny. – I może dzięki temu współczuciu dla krów czasem i mnie życzliwie zauważył. – A ty masz gdzie dom? – kiedyś mi się spytał.

– Tam, pod wzgórzem. – Wyciągnąłem rękę, lecz nie mogłem mu pokazać, gdyż stodoła zasłaniała. Zresztą i tak by pewnie nie odwrócił głowy, a może pytał jedynie z tęsknoty za słowami, bo przeważnie milczał, no, i zabijał te krowy, to mógł się w końcu stęsknić za słowami.

– A mój, widzisz, daleko. Z brzegu wsi zaraz stoi. U nas płasko, nie ma wzgórz. A piec u was jest? A u mnie szeroki. Wszyscy na nim zimą śpimy. – W miarę dalszych słów coraz wyraźniej mówił jak do dorosłego. Być może, wojna nauczyła go nie odróżniać dzieci od dorosłych albo mówił tylko do swoich myśli. – Dojdę do wsi, to trzeba będzie kogoś posłać, że wracam. Niech tam wodę szykują na mycie, garnki nastawiają. Dobrze, żeby wcześniej mieli jakiś znak, że wracam. Wychodziłem na wojnę, to drzwi od sieni skrzypiały. Ale nie było już czasu nasmarować. Wrócę, to nasmaruję. Albo nowe zawiasy wykuję. No, to mogłyby zaskrzypieć, że wracam. Nie tak ni stąd, ni zowąd wracasz, a drzwi nawet nie zaskrzypią, to nie wiadomo, za życia wracasz czy po śmierci. Serce może pęknąć. A już babom serca pękają z byle czego. U baby serce kruche, aby na nitce uwieszone. Zakołysze się i koniec. Tu w sobie nieraz dwie baby, piersi, zad i wszystkiego jak u dwóch, mogłaby ciebie, frontowego, przez siebie przerzucić, wódkę goli jak chłop, a serce taka większa łza. Jeszcze dzieci ci rodzi. Dzieciom nie, bo dzieci nie poznają cię po takiej wojnie, ty, nie ty. Wtulają się tylko w matkę, a serca przenoszą w jej serce, jakby przefruwały z gałązek do gniazda. Musisz ich od nowa potem uczyć, że to ty. Nie było takiej wojny na świecie. To i znak musi być, że wracasz, bo może już nie spodziewali się, że wrócisz. Z wojny zresztą zawsze powinien być znak, że się do domu wraca. Ale tylko żywym drzwi skrzypią, gdy wracają. Umarli

wracają przez ściany, dach, okna. Ale i to musi być znak, że umarli. Dawniej, gdy był Bóg, to czuwał nad domami, no, i dawał znaki. Ale nie ma u nas teraz Boga. Skasowali w rewolucję. I człowiek został sam.

Przypominał jednak sobie, że dziecko jeszcze jestem, bo w pół zdania pytał mi się, czy umiem pisać, czytać. No, to czemu nie wezmę sobie książki, nie poczytam, tylko wciąż wystaję tutaj, pod stodołą. On gdyby umiał czytać, pisać, nie zabijałby krów, tylko czytałby. Ale że nie umie, jest, jak jest. Nawet listu do żony nie ma mu kto napisać. Już łatwiej z frontu było, zawsze ktoś tam umiał wśród żołnierzy. Przeszedłeś po ziemiankach, umie tu kto pisać? I zawsze ktoś się znalazł. A zginął, to znalazł się drugi. Nie za darmo, za konserwę, machorkę, stakan wódki, różne ceny były. A był taki, co tylko za medale. Na czort mu te medale, pytaliśmy go. A on, że kiedy będzie wracał, to obwiesi się cały i tak wejdzie do wsi. Za gardło aż ściskało, jak ci list napisał. Albo wiersz. I wszystkie te medale poszły z nim do ziemi. A tu by dał pół krowy, żeby ktoś mu napisał. I nikt nie potrafi. Baba już tam pewnie myśli, że zginął. Wojna się skończyła, a on dotąd nie napisał. O, nogi jednej nie ma, a nawet jej o tej nodze nie napisał. Musi napisać, zanim wróci. Inaczej będzie płacz, że bez nogi wrócił, a nie że żywy wrócił. A zanim by wrócił, wypłakałaby, co tam ma wypłakać. Będą jeszcze jakiś czas gnać te krowy, toby list doszedł. Spokojniejszy by wracał. Ty po rusku nie umiesz? Szkoda. Zresztą choćbyś umiał, to za mały jesteś, żeby list do baby napisać. Baby trzeba znać. Jeszcze do takiego listu wszystkie ze wsi się zlatują i gmerają, gmerają, to trzeba jak do wszystkich napisać, nie tylko do swojej. On kazał swojej, żeby do nauczyciela chodziła, kiedy list od niego przyjdzie, albo do przewodniczącego kołchozu, też potrafi czytać. No, nie tak, jak nauczyciel, ale potrafi. Ale czy chodziła? A pewnie czytała jej ta jędza Kuźmina, a ta z każdego słowa zrobi zaraz nieszczęście. A nie znasz nikogo, kto by po rusku potrafił?

Nie przyznałem się, że ojciec potrafi. Bałem się, że on, frontowy żołnierz, choć bez nogi, nie uwierzy ojcu, że był oficerem. Bo też co to za oficer, leży i w okno tylko przed siebie patrzy czy w sufit nad sobą, do tego chory na serce. Gdyby miał chociaż jakąś szramę po kuli czy po szabli, po bagnecie, mógłby pokazać na dowód. Ale nie miał. Ciało miał chudziutkie, bielutkie, bez najmniejszej skazy, żaden muskuł przez skórę nie przezierał, a tylko kości tę skórę rozpychały na plecach, w ramionach, na piersiach, mył się, to widziałem. Nieraz wstyd mi było za to jego ciało, że takie ledwo trzymające się na nim, ręcznikiem mógłby je zetrzeć z siebie razem z wodą.

Z oficera został mu jedynie pas, kiedyś nawet był z koalicyjką, lecz koalicyjka gdzieś się zapodziała przez lata. Zresztą co to za dowód pas. Miał jeszcze rogatywkę z dużym czarnym daszkiem, otoczonym metalowym obrębem, i z dwoma gwiazdkami. Przymierzałem ją nieraz, to cała głowa mi w nią wchodziła. Prosiłem i jego, żeby też przymierzył, ale nigdy nie chciał. Tłumaczył się, że nie wypada zakładać oficerskiej czapki do zwykłego garnituru, do cywilnej koszuli i krawatu. Spaliła matka tę czapkę pod kuchnią w czasie wojny. Gotowała obiad, kaszę jaglaną ze słoniną, i kazała ojcu pomieszać kopyścią, żeby się nie przypaliła, a sama coś tam przecedzała, gdy wpadł wujek Władek zdyszany, że Niemcy są we wsi i rewizję robią po chałupach. I matka, jakby dając jedynie upust przerażeniu, krzyknęła:

– Matko Święta, a przecież Zygmunta czapka w pokoju wisi!

I pobiegła do pokoju, gdzie ta czapka wisiała na gwoździu nad łóżkiem, a wróciwszy z nią, otworzyła drzwiczki do paleniska i zaczęła tę czapkę wpychać w ogień. Ale czy to ręce tak się jej trzęsły, czy daszek okazał się za sztywny, za szeroki, w każdym razie czapka nie chciała się dać wepchnąć.

– Nie pal mi tej czapki – powiedział ojciec, patrząc, jak się matka z nią szamocze, trochę z żalem, lecz spokojnie, nie przerywając nawet mieszania kaszy.

– Wolę cię mieć żywego niż oficera – wybuchnęła matka. – Zresztą oficerem już i tak nie będziesz.

Ale i wujkowi Władkowi żal się nagle tej czapki zrobiło:

– Szkoda takiej czapki. Po wojnie byłaby jak znalazł.

– Co po wojnie!? – Przypierając czapkę drzwiczkami, matka aż się poderwała z kucek. – Po wojnie będzie nosiło się cywilne. Dosyć już tych wojen!

– Toby się oderwało gwiazdki i byłaby cywilna – powiedział wujek Władek.

– Pewnie – przytaknęła babka, unosząc głowę znad przetaka, w którym przebierała fasolę. – Czy w pole, czy do młócenia przydałaby się. Daszek ma szeroki, to kurz by się w oczy tak nie cisnął ani słońce nie ślepiło.

– A podniszczyłaby się, to do czyszczenia butów jeszcze by się zdała – włączył się do ogólnego żalu za tą czapką dziadek. – Nie do zdarcia taka czapka. A ty wiesz, jaki połysk jest po takim wojskowym suknie? Trzeba by ją tylko gdzieś schować, żeby nie znaleźli.

Ale ogień żarł już tę czapkę, o czym świadczył roznoszący się po izbie swąd gęsich piór, i matka domykając drzwiczki, obwieściła stanowczo:

– Nie będzie ani w pole, ani do młócenia, ani do czyszczenia butów. Jeszcze czego. Oficerskiej czapki wam się zachciało. A nich przyjdą Niemcy i spytają się, czyja to czapka, kto się przyzna, że jego? No, kto? Ty? – Wskazała na wujka Władka. I wujkowi nieswojo się zrobiło, jak wszystkim zresztą.

Zapadło milczenie i słychać było tylko to mieszanie kaszy w garnku przez ojca. Po dobrej chwili odezwał się znowu dziadek:

– A boś niepotrzebnie tak się pospieszyła. W środku wsi jesteśmy, to im zejdzie, zanim do nas przyjdą. A przez ten czas można by ją zakopać.

Wtedy wujek Władek, jakby pod wpływem nagłego olśnienia, wręcz uradowany wyrzucił:

– Najlepiej, tata, jakby ją na strachu na wróble w prosie powiesił. Tak już tłuką to proso, a kapelusza czy kaszkieta przestały się bać. To może by wojskowej czapki się przestraszyły. Niemcy przecież w pole nie pójdą. A jakby nawet poszli, to niech im strach powie, czyją czapkę ma na głowie. – I aż zaśmiał się uradowany, że tak Niemców wykiwał.

Lecz matka jak osa rzuciła się na ten jego śmiech:

– Ale pole twoje, ty głupku! Po polu dojdą, czyją ma strach czapkę. Nie muszą go pytać.

Na co ojciec, który nie lubił, gdy się matka kłóciła, powiedział z tym samym spokojem:

– To może wystarczy już tego mieszania?

I to wszystko, co zostało po nim jako oficerze.

– Muszę jej koniecznie o tej nodze napisać. – Starszina Iwan patrzył wciąż na łąki, gdzie już co wytrwalsze krowy zaczęły się podnosić i chodząc między leżącymi, skubały trawę. Niektóre nawet próbowały porykiwać, jakby sprawdzając swoją zdolność do dalszego marszu do Rosji, a tym samym odżegnując się od swoich leżących bez sił towarzyszek, których droga na tych łąkach się kończyła. Te porykiwania były jeszcze słabe, zachrypnięte, jakby przysypane kurzem dróg. – Ale i ona musi mi odpisać – upuszczał słowa niczym kamyki w staw i patrzył za każdym jak na rozchodzące się po wodzie kręgi. – Szkoda, że nikogo nie znasz. Mówić mówią tu niektórzy, ale pisać nie potrafią. Za cara się uczyli, to i nie dziwota. A tu trzeba by od serca napisać, pocieszyć, że jakoś to będzie. No, bo wyszedłeś z domu na dwóch nogach, a wracasz o jednej, to co z ciebie

za chłop. Nie będziesz tylko w domu siedział i wojnę wspominał. Musisz żyć, pracować, babę czasem wziąć w ramiona, dziecko unieść pod sufit, dźwignąć wór, a nieraz i przytupać w ziemię. Rzeźni u nas nie ma. Wiersz byłby najlepszy. Wiersz by przetłumaczył jej, co tam noga, grunt, że żyjesz, Wania. Niebo się nie zmieniło, ziemia się nie zmieniła, ciągnie żywicą od tajgi. Wracaj. Popłakałaby się, przeczytała dzieciom, poleciała na wieś. Wania wraca! Bez nogi, ale co tam! Ten na froncie, co pisał te wiersze, to jak ci napisał, harmonię tylko brać i śpiewać. Pytał, do żony, matki, narzeczonej? Czasem jakie włosy ma, jakie oczy. A czasem o imię nawet nie zapytał. I jak kule nie biły, to zaraz miałeś wiersz. Przeczytał ci, czy taki chciałeś. Ale kto by chciał inny, kiedy wszystko było. I że nie jest tak źle, i że tęsknisz, i że kiedy wrócisz, wszystko im opowiesz, a co u nich, czy zdrowi? Niech kłaniają się ludziom, ziemi, niebu, drzewom.

Niby do mnie mówił, a jakby do ziemi pod tą jedną stopą i szczudłem mówił, do tych łąk zasłanych krowami, a gdy wypuszczał z ust kłęby dymu, wydawało się, że z tym dymem rozmawia.

Jego słowa obijały się o mnie, bo myślałem cały czas o tym, żeby tak samochód nie przyjechał. No, i kiedyś się zdarzyło, że nie przyjechał. Zmierzch zaczynał już ciemnieć i żołnierze pilnujący krów na łąkach rozpalali pierwsze ogniska, co było zawsze znakiem, że dzień chyli się ku nocy. Starszina Iwan i jego pomocnicy, jak zwykle, zaczęli wycierać narzędzia, pozdejmowali z siebie ceratowe fartuchy, wymyli się, poprzebierali w żołnierskie mundury, potem posiadali przed stodołą, wypatrując choćby obłoczka na drodze, czy samochód nie nadjeżdża. Nie śpiewali. Może dlatego, że starszina Iwan kazał im patrzeć w jedną stronę drogi, a sam patrzył w drugą. Klęli za to jak nigdy. I z tymi klątwami na ustach w końcu ruszyli na kwaterę do miasta.

Ruszyłem wraz z nimi, lecz w pewnej chwili odbiłem, że niby skręcam do domu, a dla upewnienia ich w tym puściłem się pędem. Dobiegłem do ruin browaru i tu kryjąc się za murem, śledziłem, jak szli. Czasem przystawali, oglądając się, czy ten samochód gdzieś tam nie nadjeżdża, z tego czy tamtego końca drogi, bo różnie przyjeżdżał. I pewnie dalej klęli, bo na drodze ani obłoczka. Zaszli za jakiś budynek, znów się pokazali, ale już mocno poszarzali w tym zmierzchu, że prawie cienie z nich zostały, i gdyby nie moje jastrzębie oczy, mógłbym ich w ogóle nie widzieć. W końcu całkiem znikli.

Odczekałem trochę, a choć nie wiedziałem, gdzie mieli tę kwaterę, uznałem, że powinni już do niej dochodzić. Prawie biegiem puściłem się z powrotem ku stodole. Nie zastanawiałem się nigdy przedtem, jak się dostanę do środka. Byłem pewny, że każda z desek jest na tyle ze starości zmurszała, że łatwo puści przy szarpnięciu. Nieraz nawet się dziwiłem, po co zamykają stodołę na kłódkę.

Stodoła jednak, choć z wyglądu stara, okazała się twierdzą. W żadnym miejscu nie dała się naruszyć. Każda deska nieomal szponami trzymała się przybicia, ani jeden gwóźdź nawet nie zatrzeszczał od mojego szarpania. Żałowałem, że nie naszykowałem sobie przedtem siekiery do podważenia, a teraz iść przynosić ją z domu byłoby za późno, mógłbym jeszcze wzbudzić podejrzenie ojca, matki, że gdzież to wybieram się z siekierą na noc.

Ogniska na łąkach coraz gęściej się rozpalały, i tu, i tam, i coraz dalej, i coraz jaskrawiej płonęły. I zamiast gęstniejącego zmierzchu rozwidniało się od tych ognisk, a blask ich dochodził aż pod stodołę. Pokładzione już do snu krowy, za dnia wynędzniałe, zakurzone, pozbawione maści, teraz w tych płomieniach ognisk stawały się podobne do ławicy ryb, zostawionych przez opadającą wodę po wylewie Wisły, i nawet skrzyły się

rybimi łuskami. Niektóre próbowały porykiwać, jakby obwieszczając, że zasypiają żywe, więc i żywe mają prawo się zbudzić, podtrzymując tym samym gotowość pójścia w dalszą drogę do Rosji. Lecz dla innych była to ostatnia noc przed śmiercią. Czasem podniósł się od ogniska jakiś cień żołnierza i przechodził do innego ogniska albo odstępował parę kroków i szczał. Po czym zapadał się z powrotem w łąkę. Bo właściwie wszystko było już zrównane z łąką, żołnierze i krowy, i tylko te płomienie ognisk unosiły się w przestrzeni jak powiewające zwycięsko sztandary, a spod nich zaczął wydostawać się zrazu cichy, potem coraz rozleglejszy śpiew, przepełniony tęsknotą, żalem, aż dziwny przy tych powiewających zwycięsko sztandarach.

Ten śpiew, chociaż wciąż przygaszony, półsenny, ogarniał coraz większą przestrzeń, zajął już do końca łąki, aż po Góry Pieprzowe, i przenosząc się ponad Wisłą za Wisłę, zalewał całą tę rozległą równinę, a nawet miało się wrażenie, że w niebo wstępuje, bo za ciasno mu na ziemi, że nie sami żołnierze śpiewają, ale i ogniska, i krowy, i łąki.

Lubiłem te ich pieśni. Wiele znałem na pamięć. Niektórych nauczyłem się od pomocników starsziny Iwana, gdy śpiewali, czekając na samochód, który nie przyjeżdżał i nie przyjeżdżał. Lecz tę, którą teraz śpiewali na łąkach, słyszałem po raz pierwszy. Spodobała mi się. Zostawiłem więc na chwilę w spokoju stodołę, zwłaszcza że wciąż nie dawałem jej rady, i zwrócony ku tym łąkom i ku tej jasności bijącej od ognisk, próbowałem wyłowić jakieś słowa. Lecz udało mi się jedynie „za tawariszcza Stalina”, reszta ginęła jakby w rozległości tego śpiewu.

Niewiele jeszcze wtedy wiedziałem o tawariszczu Stalinie, prócz tego, że wyzwolił nas od Niemców i że jest największym wodzem świata, a na portrecie, który wisiał na starostwie, miał rozjaśnioną skrywanym

uśmiechem twarz i wąsy. No, i że kochają go żołnierze, bo przecież nie śpiewaliby o nim pieśni ani tym bardziej umierali za niego.

Tak się ta pieśń przyczepiła do mnie, choć zapamiętałem z niej tylko „za tawariszcza Stalina”, że odtamtąd nie mogłem się uwolnić od niej. Siedziałem akurat nad zadaniem o katedrze, które mi pan zadał, a ta pieśń przypływała nagle, wypełniając sobą przestrzeń tej katedry. Albo gdy klęcząc przed łóżkiem, odmawiałem pacierz, nachodziła bez mojej woli na słowa pacierza jakby dalekie echo tych ognisk, krów, żołnierzy, łąk. A czasem czułem przez morzącą mnie senność coś takiego, jakby te słowa „za tawariszcza Stalina” były w całkowitej zgodzie ze słowami pacierza i za mnie, podsypiającego, same do Boga się modliły. A już zwłaszcza kiedy wracałem z miasta, to całe schody od góry do dołu rozbrzmiewały tym moim śpiewaniem, a właściwie tylko tymi słowami „za tawariszcza Stalina”. Czasem nawet wychodziłem na mury zburzonego browaru, gdzie miałem swoje bocianie gniazdo niby na wielkim krążowniku płynącym po bezkresnym oceanie, i śpiewałem choćby pod nosem czy półgłosem, a nieraz na całe Rybitwy.

Zgorszeni sąsiedzi zaczęli się nawet skarżyć matce:

– Pani, co ten pani chłopak tak wciąż śpiewa o tym Stalinie. Niech pani mu nie daje. W krew mu to jeszcze wejdzie i dopiero będzie nieszczęście.

Matka jednak z wyrozumiałością traktowała to moje śpiewanie.

– A wyśpiewa się, wyśpiewa i przestanie. To tak samo jak z płaczem. Płacze się po kimś i płacze, a w końcu się przestaje. A choćbym mu nie dała, to i tak będzie śpiewał. Bo jak coś musi, to musi.

Panny Ponckie, którym się ta moja pieśń wręcz okropna wydawała, jakby brudna i zawszona, bo wszystkie żołnierskie pieśni takie im się wydawały, namawiały mnie, że mnie tang nauczą, żebym tylko przestał o tym Stalinie. Tanga łatwo do ucha wpadają i takie uczuciowe. Ach! Od

tang aż słodko się na duszy robi, że łzy się same do oczu cisną i dusza się z człowieka wyrywa, że chciałoby się gdzieś wyjechać, kogoś spotkać. Mają *Kwiat paproci*, a to ostatnio najmodniejsze tango, czy coś dawniejszego by mi się może spodobało. „Zamieńmy się ustami, ja tobie dam czerwone, rozwarte krzykiem szczęścia, płonące i spragnione”. Piękne, prawda? One w każdym razie nie potrafiłyby żyć bez tang. Mają nawet słowa każdego tanga spisane w zeszycie, więc i słów mogłyby mnie nauczyć, a nawet tańczyć mogłyby mnie nauczyć. Ale matka broniła mnie przed tangami:

– Na tanga, panno Ewelino czy panno Różo, to on jeszcze za mały.

– Ale będzie umiał jak znalazł, gdy dorośnie. A długo nie dorośnie? Ile Piotruś ma teraz lat? Phi, to nawet się pani nie obejrzy. I nie będzie przecież ciągle śpiewał o tym jakimś Stalinie.

Największą jednak przykrość to moje śpiewanie sprawiało ojcu. Obojętny już prawie na wszystko, gdy usłyszał z moich ust „za tawariszcza Stalina”, żachnął się, a z takim wysiłkiem, jakby dźwignął ponad swoje siły ciężar, i jego wypłowiałe od choroby oczy rozbłysły gniewnym blaskiem:

– Nie śpiewaj mi tego! Proszę cię. Nigdy!

Pot mu aż wystąpił na czoło, zbladł, wciągnął raz i drugi głęboko powietrze i zległ od razu na łóżku, a matka w popłochu złapawszy buteleczkę, zaczęła odliczać ileś tam kropelek na łyżkę i czym prędzej podsunęła mu tę łyżkę pod usta.

– Masz, wypij. – A mnie ofuknęła: – Czemu denerwujesz ojca?

Nie bardzo rozumiałem, czym go tak zdenerwowałem. Toteż nie odczułem najmniejszej pokory i wcale żal mi go się nie zrobiło, chociaż matce ręce trzęsły się z pośpiechu, gdy odliczała te kropelki z buteleczki na łyżkę, jak gdyby każda sekunda ważyła na ojca życiu. A nawet postanowiłem sobie w duchu, że mu to jeszcze kiedyś zaśpiewam. Być

może kryła się za tym pogarda wobec jego choroby, że z byle czego blednie, słabnie i musi zaraz kropelki brać, lub może tylko żal, że ta choroba odgradza go coraz bardziej ode mnie niewidzialnym murem, poza który nie mam już wstępu, i jedynie dla pozoru pozostaje jeszcze moim ojcem, jak dla pozoru bierze te kropelki, chodzi do lekarza, patrzy w to okno przed sobą czy sufit nad sobą. I wkrótce nadarzyła się ku temu okazja.

Prowadziłem go znów do lekarza i kiedyśmy się wspinali schodami na wzgórze, już po paru stopniach, jak zwykle, zaczął nadstawać i z coraz większym trudem wciągając powietrze, powiedział, a właściwie wyszeptał:

– Odpocznijmy trochę.

Wsparł się całym sobą o poręcz i ciężko pracował piersiami, a ja spoglądałem to w górę, to w dół schodów, czy ktoś nie nadchodzi. Czułem się bowiem w obowiązku stać na straży tego jego odpoczywania, jakby robił właśnie coś, z czego wstydliwości nie zdawał sobie sprawy. A zwłaszcza w popłoch wprawiała mnie sama myśl, że może ktoś nie z Rybitw, komu droga przypadkiem wypadła po tych schodach, natknie się na nas, a zobaczywszy ojca wspartego bezwładnie o poręcz i łapiącego z trudem powietrze, zacznie wypytywać, czy coś się stało, nastręczać się z pomocą, w najlepszym razie obłoży nas współczującym spojrzeniem. I może żeby zagłuszyć ten popłoch w sobie, zacząłem bezwiednie nucić pod nosem tę piosenkę, a w pewnej chwili prawie samo mi się wyrwało: „za tawariszcza Stalina”.

– Nie śpiewaj mi tego – powiedział głosem wyciszonym przez zmęczenie. – Prosiłem cię.

W pierwszym odruchu chciałem mu się odwzajemnić i powiedzieć:

– To chodźmy już, bo kiedy zajdziemy?

Ale jakoś mnie ta jego zmęczona prośba rozbroiła i zamilkłem. A on może z wdzięczności, że go tak łatwo usłuchałem, zaczął mi opowiadać

o bitwie pod Kannami, bo zawsze mi opowiadał o jakichś bitwach, gdyśmy wspinając się po tych schodach w drodze do lekarza, przystawali na odpoczynek. Podejrzewałem z początku, że te bitwy to tylko sposób na przedłużanie tego odpoczywania, jako że nie dawałem mu zbyt długo odpoczywać i gdy tylko oddech zaczynał mu się uspokajać, ponaglałem, to chodźmy już, bo kiedy zajdziemy?

Inna sprawa, że stawałem się zazwyczaj nieznośny, opryskliwy, ilekroć wypadało mi zaprowadzić go do lekarza, a nieraz nawet chciało mi się ze złości płakać, nie mówiąc już, że zawsze towarzyszyło mi to dojmujące poczucie zawstydzenia, gdy tak noga za nogą wspinaliśmy się po schodach. Co prawda, gdyby nie te moje ponaglenia, bylibyśmy u lekarza najwcześniej na południe, chociaż wychodziliśmy z domu zwykle z rana. Ale może wiedział, że już mu lekarz nie pomoże i traktował te wizyty jako możliwość przejścia się ze mną, w ramach ojcowskich powinności, zamiast spaceru czy do kina, na karuzelę, na strzelnicę, na lody, więc tym bardziej przedłużał te odpoczywania, co parę schodków prosząc:

– Odpocznijmy trochę.

I widocznie uznał, że ten czas odpoczywania najlepiej będzie wypełniać bitwami, bo wiedział, że o bitwach lubię słuchać. No, i te bitwy najskuteczniej gasiły we mnie złość.

Toteż już za progiem, ledwo wyszliśmy z naszej sutereny, nie rozejrzawszy się choćby za pogodą, jakkolwiek już na parę dni przedtem zwykł się martwić, czy pogoda aby nam dopisze, pytał mi się:

– O czym to ja ci ostatni raz opowiadałem? Chyba o bitwie nad Marną, tak? To może dzisiaj opowiem ci... – I już tymi pierwszymi słowami zarzucał sieć na miotającą się złość we mnie, a ja zamiast mu odburknąć, jak to zwykle, odpowiadałem łagodnie:

– Jaką chcesz. Żeby tylko było, kto zwyciężył.

I tak zaczynał się początek każdej bitwy. Już od pierwszych jego o niej słów przenosiłem się z tych schodów, z tego wzgórza, z jego choroby, tych gasnących oczu, bladości, braku powietrza, bezsiły w szczęk broni, wybuchy, tętent koni, jęki, okrzyki, rozkazy. I nie zdarzyło się, abym kiedykolwiek ponaglił go, to chodźmy już, bo kiedy zajdziemy? I nie ze względu na niego, lecz takim ponagleniem, wydawało mi się, bitwa mogłaby się poczuć dotknięta w swojej wielkości i dumie, że jakiś tam szczeniak, prowadzący kiedyś tam ojca do lekarza w jakimś tam mieście, poważył się przerwać o niej opowieść. I nawet kto wie, czy obrażone wojska nie zaczęłyby zwijać szyków, dochodząc do wniosku, że nie ma się dla kogo bić, tracąc raz na zawsze ochotę do bitew. I nie byłoby już bitew, bo bitwa z bitwy wyrasta, a każda jest miarą odniesienia dla następnej bitwy. A przecież tak lubiłem o tych bitwach słuchać, mimo wszystkich podejrzeń, czym te bitwy są w zamyśle ojca, że tymi bitwami wyjednuje sobie tylko u mnie przyzwolenie, abyśmy mogli iść noga za nogą, schodek za schodkiem, co parę schodków przystając. Toteż zwykle sam sobie przerywał, gdy uznał, że przybyło mu na tyle sił, abyśmy mogli ruszyć dalej.

– Chodźmy – rzucał, i to nieraz akurat w hurgocie kopyt nacierającej jazdy czy w rozgorzałym właśnie starciu na bagnety, co sprawiało wrażenie, że i te rzucane prawie niezauważalnie słowa należą do bitwy. Z rozmysłem zresztą dzielił tak zdarzenia, aby mógł się zatrzymać znów po dwóch, trzech schodkach na ulżenie zmęczonemu ciału, skazując mnie przez te dwa, trzy schodki na oczekiwanie, kiedy znów wyrzeknie jak gdyby w ostatnim tchnieniu:

– Odpocznijmy trochę.

Im wyżej wspinaliśmy się, tym coraz częściej musieliśmy odpoczywać i coraz dłuższe stawały się te nasze odpoczynki, bo też coraz trudniej mu

się szło, mimo że próbował przytrzymywać się obiema rękami poręczy. Radziłem, żeby zdjął kapelusz, płaszcz, a lżej mu będzie, poniosę mu, bo kto to widział, w kapeluszu i w gabardynowym płaszczu, gdy na dworze ciepło, lecz nie chciał. Nigdy też nie chciał, żebym wziął go pod rękę.

– Poradzę sobie – mówił. – Nie jest jeszcze ze mną tak źle.

Czas rozciągał się, jakby tych schodów przybywało pod naszymi stopami, lub może tylko przystosowywał się do czasu bitwy, a bitwy nie czasem się mierzy, lecz zwycięstwem lub klęską. Mówi się, co prawda, że jakaś bitwa nie została rozstrzygnięta, lecz takie bitwy nie cieszą się dobrą sławą, a nawet nie bardzo im się wierzy, jakby były jedynie oszustwem opowieści, bo po co tyle krwi wylano, jeśli nie potrafiono sprostać przeznaczeniu?

Nieraz wydawało mi się, że wcale nie idziemy do lekarza, lecz wspinamy się jedynie po tych schodach na wzgórze, aby popatrzeć na jakąś bitwę. Bo te wszystkie bitwy było stąd widać jak na dłoni na tej rozciągającej się przed nami rozległej równinie. I nie tylko same bitwy, lecz także wąwozy, jary, góry, lasy, zagajniki, skąd ruszały na siebie wojska, wszystkie rzeki, rzeczki, rzeczułki, strumyki, ruczaje, którym wypadało akurat płynąć przez te bitwy. Wszystkie twierdze, miasta, wsie, przysiółki, a nawet pojedyncze domy, jakie się w tych bitwach zaplątały, niektóre wznoszące w niebo lamenty, krzyki, inne już opustoszałe, a inne buchające płomieniami, jakkolwiek nie robiło to na bitwach żadnego wrażenia. Zresztą te wąwozy, góry, jary, lasy, rzeki, twierdze, wsie, miasta też nie stały w miejscu, pokorne wobec bitwy i wyznaczonych im ról, lecz jakby wyrwane nagle z wieczystego bezruchu tak samo szły zaciekle na siebie, równiny na wąwozy, góry przeciw rzekom, lasy przeciw miastom, miasta na wsie, twierdze na góry, kłębiąc się razem z bitwą, walcząc na śmierć i życie, zgrzytając, rycząc, rozprzestrzeniając się w szerokość, w wysokość,

że nieraz nieba nad sobą dostawały. A nawet bitwa z bitwą się ścierały, wojska z tymi górami, równinami, lasami, rzekami, miastami, a góry, równiny, lasy, rzeki, miasta z niebem.

I pośród tego wszystkiego my z ojcem w przerwie na kolejny odpoczynek, w drodze do lekarza, z jego chorym sercem, które czasami, miałem wrażenie, jakby niósł na wierzchu, na jakimś łańcuszku uwiązane u szyi, bo prawie było widać, kiedy w nim zamiera, a kiedy zaczyna przyspieszać. Jakby zapominał jednak o tym sercu, zapalał się, podnosił głos, marszczył czoło, brwi, przyoblekał twarz w powagę, a nawet policzki mu różowiały, zwłaszcza gdy zamiast centuriona, konsula, marszałka, cesarza, króla, generała on wydawał wojskom rozkazy. To były jedyne chwile, kiedy mu wierzyłem, że był oficerem. I nie miało znaczenia, że nagle bladł, pot mu czoło rosił i głosem drżącym, postrzępionym przez tę bitwę, szeptał:

– Poczekaj, trochę odsapnę.

Zatrzymywała się wówczas i bitwa, wydawało się, pełna wyrozumiałości dla jego chorego serca. Pokrwawieni żołnierze, zmęczeni dowódcy, spienione konie, dymiące jeszcze armaty, wszystko to zatrzymywało się od tych jego słów, poczekaj, trochę odsapnę. Może ta wyrozumiałość bitew stąd się brała, że opowiadał o nich, jakby w każdej brał udział, a teraz tylko snuł przede mną swoje wciąż żywe wspomnienia, nie omijając najdrobniejszych szczegółów, abym zapamiętał, że nie tylko chorował na serce.

Tak właśnie i o tej bitwie pod Kannami zaczął:

– O czym to ja ci ostatni raz opowiadałem? To może dzisiaj opowiem ci o bitwie pod Kannami między Kartaginą i Rzymem.

A ledwo pokonaliśmy kilka pierwszych schodków, zasapał się, zbladł i powiedział:

– Odpocznijmy trochę.

I nasyciwszy płuca powietrzem, zaczął od kłótni konsulów w obozie rzymskim, jakby był tej kłótni naocznym świadkiem, nieomal słowo w słowo powtarzając, co Emiliusz Paulus zarzucał Terencjuszowi Warronowi, a co Terencjusz Warron Emiliuszowi Paulusowi. Ten temu brak rozwagi, ten temu gnuśność i tchórzostwo. Ten temu, że żołnierzom pałającym gniewem i żądzą walki wytrąca broń z rąk. Ten temu, że przez niepohamowaną zapalczywość i porywczość gotów popchnąć wojsko do klęski, nie bacząc na jej straszliwe skutki dla Rzymu. A nawet kazał zameldować Warronowi, że użyte do wróżby kurczęta nakazują ostrożność, co Warron przyjął z niezadowoleniem, lecz wzbudziło to w nim zarazem obawę przed bogami.

Nieszczęście jednak sprawiło, że w dniu bitwy dowództwo nad wojskiem przypadło Warronowi i ten, nie pytając Paulusa o zdanie, przeprawił wojsko na drugi brzeg Aufidusu, czyli rzeki, i całe wojsko było za Warronem, a przeciw Paulusowi. Ten ostatni, nie pochwalając działań Warrona, poszedł jednak za nim. Nie zapomniał też o słońcu, że świeciło w tym dniu i Rzymianom, i Kartagińczykom jednako z boku. Za to wiatr, zwany Wolturnusem, nieprzyjazny był dla Rzymian, miotając w twarze wojska tumany kurzu i odbierając im widok na przeciwników.

Z samej bitwy niewiele jednak zrozumiałem, bo już od pierwszych starć lekkozbrojnych, a zwłaszcza kiedy lewe skrzydło jazdy kartagińskiej uderzyło na prawe skrzydło jazdy rzymskiej, rozbijając ją i goniąc, i znalazło się na tyłach Rzymian, wszystkie wojska pomieszały mi się, że już nie wiedziałem, które po której stronie walczy. Balearowie, Maurowie, Punijczycy, Numidzi, Iberowie, Gallowie – miałem przed oczyma jedynie krwawe kłębowisko, spowite w tumanach kurzu, rozdzierane krzykami, jękami, kwikiem koni, łomotami mieczów. Do tego ojciec, który

najwyraźniej sprzyjał Hannibalowi, przez cały czas wyrzucał w uniesionym podziwie, Hannibal i Hannibal, jak gdyby bitwa toczyła się dla wyłącznej sławy Hannibala. A nawet wynikało z jego opowieści, że i wojska rzymskie wszystko robią, aby sławę Hannibala wynieść jak najwyżej. Tak samo nie mógł się nachwalić jego obu dowódców, Hazdrubala i Maharbala. Toteż szkoda zrobiło mi się Rzymian i stanąłem po ich stronie. A nawet powiedziałem, może trochę z przekory wobec tak wychwalanego Hannibala, a może wobec samego ojca, że wolałbym być Paulusem. Bo Paulus, już na początku bitwy ciężko ranny od kamienia z procy, mężnie walczył do ostatka, za nic sobie mając śmierć i umierając z własnej woli wśród poległych żołnierzy, których nie chciał opuścić, chociaż trybun ludowy, Gnejusz Lentulus, uciekając, radził i jemu uciekać.

Był akurat poniedziałek, dzień targowy, toteż ciągle ktoś z góry schodził albo wspinał się pod górę, a choć powiedział jedynie dzień dobry i szedł dalej, to tę bitwę nam przerywał, bo mu ojciec musiał przynajmniej uchylić kapelusza. Złościł mnie ten jego kapelusz, wydawało mi się, że uchylając kapelusza, jakby przepraszał za tę bitwę. A niejeden jeszcze ponarzekał na te schody, przystanął, podzielił się z nami, co na targu, po ile za co chcą, za kapustę, kartofle, marchew, buraki, ser, śmietanę, masło, jajka, kury, a po ile było na zeszłym targu, w zeszły poniedziałek, i że w oczach drożeje, to ojciec jeszcze musiał przyznać, że prawda, drożeje, i to akurat gdy piechota rzymska nacierała na zwarte szeregi Gallów i Hiszpanów, a Maharbal wyrzucał akurat Hannibalowi, zwyciężać umiesz, Hannibalu, lecz zwycięstwa nie potrafisz wykorzystać.

Jakiś chłop z półworkiem kartofli na plecach i nie z Rybitw, oparłszy się tym półworkiem na poręczy niedaleko nas, zaczął się przysłuchiwać tej bitwie z wzrastającą ciekawością, a w pewnej chwili nawet wtrącił:

– To gdzież to, panie, tak się bili, na miecze, łuki, dzidy? Karabinów maszynowych nie mieli? Iii, to jaka tam bitwa. A Indiany pewnie. Ony się, panie, dla dziecków aby biją. – I zaczął nas usilnie przekonywać do zalet karabinów maszynowych w wielkich bitwach i małych potyczkach, w natarciu, w obronie, w zasadzkach, ciężkich, lekkich, ręcznych, ze sprzężonymi lufami i przeciwlotniczych, na taśmy, bębny, magazynki, chłodzonych wodą, powietrzem. – Ruskie, panie, przeprawiali się przez Wisłę pod Zawichostem, to ich Niemcy z karabinów maszynowych nasiekli, aż Wisła krwią spływała. Siedzieli sobie w wiklinach na brzegu, a tamci myśleli, że jak walili cały dzień katiuszami, to już Niemców wymietli, i jechali, na czym się dało, łódkami, tratwami, na wrótniach od stodoły. Życie, panie, nic u nich nie znaczy. Nas mnogo, gadali.

Zanosiło się, że będzie nam jeszcze długo opowiadał, bo postawił ten półworek na ziemi i wyciągnąwszy paczkę papierosów z kieszeni, chciał częstować ojca:

– Zapali pan?

Na szczęście ojciec odparł, że musimy już iść. Do widzenia panu. I ruszyliśmy w górę, a tamten jakby z żalem popatrując za nami czy może tylko zaskoczony tym naszym nagłym odejściem, rzucił:

– A pan może nauczyciel?! – Po czym schował papierosy i z niechęcią zarzuciwszy sobie ten półworek na plecy, ruszył w dół.

Kiedy znikł nam z widoku, przystanęliśmy, zwłaszcza że ojcu znów zaczęło brakować powietrza. Lecz tym razem nie odsapnąwszy nawet, zaczął dalej o tej bitwie. O, Hannibal i Hannibal! A nie obeszło go wcale, że ten jego Hannibal dorzyna właśnie resztki armii rzymskiej, zaścielając trupami pole bitwy, tylko jaki to genialny manewr zastosował, po raz pierwszy w dziejach, aż mnie to na dobre zezłościło.

Zresztą od samego początku, gdy pierwszy raz z nie tak jeszcze wyraźnym zachwytem wymienił nazwisko Hannibala, nie mogłem się jakoś do niego przekonać, choć zazwyczaj byłem po stronie zwycięzców. Ale może po tylu już bitwach, jakie mi opowiedział, przyszedł na mnie przesyt zwycięzcami. I tylko przypadkiem wypadło to na Hannibala?

W każdym razie gdy z brzaskiem dnia przekroczył Aufidus i uformował swoje wojska w szyki, mając na lewym skrzydle Hazdrubala, na prawym Maharbala, sam zajmując środek wraz z bratem Margonem, mogłem się łatwo domyślić, że zwyciężył, co nie było takie trudne, jako że ojciec każdy jego krok poprzedzał sławą zwycięzcy. A choć tego zwycięstwa nie dało się już odwrócić, w głębi serca życzyłem mu klęski, a w miarę jak rozbijał rzymskie szeregi, wycinając w pień poddające się zastępy, zapragnąłem jego nagłej śmierci. Oczyma wyobraźni zobaczyłem nawet, jak trafia go w czoło wielki kamień wypuszczony z procy rzymskiego procarza i głowa rozpryskuje mu się wraz z hełmem na kawałki, jak nadlatuje chmura strzał z łuków rzymskich łuczników, które niczym ciernie wbijają się w jego ciało, to znów furkocze oszczep rzucony czyimś silnym ramieniem i grzęźnie w jego piersi. A nawet z przekleństw już umierających, od ich ostatnich westchnień pot mu czoło rosi bomblastymi kroplami, blednie, nie może tchu złapać, rzucają się ku niemu przerażeni żołnierze, wodzu, nie umieraj, zanim oczy twoje nie ujrzą zwycięstwa. Lecz te oczy mętnieją i wali się martwy na ziemię.

Na nieszczęście ojciec, jakby nic się nie stało, znów dał upust swojemu zachwytowi nad Kartagińczykiem:

– O, wielki był wódz Hannibal!

A mnie się prawie samo wyrwało:

– A Stalin jest większy.

Nie spojrzawszy nawet na mnie, powiedział cichym głosem:

– Chodźmy już. I tak dość czasu zmarnowaliśmy.

Światła gdzieniegdzie zapaliły się już w mieście na wzgórzu, a wyglądały jakby odbicia od tych ognisk na łąkach. I tak samo żołnierskie pieśni unoszące się znad tych ognisk roznosiły się po całej równinie, a nawet wspięły się ku miastu, że miało się wrażenie, jakby i miasto śpiewało. A ja wciąż daremnie próbowałem się dostać do wnętrza stodoły. Zgrzany, wściekły, kopałem już bezmyślnie w każdą deskę, która wydawała mi się słabiej przybita czy zbutwiała, tłukłem w nie pięściami, ale żadna nie chciała puścić. Byłem bliski rozpaczy, gdy niespodziewanie we wrótniach stodoły, o których bym nawet nie pomyślał, że mogłyby mnie wpuścić do środka, wiadomo, wrótnie, jeszcze zamknięte na wielką kłódkę, przypadkiem trącona jedna z desek wydała jakiś podejrzany ton. Ostrożnie podważyłem ją za brzeg i ku mojemu zdumieniu dała się przesunąć w bok. Okazało się, że jest u dołu nie przybita, a jedynie zatknięta na ułamanym gwoździu. I tak samo obok druga.

Nasunęło mi to przypuszczenie, że ktoś przede mną musiał nieraz tędy wchodzić do stodoły, bo nie wyglądało to na przypadek, że akurat te dwie deski w całej stodole, i w dodatku we wrótniach, tak zmurszały ze starości. Pomyślałem, że udało mi się odkryć jakieś tajemnicze wejście. Tym bardziej że i u góry każda z tych desek wisiała na obluzowanym gwoździu. Strach mnie jednak zdjął, że może ktoś tu nieoczekiwanie się zjawi, podobnie jak ja korzystając z okazji, że samochód po mięso nie przyjechał. I może będzie to ktoś z Rybitw, bo któż by inny uszykował sobie takie tajemnicze wejście do stodoły. Musiał znać stodołę, no i wiedzieć, że od czasu do czasu samochód po to mięso nie przyjeżdża.

W stodole panował gęsty mrok i aż duszno było od mdławosłodkiego zapachu flaków, krwi, mięsa i krowiego zmęczenia. Nie mogłem się przebić wzrokiem przez ten mrok. Strach mnie ściskał aż gdzieś w dołku.

Wydawało mi się, że stodoła wypełniona jest duchami wszystkich tu zabitych krów, które patrzą z potępieniem na mnie, że przyszedłem jednej z nich ukraść łeb. Ich wielkie, nieme oczy osaczały mnie ze wszystkich stron, świeciły omal, że miałem wrażenie, jakbym się znalazł w wypełnionej gwiazdami przestrzeni.

Może to właśnie było przyczyną, że w pewnej chwili straciłem równowagę, obsuwając się w coś grząskiego, oślizłego, śmierdzącego. Była to góra flaków, które pomocnicy wyrzucali z brzuchów krów do sąsieka. Nie miałem się o co oprzeć ani czego złapać. A jeszcze ruchy, jakie we własnej obronie próbowałem wykonywać, sprawiały, że oplatałem się w zwoje tych flaków.

W końcu namacałem jakiś łeb tuż obok i dzięki niemu wygrzebałem się. Już nie wypuściłem go z rąk. Złapałem za rogi i aż się ugiąłem, bo nie przypuszczałem, że jest taki ciężki. Dotargałem go jednak do dziury, przetoczyłem na zewnątrz, potem sam wylazłem, wciskając za sobą deski na gwoździe, tak jak były przedtem.

Dopiero teraz poczułem, że cały śmierdzę i lepię się. Martwiło mnie jednak bardziej, jak ten łeb zaniosę do domu. Musiałem go sobie założyć na ramię, bo w rękach nie dałbym przecież rady. Lecz nie tak łatwo było go na ramię wydźwignąć. Podtoczyłem go po ścianie stodoły w górę i w ten sposób jakoś mi się udało. Gibał mną na wszystkie strony, lecz trzymałem go mocno za rogi. Dałem już właśnie pierwszy krok w stronę domu, gdy w tej samej chwili wyrósł przede mną z ciemności starszina Iwan.

Patrzył na mnie w milczeniu i na ile mogłem wyczytać z jego rozmazanej w wieczorze twarzy, wydawał się być bardziej zakłopotany niż triumfujący, że mnie przyłapał. Staliśmy dobrą chwilę w tym milczącym zakłopotaniu, on spoglądając to na mnie, to na łąki i ogniska, to w niebo, jakby wydłubywał jakąś myśl z głowy, ja z tym krowim łbem na ramieniu

w oczekiwaniu jego wyroku. Być może liczył, że coś pierwszy powiem, a tym samym pomogę i jemu coś powiedzieć. Więc myśląc, co by tu powiedzieć, chciałem już powiedzieć, że znam takie jedne, panny Ponckie, chce, to go mogę do nich zaprowadzić. Lecz nieoczekiwanie dla samego siebie powiedziałem:

– Wiem, kto panu może list napisać. Mój ojciec. Był w Rosji sporo lat.

Lecz chyba w jeszcze większe zakłopotanie go tym wprawiłem, bo zapatrzył się w niebo, zapatrzył się na łąki rozjaśnione w zapadających ciemnościach płonącymi ogniskami, a przez chwilę jakby nawet się zasłuchał w płynącą stamtąd żołnierską pieśń.

– Możemy zaraz iść – powiedziałem.

– A nie późno będzie? – powiedział wciąż z tym samym zakłopotaniem.

– Nie – gorączkowo zaprzeczyłem, czując, że jestem uratowany.

Ojciec leżał już w łóżku i wytrzeszczył tylko na nas oczy, gdy stanęliśmy w progu, ja na przedzie z tym krowim łbem na ramieniu, starszina Iwan za mną, jedną nogą jeszcze w sieni. Matka chyba nawet go nie zauważyła, bo załamując ręce, wyrzuciła ze zgrozą:

– Matko Święta, jak ty, chłopak, wyglądasz?! Gdzieś się tak unurzał?! A śmierdzisz! Chryste Panie! Co to za łeb?

– Nam łby niepotrzebne – uprzedził mnie starszina Iwan.

– Nigdy go chyba już nie zrozumiem, chociaż to mój syn – gorzko westchnął ojciec.

– Tata – powiedziałem – pan starszina przyszedł, żebyś mu list do żony napisał. Napiszesz, prawda?

I wtedy matka, nagle ostygła ze złości, rzekła w stronę starszyny Iwana:

– Proszę, niech pan wejdzie. – I podsunęła mu krzesełko.

– Malczik mówił, że ty umiesz po rusku? – zwrócił się do ojca.

– Jak po polsku – wyręczyła ojca matka. – Nawet bez różnicy mu. O, był w Rosji dużo lat. I w waszej armii służył. Za cara. Potem przeszedł do polskiej. A charakter ma, że drukowane nie jest tak wyraźne.

Ojciec wciąż patrzył na mnie stojącego z tym krowim łbem na ramieniu i wciąż jakby nie mógł czegoś zrozumieć. Więc starszina Iwan znów spytał:

– No, jak, napiszesz?

– Pan starszina jest, tata, z tej stodoły, gdzie niemieckie krowy biją, co idą do Rosji – powiedziałem. – A jego żona myśli, że już nie żyje. Napisz mu, tata.

I wtedy starszina Iwan, jakby chcąc zachęcić ojca, powiedział:

– Ja tobie dam medal.

Na co matka, uprzedzając ojca, żeby czasem nie zgodził się na ten medal, powiedziała:

– A na co mu medal? Medali to on miał. O, lepiej żeby pan kawałek mięsa przyniósł. Zrobiłabym bitek czy ugotowałabym. Mój Boże, tak dawno nie jedliśmy mięsa.

2
Towarzysz z powiatu

– No i co tu z tobą zrobić? Co tu z tobą zrobić? – powtórzył po raz któryś wciąż z tym samym zatroskaniem w głosie, a zarazem jakby z najgłębszej głębi namysłu.

Siedział na katedrze, a ja poniżej, w pierwszej ławce. Byliśmy tylko obaj w klasie, bo mi kazał zostać po lekcjach, że chce ze mną pogadać o tym wczorajszym zebraniu. Z rzadka jednak rzucał wzrokiem w dół, na mnie, przeważnie wodził grubymi okularami po rzędach pustych ławek, podbębniając sobie od czasu do czasu palcami po blacie katedry lub na przemian poprawiając okulary na nosie. Może to te jego grube okulary sprawiały, że wydawał się równie bezradny, co na tym wczorajszym zebraniu wobec prawie całej szkoły, mimo że miał naprzeciw tylko mnie, i to w pustej klasie.

Bo prawie cała szkoła przyszła na to zebranie. Sala gimnastyczna, poszerzona z tej okazji o korytarz, na co dzień oddzielony przenośnym przepierzeniem, nabita była po brzegi. Ci, dla których nie starczyło miejsc w ciasno ustawionych ławkach, tłoczyli się, stojąc wokół ścian, a na końcu sali, tuż pod drabinkami gimnastycznymi, dosłownie palca by nie wetknął. Niektórzy siedzieli nawet na podłodze w wąskim przesmyku, oddzielającym scenę od pierwszego rzędu ławek, a już w otwartych na oścież szerokoskrzydłych drzwiach wejściowych kotłowało się jak u wylotu tunelu. Tym bardziej że z głębokości schodów bez przerwy napierali ci, którzy mieli nadzieję przebić się na salę, chociaż drzwi murowała coraz

gęściejsza ciżba. Sala gimnastyczna mieściła się na piętrze, więc ten napór szedł od samego parteru.

Wyszedłem na scenę jako ostatni, co było z nim przedtem umówione. Sala wydawała się doszczętnie znudzona, zwłaszcza że to znudzenie narastało już od prezentacji pierwszego kandydata, i wszyscy jakby tylko czekali, żeby się to jak najprędzej skończyło i zaczęły się wybory. Powiedziałem tylko, urodziłem się, gdzie, kiedy, gdy zgodnie z obietnicą powstał zza prezydialnego stolika i niby przerywając mi, pewnym siebie głosem powiedział:

– Koleżanki i koledzy! Znamy przecież wszyscy Piotra! Dobry uczeń, lubiany kolega! Proponuję, niech nie mówi nam swojego życiorysu! I byśmy przystąpili od razu do wyborów!

Wyszczerzył już zęby w nienaturalnym uśmiechu, jakby miał na ustach, dziękuję koleżankom i kolegom, gdy nieoczekiwanie tą znudzoną salą coś nagle poruszyło i tu, i ówdzie odezwały się najpierw pojedyncze głosy:

– A dlaczego ma nie mówić?! Wszyscy to wszyscy! Niech mówi!

Tych głosów zaczęło gwałtownie przybywać i już ze wszystkich stron dopominano się:

– Niech mówi! Niech mówi!

Coś wyraźnie pękło w tej znudzonej dotąd sali, bo po chwili już niemal chóralnie niosło się:

– Niech mówi! Niech mówi!

Zerwał się od prezydialnego stolika, wybiegł przede mnie aż na sam brzeg sceny i zaperzony próbował przekrzykiwać salę:

– Koleżanki i koledzy! Uspokójcie się! Koleżanki i koledzy! Tak nie możemy prowadzić zebrania!

Miałem jednak wrażenie, że jego głos ledwie początkowych rzędów ławek sięga. A nawet że jest spychany ponownie na scenę przez

wybuchającą z każdym jego słowem wrzawę, a kto wie, czy nie z powrotem w jego usta. Prawda, nie miał donośnego głosu, jakiś taki piskliwy, dziewczęcy i z lekka przez nos. Toteż zwykle na zebraniach, kiedy przewodniczył, spod ścian, a zwłaszcza spod drabinek gimnastycznych, wciąż pokrzykiwano: głośniej! A właśnie spod drabinek gimnastycznych szła teraz największa wrzawa:

– Niech mówi! Niech mówi!

Niektórzy wspinali się po dwa, trzy szczeble na te drabinki, żeby ich jeszcze głośniej było słychać, niektórzy wdrapywali się na trapezy, konie, zsunięte tam, w róg sali, na czas zebrania. A Gienek Struś, najlepszy w szkole we wspinaniu się na linie, odwinąwszy nagle z drążka jedną z lin zwisających z sufitu, paroma kocimi ruchami wzniósł się ponad salę i krzyknął:

– A co on lepszy od innych?! Jest równość czy nie?!

– Niech mówi! Niech mówi! – wsparła go w zgodnym wybuchu sala.

– Wy tam zejdźcie z drążków. Wy tam z trapezów!... Wy tam!... – Czerwony na twarzy jak jego czerwony krawat przy zielonej koszuli, bo oto po raz pierwszy sala odmówiła mu posłuszeństwa, wymachiwał bezradnie rękami, wskazując to tych, to tamtych. Lecz jak piskorze umykali mu spod tych rąk, bo ledwo wskazał Gienka Strusia, ty tam na linie, a Gienek już oberwał się z liny i znikł gdzieś w tłumie. Tę jego bezradność jeszcze bardziej podkreślały grube okulary, toteż przypominał ptaka z poprzetrącanymi skrzydłami, który chciałby wzbić się, a nie może. Żal mi się go nawet zrobiło, bo w tej walce z rozkrzyczaną salą wydawał się przez wszystkich opuszczony, zwłaszcza że i na mnie nie mógł liczyć.

– Koleżanki i koledzy!... Koleżanki i koledzy! – już niemal błagalnie popiskiwał tym swoim dziewczęcym głosem, wymachując wciąż rękami. Nie bronił mnie już, chodziło mu tylko o przywrócenie spokoju na sali.

W pewnej chwili zwrócił w moją stronę głowę i najwyraźniej zza tych jego grubych okularów błysnęła rozpacz. Te okulary zdawały się mnie prosić o przebaczenie, no, widzisz, sam widzisz, nic nie poradzę. Słyszysz, jak krzyczą? Może powiedz im coś jeszcze.

Lecz nic nie przychodziło mi do głowy, prócz tego, co już powiedziałem. I tak to z trudem wydusiłem z siebie, jakby przemagając jakąś zaporę. Ale oni chcieli więcej, chcieli wszystko, chcieli ponad moją miarę, a może także ponad miarę samych siebie. Chcieli może wręcz czegoś niemożliwego, bo nie mojego życiorysu tylko, tego byłem pewny. Życiorysów się co dopiero nasłuchali, gdy inni występowali przede mną. Tym bardziej że jeden po drugim opowiadali te życiorysy bez najmniejszych oporów, a niektórzy barwnie i ze szczegółami. Tak że gdy Bolek Stępień zaczął o swoim ojcu, że był przed wojną komunistą, spod drabinek gimnastycznych ktoś krzyknął:

– Dosyć! Następny!

Coś się jednak we mnie zacięło, odbierając mi nawet pewność, że to, co przed chwilą powiedziałem, dotyczy mnie. Jakby wszystkie słowa mnie opuściły, a bez słów nic się nie wie o sobie.

Chociaż czy musiały mnie opuszczać? Niewiele jeszcze było wtedy we mnie słów, może właśnie tyle, że się urodziłem, gdzie, kiedy. Słowa przecież rosną dopiero w człowieku razem z nim. Wytapiają się jak z rudy z jego trosk, udręk, cierpień, łez. Nikt nie otrzymuje ich w darze tylko dlatego, że się urodził, gdzie, kiedy. Ceną słów jest nasz los.

– Urodziłeś się, gdzie, kiedy, w porządku. Ale mogłeś im jeszcze coś powiedzieć. – Spojrzał na mnie z wyrzutem spoza tych grubych okularów. – A w ogóle to szkoda, że zszedłeś ze sceny. – I jakby mocniej zabębnił palcami po blacie katedry. – Byliby cię wybrali. Na pewno. Czasami tylko coś się z nimi takiego dzieje. Nie masz znów tak dużo tego życiorysu, to

mogłeś to czy tamto. Tu i tak nikt, bracie, prawdy nie mówi. Myślisz, że nie wiemy? Ci ze wsi zawsze obniżają w życiorysach hektary. A miastowi z ojcami kręcą. Z ojcami zresztą, żeby prawdę powiedzieć, wszyscy mają teraz kłopoty. Mało który pasuje, jakby się dobrze przyjrzeć. Ale ty przecież nie masz ojca, to i nie musielibyśmy sprawdzać. W zmarłych się tak nie wnika.

Znów zabębnił palcami po blacie katedry, zawiesił wzrok w oknie, po czym spojrzał krótko, z wahaniem w dół, na mnie, jakby w naszłym go właśnie przypływie szczerości miał mi zamiar coś wyznać, lecz zaraz podniósł te okulary na pustą klasę i z zawodem w głosie ciągnął:

– Myślałem, będziesz w samorządzie szkolnym, to może jakoś da ci się wymazać tę krechę z mojego zeszytu. I tak masz szczęście, że cię wpisałem w rubrykę: postawa niezdecydowana. Bo zarząd chciał, żeby cię wpisać: reakcyjna. Uratowało cię, żeś zdolny. Potrzeba nam trochę zdolnych. No, i młodych trzeba wychowywać. To i z ciebie mogą być jeszcze ludzie. Młodzi to przyszłe kadry. Bo ze starych nic się już nie da zrobić. Szmelc. Dlatego jest, jak jest. Czasy nowe, a wszystko stare. I jeszcze wszędzie wróg. To musimy być czujni. Przyjdzie po maturze na moje miejsce ktoś inny, to jak nic przeniesie cię do rubryki: reakcyjna. A z taką opinią nie masz, bracie, co marzyć o studiach. Ma się rozumieć, gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Ale wiór wiórowi też nierówny. To i szkoda by cię było. – Ściągnął tę bębniącą po blacie katedry rękę i położył ją na drugiej ręce. Spojrzał znów przez chwilę w okno. – Myślałem, że się na tych urodzinach Stalina jakoś to załatwi. – Nagle rzucił tymi grubymi okularami w dół, na mnie: – Dali wam przecież *Notatniki agitatora*. Tam było wszystko napisane. Musiałeś swoimi słowami? Na swoich słowach niejeden źle wyszedł. Za zdolnym też nie warto być. Kto ci, bracie, mówi teraz swoimi

słowami? Może tam kiedyś, dawniej. A zresztą i tak się wszystkich słów uczymy, to trzeba się uczyć od razu słusznych. A miałeś taką szansę.

Tak samo kazał mi wtedy zostać po lekcjach, że ma do mnie ważną sprawę. Nie siadł na katedrze, lecz obok mnie, przyjaźnie, w ławce, i zaczął od tego, że zbliża się święto całego postępowego świata, siedemdziesiąta rocznica urodzin towarzysza Stalina.

– Ty wiesz, co to będzie? – I popatrzył mi tymi grubymi okularami z przejęciem w oczy.

Dla uczczenia tych urodzin organizacja postanowiła wysłać siedemdziesięciu prelegentów w teren. Obeślą wszystkie fabryki, urzędy, miasteczka, wsie, a nawet przysiółki.

– Ty wiesz, co to będzie? – Spojrzał znów z przejęciem na mnie spoza tych grubych okularów.

Już zgłosili to w komitecie partii i pochwalili ich. Co prawda, jestem niezrzeszony, ale to i lepiej dla mnie. Dam nie tylko dobry przykład innym niezrzeszonym, ale i potwierdzę, że cały naród czci siedemdziesięciolecie towarzysza Stalina. Czy się zgadzam? Radzi mi, żebym się zgodził. Nie tylko wymaże mi tę krechę, ale kto wie, może mnie przepisze do rubryki: pozytywna. A wiesz, co to znaczy? Dobre świadectwo z nauki, owszem, ważne. Ale najważniejsza jest postawa. Bo jak kto nawet zdolny, a wróg, to co nam z niego? Będziesz szedł na studia, musisz mieć naszą opinię. Bez tego nie masz się co wybierać. Stypendium, też nasza opinia najważniejsza. I w ogóle. No, jak? Przejdziemy przedtem krótkie przeszkolenie w komitecie, dadzą nam materiały, instrukcje. Nie muszę się o nic martwić.

Uścisnął mi rękę. Wiedziałem, że się zgodzisz. Takiemu wyróżnieniu nikt by się nie oparł. Chociaż my nie każdego chcemy. Wybieramy najlepszych. Jak ktoś nawet jest niezdecydowany, to wiemy, że się kiedyś zdecyduje. Trzeba do każdego mieć inne podejście. To od razu cię zapiszę.

Otworzył zeszyt, zaczął przewracać kartki. Damy cię na Włostów, do cukrowni. Będziesz mógł się sprawdzić przed klasą robotniczą. Jest tam zwarta załoga. Co roku, bracie, podnoszą wskaźniki. Widziałeś ich na pierwszego maja w pochodzie. Już nieśli transparent „Czcimy siedemdziesięciolecie urodzin towarzysza Stalina zwiększoną wydajnością cukru z kwintala”. Zawsze są pierwsi. We wszystkim pierwsi. I największy procent jest w partii. Chluba powiatu. Sprawdzić się, bracie, przed taką załogą to nie byle co. Towarzysz Stalin ciągle powtarza, że trzeba nam się uczyć od klasy robotniczej. I będzie, jakby sam towarzysz Stalin darował ci, że nie chciałeś nieść jego portretu w pochodzie.

Szkolenie, któreśmy mieli przejść, ograniczyło się do tego, że w ów urodzinowy dzień zebrali nas wszystkich siedemdziesięciu w komitecie powiatowym partii, gdzie jakiś prelegent przeczytał nam *Notatnik agitatora* z obszernym życiorysem Stalina. Żeby jednak zrobić na nas wrażenie, że mówi z pamięci, od czasu do czasu wtrącał coś od siebie w rodzaju, więc widzicie, towarzysze – to towarzysze nieoczekiwanie mi nawet schlebiało – więc widzicie, towarzysze, jakiej to wymagało dalekowzroczności, jakiej zdolności przewidywania, już w tym tylko przejawia się geniusz towarzysza Stalina.

Potem każdemu wręczono taki sam *Notatnik agitatora* wraz z papierową torebką, w której był kawałek kiełbasy i dwie kromki chleba. Kazano się też zgłaszać po czerwone krawaty w końcu korytarza, gdzie stała wielka skrzynia z tymi krawatami, każdy bowiem musiał być obowiązkowo w czerwonym krawacie w tym uroczystym dniu.

Autobus do Włostowa odchodził o szesnastej, a szkolenie skończyło się około południa, tak że miałem jeszcze sporo czasu. Wróciłem do domu, tym bardziej że miałem bliziutko, komitet mieścił się w dolnym rogu Rynku, jak się zaczynały schody na Rybitwy, to aby tylko po schodach w dół.

Chciałem jeszcze przeczytać ten *Notatnik agitatora*, popodkreślać co ważniejsze zdania, może nawet niektóre wkuć na pamięć, no, i w ogóle jakoś się ogarnąć przed wyjazdem.

Mimo że święta Bożego Narodzenia były tuż za pasem, matka pojechała na handel na wsie z proszkami do pieczenia, z zapachami, goździkami, herbatą, cukrem waniliowym. Dostała nawet pokątnie od jednej znajomej w sklepie trochę rodzynków, migdałów. Cieszyła się, że na tych rodzynkach, migdałach najwięcej zarobi, bo kiedy tam, na wsiach, widzieli rodzynki, migdały, chyba jeszcze przed wojną, to może mi za to jakieś spodnie kupi, może palto da się do przeróbki. Ma się rozumieć, powiedziałem jej, że wybieram się na te urodziny Stalina. Przyjęła to z wyrozumiałością:

– A pewnie, że jedź, synu, co ci szkodzi. Miałbyś się potem nie dostać na studia. Co masz powiedzieć, powiesz, a wierzyć nie musisz. Może zresztą nie taki zły ten Stalin, jak o nim mówią. Ludzie i o świętych wiedzą, co powiedzieć.

Spodnie miałem rzeczywiście już mocno zniszczone, poprzecierane, tak że wciąż je matka to tu, to tam cerowała. Uprasowałem je na mokro w kant, a kanty przed prasowaniem nasączyłem osłodzoną wodą, żeby lepiej trzymały. Ale nie na wiele to się zdało przy takiej jesiennej pogodzie, raz dwa zrobiły się z nich rury. Deszcz ani przez chwilę nie przestawał padać, wiatr zacinał po twarzy, spychał, a po niebie bez przerwy przewalały się ciemne skołtunione chmury. Ręce mi grabiały, bo nie miałem rękawiczek, w butach też zrobiło mi się zaraz mokro, bo podeszwy były już przetarte, a nie było za co podzelować. A już palto, pożal się Boże, za szerokie w ramionach, za długie, prawie że do kostek, szedłem, to poły majtały mi się wokół nóg, wskutek czego miałem zawsze u dołu obryzgane. W dodatku kieszenie, naszyte na wierzchu, znajdowały się poniżej bioder, a za długie

rękawy zakrywały mi ręce aż za końce palców. Dostałem to palto od wujka Stefana, po nim, a wujek Stefan był wysoki jak topola, barczysty i ile przecież starszy ode mnie.

Zacząłem właśnie chodzić do gimnazjum i wysłała mnie matka, żeby iść się im na wieś pochwalić, no, a przy okazji może coś dadzą, mąki, kaszy czy kawałek słoniny, choć i u nich się nie przelewało, z wojny jeszcze się nie podźwignęli, krowę mieli wciąż jedną i cielę. Kur, kaczek, gęsi były u nich zawsze chmary, a ledwo kilka dostrzegłem w obejściu. Ze spalonej stodoły dopiero co zgliszcza uprzątnięte i wujenka Jadwinia stawiała akurat na stole czubatą michę placków kartoflanych. Nawet stół mieli zbity z jakichś starych, nieoheblowanych desek, z zardzewiałymi śladami po gwoździach. O, Piotruś, jak to dobrze, że trafiłeś na obiad, zjesz z nami. Lubisz placki kartoflane?

A ledwo siadłem do tych placków, całą prawie rodziną zasypali mnie pytaniami, jak nam się żyje bez ojca teraz, jak z nauką, z czym matka na handel jeździ, jakich mamy sąsiadów, czy kolegów mam, a może już pannę, aż mi kęsy placków więzły w gardle od odpowiadania. I dopiero dziadek wziął mnie w obronę:

– A dejcieże mu zjeść, bo się jeszcze udławi. – Po czym zapytał: – A palto na zimę jakie masz?

I wtedy wujenka Jadwinia jakby sobie nagle przypomniała:

– Stefuś, a może by mu to twoje, przedwojenne, dać. Nie chodzisz w nim, tyle co tam na stróżę.

– Za duże – szacując mnie z góry w dół, orzekł wujek Stefan.

– Za duże, to przynajmniej tak raz dwa nie wyrośnie – odparła wujenka Jadwinia, wyciągając z kąta, zza zasłony, bo nawet i szafy nie mieli, to palto i każąc mi przymierzyć.

– Może trochę – powiedziała, kiedy przymierzyłem. – Ale kto tam teraz patrzy, duże, małe, aby było. O, weź sobie, Piotruniu, i chodź. Niech ci będzie na zdrowie.

Prosiłem nieraz matkę, żeby może przerobić, bo prawie do ziemi dostawało. A za co? Ty wiesz, ile krawiec by wziął? Jeszcze trochę, a podrośniesz i nie będzie za duże. Do wujka Stefanaś podobny, to taki sam będziesz wysoki. O, nawet takie same włosy masz jak on. Ale rosłem, a palto wciąż było za duże.

– Bo taka moda była przedwojenna – powiedziała kiedyś matka, gdy ją znowu zagadnąłem, żeby może przerobić. – Nie to, co dzisiaj, kościubki. Zakrywało wszystko. O, rośnij, a dorośniesz. Rok, dwa i będzie w sam raz.

Jedynie bluzę miałem w sam raz, z amerykańskich darów, nie podniszczoną za bardzo i widocznie z jakiegoś akurat na moją miarę żołnierza.

Skrzynia pełna była tych czerwonych krawatów. Chociaż na pierwszy rzut oka wyglądało, że to nie krawaty, lecz jakaś brudnoczerwona miazga. Wymiętoszone, skłębione, poplątane jak flaki, że siłą trzeba było je wyciągać z tej plątaniny. A jeszcze ten, co je wydawał, patrzył na nas spode łba i każdego zapisywał, nie tylko imię, nazwisko, ale data, miejsce urodzenia, imiona rodziców, pochodzenie, przynależność, z której szkoły, klasy, kto jest wychowawcą. I z podejrzliwością pytał się każdego, czy potrafi wiązać. I każdy mówił, że potrafi. Wstyd mi więc było przyznać się, że nie potrafię, więc też kiwnąłem głową, że potrafię. Myślałem, że jakoś w domu sobie poradzę.

Stojąc przed lustrem, przymierzyłem ten krawat do szyi i nawet spodobałem się w nim sobie. Zwłaszcza przy zielonej bluzie jego czerwień jakby podświetlała moją bladą twarz. A co najdziwniejsze, w tym czerwonym podświetleniu dojrzałem po raz pierwszy z osobna swoją brodę

z dołkiem pośrodku, swoje usta nie za duże, swój nos wąski, prosty, swoje oczy niebieskie, rzęsy, brwi nad nimi, czoło. I w ogóle odczułem coś takiego, że to ja. Nawet wyobraziłem sobie przez chwilę, że oto stoję na trybunie, a przede mną przeciąga niekończący się, kolorowy pochód. Niosą moje portrety, pozdrawiają mnie lasem wyciągniętych rąk, skandują moje imię, rzucają kwiaty w moją stronę, a cukrownia, do której miałem jechać, niesie przez całą szerokość ulicy czerwony transparent z białym napisem, mówiącym o zwiększonej wydajności cukru z kwintala na moją cześć.

Wszystko to jednak opuściło mnie nagle po kilku nieudanych próbach zawiązania krawatu. Aż mnie w końcu taka złość wzięła na swoją bezsilność, że porwałbym ten krawat na strzępy, wdeptał go w ziemię, do ognia wrzucił, wszystko jedno co, aby mu się odwzajemnić. I wcale mnie nie przerażało, że to przecież nie jest zwykły krawat, służący do ozdobnego wypełnienia pustej przestrzeni pod szyją, lecz krawat symbol, krawat słuszność, krawat równość, sprawiedliwość, braterstwo, krew milionów, którzy oddali życie za lepszy świat. A w lepszy świat przecież wierzyłem, bo któż nie wierzy, zwłaszcza gdy ma się tak niewiele lat.

Gdyby chociaż matka była, może by mi pomogła. Patrzyła przecież przez całe życie, jak ojciec wiąże każdego dnia, bo nie wyszedł nigdy bez krawatu. Nawet gdy go do szpitala ten ostatni raz pan Jaskóła zawoził, a tak był słaby, że musiała mu matka sama skarpetki wciągnąć, spodnie, buty obuć, sznurówki zawiązać, nawet szelki na ramiona założyć, a w rękawy koszuli, potem marynarki, brała jego ręce jak martwe i wpychała, o krawacie nie zapomniał. Kazał sobie podać najładniejszy, granatowy w białe grochy, i podtrzymywany przez matkę, trzęsącymi się rękami wiązał ten krawat i wiązał, nieczuły na jej prośby, żeby zostawił, bo po cóż mu krawat w szpitalu.

Przyszło mi do głowy, żeby pójść do kogoś z sąsiadów poprosić o zawiązanie. Do panien Ponckich nie chciałem, jeszcze by się zdziwiły, czerwony? Mamy przecież tyle przepięknych krawatów, proszę, niech pan Piotr sobie któryś wybierze. Może ten w paski albo ten gładki, o, ten, w którym pan Piotr był wtedy na zabawie. Zresztą cisza panowała na suficie, nie słychać było choćby najdelikatniejszego stąpnięcia ani też żadne echo tanga nie dochodziło znad piwnicy.

Najbliżej nas mieszkał Kaczmarski, zaraz za zburzonym browarem, choć nigdy się do Kaczmarskich po nic nie chodziło, mówiło się, że nieużyci ludzie, a sam Kaczmarski ciemny typ, nigdzie nie pracuje i tylko wciąż za gołębiami w niebo patrzy. Stał właśnie pośrodku błotnistego podwórka, obudowanego różnymi komórkami, chlewikami, klatkami, i patrzył na krążące pod ciemną, wielką chmurą stado gołębi, wymachując obiema rękami, jakby gdzieś tam i on wśród tego stada latał.

– Panie Kaczmarski, zawiąże mi pan krawat?

– Dawaj – rzucił z wyraźnym niezadowoleniem, jakby przeze mnie musiał sfrunąć na ziemię. – Co, czerwony? – Twarz mu się ścięła. – O, nie. Nigdy. Pół roku mnie te gangreny trzymały na Zamku, w baszcie. Do tej pory na to oko gorzej widzę, tak mi jeden skurwiel przyłożył. I za co? Za nic. Że złapali pocztowego gołębia z listem? Ale to nie był mój. Nie mam pocztowych. Przynieś inny.

– Kiedy nie może być inny, musi być czerwony – powiedziałem.

– To ciebie też przekabacili? Ojciec był porządny, matka zwija się, jak może, a z ciebie widać będzie taka sama gangrena. Nie udało im się starych przekabacić, to się wzięli za młodych. Najpierw czerwony krawat, potem cię zapiszą, a potem każą ci donosić. Od rzemyczka do koniczka. A może już donosisz, co? – I w tej samej chwili niemal rzucił się z wściekłością na mnie: – Wynoś się! Szpicel, cholera! – Aż mnie odrzuciło parę kroków do

tyłu. – Już z mojego podwórka! I żebyś mi się więcej na oczy nie pokazywał!

Zastanawiałem się, gdzie tu teraz pójść, gdy nieoczekiwanie pojawił się na drodze Funio Salarucha, wracał skądś czy z domu wyszedł. Dwóch ich było braci Salaruchów i matka. Starszy, Celestyn, urzędnikiem był w magistracie, a młodszy, Ferdynand albo, jak mówiono, Funio, nigdzie nie pracował, tylko pił. Chwiał się na nogach, ale pomyślałem, może nie jest tak pijany, żeby mi krawatu nie zawiązać.

– Co, kupiłeś se? – Łypnął na mnie rozmąconym okiem.

– Nie, dali nam.

– To nie mogli dać wam od razu zawiązanych? Teraz są takie na gumce. Masz na stałe zawiązany. Wkładasz, zdejmujesz i nie musisz się pieprzyć. I muszki takie są. Muszki mogliby wam dać. Muszka nawet ładniejsza czerwona. Żenisz się czy jakieś święto?

– Święto.

– To musieli wam i po pół litra dać. Wypilibyśmy i miałbyś zawiązany. – Znów łypnął na mnie okiem, ale już rozanielonym nadzieją na tę wódkę. – Matka ma w domu kiszone ogórki, pogadalibyśmy. No, jak?

Na szczęście w tej samej chwili dostrzegłem od strony schodów wracającą z miasta, objuczoną siatkami policjantową Bazylukową. Podbiegłem do niej, chcąc uciec od Funia, który z rozżaleniem wołał za mną:

– Ty, nie uciekaj! Ty, nie uciekaj! Spuszczę ci na ćwiartkę!

Nie spytałem jej nawet, czy potrafi wiązać krawaty, tylko od razu najprzymilniej, jak umiałem, zacząłem ją prosić, wmawiać jej, że na pewno potrafi.

– A bo ja wiem. A bo ja wiem – powtarzała niezdecydowana. I to jej niezdecydowanie natchnęło mnie nadzieją, że za chwilę przystanie

i opuszczając siatki na ziemię, powie, ano daj, spróbuję. I podsunąłem jej ten krawat pod oczy. Spojrzała i te siatki w rękach aż zakołysały nią.

– Czyś ty, chłopak, zgłupiał!? Nie widzisz, rąk nie mam, siatki niosę!

Powiedziałem, że jej zaniosę. Próbowałem nawet wyjąć jej te siatki z rąk.

– A idźżeż ty. A idźżeż ty. Zostaw. – Naburmuszona odganiała się ode mnie niczym od jakiegoś kundla, który uwziął się na jej opuchnięte łydki, korzystając, że ma ręce siatkami zajęte. – Jeszcze czego, czerwony! – zapieniła się. – Nigdy w życiu bym nie włożyła czerwonej sukienki na siebie. Ani chusteczki pod szyję. Tfu! A idźżeż ty! Czekaj no, powiem matce, co żeś ty wyprawiał, kiedy jej nie było. Jeździ, nie doje, nie dośpi, a ten... Tfu! Wstyd!

– Ależ, pani Bazylukowa... – próbowałem jej wytłumaczyć.

– Wstyd! Tfu! Odejdź. Ile to lat mojego zabrali i dotąd nie wrócił, to nie miałam komu krawatów wiązać. A obcy nie po to przyjdzie, żeby mu krawat zawiązać. Tfu! Wstyd! I za co, mój Boże, za co?! W mundurze chodził, nie musiał krawatów wiązać. Choć tyle miał wygody. Aż mu nieraz mówiłam, odepnijże się chociaż z jednej haftki, udusi cię to. Tfu! Wstyd! O, mój Boże, mój Boże, musieli go zamęczyć – rozpłakała się.

I już do nikogo więcej nie poszedłem. Zawiązałem, jak umiałem, i wyszło coś w rodzaju węzła, choć przypominało bardziej bulwę. Wepchnąłem zresztą prawie cały krawat pod bluzę, bluzę zapiąłem wysoko, tak że ledwo coś tam czerwieniło się pod szyją, a w drodze jeszcze owinąłem się szalikiem.

Autobus był zajęty gdzieś tak do połowy i większość podróżnych skupiła się w przodzie, ku tyłowi natomiast aby gdzieniegdzie siedziały pojedyncze osoby, a na końcu było całkiem pusto. Siadłem sobie tuż pod tylną szybą, tak że dzieliło mnie od najbliższego sąsiada w przodzie kilka

niezajętych rzędów. Trzęsło tu co prawda najgorzej, lecz chciałem się w ten sposób zabezpieczyć na wypadek, gdyby komuś przyszło do głowy zapytać mnie, gdzie jadę. Pytanie niby całkiem na miejscu w podróży, można by powiedzieć, najniewinniejsze z niewinnych, rytualne nieomal, lecz zarazem najbardziej podstępne, niczym haczyk z przynętą. Bo na samą myśl, że musiałbym odpowiedzieć, do Włostowa, dziwnie nieswojo mi się robiło. Zwłaszcza że nigdy nie wiadomo, jakie następne pytania może takie pytanie wyzwolić.

Zanim jeszcze autobus ruszył, zatopiłem się od razu myślami w *Notatniku agitatora*. Przedtem sprawdziłem, czy siedzi w lewej kieszeni palta, choć sprawdzałem raz po wyjściu z domu, potem na Rynku i ponownie, gdy przechodziłem pod Bramą Opatowską. Najpierw zacząłem sobie powtarzać najważniejsze zdarzenia z bogatego życiorysu towarzysza Stalina od początku do końca, potem w drugą stronę, od końca do początku, a następnie na wyrywki. Poszczególne zdania, które mi się najbardziej podobały, powtarzałem nawet po wielokroć, próbując je wkuć na pamięć. Tchnęły zresztą taką mocą, że czułem, jak ta moc ich i na mnie spływa. Z łatwością więc wyobraziłem sobie, jak oto stoję przed wypełnioną po brzegi salą. Towarzyszki i towarzysze! Bo tak się ten *Notatnik* zaczynał. Nie mogłem się tylko zdecydować, czy przeczytać ten *Notatnik* jak leci, czy położyć go przed sobą na stole i zerkając tylko, starać się mówić swoimi słowami.

Nie zauważyłem nawet, że jesteśmy już od dawna w drodze, i dopiero wciskająca się oknami ciemność wyrwała mnie z tego *Notatnika*. Zaraz też odczułem dolegliwości jazdy, zwłaszcza że w tym ostatnim rzędzie, gdzie siedziałem, odczuwało się to podwójnie. Co prawda autobus jechał wolno, wlókł się, można by powiedzieć, koło za kołem, za to trzeszczał, zgrzytał, postękiwał, podskakując w dodatku raz po raz na jakichś wybojach lub

wpadając w jakieś dziury. Chwilami miało się wrażenie, że się zaraz rozleci, wyrzucając ludzi na drogę, na deszcz, w ciemności. Stary grat, pewnie jeszcze z wojennego demobilu, czuło się to w całym ciele. Droga też widocznie nie była od wojny naprawiana. Lecz wszyscy to znosili z wyrozumiałością, zarówno dla autobusu za to, że nas wiózł, jak i drogi, po której nas wiózł. Nikt nie wyrzekał, nie zemścił, nie przeklinał, gdy nawet wyrzucało wszystkich z siedzeń. Ale i autobus starał się odwdzięczyć ludziom za tę ich wyrozumiałość. Przystawał nie tylko w każdej wsi, mimo że nie dało się nieraz rozpoznać przez zaciągnięte deszczem szyby, że to wieś, jedno, dwa rozmazane światełka pozwalały domyślać się jedynie, że to wieś. Przystawał, gdzie kto chciał. Chciał kto bliżej domu, to wystarczyło podejść do kierowcy i wciskając mu parę złotych w kieszeń, powiedzieć, o, tam pan stanie, za zakrętem, za mostkiem, przy kościele, przed tym skrzyżowaniem, jak to drzewo, jak to światło, przy tym płocie, przy tej furtce, o tu, tu, już. I autobus, rozświetlając sobie ciemność dwoma nie najmocniejszymi światłami, wyłapywał bezbłędnie wszystkie te znaki, które mu ludzie wskazywali, i przystawał jak gdyby na pamięć, ani bliżej, ani dalej.

Tylko że za każdym razem, gdy znów ruszał, wydawało się, że już nie ruszy. Nadymał się, stękał, wpadał w jazgotliwe drżenie, aż ludzi strach ogarniał. Niektórzy starali się go nawet zachęcać niczym konia z pełną furą pod górę, dodawali mu otuchy lub przywołując imię Boże, złorzeczyli na tych, co wysiedli, że to przez nich teraz nie ruszy. Niektórzy krzyczeli do kierowcy, nie przystawać więcej, jechać, nie przystawać! Toteż gdy udało mu się wreszcie ruszyć, z wszystkich ust wyrywało się westchnienie ulgi. I tak toczył się, a choć z trudem, nic nie wskazywało na to, że się może nie dotoczyć do Włostowa.

Wygłaszałem właśnie w mojej wyobraźni przemówienie w wielkiej sali cukrowni, gdzie tam większej niż sala gimnastyczna w naszej szkole, i jak to w wyobraźni, światła, flagi, transparenty, portrety jubilata, jubilat na trybunie, jubilat z fajką przy biurku, jubilat głaszczący po płowych główkach dzieci, jubilat przy konferencyjnym stole, jubilat przy mapie świata, przesuwający niczym paciorki kraje, lądy, oceany, lecz z wszystkich portretów patrzący w jeden punkt, na mnie przemawiającego. Widzę jego uśmiechnięte pod krzaczastymi brwiami oczy i słyszę szept jego warg pod wąsami, maładiec. A sala huczy od oklasków, podchwytując to, maładiec! maładiec! maładiec! Sam siebie nie poznaję, zawsze nieśmiały, jakby zawstydzony tym, że jestem na świecie, wyrzucam słowa-płomienie, wymachuję rękami, jakbym każdemu z tych słów wykreślał kształt w przestrzeni, nadawał mu życie, rozkazywał, leć! A nawet widzę, jak te moje słowa przemieniają sie w gołębie i coraz większą chmurą krążą pod sufitem. Z sali, z tłumu, ktoś się nagle zrywa z wyciągniętą szyją i patrzy za nimi. Poznaję Kaczmarskiego. Skąd Kaczmarski tu? A ludziom się wydaje, że zawiesiłem głos w oczekiwaniu na oklaski, więc zrywa się burza oklasków. Czekam, aż ta burza nadstanie. Lecz w tej burzy raz po raz ktoś się zrywa z miejsca i krzyczy, niech żyje towarzysz Stalin! Niech żyje towarzysz!... A ktoś intonuje „Wyklęty powstań, ludu ziemi!...”

Nagle autobus wpadł chyba w jakąś większą dziurę, bo najpierw dobiło mną aż do wnętrzności, a potem wyrzuciło z siedzenia. Dosłownie już w powietrzu złapałem się poręczy u wezgłowia pustego siedzenia przede mną. Usłyszałem, jak w przodzie wszyscy wraz stęknęli, a ktoś zaklął, kurwa! Lecz natychmiast jakiś głos upomniał klnącego:

– Nie kląć, bo nie dojedzie.

Próbowałem znów zatopić się w myślach, lecz cały żar we mnie zgasł, tak że nawet nie potrafiłem sobie wyobrazić sali, na której przed chwilą

przemawiałem. Zwłaszcza że w autobusie wszczął się jakiś dziwny ruch. Jedni do drugich odchylali się, przechylali, a nawet zaczęli się do siebie dosiadać. Także ci, co siedzieli pojedynczo w tyle, przenosili się na przód. I z narastającym niepokojem wszyscy o czymś szeptali, lecz niczego początkowo się nie domyślałem. Tym bardziej że zasklepiający uszy warkot silnika nie przepuszczał nawet najgłośniejszych słów. Doszło mnie tylko czyjeś piskliwe skamlenie:

– Niech ktoś idzie go się spytać. Niech ktoś idzie.

Na co czyjś tubalny głos, jakby z wyrozumiałością należną przeznaczeniu, odparł:

– A co to pomoże. Jak postanowił, że zepsuty, to będzie zepsuty. Nie ma rady.

– Ale niech ktoś idzie – skamlenie nie ustępowało.

Wstał jakiś mężczyzna, głową sięgający sufitu, gdy nagle autobus, podskoczywszy na wyboju, usadził go z powrotem na miejscu. Ponownie zerwał się, i to tak gwałtownie, aż się zatoczył, i ze słowami, pójdę cholery się spytać, pójdę cholery się spytać, potoczył się ku kierowcy. Wtem jakaś baba, nie wierząc zapewne, że tamten coś wskóra u kierowcy, rzuciła zbawienną myśl:

– Ludzie, może by się złożyć?!

Ktoś na to wystawił ponad innych głowę i szacując podróżnych, a wśród nich i mnie, choć groszem nie śmierdziałem, tyle, co na bilet w jedną, drugą stronę, na moje szczęście orzekł z zawodem:

– Za mało nas. Trzeba by po ho, ho!

Na to ktoś zachrypiał z pewnością rzeczoznawcy, może też bez grosza przy duszy:

– Pieniądze mu nie przemówią. O, gdyby tak z pół litra. Pół litra by mu przemówiło. Ma kto?

Wciąż jednak nie bardzo rozumiałem, o co chodzi. Pomyślałem, że może chcą się ludzie rozgrzać, bo zmarzli.

– Szlag by go jasny trafił! – Wracał ten, który poszedł do kierowcy.

– No, i co? – ktoś z trwogą zapytał.

– A co, będzie zepsuty.

– Ale przecież jedziemy, to moglibyśmy już dojechać.

Nadstawiłem uszu, bo i mnie zaczął się udzielać niepokój ludzi.

– Mógłby wolniej jechać, aby tylko dojechać. W zeszłym tygodniu tak. Kiedyś tak. Zepsuty i zepsuty.

– W zeszłym tygodniu, mówicie? O, wczoraj jechałem i też w Lipniku był zepsuty.

– Bo w Lipniku ma narzeczoną. Hi! hi! hi! – zadrwił ktoś, jak widać znający tajemnicę kierowcy. – Przyprze go, to nie ma siły. Lipnik, koniec, wysiadać. Nie ma siły. – I z wyrozumiałością dodał: – Młodość, jak to powiadają, musi się wyszumieć. Ja tam na szczęście aby do Lipnika.

– Panie! – Ktoś zerwał się z siedzenia. – Pan toś taki sam bydlak jak on. Nie obchodzą pana inni, aby panu było do wygody.

– Tylko nie bydlak! Tylko nie bydlak! A co, chciałbyś pan, żebym z panem do Włostowa jechał? Może jeszcze na księżyc? Hi! hi! hi!

– E, może tylko tak gada – ktoś próbował ratować nadzieję czy chciał załagodzić kłótnię między tamtymi oboma, bo przegadywali się już coraz ostrzej. – Ma kurs do Włostowa, to musi do Włostowa.

– Jest prawo czy nie? – zabrzmiał jakby z wysokości tego prawa inny głos.

– A co dzisiaj prawo – zalamentowała jakaś babina głosem bliskim płaczu. – O, przyjechali, wymłócili co do ździebka. Do nóg im się rzuciłam,

płakałam, i tak samo, że prawo. A co namarnowali. Boga już chyba nie ma po tej wojnie. O, przegrał widać Bóg.

– W autobusie to kierowca i Bóg, i prawo – ktoś wtrącił w lament babiny.

– Mój Jezu, mój Jezu – zaciągnęła znów lamentem, ale inna. – Tyle za bilet i tylko do Lipnika.

– Ano nie, ano przecie – przytaknęła jej jeszcze inna, a za nią następna:

– Może by go pójść uprosić.

Następna:

– Bo gdzie w taką ciemność, w taki deszcz.

Następna:

– Nie kamień musi mieć, ale jak każdy przecież serce.

Następna:

– To niech pójdzie która młodsza. Młodsza prędzej mu...

I już tylko babski lament zapanował w autobusie, bo mężczyźni jakby się pogodzili, że tylko do Lipnika. Jedynie tamci dwaj dalej się kłócili ponad tym lamentem.

– Pan wie, kto ja jestem?

– Możesz mi pan skoczyć.

– Ja... Na wysokim szczeblu kiedyś!...

– To mi z wysokiego szczebla skocz, ty ciulu!

I pewnie dlatego nikt nie zauważył, że już Lipnik, aż dopiero autobus stanął, a kierowca krzyknął:

– Lipnik! Wysiadać! Dalej nie jedziemy! Zepsuty!

I wszyscy, jakby wobec nieodwracalnego wyroku, zaczęli się podnosić z miejsc, bez najmniejszego szemrania, pokornie pogodzeni z tym, że zepsuty. Nawet tamci dwaj na czas tego wysiadania zawiesili kłótnię

i dopiero na dworze ponownie ją wszczęli, lecz chyba już bez wiary we własną złość lub może deszcz i ciemności tę złość w nich wygasiły. Rzucili sobie tylko po kilka przekleństw, jak gdyby na pożegnanie, i rozeszli się w różne strony tego deszczu i ciemności.

Kierowca jako pierwszy opuścił autobus bocznymi drzwiami, od kabiny, toteż kiedy wyszedłem, stał już przy przednim kole i szczał z obojętnością, jakby miał gdzieś nie tylko podróżnych, lecz i cały świat. Spytałem go nieśmiało, która jest godzina, lecz nie od razu mi odpowiedział. Skończył, schował, zapiął rozporek i dopiero wsadzając rękę w krąg światła reflektora, bąknął, że dochodzi szósta.

Jak mnie tylko nogi były zdolne nieść, puściłem się za światłami stojącego autobusu drogą do Włostowa. Miałem do przebycia jakieś trzy kilometry. Jednakże deszcz, wiatr, ciemności, a w dodatku szum wysokich drzew, z obu stron drogi, no, i sama droga nie pozwalały za szybko iść. Przy większych podmuchach drzewa trzeszczały, miałem wrażenie, że łamią się nade mną, a czasem nawet jakbym słyszał huk gdzieś tam któregoś z nich walącego się przede mną na drogę. Wpadałem co raz w kałuże, potykałem się o wyboje, a jeszcze ciemność wodziła mną od brzegu do brzegu, jakby jakaś siła nieczysta. A gdy mimo to próbowałem przyspieszać, wówczas za długie palto owijało mi się wokół nóg, hamując kroki, że o mało raz i drugi się nie wywaliłem. Zdjąłem je więc, zwłaszcza że zrobiło mi się gorąco, zarzuciłem na ramię i nie zważając na rozbryzgujące się spod nóg kałuże, zacząłem biec.

Zziajany, przemoczony, ubłocony jak nieboskie stworzenie, dobrnąłem do bramy cukrowni. Uderzyło mnie, że w tak uroczystym dniu nad bramą nie ma żadnego transparentu. Jedynie zadeszczona lampa rzucała trochę światła w krąg. Zapukałem do okienka portierni. Odchyliła się szyba, spoza

której wychynęła jakaś głowa w przekrzywionej służbowej czapce, jakby co dopiero obudzona ze snu tym moim pukaniem.

– Czego?

– Ja z powiatu – wydusiłem tchnącym jeszcze ze zmęczenia głosem.

– No, i co?

– Przyjechałem tu na akademię.

– Akademię?

– Na siedemdziesiąte urodziny towarzysza Stalina.

– To już tyle mu stuknęło? Ładny wiek. Ale nic nie wiem, żeby jakaś akademia.

W tej samej chwili wszedł do portierni jakiś mężczyzna w wyświechtanej kufajce, w uszatce na głowie.

– Franek – portier zwrócił się do niego – wiesz coś, żeby u nas dzisiaj akademia? Przyjechał tu jakiś z powiatu.

Tamten wzruszył ramionami:

– Gdzie masz klucz od magazynu? Awaria, kurwa, na płukalni. – I odchodząc z tym kluczem, rzucił: – Zadzwoń do Kotarby, on tu jest od akademii.

Portier podniósł słuchawkę telefonu leniwie i wykręcając numer, powiedział:

– Z wierszami może żeś przyjechał? Nieraz tu z wierszami przysyłają. Czasem ładne te wiersze. Miło posłuchać. Ale teraz cukier akurat leci. Hallo! Tu portiernia. Chciałem z Kotarbą. Sekretarzu, jest u nas jakaś akademia? Przyjechał tu... Mówi, że na akademię. A skąd? Nie było ogłoszenia. Chałupczak brał tu klucz przed chwilą i też nic nie wiedział.

Położył słuchawkę, otworzył mi furtkę.

– W te drzwi na prawo i prosto. – Wskazał. – Podobno ma być, tylko kto mu dzisiaj przyjdzie.

Sekretarz Kotarba siedział za biurkiem. Przypominał komisarza z filmu. W skórzanej czapce na głowie, w skórzanej kurtce, przepasany szerokim, żołnierskim pasem, w butach z cholewami. Gęste dzioby po ospie nadawały jego twarzy charakterystyczną dla pełnionej funkcji surowość. Był człowiekiem w podeszłym już wieku, o czym świadczyły bieluteńkie, poniżej brzegu czapki, włosy. Serce mi zabiło mocniej, gdy zdecydowanym ruchem podniósł się zza biurka i ściskając mi zamaszyście dłoń, powiedział:

– Witamy towarzysza. Właśnie czekamy, że tak powiem...

– Przepraszam za spóźnienie – przerwałem mu – ale autobus...

Też mi przerwał:

– Nie szkodzi. Rozumiemy.

– Od Lipnika szedłem na piechotę. O, jaki jestem ubłocony. – Z przerażeniem oglądałem swoje buty, spodnie, palto. – Może bym się choć trochę gdzie oczyścił?

– Nie trzeba. Rozumiemy. U nas też kampania. Cukier, żeby tak powiedzieć. Wyniki produkcyjne są dziś najważniejsze.

Oprócz niego w pokoju siedziało jeszcze trzech mężczyzn. Ale nie rzuciło mi się w oczy, aby byli wystrojeni na tę akademię.

– Rada zakładowa – przedstawił mi jednego. – A to nasza młodzież. – Wskazał na drugiego.

Ta młodzież nie wydała mi się młodsza od rady zakładowej. Lecz skoro młodzież, to ściskając jej dłoń, powiedziałem, cześć.

– Pierwsi rzucili hasło współzawodnictwa w naszym zakładzie – ciągnął prezentację sekretarz. – A dla uczczenia urodzin towarzysza Stalina podjęli zobowiązanie: dwieście procent w melasie i sto dwadzieścia w rafinadzie.

A to towarzysz Fularski – przedstawił trzeciego, nie wymieniając jednakże jego funkcji ani zasług.

Zaprosił mnie, abym się rozgościł, usiadł, bo mamy jeszcze trochę czasu. Po czym zwrócił się do rady zakładowej i młodzieży:

– Zajmijcie się towarzyszem. A ja tu Romkowi coś tylko. – I wyszedł, skinąwszy na owego towarzysza Fularskiego, który zerwał się z wyraźną uniżonością, pochylając się nieomal całym ciałem ku sekretarzowi. Zaraz za drzwiami zaczął tamtemu wydawać jakieś naglące polecenia. Widocznie jednak drzwi za sobą nie zamknęli do końca czy były takie nieszczelne, bo większość jego słów, mimo że zajęty byłem rozmową z radą zakładową i młodzieżą, dochodziła mnie wyraźnie: – Zbierz, skąd się da. Przeleć się po wydziałach. Może przestój gdzieś mają. O, na płukalni podobno jest awaria. I niech ci Martyniuk da swoje pakowaczki. Ze stołówki weź baby. Posprawdzaj, czy w biurach gdzieś nie siedzą. To sprzątaczki. Jutro posprzątają. Może byś którego z kierowników złapał. Dobrze byłoby, jakby ktoś z dyrekcji. To niech założy marynarkę, krawat. Przedstawimy, dyrekcja. A co ja, cholera, nie myślałem? Na taką pogodę psa by nie wygnał. Bo wiadomo kto? Dzwonili, to tyle, że towarzysz z powiatu. I lepiej nie pytać. Szczeniak nieraz gorzej potrafi ugryźć. I powiedz Sołtykowej, żeby tam tego. Co nie pije? Każdy pije. I oranżadę czy mają. Tylko mordę w kubeł.

Wrócił już bez Fularskiego, zadowolony, dziarski, pewny siebie.

– Nie za zimno tu? – Zatarł ręce. – Ale nic, napalą. A tymczasem, żeby tak powiedzieć... – Otworzył szafę, wyjął butelkę, szklankę i nalawszy tak z połowę, podszedł do mnie. – Gość, ma się rozumieć, pierwszy.

Skuliłem się w sobie, bo od zabawy w szkole, na której się upiłem, nie mogłem patrzeć na wódkę.

– Nie, dziękuję – zdobyłem się, acz nieśmiało, na odwagę.

– Po jednym, towarzyszu, nie zaszkodzi. Aby na rozgrzewkę – próbował mnie namawiać, a z pomocą przyszła mu jeszcze rada zakładowa:

– Zmokliście, to nawet dla zdrowia. O, ile to wody z waszego palta wyciekło. A i w butach musicie mieć mokro.

Zawstydziłem się, bo rzeczywiście pod wieszakiem, gdzie wisiało moje palto, utworzyła się kałuża. Bardziej jednak wstyd mi się zrobiło, bo skąd mógł wiedzieć, że i w butach mam mokro. Poruszyłem palcami dla sprawdzenia, mokro. I tym bardziej postanowiłem nie dać się namówić, bo czułem, że to jakbym przyznał się, że mam w butach mokro.

– Nie, dziękuję. – I w tej samej chwili zbawcza myśl mnie nawiedziła: – Najpierw obowiązek, towarzysze.

Ścięło ich. Spojrzeli niepewnie po sobie. Musieli się tego nie spodziewać. Sekretarz pierwszy złapał oddech:

– Racja. Najpierw obowiązek. – Powolutku zaczął przelewać z powrotem wódkę ze szklanki do butelki. Ręce mu dygotały, toteż część wódki skapywała po butelce na podłogę. – Bez okularów jakoś nie bardzo – usprawiedliwiał się, próbując nawet zażartować z siebie, lecz przysiągłbym, że w duchu myślał o mnie jak najgorzej. Podobnie jak i pozostali, rada zakładowa i młodzież, którzy patrzyli z wyraźnym zawodem, jak wlewa tę wódkę do butelki. Odstawił butelkę do szafy. Obciągnął kurtkę, poprawił czapkę.

– To co, idziemy, towarzysze – rzucił. – Tam już na nas czekają.

Sala sprawiała ponure wrażenie, choć była niewiele mniejsza od sali gimnastycznej w naszej szkole i też ze sceną. Zamiast podłogi beton, okna w metalowych okiennicach i u sufitu trzy lampy, a właściwie trzy wielkie żarówki bez kloszów, z których tylko jedna się świeciła, co prawda, tak silnie, że aż przygniatało wzrok. Z dekoracji jakieś kucoty serpentyn, jakby po ostatniej zabawie, jedynie w głębi sceny, na ścianie, portret jubilata na

czerwonym sztandarze, a pod nim napis: „Cukrownia Włostów czci zwiększoną wydajnością siedemdziesięciolecie urodzin towarzysza Stalina”.

Przytulniej trochę było na scenie. Nad stołem prezydialnym, zasłanym czerwonym suknem, paliła się żarówka, nakryta od góry talerzowym kloszem, co sprawiało, że światło skupiało się na stole, poza którym, wskutek odbijania się promieni od czerwonego sukna, panował ciepły i z lekka podczerwieniony półmrok. Wprost od żarówki prowadził przewód do kontaktu w ścianie, podwiązany na długim drucie u belki wspierającej strop, dzięki czemu można było podwyższać lub obniżać żarówkę w zależności od potrzeby.

Zajęliśmy miejsca za stołem, sekretarz pośrodku, ja po jego prawej stronie, a po naszych bokach rada zakładowa i młodzież. Sekretarz nie od razu siadł, wyregulował sobie najpierw żarówkę do swojego niedużego wzrostu, potem zdjął czapkę, i rozejrzawszy się po sali, rzekł:

– Coś nas mało, towarzysze.

– Przyjdą jeszcze – próbował ratować sytuację towarzysz Fularski siedzący w pierwszym rzędzie sam.

Dopiero trzy rzędy za nim siedziało dwóch robotników w waciakach i z czapkami uszatkami na kolanach, którzy rozglądali się niepewnie na boki, jakby rozpoznając dopiero, gdzie są, a ich czarne od deszczu waciaki świadczyły, że ściągnięto ich przed chwilą z placu. Tak samo w następnych rzędach po dwóch, trzech, gdzieniegdzie kobiety, niektóre z dziećmi na kolanach, może mieszkające na terenie fabryki lub przyłapane, gdy odbierały dzieci z fabrycznego przedszkola. I jedynie w ostatnim rzędzie, pod ścianą, siedziało trochę więcej osób. W sumie miało się wrażenie, jakby ktoś widłami sypnął trochę buraków na salę. Wszystkich najwyraźniej przygniatało zmęczenie, było widać to po twarzach

wyostrzonych przez światło tej wielkiej, jaskrawej żarówki, wiszącej nad głowami. Ktoś już nawet spał, przykulony na ramieniu sąsiada, który zresztą nie próbował go budzić, bo sam może też podsypiał.

Sekretarz stał wciąż nad salą i wodził przymarszczonym wzrokiem po pustych rzędach. Od czasu do czasu spoglądał to w drzwi, to z wyrzutem na towarzysza Fularskiego. Ten, widocznie nie mogąc znieść ciśnienia wzroku sekretarza, ciągle szukał czegoś po kieszeniach marynarki lub odwracał głowę w głąb sali w rozpaczliwej nadziei, że może uda mu się wyłowić choć jednego nowo przybyłego wśród obecnych. I nagle jakby z tej jego rozpaczliwej nadziei drzwi się otworzyły i stanął w nich ktoś w nieprzemakalnym płaszczu, zakapturzony i ociekający wodą. Wszystkie głowy zwróciły się w stronę drzwi. Rozjaśnił się wzrok sekretarza, a oczy towarzysza Fularskiego wręcz zakwitły i z rozanieleniem przerzucał je to na tamtego, to na scenę, na sekretarza. Tamten ściągnął z głowy kaptur, rozejrzał się trochę speszony po sali i spytał:

– Co, zebranie mata? Szukam Pajdy. Awaria na płukalni. Potrzebny elektryk. Nie widzieliście go?

Sekretarz natychmiast zgromił przybyłego ostrym, zawiedzionym spojrzeniem.

– My tu akademię mamy ku czci towarzysza Stalina. Ogłoszenia nie czytałeś?

Tamten wydobył z siebie jakieś aaa... I czym prędzej wycofał się z sali.

Sekretarz był wyraźnie przygaszony. Nie rozglądał się już po sali, omijając także towarzysza Fularskiego. Nie zrobiło również na nim wrażenia, gdy w drzwiach pojawił się ktoś w marynarce, w krawacie i posuwając się na czubkach palców w stronę sceny, patrzył zarazem z przymilnym uśmiechem na sekretarza, jakby niepewny, gdzie ma usiąść.

– Siadajcie koło Fularskiego – burknął oschle sekretarz i zwracając się ku radzie zakładowej i młodzieży, powiedział: – Dyrekcję niby mamy, to można by zaczynać. Czy jeszcze poczekamy?

Tamci kiwnęli mu, nie wiadomo, czy żeby zaczynać, czy jeszcze poczekać. Sekretarz więc usiadł, po czym nachyliwszy się ku mnie, zaczął wrzucać mi do ucha usprawiedliwienia:

– Kampania, rozumiecie. Plan napięty. Ludzie przy maszynach na trzy zmiany. Burak suchy w tym roku. Mało deszczów. Ma się rozumieć, nie samymi burakami... Trzeba nam podnosić świadomość. Doskonalić agitację.

Kiwałem mu podobnie jak tamci dwaj, a nawet starałem się zachować twarz pełną skupienia, jakkolwiek coraz bardziej dokuczała mi rola, którą próbował mi narzucić.

– Z wiosną rozpoczynamy szkolenie z marksizmu-leninizmu. Trochę ekonomii politycznej. Knowania imperializmu. Kolonializm, żeby tak powiedzieć. Walka o pokój. Potem przeniesiemy wszystko w dół, do załóg...

Pocieszałem się jedynie myślą, że mam ten *Notatnik agitatora*, który wydał mi się nieomal tarczą obronną przed służbową wylewnością sekretarza. I nawet pomacałem się po kieszeni bluzy, sprawdzając, czy na pewno zabrałem go z kieszeni palta.

Któremuś z dzieci znudziło się widocznie na kolanach matki, więc ześlizgnęło się i zaczęło biegać między rzędami krzeseł. Zachęciło to i inne dzieci i sala wypełniła się dziecięcymi piskami, tupaniami. Któraś z matek ruszyła za swoim w pogoń, lecz jakoś tak niezdecydowanie, że dziecko, uciekając przed nią, zaplątało się między krzesłami, upadło i buchnęło dojmującym płaczem. Zdenerwowało to sekretarza.

– Kobiety, uciszcie te swoje bachory! – Wyrzucił ręce ku sali. – Uroczystość jest poważna! – Lecz jakby w obawie, że matki mogą niewłaściwie go zrozumieć i opuścić wraz ze swymi pociechami salę, pomniejszając i tak już ubogą obecność, powiedział łagodząco: – Ma się rozumieć, żeby tak powiedzieć, powinno się od najmłodszych lat... Czym skorupka za młodu, to i świadomość potem... – I nawet cień tkliwości zabrzmiał w jego głosie: – Towarzysz Stalin zresztą lubi dzieci.

Matki więc ruszyły wyłapywać rozbiegane pociechy. Zerwał się też za nimi towarzysz Fularski i zaczął im gorliwie pomagać, jakby to o jego własne dzieci chodziło.

Tymczasem sekretarz wyjął z kieszeni kurtki druciane okulary i sprawdziwszy je pod światłem wiszącej nad stołem żarówki, przetarł szkła. A gdy ostatnia matka wyłapała już swoją pociechę, spojrzał krótko na mnie, na radę zakładową, młodzież i rzucił:

– To co, zaczynamy? – I zaczął: – Zebraliśmy się, towarzyszki i towarzysze – przeciągał słowa w chropawym zaśpiewie – na wielkiej uroczystości siedemdziesięciolecia urodzin przywódcy całej postępowej ludzkości, zwycięzcy hitlerowskiego faszyzmu, chorążego pokoju, towarzysza Stalina. – I nie czekając, aż ktoś może na sali zacznie bić oklaski, sam pełnymi garściami zaczął sobie bić.

Rzucili się za nim towarzysz Fularski wraz ze swoim sąsiadem, czyli dyrekcją, i bili jeszcze głośniej. Towarzysz Fularski, najwidoczniej podniecony tymi pierwszymi słowami sekretarza, zerwał się, chcąc coś krzyknąć, lecz zdołał tylko: – Niech!... – bo sekretarz ubiegając go, machnął ręką. – Potem!

Odezwało się też kilka niemrawych oklasków w głębi sali.

– Witam na naszej uroczystości – sekretarz zwrócił się w moją stronę – towarzysza z powiatu. – I przybliżając złożone dłonie ku mojej głowie,

zaklaskał z wyraźnym przyspieszeniem, co miało unaocznić zebranym znaczenie mojej osoby, choć było zapewne także miarą jego nieufności wobec mnie, a kto wie, czy nie strachu.

Speszony tym spodziewanym co prawda wywołaniem, poderwałem się, być może trochę za raptownie, i z oczami wbitymi w tę jaskrawo świecącą lampę nad salą ukłoniłem się, a choć trwało to zaledwie okamgnienie, doznałem omalże fizycznej dotkliwości siebie, jakbym się w tej samej chwili wyłonił z niebytu, bo przecież nikt mnie jeszcze nigdy tak nie witał. Zerwały się oklaski podobne trzepotowi skrzydeł postraszonych gołębi czy może tylko w tej pustej sali tak to zabrzmiało.

Po mnie nastąpiło powitanie rady zakładowej, młodzieży i dyrekcji. Przy tej ostatniej ktoś pod ścianą cicho zachichotał, ktoś się zdziwił, dyrekcji? Ktoś rzucił półszeptem, i odkąd to Franek? A na końcu klasy robotniczej, czyli wszystkich obecnych, awangardy postępu, jak powiedział sekretarz, po raz któryś składając dłonie do oklasków.

Z kolei przedstawił program: zagajenie – pierwszy sekretarz komitetu zakładowego partii, towarzysz Kotarba Alojzy, czyli on; referat o bohaterskim życiu i działalności towarzysza Stalina – tu zwrócił się w moją stronę – towarzysz z powiatu; i na zakończenie odśpiewanie *Międzynarodówki*. Po czym, umocniwszy okulary na nosie, sięgnął do kieszeni kurtki. Ku mojemu zaskoczeniu wyciągnął taki sam *Notatnik agitatora*, jaki miałem i ja. Poczułem nagły przypływ gorąca. Nie chciałem własnym oczom uwierzyć, lecz nie było wątpliwości, taki sam. Mimo woli znów się pomacałem po kieszeni bluzy, czy przypadkiem to nie mój, który jakimś sposobem znalazł się w jego ręku. Lecz niestety mój był na swoim miejscu. Ogarnęło mnie coś w rodzaju współczucia dla samego siebie. W najgorszych bowiem podejrzeniach nie przyszłoby mi do głowy, że ktoś prócz mnie może mieć ten *Notatnik*. Jeszcze tu? Na krańcach powiatu?

Kiedy nam dawali te *Notatniki*, mówili przecież, to wasza broń, towarzysze. Tą bronią będziecie silni.

Sekretarz odwinął pierwszą kartkę, chrząknął i trzęsącym się z nieporadności głosem przeczytał pierwsze zdanie. A może to była jego zemsta na mnie? Tylko za co? Przecież mówił, że czekali na mnie. Mieli telefon z powiatu i czekali, mówił przecież. Powitali mnie. Użalili się nawet, że w taki deszcz, wichurę. Wydawało mi się, że wzbudziłem tym ich podziw. Czemu więc nie przyznał się, że i on ma ten *Notatnik*. Mógł choćby przypadkiem wyjąć go z kieszeni, sięgał przecież to po okulary, po chusteczkę. Czy kiedyśmy już siedli za stołem prezydialnym, mógł wyjąć i położyć przed sobą. Nie, do ostatniej chwili trzymał to w tajemnicy.

Wydostałem i ja swój z kieszeni i odwinąwszy bezszelestnie tak samo pierwszą kartkę, zacząłem śledzić słowa sekretarza. Jeszcze się pocieszałem, że może przeczyta coś z początku, na to zagajenie tylko, a resztę już mnie zostawi. *Notatnik* był długi, co najmniej na godzinę głośnego czytania, więc z łatwością da się podzielić i na zagajenie, i na referat.

Przeczytawszy jednak pierwszą stronę, odwrócił ją i jakby nigdy nic zaczął następną. Nie szło mu, potykał się, odchrząkiwał, pierwsze krople potu pojawiły się na jego czole i błyszczały jak cekiny w świetle wiszącej tuż nad nim żarówki. Liczyłem, że może nie da rady długo tak po grudzie. Jedno, dwa zdania i urwie. Lecz dobrnął do końca strony i znów odwrócił kartkę. Niepokój od serca zaczął mi do nóg już sięgać, złapałem się na tym, że tam, pod stołem prezydialnym, poklepuję dygocącą podeszwą prawej nogi o scenę. Z nadzieją jednak czepiałem się każdego kolejnego zdania, że może właśnie na nim urwie, złoży ten *Notatnik* i powie:

– A teraz zabierze głos towarzysz z powiatu.

I znów wyznaczałem mu następne zdanie, że może będzie to ostatnie, musi być ostatnie. A teraz zabierze głos towarzysz z powiatu. Następnie znów któreś z następnych, które wydawało mi się specjalnie ułożone, żeby na nim skończyć zagajenie. A teraz zabierze głos, wydawało mi się, że słyszę, jak mnie zapowiada. Bo dokąd można zagajać? Powinien wyczuć, że najwyższy czas na moje wystąpienie. Pewnie i ludzie na sali czekali już zniecierpliwieni, a może i zmęczeni tym jego dukaniem. Niektórzy w głębi sali zaczynali się wiercić, skrzypiąc rozeschłymi krzesełkami, jakby dając mu znaki. Miałem wrażenie, że z każdym jego zdaniem tego skrzypienia przybywa. Niektóre matki musiały ponownie uspokajać swoje pociechy, bo się wyrywały im z kolan, jak gdyby w proteście, że przekroczył już tym swoim zagajeniem miarę bajki na dobranoc.

Dochodził do końca kolejnej strony, lecz nic nie zapowiadało, że ma zamiar na tej stronie skończyć. Przeciwnie, wydawał się coraz bardziej pochłonięty czytaniem. Szło mu też coraz sprawniej, coraz mniej chrząkał, rzadziej się potykał i to go pewnie tak rozochociło, że wyraźnie nabrał werwy. Zdania jakby same go wciągały, żeby dalej i naprzód! Może nawet zapomniał, że miał tylko zagaić, bo parł już bez przystanku, bez oddechu. Ot, dmuchnął i kartka sama mu się odwracała. Albo też rozpędzone zdania same za niego to robiły. Zdania biegły niczym konie, przechodziły w galop, kto wie, może widział się nawet na ich czele, jak pędzi przez step za wrażą armią Denikina czy innego. Słychać było w jego głosie świst szabel, grad kopyt, jęk tratowanej ziemi. Ten głos, dotąd dukający, chropawy, zrobił mu się tak samo swobodny i śpiewny jak step.

Co dopiero na początku strony, już zbliżał się do jej końca. Kołysząc się w przód, w tył, to unosił się na palcach, to podrzucał głowę. Wyciągnąwszy prawą rękę w górę, komuś tam wygrażał wskazującym palcem, kogoś tam odpychał rozprostowaną dłonią, kogoś w puch rozbijał zaciśniętą pięścią.

Niczym na rozpostartych skrzydłach niósł go wicher rewolucji. W tym rewolucyjnym pędzie trącił w pewnej chwili żarówkę, wiszącą tuż nad jego głową, aż zakołysało się światło nad stołem prezydialnym jakby słońce nad ziemią. Ów wicher rewolucji, z początku złudny niby orzeźwiający zefirek, muskający zdania li tylko dla ochłody, teraz obnażał ukrytą moc, targając zdaniami, a niektóre wręcz wyrywając z korzeniami. Nie czytał, lecz gromami ciskał w tych wszystkich burżujów, sługusów, agentów, interwentów i tym podobnych wrogów ludu, którzy plugawym robactwem wyroili się z wszystkich stron świata i próbowali wiercić w życiorysie towarzysza Stalina, nie wiedząc, że trafili na skałę.

Rozpacz zaczynała mnie ogarniać, że mi tak tę rewolucję zaczyna po kawałku zabierać. Nie strach, nie złość, lecz właśnie rozpacz. Jakby coś tak po kawałku wyszarpywał z mojej duszy, z moich myśli, z serca. Jakby z każdym słowem to słowo już na zawsze stawało się popiołem we mnie. No, bo jak potem przemawiać tak bez rewolucji? To jak modlić się bez Boga. Płonąć bez płomienia. Bo to rewolucja była tym płomieniem, którym płonęło każde zdanie w *Notatniku,* każde słowo, a nawet poszczególne sylaby, przecinki, kropki, nie mówiąc już o wykrzyknikach. Była stosem, na którym płonął stary świat.

Wszystko to coraz bardziej utwierdzało mnie, że jednak to jego zemsta. Przypomniałem sobie, jak mówił za drzwiami do towarzysza Fularskiego, że szczeniak nieraz gorzej potrafi ugryźć. I widocznie postanowił szczeniakowi dać nauczkę. Najwyraźniej drwił sobie ze mnie, spostrzegłszy zapewne rzutem oka na stół, że biegnę jego tropem, wpatrzony w *Notatnik*, a on mi ucieka. Ja strwożony, z oczami na wierzchu, on swobodny swobodą stepu, ja piechotą, on na koniu. A choć czytał z namaszczoną powagą, to zarazem tak zachłannie, jakby żarł jedna po drugiej te kartki, jakby miał

zamiar najdokładniej pochłonąć ten *Notatnik*, nie zostawiając mi choćby pół zdania.

Okulary obsunęły mu się na koniec nosa, lecz nie miał kiedy ich poprawić, bo akurat był w największym wirze. Tu gonił Judenicza, tam Kołczak nacierał, Wrangiel, Krasnow, Korniłow, eserzy, kadeci. Zamaszyście, jakby szablą ciął, znów odwrócił kartkę. Przeniosłem więc i ja swoją nadzieję na tę kartkę za nim, że może da Bóg, gdzieś tu. Może zatrzyma go jakieś zdanie-jar, zdanie-góra, zawaha się i uprzytomni sobie, że gdzie tak pędzi? Może coś się w nim poruszy, że dość mi już dał tej nauczki, młody jestem, będę musiał i tak jeszcze niejedno zrozumieć, a to przychodzi przecież z latami. Nie wyglądał na złego człowieka. Gdyby nie te dzioby po ospie, wyglądałby dobrotliwie. Można by go sobie bez trudu wyobrazić, jak siedzi pod piecem, w piecu huczy ogień, a on trzyma okrakiem na kolanie wnuczka. Wnuczek woła, prędzej! Bo kolano jest koniem i wnuczek pędzi na tym dziadkowym kolanie przez step za wrażą armią Denikina czy innego, a dziadek mu wtóruje, urrra! Lub w nagłym przypływie znużenia może pomyśli, wystarczy, trzeba kończyć, niech i jemu coś zostanie, lepiej jak poczyta, zmókł, zziąbł, co ma jeszcze wymyślać, wymyśli coś nie tak, doniosą i tłumacz się potem. Najbezpieczniej trzymać się tego, co jest napisane. Bo to jakby droga bita i w dodatku z drogowskazem. I tak nam obu tego życiorysu starczy. Siedemdziesiąt lat jednego człowieka, a jakby siedemset ludzkości. Choć przydałaby mu się nauczka, że nie dał się nawet napić. Ale niech tam. A teraz zabierze głos towarzysz z powiatu. Prosimy. Może tu, pod żarówkę. Będzie widniej.

Pędził jednak na łeb, na szyję, jakby wicher rewolucji wiał mu teraz prosto w plecy. Chociaż moje wpatrzone w jego trop oczy, wsparte czujnym słuchaniem, zaczęły wyławiać z tego pędu pierwsze, ledwo uchwytne

znaki, że nadstaje. Tu pomylił słowo, tu przeskoczył sylabę, nie przystanął na kropce, tchu mu nie starczyło, a powinien mocniej akurat przeczytać, zwłaszcza że z wszystkich piersi się wyrwało, niech prowadzi nas towarzysz Stalin! Może wreszcie zmęczy się, pomyślałem w nowym przypływie nadziei.

Nie byłoby w tym zresztą nic dziwnego, bo i w ludziach na sali narastało coraz bardziej widoczne zmęczenie. Pod ścianą już niektórzy na dobre drzemali, niektórzy jeszcze się z sobą przemagając. Tak samo w przodzie, gdzie najostrzejsze światło padało od tej wielkiej żarówki, ten i ów siedział z zamkniętymi oczyma i tylko od czasu do czasu je rozrywał, lecz jakby po to jedynie, żeby się przekonać, czy jest jeszcze na sali, czy już w domu. I większość dzieci na kolanach matek posnęła. Jeden towarzysz Fularski świecił jak wilk w nocy rozszerzonymi z podniecenia źrenicami, a obok niego niczym poblaskiem księżyca świeciła dyrekcja.

Sekretarz znów odwrócił kartkę, lecz już nie tak gwałtownie, a nawet przez ułamek chwili położył wzrok na towarzyszu Fularskim. Ten prawdopodobnie zrozumiał to jako znak do oklasków i natychmiast złożył ręce. Ale rewolucja nie chciała poczekać i popędziła dalej, a nawet rozgorzała ze zdwojoną siłą. Zapłakało gdzieś dziecko. Ktoś pod ścianą widać się przeliczył ze swoim rozespanym ciałem i chcąc się poprawić, opadł niczym wór, aż zaskowyczało krzesełko i wszystkie głowy odwróciły się od życiorysu towarzysza Stalina w stronę tego krzesełka. Towarzysz Fularski poderwał się, jakby chciał napiętnować winnego. Lecz zobaczywszy, że to zmęczenie, nie wina, siadł z powrotem, obruszony tylko.

Sekretarza natomiast nic to nie obeszło. Nie był na tej sali. Zajmował właśnie Carycyn. Przypiąłem się jednak myśli, że może zmęczy się. Stary przecież był, nie na jego lata taka rewolucja. Konie, stepy, szable, armie

przeciw armiom. Prędzej już burżuazyjna, z mównicy na mównicę, przez ulicę, na plac, pod pomnik, do klubu, do salonu, na słowa, na parasole. Albo może dostanie zadyszki? Coś wspominał jeszcze tam, w pokoju, że go w taką pogodę astma dusi. A gdy nieswój chował flaszkę z powrotem do szafy po mojej odmowie, wymuszając z siebie, racja, najpierw obowiązek, głos miał przyduszony, jakby ta astma już na niego parła. Jakoś tak nawet zatrzepotał oczami do rady zakładowej i młodzieży, jakby miał na ustach, no, widzicie, znowu dusi mnie cholera.

Wyobraziłem sobie nawet, że słowa zaczynają go uwierać, łaskoczą go, swędzą, rozpychają się, próbuje odkasływać, odkasłuje coraz częściej, coraz głębiej, aż dusi się, krztusi, tchu nie może złapać, a wraz z nim i rewolucji tchu brakuje, rewolucja dogorywa, aż się w końcu złości sam towarzysz Stalin, co to się wyprawia w jego życiorysie, i rzuca w moją stronę, zastąp go, maładiec. Rewolucja już na starych nie pojedzie. Młodych jej potrzeba.

Bezwiednie zacząłem się w duchu modlić. „Ojcze nasz, który jesteś w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja...” Lecz moja modlitwa nie tylko nie przyprawiła go o napad astmy, lecz kto wie, czy nie pomogła mu przetrwać krytycznego momentu. Nie był bowiem z tych, co łatwo ulegają słabościom. Z każdym zdaniem wyłaniał się człowiek granit, dla którego istnieje tylko jeden kierunek: naprzód! Toteż moja nadzieja, że skończy to ciągnące się zagajenie, zostawiając mi resztę *Notatnika*, zbiedniała do myszki kościelnej.

Sytuacja stawała się groźna. Czułem, że zaczyna ogarniać mnie strach. Przestałem już nawet iść jego tropem i wybierać zdania, na których powinien skończyć, i w ogóle przestałem patrzeć w swój *Notatnik*. Nawet słuchać słuchałem już tylko piąte przez dziesiąte, a zacząłem na gwałt myśleć, co powiedzieć w wystąpieniu, które mnie czekało. Nic jednak nie

przychodziło mi do głowy, bo i jak mogłoby przyjść bez *Notatnika agitatora*.

Podniosłem błagalny wzrok na sekretarza, licząc, że może i on choć na okamgnienie spojrzy w dół, na mnie, i domyśli się, na co mnie skazuje. Lecz niestety był w najwyższym napięciu, bo oto zamykał niemiecką armię w kotle pod Stalingradem. Pot rosił mu gęsto twarz, a ciałem jego musiały wstrząsać jakieś podskórne dreszcze, bo *Notatnik* dygotał mu w ręku. Głos wznosił się ponad miarę jego niewielkiej postaci, grzmiał niczym kanonada. Zdania zdawały się wybuchać pociskami, bombami, waliły się jak mury, spływały krwią. Towarzysz Fularski, wciśnięty w krzesełko, pobladły, z otwartymi ustami, jakby zgodnie z artyleryjskim regulaminem, już tylko patrzył, kiedy jeden z tych pocisków trafi w niego. Zresztą przysiągłbym, że czuć było swąd prochu na sali. Nawet ta wielka jaskrawa żarówka zasnuła się dymem. I ludzie w krzesełkach wydawali się przycupnięci niczym w ruinach żołnierze, oczekujący na rozkaz do ataku. A gdy w to ich oczekiwanie padły nagle pełne otuchy słowa towarzysza Stalina, i na naszej ulicy budiet prazdnik, przestałem myśleć o czekającym mnie wystąpieniu i tak samo dałem się porwać temu przemaganiu się śmierci i życia, żołnierzy i stali.

Znikł nagle mój strach, narastający z każdą kolejną kartką przewracaną przez sekretarza, i wyobraziłem sobie, że w hełmie, w pałatce, z pepeszą na piersiach pędzę pod gradem kul, pod gwiazdami rakiet, przez leje, okopy, zasieki, przez jęki i ciała, przez strumienie krwi, przywieram do ziemi, podrywam się, znów pędzę i krzyczę z całej piersi, urrra! Zwycięstwo! I padamy sobie w objęcia z jakimś nieznanym żołnierzem, ściskając się, jak przystało na bohaterów. A gdy wreszcie odrywamy się od siebie, widzę, że to Sasza. Co prawda twarz cała osmalona dymem i krew mu ścieka spod hełmu poprzez skroń, policzek, brodę, ale nie mam wątpliwości, że to

Sasza. Ten sam szeroki uśmiech, te same jasne oczy. Jakże bym Saszy nie poznał.

Z tego wszystkiego nawet nie zauważyłem, że skończyła się druga wojna światowa. Sekretarzowi głos zmiękł, przycichł, już nie poprawiał sobie opadłych mu na czubek nosa okularów i nie podnosił już oczu na salę, gdy przewracał kartkę. Wydawał się i on sponiewierany tą wojną, chociaż nie był żołnierzem, jak my z Saszą.

Znów odżyła we mnie nadzieja, że teraz na pewno skończy to zagajenie. Bo jakkolwiek nie przewracałem już za nim kartek, to po grubości sądząc, została jeszcze z jedna trzecia *Notatnika*. Będę więc miał co przeczytać. Zdanie, dwa i na pewno skończy. Głos mu najwyraźniej przygasł. Jakby z grubego kordonka robiła się coraz cieńsza nić. Więc tylko czekałem, kiedy ta nić zamieni się w pajęczynę i urwie się. A teraz zabierze głos towarzysz z powiatu.

Ale gdzie tam. To tylko zaczynał się nowy etap w życiorysie towarzysza Stalina. Walka o pokój. Dużo trudniejszy niż ta wojna światowa. Tam wystarczyły samoloty, czołgi, armaty, żołnierze. Właśnie czytał, ile to myśli kosztuje towarzysza Stalina ten pokój, ile przemówień, ile spotkań, zebrań, prezydiów, plenów, uchwał. Jego głos niemal skarżył się, jak to całymi nocami towarzysz Stalin nie śpi, że jeść mu do gabinetu przynoszą, że jak ta gwiazda na niebie tak wciąż świeci się światełko w oknie na Kremlu. Zamgliły się wzruszeniem oczy towarzysza Fularskiego, chociaż ciało siedziało wyprostowane i w napięciu. Ciało jakby czekało jedynie, kiedy będzie mogło złożyć ręce do oklasków. Wzruszona wydawała się też dyrekcja, jakkolwiek pół na pół już drzemiąca. Wyglądało zresztą, że wszystkim na sali udzieliło się to wzruszenie, bo jakżeż to tak, pracować i nie spać? Wiedzieli dobrze, co to praca. I może właśnie to wzruszenie, że mogą spać spokojnie, bo nad ich spokojem czuwa towarzysz Stalin,

sprawiło, że tu i tam, a zwłaszcza w ostatnim rzędzie pod ścianą, niektórzy spali głębokim snem. Spały też wszystkie dzieci na kolanach matek. A nad nimi i niektóre matki.

Siedliśmy z Saszą na brzegu głębokiego leja po bombie, spuściliśmy nogi, jego obute były w parciane buty z cholewami, moje w sandały na drewnianych podeszwach. Stopy jego były dużo większe od moich. Po samych tych stopach widać było, że jest prawdziwym żołnierzem. Wyciągnął z kieszeni bluzy woreczek z krupczatką, z drugiej kawałek gazety, oderwał, nasypał i zaczął uwijać sobie skręta.

– Zakurisz? – spytał.

– Nie palę – powiedziałem. – Za mały jestem.

– Szto takoje małyj. Ty maładiec. Zakuri.

Nie paliłem jeszcze papierosów. Czasem tam tylko na pastwisku pociągnąłem na próbę od któregoś z chłopaków, ale mdło mi się zaraz robiło, zresztą mówiono, że mocna jest jak czort ta ich żołnierska krupczatka. Coraz usilniej mnie jednak namawiał:

– Za pabiedu nie zakurisz? Za tawariszcza Stalina nie zakurisz?

Oderwałem więc kawałek gazety, nasypałem tej krupczatki, ale nie szło mi zwijanie, ręce mi się trzęsły, krupczatka się wysypywała. Wziął ode mnie i sam mi uwił, przypalając od swojego skręta. Nie umiałem się jeszcze zaciągać, więc zatrzymywałem dym w ustach i z ust wypuszczałem. Spostrzegł to i kazał mi się zaciągnąć.

– Nu, szto ty? Nie budiet z tiebia nikagda sałdat.

Choć ze strachem, zaciągnąłem się, zwłaszcza że miałem zamiar mu powiedzieć o tym charcie. Byłem gotów nie taką cenę za to zapłacić. Mogłaby mnie nawet w rękę, w nogę kula trafić czy jakiś nieduży odłamek. Zatkało mnie, straciłem oddech, a po chwili piersi rozdarł mi straszliwy kaszel i łzy buchnęły mi do oczu. Zaczął się śmiać, jakby wtórując temu

dławiącemu mnie kaszlowi, i ni to pytał, ni stwierdzał, haroszaja krupczatka? Tak toczno, haroszaja. Potaknąłem mu, że haroszaja, choć nie mogłem wciąż w płucach dostać dna. A on dalej się śmiał, rzucił niedopałka w lej i jeszcze się śmiał. Nagle wstając, powiedział:

– Nu, ładno. – Zarzucił mieszek na plecy, obciągnął bluzę, furażerkę, poprawił pepeszę na piersiach. – A tiepier na Berlin – tymi słowami zawsze się żegnał, kiedy wychodził na front, był bowiem łącznikiem między frontem a zapleczem. – A tiepier na Berlin, babuszka – oddając babce garnek po wypitym mleku, bo za każdym razem przychodził do nas po drodze napić się tego mleka. Nie spasiba, nie doswidania, a tiepier na Berlin.

– O, daleko macie jeszcze do tego Berlina – przygadywał mu dziadek.

– Jeszcze was naginie – dodawał wujek Władek.

Ale nic nie odpowiadał. Zarzucał mieszek na plecy, obciągał bluzę, furażerkę, poprawiał pepeszę na piersiach i uśmiechał się tym swoim szerokim uśmiechem.

– Nu, a ty nazad damoj – powiedział.

I wtedy wyrzuciłem omal jednym tchem, że chciałbym mieć charta, gdyby spotkał gdzieś na froncie, to niech mi przyprowadzi.

– Szto takoj chart?

– Pies – powiedziałem.

– Znaczit sabaka. – I z wyraźnym zainteresowaniem zaczął mnie wypytywać, mały czy duży, jakie ma nogi, wysokie, niskie, ogon długi, krótki, uszy sterczące, obwisłe, sierść gładką, kudłatą, a jakiej maści, jak szczeka, co je. A pysk, i zaczął stroić miny, pucułowaty, nastroszony, spiczasty, ryjkowaty, płaski. Wsadził nawet dwa palce w usta i rozciągając je na całą szerokość, wyszczerzył zęby i zaczął warczeć, poszczekiwać, srożyć się jak prawdziwy pies. I tak się tym rozbawił, że straciłem nadzieję,

że mi tego charta kiedyś przyprowadzi. Zwłaszcza że wszystko, co mu o tym charcie powiedziałem, w większości zmyśliłem. Bo nigdy na oczy nie widziałem charta, a wiedziałem tylko tyle, że ma nogi jak tyczki, że w brzuchu jest jak dyszel, że najszybszy jest ze wszystkich psów, nawet zająca potrafi przegonić. I że w pałacach żyje. Ale tym się Sasza zupełnie nie przejął.

– Znaczitsia w dwarcach? – powiedział. – Niczewo, wsie dwarcy tiepier naszy.

Zresztą wszystko, co wiedziałem, wiedziałem od dziadka i wujków Władka i Stefana. A tak naprawdę to wiedziałem jedynie tyle, że bardzo go chciałem mieć.

Czasem wujek Stefan, kiedy z pola wracał, opowiadał, że mu zając spod nóg wyskoczył, a wielki jak basior, rzucił się nawet wujek z pałą za nim, ale gdzie człowiek może mierzyć się z zającem. Nawet gdy przystanął i wydawało się, że czeka na wujka, to nim wujek te dwa, trzy susy zrobił, już ten hycnął dalej. O, żeby tak mieć charta. To znów dziadek opowiadał czasem, jak jeszcze przed tamtą wojną chodził nieraz w nagonkę, kiedy we dworze urządzali polowanie, a zawsze zająca przyniósł czy bażanta, czy ryj od dzika, do tego rubla płacili, tylko że wracał zwykle bez głosu, ochrypnięty, musiał rumiankiem potem gardło płukać. Ale przynajmniej napatrzył się dziedziców, dziedziczek, panów, paniczów, jaśniepanienek, na koniach, w siodłach, przy ostrogach, w czapeczkach. No, i psów. O, psów to już różnych, ażby nie uwierzył, że tyle różnych psów żyje na świecie. Nigdy by we wsi takich psów nie zobaczył, bo co tam wiejskie psy, wszystkie takie same, jakby jeden pies na mrowie pokruszony, żeby starczyło każdemu do chałupy. I kiedy jeden szczeka, szczekają wszystkie, szczeka cała wieś tym jednym szczekaniem. Wyje jeden, tak samo wyją wszystkie. A tu niby wszystko psy, a takie bogactwo i niepodobieństwo, że

nie wiadomo było, czy to jeszcze psy, czy już inne stworzenia. O, musiał Pan Bóg lubić psy, i bardziej od świń, krów, koni, ludzi, bo niczego jego wola tak nie poróżniła jak psy. Może jeszcze ryby i ptaki. Ale rybom i ptakom kazał trzymać się daleko od człowieka, a psom razem z człowiekiem, bo choć człowiek go ukrzyżował, ale to człowiek jest najnieszczęśliwszy ze stworzeń. A najwięcej było zawsze chartów. Ale i chart do charta mało który podobny. Nieraz cienki i wysoki, że aż dziwne się wydawało, jak to się nie przewróci. Ale niech zoczył zająca, hyc, jednym susem go dopadał. A nieraz przesunięty w przód, że prawie bez tyłka, a tak samo hyc i już trzyma zająca przy ziemi. Wystarczyło zresztą, że dojrzał zająca, a już zając w jego oczach nie żył. Uciekać nawet nie umiał, drobił, kręcił, głupiał. O, truchlały zające po polach, kiedy chartów czuły. Tak samo lisy, nie umiały trafić z powrotem do nor, tak im węch chartami zachodził. I wszystko stworzenie truchlało, kiedy charty szły. Dziki, sarny, bażanty, kuropatwy, co tylko w polach, w lasach. Bo chart, kat na stworzenia i król między psami.

Próbował wujek Władek sprzeciwić się dziadkowi, że nie chart kat i król, ale wilczur. Chart aby na polowania się nadaje, a wilczur do wszystkiego. I też nie wiadomo, czy na polowania taki najlepszy, bo lepszy jest wyżeł. Młynarz Skórzyński miał przed wojną wyżła, to mówił, że nie chciałby mieć lepszego psa. Wszędzie poleci, przyniesie, co się tylko ustrzeli, na wodzie, w bagnach, w krzakach, wyniucha, trafi i jeszcze dogryzie, gdy nie całkiem dostrzelone. Jednej kaczki nie zgubił czy przepiórki, kuropatwy, choć nieraz sam Skórzyński nie wiedział, w której stronie ustrzelił. Wszystko do nóg przyniósł. Aż się dziwił Skórzyński, że ustrzelił, bo mu się wydawało, że nie trafił. I wyżeł zje, co mu dać, a charta wie ojciec, czym się karmi? Musi lepsze mieć niż człowiek. I w budzie nie będzie siedział. Pójść do dworu, to wylegują się po pokojach, na

dziedzińcu, w parku. Więcej jakby duchy psów niż psy. W nocy to mógłby się takiego przestraszyć, czy to nie za psa coś przebranego pokutuje. O, przeciąć wzdłuż jednego psa, to by miał dwa charty. Takie to i psy. Przed tamtą wojną może to i były psy, ale nie dzisiaj. Bo przed tamtą wojną ludziom się na niebie zwidywały różne znaki. A przyszła ta, to tylko samoloty. Nim człowiek zadarł głowę, już bomba na niego leciała.

Nie dał się jednak dziadek zbić wujkowi z tropu i nawet się nie bardzo bronił przed natarczywością wujka, powtarzając, a coraz dobitniej:

– Król między psami. – Czasem tylko przetykając oznakami złości: – Ty jucho, wścieklizno. – No, i raz, gdy już nie mógł widocznie nerwów utrzymać na wodzy, trzasnąwszy się swoim zwyczajem w kolano, buchnął: – Żebyś się i ty kiedyś w psa nie przemienił, jak ci przyjdzie pokutować.

Nie wiem czemu, lecz bardziej wierzyłem dziadkowi. Często też śnił mi się jakiś chart, a właściwie to bogactwo chartów, o którym opowiadał dziadek. Kiedyś miałem sen, że jadę na koniu, w siodle, przy ostrogach, w czapeczce na głowie, a wokół mnie cała sfora chartów, takie i siakie, a nawet bardziej niepodobne do siebie, niż opowiadał dziadek. Lecz wszystkie według tego, co wujek Władek opowiadał, a więc jakby poprzecinane wzdłuż na pół, chociaż nie widziałem ich od strony otwartych wnętrzności, bo ich lewe, zasłonięte skórami połowy znajdowały się po mojej prawej stronie, a prawe po lewej. Szły wolno, leniwie, jakby za chwilę miały z nóg pospadać i otworzyć się na te poprzecinane strony, wnętrznościami do wierzchu. A może nie mogły się tylko zdecydować, czy są jeszcze psami, czy już duchami psów i czy powinny w takim razie brać udział w polowaniu, czy już pokutować za grzechy. I strasznie się w tym śnie bałem, żeby nie pojawił się zając, bo mogłoby się okazać, że i zając jest nie z tego świata. I z jakimś dotkliwym poczuciem winy w jednym z tych chartów, ciągnącym się daleko z tyłu i umyślnie odstającym od

reszty, rozpoznałem wujka Władka. Ale też nie był to całkiem wujek Władek, lecz jakby Kruczek pokutujący za wujka Władka.

A wszystko zaczęło się od tego, że poprzedzony krótką poranną ulewą spadających na wieś pocisków, od których zapaliło się kilkanaście obejść, a po której nastała złowroga, naładowana niepewnością i oczekiwaniem cisza, przerywana od czasu do czasu wniebogłosami ludzkich rozpaczy i rykiem bydła, gdzieś tak koło południa nadszedł front.

Siedzieliśmy w piwnicy, zatopieni w głośnej litanii do serca Jezusowego, której przewodziła babka, bo tylko ona jedna umiała tę litanię na pamięć, my jedynie powtarzaliśmy, zmiłuj się nad nami, zmiłuj się nad nami, zmiłuj się nad nami, gdy nagle w górze otworzyły się drzwi i w snopie zamglonego sierpniowego światła ukazał się Sasza, z lufą pepeszy skierowaną ku nam w piwniczną ciemność. Najpierw rzucił krótkie zdyszane pytanie:

– Giermanca niet?

Na co wszyscyśmy chórem odkrzyknęli mu:

– Niet! Niet! – A dziadek jeszcze dorzucił: – Był, ale uszoł.

Zszedł kilka schodów ku nam, siadł sobie na jednym z nich tuż nad naszymi zadartymi głowami i uśmiechnął się tym swoim szerokim, dziecinnym uśmiechem. Zdjął z głowy hełm i z kieszeni bluzy wyciągnął woreczek z krupczatką, z drugiej kawałek złożonej gazety, oderwał, nasypał i zaczął uwijać sobie skręta.

– Takiś młody i już kurzysz – powiedziała babka. – A ileż ty masz lat?

– O, mnogo, babuszka – powiedział.

– Jak mnogo, kiedy jeszcze się nie golisz, widać przecież. Mleka byś się lepiej napił.

Stało wzdłuż schodów przy ścianie na poszczególnych stopniach mleko w gliniakach, i to z kilku dni, niektóre już skwaśniałe. Przydeptał tego

skręta i wziął najbliższy gliniak, choć mu babka kazała wziąć inny, z porannego udoju. Wsadził prawie całą głowę w ten gliniak, pijąc łapczywie, jakby od początku wojny nie pił mleka, a może i od niemowlęctwa, kiedy jeszcze z piersi matki ssał, aż mu to mleko spływało po brodzie, po bluzie, po pepeszy. Ale nie zważał na nic. Pił.

Front poszedł dalej, myśleliśmy, że już po wojnie i przenieśliśmy się z piwnicy na powrót do domu. Dziadek z wujkami zaczęli nawet kosy klepać, licząc, że uda się coś jeszcze zżąć, jeśli nie na chleb, to przynajmniej na siew. Sierpień był już po połowie, zboża przejrzałe, spalone od słońca, pogniecione przez czołgi, stratowane przez tyraliery, a na prawie każdym polu okopy, doły. Wyporządzili drabiniasty wóz, babka, wujenki robiły powrósła, matka gotowała i nawet ojciec, choć już coraz częściej polegiwał, wstał z łóżka i siedząc na pniaku w obejściu, popatrywał na tę krzątaninę jakby z nadzieją i na własne zdrowie. Ze wszystkich obejść dochodziło klepanie kos, nawet z tych, gdzie dopalały się zgliszcza chałup, stodół, chlewów. Mieszało się to klepanie z dalekimi wybuchami i trzaskającymi seriami oddalającego się frontu jakby jego pożegnalne echo.

Po paru jednak dniach coś się nagle zacięło w tej frontowej maszynie, zaczęło nadstawać, dostawać zadyszki, zaczęto zwozić coraz więcej rannych żołnierzy autami, furmankami albo niesiono ich na noszach, niektórzy o własnych siłach wracali, obszarpani, pokrwawieni, z poobwiązywanymi głowami, piersiami, z rękami zawisłymi na bandażach, niektórzy rozdziani z bluz, owinięci w nasiąknięte krwią strzępy koszul, niektórzy wspierając się na kijach czy jeden na drugim, czy dwóch po bokach, a jeden zwieszony między nimi. Nieraz cały pochód takich szedł.

Wróciła znów trwoga i znów zaczęły spadać na wieś pociski, tym razem z przeciwnej strony, tak że musieliśmy na powrót przenieść się z domu do

piwnicy. Wrócił też Sasza, na szczęście zdrów i cały, i wcale nie zmartwiony, szczerzył tylko zęby w tym szerokim, dziecinnym uśmiechu, zapewniając nas, że niedługo znów ruszą na Berlin i będziemy mogli zebrać to swoje zboże.

Front zatrzymał się kilka kilometrów od naszej wsi, żeby nabrać, jak mówił Sasza, oddechu, co miało trwać niedługo, lecz jak się później okazało, były to tylko pocieszenia, bo utknął na kilka miesięcy. A po paru tygodniach zdecydowano wieś naszą, jak i kilka sąsiednich wsi, wysiedlić za Wisłę. Nim jednak do tego doszło, Sasza za każdym razem, kiedy wychodził na front, wstępował do nas, żeby się pożegnać, bo może już nie wróci, a takie dobre mleko u nas pił, więc pił znów to mleko, chwaląc, że takie dobre. I zawsze z tym swoim szerokim, dziecinnym uśmiechem, jakby go tak radość rozpierała, że może nie wrócić, jakby chwała poległego żołnierza była czymś wzniosłym i naturalnym na wojnie, a życie jedynie przypadkiem i czymś niezrozumiałym.

Radziła mu babka, żeby się do Boga modlił, to będzie zawsze wracał, na co odpowiadał, że u nich nie ma Boga, tylko towarzysz Stalin. Bóg był przed rewolucją, mówiła mu matka, która go jeszcze pamiętała. Ale matka już nie żyje, nie żyje ojciec, umarł Bóg i jest tylko towarzysz Stalin.

Nie zważając na przestrogi, odprowadzałem często Saszę przynajmniej do końca wsi, a nieraz i spory kawałek za wieś. Schlebiało mi, że idę z prawdziwym żołnierzem, udającym się właśnie na front, a jeszcze nie wierzącym w Boga i gardzącym śmiercią. Mówiłem mu, Sasza, on mi mówił, Pietia, co tym bardziej podbijało moją dumę. I kiedyś właśnie, gdy odprowadziłem go już spory kawałek za wieś, zachciało mu się nagle zakurzyć, więc siedliśmy na brzegu głębokiego leja po bombie, i wtedy zwierzyłem mu się, że chciałbym mieć charta.

Nic mi nie obiecał, śmiał się tylko, lecz za tydzień, może dwa, gdzieś tak po południu, spokój we wsi był, nic nie padało, nie wybuchało, nie paliło się, usłyszałem nagle w otwartych drzwiach piwnicy wołanie Saszy:

– Pietia! Pietia!

Wyskoczyłem susami po schodach i oczy moje nie chciały uwierzyć w to, co zobaczyłem. Tuż nad piwnicą stał Sasza z mieszkiem na plecach, z pepeszą na piersiach, a przy nim pies, nie pies. Wysoki, przesunięty do przodu, jak opowiadał dziadek, i niczym połowa z przeciętego wzdłuż psa, według sprzeciwu wujka Władka.

– Chart! – powiedział Sasza, szczerząc zęby w tym swoim szerokim, dziecinnym uśmiechu. Trzymał go na kawałku kolczastego drutu, przewleczonego przez obrożę. – Nu, szto ty? – ni to zdziwił się, ni spytał, widząc w moich oczach niedowierzanie, bo jakoś nie odczułem wcale szczęścia, że oto spełniło się moje marzenie. Przeciwnie, lęk mnie ogarnął, jakby przyszedł z tym chartem zabrać mi to marzenie.

– Nu, szto ty? – powtórzył. – Bieri. – I chwyciwszy mnie za rękę, podciągnął ku sobie, wciskając mi koniec tego kolczastego drutu, na którym trzymał charta. Miałem przez chwilę wrażenie, że mi sam drut wciska. Patrzył coraz bardziej zdziwiony, jakby przestawał cokolwiek rozumieć, a jego szeroki, tryskający życiem uśmiech zaczął z wolna stygnąć, przemieniając się w grymas podobny tym wszystkim grymasom, którymi znaczone były twarze powracających z frontu rannych żołnierzy. – Chart – powtórzył. – Jej Bohu, chart!

Wtedy dopiero coś we mnie odtajało i zacząłem się cieszyć, choć ów początkowy lęk wcale mnie nie opuszczał. Cieszyłem się samą siłą woli, jakby na przekór temu lękowi, przywołując na pomoc wszystkie swoje radości z wszystkich lat od urodzenia.

– Chart! Chart! – krzyczałem w głąb piwnicy. – Sasza przyprowadził mi charta!

Zakotłowało się tam w ciemności od tych moich okrzyków, jak gdybym poruszył podziemia. Pierwszy wychynął z piwnicy wujek Władek, oczy miał rozbiegane, twarz wyciągniętą, przypominał zupełnie psa w pogoni za zającem. Za nim wujek Stefan, jak zwykle trochę ospały z nadmiaru w nim siły, z ustami rozchylonymi w takim samym ospałym uśmiechu. Potem dziadek schodek po schodku, z powagą w przymrużonych oczach, jak przed każdą koniecznością wydania wyroku, czy gdy chodziło o pogodę na jutro, czy o szczodrość lub niełaskę Boga. Potem matka, aż zachłanna z ciekawości, jak to matka, kiedy o mnie chodziło. Wujenka Jadwinia z kwitnącą dobrocią w oczach i przyspieszonym biciem serca, z czekającymi już w jej ustach słowami, Piotruś ma charta! Piotruś ma charta! Wujenka Marta, bledziutka jak poświata, ze smutkiem na twarzy, jak gdyby nie wiedząc, po co właściwie wychodzi. Za nią babka, podciągając w jednej ręce wszystkie swoje spódnice, a drugą przytrzymując się ściany, z głową spuszczoną, jakby w przeświadczeniu, że wszystko na tym świecie jest pokutą, a więc i ta droga z piwnicy na świat. Wychodzili jedno za drugim niczym z grobu, zmartwychwstali mocą mojego dziecinnego przywołania: – Chart! Chart! – Mocą mojej radości, której musieli dać przecież świadectwo, bo takie jest przeznaczenie każdego zmartwychwstania.

– Iii, tam – zdążył już powiedzieć wujek Władek, nie czekając, zanim inni wyjdą. – Chart albo i nie chart. – Zaczął obchodzić go nieufnie, zaglądając mu pod brzuch, pod ogon, naciskając na grzbiet, czy się gnie. – Suka nie jest, to chociaż nie będzie się ciekać. Ale chart to on najwyżej w połowie.

– Nu, szto, nie chart? – obruszył się Sasza. – Pałkownik Zubow skazał, szto chart, toczno chart.

– Chart – potwierdził dziadek. – Charta bym nie poznał?

– Jaki śmieszny – powiedziała wujenka Jadwinia. – I dziwny. Na co ci on, Piotruniu?

– Matko Święta, a cóż to takiego – wyrzuciła ze zgrozą babka, a nawet poruszyła ręką, jakby chciała się przeżegnać.

Na szczęście wujenka Marta odciągnęła ją od tego zamiaru, tchnąc zmęczonymi słowami:

– To jak śmierć, nie pies.

– Jaka śmierć? Jaka śmierć? Co i ty – rzuciła się na nią matka, bo nie bardzo lubiły się z wujenką Martą. – Nie widzisz, że pies? O, pysk, nogi, ogon, wszystko z psa. – Za to powsiadła na mnie: – Po diabła ci to, chłopak?

– Będę na zające chodził.

– Ja ci dam zające. Z piwnicy nosa nie można wyściubić, a ten na zające. Gdzie?!

I wtedy dopiero w otworze piwnicy ukazał się ojciec. Wychodził wolniutko, z rozwartymi ustami, które starał się daremnie jeszcze szerzej rozwierać. Najpierw ukazała się jego głowa.

– Poczekajcie – zawołał, łapiąc tymi rozwartymi ustami powietrze. – Powiem wam, czy to chart.

– Chyba chart – odezwał się jak zawsze po długim namyśle, wysłuchawszy przedtem wszystkich, wujek Stefan, lecz bez przekonania.

– Może nie wychodź – powiedziała matka, podbiegając do gramolącego się z piwnicy ojca. – To daj rękę, pomogę ci.

Ale nie przyjął jej pomocy, zatrzymał się jedynie na chwilę dla odpoczynku.

– Widziałem w tamtą wojnę dużo chartów. W jednym majątku na wschodzie, gdyśmy bolszewików gnali. – Znów zaczął się gramolić, powiększając się w otworze piwnicy do piersi, po chwili do pasa. – Poczekajcie!

Nikt jednakże nie chciał czekać, a kto wie, czy w narastającym rozgwarze ktokolwiek słyszał jego mizerniutki głos. Zwłaszcza wujek Władek parł do natychmiastowego rozstrzygnięcia.

– Pałkownik Zubow – powoływał się prawie już rozsierdzony Sasza.

– Co tam twój pułkownik – wujek Władek nie dawał mu nawet dokończyć. – A choćby i generał, to skąd zna się na chartach? Czy on od chartów generał? A nawet ten twój Stalin, skąd się zna? Od proletariatu on Stalin, nie od chartów, sam gadałeś.

– Tak toczno, od mieżdunarodnowo proletariata.

– No, widzisz. A chart jakby to był, miałby nogi dłuższe. Pysk dłuższy.

– Chart – powiedział z naciskiem dziadek. – Wypisz, wymaluj, jak tamte, kiedyśmy w nagonki chodzili. Pamiętam.

– I co, że ojciec pamięta? – wujek Władek nie poddawał się.

W tej samej chwili naszło mnie nienawistne pragnienie, żeby jakaś zabłąkana kula trafiła w wujka Władka. Nie na śmierć. Ale w rękę, w nogę. I nawet wyobraziłem sobie, jak wujenka Marta przypada do zakrwawionej ręki czy nogi wujka Władka i wyrzeka:

– I po co ci było mówić, że nie chart? Ty głupi. Po co? Wyszliśmy z piwnicy, to niechby był i chart.

A dziadek:

– Ano, szczęście, że nie na śmierć. Upomniało go tylko. Ale czy to się na coś zda? – I powtórzył: – Chart, chart. Pamiętam. Szliśmy tak raz, a tych

chartów cała zgraja, że konie jakby po nich szły...

Nie dał jednak wujek Władek dziadkowi dokończyć:

– W pamięci, ojciec, to i krowy po pięć razy się na dzień doi, i konie po dwa wozy ciągną, i wszystko jest po dwa, trzy. To i w nim musi być co najmniej pół rasy innej. Psy się też parzą, z kim popadnie. I nie rasa z rasą, tylko suka z psem. A jak choćby pół, to już nie chart.

– Nie sprzeczaj się, Władziu – prosiła wujenka Marta. – Wracajmy lepiej do piwnicy.

– Matko Święta! – zdumiała się babka. – Jakoś patrzy tak na nas jak nie pies. Obcych tyle, a nawet nie zawarczy.

– Bo nie czuje w nas wrogów – wujenka Jadwinia otwierała już serce: – Piesiu, piesiu. – Spróbowała go pogłaskać. – Popatrzcie, daje się pogłaskać. Musi głodny być.

– Kuszał – wtrącił Sasza. – Ja jemu dał tuszonki, nu, on nie chatieł, znaczit nie gałodnyj.

– O, jak to drży – zatroskała się wujenka Jadwinia. – I czemuż on tak drży?

– Musi być wojną wystraszony – powiedział wujek Stefan. – Wszystkie psy teraz wystraszone. Nasz Kruczek nie zdjął się z łańcucha?

– I gdzie ta cholera poleciała? – Wujek Władek na wspomnienie Kruczka zatrząsł się ze złości. – Mówiłem, zabrać go do piwnicy.

– To trzeba by zabrać konie, krowy, świnie, kury, gęsi, kota – powiedział, jakby z pokorą wobec przeznaczenia, dziadek. – Piwnica nie arka Noego. Bóg i nam może nie dać przeżyć.

– O, tak, chart – łapiąc wielkimi łykami powietrze, powiedział ojciec, który wyłonił się nareszcie w całości z piwnicy, a właściwie jakby zrzucił zmachany tę piwnicę z ramion. – W tym majątku na wschodzie...

Nie dokończył, bo w tej samej chwili nad naszymi głowami rozległ się przeraźliwy gwizd przelatującego pocisku i wszyscy hurmą rzucili się do piwnicy.

– Adin, dwa, tri, czetyrie, piať – liczył spokojnie Sasza, aż rozległ się gdzieś tam potężny, choć przytłumiony wybuch. – Piať kiłomietrow – powiedział. – Słyszno, kak letit, znaczit nie nada bojatsia.

Ale oprócz nas dwóch i dziadka wszyscy byli już w piwnicy, a ojciec właśnie wchodził, przytrzymując się wychylonej z otworu matki.

– Piotrek, chodź tu zaraz! – przywoływała i mnie. – Słyszysz?!

Znów rozległ się gwizd, i to tuż nad naszymi głowami, że ledwo zdążyliśmy się przykulić, a Sasza nie zaczął nawet liczyć, gdy potężny wybuch zakołysał ziemią pod naszymi stopami i niedaleko buchnęły płomienie, a ucięty jesion podskoczył ponad chałupami ku niebu.

– U Kubików – rzekł dziadek – to ich jesion. Ale siedzą w piwnicy tak jak my. Chyba że Kubiczka poszła obiad gotować do chałupy.

– Słyszysz?! – rozległo się znów z piwnicy nawoływanie matki. – Piotrek! Cholera by nadała z tym chłopakiem.

– Nie wołnujties, nie wołnujties – uspokajał Sasza, kierując te uspokojenia w pusty otwór piwnicy.

– I co ty, dziecko, z nim zrobisz? – Dziadek wskazał na charta.

– Będę chodził na zające – wyrzuciłem z gorącym przekonaniem.

– Teraz na zające? W polach tak samo wojna.

– To po wojnie – powiedziałem.

– Nu, da – poparł mnie Sasza. – Czieriez dwa, tri dnia giermanca uże nie budiet. A my na Berlin.

– Ale i zajęcy już nie będzie – powiedział dziadek, rozglądając się z zatroskaniem po obejściu. – Gdzie go tu trzymać? To nie zwykły pies jak

nasz Kruczek, moje dziecko. Potrzebuje swobody. – I nie znajdując widocznie żadnego wyjścia, a nie chcąc mi już odbierać radości, powiedział: – Pójdę zobaczyć, co tam z Kubikami.

Leżał wolny łańcuch po Kruczku, więc postanowiłem, że uwiążę charta na nim, bo nic innego nie mogłem mu na razie ofiarować. Myślałem zresztą, że na łańcuchu prędzej się do mnie przyzwyczai. Łańcuch był długi. Sięgał od budy aż za połowę obejścia, do chlewów, stajni, do piwnicy, do furtki, do sadu, więc byłem pewny, że wystarczająco będzie miał swobody, skoro to taki pies, że bez swobody żyć nie może. Buda po Kruczku też była duża, z dużym otworem, bo zbudowana nie tylko na miarę Kruczka, lecz na wszystkie psy, i te przed Kruczkiem, i te po Kruczku. Zmieniłem w niej tylko słomę na świeżą i rozścieliłem kawałek starej derki.

Najgorzej było z jedzeniem, bo nie wiedziałem, co taki chart może jeść. Wujek Władek powtarzał z uporem, że nie to, co wszystkie psy, bo wszystkie psy byle co zjedzą, zalewajkę, chleb, kości, a chart nie zje. Dziadek natomiast więcej zgadywał, że to i tamto, bo widział charty tylko na polowaniu, a na polowaniu nie dawali im jeść. I żałował, że się psiarza we dworze nie spytał, co też takie charty jedzą. Nie wiedział też ojciec, bo w tym majątku na wschodzie nie charty ich obchodziły, lecz bolszewicy, którzy potem wyparli ich z tego majątku, a kiedy znów oni wyparli bolszewików, to chartów już nie było, bo nic nie było, tylko popioły i zgliszcza.

Wymyłem więc miskę po Kruczku i nalałem mu mleka. Wychłeptał ledwo trochę, wysuszony widocznie drogą z frontu, gdy go Sasza prowadził, no, i sierpniowym upałem, a reszta skwaśniała. Na drugi dzień nie chciał już ani pić, ani jeść, leżał przy budzie i tylko skamlał. Nie zważając, że pociski po niebie jazgoczą, a z piwnicy nawołuje mnie przerażona matka, usiadłem przy nim i podsuwając mu dłoń z pokruszonym

chlebem oraz miskę ze świeżo nalanym mlekiem, namawiałem go, prosiłem najczulszymi słowami, od których samemu mi się na płacz zbierało, no, jedz, jedz, nikt cię tu nie chce skrzywdzić, jedz, wszyscy to samo jemy. Tuliłem się do jego boku, do jego pyska, a on skamlał.

Mleka jeszcze czasem pochłeptał, ale chleba, sera, boczku czy nawet mięsa z kurzej łydy nie tknął, gdy korzystając, że zrobiła się przerwa w wojnie, zabił wujek Stefan kurę i matka ugotowała na kuchni w chałupie rosołu, bo od wielu już dni nie jedliśmy gotowanego. Wrzucił mi ten kawałek ze swojej łydy na mój talerz dziadek, mówiąc, masz, zanieś mu, może to zje.

Stał akurat, co natchnęło mnie nadzieją, że może zje, bo rzadko kiedy dało się go ujrzeć stojącego, przeważnie leżał. Toteż mogło się nawet wydawać, że jest gotów zgodzić się na swój los, kiedy stał.

– Przyniosłem ci kawałek łydy z kury! – zawołałem radośnie. – Dziadek ci dał. Teraz to już zjesz. Dziadek je, to wszystkim aż oczy wyłażą.

Lecz wyrzucił tylko pysk ku niebu, dzwoniąc uwieszonym u szyi łańcuchem, i zaskamlał tak żałośnie, jakby samemu Bogu chciał się poskarżyć.

Wszyscy już zastanawiali się, co by mu tu dać, bo nawet nie chodziło tak o to, że głodny, tylko że już nie dawało się wytrzymać tego jego skamlenia. Czasem to skamlenie przechodziło w ciągły jęk, jak gdyby nabrzmiały tęsknotą, czasem w jakiś niepodobny do psiego pisk, ni to kota, ni myszy, w najlepszym razie wydawało się, że to pisk nowo narodzonego szczenięcia, które jeszcze nie widzi, nie chodzi albo całkiem zacichało. Lecz kiedy cichł, stawało się to jeszcze trudniejsze do zniesienia, bo wszyscy w napięciu czekali, kiedy znów zacznie skamleć. A gdy nadchodziła noc, porzucał to skamlenie i zaczynał wyć. Grozą wiało, bo żaden z wiejskich psów tak nie wył. Wiejskie psy i skamlały zwyczajnie,

i wyły zwyczajnie, i wiadomo było, że to głosy psie, bez nich wieś byłaby pusta nocą, nieprzytulna. A tu noc robiła się od jego wycia niczym otchłań bez brzegów, jakby miał nie nastać nigdy dzień. Było to gorsze od gwiżdżących pocisków, wybuchów, pożarów, wniebogłosów i od całej tej wojny. Bo do wojny przywykliśmy, zresztą przeciw wojnie można było się pomodlić, a na te jego skamlenia, wycia nie było sposobu.

Zachodzili nieraz sąsiedzi pytać się, co tak u nas skamle, wyje. I nikt nie chciał uwierzyć, że to pies. A już zupełnie nie mogli zrozumieć, że go na swoją udrękę na łańcuchu trzymamy. A puścić cholerę, niech idzie, radzili. Zachodzili i żołnierze. Kiedyś przyszedł wyższej rangi oficer.

– Nu, szto on, sumaszedszyj? Tak nada zastreliť.

Przekonał go jednak dziadek, że nie, że młody jeszcze, że do łańcucha tylko nienawykły, ale przywyknie i nie będzie skamlał ani wył. A mnie serce bez przerwy krwawiło, byłem gotów go bronić przed najwyższym nawet oficerem i przed wszystkimi. A gdyby miało się coś mu stać, pragnąłem, żeby mnie się stało to samo. A gdy na płacz mi się zbierało, zaciskałem powieki, żeby nie płakać. Bo zdawałem sobie sprawę, że on nie mojego płaczu potrzebuje, lecz mojej wytrwałości, więc muszę być jak żołnierz wytrwały.

Razem z moim krwawiło też serce wujenki Jadwini.

– Matko Święta, trzeba coś zrobić – nie dawała za wygraną, gdy już wszystkich ogarniała bezradność, co by taki chart mógł zjeść. – Zdechnie przecież, jak nie będzie jadł. Mało wojny, patrzeć jeszcze, jak pies zdycha. A nim zdechnie, ile to się, mój Boże, naskamle, nawyje. Stefan, zrób coś, pomyśl.

– A co ja mogę? – Wujkowi Stefanowi też robiło się przykro, nie tyle ze względu na charta, co na wujenkę Jadwinię. – Mogę mu najwyżej dać swoje. Ja tam jestem na głód wytrzymały.

– Może by surowe jajko zjadł – wpadła kiedyś na pomysł wujenka Jadwinia. – Psy nieraz wyjadają jajka z gniazd. Pamiętasz, Stefuś, tego kudłatego u Bąków? Czekał tylko, kiedy kura z gniazda zejdzie. Idź no, popatrz do stodoły, może któraś zniosła.

– Gdzie by ci w taką zawieruchę kury jajka niosły? To musiałoby z tydzień nie walić. Trza poczekać, aż front odejdzie.

Poszedł jednak, przyniósł kilka jajek, wujenka Jadwinia ubiła kogel-mogel i zaniosłem chartowi. Zaskamlał, zajęczał, ale nawet nie liznął. Zaczął tylko jakoś dziwnie popiskiwać, jakby mysz miał w sobie zatrzaśniętą i nie mógł się od niej w żaden sposób uwolnić. Pomyślałem, że zdycha. Jakaś bulwa stanęła mi w gardle. Pobiegłem do piwnicy, że chart zdycha.

– Chart zdycha!

Wyszedł dziadek, wujkowie, wujenki, matka, babka, a po chwili i ojciec się wygramolił, zasapany, pot mu czoło rosił.

– Nie – orzekł dziadek – nie zdycha, moje dziecko. On tak z siebie tylko. Widzisz, wstaje.

Rzeczywiście zaczął się podnosić, jakby uznał, że wobec tylu ludzi stojących wokół niego, i to różnych wiekiem, nie wypada psu leżeć. Wujenka Jadwinia pogłaskała go po pysku, a on polizał ją po ręce.

– Żeby tylko chciał jeść, mój Boże, żeby tylko chciał jeść – rozczuliła się.

– Nie będzie już jadł – powiedział ojciec, który rzadko zabierał głos, ani gdy radzono, co też taki chart może jeść, ani czemuż tak skamle, wyje, ani gdy go matka pytała:

– Powiedzżeż coś, poradź. Kształcony jesteś.

– Skąd ja mogę wiedzieć? To nie takie proste wiedzieć, choćby i o psie. Puść go, synku, niech sobie lepiej idzie. Szkoda psa.

– A według mnie – wyrwał się jak grom z jasnego nieba wujek Władek – to on musi być wściekły.

– Co ty, Władziu – przestraszyła się wujenka Jadwinia – wściekły?

– Zawsze głupio coś powiesz – dziadek się obruszył. – By był wściekły, to tak nie stałbyś. I piana by mu z pyska się toczyła.

– Bo charty mogą inaczej się wściekać, ojciec. Na smutno i nie gryzą, tylko skamlą, wyją.

– Wścieklizna, to wścieklizna, a on, widziałeś, Jadwinię polizał – odparł dziadek.

– O, i łzy jakby miał w oczach – wpadła niemal w słowa dziadka wujenka Jadwinia. – Widać płacze.

– U ciebie to zaraz wszystko płacze – odezwał się wujek Stefan. – Pies płacze, kura płacze, ciele płacze. A z głodu mu się tak szklą.

– A może on nie pies, tylko czyjaś dusza w psie pokutująca, Jezusie Nazareński! – babka aż się sama zlękła własnych słów. – Spytajta go, czego dusza potrzebuje.

– Głupie zabobony, matka – wyrzucił ze złością wujek Władek.

– Oj, zabobony, zabobony.

Długo jeszcze się przekomarzali, radzili, aż chart znowu się położył i zaczął skamleć, i wrócili wszyscy ponownie do piwnicy, nawet jakby tym jego skamleniem pocieszeni, że skoro skamle, to nie zdycha. A wieczorem, kiedy jeszcze zaczął wyć, dziadek mnie pocieszył:

– Słyszysz, wyje. A jak wyje, to nic mu nie jest, moje dziecko. Będzie jeszcze jadł. I będziesz chodził z nim na zające, niech się tylko wojna skończy.

Toteż po raz pierwszy od tych kilku dni zasnąłem szczęśliwy. A z tego szczęścia nic mi się nawet nie śniło. Rano zbudziłem się później niż zwykle, wszyscy już dawno powstawali, pociski raz po raz wybuchały

gdzieś nad nami, aż piwnica chodziła, a w paru miejscach tynk się zaczął osypywać.

Zaklinała mnie matka:

– Wracaj, Piotrek! Gdzie idziesz?! Ani mi się waż!

Prosiła wujenka Jadwinia:

– Nie chodź, Piotruś. Zostań.

Upominał wujek Stefan:

– Poczekaj chociaż, aż przestaną walić!

Krzyczał wujek Władek:

– Zabije cię jeszcze! Wracaj!

Ale już byłem na szczycie schodów. Pchnąłem drzwiczki, spodziewając się zobaczyć pierwszym rzutem oczu mojego charta. I w tej samej chwili serce mi stanęło. Charta nie było. Podbiegłem do budy. Leżał tylko łańcuch, nawet z obrożą, a po charcie ani śladu. Złapałem ten łańcuch i zacząłem go ciągnąć po obejściu, jakbym zapragnął sam stać się tym chartem, chociaż nie wiem, czy pragnąłem czegokolwiek prócz śmierci. Przypadłem do otworu piwnicy i zacząłem krzyczeć z wszystkich sił w głąb:

– Charta nie ma! Charta nie ma!

Nikt się jednak nie zdziwił, żadne poruszenie z piwnicy mnie nie doszło. I gdy tak czekałem w tym otworze, że może ktoś zacznie ku mnie iść po schodach, usłyszałem przygnębiony głos dziadka:

– Puściłem go, moje dziecko. Odpuść mi. Tak będzie dla niego lepiej. To pański pies.

Nie byłem w stanie nawet odczuć nienawiści do dziadka. Popędziłem od razu na wieś, gnany resztkami nadziei, że może jeszcze gdzieś dopadnę charta. Nie musiałem nawet daleko pędzić. Kilkanaście chałup od nas, przy kapliczce, dostrzegłem wojskowe auto, a wokół gromadkę ludzi. Stali i ni

to radzili, ni wpatrywali się w ziemię, a jeden z wojskowych zdjął nawet czapkę i drapał się po głowie. Byłem prawie przy nich, a nie domyślałem się jeszcze, nad czym ni to radzą, ni to się wpatrują. Aż dopiero ten wojskowy drapiący się po głowie zaklął:

– Job jewo mať! Ja nie chatieł! Jej Bohu!

I wtedy przez jego rozstawione nogi zobaczyłem mojego charta rozciągniętego bezładnie na ziemi. Przedarłem się przez ludzi, krzycząc:

– To mój chart! Mój chart!

Obsunąłem się tuż przy nim na kolana. Nie żył. Z pyska toczyła mu się strużka krwi. Przytuliłem się do jego boku i choć powstrzymywałem się od płaczu, oczy niezależnie ode mnie płakały i wstrząsane drgawkami płakało moje ciało.

– Nu, ja nie chatieł. Jej Bohu – tłumaczył się wciąż wojskowy. – Malczik, słuszaj. My jechali, a on...

I wtedy usłyszałem w górze nad tym moim dziecinnym płaczem zachrypnięte, zmęczone wezwanie sekretarza:

– A teraz zabierze głos towarzysz z powiatu.

3
Kruczek

Nie wiem, skąd się wzięło we mnie to pragnienie, żeby mieć charta. Zwłaszcza że był już Kruczek. A odkąd przyjechaliśmy na wieś, do dziadków, gdy wybuchła wojna, Kruczek stał się moim najwierniejszym i chyba jedynym prawdziwym przyjacielem, a także powiernikiem moich najtajniejszych strapień. Mógłbym nawet powiedzieć, że to Kruczek wprowadził mnie w nieznany mi świat, w łąki, w krowy, w chłopaków na pastwisku. Toteż nie traktowałem Kruczka jako psa. I nikt go tak u dziadków nie traktował. Kruczek to był Kruczek, domownik, ktoś z rodziny, przypisany do zmartwień, trosk, kłopotów, smutków, lęków, ale także do tych nielicznych chwil radości, jakie czasami się zdarzały. Podatny był zresztą na wszystkie nastroje i gdy tylko coś się niedobrego zdarzyło, popadał od razu w osowiałość, nie wychodził z budy, a na miskę z żarciem, którą mu przynosiłem, bo mnie przypadła ta rola, patrzył z obojętnością. Nie szczekał wtedy na nikogo, choćby ktoś obcy wszedł w obejście, a już kury, gęsi, kaczki mogły mu po nosie jeździć. Nie wył też po nocach, choćby księżyc był jak bania, a nawet gdy miał ktoś umrzeć we wsi. A spuściło go się z łańcucha, to nie gonił na wieś, lecz przychodził do chałupy, kładł się pod stołem i leżał, nieczuły na najbardziej pieszczotliwe słowa czy głaskania. Wtedy i kot mógł bez obawy leżeć na przypiecku.

A już zwłaszcza nie znosił, gdy ktoś z domowników płakał. Łasił mu się wówczas do nóg, wdrapywał się na kolana, obszczekiwał go lub skamlał na zmianę, ale jakimś takim dziwnym skamleniem, że aż ciarki po skórze przechodziły. Mówiło się wtedy, nie płacz, bo i Kruczek płacze.

Za to w tych nielicznych chwilach radości robiło się w domu pełno Kruczka, skakał, biegał, od wujka Władka do wujka Stefana, od dziadka do babki, od matki do wujenki Jadwini, od wujenki Marty do ojca, do mnie. Chwytał za spodnie, za spódnice, udawał, że gryzie. Wyciągał spod łóżek, co tylko tam znalazł, buty, łapcie, onuce, skarpety, pończochy, włóczył to po izbie, tarmosił, warczał, jakby coś żywego to było, i nieraz tak się rozgorgolił, że nie dawało się inaczej przywołać go do porządku, tylko trzeba go było na dwór wyrzucić. Kiedyś z tej radości wylał mleko ze skopca, które wujenka Jadwinia przyniosła od udoju. Innym razem wpadł do cebrzyka z pomyjami. To stukł lampę, bo stała na brzegu stołu, a ten za muchą robacznicą skoczył, która siadła akurat przy lampie. A wszystko to na potwierdzenie, że i on się z nami raduje.

Oprócz zwyczajnych psich posług pełnił więc w rodzinie wiele innych ról, można by powiedzieć, w strefie niedookreślonej, a zarezerwowanej jedynie dla psa. Takie właśnie zadanie zadał mi kiedyś pan, do którego chodziłem na lekcje, pies w życiu człowieka. A gdy napisałem mu o Kruczku, wyraził zwątpienie, czy to pies.

Miało się naturalnie, jak to w rodzinie, różne pretensje do Kruczka, a to że czegoś tam nie przypilnował, a to że pozwolił komuś do sadu wejść i obtrząść gruszkę czy śliwkę, a to że pogryzł się z innymi psami, a to że ciągle pchły przynosi. A najczęściej, że na suki lata, zostawiając obejście na łasce i niełasce, a potem złachany śpi cały dzień. Za to latanie wujek Władek przylał mu czasem lub złapawszy za kudły, wyrzucał go z izby czy wiązał na łańcuchu za karę na dzień, dwa, w zależności, jak ocenił winę Kruczka. Bo wujek Władek miał zwykle najwięcej pretensji do Kruczka, można by powiedzieć, że wszystkie pretensje i żale odnosił do Kruczka. I to też była nie do zastąpienia rola Kruczka.

Nie dlatego nosiłem jeść Kruczkowi, że mi ktoś kazał, robiłem to z własnej, nieprzymuszonej woli. Nieraz już z miską w ręku babka czy wujenka Jadwinia, czy wujek Stefan albo wujek Władek zmierzali do Kruczka, to im wyrywałem, że sam zaniosę, bo za każdym razem czułem się wyróżniony, gdy Kruczek na mój widok zrywał się, skakał, obłapiał mnie za nogi, nie dając mi tej miski donieść do budy, i aż skamlał z radości, jakby ta jego radość była z mojego powodu. I to dzięki wujence Jadwini, bo już pierwszego dnia, ledwo w progi dziadków weszliśmy, babka rozstawiała właśnie na stole talerze do obiadu, a wujenka Jadwinia szykowała miskę dla Kruczka i wręczając mi tę miskę, powiedziała:

– Idź, zanieś Kruczkowi, niech cię pozna. Najlepiej od psa zacząć. Potem pójdziemy do chlewów, poznasz krowy, świnie, gęsi, kurki, kaczki. No, idź, nie bój się. Z jedzeniem, to cię nie ugryzie. Pchłów ma tylko dużo. Ale na to nie ma rady. Musisz i pchły jego polubić, jak chcesz mieć przyjaciela. A z chłopakami lepiej się nie łączaj. Paskudy wszystko. Wyciągną, co będą mogły, od ciebie. Jeszcze cię nieprzyzwoitości nauczą.

I niedługo miałem się przekonać o prawdziwości słów wujenki, gdy zacząłem krowy paść, a strasznie się ich bałem. Nie tylko że ogromne, ale trzy ich było i cielę. Niby wujek Stefan zapewniał, że z krowami łatwiej niż z gęśmi, że w krowach sama posłuszność, że wystarczy batem przysiepać, aby nie po brzuchach tylko, i pokazał mi, jak się mam tym batem posługiwać, lecz nie mogłem pokonać tego strachu w sobie przed ich wielkimi cielskami. Niby oczy wydawały się mieć łagodne i jak niebo szczere, pogrążone w wilgotnej zadumie, kroki dostojne, cierpliwe, lecz skąd mogłem wiedzieć, co się w takich ogromnych cielskach czai. Zresztą nigdy już nie opuściło mnie przekonanie, że są najbardziej nieprzeniknione ze wszystkich stworzeń świata.

Próbowała mnie nawet matka bronić przed tym pasieniem, że przecież nie umiem, miejskie jestem dziecko, że nie pozwoli zrobić ze mnie pastucha, do szkoły muszę zacząć chodzić, to kiedy będę lekcje odrabiał? Kiedy książki czytał? A tak lubię czytać, że poza książkami nic mnie nie obchodzi. O, kupił mu ojciec o Napoleonie, o Kolumbie, *Chłopców z Placu Broni*, to aż płakał, kiedy czytał. Do późnej nocy nieraz czyta. Idź spać, Piotrek. A on czyta. A wy mu każecie krowy? Bym wiedziała, że tak będzie, tobyśmy tu wcale do was nie przyjeżdżali. Co się z krów nauczy? Papierosów palić i świństw od pastuchów.

– To chociaż po południu – przekonywał dobrotliwie dziadek. – O, łąki po deszczach porosły, szkoda, żeby się zmarnowały. Nasze krowy spokojne, to i książkę może sobie wziąć.

– Kiedy nie wie nawet, jak się goni krowy na pastwisko – opierała się bliska płaczu matka. – A niech którą bąk ugryzie i zacznie wariować? Czy niech się z obcymi krowami zaczną bóść? Co dziecko zrobi? Boże! Boże! Do czego nas ta wojna doprowadziła. Moje dziecko za krowami.

– Ano, żeby było komu – dziadek się usprawiedliwiał. – Ale nie ma komu. Sama widzisz.

I wtedy wujek Stefan, chcąc pocieszyć matkę, powiedział:

– Nie martw się. Kruczek z nim pogoni. Kruczek go nauczy. Kruczek sam nawróci, jak będzie potrzeba. Kruczek przyprowadzi, jak która gdzieś pójdzie. Kruczek rozgoni, kiedy by się bodły. Kruczka prędzej się słuchają niż bata.

I tak też było. Jeszcze w obejściu, ledwo wyszły z chlewa, Kruczek od razu zaczynał je obszczekiwać, formując w kolumnę. Widać zresztą było, że słuchają go, bo nawet nie za dużo szczekał. A w drodze na pastwisko, oblatując je dookoła, czasem tylko szczeknął, więcej jakby dla

przypomnienia się, żeby się którejś nie wydało, że mały, to mógłby się zapodziać między ich nogami, w kurzu.

Szły ciasno jedna za drugą, kołysząc się ciężko na boki, a żadna nie pozwoliła sobie na jakiekolwiek odstępstwo, każda tym samym statecznym rytmem, jakby poza rytmem świata i według sobie jedynie wiadomej, być może, jeszcze pierworodnej miary. Tylko cielę na końcu trochę drobiło. Toteż uwijający się przy nich Kruczek wyglądał niczym znerwicowany kłębuszek, aż go musiałem nieraz napominać, nie lataj tak, Kruczek, idą, to niech idą, same wiedzą, gdzie idą.

Za to po przyjściu na pastwisko od razu wyciągał się w trawach, przywierał do ziemi, mogłoby się wydawać, że śpi spowity w swoje psie sny. Widział jednak łąki i przez najbardziej gęste sny, a prócz tego, jakby jakiś regulamin pasienia miał w sobie, bo na każde uchybienie krowy, wobec któregoś z przepisów, nagle zrywał się i z wściekłym ujadaniem zawracał ją na właściwe miejsce.

Mógłbym więc, zdając się na Kruczka, bez obawy zlec w cieniu wikliny czy pod którąś z wierzb oddzielających pastwiska od mokradeł i, jak radził dziadek matce, czytać sobie książkę, gdyby mi się chciało. Lecz wbrew zapewnieniom matki, że tak lubię czytać książki, wcale mi się nie chciało, bo szybko doszedłem do przekonania, że o wiele ciekawsze jest pasienie krów i że wojna ma też przyjemne strony. A gdy jeszcze zaprzyjaźniłem się z innymi pastuchami, to i bez czytania można było się nasłuchać, i ciekawszych rzeczy niż w książkach.

Nie wiem, kim byłem dla Kruczka, lecz na pastwisku zaliczał mnie najwyraźniej do krów. Nie tylko bowiem włączył mnie w zakres swoich psich obowiązków, lecz pilnował ze szczególną troską, nieomal jak dziadkowe cielę. Ilekroć oddaliłem się w głąb łąk, przekraczając obszar jego czuwania, natychmiast zrywał się i zabiegając mi drogę, poszczekiwał,

abym zawrócił. Tak samo gdyśmy się, jak to między chłopakami, bili, ganiali, bawili w różne zabawy, a nieraz bolesne, Kruczek zawsze był blisko mnie i kiedy uznał, że krzywda mi się dzieje, a zwłaszcza kiedy ktoś mnie uderzył, wykręcił mi rękę, podstawił nogę czy w ogóle próbował znęcać się nade mną, szczerzył groźnie zęby i nie pozostawał dłużny. A już diabeł w niego wstępował, gdy zobaczył, że płaczę. Wczepiał się w portki winowajcy, w łydy, rwał za bat, nieczuły na razy, jakie nań przy tym spadały, a potem siadał przy mnie, merdając ogonem, że już pomścił mnie, mogę przestać płakać.

Dla mnie był Kruczek światłem w ciemnościach. Odnosiłem wrażenie, że to on mnie prowadzi przez te wszystkie manowce, że na jedno mi przyzwala, przed innym ostrzega, stoi murem za mną, czuwa i wszystko rozumie, niczemu się nie dziwi, a jeszcze wierny jest, jak to pies. Nade wszystko jednak stał się pierwszym powiernikiem moich dziecięcych tajemnic. Nigdy bym tego nikomu nie powiedział, ni chłopakom, ni ojcu, ni matce, ni księdzu na spowiedzi, co mówiłem nieraz Kruczkowi. Jeśli przy tym zważyć, że istotą każdej tajemnicy jest poczucie winy, to spełniał także Kruczek rolę współwinnego moich zwierzeń. Może to nawet dzięki Kruczkowi odkryłem, że można się komuś zwierzyć. Zresztą wymuszał te zwierzenia na mnie. Gdy domyślił się, że coś mnie trapi, siadał przy mnie i strzygł uszami, merdał ogonem, jakby mnie zachęcał, mów.

Razu jednego Fredek Guz przyniósł na pastwisko wieść, że fryzjerowa się puszcza. Doganiając krowy do łąk, już z daleka krzyczał:

– Fryzjerowa się puszcza! Fryzjerowa się puszcza!

Niby nic takiego, stale ktoś z chłopaków przynosił takie wieści na pastwisko, ta się puszcza, tamta się puszcza, z kim, jak, gdzie, z najdrobniejszymi szczegółami. Nieraz opowieści szły w zawody, który którego przebije, jakby kartę przebijał, pulę, bank. Wynikało z tego, że

wszystkie we wsi się puszczają, panny i mężatki, matki dzieciom, wdowy, co dopiero zaślubione i najpobożniejsze. Prócz starych. Ale i o starych też się nieraz przebijali, jak się kiedyś puszczały. A także o umarłych, która się w puszczaniu wyróżniała jeszcze dawniej we wsi i przez to tylko w pamięć ludzką zapadła.

Lecz Fredek Guz przebijał wszystkich. Do siódmej klasy chodził, i to któryś rok, papierosy palił, klął jak dorosły, a niejeden dorosły nie mógłby się z nim równać. No, i opowiadać umiał jak nikt. A gdy jeszcze uwił sobie skręta z podkradzionego ojcu tytoniu i zaciągnął się, to mu każdy był gotów służyć, żeby tylko opowiadał. A największą karą było, gdy kogoś odsunął od słuchania. Ty nie będziesz słuchał, spieprzaj. I musiało się odejść na taką odległość, gdzie nie dało się już nic usłyszeć, a wtedy opowiadał zwykle najciekawiej. Trzeba go było długo błagać, żeby znów dopuścił do słuchania. Albo czymś go przekupić. W najwyższej cenie były u Fredka papierosy, pozwalał wtedy nawet siąść przy sobie. Toteż kiedy ojciec przyjeżdżał czasem na niedzielę, podkradałem mu kilka papierosów, żeby mieć dla Fredka. Bo tylko ojciec palił prawdziwe papierosy, dziadek, wujek Władek skręcali z machorki, a wujek Stefan nie palił.

Spijaliśmy z ust Fredkowi te jego opowieści. A gdy przerywał, żeby się zaciągnąć, przestawaliśmy oddychać w oczekiwaniu, kiedy wreszcie wypuści z siebie dym do końca. Lecz, jakby naumyślnie, zaciągał się długo, a dym wypuszczał malutkimi chmurkami albo bawił się w kółka, a myśmy czekali, kiedy za tym dymem pojawi się znów jakieś słowo, drżąc, żeby się tylko Fredek nie znarowił. Bo siadało mu czasem coś na nosie, wtedy rzucał niedopalonego papierosa i prychał:

– Nie ma was. Ale już. Bo nogi z dupy powyrywam. – I szedł gdzieś na mokradła szukać ptasich gniazd. – Tylko mi krów pilnować!

Działo się tak przeważnie, gdy go ojciec sprał, bo często go prał, co widać było po sińcach, po odbiciach, zadrapaniach na jego twarzy, rękach, nogach. Ale gdy był w dobrym nastroju, można go było nawet podpytywać:

– To jak to tak, Fredziu, że wszystkie?

– Bo wszystkie. A najwięcej w świętego Jana, kiedy woda w rzekach ochrzczona. Przejść się brzegiem o północy, to stękają, jęczą, wyją, jakby wiatr krzakami zawiewał. Ganiają gołe po rzece, a gołe chłopy za nimi. Którą chłop dopadnie, to ją najpierw topi, a potem na nią włazi. Tak samo w sianokosy, bo w łąkach są zioła, że babę z chłopem same złączą. Zwoził raz Midura siano, to znalazł w kopce małe dziecko. Byłby widłami przebił, ale zakwiliło. No, bo czemu bociany po łąkach łażą? A kiedy zboża dojrzewają, to gdzie jaki łan, wydeptana ścieżka do środka prowadzi, to po co? A najwięcej w niedzielę. Żeby tak ten świat choć na jedną niedzielę odsłonić, chałupy, stodoły, chlewy, sady, krzaki, to dopiero byśta zobaczyli, jak się wszystko rucha, kłębi, załazi na siebie. Wężowisko. Ale ćwierci tego Bóg nie widzi, bo wszystko zasłonięte, a na spowiedziach kapią mu, co łaska, pół przez pół, i dalej się puszczają. Panny młode na weselach się puszczają na ostatek i wszystkie druhny. A co myślita? Pana młodego w świnię spiją, a panna młoda hula, i z którym tylko hula, to do stodoły z nim, do sadu czy aby za winkiel. A potem krew na prześcieradłach to z gęsi. Widział Fredek u Bartoszów, jak po weselu o świtaniu zarzynali gęś. Bartoszka trzymała przed sobą prześcieradło, a Bartosz pijany tarmosił się z gęsią i z urżniętej szyi sikał na to prześcieradło. Bartoszka się darła, że po cóż aż tyle, to by musiała poronić. A Bartosz, ty głupia, będzie dziewica pierwsza klasa nasza Baśka.

Lecz fryzjerowa co innego, nie chodziła w pole, nie plewiła, nie doiła krów. Fryzjer strzygł, golił, a ona czasem tylko ondulacje. W mieście, gdzie przed wojną mieszkali, robiła podobno jeszcze manikiury. Ale komu by tu,

we wsi, mogła robić manikiury. Najczęściej spacerowała po wsi wystrojona, co dzień w innej sukience, na wysokich obcasikach, wargi na czerwono, paznokcie na czerwono, głowa cała w kruczych lokach. Nie było chłopa, żeby się za nią nie oglądnął. Z pól wracali, przygięci, zmachani, z mgłą w oczach, a zza tej mgły aż wpijali się w nią, gdy szła sobie pod wieczór po mleko do Łabędów. Ale nikt jej nie mógł nic zarzucić, nawet największe plotkary. Dopiero Fredek.

Rzuciliśmy się jak jeden do Fredka. Mów, Fredziu. No, prędzej. A ten, czekajta, siądziemy. A gdy siedliśmy, rozkazał, krów mi tylko pilnować. Wyciągnął bibułkę, skręcił, zaciągnął się i zaczął wydmuchiwać z siebie kółka. Prosiliśmy go, a ogromnie lubił, żeby go prosić, no, mów Fredziu.

A więc poszedł w południe przekąpać się na zakręt. Nikogo nie było. Ale słyszy, gdzieś dalej jakby ktoś się bluzgał. Podkradł się, przywarł za krzakiem i oczom nie wierzy. Na środku rzeki, na płyciźnie, fryzjerowa goła. Jezu, chłopaki, jakie cyce! O, jak wasze głowy. A między nogami krzak, mówię wam, niech tak skonam, i tak samo czarniocha. E, bujasz, Fredek. A co mi zależy? To przysięgnij się. Co mam się przysięgać? Chceta, to wierzta. Zaczęła się tam mydlić, to mi kuśka stanęła i musiałem się spuścić. A ona? Co ona? No, jak się spuściłeś? Mydliła się dalej. Po brzuchu, po cyckach, pod rękami, a nawięcej tam, jeździła i jeździła, rozkraczyła się prawie na pół rzeki. Narobiła se tam piany, to jakby taki wielki dmuchawiec tam miała. Potem tym dmuchawcem przysiadła na rzece, najpierw ciut, aby po wierzchu, potem trochę głębiej i patrzyła, jak ją tam rzeka z tego dmuchawca obmywa. A potem zaczęła jechać, tra ta ta, tra ta ta. Pomyślałem sobie, co tak tłucze tę dupę? Nagle klapnęła na dnie, wodę miała tuż pod cycki, i zaczęła się kołysać, w przód, w tył, w przód, w tył. Fale się robiły, jakby łódką bujał. Do brzegu prawie podchodziły. Potem rękę gdzieś tam wsadziła, przykuliła się, loki jej do rzeki pospadały,

myślałem, że się chce utopić, bo wzdychała, jęczała i coraz niżej zwisała, jakby miała już dać nura. Topić się na takiej płyciźnie, głupia czy co? Już miałem skoczyć, a tu jak nie miauknie i opadła na wznak. Woda ją zakryła, ale zaraz zabieliła się znów pod wierzchem. I ani ręką, ani nogą, tylko tak leżała jak ryba, wywalona brzuchem, a rzeka ją niosła.

No, i tak zakochałem się we fryzjerowej. Jeszcze tego samego dnia, po przygnaniu krów z pastwiska, poleciałem nad rzekę, na zakręt, gdzie według Fredka kąpała się. Siedliśmy sobie z Kruczkiem na brzegu i patrzyliśmy na rzekę, czy pojawi się jakiś ślad, że tu się kąpała. Lecz rzeka płynęła łagodna, gładziutka, ledwo się o brzegi swoje ocierając. I choćby szmer jej nie zdradzał, że płynie. A przezroczysta była aż do piasku na dnie, słońcem wyzłocona od brzegu do brzegu i w głąb. Mogły się myśli w niej przejrzeć i każda udręka. Każde pragnienie. Smutek. Żal. A nawet niczym łezki malutkie rybki było pod wierzchem widać. I nas z Kruczkiem, jak siedzimy na brzegu, ja coś Kruczkowi mówię, Kruczek mnie słucha, a rzeka zabiera moje słowa. Ja się, Kruczek, nigdy nie ożenię. Fryzjerowa ma fryzjera, a z innymi nie chcę, smarkate i beksy. Żeby tak Niemcy zrobili kiedyś obławę na fryzjerów i żeby fryzjer już nie wrócił. Więc jak było nie lubić Kruczka.

Z pozoru niczym szczególnym się nie wyróżniał, zwykły kundel, a jak wyrzekał wujek Władek, nawet trochę przymały jak na wiejskiego, gospodarskiego psa. Cała wieś była zresztą w takich Kruczkach. Nie przeszło się obok żadnego obejścia, żeby coś tam nie szczerzyło zębów, nie ujadało, nie urywało się z łańcucha. Wiadomo jednak było, że odwaga tych psich złości kryje się tylko w łańcuchach, bo spuszczone z łańcuchów, stawały się łagodne jak baranki i zazwyczaj umykały przed człowiekiem. Za to nocami jakby odbijały sobie wszystkie za dnia doznane upokorzenia, latały, gryzły się, parzyły, wyły i na każdego przechodzącego wśród

ciemności szczekały całą wsią. Ludzie ich przeganiali, rozganiali, tłukli nieraz bez litości, że niejeden na zawsze już chodził okulały, na niejednym świeciła wyleniała blizna, a niejeden obnosił żywą jeszcze ranę.

Ma się rozumieć, nie przyznałem się chłopakom, boby mnie wyśmiali. Lecz od tej pory już mnie pasienie tak nie ciągnęło i tylko Kruczek stał mi się jeszcze bliższy. Często zachodziłem w to miejsce nad rzekę po przygnaniu krów i o różnych porach, a zawsze z Kruczkiem. Nie miałem nadziei, że spotkam kąpiącą się fryzjerową, a nawet jakiś lęk przestrzegał mnie przed takim spotkaniem, tylko lubiłem tu posiedzieć, popatrzeć na płynącą rzekę. Czasem rzuciłem kamyk i patrzyłem, jak rozchodzą się od niego kręgi, te najszersze dobijając do brzegów, być może takie same jak gdy kąpała się tu fryzjerowa. Stało się to miejsce przybytkiem mojej udręki, ale dobrze mi było udręczonemu.

Kochałem się potem jeszcze w burmistrzowej, kiedy Niemcy, nie wiadomo czemu, zmienili w gminie wójta na burmistrza. Niby ludzie mówili, że wieś duża, to mogłoby być i miasto, gdyby z parę chałup dołożyć. Z tym że z burmistrzową nie skończyło się na niewinnej udręce, abym z pobłażliwą wyrozumiałością dla tamtych szczenięcych lat mógł powiedzieć jedynie, kochałem się. Był to wówczas zaledwie niewinny początek długiego, może nie zamkniętego nigdy wątku, który razem ze mną rósł, dojrzewał, przeistaczając się w trwały znak mojej przestrzeni. Ilekroć bowiem przyjeżdżałem na Wszystkich Świętych na grób ojca, a potem wujenki Marty, babki, dziadka, bo w takiej kolejności umierali, odradzał się we mnie od nowa, rozwijając się jakby dalej i obrastając w coraz to nowe domysły, przypuszczenia, a tym samym coraz dotkliwiej wiążąc mnie z sobą.

Jakkolwiek nigdy już burmistrzowej nie spotkałem, odkąd po śmierci burmistrza, którego zastrzelili partyzanci, wyjechała ze wsi. Było to gdzieś

w połowie wojny, tak że nie porządził burmistrz zbyt długo, wszystkiego dwa lata. A burmistrzową pierwszy raz ujarzałem pewnego lipcowego dnia, gdy zabrał mnie dziadek z sobą do gminy i ukłonił się jakiejś pani w przygminnym ogrodzie, w kolorowej sukience i pod kolorowym parasolem, z książką na kolanach, i ta mu się z uśmiechem odkłoniła.

– Burmistrzowa – powiedział. – O, ładna pani, choć Niemka.

Ale najpierw była fryzjerowa. Spotkałem ją w kilka dni po tym, jak nam Fredek o niej opowiadał. Szła z naprzeciwka, tą samą stroną drogi co ja, a słońce świeciło jaskrawo, aż nie dało się oczu za szeroko otworzyć. Byłbym może gdzieś skręcił, ale i to słońce, i akurat zamyśliłem się o niej, a tu ona. W dodatku była w przezroczystej sukience, że musiałem się bronić, aby na nią nie patrzeć, a pachniała niczym krzak jaśminu. Spytała, jak tam w szkole, ale zaraz roześmiała się, och, przecież są wakacje, a jak mama, jak tata, czy przyjeżdża na każdą niedzielę? Potem pogłaskała mnie po głowie. Za duże już masz włosy, Piotrusiu. Przyjdź kiedy do zakładu, to cię mąż ostrzyże. Albo nie, sama cię ostrzygę, chcesz? Powiedziałem, dziękuję, bo tak mi mama zawsze kazała mówić, choć chłopaki przedrzeźniali mnie przez to, dziękuję! dziękuję! Ty, dziękuję, nawróć krowy! A raczej wybąkałem. Pragnąłem jednego, żeby już odeszła lub żeby ktoś nadszedł, z kim by wdała się w rozmowę, a mnie zostawiła. Lecz na moje nieszczęście wieś była wymarła, wszyscy w polach, a kto nie w polach, krył się w domu, bo tak to słońce odstraszało. I tylko jakaś stara babina prześlizgnęła się obok, mamrocząc pochwalony, a minąwszy nas, splunęła, tfu! A na to fryzjerowa powiedziała jakoś smutno, cóż za ludzie. Po czym, ach, ta wojna. Nie musielibyśmy tu przyjeżdżać.

I tak ona o tych moich włosach, że stanowczo za duże, że dla chłopca w moim wieku najbardziej odpowiednio byłoby na krótko, z niewielką grzywką nad czołem, o, taką, i dotknęła mojego czoła, a jakby nie ręką, lecz

gałązką jaśminu, a ja wciąż broniłem się, żeby na nią wyżej nie spojrzeć. I patrzyłem cały czas w dół, na jej białe pantofelki, ledwie z dwóch pasków zrobione i złączone na krzyż, na jej pomalowane na czerwono paznokcie. I wyobraziłem sobie, że to korale, po pięć u każdej stopy, od największego do maciupeńkiego. I coś mnie kusiło, żeby powiedzieć, o, korale. Zbiorę je pani. I podać jej takie jeszcze ciepłe, rozkwitłe, jakby nabrzmiałe krwią. Proszę. I usłyszeć z jej ust, och, jaki ty grzeczny jesteś, Piotrusiu. Dziękuję ci. No, co, przyjdziesz?

A w niedługi czas przyśniła mi się. Choć nie byłem całkiem pewny, czy to ona. Niby ona, lecz włosy miała aż do ziemi i tymi włosami zakrywała się szczelnie, że gdzieniegdzie tylko kawałek jej ciała przez te włosy prześwitywał, szyja, ramię, czubek jednej piersi, pępek, kolana, ręce. Stanęła przy łóżku i powiedziała, posuń się, Piotrusiu. A ja zacząłem krzyczeć, śpię z mamą! śpię z mamą! Próbowałem nakryć głowę pierzyną, lecz pierzyna nie puszczała, jakby ona ją gdzieś w nogach tak trzymała. Po czym zaczęła ją powoli ze mnie ściągać, a gdy ściągnęła do końca, zdziwiła się, och, to ty już dorosły jesteś, Piotrusiu. Mój Boże, nawet dzieci przez tę wojnę już podorastały. Bełkotałem coś rozpaczliwie, że przyjdę się ostrzyc do pana fryzjera. Przyjdę się ostrzyc. Przyjdę.

Kusiło mnie na pastwisku, czyby nie pochwalić się chłopakom, że mi się fryzjerowa śniła. Bym choć raz i ja ich czymś zadziwił, ale właściwie czym się było chwalić, że stchórzyłem? Zrobiliby sobie pośmiewisko ze mnie. A już Fredek by mi nie darował, aleś ty baran, dziękuję. By tak na mnie trafiło, nie wołałbym, śpię z mamą! śpię z mamą!

Nic im więc nie powiedziałem, choć opowiadaliśmy sobie sny, gdy się któremuś coś ciekawego przyśniło. Z tym że i śnić się im wszystkim zawsze więcej śniło niż mnie. A już Fredek miał sny jak bogacz. I prawie co noc go nawiedzały, a jedne bogatsze od drugich. Śniły mu się morza

i oceany, okręty, potwory, smoki, jakieś ogromne ryby, jedna go nawet połknęła, a potem wypluła. Jakieś wyspy, był nawet królem na jednej z nich, chodził w koronie, sześć żon miał, każda innego koloru, a najładniejsza była niebieska. Śniło mu się, jak w powietrzu lata, bez rąk, bez skrzydeł, i jak po czubkach drzew chodzi po lesie, a kiedy zeskoczył, to wprost na dach leśniczówki, gdzie mieszkała cud leśniczanka. Śniło mu się, jak go jakiś wielki pan zaprosił do swojego pałacu i chciał, żeby Fredek został jego synem, ale nie został, bo szkoda mu było nie paść więcej z nami krów. A nawet kiedyś piekło mu się śniło, chodził korytarzami pod ziemią jak kret, diable straże kłaniały mu się, ale nie umiały powiedzieć, którędy do Lucyfera.

Nieraz aby przespał się pod krzakiem wikliny, bo go ojciec ściągał z łóżka jeszcze w nocy, przed świtem, żeby w żarnach pokręcił, i już mu się śniło. Chłopaki, śniło mi się, że wysadziłem szwabski pociąg. Niech tak skonam! Nie wierzycie? Pełny wojska jechał, koni, czołgów, armat. A długi jak stąd pod Dziewiczą Górę. A może i dłuższy, bo parowóz znikł już tam, za niebem, a z tamtej strony końca wciąż nie było widać. Niosłem koszyk z ogórkami i któryś mi z pociągu rzucił paczkę papierosów, to ja mu ogórka. I wtedy pieprznęło. Błysk. Huk. Myślałem, że to cud. Nic nie słyszałem, bo mnie ogłuszyło. Nieba nie było widać, tylko żołnierze, konie, czołgi, armaty, wagony, wszystko w górze i coraz wyżej, jakby namalowane tak na sklepieniu w kościele. Darło się to, mein Gott! mein Gott! I wtedy przejaśniło się takie kółko w środku nieba, zrobiła się dziura i czyjeś ręce z tej dziury zaczęły wyłapywać tego, tamtego i konie, a reszta spadała na ziemię.

Kto wie, może to w tym śnie objawił się Fredkowi pierwszy znak nieodległej już śmierci. Bo zginął Fredek jakby w odwecie za ten sen. Choć pewnie każdy sen jest znakiem śmierci, nawet gdy śni ci się błogość

ukwieconej łąki, słońce na przejrzystym niebie. Śniąc się sam sobie, śnisz się zawsze śmierci swojej. To do jej niepodzielnego świata należy każdy twój sen. Ona tylko pozwala na chwilkę bezwolności w nim. A pycha każe mówić, śniło mi się. Powinno się mówić, śniło się śmierci mojej. Więc śniło się śmierci mojej, że ukwiecona łąka i słońce na przejrzystym niebie. Śniło się śmierci mojej, że przyszła do mnie fryzjerowa. Może więc śmierć wabiła już Fredka od dawna ku sobie i więcej przebywał z nią niż z nami na pastwisku. Obrastał w te jej sny, zapełniał się nimi, zbliżając się do tego kresu, kiedy i my staliśmy się tylko snem jego śmierci. Można by nawet powiedzieć, że zginął w jednym ze swoich snów.

Kiedy front po kilkumiesięcznym przestoju znów ruszył, gdzieś tak w połowie zimy, dziadkowie, wujenki i wujkowie wrócili z wysiedlenia do siebie na wieś, a my z matką i ojcem zamieszkaliśmy w pobliskim mieście. Ze względu na ojca przede wszystkim, który podupadał coraz bardziej na zdrowiu i potrzebował lekarza, który by się wreszcie poznał, co ojcu jest, no, i w razie czego szpitala. Choć ojciec z pewnością wiedział, co mu jest, a tylko matce mówił wciąż, że nerwy.

Nie mogłem się z początku przyzwyczaić do tego miasta i często odwiedzałem dziadków, wujków, wujenki, tym bardziej że było do nich siedem kilometrów za szosą, a chociaż szosa, poszczerbiona przez pociski, bomby, czołgi, nie zapewniała zbyt wielkiej wygody nogom, niosło mnie do nich zwykle jak na skrzydłach, i przy którychś odwiedzinach wujek Stefan, wymieniając tego, tamtego ze wsi, kto zginął, jakby mimochodem powiedział, o, i Fredek Guz. Leżał na ich polu niewypał bomby, tak że ani zaorać, ani zasiać. A nawet wkoło na innych polach przez ten niewypał nikt nie orał, nie siał. Inna sprawa, że wielki był jak zdechła krowa. I ten postrzeleniec umyślił sobie, że sam rozbroi. Mówię ci, nie było co zbierać. Jedna ręka leżała aż w polu Jamroza, drugiej dotąd nie znaleźli. A zawsze

coś go w tyłku wierciło. Przyjechaliby saperzy i by rozbroili. Nie sprzeciwiałem się wujkowi Stefanowi, bo może tak było, jak mówił. Ale mogło być również i tak, że przyśnił się Fredek tylko śmierci swojej.

No, a kto jeszcze? I gdy tak wujek Stefan zastanawiał się, kto jeszcze, przyszedł mu z pomocą dziadek, a kto? A Wicek Sobótka, pasłeś przecież z jego Jędrkiem krowy. Werżnął się aby pługiem w ziemię i po nim. A koniowi nic. Całe szczęście. Wtem wujek Władek, który nie brał udziału w tym wyliczaniu, kto zginął, jakby czekając, kiedy znów dziadek się odezwie, przerwał dziadkowi. Kto zginął, to zginął. Wojna, to wiadomo, że muszą ludzie ginąć. O, gorzej, że Kruczek dotąd nie wrócił.

Bo Kruczek, jak tylko front nadszedł, nagle przepadł bez wieści. Różne domysły nas nawiedzały, że może strzelaniny się zląkł i gdzieś się zaszył albo za żołnierzami poleciał. Albo mógł go ktoś zastrzelić, choć za co? Nawet chodził wujek Władek po wsi, wypytując się ludzi, żołnierzy, zaglądając tu, tam, czy gdzieś go choćby martwego nie znajdzie. Dręczyło mnie przypuszczenie, jakkolwiek się nigdy do tego nie przyznałem, że to najpewniej przeze mnie, bo widocznie przeczuł, że pragnę mieć charta, i temu chartowi chciał zostawić miejsce.

Jeszcze z wieczora stanął u wejścia do piwnicy i jakoś tak dziwnie zaskowyczał w głąb. Lecz nikomu nie przyszło do głowy, że się żegna z nami na zawsze. A nocą, kiedyśmy wszyscy spali, zdjął się sam z łańcucha, że nawet dziadek, który budził się na każdy szmer, nic a nic nie słyszał.

– Może jeszcze wróci – powiedział z nadzieją, jakby chcąc oddalić wiszącą w powietrzu kłótnię z wujkiem Władkiem. – Po latach nieraz psy wracają.

– Muszę znaleźć tego sukinsyna, co mu oko wybił – złagodniał i wujek Władek. – Mógł o to oko nie wrócić, że się dotąd nie pomściło. Teraz, po

wojnie, będzie łatwiej, zaczną wywlekać różnych zdrajców i inną gangrenę.

– Wtedy też tak zginął – powiedział, odpowiadając łagodnością na łagodność wujka, dziadek. – I ile go nie było, i bez oka, a wrócił.

Chcieli już wtedy nawet wziąć drugiego psa, bo nie może gospodarstwo być bez psa, no i buda pusta stoi, łańcuch leży, rdzewieje, w nocy nikt nie daje znać, czy złodziej nie zachodzi, a najgorsze, że wyjść rano z chałupy, a tu nie ma psa, to jakby dzień się nie zaczął. Chodził dziadek dowiadywać się, komu się suka oszczeniła, bo najlepiej wziąć takiego, co dopiero przestał ssać, taki wrośnie na kamień w rodzinę, w dom, w obejście, w chlewy, w konie, krowy, świnie, kury, gęsi, kaczki i do kota przywyknie, że będzie mu się wydawało, że to drugi pies.

A tu, nieoczekiwany już, pojawił się Kruczek z zabliźnionym, prawie pustym oczodołem. Radości było co niemiara. Wszyscy sadzali go sobie na kolanach, dzięki temu że nieduży był, o co zresztą wujek Władek miał ciągłe pretensje do Kruczka, że co to za pies, w gospodarstwie powinien być duży pies. Wiadomo, duży pies, to i złodziej sto razy pomyśli i pójdzie do kogo innego, a i sąsiady nie przychodzą jak w swoje. Dziadek jednak bronił Kruczka, że jak duży pies, to i dużo zje, dużo śpi i dużo w nim lenistwa, a w takim małym za to więcej rozumu.

Tak i z tym wybitym okiem radził dziadek, że nie ma co zgadywać, kto tak skrzywdził Kruczka, bo nie dojdzie, zbój i tyle, i niech mu Pan Bóg nie daruje. Ale wujek Władek nie dał się tak łatwo Panem Bogiem zbyć i nawet nie wziął Kruczka na kolana jak wszyscy, tylko zakipiał gniewem i miotając najwymyślniejszymi przekleństwami, zaczął od razu posądzać najbliższych sąsiadów, potem trochę dalszych, aż dojechał z jednej strony do kapliczki, a z drugiej do młyna. Potem jakby go olśniło, przerzucił się aż pod kościół i pomstował po kolei, jak chałupy szły, chałupa po chałupie, z jednej, z drugiej strony drogi, nie przepuszczając i wiekowym już siostrom

Maziejkom, że czarownice, musiały coś Kruczkowi zadać albo mu któraś rozpalonym pogrzebaczem to oko wypaliła. To ponownie skoczył pod młyn i na młynarza, że mógł zwabić Kruczka do młyna, a miał o co, bo go kiedyś wujek Władek wyprzezywał, że oszukuje, czy dziadek pamięta? Ale dziadek nie pamiętał. To przeniósł się pod szkołę, lecz stracił do porządku chałup cierpliwość, a jeszcze złość go wyniosła na takie wyżyny, że zaczął jeździć na chybił trafił, wybierając chałupy jakby przez zaskoczenie, kogo mu tylko rozsierdzona pamięć podsunęła, do kogo miał najmniejszy, choćby dawno zapomniany żal. A wiadomo, że gdy się z dziada pradziada w jednej wsi mieszka, to każdy do każdego ma żal, bo przychodzi się już na świat z żalami, żale z ludźmi rosną, żale się dziedziczy, wszystkie wsie na takich niby zapomnianych żalach leżą, i na Bogu ducha winnych psach się nieraz to mści. Więc każdy mógł wybić oko Kruczkowi.

A gdy całą wieś przejechał i nikt mu już na pamięć nie przychodził, siadł na ławie, przyciągnął Kruczka za kudły do siebie, wsadził mu łeb między swoje kolana i patrząc mu w oczy, a właściwie w to jedno i drugi oczodół, mściwie zaczął go pocieszać:

– Nic, zaprowadzisz mnie do tego sukinsyna, a zabiję. Nogi z tyłka powyrywam, krzyż przetrącę, niech chodzi potem na bałyku. Żebym tak skonał, przetrącę, że kamasza w niedzielę nie da rady już zawiązać, łyżki z jedzeniem do gęby nie doniesie. Na całe życie zapamięta to twoje oko. Umrze, a będzie pamiętał. Z dymem puszczę. Bo taką gangrenę tylko z dymem puścić, rozpalonym żelazem wypalić, żeby go święta ziemia nie nosiła, i tak samo jego psu wybiję oko. Może Kurtyka, co? To podobne do tego fałszywca. A może Janiszewski? Nie. A kto? Zaprowadź mnie. Zaprowadzisz? Pies żeś, to przecież trafisz. Musisz trafić.

Ale Kruczek tarmosił tylko łbem w tych wujkowych kolanach, wyrywał się, popiskiwał, nie rozumiejąc, czego wujek się wścieka, bo on, Kruczek,

chciałby się radować, że wrócił.

Prosiła wujenka Marta, nie męcz go, Władziu. Prosiła wujenka Jadwinia, dej mu, Władek, spokój. O, dobrze, że wrócił. A z jednym okiem czy z dwoma tak samo jest Kruczek. Prosiła matka, coś się głupi tak zawziął? Pies, a mądrzejszy od ciebie. Aż w końcu dziadek trzasnął się w kolano.

– Zostaw go! Nie widzisz, że pies nie wie?!

Jakby resztką wściekłości odrzucił wujek Kruczka od siebie na izbę.

– Idź ty, głupi! Cholero! Zobaczymy, jak będziesz teraz widział jednym okiem. Będziesz połowę tylko widział, o! – Przeturlał się Kruczek aż do progu, jeszcze walnął łbem o próg, aż zaskowyczał. Lecz natychmiast zerwał się i podskoczył na powrót do wujka, skamląc z radości, że go widzi. – Wiesz czy nie wiesz? – nie dawał wujek za wygraną. – Może Molenda? Zaszczekaj, że tak. No, zaszczekaj. – Po czym jakby wydając wyrok na Kruczka, powiedział: – Już nie jesteś pies. Z jednym okiem toś dupa, nie pies.

Wbrew jednak wujkowi to wybite oko nie przeszkadzało Kruczkowi wypełniać swoich psich obowiązków z tą samą gorliwością co dotąd, tak że choćby mimo woli nikt już nie wspominał o innym psie, który miałby zastąpić Kruczka. Również wujek Władek wycofał się z wydanego na Kruczka wyroku. Ale to Kruczkowe oko nie dawało mu odtąd spokoju, zakorzeniało się w nim coraz głębiej, rozrastało coraz bujniej, przeistaczając się w jakiś nieokreślony żal do wszystkiego i wszystkich. A nawet jakby oderwało się od Kruczka, stając się samodzielną udręką wujka, z którą nie potrafił sobie już nigdy poradzić. A może nie chciał.

Kogo tylko spotkał na wsi czy nad rzeką, gdy z wiadrami po wodę szedł do stoku albo konie poił, czy w polu gdy siał, orał, kosił, zdawałoby się zapamiętały w ziemi, a ktoś drogą akurat przejeżdżał czy przechodził, nie

budząc go z tego zapamiętania, choćby obrzędowym szczęść Boże, gdziekolwiek zresztą, na moście, we młynie, pod gminą, na czyimś weselu, na czyimś pogrzebie, nie przepuścił okazji, żeby się nie spytać:

– Może wiecie, kto wybił naszemu Kruczkowi oko? Może ty wiesz, kto wybił naszemu Kruczkowi oko? Hej, kto wybił naszemu Kruczkowi oko, może wiecie?!

Nieraz włóczył się po wsi, jak jakiś lekkoduch, w niesłabnącej nadziei, że może trafi na kogoś, kto wie albo wie, kto wie. Może ktoś zdradzi się przypadkiem, może komuś się wymknie między słowami, może ktoś się zmiesza, a to będzie już jakiś ślad. Najczęściej nagabywał dzieci, wierzył bowiem, że dzieci prędzej niż dorośli doprowadzą go do prawdy, bo tylko w dzieciach tlą się jeszcze resztki niewinności świata, jak mówił. I dzieci lubią powtarzać, co dorośli mówią, no, i lubią psy. A psy lubią dzieci.

Spotkał jakieś dziecko, od razu się przykulał przy nim, głaskał po główce, jakby go sam widok owej krótkotrwałej niewinności tak rozczulał, a nawet próbował się uśmiechać, żeby swoją gorzką twarzą tej niewinności nie spłoszyć.

– A tyś czyj? – najpierw rozpraszał nieufność. – Aaa. To mieszkacie tam i wasz dom ten z kominem. A jak ci na imię? Ładne masz imię. A ja jestem wujek Władek. Lubisz wujka Władka? To może wiesz, kto wybił Kruczkowi oko? Kupię ci loda w niedzielę, jak lodziarz przyjedzie. Kupię ci cukierka. Coś ci kupię. Wiesz czy nie?

A już wieczorami po przyjściu z pola zawsze siadywał na ławeczce przed domem i każdego, kto przechodził, jakby wyłapywał w sieć, choć niby zapraszał tylko, żeby przysiadł się do niego, spoczął, wyprostował nogi, bo gdzie mu się tak spieszy, a pogadają, ciekawy teraz świat przez tę wojnę, a tu cały dzień się nie mówi, bo robota, to dobrze choć na wieczór przed spaniem pogadać. I tak prowadził rozmowę, że nawet z wojny

wychodziło na Kruczka. Nie wiecie kto? Nie dał się zwieść nieszczęściom ani innych psów, ani innych stworzeń, kotów, krów, świń, koni, ani też nieszczęściom ludzi. A gdy mu radzili, że może ktoś z innej wsi, niechby tam poszukał, i przecież najłatwiej uwierzyć w winnego z innej wsi, odpowiadał:

– A cóż by mieli do Kruczka z innej wsi? Na suki tam nie latał. W tej się żyje, w tej się na świat przyszło, w tej się umrze, to i w tej, nie w innej, musi się mieć wrogów. Dojdę, dojdę, nie wcześniej, to później. A nich się sukinsynowi nie wydaje, że mu ujdzie. Nie umrę, póki nie dojdę. Choćby dla samego tego, żeby wiedzieć, z kim się żyło w jednej wsi, a kto wie, czy nie po sąsiedzku. Może się nawet kosy pożyczało, konia do sprzężaju, mówiło się, szczęść Boże, wódkę się piło. To co tam szukać w innej wsi.

Raz złapał w tę swoją sieć księdza, gdy tak siedział wieczorem na ławeczce. Spieszyło się księdzu, szedł na preferansa do młynarza, ale wujek nie wiedział, co to preferans, i choć na chwilę musiał się ksiądz przysiąść, zwłaszcza że nie wypadało się odżegnywać preferansem od strapienia, bądź co bądź, parafianina, bo tak wujek to przedstawił księdzu, że ma wielkie strapienie. I od razu o tym oku Kruczka, niech ksiądz coś poradzi, kto. Ksiądz najlepiej zna ludzi, bo dusze ich zna. Ksiądz chrzci, daje śluby, grzebie. Księdzu ludzie wiele mówią na spowiedziach, choć ma się rozumieć nie wszystko. Ze spowiedzi najprędzej wywiedziałby się, kto. Ksiądz się żachnął, do czego wujek go namawia, spowiedź tajemnica święta. Władysławie, Władysławie, grzech, zaprawdę wielki grzech namawiać do czegoś takiego księdza. Przeciw Bogu, widzę, myśli swoje toczysz.

Zaczął wujek się tłumaczyć, że nie o to mu idzie, tajemnicę zachowałby ksiądz dla siebie, ale wiedziałby, to mógłby z ambony w niedzielę ogłosić, że Bóg wie, kto wybił oko Kruczkowi. A jeszcze jakby dodał, co go

w piekle czeka, piekła każdy się boi, toby taki zbój choć trochę skruszał, a wtedy łatwiej by dojść było, kto. Czy nawet mógłby powiedzieć jakąś przypowieść z Ewangelii o Kruczku, to i innym byłoby ku przestrodze. A nie ma się ksiądz co obrażać, kupiłby za to jakiś lichtarz do kościoła czy obrobiłby księdzu pole, gnój wywiózł, zaorał, zabronował, zasiał, już by się tam jakoś wywdzięczył. Bo przecież musi być kara i za psa, kiedy jest za człowieka.

Nie zrozumiał ksiądz wujka. Albo mu się tak na tego preferansa spieszyło, że zwyczajnie się wyłgał.

– Zaufaj Bogu, synu – powiedział, co każdemu zresztą mówił. – Wszystko się Jego sprawiedliwości doczeka. Nie tu, to tam. To i twój Kruczek nie zostanie pominięty. Bądź tylko cierpliwy. A lichtarz, nie taję, przydałby się w kościele.

Z natury nie był jednak wujek cierpliwy, a poza tym mogła też zaważyć różnica między księdzem a wujkiem w odniesieniu słowa sprawiedliwość do Kruczka, a ściślej do tego, kto Kruczkowi wybił oko, bo w niedługi czas potem zrobił wujek taką awanturę w sklepie, że sklepowa aż obsypała wujka mąką z szufli. Kiedy wujek wrócił do domu, myśleliśmy, że we młynie był.

Najpierw z kimś się o coś przegadał, ten ktoś wujkowi dociął, ktoś inny się wtrącił i, jak to w sklepie, ten i tamten, i kto tylko był, poleciały słowa igły, kamyczki, kamienie i w wujku krew zawrzała, bluznął najgorszymi przekleństwami, nie rozróżniając, kto przeciw niemu, kto za nim, i na wszystkich, że święta ziemia nie powinna ich nosić, że taką wieś tylko spalić, że tylko potop na taką wieś, gdzie oko psu wybijają, bo wojny widać za mało. Że tacy, owacy i najgorsi! Każdemu piekło by się należało! Bo co był Kruczek komu winien?! Co?! A gdy sklepowa zaczęła wrzeszczeć, wariat! wariat! wynoś się! złapał torbę z solą, którą akurat ważyła,

i wysypał jej na ondulację. Zapiszczała, moje włosy! moje włosy! I złapawszy szuflę z mąką, sypnęła na wujka. To wujek, nie namyślając się, złapał słój z kostkami maggi, który stał na ladzie, i trzasnął o posadzkę. Kazali mu potem za te wszystkie kostki maggi płacić. Bez najmniejszego oporu zapłacił, nie pytając się nawet, ile tych kostek było.

Dał sobie też kiedyś powróżyć Cygance. Miała dostać kurę, jak wywróży, kto. Musiała się jednak zadowolić litrem mleka i paroma jajkami, bo niewiele z jej wróżb wynikało, prócz tego, że musi się wujek strzec kierowego waleta, natomiast przyjazna mu jest pikowa dama. Dręczył wujka trochę ten kierowy walet, kto to może być, ktoś na pewno ryży, lecz nie było we wsi zdecydowanie ryżego, byli blondyni, albinosi, szatyni, mieszańcy. Bo damą pik była na pewno wujenka Marta, taka sama czarna i, ma się rozumieć, stała murem za wujkiem.

Zresztą gdy już nie mógł sobie z sobą poradzić, pytał się wujenki Marty, ty, Marta, nie czujesz, kto by to mógł być? Czasem w chorobie więcej się czuje niż przy zdrowiu. Zdrowie zamula, a w chorobie może taka jasność przyjść, że widzisz, czego w zdrowiu nigdy nie zobaczysz. Ale wujenka Marta wydymała wargi, całkiem żeś już zgłupiał. Choć gdy się lepiej czuła, przemawiała wujkowi spokojnie, a nawet z odcieniem czułości do rozumu:

– Daj spokój, Władziu. Przestań się tak trapić. Jeszcze o psie oko. Kruczek już zapomniał, a ty wciąż pamiętasz.

– Co daj spokój? Jakby tobie tak wybili, dałabyś spokój? A pies się nie upomni. Nie poda do sądu. Pies nie wie, że jest sprawiedliwość. Oko za oko. Nie znajdę sukinsyna tak na jawie, to musi mi się kiedyś przyśnić. Sny wiedzą najwięcej. W snach może ci się przyśnić, czego byś inaczej nigdy nie wiedziała.

I na nic się nawet zdały nocne westchnienia wujenki, wydobywające się jakby z otchłani już śmierci. Chodź, Władziu, chodź do mnie. No, chodź.

Tak że niepotrzebnie nakrywałem się z głową pierzyną, żeby nic nie słyszeć, bo wujek zwykle odburkiwał wujence, daj mi spokój, śpię. Może mi się sukinsyn przyśni. I zaczynał od razu głośno chrapać.

Myślał też, czyby się nie zapisać do partyzantki, bo na takiego sukinsyna, mówił, kto wie, czy nie najlepsza byłaby partyzantka, wyrok i kula w łeb czy bez wyroku, tylko sama kula, bo co takiemu jeszcze wyrok czytać. Powiesić za nogi na gałęzi i niech zdycha. I w ogóle partyzantka bardziej jest potrzebna na swoich sukinsynów niż na Niemców, bo napleniło się gangreny jak kąkolu. Musiał go nieraz dziadek mitygować, ty, jucho, byś wszystkich powywieszał, powystrzelał.

Ta myśl o partyzantce nawiedzała go nie tylko, gdy się wściekł, bo podobno rozpytywał się po wsi, czy ktoś nie wie, gdzie tu zapisują. Ale nikt nie wiedział albo może nie chcieli mu powiedzieć, bo po tej awanturze w sklepie, która głośna się we wsi zrobiła, zaczęto mówić, że z wujkiem Władkiem coś niedobrze. Zwłaszcza niepokoił się o wujka Władka dziadek, że jeszcze po kryjomu przed wszystkimi, jucha, się zapisze, a może nie tam, gdzie trzeba, i dopiero będzie.

Na szczęście którejś niedzieli przyjechał ojciec z pracy, bo przynajmniej raz w miesiącu przyjeżdżał na niedzielę. Mnie przywiózł to marynarskie ubranko, w którym jestem z nim na fotografii, a przy tym obiecał, że pojedziemy nad morze, niech się tylko wojna skończy, to będziesz miał w sam raz, matce materiał na sukienkę, wujence Jadwini pończochy, każdemu zresztą coś przywiózł. I nieoczekiwanie oświadczył, że już więcej nie wróci do pracy. Zostaje z nami. Jakby grom z jasnego nieba spadł na wszystkich. Co się stało? Zwolnili cię? Nie, wszystko jest w porządku. Podwyżkę nawet dostał, o, ma na piśmie, i dodatkowy becukszajn na kilo kiełbasy, kilo cukru i litr wódki. Zaczął szukać tego pisma po kieszeniach. Lecz musiał widocznie zostawić w tym pośpiechu. Miał zaledwie godzinę

do pociągu. Nastąpiła wsypa w ich organizacji. Już od jakiegoś czasu zresztą czuł, że mają go na oku, i właśnie kogoś tam aresztowali, tak że lada dzień, ba, lada godzina należy się spodziewać dalszych aresztowań. Zwłaszcza że jeden z tych aresztowanych, porządny, owszem, człowiek, lecz nieodporny i nie ma wątpliwości, że będzie sypał. Już z pewnością sypie. Wystarczy, że mu szpilki zaczną za paznokcie wbijać, jak to oni potrafią, czy w pięty bić, czy oka nie dadzą zmrużyć, czy rozpalonym żelazem przypiekać, przez kiszkę stolcową wpompowywać wodę, przygniatać palce w drzwiach, wyłamywać stawy, o, mają sposoby, że nawet niemowa przemówi. A choćby zaczną go okładać bykowcem, kopać, mało kto wytrzyma, chyba tylko taki, co mu już na życiu nie zależy. A komu tak naprawdę nie zależy? Żeby nie wiadomo jak kto się zaciął, to wycisną słowa z krwią, z bólem, z najtajniejszych myśli. Nie chcesz zdradzić, a słowa cię same zdradzą, same się wytoczą z ciebie. Pękniesz jak wrzód, a nie wyrzuty sumienia poczujesz, lecz ulgę.

– Och, jakiż to śliczny – zachwycona materiałem na sukienkę, matka jeszcze nie dopuszczała do siebie opowieści ojca o tej wsypie. – I gdzie ty to kupiłeś? Teraz przecież nic w sklepach nie dostanie. Musiałeś drogo dać. – Rozwiesiła ten materiał na wyciągniętych rękach, zakręciła się wkoło, przytuliła go do twarzy. – A jaki mięciutki, delikatny. Musi być prawdziwy jedwab. – Zerwawszy ze ściany niewielkie lusterko, bo tylko takie było u dziadków, postawiła je na brzegu stołu i zaczęła się w nim przeglądać, zarzucając ten materiał to na jedno ramię, to na drugie, to opuszczając go do kolan, do łydek, do podłogi, to otulając się nim wokół szyi, to odchodząc prawie na pół izby, to niemal wsadzając głowę w lusterko. – A jaki twarzowy. W takich kolorach mi najlepiej. – I zwracając się do wujenki Marty: – Potrzymaj mi, Marta, to lusterko, może lepiej będzie widać. Żeby nie było większego lustra w domu. Wstyd. – I znów zaczęła rozrzucać ten

materiał po swojej figurze, i tak, i siak. – Jutro zaraz zaniosę do krawcowej. Tylko sama nie wiem, do Peli czy do Witkowej? Pela by na pewno ładniej uszyła, ale będzie trzymała. Pójdziesz ze mną, Marta? Ale jak to uszyć? Są może szpilki w domu, to byśmy upięły.

Wujenka Marta wyciągnęła z szuflady przy maszynie do szycia całą poduszeczkę tych szpilek.

– Masz.

– Coś nareszcie jest w tym domu – ucieszyła się matka. I korzystając z pomocy wujenki Marty, zaczęła układać na sobie w różne wizje przyszłej sukienki ten materiał, to szeroką, to wąską, krótszą, dłuższą, kloszową, marszczoną, odcinaną w pasie, to z wypuszczonym stanem, z karczkiem, z dekoltem, pod szyję, z kołnierzykiem, bez, z guziczkami z przodu, z guziczkami z tyłu, rękawy długie, krótsze, zebrane przy ramionach, gładkie.

Zrobiła się pełna izba tej sukienki. Wydawało się, że matka wciąż się w inną tak przebiera i z każdej jest niezadowolona. Aż wujenka Marta dostała rumieńców na swojej bladej twarzy, jak gdyby nie nastarczała podawać matce już tych sukienek, a w końcu zabrakło jej oddechu i powiedziała:

– Siądę sobie trochę. Niech Jadwinia pomoże ci upinać.

I zaczęło się od nowa to samo z wujenką Jadwinią. A nawet na wujence Jadwini matka upinała, układała, zapewniając, że i jej byłoby dobrze, choć wujenka Jadwinia wzbraniała się, że to trzeba by być panią, jak matka, do takiej sukienki, a nie ona, kury, świnie, gary, o, popatrz, jakie ja mam ręce.

A mężczyźni siedzieli w cieniu tej sukienki, wokół stołu przy ścianie, zatroskani, cisi, ledwo bąkając półsłowami, jak gdyby w obawie, żeby się to wszystko, co mówią, poza stół nie wyniosło. Nagle dziadkiem coś

wstrząsnęło i do wujka Władka, który siedział trochę nawet przymartwiony tym, co ojciec im mówił:

– I widzisz, chorobo, a ciebie tak korci, żeby się zapisać.

Ojca to spłoszyło i spytał:

– Co, gdzie?

Na co wujek Władek powiedział:

– E, nic, tak mi tylko po głowie czasem. Bo nie wiesz nawet, Zygmunt, jakie tu sukinsyny chodzą między nami. Ktoś wybił oko naszemu Kruczkowi. Gdybym takiego...

Dziadek jednak widząc, że tym Kruczkowym okiem wujek Władek zagada zaraz ojca, przerwał mu:

– Przez ciebie to by i tu za nim mogli trafić. Jak po sznurku. – I do ojca: – Będziemy jakoś żyli, nie martw się. Pójdziesz czasem wiśni popilnujesz. Bo przecież w pole nie pójdziesz. To trza siły.

A za dziadkiem wujenka Jadwinia:

– Pewnie, że będziemy żyli. O, nie martw się.

A za wujenką Jadwinią wujek Stefan:

– Trzeba tylko będzie pójść do gminy zgłosić, że mieszkasz teraz u nas. Po co się mają w razie czego czepiać.

A wujek Władek, że już niedługo szlag ich trafi. I aż zerwał się z ławy:

– O, mówiło radio, że już dostali gdzieś w dupę. A tak daleko stamtąd do nas? Hanke nawet spytał mi się kiedyś, czy mi zdjęcia nie zrobić. A przedtem się nie pytał, tylko robił. Powiedziałem mu, że to musiałbym garnitur założyć, krawat, kamasze, ogolić się. Chyba że w niedzielę.

I wtedy matka, jakby oprzytomniawszy z tej sukni, spytała z popłochem w głosie:

– A co się stało?

– Ano, Zygmunt nie wraca już do pracy. Wsypa była w ich organizacji i po piętach mu chodzą.

– Chryste Panie! I co z nami będzie? – zaczęła zawodzić, że przecież i tu mogą trafić za nim. Chciała nawet zrywać z siebie ten materiał upięty już w suknię, na szczęście wujenka Jadwinia w porę zapobiegła temu:

– Poczekaj, powyjmuję szpilki.

A kiedy wyjmowała szpilki, matkę jakby coś tknęło i spytała:

– A co to ta organizacja?

– A co, partyzantka – powiedział wujek Władek.

– Toś ty był w partyzantce i przede mną ukrywałeś? Bym ci na pewno odradziła. Urzędnik żeś, to powinieneś się szanować. Masz żonę, syna, o nich musisz myśleć. A zanim jego się wykształci – pokazała na mnie – jest dla kogo żyć. Mało ci jeszcze wojen? Byłeś i na tamtej, i z bolszewikami, i co masz z tego? O, czapkę i pas. A na awans ile lat musiałeś czekać? I wciąż masz tylko te dwie gwiazdki. Niech się młodzi teraz biją. Albo tacy, co nie będzie miał kto po nich płakać. – A na koniec tych żalów niedowierzanie w jej głosie się pojawiło: – E, tam byłeś w organizacji. A tak tylko mówisz.

Musiał ojciec wiele cierpliwości włożyć, żeby ją do tej organizacji przekonać. Że jest przecież oficerem, a kto jest oficerem, to do końca życia jest już oficerem, bo oficera nikt nie może zwolnić z obowiązku, kiedy ojczyzna w potrzebie, nawet Bóg. Za co ma te gwiazdki, medal, pas z koalicyjką? I co by jego syn kiedyś o nim pomyślał, że miał ojca tchórza? A młodzi biją się, ale muszą mieć kogoś z doświadczeniem wojskowym nad sobą. Część mebli posprzedawał, część umieścił u znajomych, po wojnie odbiorą, a zresztą po wojnie kupią sobie nowe, takie jakie będzie chciała, jawor albo orzech, tremo, dywan i co tylko będzie chciała. Jeszcze ją pocieszył, że tu na pewno nie trafią za nim, bo się przemeldował na inne

mieszkanie, a jeszcze w innym mieszkał. Nie przyznał się, że został zwolniony z pracy, bo był już wtedy bardzo chory.

Ta jego choroba nie dała się zresztą długo ukryć. Bladł, robiło mu się słabo, męczył się przy każdym wysiłku, zaczął zażywać jakieś kropelki, które z sobą przywiózł, najpierw wstydliwie, tłumacząc się, że to po tych wszystkich przejściach musi trochę zadbać o nadszarpnięte nerwy. I wszyscy traktowali to z wyrozumiałością. Wiadomo, żyć w ciągłym strachu, że każdego dnia mogą cię aresztować, a przecież tak tam żył. Nawet jakby z większym szacunkiem odnosili się teraz do niego. Zwłaszcza że ani wujek Władek, ani wujek Stefan nie należeli do organizacji, bo dziadek im nie dał. Rób jeden z drugim w porę i starownie, to to samo będzie, co byś strzelał z karabinu i jakiegoś zbója nawet zabił, a przynajmniej ciebie nie zabiją. Wojny przechodzą, a robota zostaje. I wskazując na wujenkę Martę czy wujenkę Jadwinię, o, przy nich siedźta. Kawalery niech się biją.

Wujkowi Stefanowi było zresztą w to graj, jakby mu dziadek do najskrytszych myśli przytakiwał. Bo wciąż tylko wodził oczyma za wujenką Jadwinią i gdy mógł ją na osobności dorwać, zaraz podnosił jej spódnicę, nie zważając na jej strachy, sprzeciwy, że może ktoś nadejść, że nie tutaj, Stefuś, nie teraz, jeszcze ktoś zobaczy. Szła do piwnicy po kartofle dla świń, szedł za nią, żeby pomóc jej wynieść, bo przecież sama nie wyniesie opałki kartofli po schodach. Szła do stodoły po ospę dla świń, po pszenicę dla kur, szedł za nią, choć nie musiał jej pomagać. A wieczorem, kiedy krowy szła doić, nie poczekał nieraz chwili, choćby dla zmylenia domowników, tylko co wujenka drzwi zamknęła za sobą, on już wstawał, że pójdzie zobaczyć, czy się w sadzie ktoś nie kręci, czy stodoła zaparta, czy konie coś tam, bo się spracowały, czy gwiazdy już na niebo wyszły, bo jaka pogoda jutro będzie. Domyślali się wszyscy, że za wujenką idzie, ale

nikt mu nigdy słowem nie zagrodził drogi, choć było wiadomo, że gwiazdy są na niebie i będzie pogoda jutro.

Wujence Jadwini zwykle dłużej w takich razach schodziło, ale też się jej nikt nigdy nie pytał, a cóż ci tak długo zeszło? Wracała zaczerwieniona, nieraz potargana, z radosnymi, błyszczącymi oczami, pytając się już od progu, jakby nie potrafiła przemóc do końca lęku w sobie, a gdzież Stefuś? Bo wujek przychodził zwykle po wujence, nieraz zaraz, nieraz później, i też czasem lubił się tak samo głupio spytać, to wydoiłaś już?

Razu jednego młócił wujek pszenicę w stodole. Wrótnie były zaparte, bo kiedy młócił, nie lubił, żeby ktoś mu do stodoły zaglądał. Mocny, choć przytłumiony przez stodołę, rytm bijących cepów roznosił się od świtu po obejściu, z przerwami jedynie na zgarnięcie wymłóconej słomy i rozesłanie nowych snopków.

Miałem krowy na pastwisko gnać, ale w sadzie akurat dojrzewała cukrówka stojąca zaraz za stodołą, niedaleko tylnych wrótni. Mówiło się nieraz, że dobrze byłoby ją ściąć, bo nie daje się przez nią tych wrótni na oścież otworzyć, gdy się zboże wieje. Pomyślałem, urwę sobie parę tych cukrówek, bo każdy coś przynosił na pastwisko. Złapałem za gałąź i już miałem się podciągnąć, gdy nagle uwagę moją zwróciła nie tak nawet cisza zza tych wrótni, co w tej ciszy głos wujenki Jadwini. Co też tam wujenka robi, zaciekawiło mnie, czyżby po pszenicę dla kur przyszła?

Podsunąłem się cichutko pod wrótnie, wsadziłem oko w szparę pomiędzy deskami. Wujka Stefana nie udało mi się dostrzec, ale był na pewno, tylko poza polem mojego widzenia, wyznaczonym przez tę szparę. Młócił co dopiero. Kiedy stałem pod gruszką, rozglądając się po konarach, słyszałem jeszcze bicie cepów. Widocznie stał gdzieś tam z tymi cepami, opierając się o ścianę snopków wypełnionego aż po bonty sąsieka, lub

może siedział na jednym z worków z otrębami, stojących tuż przy przegrodzie oddzielającej sąsiek od klepiska.

W półmroku stodoły, na rozesłanej pszenicy, pośrodku klepiska, jakby w smudze światła z mojego oka wciśniętego w szparę, zobaczyłem tylko wujenkę Jadwinię. Stała twarzą zwróconą w stronę, gdzie musiał być wujek. Jakieś zawstydzenie biło z jej postaci, splecione dłonie trzymała kurczowo przy piersiach, jakby miała za chwilę uklęknąć, żeby wujka o coś błagać.

– Co ty, Stefuś, w dzień? – usłyszałem łamiący się głos, przepełniony ni to wyrzutem, ni to żalem.

– No, rozbierz się – głos wujka był miękki, wyciszony przez półmrok stodoły, przez sąsieki pełne zboża, siana.

– Ale żeby chociaż pod jakimś nakryciem. Nie tak na widoku. Przecież to... – próbowała się wujenka bronić. – To może tylko spódnicę. Nieraz już tak było i dobrze było.

– Nie, wszystko z siebie zrzuć – nastawał wujek wciąż miękkim głosem, lecz jak głaz nieprzejednanym.

– To i bluzkę?

– I bluzkę. I co tylko masz na sobie.

– Kiedy choćbym chciała, to stanik mam na agrafkę zapięty. Nie odepnę sama.

– Odepnę ci.

– Matko Święta, a cóżeś się tak zawziął? – Rozpinając guziki u bluzki, nie chciała się wujenka jeszcze poddać.

– Mnie się wstydzisz?

– Sama siebie się wstydzę. I to nie, żebym chciała. Tylko tak jakoś. – Ściągnęła wujenka bluzkę, potem wyszła ze spódnicy. – Widocznie

człowiek musi się, Stefuś, wstydzić. Nawet w raju się wstydzili. Świata jeszcze nie było, ubrań nie było. A widziałeś, listki mają. I też mąż z żoną.

Stała już w samej halce, lecz jeszcze się wahała, a nawet przykurczyła aż do łokci ręce na rozpychających się piersiach, jak gdyby powstrzymując te piersi, żeby się same z niej nie wyłupały.

– Moglibyśmy tu przyjść, Stefuś, jakby się ściemniło trochę. Wtedy bym bez słowa, i halkę, i co byś chciał.

– Kiedy tak już jest od samego ślubu, Jadwiniu. Że po ciemku albo po kryjomu. Aniśmy się cali nago jeszcze nie widzieli, tylko zawsze po kawałku. Wszyscy po nas chodzą, jeszcze oni z miasta teraz przyjechali. A my wciąż po kątach, po chlewach, po miedzach, aby szybciej, bo ktoś może zobaczyć. Nawet w nocy musimy udawać, że śpimy. Choćby odetchnąć się głośniej człowiek boi. Nie, Jadwiniu. Będziemy na starość się wstydzić.

– A jak przyjdzie ktoś, Stefuś?

– Nie przyjdzie, zamknąłem stodołę na skobel.

Ściągnęła wujenka halkę, zdjęła jakoś ten stanik, a nie zauważyłem, żeby odpinała go z agrafki, więc musiała wymyślić tę agrafkę na swoją obronę. Piersi z niej buchnęły, jakby chciały przeskoczyć do gdzieś tam stojącego naprzeciwko niej wujka. Majtki jej się tylko opierały, zawadzając to o biodra, o uda, o kolana, bo zsuwała je i zsuwała pochylając się za nimi aż do stóp. A potem jakby nie mogła się od tych stóp odgiąć. Podciągała się nieomal z lękiem, czy zdoła utrzymać to swoje ciało wyzwolone tak do naga z ubrań. I kuliła się, oplatając się nieomal z wszystkich stron rękami i rzucając przerażone spojrzenia w stronę wujka.

– Nie wstydź się – powiedział, może także zawstydzony jej męką. – Bóg cię stworzył nieubraną.

Głos wujka był pokruszony, ziarnisty, nigdy jeszcze takim głosem nie mówił. Mówił zwykle powoli, lecz dobitnie, że gdy nawet z cicha mówił, słychać go było w całej izbie, czy gdy się przed nocą modlił, to choć szeptem, a każde jego słowo jakby z powały spadało. Miałem wrażenie, że nie słowami mówi, lecz tym ziarnem, które co dopiero wymłócił, przesypując je sobie z dłoni na dłoń, zamiast słów. I może to od tych słów-ziaren ciało wujenki z wolna tajało. Odkuliła najpierw głowę z zawstydzenia. Potem pozwoliła piersiom wystąpić przed siebie i brzuchowi wyłonić się z bioder, i rękom po bokach obwisnąć. A gdy stanęła już całkiem bezbronna, powiedziała:

– To i ty się, Stefuś, rozbierz.

Serce mi waliło, że słyszałem je aż na klepisku, na pszenicy, wokół stóp wujenki. Nie myślałem wcale, że to grzech tak podglądać, przeciwnie, czułem się, jakbym uczestniczył w jakiejś tajemnicy, i nie tylko wujka i wujenki.

Wujek nic nie odpowiedział ani nawet nie poruszył się. Jakby stracił nagle pewność, czy to on jest naprzeciw wujenki, wierząc i nie wierząc. Bo gdzieżby tak na środku klepiska, na tej rozesłanej pszenicy, którą co dopiero bił cepami, w tej mrocznej stodole objawiła mu się, a taka bogata w tej swojej nagości, jakby nie była jego żoną, z tymi piersiami niczym owoce na drzewie jej ciała, z tą dorodną kiścią bzu czarnego zawieszoną nad udami, takiej mógł jedynie pożądać w najskrytszej tajemnicy, a przecież nie pożąda się żony swojej w tajemnicy. I może strach go ściął, że mu się zwiduje już z tego młócenia od samego świtu, łupu cupu, łupu cupu. Toteż gdyby nie to moje oko wciśnięte w szparę pomiędzy deskami, przeminęłaby wujenka nieutrwalona w niczyim zachwycie, jak ów przysłowiowy kwiat paproci, gdy ten jeden jedyny raz zakwitła.

Z przeciwległych wrótni sypały się na nią wąziutkie promyki porannego słońca, pomnażając i złocąc te wszystkie wzgórza, sklepienia, wgłębienia, z których składało się jej ciało. Trudno było wprost uwierzyć, że to ta sama wujenka Jadwinia, która w bluzce, w spódnicy, w chusteczce na głowie, w byle jakich chodakach na nogach, przepasana zapaską, odbiera przy koszeniu za wujkiem, taszczy opałkę kartofli z piwnicy, dźwiga cebrzyk, tłucze karmę dla świń, doi krowę, siedząc pod jej wielkim brzuchem, rozsypuje ziarno kurom, głaszcze kota na podołku czy nawet z umytymi włosami, w kolorowej sukience, w pantoflach, ze skórzaną torebką w ręku stoi obok wujka w kościele, śpiewając „U drzwi Twoich stoję, Panie”, wpatrzona całą sobą w ukrzyżowanego na ołtarzu Boga.

Toteż nigdy w to nie uwierzyłem. Nawet gdy po latach czasem przyjechałem ich odwiedzić, a wujenka już była posiwiała i twarz jej oplotła się cała zmarszczkami, nie mogłem pozbyć się wrażenia, że suknia wujenki skrywa wciąż to samo ciało z półmroku stodoły, z pszenicy chrzęszczącej pod jej stopami, a jeszcze pomnożone, wyzłocone przez wąziutkie promyki porannego słońca sypiące się ze szpar z przeciwległych wrótni, bo ileż to mogą ukryć suknie.

Chociaż i mnie witała wujenka wciąż z tym samym niedowierzaniem, mój Boże, nasz Piotruń, ależ z ciebie mężczyzna, a takie byłeś śliczne dziecko, i dla mnie zawsze już taki będziesz. A ja, widzisz, już staruszka, nie, Piotruniu, życia nie oszukasz, trzeba z nim się zgodzić.

Więc może i wujek patrzył wtedy z niedowierzaniem na to ciało wujenki, przemagając się, uwierzyć czy młócić dalej. Bo wciąż się nie odzywał ani się nawet nie poruszył, jakby go w ogóle nie było w stodole. I tylko to moje wciśnięte w szparę między deskami oko dawało świadectwo wujence.

– Słyszysz, Stefuś? Rozbierz się i ty – powtórzyła wujenka.

I wtedy doszedł mnie ten ziarnisty, pokruszony głos wujka:

– Mnie tam nie ma co oglądać, Jadwiniu. Chłop jak chłop. No, chodź.

Zachrzęściły po pszenicy bose stopy wujenki i znikła mi ze szpary pomiędzy deskami we wrótniach jakby już na zawsze.

Byłbym może jeszcze trzymał oko w tej szparze, tylko że akurat pojawił się ojciec. Wyszedł tak cichutko z sadu, z drzew, że usłyszałem go dopiero, gdy się spytał:

– A ty co tu robisz? Nie pognałeś jeszcze krów?

I ani gruszek sobie nie urwałem, ani nawet nie miałem odwagi odpowiedzieć mu, że przyszedłem urwać sobie gruszek. Popędziłem od razu do chlewa, wygnałem krowy i ruszyliśmy w pośpiechu na pastwisko.

Z tego wszystkiego nie zauważyłem nawet Kruczka, który swoim zwyczajem oblatywał dookoła krowy, pilnując, żeby szły, jak je ustawił, jedna za drugą, a na końcu cielę, i nie zbaczały z wyznaczonego im szlaku. Aż raz i drugi szczeknął, jakby się upominając o swoją obecność, i dopiero uprzytomniłem sobie, że i Kruczek idzie z nami. Pewnie dlatego, że cały czas widziałem jakby rozdwojonym widzeniem, jedno oko miałem wciąż wciśnięte w szparę, i tylko to drugie prowadziło mnie za krowami. Prócz tego dręczyło mnie jeszcze, czy ojciec nie widział.

Mogłem go się zresztą spodziewać i wyrzucałem sobie nawet, że nie pomyślałem o tym. Bo choć było już po wiśniach i nie miał czego pilnować przed wronami, jak przeznaczył mu dziadek, to upodobał sobie sad. Kiedy się tylko poszło, można go było zawsze spotkać, jak chodzi wśród drzew, rozglądając się po konarach, czy gdzieś pod pniem siedzi i albo drzemie, albo coś czyta, czy nad rzeką płynącą przy końcu sadu wystaje, patrząc, jak płynie. I w ogóle więcej przebywał w sadzie niż w chałupie. Dziadek go zresztą utwierdzał w tym sadzie, że dobrze robi, bo jakby co, to przez rzekę, na Podgórki i w las, a w chałupie by od razu go chapnęli. A wujek Władek

jeszcze mu radził, żeby i w chałupie nie spał, tylko szedł na noc do stodoły czy nad chlewami zrobi mu się posłanie przynajmniej dopóty, dopóki tam się wszystko nie uspokoi.

Matka jednak nie chciała ani o tym słyszeć. On w stodole, nad chlewami, czyś ty zgłupiał? Jeszcze w nocy miałoby go nie być? I tak mu ciągle wyrzucała, że go nie ma i nie ma. Tam byłeś, no, to cię nie było, ale przynajmniej czasem na niedzielę przyjeżdżałeś. A teraz niby z nami jesteś, a nie ma cię i nie ma. Ani z kim pogadać, ani kogo się poradzić. I co ty tam robisz, w tym sadzie? Czy to las, żeby tak chodzić i chodzić?

Nieraz już na śniadanie musiała iść go szukać, bo ledwo wstał, szedł do sadu. A na obiad to już prawie zawsze z sadu go wywoływała. Czy kiedy zatęskniło jej się za nim, to mogła go jedynie w sadzie spotkać. Z rzadka bowiem wychodził na wieś i też szedł zwykle tam, gdzie mógł się najmniej ludzi spodziewać. A nawet w słotę, to rozkładał parasol, że pójdzie do sadu popatrzyć, jak deszcz po liściach pada. Jedynie kiedy musiał wziąć swoje kropelki, przychodził bez przywoływania i zawsze w porę.

Wujek Władek tymczasem toczył dalej swoją wojnę ze wsią o wybite oko Kruczka i tak był tym pochłonięty, że coraz mniej go obchodziła jakaś tam inna jeszcze wojna. Wyklinał na nią tylko wtedy, gdy przysłali z gminy nakaz na kontyngent albo gdy przyszli żandarmi sprawdzić, czy krowy, świnie pokolczykowane, gdy z końmi trzeba było na przegląd pojechać, a tam im na zadach znaki wypalali żelazem, co wujka aż rzucało z bólu, jakby to jemu wypalali. Choć kto wie, czy i tego nie podciągał pod to wybite oko Kruczka, jak i całą tę wojnę.

Jeden tylko ojciec zawsze go w spokoju i ze zrozumieniem wysłuchiwał. Toteż wujek Władek, kiedy tylko z pola przyjechał, a nie zastał ojca w domu, szedł do sadu, żeby choć się go spytać, no, jak tam? Chodzisz? To i dobrze. Mówię ci, najlepszy sad na te twoje nerwy. I nie ma

znów nic takiego do roboty. Też bym sobie pochodził z tobą, ale muszę zaraz w pole jechać.

Aż pewnego wieczora jechał burmistrz na koniu przez wieś, a wujek siedział na ławeczce przed domem, czekając, jak zwykle, żeby kogoś złowić w tę swoją sieć. Lubił bowiem burmistrz przejechać się tak przez wieś. Nie tylko wieczorem, można by powiedzieć, nie miał swojej pory. Najczęściej pojawiał się z nagła, kiedy najmniej się go spodziewano, kiedy powinien jeszcze spać, bo ledwie świt bielił się nad wsią i pierwsi ludzie dopiero zaczynali wstawać. Kiedy w gminie powinien urzędować. Kiedy obiad powinien jeść, bo we wszystkich domach jedli. Kiedy wydawało się, że powinien odpoczywać, bo skończył już urzędowanie. Czy właśnie wieczorem, kiedy powinien z żoną być, zwłaszcza że miał piękną żonę. Lecz wtedy, kiedy nie powinien, zwykle się pojawiał, jak zawsze w bryczesach, przy ostrogach, w zielonym, tyrolskim kapeluszu, ze szpicrutą, a koń pod nim jak z obrazu, kasztan.

Czasami jechał noga za nogą, jakby zamyślony czy smutny, wtedy był najbardziej ludzki, odpowiadał na pozdrowienia, zatrzymywał się, nieraz porozmawiał o codziennych sprawach lub choć spytał się o to czy o tamto. Lecz bywało, że jechał nerwowo, stępa, ze ściągniętymi cuglami, aż koń łbem kręcił. O, wtedy wystarczyło mu się nie ukłonić, a natychmiast zawracał i nauczał, jak powinno się przechodzić obok swojego burmistrza, z głębokim ukłonem i głośnym dzień dobry, a czapkę ze łba, jeśli miało się czapkę. Czasem potrafił i ućwiczyć szpicrutą, jeśli ktoś był oporny, czasem do krwi, wyzywając od najgorszych, aż uznał, że cię wreszcie nauczył. Zdarzało się jednak, że przecwałował niczym burza, zostawiając za sobą po wsi tuman kurzu, a wtedy nic a nic go nie obchodziło, czy mu ktoś się ukłonił, czy nie.

Wiązać więc z burmistrzem jakąkowiek nadzieję, to to samo co by uwierzyć, że ktoś przyjdzie, usiądzie obok na ławeczce i sam wyzna, to ja wybiłem oko twojemu Kruczkowi. Zwłaszcza że nie można było być nigdy pewnym, co z takiego spotkania z burmistrzem wyniknie, nawet gdy jechał noga za nogą i zatrzymywał się, żeby pogadać.

Może by zresztą wujek czmychnął do chałupy, bo każdy zwykle czmychał na widok burmistrza, choć tego burmistrz najbardziej nie lubił, gdy dostrzegł, że się przed nim ucieka. Było jednak za późno. Droga głucha, pokryta grubo kurzem po wyschniętym błocie, to koń szedł jak kot mięciuchno, a ciemność już na tyle gęsta się zrobiła, że nie przebił jej oczami dalej niż do sąsiedniej chałupy. I to z tej ciemności niczym duch wyłonił się burmistrz na koniu i przystanął przed wujkiem. A może stał już od dawna, tylko ta ciemność się na chwilę przerzedziła. Zerwał się wujek i ukłonił, bo już każdy był we wsi tej należnej burmistrzowi czci nauczony.

– Dobry wieczór panu burmistrzowi.

Nie odburknął choćby, tylko od razu zaczął wujka przepytywać:

– Co tak siedzisz? Żniwaście skończyli?

– Jeszcze tylko nam staje pszenicy zostało, panie burmistrzu. I będzie koniec.

– Kończyć, kończyć, bo kontyngent trzeba oddać.

– Odda się, panie burmistrzu, tak jak nakaz jest. Ani dnia się nie zarwie.

– Trapi cię coś? – zmienił nagle ton, jakby miał zamiar sam się z czegoś zwierzyć wujkowi.

– E, nic – spłoszył się wujek, bo wiedział, że nieraz po takiej serdeczności nawiedza burmistrza nagły gniew.

– No, a spać nie idziesz, tylko siedzisz i czas mitrężysz? Spać wszyscy powinni, żeby jutro o świcie do roboty. Was się musi nauczyć pracować. Po to właśnie tu jestem.

– Pracujemy, panie burmistrzu.

– Gówno pracujecie! O, siedzisz, zamiast spać. A jak się wyśpisz, tak potem pracujesz.

I wujek, widząc, że gniew w burmistrzu już daje znać o sobie, a nie wiadomo czym się może skończyć, gdy przemieni się w szał, jak to nieraz się zdarzało, wyznał, że ktoś Kruczkowi wybił oko i to oko tak go trapi, bo nie może dojść, kto.

Parsknął burmistrz śmiechem, aż koń pod nim zadreptał.

– Ty głupi! Tysiące niemieckich żołnierzy ginie co dzień na frontach, a ty o jakieś psie oko. Gdzie ten Kruczek!? Zastrzelę i przestaniesz się trapić! – Nie wiadomo, śmiał się jeszcze, czy już w tym śmiechu szał go zaczynał roznosić, bo klął na czym świat stoi, po polsku, po niemiecku, powtarzając wciąż: – Ty głupi! Ty głupi!

Nagle jakby coś się w nim na drugą stronę obróciło. Zeskoczył z konia i podciągając go za cugle do ławeczki, klapnął obok wujka.

– Mam ja z wami, mam. Czy ta wieś tylko taka, czy taki już świat. Sami głupcy. – I nachylając się nad strapieniem wujka, spytał: – No, a podejrzewasz kogo?

– Bo ja wiem, panie burmistrzu. Raz mi ten przychodzi do głowy, raz inny, ale nic pewnego. Krążę jak ten jastrząb od zamłynia po kościół, od szkoły po rzekę, aż mnie myśli już bolą.

– Może już za ciasna dla ciebie ta wieś?

– Ano, niby mówią, że mógł i ktoś z innej wsi, ale bo ja wiem.

– Tak to nigdy nie dojdziesz. Małoduszność i szkoda czasu. Raz ci się będzie wydawało, że ten, to znów tamten, a nie tamten, to ten czy jeszcze inny. Zaplączesz się i po diabła? Za dużo wątpliwości, to i coraz dalej od celu. Bzika w końcu dostaniesz i sam siebie zaczniesz podejrzewać, że to może ty. A tak, tak. Zawsze się do siebie dochodzi, kiedy niewłaściwy cel

się wyznaczy. Przyziemność cię zżera. Robaczywa przyziemność. Was wszystkich tu zresztą. Spójrz nie z ziemi w niebo, ale z nieba na ziemię. Co stamtąd widzisz, mrowie? A myślisz, że Bóg co widzi? Bóg to tylko inna perspektywa. A tym wszystkim głupcom się wydaje, że i jego widzi, i jego, i każdego z osobna. A On gdyby chciał każdego z osobna, zagubiłby się w tym wszystkim. Tym bardziej że to mrowie jak puls bije, koci się, zdycha i różne tam takie. Już pierwszy człowiek, choć go stworzył na swoje podobieństwo, wzbudził w Bogu podejrzenie, że po co go stworzył? Nie miał przecież celu dla niego, no, bo jaki? Chciał doznać jedynie swej boskiej potęgi albo sprawdzić, czy ta jego potęga ma swoje pułapki. Niby zakazał owocu. Ale to bujda na resorach. Nie wierz, zląkł się człowieka i założył mu kaganiec. Można by powiedzieć, że było to coś w rodzaju szczepienia ochronnego. Choć i tak niewiele to dało, ale bez tego może byłoby jeszcze gorzej. Naznaczył go w ten sposób grzechem, a z nim nas wszystkich po wsze czasy. Nie wybierał tego czy tamtego. Nie rozdrabniał się na mnie, na ciebie i te miliony czy miliardy. Wszystkich. Tylko Bóg mógł wymyślić taki środek zaradczy. Grzech stał się pierwszym prawem porządku, jakie Bóg ustanowił. I dlatego nie cel, lecz porządek jest najważniejszy. To porządek wyznacza cel świata. Bez porządku każdy cel gówno. Tym bardziej że od razu przewidział, że będzie kiedyś mrowie i wcześniej czy później trzeba będzie zrobić z tym porządek. To i ty nie masz co osobno tego czy tamtego podejrzewać. Wszyscy podlegamy prawu wzajemnego podejrzenia, jak prawu śmierci czy ciążenia. Na tym budujemy współżycie, systemy rządzenia. A nuż by się okazało, że to ten czy tamten wybił twemu psu oko. Co byś wtedy zrobił? Sprałbyś go najwyżej po mordzie. Ale zadowolenia byś nie miał. Mógłbyś się nawet rozczarować. Że to niewspółmierne do twojej udręki. Mógłbyś się nawet potem mścić na tym swoim, jakże mu tam?

– Kruczek.

– No, właśnie. Czy na żonie. Bo cóż za pospolitość sprać kogoś po mordzie. Można się obrzydzenia do siebie samego nabawić. I gorzko żałować, że się wie kto, na zawsze już się wie kto, pozbawiając się tej jakże bogatej udręki niewiedzy. A to jakbyś się pozbawił tajemnicy, dzięki której żyłeś tak bogato, tak wolno, tak czysto. Sam nieraz piorę was po mordach, to wiem. Czuję się zawsze po czymś takim, jakbym tylko głębiej w gówno wdepnął. Nie chciej go tak łatwo znaleźć, mówię ci. Sprawiedliwości też by się nie stało zadość, nie wierz w to. Sprawiedliwość jest zawsze w czyichś rękach, a prawo podlega nieustannie okolicznościom, takim, siakim i diabli wiedzą jakim. Choćby dlatego, że znaczenie słowa jest nietrwałe. Znaczenie każdej rzeczy jest nietrwałe, każdej sytuacji, każdej wzajemności. I także Bóg zmienia się z historią. Zmieniają go ci, którzy się do niego modlą. Zmieniają go według swoich próśb, cierpień, nieszczęść, nie mówiąc już o interesach, według których go najczęściej zmieniają. Zwłaszcza że historia składa się z łez, krwi i głupich nadziei. Toczy się, jak ci czy tamci ją popchną. A prawdę mówiąc, zmierza wprost do piekła. Piekło czeka nas wszystkich, Władysławie. Nie Bóg, lecz piekło jest tajemnicą naszego losu. A jakieś głupie mędrki mędrkują i mędrkują, to o sprawiedliwości, to o prawdzie, o raju, zakłamując do cna samych siebie, a co gorzej, zakłamując i maluczkich, naiwnych, prostodusznych, czekających jak spragnieni deszczu na pustyni Bóg wie na co. Cóż za ścierwo! Takich się powinno rozstrzeliwać. To oni wciąż ten świat bełtają. A porządek świata powinien być prosty jak baczność, spocznij, w lewo patrz, w prawo patrz, w tył zwrot, naprzód marsz. Jak dzień i noc, wschód, zachód, cztery pory roku. I co, widzisz, jakie proste, choć, nie przeczę, i trudne zarazem. To i ty nie wierz, co ci tam bredzą. Powiedziałem, nic ci to nie da. Jeśli nawet znajdziesz tego czy tamtego. A pewnie jakiś łachudra.

Splunięcia niewart. Pijaczyna, jełop, kto wie, czy nie półgłówek. I cóż to za partner dla twojej udręki. Żadna przyjemność takiego znaleźć. To jak pchłę zgnieść. Szukaj, ale rób wszystko, żeby go właśnie nie znaleźć. Rozumiesz? Nic nie rozumiesz. Kruczek, tak? Kruczkowi ktoś wybił oko. Cha! cha! cha! Nareszcie coś metafizycznego zdarzyło się w tej zakichanej wsi. A nie tylko kontyngenty, mordobicia, nakazy, zakazy, nauka kłaniania się. Psie oko. A to ci dopiero ironia. Boska ironia. A jakie możliwości. Niby wieś, a bagno nieprawości rodzaju ludzkiego, pięć sfer wtajemniczenia, dziesięć kręgów pokuty. Zbrodnia epoki, tajemnica tajemnic. No, niech skonam. O, to żeś mnie ubawił. Kruczek, tak? Nie Reks, nie King, Keiser! Kruczek! Cha! cha! cha! A ty chciałeś, głupi, takie ziarno zmarnować. I kto, i kto? Jak ostatni mazgaj, któremu wmówiono, że coś tam z mlekiem matki wyssał. Nic nie wyssałeś. Ciągnąłeś mleko i sraczkę miałeś. Czekaj no. A możeś ty wcale nie taki głupi? Może coś tam i w tobie się wyrywa z tych wszystkich przeznaczeń, obowiązków, związków, przypisań, konieczności, powinności i tam takich. Złote ziarno. O, z takiego ziarna bujność nieskończona. Z takiego ziarna wszystko może wyróść. I katedra, i Kant. Nie wiesz pewnie, kto to Kant? Nie szkodzi, nie musisz. Tylko ty i Bóg naprzeciw siebie. A niech to diabli! Nie darmo miałem ochotę przejechać się na koniu. Sprawie nadamy kryptonim psie oko. Na razie skromnie i nie wiadomo, o co chodzi. Zakładamy sobie to psie oko jako początek. Jak na początku było słowo. Brzmi to trochę niczym operacja wojenna, ale nic z wojną nie ma to wspólnego. Raczej z pięknem. Z pięknem jako ideą wszechbytu. Jako jedyną racją, dla której Bóg stworzył świat. Z tym, że jego konwencja już się przeżyła. Najpospolitszy nawet gust musi się dzisiaj tym brzydzić. Bo i świat już nie ten, że cieszył się z samego stworzenia. Dzisiaj miliony, miliardy, a nie chce się to zmieścić już w żadnej idei. Pozostało piękno, jeszcze tylko w pięknie możliwe jest istnienie. Choćby to

piękno miało być rozpaczą. Pewnie myślisz, że nie wierzę w Boga. Wierzę, wierzę. Widzisz mnie przecież co niedziela w kościele z żoną. I nawet modlę się żarliwie, jak mnie tylko na to stać. Bóg jest zresztą dla mnie najdoskonalszym pięknem. Może już tylko pięknem. A nam dzisiaj potrzeba nowego punktu widzenia. Ze środka, z dna. Zarówno ze zbrodni, jak z cierpienia. Z mocy, co i z bezradności. O, czas najwyższy ułożyć od nowa cały ten poemat. Poematy też się przeżywają. Psie oko. Cóż za tytuł. Bezbrzeżny. W dodatku wybite. A więc nie ma go. Tylko sza. Nikomu. Rozumiesz? Żebym cię nie musiał potem w mordę prać. A nie sprowadź mi czasem gestapo. Możesz gdzieś się wygadać, szukając tego tam. A wiesz, jacy oni są. Buciorami wchodzą w najdelikatniejszą materię. I na wszystko mają jeden sposób. Przyjadą, wezmą zakładników, rozstrzelają. To bestie. A tu trzeba wyobraźni. No, i wieś jest moja! Moja! Nie powiesz, że wam źle ze mną. Odkąd ja tu jestem, nikogo nie aresztowano. Biję was po mordach, ale to dla waszego dobra. Żyjecie sobie jak u Pana Boga za piecem. Gdzieś tam wojna, a wy sobie orzecie, siejecie, kosicie, rozmnażacie się. I nikt wam w tym nie przeszkadza. A dlaczego? Bo ja wiele mogę. Ty nie wiesz, kim ja byłem. Odesłano mnie tu tylko. Ale przyjdzie jeszcze na mnie czas. Sami mnie poproszą. Niech sobie gdzie indziej aresztują! Tu ja rządzę! Psie oko. Cha! cha! cha! A ty nie myśl. Idź spać. Ja przejmuję myślenie.

Niewiele wujek z tego wszystkiego zrozumiał, może nic. Miała jednakże rozmowa z burmistrzem ten widoczny skutek, że przestał odtąd wychodzić na ławeczkę wieczorami. Unikał tej ławeczki i w dzień. I najczęściej gdy wyszedł przed chałupę, to jakby wyszedł rozejrzeć się trochę po wsi. A jeśli ktoś się dziwił, czemu sobie nie siądzie, jest przecież ławeczka, tłumaczył się, że wyszedł rozejrzeć się, czy nie będzie padać, czy jaskółki wysoko, czy dym z kominów snuje się w górę, czy się płazi, czy

wujenka Marta ze sklepu nie wraca, bo nie ma jej i nie ma. I już nigdy nikogo nie pytał się, czy nie wie, kto wybił Kruczkowi oko. A jeśli ktoś go czasem sam spytał, ot, tak sobie, żeby coś powiedzieć, to wiesz już, kto twojemu Kruczkowi wybił oko, odpowiadał, wiem i nie wiem, co wiem, to dla siebie wiem.

Tak samo wobec Kruczka zrobił się obojętny i traktował go zwyczajnie jak psa. Bo może już go burmistrz teraz dręczył, nie to Kruczkowe oko. Niby mógł się poczuć ze wszystkiego zwolniony, wszak burmistrz mu powiedział, żeby więcej nie myślał. Ale może to właśnie wzbudziło w nim podejrzenie wobec samego siebie, czy tak naprawdę chodzi mu o to Kruczkowe oko, bo cóż tam w końcu psie oko. I burmistrz to odkrył. Może dlatego odtąd z ciągłym niepokojem wypatrywał pojawienia się burmistrza na wsi. Nieraz się mówiło o tym czy o tamtym, a wujek od rzeczy:

– Był burmistrz dzisiaj na wsi?

Ale burmistrz pewnie nie pamiętał już o tamtym wieczorze, bo ilekroć spotkał wujka, przejeżdżał obok niego obojętnie, ledwo odburkując na jego dzień dobry czy dobry wieczór panu burmistrzowi, czy najwyżej kiwnąwszy mu tym swoim tyrolskim kapeluszem, tylko spytał jak pierwszego lepszego:

– No, co tam? – I nie oczekując żadnej odpowiedzi, jechał dalej.

Można by więc sądzić, że dał sobie wujek już na zawsze spokój z tym Kruczkowym okiem. I w ogóle zmienił się, jakby burmistrz jakieś czary mu zadał. Jak przedtem niemal z lubością zwykł się sprzeciwiać każdemu i o byle głupstwo, a zwłaszcza dziadkowi, tak teraz zgodnie się podporządkowywał nawet dziadkowi. Jeszcze potakiwał, że tak jest, jak dziadek mówi, i niech tak będzie. Sam mówił tylko tyle, ile było mu potrzeba do przeżycia dnia.

Zaczęto się nawet martwić, że może coś ze zdrowiem wujka Władka jest niedobrze, a nie chce się przyznać, bo taka zgoda na wszystko nie wygląda na zdrowie, podobnie jak przedtem nie wyglądała na zdrowie ta wujkowa zawziętość. Człowiek najlepiej jak jest między, powiedział kiedyś dziadek, jak między ziemią a niebem, a jak tego jest za blisko czy tego, to nie jest dobrze, o, nie. Tylko że oprócz tej zgody na wszystko niczym innym nie potwierdzał wujek Władek braku zdrowia. Zawsze pracowity, pracował teraz za dwóch, a taka praca najlepiej świadczy o zdrowiu. Do tego, co najbardziej rzucało się w oczy, zmienił się i wobec wujenki Marty. Zawsze szorstki dla niej, teraz wpatrując się w jej wyostrzającą się urodę, bo ładna była wujenka Marta, nawet coraz ładniejsza, im bliższa śmierci, pytał się bez sensu, jako że dawno minął czas na takie pytania, lecz widocznie tylko takie pytania udało mu się wysupłać z kłębowiska myśli:

– Może by gdzie pojechać? Może jest jeszcze rada, Marta?

Wyraźnie poruszył tym wujenkę Martę. Jej oczy, zwykle zastygłe w jakimś nienawistnym smutku, jakby uciekały nagle z powiek. A gdy przymusiła je znów do posłuszeństwa, odwzajemniała się wujkowi ze współczującą pogardą:

– Chcesz pieniądze wydawać? Kazałeś mi pić śmietanę, jeść borsucze sadło. Piłam, jadłam. Nie chce mi się więcej pić, jeść.

Niewykluczone jednak, że w czasie tej rozmowy z burmistrzem zawiązała się między nimi jakaś tajemnicza bliskość, z której wujek pewnie nie zdawał sobie sprawy, i prawdopodobnie silniejsza niż wujka z tym wybitym okiem Kruczka, skoro wyparła nawet Kruczka. I jakkolwiek nie poszedł na pogrzeb burmistrza, to zaraz po pogrzebie wybrał się na jego grób. Chciał to zresztą ukryć, lecz ponieważ z polecenia gestapo musiał sołtys wyznaczać po dwóch chłopów na stróżę przez dzień i noc przy burmistrzu, to ci zaraz roznieśli po wsi. Niektórzy wyrzucali wujkowi,

a cóż ci go tak żal? Sukinsyn był i tyle. Dobrze mu tak. I dla ciebie nie był lepszy niż dla innych. Zapomniałeś, jak kiedyś po gębie dostałeś, żeś mu się nie ukłonił? Chyba że wam kontyngentu kiedyś odjął i nie przyznajeta się.

Lecz i później, gdy burmistrz wrósł już w cmentarz, także nieraz wujek zachodził, postał, chwasty dookoła powyrywał czy siadł na płycie i zwyczajnie posiedział. Nie miał jeszcze wtedy żadnego bliskiego grobu, przy którym mógłby postać, chwasty powyrywać czy posiedzieć.

Cmentarz w owym czasie był nieledwie zalążkiem cmentarza, zresztą jego początek był dość przypadkowy, można by powiedzieć, zaczął się z konieczności jako cmentarz, jeszcze pszenica dziedzicowa stała niezżęta, tyle że dziedzic przeznaczył już ten kawałek ziemi na przyszły cmentarz, bo parafia była, lecz bez cmentarza. Toteż grób burmistrza stał jeszcze samotny jakby w jakimś przypadkowym miejscu, nie na cmentarzu. Tylko w samym rogu, nad Głęboką Drogą, było kilka grobów, a właściwie kopczyków z ziemi usypanych, z zatkniętymi krzyżami. I mógł wujek odwiedzać burmistrza, żeby ulżyć mu w jego samotności, tym bardziej że burmistrzowa zaraz po pogrzebie wyjechała, a nie miał burmistrz nikogo bliskiego we wsi. A może ta rozmowa wtedy na ławeczce, wieczorem, przed chałupą, kazała przychodzić wujkowi i nagabywać burmistrza o dalszy jej ciąg zza grobu. Kto wie, czy nie ośmielony tym, że burmistrz nie jest już tak groźny, jak za życia, poczuł się równy burmistrzowi i zadawał pytania, żeby mu to czy tamto wyjaśnił, czego wtedy, wieczorem, na ławeczce przed chałupą, nie zrozumiał. W każdym razie stali się sobie jak dwaj sąsiedzi z tej samej wsi, a nawet chałupa w chałupę, którzy siedząc na ławeczce, po całym dniu pracy, a tuż przed pójściem spać, dociekają Boga, człowieka, porządku wszechświata.

Choć możliwe, że wszystko to było jedynie dalszym ciągiem sprawy Kruczka, a więc coraz bardziej pogłębiającą się niezgodą na los, dla której

wujek potrzebował kogoś takiego jak Kruczek, a ściślej, kogoś, kto wybił oko Kruczkowi, i burmistrz stał się tylko tym, kto zabrał tajemnicę tego oka do grobu. Wiedział przecież tyle, że przeraził wówczas wujka, to musiał i to wiedzieć. Albo może rozpacz z powodu tego wybitego oka Kruczka domagała się trwałości pamięci i nadarzył się akurat wujkowi ten grób burmistrza, bo trwałość pamięci jest miarą rozpaczy, a rozpacz to przecież nic innego, jak dumny i cierpliwy związek człowieka z samym sobą.

Odwiedziłem kiedyś wujka Władka pierwszy raz z Pawłem, no, i oczywiście, wujka Stefana, wujenkę Jadwinię, bo nie znali jeszcze Pawła. Jakoś tak życie poganiało, że wpadałem do nich tylko sam i przeważnie na Wszystkich Świętych, na groby, na krótko. Nieraz przyjeżdżałem nieledwie przed mszą, a niekiedy, gdy procesja wchodziła już na cmentarz i zaraz prosto z cmentarza odjeżdżałem. Tyleśmy się więc widzieli, co przy tych grobach, to cóż przy grobach? Co u ciebie? A u was? Jak żyjesz? Ano, leci. Dobrze wyglądasz. Wy też. Przyjechałbyś kiedy na dłużej. Przyjadę. I Pawła byś wreszcie przywiózł, pokazał go. To omal jak na jednej nodze.

Wróciliśmy właśnie znad morza, zostało mi jeszcze kilka dni urlopu, więc postanowiłem te kilka dni spędzić u matki, a przy okazji odwiedzić i ich na wsi.

Dziadkowie już dawno nie żyli, a wujenka Marta zmarła jeszcze przed dziadkami, i w starej dziadków chałupie został tylko wujek Władek, bo wujek Stefan z wujenką Jadwinią przenieśli się do własnego, nowego domu, z szerokimi oknami, z gankiem, do każdego pomieszczenia wchodziło się osobno z sieni, a jeszcze na strychu były dwa nieduże pokoje dla koleżanek czy kolegów ich Mariolki, gdyby chciała Mariolka kogoś sobie na wakacje tu, na wieś, zaprosić. Nie mieli własnych dzieci, a Mariolkę wzięli na wychowanie z domu dziecka.

Wujek Władek już się po wujence Marcie nie ożenił. Żył sam i jak to samemu, aby z dnia na dzień, co widać było i w obejściu, i w domu, pozapuszczane, nie sprzątane. Nie miał nawet psa ni kota, nie mówiąc już kur czy innego ptactwa, choć obiecywałem Pawłowi, że pobawi się z pieskiem, z kotkiem u wujka Władka, zobaczy kurki, gęsi, kaczki, indyki.

– A co mi, Pietruś? – wytłumaczył się prosto. – Koń, krowa mi wystarczą jak dla mnie samego. I powiem ci, że do Stefanów mało kiedy chodzę – od razu mnie uprzedził. – Czasem tam tylko, jak jest co w telewizji. Patrzą w tę swoją Mariolkę i o niej by tylko mówili. Nieraz w telewizorze nie możesz nic usłyszeć, co w świecie, bo tylko o niej. Cieszą się, że do nich podobna. Choć wedle mnie nic a nic, ale co mam mówić fałszywie, że podobna, to wolę nie pójść. Od razu widać, że z innego ojca, z innej matki. A przyjedzie na niedzielę ze szkoły, to upindrzone to, jakby nie stąd była. Chcą ją na studia po maturze posłać, nie powiem ci na co. Mówili, ale jakoś tak dziwnie się to nazywa, że nie powiem ci. Nie z twojej krwi, to nie wiesz nawet, co to jest i co z tego będzie. Chwili nie mogli bez siebie, a musieli z domu dziecka. To powiedz, jak to jest.

– A co u wujka? – spytałem, żeby zmienić tor rozmowy.

– A widzisz, żyję, to co może być. Ty masz przynajmniej jego. – Wskazał na Pawła. – A ja co? By nie psuła, to by może też coś było. Sama nie chciała żyć i innemu nie chciała życia dać. Nie mówiło się nigdy, bo co tam.

Coś mnie tknęło w tej jego skardze, a nawet nie to, że żyje samotnie, o czym wiedziałem, ani że wujenka Marta psuła, o czym nie mogłem przecież za jej życia wiedzieć, bo prócz wujka może nikt o tym nie wiedział, była to tylko ich dwojga tajemnica. Lecz jakby pretensja do mnie, ukryta głęboko pod słowami, upominająca się o obecność w mojej

zaniedbanej pamięci. Trudno było mi zresztą to określić, zwłaszcza że nie był wujek Władek taki łatwy w tym, co mówił, choć mówił prosto. Poza tym budził zawsze jakąś niepewność we mnie, która wcale mi nie przeszła wraz z latami. Być może, przez to wieczne swoje niezadowolenie ze wszystkiego i skłonność do kłótni o byle co. A zwłaszcza przez tę dziwną, jakby podsycaną wciąż w sobie, zawziętość do poszerzania granic każdej sprawy czy rzeczy, czy najbłahszego nieraz zdania. Słowem, był najbardziej nieodgadnioną postacią w rodzinie i to już wystarczało, żeby budził niepewność. Choć zarazem w najbardziej gorzkich dla mnie chwilach on jeden przypływał ku mnie w strumieniu pamięci.

Tak i wówczas, gdy powziąłem zamiar odwiedzenia go z Pawłem. Ten zamiar zrodził się już w czasie pobytu nad morzem, gdy wpatrując się w daleki widnokrąg, który otworzył się nagle ogromnym jaskrawoczerwonym półpierścieniem w promieniach słońca opadającego ku morzu, powiedziałem do Pawła bawiącego się obok w piasku:

– Pojedziemy na wieś. Chcesz? Odwiedzimy wujka Władka. – Było to dla mnie samego nieoczekiwane. Nie wujenkę Jadwinię, tak przecież zawsze czułą i serdeczną dla mnie, nie wujka Stefana, tylko wujka Władka powiedziało mi się. Jakby samo słowo wystąpiło w mocy stwórczej, ustanawiając to moje nagłe pragnienie i odkrywając coś zapomnianego we mnie, przed czym może nawet przez te wszystkie lata się broniłem. – Zobaczysz kurki, świnki, konika, krówki. Ma wujek Władek pieska, kotka, pobawisz się z nimi. Nie byłeś jeszcze u wujka Władka. Na pewno wujek się ucieszy.

Póki jeszcze żyli dziadkowie i wszyscy mieszkali razem w starym domu, a czas, jaki upłynął od lat, gdy pasałem krowy, dawał się jeszcze spiąć klamrą, a nawet zawiązać na liryczną kokardę, odwiedzałem ich dosyć często. Nie mówiąc już po śmierci ojca, ale kiedy do gimnazjum

chodziłem i później, gdy na studia wyjechałem, i zaraz po studiach, i z Anną kiedyś, jako jeszcze narzeczoną. W każdym razie długo nie mogłem się wyzwolić z tego dziecinnego związku z nimi, który był jakimś rodzajem wierności, nieuświadomionej jeszcze, a więc niewybranej, lecz z samej niejako natury obowiązującej. Taka wierność, czy też tylko możliwość wierności, niezależnie od wszystkiego zapewnia nie tylko poczucie bezpieczeństwa, określa także miejsce w nieprzeczuwanej jeszcze przestrzeni twojego widnokręgu, tym samym stając się znakiem twojego przeznaczenia. I nieważne, czy jest to jedynie złudzenie. W końcu wszystkie uczucia i wszystkie myśli prowadzą do złudzeń. Poza tym sprawiała mi niemałą przyjemność ta podszyta próżnością możność przeglądnięcia się w dziadkach, wujkach, wujenkach, jako w najbardziej przychylnym lustrze umieszczonym w najprzychylniejszym dla samopoczucia świetle. O, jak żeś to wyrósł, Piotruniu. Zmężniałeś. I garnitur masz jak się patrzy, płaszcz jak się patrzy. To już okulary nosisz? Ano, musisz przez tę naukę pewnie. To gdzie teraz mieszkasz? A pracujesz? Ho! ho! ho! To wyszedłeś na ludzi. Może przejdź się po wsi, pokaż się trochę, niech cię i tu zobaczą. Nasz Pietruń, no.

Ma się rozumieć, z czasem te moje odwiedziny stawały się coraz rzadsze. I nie miało to związku z kolejnymi śmierciami, wujenki Marty, dziadka, babki. Lecz po prostu coraz bardziej oddalałem się od siebie z tamtego, dziecięcego czasu. Próbowałem się usprawiedliwiać, że to naturalne, tak widocznie musi być, nie wiedziałem bowiem wtedy jeszcze, że zaczynam się już bronić przed czymś. A chyba nawet długo nie wiedziałem, było to jakby poza moją świadomością, i szukałem różnych zastępczych, pospolitych tłumaczeń, wykrętów czy zwyczajnych łgarstw. Ujawniało się to jedynie, czego nie mogłem też długo zrozumieć, a może nie chciałem, w coraz dotkliwiej doznawanym poczuciu przykrości, jaką mi

sprawiały każde odwiedziny, w narastającej wraz z każdymi odwiedzinami obcości wobec tego miejsca. Toteż przyjeżdżałem już tylko na groby, jako że z grobów najtrudniej się wyzwolić. Tym bardziej że tych grobów przybywało, po babce wujenka Jadwinia, wujek Stefan, matka i jako ostatni wujek Władek, który nie tylko wszystkich przeżył, ale żył najdłużej. Coraz bardziej zamknięty w sobie, nigdzie już nie chodził, wyprzedawał po kawałku ziemię i z tego żył, tak że przed śmiercią nie miał już nawet konia ani krowy, stodoła pusta, chlewy puste. I w pustej chałupie tylko on.

Przyjechałem dosłownie na kilka dni przed jego śmiercią, zawiadomiony przez sąsiadów, że z wujkiem Władkiem coś niedobrze. Siedział w kącie pod kuchnią, owinięty w jakiś stary koc, w wypłowiałej beretce na głowie, buty poobwiązywane drutami, zarośnięty i jedynie oczy rozżarzone jak gdyby tą samą gorączką co zawsze.

– Czekam na burmistrza – powiedział. – Nie widziałeś go gdzieś po drodze, jak ze stacji szedłeś?

– Samochodem przyjechałem.

– Aaa! To on musi na koniu. Ładnego miał tego konia. Mówię ci. Kasztana. Nigdy jakoś nie było sposobności, żeby sobie pogadać. Ale teraz i on wolniejszy, i mnie nic tak nie trzyma.

I chyba tak naprawdę to dopiero ze śmiercią wujka Władka zrozumiałem, że właściwie to nigdy nie opuściłem tego miejsca. Bo choć to ich groby, to mój znak, gdzie jestem. A kto wie nawet, czy to nie tu jest środek mojego widnokręgu, bo jedynie tu jestem w stanie doznawać tej bolesnej dotkliwości, jak umieram za nimi i ja, a nie tylko świat dookoła mnie. I to tak zwyczajnie, pospolicie, że ta dotkliwość przeradza się w zachwyt, jakbym oto stał twarzą w twarz przed najwznioślejszą tajemnicą piękna. Chce mi się aż zanurzyć w tym umieraniu jak w kwitnącej łące i patrzeć na słońce gasnące nade mną.

Toteż ów lęk, który mnie z czasem zaczął nawiedzać z każdymi kolejnymi odwiedzinami i który powodował, że coraz rzadziej ich odwiedzałem, popadając jak gdyby w zobojętnienie, miał swoją przyczynę właśnie w tym, że zbliżałem się coraz bardziej do zrozumienia, że to jest właśnie to miejsce. Być może, poszukiwałem nawet tego miejsca i zarazem broniłem się przed jego odkryciem, przeczuwając, że nie da się nigdy z niego uciec ani zastąpić żadnym innym, bo gdziekolwiek jesteśmy, to miejsce jest w nas. I nie jako pamięć czy sumienie, lecz jako los, bo los to wyznaczona ci z mocy grobów przestrzeń.

Gdy weszliśmy z Pawłem do izby, wujek Władek siedział przy stole i jadł z miski grochówkę. Cała izba pachniała tą grochówką. W jednej ręce trzymał wielką pajdę chleba, w drugiej łyżkę i głowę miał nieomal zanurzoną w tej misce, że tylko zmysiała beretka wystawała mu z tego jedzenia. Rwąc właśnie zębami chleb, spojrzał znad miski w naszą stronę i zamarł. Wyglądało, że próbuje mnie sobie usilnie przypomnieć, być może, obecność Pawła go zmyliła, którego jeszcze nie widział. A po chwili jakoś tak się dziwnie skrzywił, co miało być zapewne uśmiechem, i powiedział:

– A, to ty? Przyjechałeś? – I zaraz się poprawił: – Przyjechaliście? Ugotowałem grochówki. Może zjecie? Grochówka, mówię ci, najlepsze jedzenie. Na cały tydzień nagotujesz i potem tylko się odgrzewa. Zgęstnieje, to dolejesz wody i prawie jej nie ubywa.

– Nie, dziękuję – powiedziałem. – Jedliśmy po drodze.

– Ano, jak jedliście – zgodził się bez nalegania. – Po drodze można nieraz lepiej zjeść niż u siebie. Tak kiedyś po drodze na jarmark golonkę z grochem jedliśmy. Mówię ci, aż mi się potem nieraz śniła. Siadajcie, czemu stoicie? Tu, na ławie. Na szczęście jest gdzie u mnie jeszcze usiąść. To twój syn? A jak ma na imię?

– Paweł. Mówiłem już kiedyś wujkowi.

– A może i mówiłeś. To tak samo jak pradziadek Paweł. A ile ma lat?

– Pięć niedługo będzie miał.

– Ładny chłopak. Ale nie powiedziałbym, czy do ciebie podobny, czy do niej. Oczy ma więcej jakby jej.

– Pamięta wujek?

– Jakże to, nie pamiętałbym. Wszystko pamiętam. Nawet gdzie tam sprzed wojny jeszcze. A jakby wczoraj pamiętam. Czasem ktoś tu przyjdzie, jak to było, pamiętasz, Władysławie? I pamiętam. Za dużo pamiętam, powiem ci, Pietruś. Nie powinno się tyle pamiętać. Człowiek nie beczka. Nie wszystko się w nim zmieści. A najgorsze, kiedy zacznie się przelewać. To nie zjecie mojej grochówki?

– Nie, dziękujemy. Naprawdę jedliśmy. Paweł nawet nie zjadł wszystkiego.

– Grymaśny taki czy niejadek? A może mleka by się napił? Dopiero co doiłem na południe. Ciepłe jeszcze, spytaj się go. Nie miało się dzieci, to nawet człowiek nie wie, jak się dziecka pytać. Pięć lat. Aż trudno uwierzyć, że pięć lat może człowiek mieć. To niemało go jeszcze czeka. Aby chociaż nie spotkało go, co ciebie. Życie czasem lubi przechodzić z jednego na drugie. Ale dobrze, że go masz. Zawsze to o te pół bólu mniej. Jakby jedna strona chociaż niepusta. Patrzę przez okno, kto to zajeżdża takim samochodem, a nie pomyślałem, że to do mnie, no. Jedziecie gdzieś dalej?

– Nie – zaprzeczyłem, lecz zaraz pożałowałem tego. Trzeba było powiedzieć, że tak, że po drodze tylko, bo gdy przekroczyliśmy próg, wraz z zapachem grochówki odżyło we mnie to dziwne, a tak dobrze mi znane uczucie przykrości, że znów tu jestem. I z każdą chwilą narastało coraz dotkliwiej, wyłażąc jakby z kątów tego domu, coraz trudniejsze do zniesienia. Może to samo Paweł czuł, bo zobaczyłem na jego buzi skrzywiony grymas, który zwykle pojawiał się u niego, gdy zbierało mu się

na płacz. Lecz brnąłem dalej: – Gdzież mielibyśmy dalej jechać? Wujka przyjechaliśmy odwiedzić.

– Mnie? – ni to zdziwił się, ni jakby nie uwierzył. Spojrzał w okno, spojrzał na kuchnię, na niezaścielone łóżko, na lepkę zawieszoną u sufitu, na której czarno było od much, aż dziwne się wydawało, że jeszcze jedna jakoś się zmieściła, bo właśnie rozpaczliwie bzykała. – Trzeba by ją zdjąć – powiedział. – Nie mają się gdzie już przylepiać. Ale nie bardzo jest kiedy pójść do sklepu. – Jeszcze długo tak błądził po izbie, unikając spojrzenia na nas.

– Pawełek chciał koniecznie wujka poznać – powiedziałem. – Prawda, Pawełku? No, i pobawić się z pieskiem, z kotkiem, zobaczyć kurki, świnki.

– Nie mam, Pietruś, teraz ni psa, ni kota, kur, świń też nie chowam. Bym wiedział, że przyjedziecie... – powiedział nieomal z poczuciem winy.

– Przywieźliśmy coś wujkowi – powiedziałem, żeby rozładować sytuację, i sięgnąwszy do torby, wyjąłem niewielki pakunek, zawinięty we wzorzysty papier, obwiązany na krzyż kolorową wstążeczką.

– Co to? – Spojrzał najwyraźniej spłoszony.

– Prezent – powiedziałem.

– Prezent? – wycedził, jakby rozłamując słowo na pół, żeby zajrzeć do jego wnętrza i zobaczyć, co to słowo znaczy. – Prezent, prezent – powtórzył z niedowierzaniem.

– Elektryczna maszynka do golenia – wyjaśniłem, kiedy niepewnymi rękami brał ode mnie pakunek. – Philipsa. Zagraniczna. A i Pawełek też ma coś dla wujka. – Wyjąłem z torby następny pakunek. – Daj wujkowi, Pawełku. Płyn po goleniu, woda kolońska, krem.

Pogłaskał naburmuszonego Pawła po główce, po czym położył oba pakunki na stole i patrząc na nie, z niepewnością czy z obawą, że to może jednak nie dla niego, powiedział:

– Nie trzeba było, Pietruś. – Twarz mu się jednak powoli rozjaśniała i spoza zarostu i starości zaczęły przezierać w jakimś niedowierzającym uśmiechu oczy dziecka. Może tak właśnie się uśmiechał, kiedy i on miał pięć lat, pomyślałem, bo w tych oczach jakiś jasny płomień zamigotał. Czyżby aż tak daleko musiał w swoje życie się cofnąć, żeby umieć się uśmiechnąć?

– Dla mnie, no. Prezent. Wykosztowałeś się. I od Pawełka, no. Aż nie wiem, co powiedzieć. Mnie tam, Pietruś, niewiele potrzeba. Elektryczna maszynka, no. A tu prądu nawet nie ma. Wyłączyli mi zimą, bo nie zapłaciłem. Trzeba będzie pójść zapłacić. Całe życie się brzytwą goliłem. A teraz to się mało kiedy. Do kościoła czasem. O, widzisz, ze dwa tygodnie już się nie goliłem. – Przeciągnął się ręką po brodzie, ale jakby nie po swojej twarzy. – Roboty teraz huk. Ale gdybym wiedział, że przyjedziecie, to bym do fryzjera poszedł. Wiesz, jest u nas znowu fryzjer we wsi. W soboty to igły byś nie wściubił, takie ma utargowanie. Tamten w wojnę, to skończyła się i wyjechał. Nie tak zaraz, ale niedługo. Ona też czasami strzygła, przeważnie dzieci. O, jak Pawełek i trochę starsze. Miała do nich cierpliwość. Płakały nieraz, mówię ci. A najgorzej, kiedy im maszynką po głowie jeździła. A choćby grzebieniem czy nożyczkami, to dzieciom też niemiło. – Błądził, kluczył po słowach, coraz bardziej bezradny, a wzrok miał wciąż utkwiony na stole przed sobą. Nagle podniósł głowę, a w jego oczach zajaśniało prawie szczęście: – A pamiętasz Kruczka? – I nawet głos mu się zrobił czystszy, jakby przemieniony pod wpływem samego imienia, Kruczek.

– Kruczka? – chciałem jedynie przytaknąć, lecz poczułem zarazem przypływ ni to żalu, ni winy i może dlatego wypadło to jak zapomnienie, bo omal rzucił się na mnie z urazą:

– No, jakżeż? Musisz go pamiętać. Krowy z tobą pasł. Jeść mu zawsze nosiłeś. Chodziliście nad rzekę i wszędzie. Nie pamiętasz, jak przed chłopakami cię bronił? I nie dał cię nikomu tknąć. Zębami się zaraz wczepiał w łydę albo w tyłek. By na pewno i Pawełka polubił. Cóż to był za pies. Już drugiego takiego nie będzie. O, i widzisz, jakoś tak to wszystko. Czy to przez tę wojnę, czy tak samo z siebie. Pies, a odwróciło się. Szło tak, poszło siak. A może dalej w miejscu stoi i obraca się dookoła. A ty nie wiesz, czyś w środku, czy na brzegu, czy może na drabinie i nie chce ci się choćby te dwa szczeble niżej zejść ani wyżej wyjść. Chciałem wziąć jakiegoś psa. Szczeniły się tu suki, zachodziłem, ale żaden mi się nie wydał. Weźmiesz tyciego, a potem urośnie ci nie wiadomo co. Może jakaś gangrena, skąd wiesz? Czasem, to ci powiem, jakbym słyszał Kruczka, a przeważnie w nocy. Tam szczeka, tu szczeka. Budzę się, że musi na złodzieja. Wychodzę na dwór, wołam, bierz go, Kruczek, bierz go! Nieraz mnie aż do sadu to jego szczekanie zaciągnie. Ale i sad jaki tam teraz. Dzikim bzem wszystko zarosło. Albo wyje. No, to myślę sobie, czas widać umierać. Bo tak żeśmy się umówili, że zawyje. A nieraz słyszę, drapie ci do drzwi, otwieram, a ten od razu pod stół, o, i leży tu, pod stołem. Ktoś mu wybił oko, pamiętasz? Co ja się namyślałem, naszukałem, kto i kto? Niby wieś nie miasto, ale jakbyś igły w stogu siana szukał. Zawziąłem się, że znajdę, choćbym miał chałupa po chałupie do góry nogami powywracać. Po kieszeniach ludziom szukać. Bo jak żyć, Pietruś. Może takiemu zbójowi co dzień rękę ściskasz czy pochwalony sobie mówicie. Może mu konia pożyczyłeś, a on cię na wódkę zaprosił. Spotkasz go, to może pytasz, jak tam, Janie, Stanisławie, Marcinie, Łukaszu? A on ciebie pyta, jak tam, Władysławie? Patrzycie na to samo niebo, w ten sam deszcz mokniecie. Może z tych samych korzeni się bierzecie. Z tego samego ziarna. A nie wiesz, że jesteś oszukiwany. Znajdę go, znajdę. Jeszcze mi tylko trochę

grobów zostało i któryś mi powie. Myślisz, że może zgłupiałem? Nie zgłupiałem, Pietruś. We wsi tak samo o mnie myślą. Ale nie zgłupiałem. Groby to najmądrzejsza księga. Nie dowiesz się od żywych, co dowiesz się od umarłych. Przejdź się po wsi, co się dowiesz? O, w garstce byś to wszystko zmieścił. A pogadaj z grobami. Niby żył, umarł, świeć, Panie, nad jego duszą. A każdy grób stronica tej księgi i te stronice same się przed tobą otwierają. Trzeba tylko znać ich mowę. Wierz mi, Pietruś, groby mają swoją mowę, tak jak mają psy, koty, konie, drzewa, ziemia, domy. Myślisz, że ten stół nie mówi? Niechbyś tylko całe życie przy nim jadł. I nie tam frykasy, a co jest, czego nie ma, grochówkę, zalewajkę czy suchy chleb, a jest mięso, to mięso. Kiedyś, pamiętasz, był zawsze kogut na niedzielę, rosół, kluski. Mówię ci, groby wiedzą najwięcej. Tam już nie ma, że coś ukryjesz, a co innego powiesz, coś zamienisz, przeinaczysz, wypchniesz, zepchniesz. To tylko tutaj człowiek ma podwójną albo i potrójną mowę, inną dla siebie, inną dla innych, a inną dla Boga.

Słuchałem go coraz bardziej bezbronny, tonąc w tych jego słowach i nie znajdując w sobie żadnego przed nimi ratunku, a nawet jakbym im przyzwalał, żeby mnie wciągały w siebie. Jedyną nadzieję pokładałem w Pawle, że może zacznie mnie molestować, jedźmy już, tatuś, jedźmy już, tatuś, no, jedźmy. Wówczas mógłbym przynajmniej powiedzieć, bo to byłyby jedyne słowa na miejscu, jedyne zdolne przeciwstawić się słowom wujka Władka:

– Na nas już czas, wujku. Przyjedziemy jeszcze kiedyś, to porozmawiamy.

Lecz jakby na nieszczęście paliło się pod kuchnią, kiedy weszliśmy, i ten ogień zwabił Pawła, odwracając jego uwagę od nas, od izby, a i od całego świata pewnie. Spytał się tylko wujka Władka, czy może otworzyć sobie drzwiczki, na co wujek przyzwolił nieomal uradowany, jak gdyby

nastręczył mu się nieoczekiwany sposób wynagrodzenia Pawłowi zawodu, który mu sprawił tym, że nie miał psa, kota, kurek, świnek. A w dodatku nie chcieliśmy ani jego grochówki, ani jego mleka.

– A otwórz sobie, moje dziecko. Jest drzewo. Dołóż. Pal sobie. Gdyby ci zabrakło, to zaraz za ścianą przy chałupie jest pełno drzewa narąbane. Powiedz i przyniosę ci.

Nawet zerwał się i sam dołożył parę drew pod ogień. A gdy Paweł, kucnąwszy pod kuchnią, patrzył z zastygłą w podziwie buzią w otwarte drzwiczki, dodał omal ze współczuciem:

– Dziecko prawdziwego ognia nie widziało. To jak wy tam, w tych miastach, żyjecie? A widzicie chociaż słońce? Czy tylko lampy się wam świecą na okrągło? Neony, tak się chyba teraz nazywają?

Nie mogłem więc liczyć na razie na Pawła. Tym bardziej że rozniecające się od nowa po dołożeniu drew płomienie pochłonęły go bez reszty. Patrzył w ogień ze wzrastającym napięciem. A gdy spokojny jeszcze w miarę ogień zaczął trzaskać, huczeć, jakby nie mieszcząc się już w palenisku, zawołał w zachwycie, świadczącym być może, że oto teraz dopiero doznaje bezwiednie swojego przyjścia na świat, bo jednocześnie usłyszałem w tym jego zachwycie jakiś ledwo uchwytny ton przerażenia.

– Tatuś, popatrz! Tatuś, popatrz! – I zerwawszy się z kucek, zaczął ciągnąć mnie za rękę do tego ognia. – Popatrz, tatuś!

– Widzę i stąd, synku.

– Ale popatrz, chodź!

– Dobra kuchnia – powiedział wujek. – Mówię ci, ciągnie. I nic jeszcze nie poprawiana. A gotuje się w oczach. Mokre nawet się pali. O, z deszczu przyniosę i jak teraz się pali.

Tymczasem Paweł nadąsany, że nie udało mu się ściągnąć mnie do dzielenia z nim zachwytu, kucnął na powrót pod kuchnią. Dokładał drew

i patrzył w ogień prawie nieruchomo, jakby wcale płomienie z paleniska nie dostawały jego oczu. I dokładał tylko drew.

– Siądź sobie na stołeczku, o, jest stołeczek, bo ci nogi ścierpną – powiedział wujek Władek.

Lecz nie słyszał, wpatrzony wciąż w ten ogień. I także nie doszło do niego, kiedy powiedziałem:

– Słyszysz, co wujek powiedział? Będzie ci wygodniej.

Patrzył tylko w ten ogień, dokładając wciąż drew, a nie dopuścił, żeby płomienie choć na chwilę nadstały, osypały się, musiało mu huczeć, trzaskać. Nie zwracał już zupełnie na nas uwagi. Było w tym coś więcej niż tylko dziecięce sycenie się czymś dotąd nieznanym, coś więcej niż pokora wobec ognia, odczuwana jako niejasne echo pierworodności. Może odnajdywał w tym ogniu ślady przeczucia samego siebie? Może coś mu ten ogień obiecywał? A może już nie potrafił wycofać się z tego początkowego zachwytu, który rósł w nim, zniewalał go. Przysunął się bliżej drzwiczek, potem jeszcze bliżej. A w pewnej chwili spojrzał na mnie i dojrzałem przez okamgnienie w jego oczach lęk. Powiedziałem:

– Odsuń się, Pawełku. Niebezpiecznie jest tak blisko ognia.

Musiało i wujka Władka to zaniepokoić, choć z trudem odrywał się od swoich słów, bo spojrzawszy w stronę Pawła, niby to zwabiony trzaskiem przełamujących się płomieni, powiedział:

– No, i powiedz, Pietruś, jak to jest, ogień życie, ogień śmierć. I musi tak ze wszystkim.

Chciałem też coś powiedzieć, choćby coś najbardziej błahego, a nie dlatego że wypadało coś powiedzieć, lecz pomyślałem, że może wreszcie wyniknie z tego sposobna okazja, żeby bez skrupułów powiedzieć, to na nas już czas, wujku. Bo z coraz większym trudem znosiłem to gęstniejące

osaczenie. Nim zdążyłem jednak cokolwiek powiedzieć czy choćby przytaknąć mu, że tak to jest, już wrócił do poprzednich słów:

– Ano, widzisz, i tak żyję i nie żyję. Ale znajdę go, znajdę. Powiem ci, że to mnie jeszcze tylko trzyma. Cierpliwszy teraz się zrobiłem. Więcej szukam rozumem.

Z konieczności więc musiałem go słuchać dalej, tonąc w tych samych wciąż słowach, wciąż spychany w tę jego gorejącą pamięć Kruczka i żądającą ofiary od mojej pamięci, jakby nie mogło się nigdy skończyć, co się raz zaczęło, nabywając już na zawsze praw do obecności, jakby niezapominanie było przestrzenią sumienia, a umieranie tylko przechodzeniem z czasu w przestrzeń.

Czułem coraz wyraźniej, że z tych jego słów, niby to o Kruczku, niby to o wybitym Kruczka oku, wyłania się jakiś żal do mnie. Nie dawało się tego odczytać tak wprost, składane to było jakby z pojedynczych liter, wydłubywanych spracowaną, nienawykłą do liter ręką, kryło się pod skórą słów, we wnętrznościach słów, w męce i nienawiści słów. Ten żal przebijał prawie tak niedostrzegalnie jak ziemia przez poranny świt. A Kruczek stanowił jedynie maskę tego żalu. Być może, był to żal za moim dzieciństwem, z którego już wyszedłem, a w którym wujek Władek wciąż dalej żył. Był zamiast mnie Paweł, lecz Paweł odkrywał właśnie ogień, no, i nie znał Kruczka.

Siedzieliśmy więc niby naprzeciw siebie, przy tym samym stole, w tej samej izbie, w tej samej wsi, lecz w różnych, jakże odległych od siebie czasach. Ale może właśnie o to mu chodziło, żeby znowu te czasy zbliżyć w jedno.

W każdym razie dręczył mnie tym Kruczkiem, aż odżyło we mnie zapomniane już poczucie zdrady wobec Kruczka, kiedy to zapragnąłem mieć charta, a Kruczek już nie wrócił po wojnie. Chociaż mogło być i tak,

że dla obrony wobec tego wujkowego żalu potrzebne mi było jakiekolwiek poczucie zdrady, a Kruczek tylko się nastręczył. Nie powiem, żeby mnie to nie zabolało, ale może właśnie o to mu chodziło?

4
Pierwsza lekcja

Zdarzało się, że wróciwszy z miasta, zamiast jak zwykle złorzeczyć na te schody i podejmować po raz nie wiadomo który postanowienie znalezienia nowego mieszkania, wybuchała matka płaczem. Właściwie należałoby powiedzieć, uwalniała się z tego płaczu, tak samo jak od siatek pełnych zakupów, które przynosiła. Ten płacz musiał w niej wzbierać przez całą drogę do domu, bo gdy stanęła w drzwiach, objuczona po obu stronach tymi siatkami pełnymi kartofli, buraków, marchwi, kapusty, cebuli, chleba, czasem sera, słoniny, od razu było widać, że prócz zmęczenia coś niedobrego niesie w swoich oczach. I jak gdyby siłą woli trzymała te oczy w powiekach, nie dając im płakać, póki nie dojdzie do domu i nie doniesie tych siatek, a nawet póki tych siatek nie położy na swoim miejscu pod kuchnią, gdzie zwykle je kładła po przyjściu z miasta.

Nie mówiło się nigdy głośno o tym, lecz wiadomo było, skąd ten płacz, że nie z powodu schodów i nie z powodu mieszkania ani też w mieście, na rynku czy w sklepie, nie mogło matki nic takiego spotkać, co by jej dało powód do płaczu. Na rynku czy w sklepie mogła się matka najwyżej zezłościć, toteż często i chętnie się złościła, traktując to jako swojego rodzaju urozmaicenie w szarości kupowania wciąż tych samych kartofli, buraków, marchwi, kapusty, cebuli, chleba, no, i w szarości życia. Tę złość w drodze do domu nawet podsycała w sobie z każdą napotkaną sąsiadką, a nierzadko i z nieznajomymi. Ta złość rynkowa czy sklepowa z daleka nieraz oznajmiała, że matka wraca. Często już na schodach ją było słychać, zwłaszcza przy otwartym oknie, jak wzburzonym głosem przekonuje

kogoś, że złodzieje, oszukańcy, pani, panie, mało było wojny na nich, trzeba by to ogniem piekielnym wypalić. A stanąwszy w drzwiach, jeszcze w pełni tej złości i objuczona tymi siatkami dostającymi prawie ziemi, zwykle na mnie tę złość wylewała:

– Piotrek, pomóż mi! Co za dziecko! Żeby nie wyjść choćby do schodów po matkę!

Miał i ojciec do spełnienia rolę w tych jej złościach, jako że przynajmniej musiał się jej zawsze spytać:

– I cóż się stało, żeś taka zła?

Utwierdzało to matkę w poczuciu, że nie na darmo przydźwigała wraz z pełnymi siatkami i tę swoją złość do domu.

– No, wyobraź sobie, chciała mnie ta jędza w masarni oszukać na wadze. – Po czym całą tę złość przenosiła na opowieść: – Ćwierć kilo słoniny poproszę. A ta, nawet szalki jeszcze nie stanęły, chap z wagi i zawija mi. Jak to jest zważone, mówię? Proszę mi zważyć jeszcze raz. A ta, z pyskiem na mnie, że chciałam ćwierć kilo, to jest ćwierć kilo i niech nie wymyślam, bo inni czekają. Ale jeszcze grzecznie proszę, żeby mi zważyła, a w środku aż się we mnie gotuje. A ta komuś innemu już kaszankę waży i tak samo szalki nie stanęły, chap. Nie odejdę, póki nie będzie jeszcze raz zważone. Ludzie za mną, no, bo przecież każdego oszukują. Co byś nie kupował, to tak oszukują. Sól, cukier, a nawet na drożdżach. Pięć deko kupujesz, to papieru jest deko. Potem dziwisz się, że ci placek nie wyrósł. Jak ma wyróść, kiedy w przepisie jest pięć deko. Złapałam, położyłam na wagę, a ta jak ci się nie rozedrze, że nie będę się rządzić w jej sklepie. Mogę sobie gdzie indziej iść kupić. A więcej niż deko nie było. No, to niech tak deko do deka, ile za dzień naoszukuje? Z czego te pierścionki na jednej, drugiej ręce, po dwa i trzy. Kraje to jakby złotem

krajała. Żebyś się tak udławiła, ty oszukanico. Już nie chodzi mi o nic, tylko jak tak można w żywe oczy.

Ta złość wciąż wzburzona stawała się jednak z każdym zdaniem mniej zła, a kończyła się tym, że wykładała matka z siatek, co nakupowała, opowiadając, u kogo, po ile, co jej się na cenie udało utargować, kto jej do wagi dołożył, wychwalając, że świeżutkie, że niesparciałe, że nierobaczywe, że nieprzerośnięte, że z cieniutką skórką, zdrowe, kruche, twarde. I ojciec każdej rzeczy dziwił się, jakby dziwił się górom, lasom, jeziorom, morzu, tęczy, gwiazdom rozjarzonym na wieczornym niebie.

– Rzeczywiście. Jak ty to wypatrzyłaś? Ja bym nie potrafił. To trzeba mieć dar.

Czy dziwił się tak z własnej woli, czy dlatego że mu matka pod oczy wszystko podstawiała i nie wypadało mu się nie dziwić, pozostało to dla mnie tajemnicą, niczym jakiś nie do odczytania język między nimi.

– O, zobacz, jaką piękną marchew kupiłam. A buraki. Takie nie za duże są najsmaczniejsze. A kiszona kapusta jaka bielusieńka. Spróbuj. Nie za kwaśna, prawda? Będzie pyszny kapuśniak. Czy mi się zdaje, że ten ser jakby trochę był niedowarzony? Na rynku próbowałam i wydawał mi się dobry.

– Nie, dobry jest, czego chcesz?

– To może zrobić dzisiaj klusków z serem? A kapuśniak jutro. Jak myślisz?

I zaraz myła ręce, zakładała zapaskę, wyciągała stolnicę, mąkę, a po chwili gniotła już ciasto na kluski.

Lecz gdy wracała, niosąc prócz tych pełnych siatek w rękach także zapowiedź płaczu w oczach, nie chciało jej się nawet do tych siatek zajrzeć. Leżały sobie, jakby niepotrzebnie tylko przyniesione, pod kuchnią, a ona,

wciśnięta w kącie na stołeczku, płakała. Wówczas i ojcu nie starczało odwagi, żeby jej się chociaż spytać:

– To nie powiesz nawet, co kupiłaś? – Najwyżej mówił: – Nie płacz. Wszystko będzie dobrze. – Albo samo tylko: – Nie płacz.

Starała się zwykle cicho płakać, bardziej w sobie niż po wierzchu, składając twarz w dłonie czy pochylając się ku kolanom. Ten płacz jej przypominał nieledwie siąpanie mżawki za oknem, a jeśliby się chciało, można by go w ogóle nie słyszeć. Mimo to siedzieliśmy z ojcem unieruchomieni przez ten jej płacz, nie wiedząc, co ze sobą zrobić, a ojciec nawet z okna uciekał z oczami i na sufit nie miał ich odwagi unieść, więc unikaliśmy i patrzenia na siebie.

W takich chwilach najlepiej się odczuwa, jak przydatny jest w domu choćby taki kot, można przynajmniej powiedzieć, kici, kici, można powiedzieć, no, chodź do mnie, można go się spytać, czy na myszach był, można nic nie powiedzieć, tylko zanurzyć rękę w jego ciepłej sierści i tak trwać. Bo cóż mądrzejszego można wobec płaczu, prócz tego, co można wobec kota. Wobec płaczu każde słowo jest nieme, żeby nie powiedzieć, upadłe. Tym bardziej że matka nie płakała nad sobą, nad sobą zapewne nie chciałoby jej się płakać, jak się dla siebie nie chce ugotować.

Czekaliśmy więc, aż ten płacz sam w niej nadstanie lub zdarzy się coś, co jej pomoże skończyć płakać. Wpadnie sąsiadka, wołając od progu:

– Ryby mają! Kupi pani?! Nabili minami w Wiśle. A to pani płacze. Stało się coś?

I matka, wdzięczna sąsiadce za te ryby, choć ich nie kupi, spyta:

– A po ile chcą? – Po czym otrze łzy, wysmarka nos. – Może bym i kupiła. Ale kupiłam już ser, to chciałam dzisiaj klusek z serem ugotować.

Albo nagle ktoś tam zacznie kłócić się na dworze, bo często kłócili się ludzie na Rybitwach, a najczęściej salowa szpitalna Madejska

z Bazylukową, wdową po policjancie, choć wtedy jeszcze nie wiadomo było, czy wdową, że jej mąż, czyli Madejski, pracujący przy wyrębywaniu dębowych przęseł po dwóch zburzonych mostach na Wiśle, nie przyniesie nigdy ani kawałka drzewa do domu, tylko wszystko zanosi do niej, kurwy, czyli Bazylukowej. O, znowu zaniósł taką kłodę, co by było z tydzień na niej gotowania! Jak to nie z mostów ten dąb? Gdzie by indziej taki czarny dąb był? I matka podniesie głowę z tego płaczu, bo trudno, żeby nie usłyszała takiej kłótni, taka kłótnia i przez ściany, i przez płacz przeniknie, i jakby na rozjemcę przez tę kłótnię powołana powie:

– Nie mógłby raz jednej, raz drugiej przynosić? Przecież obie muszą gotować. Albo już by ten Bazyluk wrócił. I za co go zaaresztowali?

Albo oto rozlegną się na suficie ciche stąpania panien Ponckich. A to, czy są w domu, budziło w matce jak dzień długi niesłabnące zainteresowanie i było ważniejsze od wszystkiego, co mogło się zdarzyć na Rybitwach, a zarazem najskuteczniej łagodziło wszelkie jej strapienia i także płacz. Jeśli długo nie dawało się usłyszeć przytłumionego stąpania na suficie, w matce najwyraźniej narastał niepokój.

– Coś długo ich nie ma – ni stąd, ni zowąd rzucała, choć wydawało się, że smakując zupę, zastanawia się, czy nie za mało słona. A gdy wyrwany z zamyślenia ojciec nie rozumiał, kogo nie ma, wskazywała na sufit: – No, ich. Nie słyszysz, jak cicho?

Była jakby niewidzialnym przewodem podłączona na stałe do tego sufitu i gdy nawet z ojcem rozmawiała czy do mnie coś mówiła, czy wydawało się, że jest bez reszty czymś zajęta lub w myślach zatopiona, ten niepokój sam się z niej nieoczekiwanie wyrywał:

– A czegóż tak długo ich nie ma?

Od tego stąpania panien Ponckich spływał na matkę od razu spokój.

– O, są chyba? – Unosiła przepełnione płaczem oczy, a właściwie te oczy wyrywały się jej same z powiek z jakąś nadzieją ku temu sufitowi. – Posłuchaj no, Piotrek. – Brała mnie na świadka, choć nie rozumiałem, do czego byłem jej potrzebny. Nie miała przecież wątpliwości, że są. Musiałem jednak unieść głowę i potwierdzić, że są. – Same?

– Chyba same. Innych kroków nie słychać.

– A to pójdę do nich choć trochę tang posłuchać.

Ojciec niechętnie patrzył na to spoufalanie się matki z pannami Ponckimi i nieraz robił jej wymówki, że to nie dla niej towarzystwo i co ludzie powiedzą.

– A niech mówią, co chcą. Swoje wiem. A nieszczęśliwe i tyle.

Wracała od nich nie ta sama, aż trudno było uwierzyć, że jeszcze niedawno, wciśnięta w kącie na stołeczku, płakała i nie chciało jej się nawet zajrzeć do siatek, co kupiła. Z uśmiechem na twarzy, niezdradzającej najmniejszych śladów po tym niedawnym płaczu, pełna znów chęci do życia, a zwłaszcza zachwytu dla tych tang, często z resztką któregoś z tych tang jeszcze na wargach. Tak że nawet gdy mówiła, co nam dzisiaj na obiad ugotuje, to tango nie schodziło z jej warg. I co u panien Ponckich nowego się dowiedziała, nowego zobaczyła, że panna Róża ma nową bluzkę, a Ewelina jakiegoś na wysokim stanowisku zapoznała, to tango trzymało się jej warg. I gdy nagabywała zagłębionego jak zwykle w swoich myślach ojca, żeby już nie myślał, jakoś się to ułoży, to tango i w tych jej nagabywaniach dalej pobrzmiewało.

Nasłuchana tych tang, wręcz przepełniona nimi po brzegi, stawała się serdeczna, zgodna, wyrozumiała i dla panien Ponckich, że choć młode, ładne, szykowne, to nikomu by nie życzyła takiego życia, bo co ludzie wiedzą, nic nie wiedzą, to trzeba głęboko w czyjeś życie zejść, aby coś wiedzieć. I dla mieszkania, że trudno, niech na razie i to będzie, może

kiedyś wynajmie się lepsze. I dla tych schodów, że nie tylko sami przecież chodzimy, ale wszyscy z Rybitw chodzą. A nawet dla mnie, że następnym razem kupi śliwek i zupy śliwkowej mi ugotuje, bo przecież tak lubię śliwkową zupę. I w ogóle życie wydawało jej się dużo znośniejsze, a w każdym razie nie czuła się wobec niego taka bezradna, żeby siąść i płakać.

Nawiedzały ją przy tym jakby w przypływie olśnienia najróżniejsze pomysły. Kiedyś chciała meble przestawiać w naszej suterenie, bo już jej się znudziło tak jak jest, choć mebli raptem było dwa łóżka, stół, trzy krzesełka, taboret, a i tak się ledwo to wszystko mieściło, a nawet szafy nie mieliśmy, tylko ubrania wisiały na drążku w kącie za zasłonką, podobnie jak miejsce na mycie w drugim kącie odgrodzone parawanem. Z trudem udało się ojcu ją odwieść, że niech już zostanie, jak jest, bo przestawi, to będzie jeszcze ciaśniej, albo niech sobie przestawia, kiedy on już umrze. Chciała kiedyś bielić, ale też ją ojciec odwiódł. Lecz nie od wszystkiego tak łatwo ją odwodził, bo potrafiła nieraz postawić na swoim, wbrew jego przekonywaniom, prośbom czy nawet wybieraniu się na tamten świat.

Raz tak wróciwszy od panien Ponckich, też po jakimś płaczu, jeszcze z pogłosem tanga na wargach, zdaje się, że to było *Ty przyjdziesz, by ją porwać w ramiona,* oświadczyła, że w przyszłym tygodniu jedzie na handel z talerzami. Mają być talerze w tym sklepie naprzeciw magistratu.

– Nasze panny pożyczą mi walizek. – Wskazała na sufit. – Mają dwie takie duże, że wejdzie ho, ho. Może i kubków bym trochę kupiła. Nie sprzedam przecież na jedzenie twojego sygnetu, niech będzie na czarną godzinę czy trzeba będzie jakieś droższe lekarstwo dla ciebie, a obrączki, no, to Piotrkowi trzeba zostawić, jak się będzie żenił. Chcą mi też pieniędzy pożyczyć. Dobre są panny. A co tam ludzie o nich mówią, to mam gdzieś. Niech by tak święta Teresa czy święta Jadwiga mieszkały na Rybitwach, też by wiedzieli, co o nich powiedzieć. Mogłabym kupić drugi gatunek,

a sprzedawać za pierwszy. Kto tam się pozna po takiej wojnie, pierwszy, drugi, kiedy żadnych ludzie nie mają. Rzucą raz na jakiś czas do sklepu, to i poobtłukiwane wykupują, bo trzeba przecież na czymś jeść. Nie będziesz jadł w garstce czy na podołku. Jeszcze ten kawałek mięsa czy blina można od biedy wziąć w rękę. O, natłukło się ludziom przez wojnę, a talerzy najwięcej. Pamiętasz u tych na wysiedleniu, mieli tylko jeden talerz, i to w kredensie za szybą stał, na ozdobę. A jedli w puszkach po konserwach. Tknąć nawet nie dali, że i ten się jeszcze stłucze i w ogóle już nie będą pamiętali, jak wyglądają talerze. Mój Boże, jak oni jedli. Może bym nawet do nich pojechała. Wytłukło się im, to w całej wsi musi być tak wytłuczone. Następnym razem mógłby i Piotrek ze mną pojechać. Więcej by się wzięło. Ja te dwie walizki, on mógłby koszyk. Bo i na sąsiednich wsiach pewnie wytłuczone. Zresztą i bez wojny ludziom się tłucze, nic nie jest wieczne. Jeszcze talerze czy kubki, ciągle się zmywa, wyciera, stawia, podaje, to nie wiadomo, kiedy z ręki ci wypadnie, trach i nie ma. Ten nasz komplet z rajem, mój Boże, tak uważałam. Wyciągałam tylko od wielkiego dzwonu. Chuchał człowiek, dmuchał, bo taka cienizna, jakby wyklute co dopiero ze skorupki kurczę brało się do ręki. A postawił ktoś głośniej filiżankę na spodeczku, to mi serce stawało. Pamiętasz, na każdym był inny widoczek. I takie same na filiżankach. Adam, Ewa, drzewko, wąż, a każdy był inny. Nieraz sobie myślałam, sześć filiżanek, sześć talerzyków większych, sześć mniejszych, a cały los człowieka. Najpierw poszła filiżanka, sama mi z ręki jakoś tak wypadła, że nie było co zbierać. Potem uszko od drugiej, wycierałam i w ręku mi zostało. Potem talerzyk, ten od ciastek. A jeden to chyba Piotrek zbił, tylko nie chciał się przyznać. Zbiłeś, zbiłeś, już ty mi nie powiesz. A u ojców kiedyśmy mieszkali, jeszcze ty przyjeżdżałeś czasem na niedzielę, wracam z sadu, po pietruszkę abym poszła, a Władek na spodeczku z tym rajem daje kotu mleko. Czyś ty zgłupiał, mówię? A on, że

z niczego nie chce pić, chyba chory. Złapałam i trach, poszedł. I tak po kolei. Ile by dzisiaj za to wziął. Jedną filiżankę ze spodkiem sprzedałam, to mi się ten gość pytał, czy więcej takich nie mam. Ale tego ostatniego już nie sprzedam, niech będzie na pamiątkę. Bo nigdy jeszcze takich z rajem nie widział. A miał różne. Nie mógł sobie wydarować, jak mu powiedziałam, że tyle się wytłukło. Ano, jakby się nie tłukło, to i on by nie zbierał, bo po co? Nie chce człowiek, a tłucze się. Uważa i tłucze się. Drży, żeby się nie stłukło, a tu samo się stłucze. A gdzie jeszcze żyją jak pies z kotem, to nieraz tłuką jedno drugiemu na złość. Ona talerz, to on dwa, wet za wet, czy odwrotnie, jedno tłucze i płacze, a drugie zębami zgrzyta. Czy wychodzi z domu i mówi, tłucz, tłucz, jak już wszystkie wytłuczesz, to wrócę. Albo nie wrócę. Różnie w życiu bywa. Pamiętasz w tym filmie? Grał ten aktor, no, taki przystojny, wysoki, blondyn. Jakżeż on się nazywał? Kiedyś grał i kowboja. Bydło gnali przez takie pustkowia, a on z batem na koniu, brudny, zakurzony, aż mu to nie pasowało. Nie wiem już, czy z tobą byłam, czy z Zarębową? Zawsze trudno było cię wyciągnąć. Tylko na wojenne lubiłeś. A tak, to musiałam nieraz którąś ze znajomych prosić. Albo z Piotrkiem. Nie chcieli go wpuścić, to jakoś między ludźmi i przepchnęłam go. Niby mówili, że komedia, ale nie bardzo było się z czego śmiać. Cały film tylko się kłócili. I bogaci byli. A ona też niebrzydka. A strojów miała, o, jak ta ściana taką szafę. Ciągle się w coś innego przebierała, a jeszcze mówiła, że nie ma się w co ubrać. Boga byś chociaż nie obrażała, pomyślałam sobie. Goście wyszli, a ta złapała talerz i trach. A on na razie nic. To ta drugi i trach. I wszystko z zastawy. To przecież porcelana nie taka, co się je na co dzień. A on dalej nic, tylko patrzy, jak ona łapie te talerze i tłucze. Ależ ty złośnica jesteś, pomyślałam sobie. I żyj tu całe życie z taką. A przecież ptasiego mleka jej brakowało. Bym na twoim miejscu co dzień Bogu za to wszystko dziękowała, a nie

tłukła talerze. I nie tylko talerze, filiżanki, szklanki, kieliszki, co tylko złapała, trach, trach. A kieliszki musiały być kryształowe, bo wysokie, rzeźbione. I żeby było o co? Ale nie było wcale o co. A z dobroci tak. Choć bywa, że tłuką i z biedy. Z biedy jeden talerz, to z dobroci dziesięć albo więcej. I z biedy nie wystarczy sama złość. No, bo jak jest w domu trzy, cztery talerze, to złap i stłucz. Musi jakiś ból rozum człowiekowi odebrać. Choć i w biedzie nieraz samo ci z rąk wyleci. Mówi się trudno i dalej się biedę klepie, o ten jeden talerz biedniejszą. A nawet w biedzie tak tego stłuczonego talerza nie widać, że go nie ma, bo wszystkiego nie ma. O, bieda jest dużo zgodniejsza od dobroci. Nie bardzo nawet zrozumiałam, o co jej chodziło. Może spojrzał na inną? No, to cóż takiego. Miał się w nią cały czas wślepiać. Mąż z żoną i tak się dosyć na siebie napatrzą. Całe życie mają. Zresztą po co gości zapraszali? Przy gościach to ona się nawet śmiała, wdzięczyła, a trajkotała za dwie. A jak goście tylko poszli, on się o coś jej spytał, a ona złapała talerz i trach. A potem to już jakby samo się wszystko tłukło. A kiedy nic już nie zostało na stole, to zaczęła krzyczeć, tupać. Pomyślałam sobie, zwariowała? Wtedy on otworzył kredens, a tam było drugie tyle wszystkiego. I wyobraź sobie, zaczął jej podawać, żeby dalej tłukła. I ta brała od niego, i tłukła. A ludzie aż się zanosili od śmiechu. Pomyślałam sobie, i z czego, że talerze tłuką? To ma być takie śmieszne? I złość wcale nie jest taka śmieszna. Złość, płacz czy inne zmartwienia. A kiedy potem i on zaczął z nią tłuc, to całe kino aż się trzęsło. Nie było nawet słychać, czy coś mówią, czy tylko te talerze tłuką. A zresztą po co by mówili? Tłukli, to jakby to samo co mówiliby. A nieraz i więcej. Słowami nie zawsze da się powiedzieć, co by człowiek chciał. Bo i skąd brać słów na to wszystko. A talerz trach i wiadomo. Oj, śmiali się, mówię ci, jak się śmiali. I z czego? No, z czego? U siebie w domu coś się stłucze, to nikomu nie jest do śmiechu, prędzej do płaczu. Czy zaklnie się albo do Boga

westchnie. Wiadomo, jadło się na takim talerzu, lepiej, gorzej, a tu trach i nie ma, i nigdy już nie będzie. Niechby nawet był pęknięty czy wyszczerbiony, a zawsze jakby z ciebie coś ubyło. Podał jej, żeby stłukła filiżankę, i on stłukł filiżankę. Podał jej kompotierkę i on stłukł kompotierkę. Pomyślałam, ona, no, to ona, ale czemuż i on tłucze? Powiem ci, że wcale mu to nie pasowało. Aż mu się dziwiłam, że zgodził się w takim filmie występować. To już wolałam, kiedy bydło gnał przez te pustkowia. Przynajmniej na koniu siedział. Bo mężczyzna, to powinien być mężczyzna. Lubię, jak dawnych rycerzy grają. Kochanków też lubię, ale kulturalnych, nie żeby tylko wykorzystać kobietę. Policjantów lubię. Oficerów. Chociaż do munduru aktor też musi mieć postawę. Bo niech ci jakiś pokurcz wydaje rozkazy. Co taki rozkaz wart? A już nie cierpię żadnych obdartusów. Chyba że przebrany tak tylko. Kiedyś taki jeden grał szpiega, wystawał tu, tam pod drzwiami, pod oknami. I oko jedno miał czarną opaską zasłonięte, że ślepy. A przychodził do domu, kąpał się, przebierał w garnitur, to byś go nie poznał, odklejał sobie wąsy, brodę. No, powiem ci, że nie mogłam zrozumieć, po co było mu być szpiegiem. A mieszkał jak hrabia. Ileż oni wtedy natłukli. Po podłodze to jakby ktoś tak naumyślnie ciarup, szkieł usiał. Już lepiej, kiedy się nawyzywają czy zapłaczą, a talerze zostaną. Bo co komu talerz winny? Taki talerz nawet nie wie, że u kogoś jest. A przyjdzie czas, to i tak się stłucze. Wcześniej, później. Zresztą gdyby się nie tłukło, to by dzisiaj było więcej talerzy niż ludzi na świecie. Choć bywa, że taki talerz przeżyje człowieka i wszystkie zawieruchy. Pamiętasz, dostałam taki talerz od babci na nasze wesele. Daję ci go na szczęście, moje dziecko, powiedziała. Pilnuj go jak oka w głowie. Niech stoi w kredensie. Chyba żebyście się pokłócili, to możecie zjeść na zgodę z niego. Mam go po matce. A ona ze dworu od państwa takich sześć dostała na swoje wesele. Stał cały czas w kredensie i nawet nie pamiętam,

jak się stłukł. Nieraz myślałam, nie ma po babci fotografii, to chociaż ten talerz. I jakoś tak, czy kurz ścierałam, czy sam pękł. Piotrkowi zęby akurat zaczęły wychodzić. Aż na mszę za babcię dałam, bo może to od niej był jakiś znak. Nieraz tak bywa, nie chcesz, a stłucze się. Myślisz, żeby nie stłuc, a stłucze się. Uważasz, a i tak na nic. Tylko że w zgodzie to jakby mniejsza strata. Jedno drugie pocieszy. A nie pocieszy, to przynajmniej nic nie powie. A powie, to potem żałuje. W zgodzie złość to ćwierć złości. Mogliby i oni przecież wyzwać się, wyprzezywać, a nie od razu wszystko tłuc. To już lepiej, żeby zbił ją, bo to ona, złośnica, była winna. I o co? Nawet gdyby się do innej uśmiechnął. Jedno drugie nieraz zdradzi i nie tłuką. Choć zdrady bym nie darowała. Ale i talerzy bym nie tłukła. Bo i co to za życie, natłuką, natłuką, a potem to zbieraj.

Czasem jednak wracała matka od panien Ponckich równie przygnębiona, jak do nich szła. Nie niosła ani żadnego z tang na swoich wargach, ani w ogóle nie chciało jej się mówić, tyle że oczy miała wyschnięte po tym płaczu. Najwyżej czasem rzuciła od niechcenia:

– Biedna ta Ewelina, biedna ta Róża, czy obie biedne.

Albo:

– Młoda ta Ewelina, młoda ta Róża, czy obie młode, ładne, zgrabne i gustownie się ubierają, a tak nie mają szczęścia.

A gdy ojciec, zmuszając się, jak zwykle, gdy chodziło o panny Ponckie, do jakiego takiego zainteresowania, pytał:

– I czemuż takie biedne?

– Bo biedne – odpowiadała krótko, nie dając się namówić na dalsze wynurzenia.

Ładne były panny Ponckie, to prawda. Ludzie na Rybitwach mówili, jak artystki. A nawet ktoś mi się kiedyś tak o nie spytał, nie wiesz, gdzie tu mieszkają te artystki? Co dzień inaczej ubrane, zawsze przy sukniach jakieś

broszki, kwiatuszki, zawsze w pantofelkach na wysokich obcasikach, zawsze paznokcie polakierowane. A już włosy poskręcane w bujne sploty okalały ich niewielkie główki niczym aureole na obrazach świętych.

No, a przede wszystkim dzięki pannom Ponckim było nie tak szaro na Rybitwach. Było o czym opowiadać, czego słuchać, a nie tylko kogo w wojnę zamęczyli, spalili, wywieźli, a kto jeszcze z niej nie wrócił. Toteż doceniając tę ich rolę, wszyscy im się pierwsi na Rybitwach kłaniali, o, panna Ewelina, o, panna Róża, jak artystki. A one, zawsze uśmiechnięte, miłe, nad nikogo się nie wynosiły, chętnie z każdym przystanęły, zapytały o zdrowie, o męża, żonę, dzieci, a niekiedy i w biedzie kogoś wsparły czy w innej potrzebie, bo miały podobno znajomości na najwyższych szczeblach w mieście. Lecz były przedmiotem nie tylko podziwu, ale i zazdrości. Bo poza oczami nikt inaczej o nich nie powiedział, tylko kurwy. Te kurwy Ponckie. Często też krążyły po Rybitwach opowieści, co to się działo w nocy u tych kurew Ponckich. O, jeszcze się do tej pory wylegują z tego złajdaczenia.

Nie bardzo wierzyłem w te wszystkie opowieści, bo przecież najlepiej wiedzielibyśmy, gdyby się panny Ponckie łajdaczyły, jak ludzie mówili. Mieszkały nad naszymi głowami. A tymczasem na suficie jedynie łagodne ich stąpania było słychać i czasami, może troszkę głośniejsze niż zwykle, melodie tang.

Nieraz wsłuchiwałem się nocą w ten sufit, udając, że śpię, czy mnie jakieś podejrzane głosy nie dojdą, jakieś śmiechy, piski, a nawet starałem się przez ten sufit wyobraźnią przeniknąć, że może prędzej coś usłyszę, jeśli wyobrażę sobie, jak się właśnie łajdaczą, przy czerwonym świetle, bo tak nieraz mówiono, że czerwone światło paliło się u nich całą noc w oknach. Ale nic, tylko te łagodne stąpania i czasem może troszkę głośniejsze melodie tang. A już zupełnie nie dopuszczałem myśli, że panny Ponckie tak

z byle kim. Bo tak się o kurwach mówiło. E, to taka, co z byle kim, nawet matka tak nieraz o kimś powiedziała. Nigdy jednak o pannach Ponckich. Panien Ponckich zawsze broniła. I na ludzkie obmowy odpowiadała, że nie każdemu życie układa się, jakby chciał, bo choć każdy stworzony jest do szczęścia, to mało kogo szczęście spotyka, i że na pewno byłyby z nich dobre żony, gdyby im się inaczej życie ułożyło. Ale może jeszcze się ułoży, młode są.

Toteż panny Ponckie traktowały matkę niemal jak starszą siostrę. I pod byle pretekstem wpadały do nas, to Ewelina, to Róża. Zawsze coś przyniosły, żeby się podzielić, bo dla nich za dużo, to żeby się pokazać w nowym żakieciku, pantofelkach, to żeby poradzić się, ile jajek wbić do ciasta na pierogi, bo smak je naszedł na pierogi z jagodami, a chodziła akurat kobieta z jagodami, czy żeby o zdrowie ojca spytać, a może mu potrzeba jakiegoś lekarstwa, bo właśnie wybierają się do apteki. A już kiedy nową płytę miały, to zawsze przybiegały podniecone, jakby coś ważnego się zdarzyło, i ciągnęły matkę, żeby poszła posłuchać.

Matka jednak od razu wyczuwała, czy któraś z tym tylko przyszła czy z bólem w duszy. A choćby obiad gotowała, to najwyżej kazała ojcu, żeby popilnował, gdyby kipiało, i z panną Eweliną czy z panną Różą wychodziła przynajmniej na ławeczkę przed dom i tam ich wysłuchiwała. Ojciec zwykle burczał na nią, że mogłaby powiedzieć, niech po obiedzie przyjdą, cóż to pali się, bo wciąż niezbyt łaskawym okiem patrzył na panny Ponckie. Na co matka odpowiadała, że obiad może poczekać, a ból nie. Bo kiedy człowieka coś boli, to jakby ziemia mu się spod nóg usuwała. A z głodu najwyżej w żołądku ssie. No, i człowiek człowiekowi powinien być jak konfesjonał, a choć nie ksiądz i nie Bóg za kratkami siedzi, to łatwiej potem, jak się komuś wyzwierzy, nie rozumiesz?

Miała bowiem dla każdego ludzkiego przypadku tyle wyrozumiałości, jakby nie wiadomo ile lat na świecie żyła i wszystko już przeżyła, bo nieobca jej była żadna udręka, żadne cierpienie, żaden ból, a była przecież tyle samo lat starsza od panien Ponckich, co młodsza od ojca. Można by nawet powiedzieć, że była zachłanna na czyjeś nieszczęście. Nie miało to jednak nic wspólnego z tą zachłannością zaspokajającą zwyczajną ciekawość czy urozmaicającą własne życie. Potrafiła bowiem zawsze znaleźć w sobie tyle pocieszenia dla kogoś drugiego, na ile wobec siebie samej nie było jej nigdy stać, a powierzona jej dotkliwość stawała się jej własną dotkliwością.

– Mój Boże, jak to się komuś nieraz nie wiedzie i nie wiadomo czemu – poddawała się niby zadumie tak w ogóle nad człowiekiem, chociaż nietrudno było zgadnąć, że chodzi o pannę Ewelinę i pannę Różę. Być może, uczestnicząc z taką gotowością w czyichś nieszczęściach, poszukiwała jedynie mądrości, która by pozwoliła jej własne wyrozumieć, z własnymi się pogodzić, a to mądrość najtrudniejsza i kto wie, czy w ogóle osiągalna.

Toteż panny Ponckie odpłacały się matce najwdzięczniejszą wdzięcznością. Byłem nieraz mimowolnym świadkiem tej ich perlącej się wdzięczności, z panią to jak z rodzoną matką, a nawet bardziej, bo rodzonej matce by się tego wszystkiego nie powiedziało. I swoją wdzięczność zwykle czymś podpierały, a to pończochami, a to jakąś bluzką, całkiem jeszcze nową, to spódnicą na tyle jeszcze dobrą, że można w niej było przynajmniej koło domu chodzić, to swetrem, z którego potem matka mnie sweter przerobiła, to kremem na noc, spinkami do włosów, kołnierzykiem do sukienki.

Nie, panny Ponckie nie mogły być kurwami. Kurwy przychodziły do kamienicy Kuferbluma, to widziałem. I w książkach o kurwach nieraz się

czytało. Ma się rozumieć, nie w tych, które na oczach matki, ojca czytałem. Bo w tych aby chusteczkami powiewały, wzdychały, modliły się, płakały, żegnając swoich rycerzy, żeglarzy, powstańców lub czekając na ich powroty, wychodziły na brzegi mórz, na mury zamków, pod krzyże, figury. A kurwy zwykle wystawały wieczorami na ulicach, kręciły tyłkami, pokazywały kolana i wyżej, zaczepiały, namawiały, no, i sprzedawały swoje ciało, a wszystko im jedno było komu, aby jak najwięcej sprzedać.

Panien Ponckich natomiast nikt nie widział, żeby gdziekolwiek wystawały. Przebywały najczęściej w domu, słuchając tang, czasem gotując, piorąc, prasując, a jeśli przychodzili do nich mężczyźni, to zwyczajnie w odwiedziny, co potwierdzała zwykle matka, choć ojciec z szyderstwem do słów matki się odnosił, jakaż ty jesteś naiwna, ale niech ci będzie, że w odwiedziny.

Byłem, ma się rozumieć, po stronie matki, lecz zaciekawiło mnie, co też kryje się za szyderstwem ojca, niech ci będzie, że w odwiedziny, i zacząłem śledzić tych odwiedzających.

Zrobiłem sobie nawet łuk i za domem od strony wzgórza, niedaleko drzwi panien Ponckich, urządziłem strzelnicę, zawieszając na pniu starego kasztana tarczę z papieru. Albo ćwiczyłem skoki na schodach na wprost tych drzwi, z miejsca, z rozbiegu, z góry, pod górę, lub na zmianę kopałem puszkę po konserwie do bramki ustawionej z dwóch kamieni. I tak nieraz do późnego wieczora. A każdemu z odwiedzających, jak gdyby mnie o to prosiły panna Róża i panna Ewelina, kiedy zmierzał wyraźnie do ich drzwi, mówiłem, dzień dobry, jeśli to był jeszcze dzień, lub dobry wieczór, jeśli już wieczór. W tym jednym jedynym przypadku stosowałem się więc w pełni do pouczeń matki, abym się kłaniał wszystkim starszym od siebie na Rybitwach, jako że na grzeczności nikt jeszcze nie stracił, i żeby nie śmiano jej nigdy powiedzieć, że jestem źle wychowany. Więc byłaby

pewnie matka dumna ze mnie, widząc, jak każdemu staram się wejść w oczy i powiedzieć, dzień dobry, jeśli to był jeszcze dzień, lub dobry wieczór, jeśli wieczór.

Nie powiem, na ogół wszyscy byli eleganccy, w garniturach, w krawatach, w płaszczach, niektórzy w kapeluszach, niektórzy z teczkami, a zdarzało się, że pod parasolami, gdy akurat deszcz padał. Widać było, że są z lepszego towarzystwa, co kazało mi sądzić, że i panny Ponckie muszą być z lepszego towarzystwa, a że mieszkały na Rybitwach, to może tylko maskowały się, bo nie był to dobry czas dla lepszego towarzystwa. Słyszało się nawet o aresztowaniach ludzi z lepszego towarzystwa. Dlatego pewnie i niejeden z tych odwiedzających wydawał się częstokroć spłoszony, nie patrzył przed siebie, lecz w ziemię, lub szedł jakby bokiem. Niejeden krążył, przystawał, rozglądał się, czy go ktoś nie widzi, zanim wreszcie skierował się ku drzwiom mieszkania panien Ponckich. Czasem wkulał się w ramiona, stawiał kołnierz od płaszcza, nasadzał głębiej kapelusz, czapkę czy nakrywał się cały parasolem, jeśli deszcz akurat padał. I wszyscy pukali w drzwi ledwo, ledwo, niczym ptasimi dzióbkami. Aż dziw brał, że panny Ponckie są w stanie usłyszeć takie pukanie. Słowem, sprawiali bardziej wrażenie, że skradają się na jakieś tajne zebranie, niż idą w odwiedziny do panien Ponckich, jakby jeszcze wojna nie skończyła się dla nich. Inni znów przychodzili, gdy już dobrze się ściemniło, a inni, kiedy całkiem wieczór zapadł.

Może dlatego rzadko który z równą grzecznością odpowiadał na moje powitania. Dla większości te moje dzień dobry lub dobry wieczór okazywały się wcale nie takie miłe, przeciwnie, często wpędzały ich w jeszcze większy popłoch.

Czasami dopuszczałem któregoś już pod same drzwi i gdy właśnie zginał palec, żeby tym ptasim dzióbkiem zapukać, pojawiałem się niby to

przypadkiem przy nim z tym dzień dobry, jeśli to był dzień, lub dobry wieczór, jeśli wieczór. Albo dla odmiany kogoś już z daleka witałem, kiedy ów jeszcze nie przypuszczał, że już widać po nim, gdzie idzie.

Wydawać by się mogło, cóż takiego powiedzieć komuś, dzień dobry czy dobry wieczór, w dodatku gdy mówi to jakiś pałętający się smarkacz, a niejeden wręcz sztywniał przerażony, jakbym nagle wyskoczył na niego z wojenno-indiańskim okrzykiem. Niejeden zrywał gwałtownie kapelusz, jeśli był akurat w kapeluszu, jakby nadrabiając nietakt, że nie ukłonił mi się pierwszy. Niejeden coś tam ledwo burknął i natychmiast odwracał w drugą stronę głowę, niby czymś zwabiony, żebym tylko nie zobaczył dokładnie jego twarzy. A niejeden, pewnie w przekonaniu, że nie wydobywszy z siebie głosu, zachowa również niewidoczność, a tym samym nie zdradzi się, dokąd zmierza, nic nie odpowiadał. Niejeden wręcz zdumiony, skąd tu nieoczekiwanie witają go jak w najwytworniejszym hotelu, powtarzał kilka razy, a dzień dobry, dzień dobry, dzień dobry czy dobry wieczór, dobry wieczór, dobry wieczór, jakby broniąc się w ten sposób przed posądzeniem, że idzie do panien Ponckich.

Zdarzało się jednak, że zamiast ktoś mi odpowiedzieć tym samym dzień dobry lub dobry wieczór, syczał, won, szczeniaku. Dam kopniaka w tyłek, to ci się odechce. Takiego zresztą od razu poznawałem, bo nie zasłaniał się ani kołnierzem od płaszcza, ani kapeluszem, nie oglądał się, nie przystawał, szedł raźno, z podniesioną głową i patrzył z góry, jakby właśnie chciał, żeby wszyscy widzieli, gdzie idzie i po co. I nie pukał do drzwi ptasim dzióbkiem, lecz walił całą dłonią w okno, szarpał za klamkę i wołał, hej, tam, otwórzcie, dziewczyny! Bo i tacy czasami zachodzili w odwiedziny do panien Ponckich, chociaż rzadko, a nie zawsze im panny Ponckie otwierały, mimo że wiedziałem, że są w domu.

Raz któryś na moje grzeczne powitanie przystanął zaskoczony, a potem spytał:

– Znamy się? Nie znamy. No, to o co chodzi? Ale możemy się poznać. Wiktor jestem. Ale mówią na mnie Baca. A ty?

– Piotr.

– To one ci tak każą mówić, dzień dobry, dobry wieczór? O, to widzę, że rozwijają interes. A ile ci za to płacą? Nic? To masz tu parę złotych.

I to on mi nasunął myśl, że mógłbym na tej swojej grzeczności zarabiać. Chociaż szybko skończyło się to moje zarobkowanie, bo mnie kiedyś jeden nie na żarty wystraszył. Brzuchaty był, w kapeluszu i z teczką. Powiedziałem mu dobry wieczór, choć być może powinienem powiedzieć dzień dobry, bo słońce dopiero zaszło za wzgórze, a ten nagle zmartwiał, jakby ktoś mu przystawił pistolet do pleców, i po chwili dopiero wydobył z siebie jakieś, eh, hm, a obróciwszy się z wolna całym ciałem w moją stronę, powiedział:

– Oj, toś mnie dopiero przestraszył, mój chłopcze. A mam słabe serce. – I wsadził dłoń pod marynarkę, macając się po tym sercu. – Wszystko przez tę wojnę. Niby się skończyła, ale w ludziach, widzisz, dalej trwa. No, i coś niecoś się przeżyło. O, jak mi to bije. Wyrywa się. Widać bliski czas jego odlotu. – Czoło mu się rzęsiście sperliło. Zdjął kapelusz, zaczął się nim wachlować, rozglądając się zarazem niespokojnie na boki, a choć staliśmy naprzeciw siebie, mówił jakby w niebo, na mnie zupełnie nie patrząc. Potem wyjął chusteczkę i otarłszy to czoło, nałożył z powrotem kapelusz na głowę. – Pozwolisz, że zażyję lekarstwo. – I wyciągnąwszy z kieszeni marynarki fiolkę z pastylkami, wsadził sobie jedną pastylkę pod język. – To tu mieszkają te panienki? A ty może z nimi? Brat czy syn? Miałem syna w twoim wieku. A swoją drogą, dlaczego mnie, nieznajomemu, powiedziałeś dobry wieczór? Co prawda jeszcze dzień jest, więc

powinieneś powiedzieć, dzień dobry, ale nie ma to znaczenia. Musisz mieć widocznie jakiś cel w tym. Czy może one ci tak każą? Dobrze, nie nalegam, musisz i ty mieć swoje tajemnice. Jak każdy. Może nawet tylko to jest ważne, co spowite tajemnicą. Ja też jestem tu w tajemnicy. Nigdy jeszcze u takich nie byłem. Zawsze z żoną, jak Bóg przykazał. Ale przecież kiedyś trzeba się odważyć. Czy to ty im dajesz znać? Więc może poszedłbyś się spytać, czy mnie przyjmą. Nie chciałbym być natrętny. Myślę, że rozumiesz. Wyglądasz mi na mądrego chłopca. Przez tę wojnę i dzieci rozumieją więcej niż dawniej. A często więcej niż dorośli. – Znów wyciągnął chusteczkę i otarł spocone czoło. I jakby szukając czegoś w wewnętrznej kieszeni marynarki, zaczął obmacywać się znów po sercu. – Odlatuje, czuję to. Może to ostatnie chwile jego ze mną. Jeszcze bije, lecz zapewne niedługo przyłączy się do stada. Stado serc umarłych. Ładne, co? Kiedyś taki wiersz czytałem. Że też komuś do głowy coś takiego przyjdzie. – Raptem, jakby sobie coś przypominając, sięgnął do kieszeni spodni. – Masz tu na cukierki. Tylko nigdy mnie tu nie widziałeś, pamiętaj.

A w nocy zbudziło nas głośne pukanie do okna. Ewelina czy Róża chciały koniecznie rozmawiać z matką i matka wyszła w szlafroku do nich na dwór. Coś długo z nimi stała, bo zanim wróciła, znów usnąłem. Na drugi dzień natomiast okazało się, że ktoś zasłabł w odwiedzinach u panien Ponckich. Nie dowiedziałem się jednak, czy to był ten akurat, co mówił, że jego serce odlatuje, bo matka nie chciała nic więcej powiedzieć, a po pannach Ponckich nawet by się nie domyślił, że ktoś u nich zasłabł.

Kręciłem się więc dalej w pobliżu ich drzwi, ale już bez zapału i rzadko też komu z odwiedzających mówiłem, dzień dobry, jeśli to był jeszcze dzień, lub dobry wieczór, jeśli wieczór. A tym bardziej że kiedyś matka nieoczekiwanie mnie spytała:

– Cóż ty taki grzeczny się zrobiłeś? Skarżyły mi się nasze panny, że im gości straszysz. Napadło cię co czy jak? Za grzecznym też nie trzeba być, bo jeszcze ktoś gotów pomyśleć, że go zaczepiasz.

Udałem, że nie rozumiem, o co matce chodzi, bo przecież kazała mi się kłaniać wszystkim starszym na Rybitwach, więc mam się kłaniać czy nie? A matce znów nie bardzo wypadało wyjaśnić rzecz do końca.

Nie robiłem zresztą tego wcale pannom Ponckim na złość. Jakże bym mógł? Chodziłem przecież co dzień do nich na kakao, czy niech dostały od kogoś bombonierkę, zaraz mnie wołały, chodź, chodź, Piotrusiu, poczęstujesz się. Czy niech któraś zobaczyła mnie przechodzącego pod ich oknami, tak samo, chodź, Piotrusiu, zjesz kanapkę. A raz Ewelina, czy może Róża, owinęła wokół mojej szyi jakiś szalik i powiedziała, ładnie ci, Piotrusiu. Weź go sobie. Innym znów razem kazała mi przymierzyć całkiem jeszcze nowe wojskowe buty, na grubych gumowych podeszwach, zapinane powyżej kostek na klamry. I nawet nachyliła się do moich stóp, żeby zapiąć mi te klamry i zobaczyć, gdzie mam palce. Trochę za duże. Ale założysz podwójną skarpetę i w czuby można waty napchać, a będziesz miał na zimę. Zostawił je u nas jeden oficer. Traktowały mnie zresztą jak kogoś z najbliższej rodziny.

To dopiero później, gdy zacząłem do gimnazjum chodzić, a zwłaszcza kiedy byłem już na studiach i przyjeżdżając do matki, zachodziłem i do nich, ledwo wydały okrzyki radosnego zaskoczenia na mój widok, och, ach, pan Piotr, leciały do lustra, przepychając się jedna przed drugą, żeby włosy poprawić, brwi, rzęsy, podmalować wargi, przypudrować noski, podperfumować się po dekoltach czy choćby obciągnąć nienagannie zresztą leżące sukienki. Chociaż od przekroczenia progu naszej sutereny już wiedziały, że przyjechałem, bo albo same wypatrzyły, albo matka niby w najgłębszej tajemnicy pobiegła im natychmiast donieść, że syn

przyjechał, i czekały już gotowe, wystrojone, obwieszone naszyjnikami, broszkami, z pierścionkami na rękach, wymalowane, wyperfumowane, a z gramofonu już płynęło tango, niby że właśnie słuchały sobie. To tango to był sposób pozwalający im ukryć zmieszanie, a przede wszystkich przejść do pierwszych słów:

– Pan Piotr nie lubi pewnie tang. To przycisz, Ewelina, przycisz, Róża. Lub w ogóle zgaś. A co w wielkim świecie teraz modne, panie Piotrze? O, tak, tak. Dostałyśmy kiedyś taką płytę. Nie można tego słuchać. Serce miast wzdychać, to od razu skacze. My już zostaniemy przy tangach, panie Piotrze. Dla nas już nie będzie piękniejszych melodii niż tanga.

I na stole zawsze stało wino, ciastka, czasem bombonierka, niby że tak tylko przypadkiem, że tak zawsze u nich, i jak gdyby niechcący tylko zapraszały, proszę się częstować. Może wina kropelkę? To bardzo miło, że pan Piotr nie zapomniał o nas. A jak studia? A jak pani Anna? I najmniejszej nigdy niezręczności w słowach, w tonie, najdelikatniejszego wspomnienia z czasów, kiedy przychodziłem do nich na kakao. A po chwili któraś się zrywała, może herbaty się pan Piotr napije? A ledwo wyszła do kuchni, już wracała, podzwaniając tacą, na której niosła filiżanki, cukiernicę, dzbanek z tą herbatą, bo i herbata czekała już gotowa na moje przyjście. I nie pozwoliły sobie choćby w żartach rzucić, czy może wolałbym kakao, jakkolwiek dalej lubiłem kakao.

Lecz kiedy przychodziłem jeszcze do nich na kakao, witały mnie przeważnie w szlafrokach, w kapciach, z włosami zmierzwionymi, jakby co dopiero z łóżek powstawały, nieumalowane, nieupudrowane, jakieś wybladłe, bezbarwne, wprost niepodobne do samych siebie, tych szykownych, eleganckich panien Ponckich. Któraś przynosiła z kuchni kubek kakao i stawiając przede mną, rzucała, pij. I przy mnie dopiero ubierały się, zrzucały szlafroki, wciągały pończochy na nogi, i to tak

wysoko, że już noga się prawie kończyła, czy zmieniały halki, bo nie pasowały im do zmienionych sukienek, a żadnej nigdy nie przyszło do głowy, żeby choć powiedzieć, odwróć się, Piotrusiu, czy nie patrz, Piotrusiu. Więc musiałem z własnej woli nie patrzeć, udając, że piję tak zachłannie kakao i smak kakao całego mnie wypełnia.

Spośród wszystkich odwiedzających panny Ponckie wyróżniał się zwłaszcza kapitan Jefremow. I nie tylko dlatego, że był młody i przystojny, a do tego jedyny w mundurze. To on zostawił u nich te wojskowe buty, które później dostały się mnie. Poza butami zresztą zostawił wiele innych rzeczy, i rubaszkę, i spodnie, i zegar ścienny, który bił co godzina, a tak głośno, że aż u nas, w suterenie, było słychać. Zostawił też fotel, podniszczony trochę, ale z tak bogato rzeźbionymi nogami i oparciem, że matka nabrała podejrzenia, że musi być z pałacu. Zostawił świecznik, też pewnie z pałacu, a nawet całą belę materiału na zasłonki do okien. Wszyscy potem na Rybitwach mieli z tego materiału zasłonki, bo panny Ponckie za bezcen sprzedawały. U nas w oknie też wisiały podobne, a prócz tego uszyła sobie matka z tego materiału sukienkę na lato, bo tyle go dostała w prezencie od panien Ponckich. I długo jeszcze panny Ponckie, wyciągając to czy tamto z zakamarków jakby z niepamięci, mówiły, a to zostawił u nas taki jeden oficer, i nawet po latach, a to zostawił u nas jeden taki oficer po wojnie, nigdy nie wspomniawszy kapitana Jefremowa z nazwiska czy choćby z otczestwa, Michaił Siemionowicz, czy, jak mówiły jeszcze wtedy do niego, Misza.

Niedługo, co prawda, je odwiedzał. Pojawił się wraz z wieścią, która pewnego dnia rozeszła się po Rybitwach, że w Collegium Gostomianum zakwaterowało się ruskie wojsko, wycofane z frontu na odpoczynek. A po trzech tygodniach wraz z tym wojskiem odjechał. I nawet panny Ponckie nie umiały powiedzieć, wróci czy nie wróci, oprócz tego, że nie przyszedł

się nawet pożegnać. I wzdychały za nim, że taki młody, och, taki młody, bo młodszy od niego spośród ich znajomych byłem tylko ja. A wyróżniał się jeszcze tym spośród wszystkich, którzy je odwiedzali, że przychodził co dzień i o różnych porach, z rana, w południe, o zmierzchu, wieczorem, w nocy, a niekiedy dwa i trzy razy na dzień. I nie krył się z tym. Przeciwnie, gdyby mógł, to by wieścił na całe Rybitwy, że idzie do panien Ponckich. Miał zresztą blisko, aby ze wzgórza w dół, zwłaszcza że nie schodził nigdy schodami, lecz zsuwał się najkrótszą drogą po wzgórzu i tak samo wracał, wspinając się po wzgórzu.

Nieraz dosyć go już miały, a nawet kryły się przed nim, ale nigdy nie chciał się z tym pogodzić, gdy ich nie zastał. Walił w okna, w drzwi i przeklinał na czym świat stoi, wyzywając je od takich i owakich, a zdarzało się, że wyciągał pistolet i groził im tym pistoletem, że zastrzeli, jej Bohu, zastrzeli. Czasem nawet ganiał rozjuszony po Rybitwach, rozpytując się ludzi, gdzie te takie i owakie są. Czasem do nas wpadał, ale matka jakoś umiała go zawsze uspokoić i panny Ponckie wybronić przed nim:

– O, niech pan siądzie, panie kapitanie. Nie trzeba tak nerwowo do życia podchodzić. Młody pan, przystojny pan. I w takim wieku już pan kapitana ma, to pewnie niedługo generałem pan zostanie. A one poszły tu, poszły tam albo pojechały do rodziny na wieś i chyba dzisiaj już nie wrócą. Nie tak łatwo teraz wrócić. A tak samo pojechać, kiedy trzeba.

A gdy i ojciec po rosyjsku coś zagadał, to robiła się z kapitana Jefremowa dusza-człowiek. Wyciągał zdjęcia żony, córki i cieszył się, że już niedługo je zobaczy. Berlin zdobyty, to jeszcze tylko muszą odebrać, co im w wojnę zabrali, no, i załatwić parę spraw, a przede wszystkim, żeby i u nas nie było już burżujów, tylko wszyscy równi, i wracają. Obiecywał, że

napisze, kiedy wróci, bo musimy do nich przyjechać, a potem oni do nas przyjadą, bo chciałby żonie, córce pokazać, gdzie przelewał krew.

I zostawiał zawsze, co przyniósł pannom Ponckim, bo nie chciał na kwaterę z tym wracać, zastrzegając jednak, żeby im nie dawać, przyjedzie jutro, to im sam da.

Nic więc dziwnego, że ilekroć ukryły się przed kapitanem Jefremowem, wyrzucały sobie potem, że się zachowały nierozsądnie, jak dzierlatki, a nawet obarczały się wzajemnie winą, bo Róży coś na nosie siadło, a bo Ewelina poczuła się zmęczona i z czego? Ukryć się więc czy nie ukryć przed kapitanem Jerfemowem było zwykle ich największą rozterką. Dzieliły się niejednokrotnie tą rozterką z matką, zwłaszcza gdy nie potrafiły między sobą uzgodnić lub gdy rozterka przeoblekała się w wyrzuty sumienia, w narzekania, w westchnienia. Czasem coś z tego dochodziło moich uszu, więc wiedziałem, że chodziło o kapitana Jefremowa, choć zazwyczaj odpędzała mnie matka, gdy siedząc z nimi na ławeczce przed domem, wysłuchiwała tych rozterek. Ach, ten Misza. Miły on, dobry on. I taki młody. Ale przecież nie można tak często i gości nam odstrasza. Sędzia już tak dawno u nas nie był. A ten z komitetu to go się wręcz boi. Mówi, żebyśmy uważały, bo on enkawude. Pani nie wie, co to znaczy? Może jaka choroba? Boże ty mój.

Wiedziałem, co to enkawude, i pijąc następnego dnia kakao, powiedziałem niby mimochodem, że dzisiaj w nocy enkawude aresztowało kilka osób w mieście. Mówili ludzie w piekarni, bo mnie matka z rana wysłała po chleb. I nagle obie naraz aż w dłonie z radości klasnęły i zaczęły mnie głaskać swoimi drobnymi, pachnącymi rękami, jakby jakimś aksamitem, po głowie, że mało co czułem smak kakao, a w każdym razie nie wydawało mi się już takie dobre jak zawsze. Potem posadziły mnie w fotelu przy stole, postawiły przede mną wielką bombonierkę,

namawiając, żebym się częstował, a nawet mogę wszystkie zjeść. A któraś szepnęła nad moją głową:

– I widzisz. Niepotrzebnie się tak martwiłyśmy.

Nie mógłbym jednak powiedzieć, żeby mnie tak całkiem nie dręczyło to, co ludzie o pannach Ponckich na Rybitwach mówili. Tłumiłem w sobie wszelkie podejrzenia, lecz nie na wiele to się zdało. I może to właśnie wówczas przekroczyłem granicę swojej dziecięcej naiwności, choć nie tak od razu. Wracałem pędem, jak zwykle, do domu, a matka z Eweliną siedziały na ławeczce i nie tyle usłyszałem, bo uwaga moja była czym innym zaprzątnięta, co jak gdyby owionęły mnie unoszące się jeszcze w powietrzu słowa Eweliny. Ach, co on ze mną, proszę pani, wyprawiał. Zwierz. I to samo z Różą. A matka spostrzegłszy mnie nadbiegającego, zdążyła tylko szepnąć, co już wyraźnie usłyszałem, ciii..., i dotknęła ostrzegawczo ręki Eweliny. Zastanowiło mnie to, a nawet poczułem się jakby skaleczony w środku, rana może była nieduża, lecz szybko zaczęła się rozrastać.

Wziąłem się za odrabianie lekcji, ale nic nie rozumiałem z tego, co mi pan zadał. Spytał mi się ojciec, co ci pan zadał, bo zawsze mi się pytał, i nie umiałem mu powiedzieć, co mi właściwie zadał. Porzuciłem więc odrabianie lekcji i wyszedłem na dwór. Nie wiedziałem, gdzie chcę iść. Ale coś mną samo kierowało, tak że wspiąłem się na skarpę, prawie pod szczyt wzgórza, gdzie wśród krzaków miałem swoją kryjówkę, do której zachodziłem w napadach najgłębszego smutku, bo drugą taką, od zwyczajnych schowań, miałem blisko domu, żebym mógł słyszeć, kiedy matka będzie mnie wołała, a trzecią w dzikim bzie za mleczarnią.

Siadłem sobie, wpierając się mocno stopami w kępki trawy, żeby się nie obsunąć, i przykuliwszy pełną myśli głowę do kolan, patrzyłem tępo na tę rozległą równinę przed sobą. Po dalekim moście kolejowym przetaczał się

akurat pociąg, lecz nie było go słychać. I Wisła płynęła, jakby nie płynęła, że gdyby nie wiedziało się, w którą stronę płynie, można by pomyśleć, że płynie z powrotem. I Góry Pieprzowe wydawały mi się nie górami, lecz tylko spiętrzeniem tej rozległej równiny, napierającej gdzieś tam, na widnokrąg. I nie mogłem oprzeć się przeświadczeniu, że za tym widnokręgiem jest już koniec świata. I coś mnie kusiło, żeby wstać i pójść, i przekroczyć tę granicę.

Po tamtym pociągu przetoczył się następny pociąg, w niedługi czas znów następny, bo pociągi szły teraz prawie jeden za drugim. Mówili ludzie, że to z Niemiec za tę wojnę tak wywożą, aż wywiozą całe Niemcy i nie będzie już Niemiec, tylko wszędzie Rosja. Czyżby więc i to była prawda, co mówili ludzie o pannach Ponckich? I któż to był ten zwierz, że aż matka położyła rękę na ręce panny Eweliny i szepnęła ciii... Kapitan Jefremow dawno już przecież odjechał, a być może w przeczuciu, że niedługo odjedzie, jeszcze na ostatek przyniósł im maszynę do szycia, tyle że bez nóg, samą główkę. Nawet nie przypuszczały wtedy, jak im się kiedyś ta maszyna przyda. Nogi gdzieś dokupiły czy im ktoś dorobił i zajęły się szyciem, najpierw obszywając Rybitwy, a później i różne panie z miasta, a nawet stały się sławne z tego, że ze wszystkich krawcowych w mieście mają najlepszy gust. A już w sukniach ślubnych nikt im podobno nie dorównał. Toteż zanim jeszcze znikły Rybitwy, przeniosły się do miasta, wynajęły mieszkanie w Rynku i tam dalej szyły. Zostawił im jeszcze kapitan Jefremow każdej po swoim zdjęciu, w mundurze, w czapce, z rzędami medali na piersiach, z napisem na odwrocie, niech żyje Polsza, Ewelinie – Misza, niech żyje Polsza, Róży – Misza.

To wszystko jednak, co ludzie mówili, nie tylko nie uprzedziło mnie do panien Ponckich, lecz jeszcze bardziej rozpaliło moje do nich i tak już gorące uczucia. Nie wiedziałem tylko, bardziej do Róży czy do Eweliny,

czy do obu naraz, bo też trudno je było rozłączyć od siebie, tak były złączone. Niektórzy z odwiedzających nawet się pytali, czy są panienki w domu, a nie czy jedna jest. I matka nieraz, wysyłając mnie po coś do nich, mówiła, skocz no do naszych panien. Czy też spoglądając w sufit, posłuchaj no, czy już są. Jakby jej nie zadowalało, gdyby tylko jedna była. I ludzie na Rybitwach, widząc nieraz Ewelinę lub Różę, jak któraś gdzieś szła, mówili, o, znów te kurwy niesie.

Darzyłem więc i ja każdą z nich podwójnym uczuciem, gdyż tak samo nie potrafiłbym ich rozdzielić na dwie osobne, czyli Ewelinę i Różę, i wybrać tylko jedną, bo wydawałoby mi się, że wybrałbym tylko połowę jednej z nich.

To moje uczucie objawiało się w różny sposób. Między innymi wyobrażałem sobie, że są moimi starszymi siostrami. Ubierają mnie, czeszą, podają mi śniadanie, składają moje zeszyty, książki, kiedy idę do pana na lekcję, i w każdą sobotę kąpią mnie w balii, a także bronią mnie przed starszymi chłopakami. No, i, ma się rozumieć, śpimy w jednym łóżku, czemu trudno znów się było dziwić, jeśli się zważy, że w naszej suterenie i tak z ledwością mieściły się dwa łóżka. Na jednym spałem ja z matką, na drugim ojciec. I dopiero kiedy ojciec umarł, przeniosła się matka na to łóżko po nim. A z pewnością nie dla wygody, lecz żeby móc swobodnie popłakiwać za nim w nocy i nie budzić mnie.

Bo płakała teraz tylko nocami, i to kiedy była pewna, że już mocno śpię i że żadna jej łza nie wedrze się w mój sen. I kiedy na suficie nad nami choćby najmniejszy szmer stóp panien Ponckich nie zakłócił ciszy, a echo tang, śmiechów po ich gościach już dawno przebrzmiało. I kiedy całe Rybitwy pogrążone były już w głębokim śnie, i całe miasto na wzgórzu, prócz czuwającego zegara na przykatedralnej dzwonnicy, który wybijając kwadranse i godziny, jakby dawał znać o głębokości tej ciszy nad ludzkimi

snami. Wówczas dopiero zaczynała płakać za ojcem. Ale tak cichutko, bezszelestnie, żeby, broń Boże, tej nocnej ciszy nad miastem nie zmącić, wciskając zapewne twarz w poduszkę. Toteż ten płacz jej zdawał się dochodzić jakby od strony piwnicy, skąd zwykle dochodziło echo tang od panien Ponckich, a niekiedy nawet spoza domu, od tej rozległej równiny, od Gór Pieprzowych, od Wisły, że jedynie domyślałem się, że płacze.

W dzień natomiast nie zdarzyło się, żebym ją spotkał kiedykolwiek płaczącą. Była najwyżej zamyślona lub smutna i jak gdyby tylko przez zapomnienie czasem jej się wyrwało:

– Trzeba by się zastanowić, jak tu teraz żyć. Ojca nie ma i nigdy już nie będzie.

Nie bardzo rozumiałem, nad czym tu się zastanawiać, bo jego śmierć niewiele w naszym życiu zmieniła, a w moim nie zmieniła prawie nic, tak mi się przynajmniej wówczas wydawało. Od dawna już tylko chorował i wszystko było na głowie matki, więc tym bardziej nie potrafiłbym jej poradzić, jak tu teraz żyć. I zresztą cóż to za pytanie? W mieszkaniu za to zrobiło się przestronniej. I nikt mnie więcej nie pytał, gdzie byłem, czemu książki nie wezmę do ręki, czy już odrobiłem lekcje i co mam zadane, a nawet o czym myślę, jakbym był w stanie odpowiedzieć prawdę. Nikt też już nie chciał, żebym został lekarzem, bo matka aby od czasu do czasu rzuciła tylko, ucz się, synu, ucz, i to bardziej z przyzwyczajenia, a w myślach zapewne miała ojca. I to równoważyło we mnie tę jego śmierć, która długo jeszcze była mi niedostępna, a kto nie doznaje w sobie śmierci, ten i nie doznaje życia, więc na swoją miarę wiedziałem, jak tu żyć.

Panny Ponckie dużo częściej zachodziły teraz do nas i dłużej zwykle przebywały. Chociaż kiedy poszedłem do gimnazjum, znów onieśmielone się zrobiły, podobnie jak za życia ojca. I jeśli któraś zaszła do nas, czuła się w obowiązku przynajmniej powiedzieć:

– Och, pan Piotr odrabia lekcje, to nie będę przeszkadzać.

Zawstydzały mnie tym panem Piotrem, a nawet sprawiało mi to przykrość, odbierałem bowiem tego pana Piotra jako znak oddalania się ich ode mnie. Natomiast dla matki stanowiło to powód do wyrażenia dumy. Uznawała jednakże, że najlepiej dumę wyrażać sprzeciwem:

– A jakiż on tam pan, przecież to dziecko jeszcze. Niech pani wejdzie, panno Ewelino czy panno Różo, proszę. Odrabia, no, to na trochę przestanie odrabiać. Też nie może ciągle tylko w książkach i zeszytach siedzieć.

Najpierw jednak były panny Ponckie moimi starszymi siostrami. I jako o siostrach marzyłem sobie nieraz o nich. Chodziłem do kępy nad Wisłę lub do którejś ze swoich kryjówek, żeby matka, ojciec nie przejrzeli mnie, o czym marzę. Nie zawsze jednak mogłem się wymknąć z domu, bo albo deszcz padał, albo za karę nie wolno mi było wychodzić. Wtedy brałem się za odrabianie lekcji. I kto wie, czy nie było to najbardziej bezpieczne, bo nad książką czy zeszytem nie mogłem być o nic innego posądzony, jak tylko o odrabianie lekcji. Matka to bezpieczeństwo zwykle jeszcze potwierdzała, no, i przynajmniej lekcje odrobisz, zamiast latać. Ucz się, ucz, bo to wszystko, co możemy ci dać. I także ojciec coś dorzucił na wsparcie matki. Ma się rozumieć. No, właśnie. Święta prawda. Kiedy jednak lepiej się czuł, nie zadowalał się jedynie wsparciem matczynej racji, lecz dokonywał jej gruntownego uzasadnienia:

– A bo on to rozumie. Nawet cię nie słucha, kiedy mówisz do niego. Zrozumie, jak dorośnie. Oby tylko nie było za późno. Powtarzam mu, co człowiek ma w głowie, tego nikt mu nie odbierze. Wojna to najlepiej pokazała. Potracili ludzie majątki, oszczędności, stanowiska. My też mieliśmy trochę na książeczce. Do dzisiaj narosłoby procentów i miałem ci futro kupić. Chciałem, żeby to była niespodzianka.

A ledwo otworzyłem zeszyt czy książkę, już zjawiała się panna Ewelina czy panna Róża albo obie naraz i obgłaskując mnie powłóczystymi spojrzeniami swoich mgłą zasnutych oczu, niebieskich Ewelina, czarnych Róża, pytały:

– To co będziemy dzisiaj robili, Piotrusiu? Och, znowu ślęczysz nad zadaniem. I ciągle te kościoły, dzwony, wieże, bramy. I któż chciałby żyć w takim mieście, gdzie tylko kościoły, dzwony, wieże, bramy? Nie mógłby ci pan kiedyś o miłości zadać? Miłości trzeba się razem ze słowami uczyć. A może wcześniej od słów? A z pewnością wcześniej od czytania, pisania.

Toteż nieraz aż się oglądałem na mieszkanie, czy nie wyszły z moich myśli. Bo tam przecież ojciec, matka. Na szczęście ojca mało co już obchodziło, a najmniej moje myśli. Patrzył wciąż tylko w to okno przed sobą lub sufit nad sobą, a od tego patrzenia zapadał nieraz w drzemkę. Czasem sobie nawet chrapnął. Lecz matka natychmiast budziła go, nie chrap, bo mu w lekcjach przeszkadzasz. Miała bowiem do tych moich lekcji wręcz nabożny stosunek i nawet robiąc coś przy kuchni, starała się robić najciszej, jak tylko umiała. A gdy przypadkiem wpadła sąsiadka, nie dała jej choćby progu przekroczyć, tylko wychodziła z nią na dwór, bo Piotruś lekcje odrabia. I gdy na suficie zaszemrały stopy panien Ponckich, złościła się, a czegóż tak dzisiaj głośno chodzą? Butów nie pozdejmowały czy jak? I także kiedy płakała, natychmiast przestawała, jak tylko brałem się za odrabianie lekcji.

To był najlepszy sposób, żebym wziął się za odrabianie lekcji, kiedy ten płacz matki się dłużył, a nie było nadziei, że coś się zdarzy, wpadnie sąsiadka czy gdzieś na Rybitwach zaczną się kłócić ani że na suficie rozlegną się stąpania panien Ponckich. Naumyślnie szeleściłem zeszytami, książkami, głośno kładłem obsadkę na stole, głośno stawiałem kałamarz i najgłośniej, jak to było możliwe, sadowiłem się przy stole, szurając

krzesełkiem. Choćby ten płacz jej był na najwyższym wzniesieniu, dusiła go w sobie, że tylko kapnął raz na jakiś czas jak krople na parapet po deszczu. Niekiedy i ojciec korzystał z tego mojego sposobu i do tych szelestów, stuków, szurań dołączał pytanie:

– To co masz zadane?

– Dzwon w życiu człowieka – bo jakieś takie wciąż mi pan zadawał.

– I co zamierzasz napisać? Zastanowiłeś się? Powienieneś dobrze to przemyśleć. Może ułóż sobie najpierw plan.

– Dzwon? – dziwiła się matka poprzez resztki tego płaczu, bo ten mój sposób okazywał się i dla niej pomocny. – To ładne ci zadał. Prawda, Zygmunt? – zwracała się do ojca nie tyle nawet o potwierdzenie, co żeby jej wybaczył, że płakała.

– Przede wszystkim mądre – ojciec szorstko, lecz z wyrozumiałością wybaczał jej.

– Ale co dzwon? – budziła się nagle w matce wątpliwość, jakby echo po tym płaczu. – Jak nie ma we wsi kościoła, to nie ma i dzwonu. A gdzie kościół, to jeden jest dzwon dla wszystkich. I to z kilku wsi, to nie może być tylko w życiu jednego człowieka. Do naszego kościoła należą, zaraz... – Liczyła, załamując palce w wyciągniętej ku nam dłoni jakby na świadectwo. – Bożydar, Mściów, Szczytniki, Słupcza, Winiary, Winiarki, Doraz, Kamień, no, i nasza. I na to wszystko jeden dzwon. A jeszcze dzwoni, jakby siły nie miał, na końcu wsi to już mało co go słychać. To na innych wsiach kto go usłyszy?

– Co ty mu o wsiach? Chodzi przecież do pana w mieście. A tu jest sześć kościołów. Miasto całe w dzwonach.

– W dzwonach? Ale co tu, u nas, za tą górą słychać? O, w zeszłym tygodniu msze się odprawiały za tych, co zginęli w wojnę, to podobno w mieście aż huczało od dzwonów. Chodzili potem ludzie z tymi dzwonami

cały dzień w uszach. A tu choćby od Katedry niby blisko, a mało kiedy słychać. Mieszkamy jak te kartofle w dole. Nic, muszę poszukać innego mieszkania. Mają być firanki w przyszłym tygodniu w tym sklepie koło Bramy Opatowskiej. Na firankach najlepiej by się zarobiło. A co ty myślisz? Wydarły się ludziom przez wojnę. Co ostatnim razem byłam na wsiach z drożdżami, za Wisłą, to mnie jedna aż błagała, pani, jakby pani tak firanki przywiozła, bym panią chyba ozłociła. O, widzi pani, na przestrzał nas przez te gołe okna widać. Tyle co te kwiatki trochę zasłaniają. Ale kwiatki przed ludzką ciekawością nie zasłonią. Mogłoby się pokój z kuchnią wynająć. Ty byś miał gdzie odpoczywać i Piotrek gdzie odrabiać lekcje. I nie trzeba by chodzić po tych szatańskich schodach. I dzwony byłoby słychać. To i Piotrusiowi lżej by było zadanie napisać.

– Przecież on ma napisać, dzwon w życiu człowieka, a do tego nie muszą mu bić – ojciec jak rzadko kiedy wtargnął obcesowo w jej słowa, być może, czując, że matka zaczyna poddawać się rozczuleniu, co mogło zwiastować, że za chwilę pojawią się w jej oczach łzy. Zwłaszcza że nie za dobrze jej poszło ostatnim razem z tymi drożdżami, choć podobnie liczyła na te drożdże wówczas, jak teraz na te firanki.

Wzięła tych drożdży pełną walizkę i torbę. A w pierwszym odruchu chciała, żebym i ja z nią pojechał, to mogłaby wziąć więcej. Na szczęście przypomniała sobie, że musiałbym opuścić lekcje. Odwiozłem ją tylko z panem Jaskółą na stację, która znajdowała się po drugiej stronie Wisły. Jechało się długo, bo most był pontonowy i najpierw przepuszczali wojskowe pojazdy i wojskowe kolumny, i to na przemian z jednej, z drugiej strony. Co prawda, do pociągu było jeszcze sporo czasu, a poza tym czas pociągu był tylko umowny, do ostatniej bowiem chwili nikt nie wiedział, czy pociąg w ogóle przyjedzie, odjedzie, czy się spóźni godzinę czy pół dnia. Toteż pan Jaskóła pozwalał koniowi iść noga za nogą i przez całą

drogę z przekonaniem podbijał w matce nadzieję, że zarobi na tych drożdżach, o, zarobi, jak na niczym dotąd:

– W trymiga pani rozkupią. I zapłacą każdą cenę. Kartofle przez front chłopom przemarzły, że tylko na bimber się nadają. To i pędzą na okrągło w każdej chałupie, w każdej wsi. Bo spaść by, to czym? Stworzenie na szlacht poszło, najwyżej ktoś krówkę na mleko zostawił, a świni to już nikt. Rzeźniki z miasta to aż gdzieś po żywca na drugi koniec świata jeżdżą. Bo co, pani, pieniądz teraz? Papier. Jeszcze słychać, że będą wymieniać, to ludzie się boją, że ich znowu oszukają. I tak pewnie będzie. Bo i po co by mieli wymieniać. Zresztą za pieniądze co pani teraz kupi? A za bimber wszystko. Tak było po tamtej wojnie i tak będzie zawsze. Bimber pieniądz ze szczerego złota. O, ten zegarek. – Przełożył lejce do prawej ręki i obróciwszy się ku nam, bo siedziałem z matką na tylnym siedzeniu, podsunął nam ten zegarek pod oczy. – Za bimber, pani. Cztery litry mnie kosztował. Chciał sześć, ale popróbował na smak i ugodził się na cztery. A u Ruskich to za bimber wszystko. Na czorta nam diengi, mówią. Wodka diengi. Przywożą z Niemiec pełne samochody. Prześcieradła, poszewki, kapy, portki, koszule, sukienki, majtki dla bab, wszystko, co pani chce. I za bimber tylko. I do domu jakby pani coś potrzeba było. Garnki, brytfanny, miednice, wiadra. Można sobie i figurę kupić czy portret na ścianę. Kupił Suszek, ten, co stragan ma na rynku, że to będzie jego przodek. Za litra. By się tylko tyle bimbru miało, pani. Moja mnie tak prze, żeby dywan do pokoju kupić, bo jakoś nijak tak na gołej podłodze. Ale mnie by fotel lepiej pasował. Nawozi się człowiek, to by miał gdzie siąść, odpocząć. Tylko skąd ten bimber brać? Koni przecież nie rzucę. O, chłopom teraz, pani, się powodzi. Z ziemi tyle nie wyciągnie, co z bimbru. Zacier tylko i po dwóch tygodniach już pieniądze z rurki kapią. I to jakie pieniądze. Myszy ich nie zjedzą, nie zgniją, wymiana też im nie poradzi, żeby nawet co dzień

wymieniali. Bimber może sobie stać. Postoi, to mocniejszy się robi i nie śmierdzi tak. Trzeba tylko dobrze przed policją schować. A zresztą policja, czy jak teraz ta ich milicja. Policja, milicja tak samo piją. Mogą rządy się zmieniać, cesarze, ustroje, a na bimber, pani, nie ma władzy. Teraz mówią, że lud będzie rządził, to dopiero będzie pijaństwo. Każdy będzie miał w domu beczkę i rurki, a nie, to w balii czy w kotle do prania. To ile na to trzeba będzie drożdży. O, zarobi pani. Nie musi pani nawet chodzić od chałupy do chałupy i nóg zdzierać. Zajdzie pani do pierwszej, a zwiedzą się, że pani z drożdżami, to sami się zlecą z całej wsi. O, zarobi pani.

Nie zarobiła jednak matka, a chyba nawet na swoje nie wyszła. Jeszcze kilkanaście kostek tych drożdży przywiozła z powrotem do domu, bo takich jak ona najechało na wsie wielu. Chociaż tak do końca to nie chciała powiedzieć, co właściwie się stało. Wciąż liczyła przywiezione z tych drożdży pieniądze i za każdym liczeniem popłakiwała. A wszystkiemu okazał się być winien pan Jaskóła i pod jego adresem kierowała matka swój żal, bo kto wie, czy zabawiając ją opowieściami o zaletach bimbru, nie rozbudził w niej zbyt wielkiej nadziei, kto wie, może nawet na wynajęcie nowego mieszkania. Długo nie mogła mu darować, że ją tak zawiódł. Aż dopiero gdy odwiózł ojca do szpitala, a potem trumnę z jego ciałem do dziadków na wieś, bo tam postanowiła matka ojca pochować, żeby między swoimi leżał, i nie wziął za to choćby na obrok dla koni, westchnęło jej się kiedyś między łzami, że dobry człowiek ten Jaskóła. Furman, a serce ma ludzkie. Bo dotąd inaczej o nim nie powiedziała, tylko ten oszukaniec, ten faryzeusz, pijanica. Gdzie tam furman kiedy prawdę powie. Tym bardziej że po powrocie matki przyszedł jeszcze się spytać:

– No, i jak tam? Zarobiła pani?

A gdy mu matka coś niemile odburknęła, pokazując te przywiezione z powrotem kostki drożdży, leżące na szafie, nie powiedział, że to jego

wina, a nawet się nie zdziwił, nie zaklął, jak miał we zwyczaju, lecz z tym samym namaszczeniem mędrca, który przez to, że jeździ całe życie furmanką, wszystko wie, powiedział:

– Ano, monopolka pojawiła się w sklepach, to bimber już tak nie idzie. – I tyle tylko skruchy wykazał, że po chwili namysłu, popatrzywszy na zasmuconą matkę, zasmuconego ojca, na te kostki drożdży poukładane na szafie, powiedział: – Ze cztery kostki bym odkupił od pani, może moja by coś upiekła.

I to właśnie gdzieś tak po tych drożdżach rozpłakała się kiedyś matka po powrocie z miasta z tymi pełnymi siatkami, a jakoś nic nie chciało się zdarzyć, co by jej pomogło przestać płakać. Ani żadna z sąsiadek nie zajrzała, ani nikt się nie kłócił na Rybitwach, ani panien Ponckich nie było w domu, bo najmniejszy szmer ich stóp nie dochodził z sufitu. Więc w pewnej chwili, wysmarkawszy zapłakany nos w chusteczkę, powiedziała głosem jeszcze przepełnionym tym płaczem, że tak nie może dalej być, trzeba mnie koniecznie posłać do kogoś na lekcje, bo całkiem zdziczeję. I jakby ten cały zgromadzony w niej płacz, który nagle zdusiła w sobie tym postanowieniem, że tak nie może dalej być, wylał się na moją głowę. Że nic, tylko ciągle mnie gdzieś niesie, jednej chwili w domu nie usiedzę, żebym jakąś książkę wziął kiedyś do ręki czy w domu coś pomógł, to tylko nad Wisłę, na łąki, na Pieprzówki, nad Wisłę, na łąki, na Pieprzówki, po dziurach, po krzakach, a ona wciąż tylko ceruj, łataj, bo wciąż coś podarte, a nowego nie ma za co kupić. Cały rok mam i tak przez tę wojnę zmarnowany. O, wołaj go, Piotrek! Piotruś! To się nigdy nie odezwie, żeby za rogiem domu stał. Albo poślij go po sól, cukier, chleb do miasta, to zawsze jest później, idźże, Piotruś, a idźże, moje dziecko. Aż nerwy się w tobie zwijają, bo tu ci się gotuje, nie masz soli akurat, a ten później. I wiecznie po tych schodach wariuje, w górę, w dół, lata, skacze, w górę,

w dół. A ojca do lekarza zaprowadzić, to zaraz naburmuszy się, jakby krzywda go spotkała. Już się nawet sąsiadki pytają, pani, co ten pani chłopak tak ciągle po tych schodach, kiedy tylko nie iść, to on w górę, w dół, w górę, w dół. Kiedyś tu o mało Bazylukowej nie wywrócił. Szła pod górę, a on jak nie huśnie z góry, aż krzyknęła, Matko Przenajświętsza! Dobrze, że poręczy się trzymała.

I czego ty, chorobo, na tych schodach szukasz? O, jakie to poobijane ma kolana. I zwracając się do ojca, który swoim zwyczajem polegiwał na łóżku, zapatrzony gdzieś tam, w sufit nad sobą czy w okno przed sobą, powiedziała ze zgorszeniem w głosie:

– A wyobraź sobie, co on tej małej Joasi od Madejskiej na ziemi napisał. I narysował. – W tym momencie skóra na mnie ścierpła. Na szczęście matka w ostatniej chwili widocznie się zawstydziła, bo rzuciła tylko: – Później ci zresztą powiem.

Odetchnąłem z ulgą, bo jeszcze ta głupia Joaśka zaczęła mnie wypytywać, co to jest i co to jest, a choć jej przeczytałem, dalej nie wiedziała, co to jest, więc kazałem jej, żeby poszła matki się spytać. I widocznie spytała. Pomyślałem, że może będzie lepiej, jak wyjdę na dwór, i niech matka od razu powie ojcu, bo i tak mu przecież powie, więc spytałem nieśmiało:

– Mama, mogę wyjść na dwór?

– Siedź – osadziła mnie, rzucając stanowcze, chociaż jeszcze wilgotne od łez spojrzenie – aż nie powiem do końca. – I zwracając się ponownie do ojca: – A o wszystkim na mieście się dzisiaj dowiedziałam, bo Madejska z pyskiem do mnie, jak pani wychowuje tego swojego chłopaka? Napisał mojej Joasi na ziemi to i to. I narysował. A to dziecko przecież. Dopiero po wakacjach pójdzie do pierwszej klasy. Jak wychowuję? A lepiej niż się pani wydaje. Będzie mi tu mówić, jak wychowuję. Napisał, to nie trzeba było

czytać. I cóż tak panią znowu zgorszyło? Takaż to nowizna dla pani? Mężata, dzieciata, a niewinną udaje. Jak wychowuję? A pani mąż jeszcze gorzej niż mój syn napisał, narysował, bo od rana aż furczy po całych Rybitwach, tak klnie. I kto chce czy nie chce, musi słuchać. A nie tylko dzieci. Dzieci prędzej czy później i tak się dowiedzą, bo dopiero życie przed nimi. Ale nawet starzy, co już nie chcą wiedzieć. To i mój chłopak ma się gdzie nasłuchać. Nie będę mu kazać w nausznikach chodzić. No, widziałeś, jak wychowuję. – I przenosząc swoje oburzenie z Madejskiej na mnie, wybuchnęła: – Jak ci nie wstyd?! Żeby obcy ludzie mi mówili! O mało się pod ziemię nie zapadłam. I to dziewczynce?! O, tak nie może dalej być. Rozpytam się o jakiegoś nauczyciela i pójdziesz na lekcje. Żeby nie wiem ile miało to kosztować. A po wakacjach do szkoły. Pewnie już czytać, pisać zapomniałeś.

– Jak zapomniał? – po raz pierwszy wtrącił się milczący dotąd ojciec. – Przecież mówisz, że napisał.

– Świństwo to żeby się nawet nie umiało, każdy potrafi napisać – głos matki aż zakipiał z oburzenia. – Jeszcze ty go będziesz bronił. Słowem się nigdy nie odezwiesz, żeby chociaż czuł, że ma ojca. A zresztą do szkoły też nie może pójść taki dziki.

I zaczęła się rozpytywać o tego nauczyciela. A przede wszystkim poprosiła panny Ponckie, żeby się rozpytały, mają przecież tylu znajomych. I wróciwszy kiedyś od nich, oznajmiła, że znalazły mi panny Ponckie nauczyciela. Uczył przed wojną w gimnazjum i podobno jest wysoko kształcony, a mieszka niedaleko za Katedrą, tyle tylko że stary, ale to i lepiej, że nie jakiś młodzik, będę go przynajmniej słuchał. I że zaraz idziemy, bo tak nas panny Ponckie umówiły. Kazała mi się umyć, uczesać, przebrać w to marynarskie ubranko, które mi ojciec przywiózł w czasie

wojny i w którym jestem z nim na fotografii. Sama też się zaczęła szykować, przywołując do pomocy panny Ponckie.

Nie lubiłem tego marynarskiego ubranka, i to od samego początku. I nie przekonywało mnie, że pojedziemy kiedyś nad morze, a tam wszyscy w takich chodzą. Zwłaszcza że chłopaki we wsi, gdy się w tym ubranku pokazałem, szydzili sobie ze mnie, nie szczędząc mi różnych przezwisk, te, marynarz z balii, marynarz spod rynny, marynarz z gnojówki, bo chyba po gnojówce pływasz? A najbardziej Fredek, który zawsze mnie witał, wyglądasz jak dupa, nie marynarz. Marynarze w długich spodniach chodzą, a nie w takich krótkich majtkach. Szarpali mnie za wstążki u czapki albo zrywali mi czapkę z głowy, bawili się nią, rzucając jeden do drugiego czy nawet po ziemi kopiąc, jakby się zawzięli na tę Bogu ducha winną czapkę. Potem matka prała i zemściła mnie i chłopaków. A dziadek, babka, wujenki, wujkowie wtórowali jej w tych zemstach i wujek Władek jeszcze dogadywał, musisz się nauczyć bić, musisz się nauczyć bić, bo inaczej ciebie będą bili. A tego Fredka, sukinsyna, niech tylko kiedyś dopadnę. Nogi z tyłka powyrywam. Mógł i on wybić oko naszemu Kruczkowi. Ich pies tak samo na jedną nogę utyka. Gdyby po wsi nie latał, zdechłby z głodu, bo mu nigdy jeść nie dadzą. I tylko wujenka Jadwinia mnie broniła:

– Co zrobić, takie są te wiejskie chłopaczyska. A Piotruń dziecko delikatne. Co ty mu się, Władziu, każesz z nimi bić? O, wypierze się i będzie jak nowe.

Ubrałem się, lecz nie mogłem ani ręką, ani nogą ruszyć, tak zrobiło się ciasne.

– A kiedyś ty tak urósł? – powiedziała z żalem matka. – Mój Boże, przecież nowe jeszcze. I dzisiaj takiego nie dostanie. Ile by zresztą kosztowało. Za byle łach sobole chcą. Nie tak dawno w sam raz na ciebie

było. Kiedy ty mu, Zygmunt, to przywiozłeś? Nic, wytrzymasz, a będziesz przynajmniej wyglądał jak miejskie dziecko.

Pan rzeczywiście był stary i w pierwszej chwili nawet się go zląkłem. Przypominał stare drzewo w połowie uschnięte i ledwo już zmartwychwstające z każdą wiosną. Wydało mi się nawet, że takich starych ludzi już się nie widuje na ulicach. Bo nie mogłem sobie przypomnieć, żebym kogoś takiego starego gdzieś ostatnio spotkał, nawet na schodach nie. A przecież na schodach widywało się najprzeróżniejszych starych. Ciągnęli się po poręczy, powłóczyli nogami, sapali, wzdychali, przystawali co schodek, lecz w porównaniu z panem, głowę bym dał, że byli dużo młodsi.

Siedział w bujanym fotelu, owinięty aż po szyję w koc i szparkami zwężonych oczu, jakbyśmy go tak razili z matką, patrzył na nas, stojących u drzwi. Huśtał się z lekka w tym fotelu, coś mamrocząc pod nosem czy może oddech tak mu szeleścił, kiedy matka nieskładnie wyłuszczała, po cośmy do niego przyszli, powtarzając w kółko, że inaczej zdziczeję i zdziczeję. Miał trochę włosów nad uszami i z tyłu nad karkiem, a cała góra głowy błyszczała mu jak posadzka, jeszcze jakaś narośl niby pieniek z niej wyrastała. Nos miał duży, szeroki, zwieńczony jakby gulą na końcu, a u brody wisiał mu obfity, rozlany podbródek, niczym kokardą podwiązany granatową muszką w białe grochy. Bo pod tym kocem ubrany był w garnitur, w białą koszulę i muszkę. Zresztą całą twarz miał obwisłą i może dlatego te oczy patrzyły na nas nieledwie szparkami. Chociaż później, gdy się już przyzwyczaiłem do niego, okazały się duże i ufne, jakby wychodzące ku światu z powiek, a do tego tak jaskrawo niebieskie, aż niewiarygodne w takiej starej twarzy. I cała jego twarz z czasem odmłodniała i już nie wydawał mi się taki stary, żebym mógł nie spotkać go

na ulicy czy nawet na schodach wspinającego się od nas, z Rybitw, na wzgórze, do miasta.

– No, niechże pani wreszcie siądzie – powtórzył z naciskiem, widząc, że matka, mimo ponawianych zaproszeń, wciąż stoi i w nieprzerwanym potoku słów wyjaśnia, po cośmy do niego przyszli, jakby chciała mu za jednym razem wszystko powiedzieć, a przynajmniej niczego, co jej zdaniem było ważne, nie opuścić. A ważne było i to, że mąż choruje, że wynajmujemy suterenę na Rybitwach, że sprowadziliśmy się prosto z wysiedlenia, jak tylko front ruszył, bo chce, żeby mąż był pod okiem lekarza, to prędzej wyzdrowieje, a kiedy wyzdrowieje, znajdzie sobie jakąś posadę, był przed wojną starszym buchalterem, a przedtem oficerem, nieźle nam się powodziło, a teraz ona musi myśleć, jak tu związać koniec z końcem, czasem pojedzie na wsie z czymś na handel, bo prawie wszystko już posprzedawała, co zdołaliśmy zabrać, gdy nas wysiedlali, a w ogóle każdemu się nielekko po tej wojnie żyje. Chcą z mężem kształcić mnie na lekarza, bo od pierwszej klasy zdolny byłem, a nawet sam się nauczyłem czytać, pisać, a teraz nie ma mnie kto dopilnować, bo ona za tym handlem, a mąż chory, to włóczę się tylko. No, i boi się, żebym całkiem nie zdziczał.

Słuchał uważnie, nie przerywając najmniejszym zniecierpliwieniem tego jej potoku. A kiedy wreszcie w matce jakby wyczerpało się to wszystko, co sobie na tę rozmowę uskładała, czy może sama uznała, że na razie wystarczy, powiedział:

– To widzę, że nie będzie pani miała z czego płacić.

W jego głosie nie czuło się jednak zawodu, raczej potwierdzenie tego, czego się spodziewał.

– Ano, jakoś tak akurat wypadło – zaczęła się matka plątać w usprawiedliwieniach, chowając jedną w drugą roztrzęsione dłonie. – Nie

mam z sobą, żeby chociaż na zaliczkę. Ale Piotruś przyniesie. Na pewno przyniesie.

– Ale niechżeż pani siądzie – nie pozwolił jej dalej się usprawiedliwiać. – Inaczej ja będę musiał wstać z fotela, a niezbyt się dobrze dzisiaj czuję. Dlatego panią w tym kocu przyjmuję, nie przeprosiłem nawet. Przepraszam.

– Nie szkodzi – powiedziała matka, uśmiechając się sztucznie na tę nieoczekiwaną uprzejmość. – Też siedzimy czasem w kocach. Z wiosną gorzej ciągnie od murów niż zimą. A już w tej naszej suterenie...

– Właśnie – powiedział. – Widocznie zamróz jeszcze z murów nie wyszedł po zimie. Gdyby się może napaliło. Ale sąsiadka na cały dzień wychodzi do pracy. I to już ze świtem. A znów wieczorem...

– O, to przecież Piotrek mógłby panu napalić – wyrwała się matka, znajdując wreszcie szansę dla siebie w tej nierównej rozmowie.

Podniósł na nią przewężone oczy i oschle rzucił:

– Tylko czym? – Wyraźnie był nierad, że zapuściła się aż tak daleko w jego troski, tym samym naruszając, być może, jakąś tajemniczą przestrzeń, którą chronił przed innymi. Lecz zaraz łagodnie, trochę z odcieniem bezradności w głosie, dodał: – Niestety, nie mam ani bryłki węgla.

– To drzewem – nie rezygnowała matka, a nawet zaczęła go co do tego drzewa przekonywać: – Drzewem też się dobrze napali. Jak jeszcze suche czy smolne, to niedużo się spali, a ciepło takie samo jak od węgla. Aby nie dopalać do końca, przymknąć drzwiczki, kiedy jeszcze się żarzy.

Mówiła o tym paleniu drzewem z takim przekonaniem i znawstwem, jak gdyby nie chciała dać sobie wyrwać tej szansy, dzięki której zaczęła się odnajdywać po tym początkowym onieśmieleniu i podenerwowaniu. Patrzył na nią z narastającym zdziwieniem, otwierając coraz szerzej oczy

i coraz większą ufnością darząc matkę. W pewnej chwili nawet przyznał się, że musi jej sprawić zawód, lecz i drzewa, niestety, nie ma.

Nie znał jednak matki, że nigdy się nie poddawała, a nawet płacz służył jej tylko do pobudzenia w sobie siły. Można powiedzieć, płacz przywracał ją nieustającej nadziei.

– O, to Piotrek przyniesie panu drzewa – powiedziała z wyrzutem, że nie przyznał jej się od razu. – Jak następnym razem na lekcję przyjdzie. Czy choćby zaraz, gdy do domu wrócimy. Wyrąbują na Wiśle te zbombardowane mosty, to jest drzewa. U nas, na Rybitwach, jeden taki sąsiad zabiera czasem Piotrka do pomocy. Jeden czy nawet dwa bale nieraz zarobi. I dębina, to jak węgiel się pali. A nieraz taki bal to jak dwa albo trzy razy ten pokój długi. A gruby, o. – Objęła rękami w powietrzu niby ten bal, nie zamykając jednakże tego objęcia, co miało znaczyć, że aż taki gruby.

– Dziękuję – powiedział speszony tą nieoczekiwaną życzliwością matki, a może bardziej przytłoczony jej natarczywością, przed którą postanowił się bronić, bo głos mu lekko stwardniał: – Ma do mnie na lekcje przychodzić, a nie drzewo mi przynosić.

– A coż mu się stanie? – wyrzuciła matka i już bez zaproszenia klapnęła na brzegu wytartego do szarości, niegdyś pluszowozielonego fotela, aż sprężyny w nim zatrzeszczały. – Czy w koszyku, czy tak na rękę weźmie – ciągnęła – a w drugiej ręce zeszyty, książki. Daleko ma? Aby po schodach i ten kawałek tu, za Katedrę. To przecież ile razy na dzień po tych schodach skacze i bez żadnej potrzeby. A my i tak wszystkiego sami nie spalimy. Z takiego jednego bala to drzewa a drzewa. Niech sam powie. Powiedz, Piotruś. – Odzyskała całą pewność swoją, była znów zaradna, gotowa do niesienia pomocy, przejęta jak zawsze do głębi serca czyimś strapieniem, że zapominała o własnym, co stanowiło jej stan naturalny, w każdym razie czuła się w takim stanie jak ryba w wodzie.

Pan z wzrastającym zdumieniem spoglądał na matkę, a nawet cień uśmiechu pojawił się w tych jego jaskrawoniebieskich oczach. Miało się wrażenie, że nie tylko z uwagą jej słucha, lecz stara się nie uronić najbłahszego słowa z tego, co mówiła o tym drzewie do palenia w piecu. Zresztą miło mu pewnie było na nią patrzeć. Ubrana w swój najlepszy strój, tak właśnie mówiła, że to jej najlepszy strój, jaki został jej sprzed wojny, wydawała się dużo młodsza niż na co dzień w tej naszej suterenie, gdy krzątała się po kuchni czy wracała objuczona pełnymi siatkami z miasta, gdy siadała przy ojcu, pocieszając go, że na pewno wyzdrowieje, gdy płakała. Miała na sobie popielaty kostium, w którego dekolcie pieniła się falbankami jasnoczerwona bluzka w białe grochy i z kieszonki na piersiach taka sama jasnoczerwona w białe grochy zwisała obfita kiść. Do tego na nogach czarne pantofle na wysokich obcasach, a na głowie czarny kapelusz z nie za szerokim rondem, przechylonym z jednego boku w dół, a z drugiego podwiniętym do góry, wszystko to jeszcze sprzed wojny. Wargi miała pomalowane szminką, której użyczyły jej panny Ponckie, podobnie jak brwi i rzęsy podczernione tuszem od panien Ponckich.

Namawiały ją panny Ponckie, żeby pomalowała sobie i paznokcie u rąk, a nawet chciały jej same pomalować, niech się tylko zgodzi, o, raz dwa, Ewelina jedną rękę, Róża drugą, a będzie wyglądała jak prawdziwa dama, niech się zgodzi. Bo przez cały czas, gdy się matka szykowała, wiernie jej towarzyszyły, poprawiały, obciągały, układały, podniecone, jakby to one się na tę wizytę do pana wybierały, że po szminkę to chyba ze trzy razy biegały do siebie, żeby się kolor chciał zgodzić z kolorem bluzki. A brwi wyciągały wzdłuż jej oczu, pędzelkiem, koniuszkami palców, a przy tym bez przerwy paplały, co im tylko ślina na język przyniosła. Ma się rozumieć o panu, jaki to mądry człowiek, jaki wykształcony, jaki był kiedyś przystojny, w młodości podobno kochało się w nim całe miasto, to znaczy wszystkie

kobiety, a nie tylko panny na wydaniu, ale i mężatki, i to z lepszego towarzystwa, adwokatowe, doktorowe, sędziny, aptekarzowe, oficerowe, córki, żony najbogatszych kupców, a nawet szlachcianki. Jedna się przez niego nawet w Wiśle podobno utopiła, zostawiając męża, dzieci. Inna obłąkała się, że musieli jej pilnować, bo się wyrywała do niego i do niego. A na wszystkich balach był podobno rozrywany. A już w walcach nie było tancerza nad niego. I przy takim powodzeniu jakież to niesprawiedliwe, no, niech pani powie, zostać już na całe życie jak ten palec Boży. To nieraz widzi się na ulicy, on krótki, gruby, łysy, spocony, a ona przy nim jak ta stokrotka, świeżutka, pachnąca, i mąż z żoną są. Że też się tacy z sobą pobierają. Okropność.

Ano, różnie bywa. Odwrotnie też bywa, panno Różo, panno Ewelino. Bywa ona żaba, a on świeca. Ona idzie siajniasto, a on jakby pod orkiestrę szedł. Nie za wygląd się kocha, ale nie wiadomo za co. A jak kocha się, to i co na wierzchu się kocha, i co ukryte, i co może się stać, tak tobie, jak i mnie, czyli jemu albo jej. I wtedy nieważne, czy ktoś łysy, czy że poci się. Nie kocha się osobno, że ktoś wysoki jest, a ktoś ma takie czy inne oczy, czy choćby ktoś najpiękniej mówił, bo jeden może być wymowny, a drugi nie. Z ilu zresztą ludzi trzeba by składać na takiego jednego czy jedną, żeby nie miał żadnej wady, a jeszcze mógłby wyjść z tego jakiś stwór, nie człowiek. Kocha się tak samo przez wady i nieszczęścia i może nawet głębiej, a najgłębiej kocha się przez ból. Może być ktoś wysoki, zadbany, wymyty, pachnący, a nie ma go za co kochać. Wszyscy się i tak myją przeważnie na niedzielę albo jak gdzieś idą, a nieraz nie ma się nawet chęci człowiek umyć, bo nie ma się chęci i żyć. To trzeba umieć kochać i brud kogoś drugiego. Też nie jestem na co dzień elegancka, bo i gdzie w tej naszej suterenie, co innego przed wojną. I gdybym tak nie szła do niego, nie chciałoby mi się. Ale, o, wskazała matka na mnie, będzie dalej skakał po

tych schodach z góry na dół, z góry na dół, to całkiem zdziczeje. Może byśmy trochę różu na policzki, co? Żywiej byłoby. Nie trzeba mnie odmładzać, panno Ewelino, panno Różo, niech mam tyle lat, na ile wyglądam. O, nie widzi pani, Piotrek jak to urósł? I kiedyż on tak urósł? A ja będę udawała. I za elegancka będę, to jeszcze pomyśli, że jest z kogo zedrzeć. A wie pani, mówili, że podobno się przez zakonnicę nie ożenił. Nazywała się siostra Brygida i była śliczna jak sama Matka Boska. Chciała nawet zrzucić habit dla niego, ale nie chciał. Że byłaby to miłość przeciw Bogu i nie byliby szczęśliwi. Ano, tak to nieraz bywa, że można przeciw Bogu i miłością zgrzeszyć. Bo niech pani przypomni sobie, za co Bóg wygnał Adama i Ewę z raju. No, za miłość przecież. Wystarczy już może tego różu. W młodości był podobno na gruźlicę chory i ślubował, że jak wyzdrowieje, nie ożeni się. I po cóż ślubował, niemądry, prawda? I tak przecież wyzdrowiał. Albo mógłby co innego ślubować, na to samo by wyszło. My ślubowałyśmy, no, wie pani, wtedy, cośmy się tak zamartwiały, że pójdziemy w pielgrzymkę. Ma iść pielgrzymka do Sulisławic jesienią na intencję zakończenia wojny, to nie tak daleko. A wie pani, jeden ksiądz nam mówił, bardzo mądry, a jaki przystojny, nie ma pani pojęcia, że Bóg przyjmuje w darze tylko nasze serca, bo żeby ktoś nawet łotrem był, serce jego jest niewinne. Pamięta pani tych łotrów, co z Panem Jezusem wisieli? To tak samo może być każdemu wybaczone. Tak ten ksiądz mówił. I wcale nam znów takich ciężkich pokut nie zadał. Pytałyśmy się jednej znajomej, starsza już osoba i co dzień do kościoła chodzi, to tyle samo jej zadał. Bo dla Boga podobno nic ciało ludzkie, proszę pani, nie znaczy. Chyba taki ksiądz wie najlepiej. O, jak niemodna sukienka, tyle znaczy. Chodziło się, a teraz wisi w szafie. Czasem tylko zajrzy się, czy jej mole nie pocięły, to się człowiek aż dziwi, że mu kiedyś wydawała się taka śliczna i tak dobrze mu w niej było, że był tu, tam w niej i każdy się zachwycał, och, jaką pani

ma śliczną sukienkę, panno Ewelino, panno Różo. A to teraz za długie, za szerokie, klosz, dekolt w karo, stan aż pod piersiami, jeszcze wzory jakieś takie jaskrawe, a dzisiaj gładkie modne. Za żadne skarby by się jej teraz nie włożyło. To i ciało, proszę pani, tak samo. Na drugi dzień już nic się nie pamięta. Czy najwyżej jakby ktoś panią obmówił. A obmówić to już ludzie potrafią. Nikt nie zajrzy w serce, tylko co im się wydaje, jeszcze pomnożą to przez swoje winy. Niektórzy nawet myślą, że stają się sami przez to mniej winni. O, teraz brwi są w sam raz. Może jeszcze tylko koniuszki. Coś się ten tusz rozmazuje. Bo najgorzej jak ktoś nie ma zrozumienia dla drugiego. Wszyscy przez to cierpią. A najbardziej ci, co chcą uchodzić za świętych. Przychodził do nas kiedyś taki jeden. Strach miał zawsze w oczach, to najpierw kazał nam zdejmować medaliki, a potem i ten obraz ze ściany, no, ten z Matką Boską Częstochowską. A światło to nam pozwalał zapalić, dopiero kiedy wyjdzie. Jakbyśmy nie wiadomo co były. A przecież nie wysysamy krwi z nikogo. Nie obdzieramy z miłości. Kochaj sobie, kogo chcesz. Nas nie musisz. Nawet byśmy nie chciały. I tak ci pomożemy, bo po to jesteśmy. Czekamy. Pa. Pa. Ale więcej się nie zjawił. O jednym znów to już myślałyśmy, że umarł, a on zjawił się. Nie idzie żyć bez was, dziewczyny, tak powiedział, wie pani. I przyszedł, o, z takim tortem. Cały tydzień jadłyśmy. Makowy z rodzynkami. A kiedyś takich dwóch do nas przyszło. Nie ma pani pojęcia, jacy kulturalni. Może widziała ich pani? Jeden taki wysoki, blondyn, a ten drugi trochę niższy, z czoła podłysiały. Ten wysoki to jakiś wojskowy, ale był po cywilnemu, a ten drugi mówił, żeby go nie pytać, bo to tajemnica. Powiedzieli, że ktoś bardzo ważny chciałby do nas przyjść, tylko musimy być jak groby, bo na takim stanowisku, to chyba rozumiemy. Już była umówiona godzina, dzień. Wystroiłyśmy się. Wszystko prawie nowe miałyśmy na sobie. A serca nam tak biły. No, bo taki ważny, to różnie może się zdarzyć. Niech będzie

zmęczony, co wtedy robić, Boże ty mój? Jeszcze nas zaaresztuje. A ci dwaj mieli przez cały czas pilnować na dworze, żeby nikt nieproszony nie chciał do nas przyjść. Skropiłyśmy nawet pokój perfumami. Założyłyśmy czerwony abażur na tę lampę stojącą, a u góry, postanowiłyśmy, że zgasimy światło. Czerwono to od razu jakoś tak inaczej. Wybrałyśmy najpiękniejsze tanga. A na sam początek *Nasza jest noc i oprócz niej nie mamy nic*. Potem miałyśmy puścić *Co nam zostało z tych lat miłości pierwszej*, a następnie *Kto zakosztował twoich warg*. A potem *Tę miłość utopię w mocnym winie*. I nie przyszedł. Podobno przenieśli go na jeszcze ważniejsze stanowisko. Zamiast niego przyszedł jego zastępca, tak nam powiedzieli. Ale jaki on był zastępca, proszę pani. Zwykły cham. Wcale nie miał wyglądu na zastępcę. Tang w ogóle nie chciał słuchać, że przeżytki czy jakoś tak. I bez przerwy nas klepał, szczypał, łapał za kolana, niech pani sobie wyobrazi. Chwileczkę, już kończymy. I wódkę, proszę pani, bo przyniósł z sobą wódkę, to kazał nam dać szklanki i ze szklanek pić, bo kieliszki też przeżytki czy jakoś tak. A my wódki nie cierpimy. Lecz co było robić? Musiałyśmy się uśmiechać. Bo z takimi chamami nigdy, proszę pani, nie wiadomo. Jeszcze nam cały czas gołąbeczki mówił. Ale nawet i te gołąbeczki wcale mu nie pasowały. To nie cham? Najważniejsze jednak, żeby zawsze czuć się damą, cokolwiek by człowieka spotkało. Bo człowiek jest tym, kim się czuje. I nie musi się wszystkiego zaraz w sercu nosić.

Lecz paznokci u rąk nie dała sobie matka pomalować. Nie i nie, że torebki nie ma, rękawiczek nie ma, a takich pustych rąk, jeszcze bez pierścionka, bransoletki, bo posprzedawała, nie powinno się przed sobą nosić. A tym bardziej na kolanach kłaść, gdy się siedzi, czy choćby na poręczach fotela, to po co jeszcze znaczyć je na czerwono, żeby bardziej było widać, że są puste? Bo w tym przedwojennym stroju brakowało matce właśnie czarnej skórzanej torebki i czarnych skórkowych rękawiczek, które

nosiła kiedyś do tego popielatego kostiumu. Rękawiczki gdzieś zgubiła w zawierusze wojennej. A z torebki szewc mi dorobił buta, gdy na wysiedleniu, idąc do sąsiedniej gminy, gdzie ojciec miał objąć posadę, zgubiłem jednego po drodze. Chciały jej panny Ponckie pożyczyć i torebkę, i rękawiczki, a także któryś ze swoich kapeluszy, że matki trochę już niemodny, lecz nie chciała, że się nie będzie w nie swoim wystawiać.

Toteż nie umiała sobie poradzić z tymi pustymi rękami podczas wizyty u pana. Zaplatała palce, kuliła je, chowała jedną rękę w drugą, wciągała w rękawy żakietu, nie pozostawiając tych rąk choćby na chwilę w omdlałym spokoju tak charakterystycznym dla prawdziwych dam. Najwyraźniej przeszkadzały jej, a nawet wydawało się, że nie chciały się zgodzić z tym, co matka mówiła, co myślała, co czuła.

To wówczas po raz pierwszy zauważyłem ręce matki. Jakby spłoszone, szamoczące się, gdzieś wyrywające się daremnie, a od tej daremności aż zbolałe, być może poza moim wzrokiem i także wzrokiem pana, który od jakiegoś czasu nie spuszczał oczu z tych jej rąk, gdzieś w samych koniuszkach palców nabrzmiałe od płaczu, tego samego, który wybuchał w niej czasem, gdy wracała z miasta z pełnymi siatkami w tych rękach. Dziwne, lecz do tej pory nigdy nie zauważyłem jej rąk. W każdym razie nigdy tak dotkliwie i tak osobno od całej jej postaci, jakby miały swój osobny strach, osobną nadzieję, osobne sny. Naturalnie, wiedziałem, że matka ma ręce, bo wszyscy je mają, ale to były ręce, żeby coś wziąć, dotknąć, przytrzymać, podnieść, przynieść, zawiązać, przymknąć, otworzyć, do wałkowania klusków, przestawiania garnków, mycia, prania, cerowania, rozbierania się, ubierania, czesania, podawania kropelek na łyżce ojcu, żegnania się przy wieczornej modlitwie, czasem liczenia pieniędzy, a niekiedy, żeby mnie wziąć za rękę. A takich rąk się nie widzi, takie ręce są, bo nie może nie mieć człowiek rąk. Czasem tylko ojciec

napomknął o tych matki rękach, jak o czymś osobnym właśnie, gdy wracała z miasta, dźwigając pełne siatki kartofli, buraków, marchwi, kapusty, cebuli, ależ ty masz silne ręce. I razu jednego Cyganka, gdy panny Ponckie namówiły matkę, żeby dała sobie powróżyć, bo właśnie one sobie wróżyły, a gdzież się rodzą takie ręce, co by tak całą prawdę aż do śmierci mówiły. O, tu masz szczęście wypisane, moja złociuteńka, a tu krzyż. Ale między szczęściem a krzyżem nie widać u ciebie niezgody.

Najwyraźniej brakowało matce tej torebki i tych rękawiczek, żeby mogła przynajmniej otworzyć torebkę i wyjąć chusteczkę czy tak tylko otworzyć i zamknąć, a rękwiczki, ot, tak, przełożyć z ręki do ręki. Bo nie miały te ręce zupełnie się o co zaczepić w tej pustce wokół nich i cały czas szamotały się bezradnie.

Spostrzegł to widocznie i pan, bo nie zważając, że matka coś do niego mówi, przerwał jej:

– A niechżeż pani zostawi w spokoju te piękne ręce. Nic im nie potrzeba. Same sobie wystarczą.

I wtedy w matce coś pękło. Splotła te ręce i unosząc je ponad kolana, omal z zawziętością w głosie powiedziała:

– A co do zapłaty, to wszystko wyrównam. Proszę się nie obawiać. Żebym nawet miała sprzedać ostatnią sukienkę.

Położył wtedy swoją starą, pomarszczoną rękę, upstrzoną, jakby cekinami, brązowymi plamkami, na tych jej splecionych w bólu rękach i powiedział:

– Nie musi pani nic sprzedawać. Niech przychodzi. A nawet już dzisiaj niech zostanie. Porozmawiamy sobie. Na imię masz jak? – zwrócił się do mnie.

– Piotruś, to znaczy Piotr – wyręczyła mnie matka, jakkolwiek już miałem to swoje imię na wargach, lecz być może zlękła się, że coś

przekręcę lub, jak na jej poczucie czasu, zbyt długo zwlekałem z odpowiedzią, że Piotr. Tak że w czasie tej całej wizyty nie dopuściła mnie nawet do wymówienia własnego imienia.

– Piotr – powtórzył w zamyśleniu pan, jak gdyby zastanawiając się, co to imię znaczy. – Piotr.

Nie wiedziałem, czy się dziwi, czy może podejrzewa, że coś niedobrego jest w moim imieniu. Lecz po chwili już zwyczajnie powiedział:

– No, właśnie, porozmawiamy sobie. Powiesz mi, co robisz, czy cię coś interesuje? Czy może przeczytałeś jakąś książkę ostatnio.

– E, nic teraz nie czyta – wtrąciła znów matka. – W czasie wojny to jeszcze, kiedyśmy u moich rodziców mieszkali na wsi. Więcej go ciągnęło wtedy do czytania, choć krowy pasł. Lubił o podróżach i o Indianach, i historyczne, i po kryjomu czytał. Nie pozwalaliśmy mu z mężem, to szedł na strych czy do stodoły. A była taka jedna książka, nie pamiętam tytułu...

– *Chłopcy z Placu Broni* – przypomniałem nieśmiało.

– Chyba tak. To nie mogliśmy go utulić, tak się rozpłakał.

– A może na jakimś ciekawym filmie byłeś? – zatrzymał matki słowa. – Już tam sobie zresztą coś znajdziemy do porozmawiania. A mamie nie będziemy czasu zabierać, prawda? Ma tam pewnie w domu dosyć obowiązków.

– O, nieraz nie wiadomo, w co ręce najpierw włożyć – nie tylko potwierdziła z wdzięcznością, lecz już zaczęła wyszczególniać, co tam w domu na nią czeka, zdążyła jednakże wymienić tylko pranie i przerwał jej:

– No, właśnie.

Chwilę mi się przypatrywał w milczeniu, kiedy matka wyszła, po czym rzucił jakby od niechcenia:

– Miałem syna Piotra. Zginął. – I od razu przeszedł do zapowiedzianej rozmowy: – To co byś chciał mi o sobie opowiedzieć? – I jak jakieś ptaszysko, z natrętną uwagą w tych swoich oprawionych w pomarszczone powieki oczach, czekał, co bym chciał mu o sobie opowiedzieć. A gdy nic mu nie odpowiadałem, bo nie wiedziałem, co mógłbym mu o sobie opowiedzieć, spytał mi się, a właściwie potwierdził: – Nic? – I zdjął ze mnie te oczy. – O, to widzę, że musimy się do siebie przyzwyczaić. Nabrać zaufania, bo inaczej niczego cię nie nauczę. Podaj mi okulary. Tam są. I tę książkę tam, z tej półki, nie tę, tę drugą od lewej. Na ten pierwszy raz ja ci coś przeczytam. Jeżeli cię zainteresuje, weźmiesz ją sobie do domu i przeczytasz, jeżeli nie, poszukam ci coś innego. „Panowie miłościwi, czy wola wasza usłyszeć piękną opowieść? To rzecz o Tristanie i Izoldzie królowej. Słuchajcie, w jaki sposób w wielkiej radości, w wielkiej żałobie miłowali się, później zasię pomarli w tym samym dniu, on przez nią, ona przez niego”.

Nie zainteresowała mnie jednak, lecz pomyślałem sobie, że mu przecież tego nie powiem, i wziąłem ją do domu, a przeczytałem dopiero po latach. Bo na następną lekcję, kiedy byłem już przygotowany, że mi się spyta, no, i jak tam, przeczytałeś? Podobała ci się? Miałem odpowiedzieć, że przyszedł wujek Stefan ze wsi, żebym poszedł im pomógł kartofli sadzić. Na szczęście zapomniał, że miałem przeczytać, i w ogóle zapomniał, że mi ją pożyczył.

Na następnej lekcji kazał mi pan kupić sobie zeszyt, obsadkę ze stalówką, kałamarz, wyjął przy tym portmonetkę i wręczając mi pieniądze, powiedział:

– Masz tu na to wszystko. Mama tam kiedyś mi odda.

Był inny niż w czasie tej naszej wizyty z matką, pogodny, ożywiony, nie siedział w fotelu, lecz krążył po mieszkaniu, jakby czekał już na mnie.

Spytał mi się, jak tam mama, jak ojciec się czuje, a następnie zapowiedział, że na każdą lekcję będę pisał zadanie. Pierwsze było: widnokrąg.

– Wiesz chyba, co to jest widnokrąg? – zapytał, gdy nie odezwałem się ani be, ani me, a i minę musiałem mieć przy tym niewyraźną. Wyciągnął przed siebie rękę i okręcając się jak po zardzewiałej ze starości osi z tą wyciągniętą ręką, powiedział: – O, ta linia dookoła między ziemią a niebem, która nas zamyka. Chociaż to tylko złudzenie. Gdybyś chciał do niej dojść, będzie się zawsze od ciebie odsuwała, zachowując tę samą odległość. A ty będziesz zawsze w środku. I nigdy nie dojdziesz. Potwierdza jednakże, że Ziemia jest okrągła.

Chciałem już powiedzieć, że nieprawda, bo stary Kaziuń, z którym pasłem krowy, doszedł. Ale pomyślałem, że pewnie by mi nie uwierzył, i patrzyłem tępo, jak obraca się wokół ścian mieszkania z tą wyciągniętą ręką, i nie rozumiałem, o co mu właściwie chodzi. I tak to widocznie odczytał, bo przetoczywszy tą ręką ponad moją głową, nagle opuścił ją z rezygnacją.

Zresztą Kaziuniowi też nikt nie chciał uwierzyć, kiedy nie raz wyciągając rękę w stronę widnokręgu, mówił, że dojdzie, o, tam, jak się niebo schodzi z ziemią, a potem już tylko pod górę, i za dzień, dwa będę tu nad wami, chłopaki. Tylko muszę najpierw dojść tam. Aż któregoś dnia, zarzuciwszy kij na ramię z uwieszonym na nim tobołkiem, powiedział:

– Popilnujcie moich krów, niech się dobrze najedzą. A potem zagońcie do Sroczyńskiego i powiedzcie, że już nie wrócę. Idę tam. – I wyciągnąwszy rękę w stronę tego widnokręgu, okręcił się, jakby jeszcze nie wiedział, w którą stronę. I ruszył przed siebie.

– Ty głupi capie! A idź, idź! Zobaczymy, czy nie wrócisz! – krzyknął Fredek za nim, bo Fredek najbardziej nie wierzył Kaziuniowi.

Chociaż wszystkim nam się wydawało, że Kaziuń tak tylko mówi, aby mówić, że kiedyś się tam wybierze. Bo różne rzeczy mówił, a nieraz nie z tego świata. Niektórych słuchaliśmy z zapartym tchem, siedząc wkoło niego na murawie, aż nam krowy wychodziły daleko poza łąki. Ale z innych śmialiśmy się, szydzili i mówiliśmy, że bełt ma Kaziuń w głowie ze starości. Bo też rzeczywiście był już Kaziuń stary. Co prawda nikt nie wiedział, ile ma naprawdę lat, i on sam nie wiedział. Nie wiedzieli we wsi, nie wiedzieli u Sroczyńskich, chociaż od dzieciństwa krowy u nich pasł, aż się na tym pasieniu zestarzał. Tak samo nikt nie wiedział, skąd się u Sroczyńskich wziął. A sami Sroczyńscy mówili, że od jakichś dalekich krewnych z jakiejś wsi dalekiej, którzy odumarli Kaziunia w kolebce, zostawiając go sierotą. Ale niektórzy mówili, że Kaziuń to wyrzut sumienia starego Sroczyńskiego, czyli jego syn w grzechu młodości poczęty.

Sam Kaziuń natomiast, gdy go było się pytać, skąd się wziął u Sroczyńskich, mówił, że z gwiazdy się wylągł, jak kura wylęga się z jaja. I nawet pokazywał nam tę gwiazdę na niebie. Miał spaść z niej na bocianie gniazdo na stodole u Sroczyńskich, a że było już po odlocie bocianów, wzięli go Sroczyńscy do siebie jak się bierze bociana odrzuconego przez stado. Ale tylko do czasu, mówił, jest u Sroczyńskich, bo ma przeznaczone iść do nieba. Niebo, mówił, nie jest daleko, chłopaki. O, tam, jak dostaje ziemi, tam jest nieba brzeg. Dojść tylko tam, a potem już po tamtej stronie w górę i w górę, i aż tu z powrotem, nad łąki. Będę was widział, każdą waszą krowę i każdego z was, ciebie, Fredek, i ciebie, Michaś, ciebie, Stasiu, i ciebie, Piotruś, ale wy mnie nie, bo tylko stamtąd tu widać.

Spał w chlewie, choć podobno razem z innymi dziećmi Sroczyńskich miał swoje łóżko w pokoju, nawet kapą zasłane, które Sroczyńska, a później synowa Sroczyńskich, od czasu do czasu oblekały, chociaż nigdy w nim nie spał. Sam się wyniósł do chlewa jeszcze jako dziecko, kiedy

przestał gęsi paść, a zaczął krowy. Chciał go Sroczyński zapisać do szkoły, kiedy przyszła pora, lecz Kaziuń nie chciał, że po co mu się uczyć. Czytać, to na co spojrzy, czyta, pisać nie ma znów do kogo, a Bogu wystarczy, jak powie, bo Bóg tak samo nie pisze, tylko wszystko ludziom mówi.

Całymi miesiącami chodził nieostrzyżony, nieogolony, włosy mu aż na plecy spadały, broda sięgała piersi. Toteż siłą go Sroczyński, a potem jego syn, Seweryn, raz na jakiś czas prowadzili do fryzjera. Fryzjer jednakże odmawiał strzyżenia i golenia Kaziunia i robiła to fryzjerowa.

– Cholera, żeby tak zaróść – złościł się fryzjer, gdy fryzjerowa strzygła i goliła Kaziunia. – To pewnie i wszy ma. Uważaj, Irka.

I nie pomagały zapewnienia Sroczyńskich, że Kaziuń się co dzień w rzece kąpie, jak tylko krowy przygoni, a nawet zimą, w przeręblu.

– Od rzeczy gada, a wszów by nie miał. Musi mieć – złościł się fryzjer. – Uważaj, Irka.

Ogolony, ostrzyżony, wydawał nam się Kaziuń niepodobny do siebie i nawet mniej mu się wtedy wierzyło w to wszystko, co mówił, aż dopiero gdy znów zarósł, stawał się tym prawdziwym Kaziuniem. I też dużo więcej śmialiśmy się, szydzili z takiego ogolonego, ostrzyżonego, niż kiedy chodził zarośnięty. Zresztą sam był tym ogoleniem, ostrzyżeniem wyraźnie zawstydzony i dużo pokorniejszy wobec nas. Zwłaszcza że jego drobna, odsłonięta z brody twarz wydawała się prawie dziecinna mimo starości. Głowę zakrywał mu zawsze stary, obszarpany kapelusz i gdyby nie to, że mu czasem Fredek ten kapelusz strącał, nie wiedzielibyśmy, że ma tę głowę na szczycie zupełnie wyłysiałą.

Ale nawet Fredek nie był w stanie poniżyć Kaziunia, choć przychodziły Fredkowi do głowy najróżniejsze pomysły, jakby go tak drażniła ta godność poniżenia, z jaką Kaziuń pozwalał się z siebie śmiać, szydzić, a na co

Fredka nie było stać, mimo że był najsilniejszy na pastwisku, miał nóż i najgęściej klął.

Chociaż mogło być i tak, że budził Kaziuń lęk we Fredku, że nie uda mu się nigdy wyrwać w świat, o czym Fredek ciągle marzył. Że niech tylko dojdzie swoich lat, a rusza stąd, rzuca ojca, matkę, gospodarkę, całą tę zasraną wieś, łąki, pola, bo co tu jest, zasrana wieś, zasrane życie, zasrana śmierć. A Kaziuń mu mówił, że nigdy nie ruszy, bo najciężej jest ruszyć. Nie dojść, ale ruszyć. Dać ten pierwszy krok. Bo ten pierwszy krok nie jest krokiem nóg, lecz serca. To serce najpierw rusza, a dopiero nogi za nim zaczynają iść. A na to nie tylko trzeba siły, ale i przeznaczenia, żeby przemóc serce i powiedzieć, to ruszam. A to dużo trudniej, niż powiedzieć, to umrę, choć trochę mniej, niż powiedzieć, to urodzę się. I tego może Fredek nie był pewny, czy go będzie stać, żeby sobie powiedzieć któregoś dnia, to ruszam. Czy nie uwiesi mu się u nóg ta cała wieś, te pola, łąki, krowy, ojciec, matka, śmierć. Co innego Kaziuń, nie miał mu się kto u nóg uwiesić, nawet krowy pasł nie swoje, jeszcze odetchną z ulgą u Sroczyńskich, kiedy sobie pójdzie, bo i tak by musieli za młodszym pastuchem niedługo się rozejrzeć.

Toteż pewnie za to strącał nieraz Fredek kapelusz Kaziuniowi z głowy i od najgorszych go wyzywał, szydził i najbardziej ze wszystkich mu nie wierzył.

– Ty stary tryku. Ty capie. A idź, idź. Pójdziesz tam, a stamtąd będzie tyle samo, co stąd, i znów tyle samo, gdy tam dojdziesz. I tak bez końca. Nie mówiła nam pani, że ziemia jest okrągła? To trzeba by samolotem, żeby tam dolecieć.

Kaziuń kulił głowę w ramionach, ale nieraz i odgryzał się Fredkowi:

– Nie mówię, że nigdy nie ruszysz. Za bardzoś gorący. A u takich wiara zimna. A ta twoja pani naczyta się książek, zeszytów i tyle wie, co

w literach się zmieści. A co litery? Robaczki. To co się w takich robaczkach zmieści? Musiałyby być jak krowy, to by się w nich zmieściło. W krowach lepiej czytaj. A ty pasiesz i pasiesz i wciąż głupi jesteś. Ojciec cię pierze i wciąż głupi jesteś. Płaczesz nieraz, a jeszcze głupszy jesteś. Kląć tylko potrafisz, o, potrafisz za trzech. To będziesz tu siedział i tak klął do śmierci.

Kiedy przygnałem pierwszy raz dziadkowe krowy na pastwisko i pełen niepewności siadłem sobie z Kruczkiem tuż na brzegu łąk, z daleka od chłopaków, zwłaszcza że na mój widok powstawali z murawy i patrzyli milcząco spode łbów w moją stronę, a nawet doszło mnie, jak Fredek rzucił z pogardą:

– Cóż to za szczyl? Może mu nogi pokrzywami sparzymy, chłopaki? Żaba, leć no, przynieś pokrzyw.

Kaziuń powiedział:

– Choć jednego byś nie krzywdził. Może ci się przydać kiedyś taki jeden nie skrzywdzony.

I ruszył w moją stronę, a podszedłszy, powiedział z wyrzutem:

– Coś tak późno przygnał? Ten wielgi, co tak klnie, to Fredek. A ja jestem od Sroczyńskich, Kaziuń. Twój piesek jak się wabi? Też mieli u Sroczyńskich Kruczka, ale im się odpodobał i przemienili na Reks, i zdechł. Potrafisz poznać, jak krowy są najedzone? – Wbił się kułakami w swoje boki. – O, w tych dołkach, gdzie się nogi zadnie zaczynają, robi się bulisto. Chodź, pokażę ci.

I tak uczył mnie każdego dnia tych krów, poczynając od najprostszej wiedzy po pełne pokory przekonanie, że w krowie jest cała tajemnica stworzenia i głębsza niż w człowieku. Równa tajemnicy gwiazd, słońca, śmierci. I nie tylko mnie uczył, kiedy krowa jest napasiona, a kiedy wzdęta, bo można nieraz nie odróżnić napasionej od wzdętej. I jak bąki z jej skóry wyciskać, muchy z oczu obganiać, jak rozdzielać, gdy się z drugą krową

bodą, i gdzie ma ten śmiertelny dołek za rogami, czulszy od ludzkiego przyrodzenia.

– Wsadź tam palec, aby nie za mocno. Czujesz? Albo przystaw ucho do jej brzucha. Słyszysz? Kłębi się. To tak cały świat się kłębi. W murawie się kłębi, we wsi się kłębi, na niebie się kłębi, tylko tam wyżej jest spokój. Pójdę tam niedługo. Najpierw aby tam do brzegu dojść. – I wskazał na widnokrąg. – Stań naprzeciw łba i popatrz jej w oczy. Widzisz, ty mrugasz, a ona nie mruga. Muchy oczy jej obsiądą, a nie mrugnie. Skóra na niej drży, a nie mrugnie. Człowiek ma oczy płytkie, u każdego widać, co na dnie, sknera czy fałszywiec, czy grzech ma na sumieniu, czy życie jego boleściwe. A u krowy nie ma dna. Nie ma brzegów. O, widzisz, jak się to oko rozlewa na łąki. To wszystko dookoła krowie oko, a my w jego głębi. Ale więcej ci powiem, jak będę tam. Mam już suchy serek na drogę i kij wiązowy.

Pytałem się potem nieraz tego i owego, z kim wówczas paśliśmy na łąkach krowy, czy Kaziuń nie wrócił. Nie wrócił, ale jak miał wrócić, kiedy głupi tylko w jedną stronę wie, gdzie iść. A z czasem, gdy już coraz rzadziej się zjawiałem, musiałem dodawać, ten, co u Sroczyńskich krowy kiedyś pasł. A po latach, gdy już tylko na Wszystkich Świętych przyjeżdżałem, trzeba było nawet ludziom opowiadać, kto to był Kaziuń, że całe życie u Sroczyńskich krowy pasł, żeby dowiedzieć się, że chyba nie wrócił, bo nikt go nie pamięta. W najlepszym razie ktoś wyrażał przypuszczenie, że powinni u Sroczyńskich wiedzieć, skoro u nich pasł. Tylko że u Sroczyńskich wszyscy już poumierali, a wnuczki wykształciły się i wyjechały. I dom pusty stał.

Wujek Stefan na moje pytania o Kaziunia wręcz dziwił się:

– Kaziuń? Kaziuń? No, zabij mnie, nie pamiętam. U Sroczyńskich, mówisz? Zresztą by się, Pietruś, chciało tak wszystkich wokoło pamiętać,

to trzeba by mieć głowę jak cebrzyk.

A wujenka Jadwinia dodawała:

– A bo to jednemu, Piotruniu, było we wsi Kaziuń? Tak się zawsze na dziecko mówi, kiedy ktoś na chrzcie ma dane Kaźmierz.

Tylko wujek Władek, niedługo przed śmiercią, gdy go kiedyś odwiedziłem, przypomniał sobie Kaziunia:

– Gdzie, mówisz, się wybrał, do nieba? Co to pastuchowi nieraz w głowie się zaplęgnie. Powiem ci nawet, że to on musiał zabrać z sobą Kruczka. I przez to boi się teraz wrócić. Wie, żebym mu nogi z tyłka powyrywał. Nigdy nic dobrego z najducha nie wyrośnie. Chociaż Kruczek go lubił. Bo musiał to być ktoś, kogo Kruczek lubił. Inaczej bym dawno sukinsyna znalazł. Ale mógł dojść. Z Kruczkiem to mógł dojść.

5
Kościół Świętego Jakuba

O, będziesz szedł do pana, to mu weźmiesz ten kawałek mięsa. Wybrałam najładniejszy. Gdyby chciał ugotować, to najpierw niech opłucze, wstawi do garnka, zaleje zimną wodą, wkroi pietruszkę, marchewkę, cebulę, tylko cebulę niech przedtem na blasze opiecze. Taka jest smaczniejsza. I na małym ogniu niech gotuje. I fusów żeby nie zapomniał zebrać, bo rosół potem mętny. Będziesz pamiętał? Powtórz. A duszone gdyby chciał, to niech pokroi w kostkę, rozpuści trochę smalcu na patelni, wkroi jedną cebulę, o, tak w plasterki, podsmaży, aż się lekko zarumieni, i cebulę przełoży do rondla. Ma rondel, nie widziałeś? To do garnka. A na patelnię, na ten smalec, wrzuci mięso, posoli, pieprzu by się szczypta przydała, ale skąd teraz pieprzu, i tak samo podsmaży, tylko żeby z wszystkich stron było podsmażone, przełoży do tego rondla czy garnka, zaleje wodą, przykryje i wolniuteńko niech to tak się dusi. A jak już będzie miękkie, zaprawi łyżką mąki. Mąkę niech rozbije w garnuszku z tym sosem z mięsa. Będziesz pamiętał? Powtórz. A gdzie zgubiłeś, że trzeba posolić. A tą wodą z płukania niech kwiatki podleje. Ma przecież w oknie kwiatki, widziałam. Tak zawsze podlewałam, to się aż buiły. Pamiętasz, Zygmunt, tę paprotkę? Trzeba ją było z okna zdjąć, bo się nie mieściła. Mój Boże, tak lubię kwiatki w oknie, a tu nie ma gdzie wstawić. Aha, nie zapomnij mu powiedzieć, że świeżutkie.

Bo nie mogliśmy już sami przejeść tego mięsa. Starszina Iwan lub któryś z jego pomocników prawie co dzień przynosili nam tak z pół wiadra i to najlepszych kawałków, oberżniętych z zadów, aż kiedyś poprosiła

matka, żeby choć kawałek z kością przynieśli, to by rosołu ugotowała, bo już dawno nie jedliśmy rosołu. Tłumaczyła nieraz starszinie Iwanowi, że za dużo dla nas tego mięsa, niechby może co drugi dzień przynosili, ale machał ręką, że niczewo, o, leży stado na łąkach i czeka, a takie zmarnowane, że co druga krowa do zabicia, a dawali znać, że następne już idzie, a za nim następne. Pokazywał na mnie, że rosnę, to muszę dużo mięsa jeść, na ojca, że będzie jadł mięso, to prędzej wyzdrowieje.

Jedliśmy więc to mięso dzień w dzień na wszystkie posiłki, a nawet matka patrzyła, czy się chleba za dużo nie bierze. Nie jedz tyle chleba. Z mięsem nie musi się jeść tyle chleba. Ojciec tylko mniej jadł, bo nie miał apetytu, no, i lekarz mu zalecił, żeby jadł umiarkowanie, ale i jego wciąż matka namawiała, zjedz, Zygmunt, choć kawałek mięsa, o, patrz, jakie chudziutkie, mięciutkie, samo zdrowie. To chociaż ten mniejszy. Jedzmy, jedzmy, póki gonią te krowy z Niemiec, bo potem trzeba będzie znowu myśleć, co do garnka włożyć. Niech tam Bóg da, żeby gonili jak najdłużej. I skąd aż tyle krów w jednym państwie? Może wołowego tam nie jedzą, jak Żydzi świniny? I to nawet schabu czy szynki. Szmule, co mieszkali naprzeciwko ojców, to tylko gęś na święta kupowali. Czasem ojciec zabił, zaniosło im się kawałek salcesonu czy kiszki, czy od łopatki, to nie wzięli, że wiara im nie daje. To jaka to wiara, żeby mięsa nie dawała jeść? A wędził ojciec w sadzie kiełbasę, to przychodził Szmul, siadał przy wędzarni i aż mlaskał, że tak pachnie, oj, tak pachnie. Wszystkie łąki, wszystkie ziemie, wszystkie dary Boże tak nie pachną, jak ta wasza kiełbasa, Józefie. I pomyśleć, że to człowiek wymyślił kiełbasę, a Bóg dał mu tylko czosnek. Tak mówił. Aż w żołądku pachnie, w uszach pachnie, w oczach pachnie, jakby ten wasz sad tak kwitł kiełbasą, Józefie. A przecież nie kwitnie. O, już jabłkaście zerwali. Jesień. Ale kto chce widzieć biało, będzie widział biało. Niezgłębiony jest człowiek, Józefie. To weź sobie,

Szmulu, urwij kawałek i zjedz, zachęcał go ojciec. Urwać ci? Nie, Józefie, Bóg nam nie pozwolił. Już i tak zgrzeszyłem, że tu siedzę i wącham. E, coś bajesz, a nam Bóg pozwolił, to jak to jest? Bo wasz Bóg młodszy, Józefie. A z młodymi wiecie, świat by wywrócili do góry nogami i nie chcą starych słuchać. Wasz gdyby słuchał naszego, nie musiałby być ukrzyżowany. Nasz wszystko wiedział, co będzie. Wiedział, a urządził ten świat, aż nasz musiał przyjść, żeby go naprawić? Niepotrzebnie, Józefie. Nie był taki zły ten świat. A lepszy nie będzie.

Mieliśmy już dosyć tego mięsa i gdy starszina Iwan czy któryś z jego pomocników przytargał znowu to wiadro, ojciec aż prosił nieraz matkę, ugotuj może dzisiaj kartoflanki. Czy matka sama występowała, że może dzisiaj ugotuje kartoflanki. Tym bardziej że jeszcze z wczoraj nam zostało tego mięsa, surowego i gotowanego, i z przedwczoraj, i z poprzednich dwóch, trzech dni, i z wcześniejszych nieraz. Bo dokąd się dało, próbowała matka to mięso ratować, wynosiła do piwnicy, soliła, skrapiała octem, owijała w pokrzywy, nie mówiąc, że największy kawałek zanosiła zawsze pannom Ponckim.

Ale panny Ponckie wzbraniały się, bo bały się utyć, i przyjmowały zaledwie tyle, żeby starczyło na dwa niewielkie befsztyczki, jak mówiły. I nie pomagało, że je matka ustawicznie namawiała, że powinny być grubsze, bo za chude są, że mężczyźni wolą trochę grubsze, że jak będą trochę grubsze, prędzej za mąż powychodzą, bo przecież nie będą cały czas pannami, póki młode są, to jeszcze, ale młodość minie i co wtedy? Przyznawały matce rację, jakby zawstydzone tą swoją chudością, choć nie były wcale takie chude. Dziękowały, powtarzały w kółko, jaka pani dobra, jak rodzona matka, lecz przyjmowały jedynie na te dwa befsztyczki.

Wynosiła też matka to mięso na rynek, naturalnie po kryjomu przed ojcem, i sprzedawała lub wymieniała za mleko, śmietanę, jajka, masło

u bab. A gdy ojciec dziwił się, skąd masło u nas, skąd jajka, śmietana, odpowiadała omal z obrazą, że ją śmiał zapytać:

– Nie o wszystkim musisz zaraz wiedzieć. O, myśl lepiej, żebyś wyzdrowiał. Nie bój się, pod latarnię nie chodzę.

Ale i tak się to mięso gromadziło, gotowane i surowe, nieraz zapleśniało, zaśmierdziało się, że wejść było z dworu do mieszkania, to zalatywało padliną. Matka jednak zawzięcie broniła tego mięsa choćby przed najmniejszym posądzeniem, że coś śmierdzi. A ze ścian tak pewnie w kątach śmierdzi, grzyb musi tu być, wiadomo, suterena. A już nie daj Boże było otwarcie powiedzieć, że to nie grzyb, tylko mięso śmierdzi.

– Widzieliście go, mięso mu śmierdzi – oburzała się. – Módl się, żeby ci całe życie tak śmierdziało. O, skończą krowy z Niemiec gnać, to przestanie ci śmierdzieć. Zobaczymy, co wtedy.

I rzeczywiście, od jakiegoś czasu coraz rzadziej nadciągały stada, najpierw jedno na dzień, potem na dwa, trzy dni, a zdarzało się i rzadziej. Już nie krowy czekały na starszinę Iwana i jego pomocników, lecz starszina Iwan i jego pomocnicy na krowy. Toteż nie tak często, a w każdym razem nie co dnia, jak przedtem, przynosili nam to wiadro z mięsem. Początkowo przyjmowaliśmy to z ulgą. I starszina Iwan coraz częściej przesiadywał u nas. Dogadali się nawet z ojcem, że brali udział w tej samej wojnie, i to na tym samym froncie, na tym samym odcinku, tyle że po przeciwnych stronach. A gdy zagłębili się nieraz w tę wojnę, okazywało się, że zdobywali i oddawali te same miasta, miasteczka, wsie, przysiółki, dwory, i niemal usprawiedliwiali się jeden przed drugim, gdy któremuś wypadło coś zdobywać, i na odwrót, jeden nad drugim się użalał, gdy któryś musiał coś oddawać, jakby to, że byli kiedyś wrogami, uprawniało ich teraz nie tylko do wspólnej pamięci, lecz i do wspólnej doli. Przez tę wojnę tak się zaprzyjaźnili, że starszina Iwan coraz ciężej wzdychał, że już niedługo

trzeba będzie mu się żegnać z nami, a i ojciec żałował, że już się więcej nie zobaczą, bo jeśli nawet starszina Iwan kiedyś przyjedzie, jak obiecywał, to ojca z pewnością już nie zastanie.

I któregoś dnia pojawił się starszina Iwan w nowiutkim mundurze, obwieszony medalami, z pełnym wiadrem mięsa, i powiedział, że ostatni już raz nam przynosi, bo ujeżdżają. Przyszedł rozkaz, rzeźnię zamknąć, krów nie będą więcej gnali, wczoraj było ostatnie stado, co trzeba, to ubili, reszta poszła do Rosji.

– Taki miał być bogaty kraj te Niemcy – powiedziała z żalem matka. – I już krów nie mają? A przecież nie tak długoście znów bili. Jakby chcieli, toby jeszcze gnali. Za tyle narodu, co wymordowali, to powinno się gnać i gnać.

– Ano, może mają jeszcze, ale trzeba im trochę zostawić – wziął Niemców w obronę przed matką starszina Iwan. – Wróg, bo wróg, ale dzieci muszą mleko pić. Dzieci nam nie winne. – I wypinając pierś z medalami w stronę ojca, jakby mu się odmeldowując, powiedział: – Przyjadę, to żebyś żył, lejtenant. Pamiętaj.

I znów przeszliśmy na kartoflankę, zalewajkę, kaszę z mlekiem, ze słoniną, kluski z serem, wspominając przy każdej okazji to mięso, jakby z innych czasów, z innego życia, z innego świata. A najgorsze, że nie wiadomo było, co powiedzieć teraz panu, że mu więcej tego mięsa nie przyniosę. Ojciec zresztą od samego początku miał pretensje do matki, że gdzie to nauczycielowi mięso nosić, jeszcze gotów pomyśleć, że zamiast zapłaty. Opierałem się i ja, że na wstyd mnie matka wystawia, z mięsem iść na lekcję, jeszcze zeszyty krwią sobie pobrudzę albo pan mnie wyśmieje, ale nie dawała się przekonać:

– Bierz, głupi. Co za chłopak. I za co miałby cię wyśmiać? Nie widziałam, bieda aż piszczy u niego. Mięso to najlepszy teraz prezent.

Coby przed wojną kosz kwiatów. Sama bym się ucieszyła, gdyby ktoś mi przyniósł. A zeszyty w jednej ręce niesiesz, to w drugiej możesz mięso. A jakby się pytał, skąd mamy, to powiedz, że od wujka ze wsi.

Wbrew moim obawom pan nie wyśmiał mnie ani się nawet nie zdziwił, spytał tylko, ile płaci. A gdy powiedziałem, że nic, bo to od wujka ze wsi, coś tam wymamrotał nad otwartą już portmonetką, potem zamknął ją, schował do kieszeni i powiedział, to podziękuj mamie.

Tak samo następnym razem, znów złapała matka, jakby już z przyzwyczajenia, kawałek tego mięsa z wiadra, bo akurat przynieśli, i zanieś panu. A pan już nawet się nie spytał, ile płaci, tylko powiedział, połóż tam, i od razu, co miałem na dzisiaj zadane. I odtamtąd, póki gnali te krowy z Niemiec, zanosiłem mu to mięso, choć nie na każdą lekcję, lecz tak co na drugą, trzecią, żeby sobie nie pomyślał, jak mówiła matka, że zamożni jesteśmy, tylko ukrywamy, czy może nawet mamy rzeźnię.

Inna sprawa, że korzystając z tego, że sam się nigdy o to nie upomniał, zalegaliśmy mu z płaceniem za lekcje. I to nieraz tygodniami, aż dopiero gdy matka pojechała z czymś na handel i zarobiła, wówczas jakąś sumę kazała i panu zanieść, choć nie wszystko. Najpierw wyliczała, na co ile musi wydać, w tym na lekarza i na lekarstwo dla ojca, po czym się okazywało, że nie zostało już wiele dla pana. Przeproś go, jak pójdziesz, że już wszystko oddamy mu następnym razem. Może jak z papierosami pojadę.

Lecz i to, co zanosiłem panu, w dziwne zakłopotanie go zwykle wprawiało. Patrzył na pieniądze i jakby się bał wziąć, a jeszcze się pytał z troską, czy choć sami mamy, że jemu dajemy, i czy na pewno mamy, żebym mu prawdę powiedział. I nachylając się, patrzył mi prosto w oczy, no, spójrz mi w oczy. Umiałem już jednak wszystko w oczach ukryć i w to jego zatroskane spojrzenie patrzyłem zimno, że naprawdę mamy.

Kiedy była tylko słoneczna pogoda, zamiast lekcji wyprowadzał mnie pan na miasto na spacer. Zwykle czekał na mnie gotowy do wyjścia, w garniturze, w krawacie, wygolony, pachnący wodą kolońską. A niekiedy zamiast krawatu miał u szyi rozłożystą muszkę, jakby upiętą na szpilce czy na agrafce wprost u jego rozlanego podbródka, i gdy się tylko pojawiłem we drzwiach, oświadczał, że wybierzemy się dzisiaj na spacer, bo szkoda byłoby siedzieć w murach przy takiej pięknej, słonecznej pogodzie. Wkładał kapelusz, brał laskę i szliśmy.

– Tylko nie idź za szybko – upominał mnie, mogłoby się wydawać, że ze względu na swoją starość, lecz zaraz wyjaśniał: – Drugi raz już nie zrobisz tego samego kroku.

A każdy spacer zaczynał od tego, że po parunastu krokach od wyjścia z domu przystawał i kazał mi się rozejrzeć dookoła, po czym pytał:

– I co widzisz? No, tak wokół siebie co widzisz? Rozglądnij się dobrze.

Więc rozglądając się, wymieniałem mu, co widzę, budynki, drzewa, płoty, ludzi, gołębie na dachu, chmury na niebie, ale nigdy nie przytaknął mi na potwierdzenie, tylko dalej pytał:

– A co jeszcze?

A kiedy mówiłem, że już nic więcej nie widzę, nie podpowiadał mi, że jeszcze to czy tamto, tylko rzucał, to idziemy dalej, zostawiając mnie w dręczącej niepewności, że może coś tam przeoczyłem. Nieraz byłem gotów wrócić i rozejrzeć się, co przeoczyłem, lecz nie było powrotu, bo szliśmy dalej. Potem przystawaliśmy w nowym miejscu, niekoniecznie odległym od tamtego, lecz zmieniającym jedynie punkt widzenia, i znów mi się pytał:

– No, a tu co widzisz? Spokojnie się rozglądaj. Nigdzie nam się nie spieszy. Wyobraź sobie, że czekamy tu na kogoś, kto przyjdzie może za

godzinę albo w ogóle nie przyjdzie, lecz mamy obowiązek poczekać na niego.

Kiedyś udręczony, że więcej już nie widzę, a ruszyliśmy właśnie dalej, zdobyłem się na odwagę i może nawet łamiąc przykazania matki, abym był posłuszny, zwróciłem się do niego prawie natarczywie:

– Pan mi powie, co tam jeszcze było, a czego nie widziałem.

– Nie wiem – odparł ku mojemu zdumieniu.

Nauczyciel, pomyślałem, i nie wie. Coś kręci. Albo może ze starości już niedowidzi i dlatego wyprowadza mnie na te spacery, abym pilnował go jak ten pies, co prowadzi niedowidzących czy całkiem ociemniałych, zwłaszcza że upominał mnie nieraz:

– Nie odchodź tak daleko. Idź tu bliżej mnie.

Tylko dlaczego w takim razie nie nosi okularów? Wszyscy, którzy niedowidzą, noszą przecież okulary. A on czasem w mieszkaniu, gdy chciał przeczytać, co tam napisałem w zadaniu domowym, zakładał okulary.

– Widzisz – powiedział, kiedyśmy już odeszli od tamtego miejsca – tego, co ty widzisz, nikt inny nie widzi. Choćby widział dużo więcej.

Nic z tego nie rozumiałem, lecz dalej już nie śmiałem go pytać, tym bardziej że znowu przystanęliśmy, a on zastukał, jak to miał we zwyczaju, kiedyśmy przystawali, laską w bruk i ponownie usłyszałem nad sobą, bo wysoki był, że musiałem ciągle w górę patrzeć na niego:

– No, a tu co widzisz? Nie musisz po kolei, mów, jak widzisz.

Niekiedy zostawiał mnie samego, żebym się rozejrzał, co widzę, i odchodził do jakiegoś spotkanego znajomego, który akurat witał go ze szczególną wylewnością:

– O, pan profesor. Powitać, powitać. Jak tam zdrowie pana profesora? Coś dawno pana profesora nie było na mieście.

Zresztą wszyscy, których napotykaliśmy w czasie tych naszych spacerów, witali go w ten sposób, wylewnie, z szacunkiem, niekiedy z pokorą, niektórzy wręcz spłoszeni, zawstydzeni. A już nie było takiego, kto by mu się przynajmniej nie ukłonił. Nawet kobiety pierwsze to czyniły, stare, młode, biedne, eleganckie, o dłoniach jak z wikliny, bo czasem przystawały, podając mu te dłonie do ucałowania. I te najstarsze, z laseczkami jak i on, i te jeszcze z kokardami we włosach, i te całkiem niedorosłe, których nie mógł przecież znać.

Nie wydawał się jednak szczęśliwy, że go wszyscy tu znają, wszyscy mu się kłaniają, a nawet jakby był udręczony tym nieustannym obowiązkiem pamięci, o którą dopominały się wszystkie napotkane twarze, wszystkie te dzień dobry, panie profesorze, jak zdrowie, panie profesorze, niebiorące pod uwagę, że przecież coraz więcej ich, że za dużo ich jak na jedną ludzką pamięć, choćby i nauczyciela, bo kto wie, czy na pamięć Boga nie byłoby za dużo.

– Im człowiek dłużej żyje, tym mniej ludzi zna – wyrzucał sobie nieraz, zwłaszcza gdy mu się kobieta pierwsza ukłoniła. – Niby twarz znajoma – dodawał po chwili namysłu – a nie poznałem, no, widzisz. Gdyby to mężczyzna, niech tam, wszyscy mężczyźni są jak krople wody z tego samego wiadra. Lecz kobiety powinno się każdą osobno pamiętać.

W czasie któregoś z tych spacerów, zbaczając w jedną z maciupkich uliczek, odgałęziających się od Rynku w jego górnej części, zaprowadził mnie pan na zaplecze, gdzie wzgórze, na którym leżało miasto, urywało się nieomal po drugiej stronie biegnącej tutaj, równolegle do Rynku, zaśmieconej, pełnej wyrw, brukowanej kocimi łbami ulicy. Ciągnęły się wzdłuż niej, przy samym brzegu tego urywającego się wzgórza, niektóre jakby zawisłe już nad przepaścią, niziutkie domy, a właściwie rudery, wśród których gdzieniegdzie tylko wystawał jakiś z czerwonej cegły i na

podmurówce. Resztę od biedy dałoby się nazwać domami. Gdzieś tak pośrodku między nimi stał okazały gmach, a choć z powyrywanymi drzwiami, oknami, nie tylko wielkością górował nad innymi, lecz wręcz wydawał się dumny.

– To bożnica – rzekł pan.

Wiedziałem, że bożnica. Odwieźliśmy w czasie wojny, pod tę właśnie bożnicę, Szmulów z dziadkiem. I to tu właśnie po raz pierwszy stanęła moja stopa w mieście. Później zabrał mnie jeszcze dziadek ze trzy razy na jarmark, a jarmarki odbywały się w Rynku, i to było wszystko, co w tym mieście znałem, zanim już na stałe zamieszkaliśmy tutaj. Nie przyznałem mu się jednak, że wiem, zresztą nie oczekiwał tego ode mnie.

– Nie tak dawno jeszcze – znów rzekł, patrząc na te domy, nie domy, ciągnące się wzdłuż ulicy – mieszkali tutaj Żydzi. Pamiętasz Żydów?

Zaskoczył mnie tym pytaniem, toteż zawahałem się, czy mu powiedzieć, że pamiętam, czy nie, bo pomyślałem, że gdy mu powiem, tak, zapewne zada mi na następną lekcję, to napisz, co pamiętasz. I stanęła mi w oczach Sulka, a przecież o Sulce nie mogłem mu napisać, bo co, że chodziła bez majtek? Lecz jeśli mu powiem, że nie pamiętam, też mi może zadać, to napisz, co nie pamiętasz, bo ze wszystkiego potrafił zadać. Na szczęście, jakby to pytanie kierował jedynie do własnej pamięci, wyciągnął też zaraz rękę w stronę tych domów i powiedział:

– Tam mieszkał Vogiel, szewc. A tam praczka Bajgiełe. A w tym Mojsze Caruso. Tak go nazywali. Piękny miał głos, chociaż złodziej był.

Dał mi znak i przeszliśmy na drugą stronę ulicy. Stanęliśmy w szerokim prześwicie między domami, na samym brzegu tego urywającego się wzgórza. Roztaczał się stąd widok na załom Wisły, na kościół Świętego Jakuba i dalej, na kościół Świętego Pawła z kępą wysokich drzew oznaczających przykościelny cmentarz, na rozliczne wzgórza, bliższe,

dalsze, najczęściej pokryte sadami, i na porozrzucane wśród tych sadów domy. Jakby przypadkiem wybrał z tej całej okolicy najbliższy sad, z białym domem pośrodku, na przeciwległym wzgórzu, od którego dzieliła nas jedynie głęboka, jaskrawozielona dolina, i powiedział:

– Popatrz na ten sad. Widzisz, jak gęsto w nim od słońca? Jakby to słońce szło między drzewami po ziemi. – Po czym wyciągnął rękę i wskazując w dal na lewo, ciągnął: – A tam kościół Świętego Jakuba, przesłonięty tymi starymi lipami. Mówią, że jeszcze święty Jacek je sadził. Pójdziemy tam kiedyś. A może byłeś?

– Nie.

– To pójdziemy na którejś lekcji, jak będzie pogoda.

Już później byłem skłonny go podejrzewać, że musiał wtedy coś przeczuwać lub może miał dar rozpoznawania ludzkich przeznaczeń, bo w tym białym domu, w sadzie, na przeciwległym wzgórzu, mieszkała Anna, o czym nie mogłem jeszcze wiedzieć, a w kościele Świętego Jakuba odbył się nasz ślub, no, a przedtem najczęściej tutaj się umawialiśmy.

To właśnie Anna rzuciła kiedyś myśl, że moglibyśmy się umawiać w kościele Świętego Jakuba, bo w razie deszczu czy zimna mielibyśmy dach nad głową, a poza tym mieszkała bliziutko, aby w dół przez wąwóz, prawie spod drzwi kościoła, a po wyjściu z wąwozu na tę jaskrawozieloną dolinę, zabudowaną gdzieniegdzie domami, na lewo w górę ścieżką przez sad, gdzie na samym szczycie stał jej dom. Ten dom był z doliny prawie niewidoczny, ledwo gdzieś tam prześwitywał przez sad, a w okresie kwitnienia drzew prawie stapiał się z ich białością, stając się wraz z całym wzgórzem jednym brzemiennym kwitnieniem. Za to z tego miejskiego wzgórza, na zapleczu Rynku, gdzie mnie pan wówczas przyprowadził i gdzie nieraz jeszcze potem mnie przyprowadzał, widać go było jak z lotu ptaka. I wydawał się być tak bliziutko, że niemal w zasięgu ręki. Miało się

wrażenie, że wystarczy wyciągnąć tę rękę przed siebie, ponad tą jaskrawozieloną doliną, a z łatwością da się pogładzić jakby wylegującego się w słońcu kota po sierści, ten kwitnący sad po czubkach drzew i może nawet zastukać palcem w jedno czy drugie okno tego stojącego tam, na szczycie, domu.

Co było jednak najważniejsze, w kościele Świętego Jakuba mogliśmy się znacznie częściej spotykać niż gdzieś na mieście. Odbywały się tu bowiem ciągle jakieś popołudniowe nabożeństwa, dzięki czemu Anna nie musiała się tłumaczyć z każdego wyjścia i obmyślać pokrętnych powodów, lecz zgodnie z prawdą mówiła, że idzie do kościoła. Strzeżono jej bowiem jak oka w głowie. Nic dziwnego, była jedynaczką, a do tego rodzinę miała liczną i pobożną, toteż okazał się to najlepszy sposób pozwalający jej na względną swobodę, nie mówiąc już o uznaniu, z jakim spotykał się ten przypływ jej pobożności. Gdy zapowiadała, że wychodzi na majowe, na sercowe, na różańcowe, na nieszpory, gorzkie żale, wszyscy w domu przyjmowali to z ulgą, a już babcie wzdychały z nadzieją, że Bóg jej może da za to dobrego męża w przyszłości, nie pijaka, a przy tym bogatego. Obruszała się zwykle, że nie myśli jeszcze o mężu, myśli tylko, żeby zdać maturę i dostać się na studia. Babcie więc spuszczały trochę z tonu, tłumacząc się, że przecież nie chodzi, żeby teraz, lecz kiedyś, w przyszłości, przyjdzie przecież na to czas, bo przyjść musi. Teraz, pewnie, że nauka najważniejsza. Żeby jednak nie pijaka a bogatego, w tym względzie upierały się przy swoim i zalecały jej z dobroci serc i z własnego doświadczenia, żeby na każdym nabożeństwie odmawiała osobną zdrowaśkę w tej intencji.

Przekomarzała się jednak ze staruszkami, że nie będzie się modliła o bogatego, bo wyjdzie tylko za takiego, którego będzie kochała i on ją

będzie kochał, a nie musi być bogaty, może biedny być, bo miłość będzie ich bogactwem.

– Ano, dobrze byłoby, żeby kochał – zgadzały się staruszki. – Ale mógłby być i bogaty, co by to szkodziło. O samym kochaniu niełatwo życie przeżyć.

Oczywiście nie omieszkała mi przedtem zawsze szepnąć na którejś z przerw w szkole, że wybiera się dziś na majowe, na sercowe, na różańcowe, nieszpory, gorzkie żale.

– Będę dzisiaj u Świętego Jakuba. Przyjdziesz? Przyjdź. Moglibyśmy wcześniej wyjść i pójść gdzieś na spacer. Albobyś mnie chociaż ten kawałek pod nasz sad odprowadził.

Zdarzało się jednak czasem, że ktoś z rodziny zamierzał wybrać się z nią na nabożeństwo, wówczas ostrzegała mnie:

– Ale będę nie sama. Mama czy babcia wybiera się ze mną. Nie mogłam przecież powiedzieć, żeby nie szła. Stań sobie gdzieś między ludźmi, najlepiej pod chórem albo z boku przy wejściu. Gdzie będziesz stał, żebym wiedziała? Będziemy chociaż tak razem. Będę o tobie myślała. I ty myśl o mnie.

Z kościołem Świętego Jakuba związało nas jeszcze i to, że zmarł organista Jan, do którego Anna chodziła na lekcje gry na fortepianie. Nie były to właściwie lekcje w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Jan miał bowiem do Anny stosunek nie jak do uczennicy, lecz bardziej jakby do ostatniego już promyka radości w swoim życiu, i nawet zwracał się do niej, aniołku. O, jest mój aniołek, a myślałem, że już nie przyjdzie dzisiaj. Wicher taki, zimno, psa by nie wygnał na taką pogodę. Nie tak to się gra, mój aniołku. Uderz mocniej cis, mój aniołku. A ponieważ był już bardzo stary i zniedołężniały, pozwalał Annie, żeby nim rządziła. Nic jej nie zadawał, gdy nie chciała albo też nie przećwiczyła tego, co jej zadał, czy

nawet zapomniała, że to dzisiaj miała pójść na lekcję, lub biegła w ostatniej chwili o całą lekcję spóźniona, a Jan szczęśliwy, że przyszła, witał ją z radością, o, jest mój aniołek.

Ale i Anna mówiła zawsze o Janie ze wzruszeniem, jak o kimś najbliższym, i nie wyobrażała sobie, że mogłaby na te lekcje do niego nie chodzić. W dodatku nie brał ani grosza, więc i szkoda byłoby nie chodzić. Zanosiła mu za to czasem koszyczek jabłek, śliwek, moreli czy choćby jedną z pierwszych zażółconych gruszek, a przyjmował to jedynie dlatego, że z własnego sadu, jako dowód pamięci, nie, broń Boże, zapłatę, na to by się nigdy nie zgodził.

Mimo wieku i zniedołężnienia trzymał się Jan kościoła jak tonący brzytwy. Wdrapywał się już z widocznym wysiłkiem na chór, wciągając się nieomal siłą woli po poręczy schodów poskręcanymi przez artretyzm rękami, sapiąc przy tym, łomocząc stopami, aż w całym kościele dudniło. Nie dał się jednak namówić księdzu choćby na krótki wyjazd gdzieś na odpoczynek, a tym bardziej nie chciał słyszeć, że może byłaby już pora, aby ktoś młodszy go zastąpił. Nieraz wystarczyło, że ksiądz się najbardziej niewinnie użalił nad Janem, i bez żadnego utajonego zamiaru, czy zaproponował, że odprawi może dzisiaj cichą mszę, to nie musiałby się Jan wdrapywać na chór, a od razu rozsierdzał tym Jana:

– Co, skrzeczy księdzu moje granie? Ale Panu Bogu nie skrzeczy. A tu Bóg rządzi, w kościele, nie ksiądz. Ma ksiądz swój ołtarz, to ołtarza się trzymać. Chór jest pod moją komendą. Nagrałem się, naśpiewałem na chwałę Bożą i niejednego księdza przeżyłem, to tylko Bóg mi może kazać odpocząć. A Bóg mi mówi, graj, Janie. Przyzwyczaiłem się do twojego grania i innego nie chcę. Powiedz to księdzu. A pewnie chce wcisnąć jakiegoś powinowatego. Zdąży, zdąży. Ale póki ci palce jako tako chodzą, ty mi graj.

Mimo to, gdy Jan nagle zmarł, ksiądz przeżył to tak głęboko, że długo nie próbował szukać nowego organisty, jakby to puste miejsce przy fisharmonii i cisza na chórze podtrzymywały w nim dalej obecność Jana. Podpowiadali mu ludzie różnych kandydatów, lecz każdy był nie ten, nie taki, a już żaden nie mógłby się równać z Janem. Zwlekał, podkreślając wciąż, że trzeba się dobrze zastanowić, dobrze rozejrzeć, poszukać, może po wiejskich parafiach, bo kto wie, czy właśnie w jakimś wiejskim kościółku nie znalazłby się ktoś, kto wzbudziłby uznanie samego Jana jako jego następca. No, i przypomniał sobie, że przecież Anna była uczennicą Jana. Zwrócił się więc do niej z prośbą, czyby nie zechciała zastąpić Jana, na tymczasem, ma się rozumieć, dopóki nie znajdzie się nowego organisty, co nie potrwa długo, bo wszyscy się za nim rozglądają, nawet sam biskup obiecał, że pomyśli, kto by tu godnie mógł zastąpić Jana. Nie może być kościół dłużej bez muzyki, zwłaszcza że nawet w niedzielę do mszy nie ma komu zagrać choćby tych kilku skromnych akordów, więc czyby Anna na ten krótki czas nie mogła, a w ten sposób uczciłaby i Jana, była przecież jego uczennicą i Jan nie miał słów dla jej pilności. Zawsze z dumą Annę przed nim chwalił, jaka to zdolna, jak szybko robi postępy. I tak gorąco ją prosił, namawiał, że wszelkie tłumaczenia Anny, że niewiele umie, niewiele się nauczyła, bo Jan był za dobry dla niej, więc nie przykładała się do nauki, czego teraz żałuje, bo przecież tyle się mogła od Jana nauczyć, tyle wkładał serca, cierpliwości, czasu, a potrafi ledwo coś zabrzdąkać po tej całej nauce. Ot, na akademiach w szkole, wieczorynkach czy na zakończenie roku, na biedne dzieci kiedyś grała na Ratuszu, przedszkolakom na dzień wychowawczyni, w klubie oficerskim w rocznicę jakiejś bitwy, ale to same wojskowe piosenki, wszędzie zresztą fortepiany rozstrojone i nikt się tym nie przejmuje, to nie przejmują się również, jak ona tam gra, aby grała. Lecz w kościele, i to na tej samej fisharmonii co

Jan, nie, nie może, nie potrafi, boi się. I aż się rozpłakała. Te jej tłumaczenia nie na wiele się jednak zdały, zwłaszcza że w rodzinie Anny uznano za wielkie wyróżnienie, że miałaby grać w kościele jako organista, i wszyscy, jak mogli, dopomagali księdzu, tak że w końcu uległa.

Chodziłem z nią na próby do kościoła, które odbywała popołudniami. Dzień w dzień bowiem ćwiczyła, i to nieraz po kilka godzin, żeby przestawić się z fortepianu na fisharmonię, no, i przygotować każdy dźwięk, który miała grać na nabożeństwie, a prócz tego i głos do odpowiadania księdzu. Miała przez księdza zapewnione, że kościół podczas tych jej prób będzie zawsze pusty, a nawet dawał jej ksiądz za każdym razem klucz, żeby się zamykała.

Oczywiście chodziłem w tajemnicy przed księdzem. Stałem zwykle ukryty za którąś z tych starych lip świętego Jacka, podczas gdy ona szła po klucz do księdza, a wracając, najpierw rozglądała się dokładnie, czy nikogo w pobliżu nie ma, po czym otworzywszy drzwi kościoła, dawała mi dopiero znak, że mogę wejść.

Na palcach, żeby nikt nas choćby przez mury nie usłyszał, lecz z sercami tłukącymi się na cały ten pusty kościół, wspinaliśmy się na chór. Tu, zamiast pozwolić jej od razu siąść do fisharmonii, brałem ją najpierw w objęcia, nie bez jej przyzwolenia zresztą, choć i z jakimś wyczuwalnym w niej oporem, i tuliliśmy się, całowali, błądzili rękami po sobie, dopóki, jak zawsze pierwsza, nie ocknęła się nagle, spłoszona:

– Poczekaj, muszę najpierw coś zagrać, niech coś będzie słychać w kościele. – I uciekała ode mnie do fisharmonii, siadając nieomal gorączkowo przy klawiaturze. – A ty sobie tam stań. – Wyznaczała mi miejsce jak najdalej od siebie. – Trochę dalej. Będziesz mógł mnie lepiej słyszeć. Zresztą nie lubię, jak mi się na palce patrzy, kiedy gram.

Aczkolwiek niechętnie, stawałem w miejscu, które mi wyznaczyła, lecz nie byłem w stanie skupić uwagi na tym, co grała, chociaż od czasu do czasu, odwracając głowę od fisharmonii, odpytywała mnie, jakby tymi pytaniami chciała mnie utrzymać w miejscu, które mi wyznaczyła:

– I co, podoba ci się? Dzisiaj mi lepiej idzie, prawda?

Potakiwałem, że, o tak, podoba mi się i znacznie lepiej jej dzisiaj idzie, choć cały czas chłonąłem ją siedzącą przy fisharmonii, nie jej grę. Ta gra gdzieś daleko poza mną rozbrzmiewała i ledwo pojedynczymi, przytłumionymi dźwiękami docierała do mnie.

I może z wdzięczności, że wciąż stoję w tym miejscu, które mi wyznaczyła, odwracała od czasu do czasu ku mnie głowę, uśmiechając się swoimi wielkimi oczyma i rzucając w tych uśmiechach tyleż zalotne, co karcące błyski, jakby obiecujące, że przecież całe życie jeszcze przed nami.

Nie za długo jednak udawało mi się tak ustać w pokorze i gdy tylko zatopiła się głębiej w grze, ruszałem ku niej, starając się jak najciszej stawiać kroki. Wydawało mi zresztą, że czeka tam na mnie, niby gra, lecz czeka, odwróci czasem głowę, uśmiechnie się, skarci mnie, ale to wszystko jest czekanie. I nawet słyszałem jej przyspieszone bicie serca jakby w rytm moich kroków, gdy tak szedłem ku niej. A nawet z każdym krokiem wydawało mi się, że coraz mocniej gra, coraz głębiej, jakby dusząc w sobie te moje kroki i to przyspieszone swoje serce. Toteż gdy obejmowałem jej głowę, czułem, jak z ulgą ją składa w moje ręce, jak poddaje mi się cała, bezwolna, że mógłbym bez oporu wziąć jej ciało od fisharmonii i nawet razem z tą fisharmonią, a może i razem z tym kościołem. I najwyżej broniła się już tylko omdlałymi słowami przede mną, przed sobą:

– Nie, Piotr, nie możemy tak. Jesteśmy w kościele. Bóg nas może skarać.

Musiał jednakże ksiądz wypatrzyć, czy może mu ktoś doniósł, że Anna przychodzi nie sama na te próby do kościoła. I któregoś dnia nie dał jej klucza, oznajmiając, że nie musi się więcej zamykać, bo kościelny będzie przez ten czas w kościele sprzątał, czyścił, zamiatał, to zarazem przypilnuje, żeby nikt jej nie przeszkadzał. Nie było więc sposobu, żebym dalej po kryjomu chodził z nią. Trzeba było pozyskać kościelnego. Wytłumaczyła mu Anna, że jestem jej bliskim kolegą, z tej samej szkoły, z tej samej klasy, co było nieprawdą, bo klasy dziewczyn i chłopców były osobne, lecz zapewne nie wiedział tego, w dodatku tak samo uczę się muzyki, a nawet chodzimy do kogoś tam na lekcje razem, i właśnie dlatego postanowiła mnie zapraszać, żebym jej mówił, czy się nie myli, czy dobrze gra, i swój czas poświęcam, tak samo jak ona, dla kościoła przecież.

Mimo tych tłumaczeń kościelny niełatwo dał się przekonać, bo po co jej kolega, żeby tylko panience przeszkadzał? Na szczęście uległ wdziękowi Anny. Na chór jednakże nie chciał mnie wpuścić i nawet Anna nie była w stanie przełamać jego uporu. Ksiądz mu nakazał, żeby jej nikt a nikt nie przeszkadzał, to musi pilnować, żeby nie przeszkadzał. Kazał mi siąść sobie w ławce, że i tak tu dobrze słychać, co na chórze się gra, albo lepiej, bo się po całym kościele to granie roznosi.

Siedziałem więc według jego wskazań w ławce, a on przez cały czas szwendał się po kościele, szurając głośno butami po posadzce, jakby naumyślnie, że jest na posterunku. Tak samo głośno zamiatał, wycierał, ustawiał, przestawiał, a choćby nadpalone knoty w świecach obcinał, to tłukł się świecznikami, jak gdyby tylko chciał potwierdzić swoją nieustającą obecność. Inna sprawa, że sporo miał tej krzątaniny. Nigdy bym nie przypuszczał, że kościół, kiedy ucichną w nim wszystkie nabożeństwa, staje się gospodarstwem. Gdzieś nawet znika jego tajemniczość i trzeba zwyczajnie pozamiatać, postrzepywać, poustawiać, powycierać wszystkie

te figury świętych, święte twarze na obrazach, ławki, konfesjonały, świeczniki i także ołtarz z Bogiem, a bez żadnego namaszczenia.

Mimo że zajęty tą gospodarską krzątaniną, wciąż jednak pilnie zerkał w moją stronę, czy siedzę na swoim miejscu, jak mi przykazał. A gdy choćby poruszyłem się, co prawda stare ławki za najmniejszym poruszeniem się przeraźliwie skrzypiały, od razu wbijał we mnie karcący wzrok.

Przyzwyczaiłem się jednak do niego, a pewnie i on do mnie, bo czasem skarżył mi się, ile to się musi napracować w kościele, a już najgorzej w niedzielę, bo to i msza, i suma, i po południu jeszcze nieszpory, to choćby tylko świece wciąż gaś, zapalaj. A już jesienią to jak w chlewie, choć to kościół, bo ludzie nigdy butów nie wytrą z błota, tylko tak się walą, to nieraz cały wózek tego błota zamiecie po jednym nabożeństwie. Czasem siadał sobie obok mnie w ławce, jak mówił, na odsapkę. A czasem mnie prosił, żebym mu drabiny potrzymał, bo musi wyjść na sam szczyt, żeby dostać do jakiegoś obrazu i kurz zetrzeć.

Myślałem więc, że mi już odpuścił to siedzenie w jednym miejscu, i spróbowałem kiedyś przenieść się do innej ławki, bliżej ołtarza, w nadziei, że może stamtąd uda mi się dojrzeć grającą na chórze Annę, a on właśnie, stojąc na drabinie, wielką garścią szmaty, w którą raz po raz popluwał, obcierał twarz jakiegoś świętego. Lecz ledwo się uniosłem z miejsca, a nawet ławka nie wydała jeszcze żadnego skrzypnięcia, natychmiast ten mój zamiar dostrzegł i ostro mnie skarcił:

– I po co chce się przenieść? Tam mu też dobrze, gdzie siedzi. Będzie tylko trzeszczał i panience przeszkadzał. Ławki stare, to trzeba w nich siedzieć, kiedy już się siądzie. Na nowe nie chcą ludzie dawać.

Poczułem się, jakby mnie przyłapał na gorącym uczynku, i żeby się usprawiedliwić przed nim, powiedziałem, co mi przyszło akurat do głowy:

– Chciałem tylko pójść zobaczyć księżniczkę Adelajdę.

– A jaka tam ona księżniczka – obruszył się. – Kamień. Parę kresek dłutem ktoś wydłubał, a wszyscy księżniczka. Nie ma nic do oglądania. – I wspierając się tą garścią szmaty o twarz świętego, odwrócił się na chór, zadzierając głowę w dowód swojego podziwu dla Anny. – O, niech lepiej posłucha, jak panienka gra. Byłaby z niej organista. Po co innego szukać. A kawaler mógłby po mojej śmierci kościelnym tu zostać. Gdzie wam byłoby lepiej. Przy kościele robota pewna i do śmierci.

Znów popluł w szmatę i coś tam mamrocząc, z czego usłyszałem, że nawet strach teraz gdzieś w świat jechać, ścierał dalej twarz świętego, co nie przeszkadzało mu od czasu do czasu rzucić ku mnie nieufnym spojrzeniem, czy siedzę na swoim miejscu.

Tuż po wyjściu z domu wpadliśmy od razu w jazgotliwy szum drzew wysokich niczym wieże, otulających Katedrę. Targane na czubach porywami wiatru wiejącego od strony Wisły, a właściwie od tej rozległej za nią równiny, nie pozwalały mi nawet usłyszeć, co pan do mnie mówił. Toteż w pewnej chwili, pochylając się głęboko, krzyknął mi do ucha:

– Pójdziemy dzisiaj do kościoła Świętego Jakuba!

Musiał cały czas jedną ręką przytrzymywać kapelusz na głowie, a jeszcze całym sobą pochylał się do przodu, jakby kładąc się na tym wietrze. Postawił nawet kołnierz u marynarki, zgarnął klapy pod szyją i drugą ręką podtrzymywał je pod obwisłym podbródkiem, wgniatając jednocześnie w ten podbródek wielką brązową muchę w niebieskie grochy, jakby tam mu właśnie było najzimniej. Przy silniejszych podmuchach czasem nawet przystawał i odwracał się plecami do kierunku wiatru.

Nie mogłem zrozumieć, że w taką pogodę zdecydował się wyjść ze mną na spacer. W taką pogodę zwykle siedział w swoim bujanym fotelu,

owinięty w koc, i skarżył się, że nie bardzo się coś czuje, może właśnie przez tę pogodę albo to już starość.

Niebo zaciągnięte przetaczającymi się nisko, ciemnymi, skłębionymi chmurami wróżyło, że w każdej chwili może spaść deszcz. Zeszliśmy od Katedry w dół, do Zamku. Tu przez chwilę jakby się zawahał, czy nie przystanąć, bo wyraźnie zwolnił kroku, lecz jedynie powiedział:

– Widzisz, co zrobili z Zamku? Więzienie. Ale może jeszcze doczekamy, że zamki będą znów zamkami. Ty na pewno. – I rzuciwszy na mnie wzrokiem, z troską rzekł: – Trzeba było się cieplej ubrać.

Wąziutką, wysadzoną kocimi łbami uliczką, przypominającą siodło, zeszliśmy jeszcze bardziej w dół i od zmurszałego drewnianego mostku na strumyku zaczęliśmy się wspinać łagodnie pod górę, osłonięci od strony Wisły księżowskim sadem, który jednak nie stanowił zapory dla wiatru. Byliśmy przez ten wiatr spychani, tarmoszeni, a przy mocniejszych podmuchach chłód przenikał mnie do kości. Weszliśmy w rząd starych lip, rosnących po obu stronach dróżki, i stanęliśmy przed czerwoną budowlą kościoła.

– To jesteśmy na miejscu – powiedział, lecz dalszych jego słów nie usłyszałem, bo silny podmuch zatargał nagle drzewami, z szumem przesiewając się przez poplątane konary.

Na szczęście po wejściu do kościoła wiatr zostawiliśmy na zewnątrz i znaleźliśmy się jakby w środku ogromnej półmrocznej góry ciszy. Nawet surowe mury kościoła zdawały się być z tej ciszy wzniesione. Choć stawialiśmy kroki nieśmiało, ostrożnie, słychać nas było, jakby cały kościół skrzypiał w posadach od każdego naszego stąpnięcia, a nawet w murach coś trzeszczało i także na chórze belki się o siebie ocierały.

– Ciszej idź – powiedział pan, nachylając się do mojego ucha, a jego szept omal zagrzmiał w tej ciszy.

W kościele nie było żywej duszy, tylko my i ta cisza, a może sama cisza. Wydawało mi się, że ta cisza nas w siebie wchłania i zamienia na ciszę. Pomyślałem, czyby nie przygiąć choć na chwilę jednego kolana do kamiennej posadzki i nie przeżegnać się, lecz zauważyłem, że pan nie zamierzał klęknąć, więc i mnie nie wypadało.

Stanęliśmy na środku i pan kazał mi się porozglądać dookoła. Sam też zadarł głowę, aż mu z obwisłego podbródka ledwo niewielka fałda skóry nad muszką została, a nawet miałem wrażenie, że zdjął tę głowę z szyi i unosząc ją w dłoniach wysoko ponad sobą, obraca na wszystkie strony, wolniutko, z powagą, niczym ksiądz monstrancję, wyżej, niżej, tu, tam. A czasem zatrzymywał w jakimś jednym miejscu, jakby zawieszał ją gdzieś na gwoździu.

Obracałem więc i ja swoją głowę za tą jego głową, chociaż dużo niżej, wzrok za jego wzrokiem, zatrzymując się, gdy on swój zatrzymywał, zwłaszcza że byłem pewny, że mi każe napisać zadanie z tego kościoła, a może tylko z tej ciszy. Chociaż prawdę powiedziawszy, w kościele nie było nic do oglądania i nawet pan to sam potwierdził, bo stojąc wciąż z zadartą głową, wyszeptał w pewnej chwili w nabożnym skupieniu:

– Nic tu prawie nie ma, a jakież to wspaniałe.

Nieotynkowane ściany, a może tylko obleciałe z tynku przez wieki, odpychały chłodem surowej cegły, a tu i ówdzie przytulony do nich konfesjonał przypominał ścięty pień po starym, wypróchniałym drzewie. Na gołych ścianach z rzadka wisiały poczerniałe obrazy, z których czasem przeświecała trupia twarz czy tylko bladość rąk, czy wypłowiała ze starości aureola, czy żywszy promyk krzyża. Gdzieniegdzie zespolona z murem, ledwo widniała jakaś kamienna tablica, niekiedy z resztkami złoconych napisów, i to było całe złoto kościoła. Poza tym szarość wypełniała tę górę ciszy od posadzki po sklepienie, od ołtarza po chór. I także w wyciętych

w szpic oknach zalegała szarość zamiast światła. Drewniane sklepienie, jakby z lekka przydymione, wydawało się być nie tyle sklepieniem, co wiekiem trumny nad tą szarością i także nad nami.

Dał mi pan znak, żebyśmy usiedli w pierwszej z brzegu ławce. Podobne do bezzębnych dziąseł rzędy ławek były puste, a mimo to nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że słyszę dochodzące z nich szepty pacierzy. Pan wsparł łokcie o pulpit i złożywszy twarz w rozpostartych dłoniach, tak zastygł. Nie wydawało mi się jednak, żeby się modlił. Toteż bez przeżegnania się, żeby nic po mnie nie poznał, zacząłem w myślach mówić pacierz za chorego ojca, zgodnie z przykazaniem matki, żebym zawsze zmówił pacierz za chorego ojca, ilekroć znajdę się w kościele. Sam po sobie bym nie poznał, że się modlę, nie pozwoliłem bowiem słowom wydostać się na wargi, a jeszcze pilnowałem się, żeby i w myślach nie za głośno szemrały, i parę razy dla zmylenia obejrzałem się na kościół, więc tym bardziej zdumiało mnie, gdy uchylając twarz z dłoni, pan spytał:

– Skończyłeś się modlić? To chodźmy. Pokażę ci teraz księżniczkę Adelajdę, fundatorkę tego kościoła. Była córką Kazimierza Sprawiedliwego a siostrą Leszka Białego. Wiesz, kto to był Kazimierz Sprawiedliwy?

– Nie.

– A Leszek Biały?

– Nie.

– Nie szkodzi.

Stąpając omalże na palcach, bo tak mi nakazał, sam też szedł, jakby się skradając, skierowaliśmy się w stronę kaplicy mieszczącej się w lewej nawie kościoła. Stanęliśmy przed masywną, kutą kratą. Nachyliwszy się ku mnie i wskazując oczami poza kratę, pan wyszeptał łamiącym się ze wzruszenia głosem:

– To ona. Widzisz?

Nic nie widziałem, mimo że poza kratą półmrok nie był tak gęsty jak w kościele. Nie śmiałem mu jednak powiedzieć znowu nie i tylko podniosłem na niego z brzemieniem winy pytające oczy.

– Tam, na tej płycie – powiedział i wsadził wskazujący palec w kratę. Idąc wzrokiem za tym jego palcem, dojrzałem obrys leżącej postaci na kamiennej płycie przy ścianie.

– Starli ją nogami przez te wszystkie wieki – powiedział z żalem – bo kiedyś leżała tam, na środku kościoła. Aż w końcu ktoś się ulitował i tu ją przenieśli. Trudno sobie wyobrazić, że mogliby ją na proch zetrzeć. Ale tak to zawsze z pięknem jest, że skazane jest na naszą łaskę. Nie umie się samo bronić, milczy i jedynie gdzieś w środku goreje. I może tak milczące goreć przez wieki, niezauważone, zadeptywane, póki ktoś nie dojrzy w nim swojej nadziei i swojej rozpaczy, komu wypełni pustkę życia.

Byłem pewny, że mówił nie do mnie, bo i po cóż by miał do mnie mówić? Wiedział przecież, że i tak nic z tego nie rozumiem. Ale ponieważ nie miał do kogo mówić w tym pustym kościele, więc mówił do mnie. Głos jego rósł, przybierając ton skargi, żalu:

– Taka właśnie była księżniczka Adelajda. – Nagle zniżył się z tej wysokości i rzucił oschle: – Piszę o niej książkę. Zapewne i jako kobieta była piękna. Nie mogło być inaczej. Zresztą to widać jeszcze dziś, po tylu wiekach. Naturalnie nie tą pięknością pospolitą, jaką się widzi w obnoszonych za życia twarzach. Bo wszystko, co żyje, jest nieledwie namiastką piękna, żeby nie powiedzieć, materią piękna. Musi przejść dopiero przez śmierć, żeby stać się pięknem. W śmierci jak w tyglu się wytapia i zostaje czysty kruszec. Inaczej zawsze będzie niedostatkiem, ułomnością, niespełnieniem. – Głos mu nagle opadł do ledwo słyszalnego szeptu: – Cała dotkliwość naszego istnienia, wszystko to materia piękna. Dlatego i Bóg musiał umrzeć. Niestety, nie zachował się do naszych czasów

żaden ślad zachwytu dla księżniczki Adelajdy. Ale może to i lepiej. Była nieledwie chwilą cierpienia w wieczności, a wieczność cierpienia nam po sobie zostawiła. Wprawdzie źródła niewiele nam o niej mówią, lecz musiała przecież cierpieć. To z jej cierpienia ten kościół. Mamy wzmiankę, że nie wyszła za mąż, ale w swojej książce dowodzę, że była już zaręczona. Niestety, nie udało mi się ustalić z kim. Mogłaby więc być szczęśliwą żoną, matką, doczekać się dzieci, wnuków. Więc dlaczego? – wyrzucił pełnym bezradności szeptem, po czym, zbliżywszy twarz do kraty, aż żelazne pręty wbiły mu się w policzki, w czoło, wpatrywał się w tę kamienną płytę, jak gdyby oczekując od niej odpowiedzi. A po dłuższej chwili, pogodzony już widocznie z odpowiadającym mu zza kraty milczeniem, rzekł: – Na ogół większości kobiet mężczyzna wystarcza. A nawet przyjmują to jako przeznaczenie, kogo im czas i przypadek nastręczą. Niekiedy jednak rodzą się i takie, co tylko Bóg może zadość uczynić ich pragnieniom. I idą za Bogiem.

Coś tam jeszcze mówił, lecz coraz bardziej nie do mnie, tego byłem pewny. I zląkłem się, że od tych jego słów tam, za kratą, księżniczka Adelajda wstanie z kamiennej płyty, westchnie kamiennym oddechem, otworzy kamienne oczy, wygładzi na sobie kamienną suknię i już jako cielesna i wiotka podejdzie do kraty, przytulając z tamtej strony twarz do żelaznych prętów jak on z tej strony swoją. A może i coś powie, chociaż nie umiałem sobie wyobrazić ani jednego jej słowa, jakby słowa opierały się jej zmartwychwstaniu.

Nagle strach mnie ścisnął, że mi zaraz powie, to napisz na następną lekcję o księżniczce Adelajdzie. A coż mógłbym napisać o niezmartwychwstałej. To już wolałbym o pannach Ponckich, Ewelinie czy Róży, choć też nie byłoby łatwo, wiadomo, a nawet o Sulce, choć o niej najtrudniej. Mimo że gdyby je wyrzeźbić na kamiennej płycie i niechby tak

przez wieki poleżały, też mogłyby być z nich księżniczki. Wzięły mnie panny Ponckie czasem z sobą w niedzielę do kościoła, bo matka nie chciała odchodzić ojca, to nie mogłem się napatrzyć na ich zamodlone twarze. Wydawały mi się najpiękniejsze w kościele, nie tylko wśród ludzi, lecz i wśród wszystkich obrazów, wszystkich figur, wśród modlitw, śpiewania. A kiedy i one śpiewały, a ich białe zęby w tych śpiewach świeciły niczym z kości słoniowej, to nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że są aniołami i w niebo wstępują, a ja z nimi, unoszony na ich anielskich skrzydłach. Ewelinie czy Róży czasem nawet łza się po twarzy puściła, jakby właśnie z żalu, że opuszczają ten ziemski padół. Przypatrując się ukradkiem takiej łzie, jak nabrzmiewa w powiece, wydostaje się z rzęs i toczy się, przebijając się przez puder, róż, myślałem sobie, że na miejscu Pana Boga stworzyłbym kobietę na stałe z taką choćby jedną łzą nabrzmiewającą w powiece, wydostającą się z rzęs i toczącą się wolniutko w dół, poza wolą, jak poza wolą ma się oczy, usta, nos, bo z tymi łazami, rozmodlone, rozśpiewane, były jeszcze piękniejsze.

Ilekroć tak między nimi stałem, czułem się dumny, tym bardziej że i ubrane były zwykle najładniej ze wszystkich i wszyscy się na nas ciągle oglądali. I prawie w każdą niedzielę czekałem, aby matka znów doszła do przekonania, że nie może odejść od chorego ojca, i poprosiła panny Ponckie, panno Ewelino, panno Różo, może by i Piotrek z wami na mszę poszedł. Miałam iść, ale mąż się gorzej czuje. Bo sam, to pójdzie nad Wisłę czy będzie się po mieście włóczył, a powie, że w kościele był. Tylko nigdy nie pamięta, co ksiądz na kazaniu mówił. I przypilnujcie go tam, żeby się pomodlił.

A Sulkę poznałem jeszcze tego samego dnia, gdyśmy uciekając przed wojną, przyjechali do dziadków. Ojciec, matka, nie rozpakowawszy nawet walizek, wdali się od razu w rozmowę, a ja wyszedłem przed dom

popatrzeć na wieś i naprzeciw, po drugiej stronie drogi, na kamiennych schodkach przed chałupą, siedziała właśnie Sulka. Kolana miała podciągnięte pod brodę, sukienkę zadartą do kolan i jakoś tak oplatała te kolana rękami, że wydawała się cała nimi opleciona, aż za plecy. Jej głowa, złożona niczym w koszyku w tym opleceniu, zasypana była rudymi włosami, zasłaniającymi jej twarz i spadającymi prawie do końca schodów. Wyglądało, że się tak przed słońcem tymi włosami zasłoniła, bo słońce ją całą zalewało, razem z tymi schodami, z chałupą, a w tych rudych jej włosach niemal się pławiło. Byłem przekonany, że mnie nie widzi, chociaż droga, która nas dzieliła, była nieszeroka, aby na dwa wozy, żeby mogły się minąć, jak to na wsi, i chałupa dziadków, przed którą stałem, z tą naprzeciw, przed którą na schodach siedziała ona, przeglądały się w sobie jak wszystkie chałupy po obu stronach, wzdłuż drogi.

– Ty, a tyś co za jeden? – doszło mnie nagle spod tych rudych włosów.

Jej głos ostry, nawet jakby złością pobrzmiewający, przestraszył mnie trochę. Ale pomyślałem, że nie widzę jej twarzy, to mogę udawać, że nie usłyszałem, i uciekłem wzrokiem na wieś. Lecz wieś była pusta, chałupy w senności pogrążone, tak że prócz słońca zalewającego drogę nic się właściwie nie działo, nie licząc gęsi, które gdzieś tam pośrodku trzepały się w kurzu, no, i głosów wujków, wujenek, dziadka, matki, które przenikały przez okna za moimi plecami. A najdonośniej wujka Władka, który ilekroć się odezwał, niemal unosił chałupę swoim wyraźnie zezłoszczonym głosem:

– Będą, cholery, tak samo prędko uciekać. Wojna się dopiero zaczęła, a wygrywa, kto ostatni wygrywa. O, zwołali wszystkich pod gminę, to...

– Cóżeś, niemowa? – Odbiła nagle głową od kolan, przerzucając całą gęstwę tych rudych włosów za siebie, jakby tak pławiące się w nich słońce przerzuciła. Po czym odchyliła się głęboko do tyłu, wsparła rękami

o schody za sobą, a w tej samej chwili nogi jej się rozsunęły i zobaczyłem, że jest bez majtek.

Zawstydzony odwróciłem znów wzrok ku drodze i kurczowo wpatrywałem się w tę słoneczną pustkę, w senne chałupy, w trzepiące się w kurzu gęsi.

– Z miasta przyjechałeś?

Rzuciłem wzrokiem na nią, lecz jakby nigdy nic siedziała z tymi rozsuniętymi nogami i wtedy dostrzegłem głęboko między nimi cień, jakby słońce, które ją zalewało, tam już nie dosięgło. Głos mi uwiązł w gardle i nie mogłem choćby zwyczajnego przytaknięcia wydusić z siebie, że z miasta.

– Uciekliście przed wojną, tak?

Przeciągnęła się leniwie, a nogi jeszcze bardziej jej się rozsunęły i ten cień w głębi nagle wybujał i rozdzielił się na dwie połowy, przedzielone jakby jaśniejszą rysą. Mogłoby się wydawać, że niewielki promyk słońca dostał się tam i tak ten cień rozdzielił.

Wystawiła twarz ku słońcu, przymknęła oczy i znieruchomiała, jakby wymazując mnie ze swojego widoku. Coś mnie kusiło, żeby znowu spojrzeć na nią, korzystając z okazji, że ona nie patrzy na mnie. Lecz wciąż nie mogłem przemóc wstydu i patrzyłem dalej na wieś. Czasem tylko zerknąłem na jej włosy rozsiane tam, w tyle, po całych schodach, na jej twarz znieruchomiałą w słońcu, a gdy wzrok mi się obsuwał między jej rozsunięte nogi, natychmiast zrywałem go jakby sparzony tym cieniem w głębi. Wtem, nie otwierając oczu, wciąż jak gdyby schowana pod słońcem, powiedziała:

– Jedni uciekają stąd, drudzy uciekają tu. Mój głupi ojciec też chce, żebyśmy uciekli. Jakiż on jest głupi. Wszyscy są głupi. – I zaśmiała się tym słońcem jaskrawo, świetliście. – Patrzysz się na mnie? – nieoczekiwanie

spytała, wciąż nie otwierając oczu. – Patrz sobie. Mnie tam wszystko jedno. I tak ci z tego nic nie przyjdzie. – Znów przywarła głową do kolan, przerzucając jednym ruchem tę gęstwę włosów na przód, zwarła blisko siebie nogi, a nawet zaczęła w pośpiechu obciągać sukienkę. – Aleś ty zepsuty. Taki szczyl, a taki już zepsuty. Od razu widać, żeś z miasta. Tam wszyscy są zepsuci. Bóg jeszcze tylko na wsiach mieszka. Z miast się dawno wyniósł. A jak ci na imię?

– Piotr – nieśmiało wykrztusiłem, bo wciąż czułem się zawstydzony, mimo że już te nogi oplotła rękami, żeby jej się znów nie rozsunęły.

– A mnie Sulka – powiedziała wyniośle. – Piotr, Piotruś, Piotrusiek – powtórzyła to moje imię w różnych możliwych zdrobnieniach, jakby się nim bawiąc. – Ale tu ci będą mówić Pietrek albo ty najduchu, albo ty Żydzie. Dadzą ci tu wciry, o, zobaczysz. Przestaniesz być taki paniczyk. Każą ci krowy paść. A podrośniesz, wsadzą ci kosę w rękę i koś. Tu się nie je za darmo, nie śpi za darmo, nie oddycha za darmo. Paniczyk – zaśmiała się drwiąco – paniczyk – jeszcze głośniej się zaśmiała. Znów odrzuciła tę gęstwę włosów na plecy, lekko odchylając się ku słońcu. I słońce znów położyło się jej na twarzy, przenikało tę jej twarz na wylot i spływało rudymi włosami daleko na schody z tyłu, za nią. Dopiero teraz zobaczyłem, że ma całą twarz usianą piegami, jakby wypalonymi przez to słońce dziurkami.

– Chciałabym wyjść za mąż – powiedziała z rozmarzeniem, wciąż tkwiąc twarzą w słońcu. – Aleś ty smark jeszcze. A na mnie już dawno pora. Chciałbyś mnie za żonę? – Znów się zaśmiała, jakby wypowiedziane co dopiero słowa obracając w szyderstwo. Zaniosła się tym śmiechem, aż piegi zaczęły jej skakać po twarzy.

Myślałem, że od tego śmiechu nogi jej się znów rozsuną czy choćby puści ręce, którymi je obejmowała, i powie:

– A patrz sobie, patrz. Napatrz się nareszcie. Kępka włosów, głupi, nic więcej. I czemu drżysz? Nie widzę, drżysz, drżysz.

Strach mnie nagle przed nią zdjął i powziąłem zamiar, że zaraz krzyknę:

– Wezmę sobie żonę, co nie będzie miała piegów! A ciebie nie chcę! – I ucieknę do domu.

W tej samej jednak chwili, trzymając wciąż twarz w słońcu, spytała:

– Ty, a byłeś kiedyś w kinie?

Poczułem, że mi z własnej woli oddaje nad sobą przewagę, i powiedziałem prawie z pychą:

– Chyba ze sto razy. – I zacząłem jej wyliczać same takie, na które mnie matka między ludźmi po kryjomu przepychała, a często wbrew ojcu: – Na *Wrzosie* byłem, na *Kurierze carskim*, na *Pani Walewskiej*...

– To opowiesz mi kiedyś. Pójdziemy gdzieś na łąki i będziesz mi opowiadał, chcesz?

– Nawet na *Błękitnym aniele* byłem. – Ta pycha mnie coraz bardziej rozpierała i byłbym jej dalej same takie wymieniał, gdy nieoczekiwanie wyszła z domu babka, a zobaczywszy Sulkę, krzyknęła:

– A poszła ty! W Imię Ojca i Syna. – I powsiadła też na mnie: – Chodź tu, Pietrek, do domu. Nie gadaj z tą bezwstydnicą. Mają z nią Szmule, oj, mają. A takie porządne Żydy.

Prawdę mi przepowiedziała Sulka, bo wkrótce zacząłem krowy paść i nie pomógł rozpaczliwy opór matki, że nie da ze mnie zrobić pastucha, skoro byłem akurat w wieku do pasienia krów, i ani dziadek, babka, ani wujek Stefan, wujek Władek, wujenka Marta, ani nawet wujenka Jadwinia, która by mi nieba przychyliła, nie mogli zrozumieć, że można w tym wieku nie paść krów.

Mimo że krowy wypełniały mi teraz całe dnie, nie zapomniałem, że mam Sulce opowiadać filmy, a nawet często stawało mi to przed oczyma,

oto idziemy przez łąki i opowiadam jej po kolei wszystkie filmy, jakie widziałem, a łąki są tak samo z jakiegoś filmu, łąki nie mają końca, łąki ciągną się aż po widnokrąg, łąki pachną, płoną, drżą od robaczków i wszelkich stworzonek.

Rzadko ją jednak teraz widywałem. Czasem tylko, gdy na wieczór przyganiałem krowy z łąk, siedziała na tych schodach, spowita już w zmierzchu, że nawet te jej rude włosy traciły rudość i wydawały się szare, i taką samą szarością brzmiały jej słowa, które od niechcenia na mój widok rzucała:

– Dobrześ dzisiaj napasł. Źleś dzisiaj napasł.

A za dnia gdzieś mi tam mignęła tylko, pojawiła się i już znikła, wydawało się z daleka, że to ona stoi, a z bliska już jej tam nie było. W drzwiach się pokazała, a nim zdążyłem zawołać, Sulka! już drzwi były z powrotem zaparte. A gdy nawet zdarzyło się, że natknąłem się z nagła na nią i nie mogła mi tak łatwo zniknąć, uciekała oczyma przede mną i nie tylko nigdy o tych filmach nie wspomniała, ale nie zaśmiała się, nie zadrwiła choćby, ty, paniczyk.

Inna sprawa, że ją ciągle przeganiali, zwłaszcza ze schodów. Bo aby się tylko na tych schodach pojawiła, a zobaczył ją niechby z głębi podwórka czy przez okno wujek Władek, czy mu ktoś podpowiedział, że o, Sulka siedzi na schodach, od razu leciał z krzykiem:

– Idź z tych schodów! No, już! I żebyś mi się więcej naprzeciw naszych okien nie pokazywała. – A często rozniesiony gniewem w ruchach, w oczach, w głosie, jak to wujek Władek, biegł i wywoływał z chałupy Szmula: – Szmulu! Szmulu! Sulka na schodach siedzi! Weźcie ją. Obiecywaliście, że nie będzie. Albo kupcie jej, do jasnej cholery, majtki! U nas z miasta teraz są. I Pietrek nie ma jeszcze dziesięciu lat.

Szmul wygrzebywał się powoli z drzwi, jakby chciał wujkowi dać ochłonąć, a następnie zstępując noga za nogą ze schodów na drogę, tłumaczył mu cierpliwie, jakby gwiazdy na niebie tłumaczył, czemu jedna świeci tu, druga tam, czemu jedna jest jaśniejsza od drugiej:

– A ty myślisz, że ona nie ma? Ona całą furę ma. O, taki kufer ma i jeszcze półkę. Co ja mówię, półkę, szafę ma. Ona ma białe, ona ma niebieskie, ona ma różowe, ona sama nie wie, co tego ma. I tak samo Szmul nie wie, co ona ma. A Szmul nie wie, to skąd ty możesz wiedzieć, co ona ma? Szmul biedny, ale Sulka jest jedna na świecie u Szmula. To ona ma i takie, i inne, i jeszcze inne, oj, ma, ma, Władysławie. A będzie chciała więcej mieć, to też będzie miała. Chciałaby ze złota, to Szmul kupi i ze złota, czemu nie, niechby nawet nie chodziła, niechby to sobie leżało, niechby to sobie świeciło, ale ona by miała. Bo na to złoto jest, żeby leżało, świeciło i żeby człowiek miał. Na ten przykład, kto by w złotych butach chodził czy w złotym kaszkiecie, żeby go obtarło? Korona jest ze złota, ale czy król chodzi, ty myślisz? Aby pokróluje trochę z rana czy przed ludźmi, jak przyjdą do niego, i zaraz zdejmuje. Oj, i całe jego królowanie. Taka korona pije jak ciężka cholera, ty sobie nie myśl. Albo myślisz, głupi, że on śpi w koronie czy tam coś innego? To on nie chciałby być królem. On wolałby już być Szmulem czy tobą. Nie poradzisz, Władysławie, młodzi teraz się buntują, to i Sulka nie chce słuchać Szmula. Co rano jej się mówi, załóż, Suluś, majtki. Grzech bez majtek albo gorzej, bo Sodoma i Gomora. Mówi jej się, mówi. Mówi jej się, że u was z miasta teraz są. I aby przez drogę, okna w okna. Załóż, Suluś. Ona ma i jedwabne, jak sama szlachcianka czy inna wielka pani. I płócienne ma, jak wasze kobity. Ona ma na lato, ona ma na zimę, oj, ona ma, ma. A na wesele to ona ma z koronkami, z falbankami, haftowane, że ty byś się sam ożenił z nią, Władysławie, gdybyś nie był żonaty. A chciałby jakiś książę, to czemu nie,

Sulka jest do wzięcia, Szmul pobłogosławi. W majtkach, Władysławie, czy bez, a i tak na nic innego nie wyjdzie, to ty sobie pomyśl na swój rozum. Bóg tak stworzył, nie Szmul. A Bóg nie ma nic do ukrywania. To czemu Sulka ma sprzeciwiać się Bogu?

Aż któregoś dnia rozeszło się po wsi, że będą Żydów wywozić do miasta, taki przyszedł nakaz do gminy, i nie tylko z naszej wsi, lecz ze wszystkich. W naszej, prócz Szmulów, mieszkali jeszcze Reszki, Cycyngier krawiec, karczmarz Szyjka, któremu karczmę już przedtem zabrali, i stara Buba, która mieszkała niby we wsi, lecz za rzeką, na Żydowcu, tak to miejsce nazywano. Nikt tam już nie mieszkał prócz starej Buby, która zajmowała niewielką izdebkę w ocalałym kawałku dawnego czworaka. Była tak stara, że chyba najstarsza we wsi, mówiono, a do tego całkiem głucha. Musieli jej do ucha krzyczeć, przyjdź, Buba, dostaniesz kaszy! Przyjdź, Buba, dostaniesz mąki! Przyjdź, Buba, upiekłam chleb! Bo Buba żyła już tylko z ludzkiej pamięci. Rzadko jednak pojawiała się na wsi, przeważnie ze starości polegiwała w łóżku, toteż gdy się pojawiła, podawano sobie z ust do ust, że stara Buba chodzi po wsi, jakby to był jakiś znak.

Szła zazwyczaj środkiem drogi, choćby po największym błocie, przez kałuże, po dziurach, omijały ją krowy, objeżdżały ją furmanki. A raz nawet pogrzeb przepuścił Bubę, ksiądz dał znak, przestali śpiewać, rozstąpili się, odsunęli na bok z krzyżem, z trumną, i dopiero ruszyli, kiedy Buba ich minęła. Obwieszona torbami, woreczkami, węzełkami, co tam ludzie jej nadawali, wyglądała jak jakiś tobół posuwany niezauważenie od wieczności ku wieczności w linii prostej. Tym bardziej więc dziwiono się, czemu i Bubę mają wywieźć do miasta? Niechby już tu została, tu umarła, długo?

Sołtys powyznaczał podwody, po jednej na każdą rodzinę, choć przy każdej dwa konie. Dobytku kazano im zabrać tyle, co się na furmankę

zmieści, bo w mieście mieli aby na tymczasem być, potem gdzieś dalej już na stałe mieli ich zawieźć, gdzie na każdego miał czekać dom z ogrodem, jakby ktoś chciał ogrodnikiem zostać, czy tylko z ogródkiem od drogi, jakby wystarczyły komuś aby kwiatki przed oknami, krzak bzu czy jaśminu, z jedno drzewo, żeby się synogarlice miały gdzie zagnieździć. A kto by chciał być pszczelarzem, miał dostać i pasiekę. Szmul obliczał, że na początek kilka uli wystarczyłoby, żeby się najpierw przyzwyczaić do pszczół, zżyć z nimi, potem się wyroją, to połapie się i powsadza do uli. I nawet już zapraszał dziadka na swój miód. Lipowy czy akacjowy dziadek woli, pytał się. A kto będzie chciał orać, siać, kosić, dostanie kawał ziemi, urodzajnej, pszenicznej, bo taka tam tylko będzie, gdzie ich mieli potem z miasta zawieźć. A z ziemią dostanie konie, krowy, gęsi, kury, kaczki, indyki, perliczki, psa z budą, że tylko przyjechać i gospodarzyć. A komu będzie się marzył sklepik, miał dostać sklepik, bławatny czy z różnościami. Kto był tutaj karczmarz, miał i tam dostać karczmę, a większą niż tu miał. Bo ci, co mieli już tutaj zawody, krawcy, szewcy, rymarze, rzeźnicy, mieli dostać i tam te zawody, bo wszyscy mieli dostać to, co tutaj robili, żeby się żadna para rąk nie zmarnowała ani żadna głowa. A stara Buba miała iść do przytułku, bo nikomu tam po prośbie już nie będzie wolno chodzić.

Tak w każdym razie tłumaczył Szmul dziadkowi, kiedy odwoziliśmy Szmulów do miasta. Razem ze Szmulami jechała też stara Buba, bo nie mógł przecież sołtys wyznaczać osobnej podwody dla samej Buby tylko. Zresztą prócz poduszki, pierzyny i paru tobołków nie miała Buba innego dobytku, to upchało się jakoś między tobołami Szmulów, na końcu furmanki, już przy zatylniku, gdzie siadła i Buba. A nawet mało co ją było widać spoza piętrzących się tobołów Szmulów.

Szmule siedzieli na szerokim siedzeniu, które im dziadek aż z dwóch snopków słomy umościł, nakrywając jeszcze derką, tak że wszyscy czworo

się na nim zmieścili. Szmul z Sulką przodem do jazdy, a Szmulowa ze Szmulową babką tyłem za ich plecami. My z dziadkiem siedzieliśmy na wąziutkim siedzeniu z nałożonej na latry deski, tuż nad rozworą, bo nie byłoby inaczej miejsca na toboły Szmulów. Co prawda, dziadek musiał trzymać garście z batem i lejcami przykulone do brzucha, bośmy tak ścieśnieni byli, zwłaszcza że dziadek był szeroki w barach i sam by na to miejsce starczył. Zaraz więc za wsią przesiadłem się tyłem do niego i co nieco nam się rozluźniło, w każdym razie na tyle, że odzyskał trochę w rękach swobody. Ja za to miałem teraz Sulkę naprzeciw siebie, i to tak bliziutko, że mogłem liczyć piegi na jej twarzy. Myślałem, może z tej bliskości przypomni sobie, że jej miałem opowiadać filmy, i powie:

– To opowiedz mi jakiś film, paniczyk. Nie poszliśmy na łąki, ale może być i na furze.

Patrzyła jednak na mnie, jakby mnie w ogóle nie widziała albo też widziała przeze mnie na przestrzał, mimo że odbijałem się w jej niemych oczach, a kolanami dostawałem do jej kolan. Miała sukienkę obciągniętą aż do łydek, a na zakrytych kolanach leżały, jakby porzucone, wąskie, smukłe ręce. Czasem, nie wiadomo czemu, zrywała te ręce i wyłamywała je w palcach, to znów splatała, rozplatała, obskubywała jakby ze źdźbeł, ostów, drzazg, to jedną, to drugą na przemian, a oczy robiły jej się wtedy nieprzyjemne, pełne dziwnych ogników. Kiedy jednak kładła te ręce z powrotem na kolanach, przywracała i oczom spokój, a spokojne stawały się znów niewidzące, chociaż z tak bliziutka patrzyły na mnie.

Nie chciał mnie dziadek zabrać z sobą, że miejsca nie ma, że mogliby Szmule jeszcze to i tamto wziąć, a nie biorą, bo miejsca nie ma, no, i po co pojadę, po co? To nie taka jazda jak na jarmark. Ale ubłagałem go, że nie zajmę dużo miejsca, że będę Sulce filmy przez drogę opowiadał, bo jej obiecałem, a nawet pytała mi się, czy pojadę z nimi.

Nie był dziadek wyznaczony na podwodę, lecz gdy się dowiedział, że już podwody wyznaczone, rzekł na drugi dzień z rana przy śniadaniu:

– Szmulów ma Kubik odwozić. Ale jaki tam ten jego wóz, wiecznie gnojem wypaprany. A konia musi z Bąkiem sprząc. Ale i ten jego koń, żebra mu aż wystają. My Szmulów odwieziemy. Trzeba tylko do sołtysa iść i powiedzieć.

– A pewnie, że powinniśmy – podchwyciła od razu słowa dziadka wujenka Jadwinia. – Tyleśmy lat naprzeciw siebie żyli, okna w okna, to powinniśmy. Może już tu nie wrócą? Stefan ich odwiezie.

– Stefan ma na jutro pomóc Bodule przy kieracie. Zmówili się, to nie może nie pójść – dziadek niechętnie przyjął poparcie wujenki Jadwini, chociaż wujek Stefan zaraz sprostował, że nie jutro, ale pojutrze.

– Jutro czy pojutrze – nie dawał dziadek się przekonać, mimo że i babka wsparła wujenkę Jadwinię:

– Mógłby Stefuś ich odwieźć, a przecie że mógłby. Ukrzyżowały Pana Jezusa, ale swoje już odcierpiały i może to nie koniec.

– To nie Szmule, co głupstwa pleciesz – żachnął się dziadek.

– Szmule czy nie Szmule, ale takie same.

Dziadek nie wdawał się już w przekonywanie babki, tylko dalej uzasadniał swoją niechęć, żeby wujek Stefan odwoził Szmulów:

– Może trzeba będzie gdzieś ich dalej zawieźć? Bo czy to wiadomo? To i na pojutrze może się nie wrócić.

– To niech Władek pojedzie – rzuciła znowu wujenka Jadwinia.

Spokojnej dotąd wujence Marcie aż oczy rozbłysły chorobą.

– Ty się Władkiem nie wyręczaj. Władek tu, Władek tam, Władek to, tamto, ciągle tylko Władek, a ty ze swoim Stefusiem byśta tylko się gziły. Nie jedź, Władziu. Jeszcześ tylko Żydów nie odwoził.

– Cicho! – Dziadek aż zatrzymał łyżkę z kartoflami pod brodą, popatrując groźnie wokół stołu, i dopiero po chwili wetknął ją sobie w usta, a następnie nabrał żuru i wlał za kartoflami. – Władek – rzekł, jakby się zastanawiając, a cisza się zrobiła, że nie tylko stuk łyżek o blaszane talerze zgasł, ale i siorbanie wstydliwie przycichło – Władek to by ich tam wichrem, a jeszcze porozrzucał byle gdzie, żeby jak najprędzej być z powrotem w domu. I konie by tylko usiepał.

– Czemu to musimy ich odwozić, ojciec, kiedy Kubik wyznaczony? – wujek Władek niby na spokojnie próbował przeciwstawić się dziadkowi, chociaż był wyraźnie zaperzony, bo aż mu muskuły na żuchwy wylazły, jakby twarde mięso gryzł, a gryzł tylko żur z kartoflami. – Nie chodzi mi, Żydy czy nie Żydy. I kto wie, jak tam było z Panem Jezusem, czy to oni. Zresztą Bóg, to mógł się nie dać ukrzyżować. Widać sam chciał. Ale czy koń Kubika nie koń? A że zabiedzony? Bo samą sieczką sukinsyn go pasie, a owsa aby garstkę czasem sypnie, to jak ma być nie zabiedzony? Bym jego, cholerę, do wozu zaprzągł i ciągnij. Do pługa i ciągnij. Do kosiarki, ciągnij. A zwoziłbym zboże, to trzy pokoty bym nakładł i wio! I batem po łydach! Po tym głupim łbie. Będziesz sieczką mnie pasł, sukinsynie?! Ciągnij. Wio! I siep. Na kolanach by mnie błagał. Nie bij, Władziu, i zrzuć trochę snopków. Po dupie. Siep. Sam owies będziesz teraz, Władziu, dostawał. Niech mnie Bóg skarze za tę sieczkę. I pić, Władziu, pić. Żółci się, gangreno, napij. I siep. I biczysko mu pod ogon.

Dziadek znów zatrzymał łyżkę z kartoflami pod brodą i patrzył groźnie w rozsierdzoną twarz wujka Władka, jakby go do przytomności przywoływał.

– A czy to, ojciec, jego wóz nie ma czterech kół jak i nasz? To co się nadstawiać, niech jedzie. Szmulom wszystko jedno, my, Kubik. Ani my ich

do raju nie zawieziemy, ani Kubik w odwrotną stronę. – Nagle rzucił łyżką w talerz, aż mu żur bryznął na twarz. – Szlag by to jasny trafił!

Dziadek z kamiennym spokojem przepuścił rwący potok wściekłości wujka Władka i wsadził łyżkę z kartoflami do ust, potem popił żurem, przełknął i powiedział:

– Nieprawdę mówię? Jemu nawet pogrzeb za długo się wlecze, ksiądz za długo kazanie mówi, ogień pod kuchnią kiedy nie buzuje, to jakby się nie palił. To taka jazda ze Szmulami dopiero by go zniecierpliwiła. Sam pojadę.

Kazał wujkowi Stefanowi wyzgrzeblić konie, wyczesać im grzywy, przygotować paradne chomąta, kantary, naszelniki, a nawet bat ze zdobnymi węzłami, który gdzieś tam jeszcze od wesela wujka Stefana z wujenką Jadwinią leżał na strychu, kazał przynieść, a wujkowi Władkowi przyporządzić wóz, nasmarować osie, żeby nie skrzypiały, babce derkę dać na siedzenie, wujence Jadwini uszykować dla wszystkich koszyk z jedzeniem, z piciem, i po śniadaniu wybrał się do sołtysa.

– Może to będzie nareszcie ta nasza ziemia obiecana, Józefie? – rzekł Szmul, kiedy powymieniał już wszystko, co kto miał tam dostać, wszystkie fachy i wszystkie pragnienia, siebie umieszczając gdzieś między sklepikiem a pasieką, chociaż raz bliżej sklepiku, a raz bliżej pasieki, i dziadek mu przytaknął:

– Może.

Jechaliśmy na końcu podwód, w sporym oddaleniu od poprzedzającego nas Kotuli, wiozącego rodzinę Cycyngierów, najliczniejszą z Żydów w naszej wsi. Toteż widzieliśmy, jak niektórzy z nich zsiadali pod górkę z wozu i szli obok piechotą. Czasem kiwali ku nam, jakby chcieli nas pospieszyć. Dziadek jednak nie szarpnął ani razu lejcami, nie mówiąc już, żeby batem śmignął nad grzbietami koni, pozwalając im samym sobie

wyznaczać krok. Toteż szły noga za nogą, że gdyby nie dziury w drodze, można by pomyśleć, że się tylko kołyszemy w takt ich kołyszących się zadów, zamiast jechać. A kiedyśmy zjeżdżali z górek, ściągał im nawet całym sobą łby, żeby nie zaczęły przyspieszać. Musiałem się wtedy odchylać aż poza wóz, żeby zrobić dziadkowi miejsce na jego szerokie, a jeszcze rozpostarte bary i łokcie. A z co większej górki, włączał się i Szmul, stukając dziadka palcem w te bary:

– Trzymajcie ich, Józefie, trzymajcie. Niech się Cycyngierom nie wydaje, że gonimy za nimi. On mi, cholernik, uszył kiedyś portki bez rozporka. To on człowiek?

I dziadek jeszcze szerzej rozpościerał bary, zdzierając koniom łby, aż przysiadały zadami na orczykach, a rozdartymi pyskami zdawały się kąsać niebo. Toteż Cycyngiery, choć tak liczni i pod górki w większości idący piechotą obok fury, zaczęli powoli nam się zmniejszać, aż zmniejszyli się do czarnych kropek, a w końcu całkiem zniknęli ku radości Szmula:

– Nareszcie nie ma ich. O, jak lekko. Świat aż zwidniał. Tam, w tej ziemi obiecanej, to się więcej nie znamy. Ani nasze żony, dzieci, wnuki nie będą się znały. A by jeszcze tak rzeka między nami płynęła, oj, Józefie, po szyję głęboka, po dwie szyje, to już szczęście by od Boga było. A najlepiej morze. Chcesz, cholero, czego, to płyń do mnie okrętem. A może kiedyś by się utopił za te moje portki.

– Może będzie i rzeka – przytaknął znów Szmulowi dziadek. Najwyraźniej nie było mu do rozmowy, jak nikomu zresztą prócz Szmula. – Nasza tutaj mała. Aby obmyć się, szmaty wyprać, konie, krowy napoić. Ale nie mieliście koni, krów.

– Tam wszystko będzie, Józefie. Ziemia obiecana, to jak mogłoby nie być?

– Oj, ty ziemio obiecana – odezwała się zza pleców Szmula pojękliwie Szmulowa. – Przestałbyś już pleść.

– Co pleść? Co pleść? Ty sama pleciesz. I nie swędź mnie w plecy.

Zamilkł jednak, zapadł się w jakieś odrętwienie, że nawet głowy nie chciało mu się trzymać sztywno na wybojach, tylko raz po raz to na jedno, to na drugie ramię mu spadała. Musiało go widocznie coś dręczyć, bo w pewnej chwili zerwał gwałtownie czapkę, ale tylko podrapał się po głowie. I tak kilka razy, nie mówiąc przy tym ani słowa. Nagle stanął na furze i wpatrując się w drogę przed nami, powiedział ni z oburzeniem, ni uradowany:

– Nie widać ich, cholerów, dał Bóg. Odjechali.

– Chcieliście przecież, żeby odjechali – powiedział dziadek.

– Co miałem nie chcieć. Ale nie tak daleko.

– Tata siądzie – rzuciła Sulka. – Wóz się chybnie i zlecą.

Usiadł, znów zdjął czapkę i znów się podrapał.

– Oby tylko nie poplątało się ludziom w głowach, jak już tam będziemy mieli być – odwinął słowa niczym z kłębowiska dręczących go myśli, a Sulka podniosła spłoszone oczy na ojca, a we mnie aż się coś skurczyło, bo wydało mi się, że oczy wypadły jej w tym spojrzeniu z powiek i już mnie nigdy nie zobaczy.

– I czemuż by miało się poplątać? – dziadek zdziwił się, nie zdziwił. – Z biedy się tylko ludziom plącze.

– O, z dobroci tak samo, Józefie. Z dobroci jeszcze więcej. Z dobroci mogą się pozapominać fachy, co kto tutaj przedtem robił, mogą się pozapominać przeznaczenia, do czego kto stworzony. A zostanie tylko chciwość. Był tutaj kto byle krawiec, a tam może chcieć mieć karczmę albo i gorzelnię, a do tego browar. A nawet niech zostanie krawiec, to już się nic u niego nie da ze starego na nowe przenicować, bo on tylko garnitury, fraki,

futra. A kto miał tutaj sklepik, nafta, sól, zapałki, tam będzie chciał do góry brzuchem tylko leżeć. Czy niech tak wszyscy będą chcieli mieć tartaki, młyny, bryczki, to skąd na to, Józefie? Nawet ziemia obiecana nie wytrzyma. Szczęście, że oni już tam zapisali, co kto ma mieć, nie myślcie sobie. Oni lubią, żeby był porządek. Porządek u nich to to samo co przeznaczenie. U nich porządek na pierwszym miejscu, Józefie, a nawet przed Panem Bogiem. Oni by stworzyli ten świat od początku, to nie byłoby, jak kto chce. Nie trzeba by z raju wyganiać. Ani potem robić ten potop. Pan Bóg miałby święty spokój. I wszyscy by mieli święty spokój. Ani my nie musielibyśmy szukać tej naszej ziemi obiecanej. A tak każdy chce mieć koniecznie choć ten kawałek dla siebie. Niektórzy i z niebem. A niektórzy jeszcze na czosnek, pietruszkę, cebulę. I żeby słonko wciąż nie zachodziło raz tu, raz tam. To może jej nie starczyć, może nie starczyć, Józefie. Choć mówią, że starczy czy nie starczy, ale będzie nam lepiej. Tu Suluś nie miała nawet za mąż za kogo wyjść. Założyłaś, Suluś, majtki? Tam trzeba.

– Ano, niechby wam tam było lepiej – powiedział dziadek, uznając, że coś powiedzieć trzeba.

– Będzie lepiej, Józefie – gorączkowo zapewnił Szmul. – Oni co powiedzą, to tak musi być.

– A burdel tam, tata, będzie? – rzuciła Sulka. – Bo ja chciałabym do burdelu.

Otrząsnął się z nagłego osłupienia Szmul.

– Co ty, córuś, zmiłuj się nad nią, biedną, Panie. Ona tak tylko powiedziała. Ona nie chciała powiedzieć. Ona nic nie powiedziała. Nie słyszałeś, Panie. Wypluj mi zaraz to parszywe słowo. Wypluj, Suluś. Na obie strony wozu wypluj. – I Szmul zaczął spluwać po trzykroć na swoją stronę i przez kolana Sulki na drugą stronę wozu, pokazując Sulce, jak i ona

ma pluć. – Jak twój ojciec nieszczęśliwy pluje. I niech jego Bóg skarze za ciebie. Jakby on to słowo powiedział. Jakby on to słowo pomyślał. Jakby ono się w nim uplęgło. A ty wypluj, Suluś. Wypluj. O, tak, wypluj z języka, wypluj z myśli, wypluj z serca. Bo nas wielkie nieszczęście może spotkać. Wstyd, Suluś. Jeszcze przy panu Pietrku. Pan Pietrek nie słucha, pan Pietrek zatka sobie uszy.

Sulka, obojętna na molestowania ojca, patrzyła gdzieś w bok, jakby to wszystko nie dochodziło do niej, i ani jeden pieg nie drgnął jej na twarzy. Za Szmulem podniosła gwałt i Szmulowa i dalejże wyzywać Sulkę od najgorszych, że taka, owaka, że piekło, że Bóg, i z rozjątrzenia zaczęła trzeć plecami o plecy Szmula, aż ten się zezłościł:

– Ty mnie nie swędź, do cholery! Ty ją swędź. Ona twoja córka.

Za Szmulową i Szmulowa babka zaczęła coś mamrotać, zrzucając za tył wozu słowa, z których udało mi się jedynie usłyszeć, że wszystko przez te majtki, że nie chciała Sulka zakładać:

– A wy, ojciec, matka, nic.

Na to całe gwałtowanie Sulka jakby się zdziwiła:

– Ziemia obiecana i bez burdelu? Tyle teraz żołnierzy na świecie.

Pewnie by się długo jeszcze to gwałtowanie Szmulów z powodu Sulki ciągnęło, lecz na szczęście wjechaliśmy w pierwsze przedmiejskie zabudowania. A za niedługo skręciliśmy w brukowaną kostką i prowadzącą stromo pod górę, wzdłuż wysokiego muru z prawej strony i rzędu takich samych wysokich włoskich topól, drogę wjazdową do miasta. Szmul, jakby nagle czymś spłoszony, nakazał wszystkim ciszę:

– Sza. Ani mru mru teraz. Oni już nas widzą. Oni przez lornetki patrzą. Oni gotowi nas zapisać, że Szmule kłótniki. A to potem, nie daj Panie Boże, różnie z tego może być. Wszystko może być. Mogą nam ruderę zamiast domu dać. Mogą powiedzieć, będziesz, Szmulu, robił, co dotąd robiłeś.

A co ja robiłem, krowę, cielę czasem się wyfaktorzyło? To co to za grosz? Żaden grosz. Mogą, mogą. Nieprawdę mówię, Józefie?

– Ano, mogą – przytaknął dziadek.

Przesiadłem się z powrotem przodem do jazdy, obok dziadka, bo chciałem mieć przed oczyma miasto, do którego wjeżdżaliśmy. Na siedzeniu Szmulów zaległa markotność, jakby każde odchyliło się w swoją stronę ze swoimi myślami niczym gałęzie od wspólnego krzaka.

Na wzgórzu, na wprost, ku któremu wspinaliśmy się z mozołem, bo aż konie łby na równi z dyszlem pochyliły, zgrzytając ostro podkowami o bruk, wznosiła się ciemnoczerwona, wysoka pod niebo, kwadratowa wieża, z koroną u szczytu.

– Co to za wieża, dziadku? – spytałem.

– To nie wieża – odpowiedział. – Brama.

– Brama? – zdziwiłem się, bo jeszcze takiej bramy nie widziałem. Jakby w niebo prowadziła, tym bardziej żeśmy cały czas jechali pod górę ku niej.

– Brama Opatowska – wyjaśnił dziadek. – Jeszcze któryś król ją budował, ale nie powiem ci który. Może Kaźmierz, bo to on najwięcej nabudował zamków, bram.

Po kilkuset metrach dalszego wspinania się, gdy ta brama rosła i rosła, aż zasłoniła w końcu całe niebo, wjechaliśmy w jej wąską, chłodną czeluść. Mój oniemiały dla niej podziw, który wypchnął z myśli nawet Sulkę, przerodził się nagle w strach, że się na nas zawali, bo najwyraźniej chwiała się od ciężkich kroków koni i wyładowanego wozu. A kiedy konie wyszły już na światło po jej drugiej stronie, a za końmi my, bałem się odwrócić na nią oczy. Miałem wrażenie, że wciąż się chwieje nad nami, a my wciąż jedziemy przez jej chłodną, wąską czeluść.

– No, to przejechaliśmy – powiedział z wyraźnym westchnieniem ulgi dziadek, jakby powiedział, to zżęliśmy, patrząc na skoszony łan. – Prawie

na miejscu jesteśmy.

Skręcił też zaraz w prawo, w króciutką uliczkę, zamkniętą jakąś drewnianą budą, na której widniał napis: zakład fotograficzny, zdjęcia ślubne, pamiątkowe, od pierwszej komunii, portrety, a tuż przed oknami odbił w lewo i znaleźliśmy się na długiej ulicy, ciągnącej się po zapleczu Rynku, po samym brzegu miejskiego wzgórza, gdzie właśnie staliśmy z panem i pan mi pokazywał kwitnący na przeciwległym wzgórzu biały sad z białym domem pośrodku.

Konie, jakby przeczuwając zbliżający się kres jazdy, coraz leniwiej poruszały zadami, zwłaszcza że w nawierzchni ulicy pełno było dziur, wybojów, można by powiedzieć, że wybrukowana była samymi dziurami, wybojami. Wóz ledwo się toczył, a właściwie podskakiwał na tych wybojach i zapadał się w te dziury, a my wraz z nim. I może ta nasza jazda tak toczyłaby się dalej, gdyby wśród ciągnących się wzdłuż ulicy, po brzegu tego wzgórza, domów nie ukazał nam się okazały gmach.

– O, jest bożnica – powiedział Szmul.

– To przy bożnicy się zatrzymać? – spytał dziadek, przymierzając się już do ściągnięcia koniom lejców.

– Zatrzymać się? – Szmul jakby się ocknął.

– Nie, tu, przy tym domu, się zatrzymajcie – powiedziała Szmulowa.

– Gdzie tu? Gdzie tu? – Szmul aż podskoczył na siedzeniu. – Trzeba najpierw iść się spytać. Trzeba się dowiedzieć. To nie może być tak, gdzie tobie się chce. I czemu akurat tu ci się zachciało – w głosie Szmula zabrzmiało pretensją i aż zaczął huśtać głową z rozżalenia. – Ty wiesz, kto tu mieszka? Tu mieszka stolarz Lanc. On komody robi. On szafy robi. To co on może wiedzieć, gdzie my się mamy zatrzymać? – I zwracając się do dziadka: – Jedźcie, jedźcie, Józefie. Nie słuchajcie jej.

– A to pod bożnicą się zatrzymajcie, jak tak chce – powiedziała zgodnie Szmulowa. – Można będzie się Pana Boga spytać. Może coś doradzi.

– A to Bóg tam jeszcze jest? – odezwała się spoza góry tobołów, z tyłu wozu, stara Buba.

– Co i wy tam! – rzucił ze złością Szmul. – Siedzicie, to siedźcie. Miało was nie być. – I całą tę złość ze starej Buby przeniósł znów na Szmulową: – A ty tak samo. Co ty chcesz się Boga pytać? On może nie wiedzieć nawet, że to my. Ty nie patrz plecami, ty się przesiądź i oczami patrz. – I wyciągając szyję w stronę dziadka: – Jedźcie, jedźcie, Józefie.

– Może to nie na tej ulicy? – powiedziała Szmulowa. – Możeśmy zbłądzili?

– Jak nie na tej? – zaperzył się Szmul. – Powiedzieli, jak bożnica. Ty mi się każesz Pana Boga iść spytać, a ty nie widzisz, gdzie bożnica. Ty przejrzyj na oczy. Ty patrz, co ty widzisz. Nie na tej. A na której? Zbłądziliśmy. Już my więcej nie będziemy błądzić.

Dziadek zatrzymał jednak konie i powiedział:

– Zamiast kłócić się, to idźcie się gdzieś spytać.

Szmul niechętnie zaczął schodzić z wozu.

– Trzeba było trzymać się Cycyngierów, Szyjków – powiedziała Szmulowa. – Oni już tam są.

– Cycyngierów? Co ty wygadujesz. – I już stojąc na ziemi, ze złości chwycił się garściami latrów. – Szyjków? Co ty wygadujesz? Tobie widać rozum odebrało. Widzisz ich, gdzie by oni byli? Nie ma ich. I dobrze im tak.

– Idźcie, idźcie – przynaglił go dziadek.

I taki niewykipiały ze złości ruszył Szmul w głąb ulicy, mamrocząc:

– Cycyngiery. Szyjki. Zbłądziliśmy.

Sulka po odejściu Szmula nagle wyrzuciła w górę ręce nad tą swoją kępą rudych włosów, przeciągając się, po czym jak kocica zwinnym susem zeskoczyła z wozu. Podeszła na sam brzeg wzgórza, stanęła w prześwicie między dwoma ruderami, a po chwili, wpatrzona gdzieś tam jakby całą sobą, bo nawet nie odchyliła głowy w moją stronę, zawołała:

– Chodź, coś zobaczysz, paniczyk!

Stanąłem przy niej, szukając wzrokiem tego, co chciała, żebym zobaczył, ale zobaczyłem tylko kwitnący biały sad z białym domem pośrodku na przeciwległym wzgórzu, a dalej, na lewo, wyłaniający się z drzew czerwony kościół.

– Widzisz? No, tam – powiedziała z lekka rozmarzonym głosem. – Jacyś idą do ślubu przez sad. Chciałabym tak iść.

Siedziałem w tej samej ławce, z której kościelny nie pozwolił mi się wówczas ruszyć, i próbowałem sobie wyobrazić, jakby się potoczyło nasze życie według kościelnego. Choć może nie tyle próbowałem sobie wyobrazić, co raczej moja bezwolna wyobraźnia sama podsuwała mi postrzępione obrazy, nieposłuszne ani mojej woli, ani mojej pamięci. Należałoby więc powiedzieć, że raczej doznawałem swojej wyobraźni, jak się doznaje tęsknoty czy pragnienia. Chwilami miałem wrażenie, że ktoś na chórze gra, lecz dźwięki fisharmonii mieszały się z szorstkimi szuraniami miotły jakby naumyślnie przygniatanej i ciągnionej szerokimi zakosami po posadzce. A co najdziwniejsze, nie dochodziły z jednego miejsca, lecz słychać je było po całym kościele, i tak przesuwając się jakby jakimś okrążającym pierścieniem, zbliżały się ku mnie, a jednocześnie coraz mocniej przebijał przez nie pogłos muzyki. Pomyślałem, czyżby to moja pamięć aż tak zasiedziała się w tamtym czasie? Lecz przecież pamięć tak naprawdę boi się swoich miejsc, pamięć jest chorobą wydziedziczenia.

Doszliśmy właśnie do ołtarza, gdy nagle Anna obejrzała się znad mojego ramienia na kościół i przebijając się spojrzeniem przez zasłaniający nas tłum, skierowała to spojrzenie ku ławkom, najwyraźniej próbując mnie odnaleźć, siedzącego gdzieś tam, w jednej z nich. Trwało to nieledwie chwilkę, lecz wystarczyło, żebym w tych jej poszukujących mnie oczach dojrzał ten sam, jakże znany mi lęk.

Była w tej samej białej sukni, lecz dopiero teraz zobaczyłem, jaką świetlistością ta biel odbija od czerwonego dywanu, po którym szliśmy wśród szpaleru ludzi. Ta suknia u dołu płynęła dookolnymi falami, roztrącanymi przez jej niewidoczne drobne, lecz dostojne kroki. Głowę też miała całą w biel upiętą, toteż z ławki, z której patrzyłem na nas, wydawała się jakby smugą tej świetlistości, zwłaszcza że spływał z niej daleko poza suknię, ciągnąc się po czerwonym dywanie, taki sam świetlisty, biały welon.

Ja byłem w tym samym granatowym garniturze, może trochę za szerokim jak na moją ówczesną szczupłość, chociaż wtedy miał mi taki szerszy garnitur dodawać męskości, w dodatku przepowiadano mi, że za rok, dwa na pewno utyję, a wtedy będzie w sam raz, bo nie powinno się garnituru szyć na ten jeden raz, choćby i na ślub, ale także i na potem żeby służył, a da Bóg, to i do śmierci. Bo nieraz się zdarza, że w takim ślubnym garniturze jeszcze człowieka pochowają.

Ten garnitur kupiła mi zresztą matka za pieniądze pożyczone od panien Ponckich, które nigdy się o nie już nie upomniały, zbywając jej wyrzuty sumienia, że odda, kiedy będzie miała, a najważniejsze, że pan Piotr wyglądał w nim prześlicznie, i mówiąc prawdę, nawet ładniej od pani Anny, choć też wyglądała prześlicznie. Nie mogłem tylko sobie przypomnieć, jaki miałem krawat, ale też z tej ostatniej ławki, pod nieufnym i wciąż zerkającym w moją stronę okiem kościelnego, który

zamiatał jakby cały kościół naraz, widziałem ten nasz ślub nie całkiem wyraźnie, tym bardziej że zasłonięty przez ludzi, rozmazany w ich ciekawości, przepychaniu się ku przodowi, głuszony przez ich szepty, uwagi, że Anna idzie za sztywno, a ja wyglądam na gruźlika, bo taki bledziutki, i czemuż taki bledziutki, gdy ona krew z mlekiem, na mnie ten garnitur jak na kołku wisi, choć i ona mogłaby mieć dłuższy welon i jakieś upięcie ładniejsze na głowie, za to w uszach ma złote kolczyki, a może tylko wyglądają na złote, bo ile by to złote kosztowały? Toteż kiedyśmy sobie przysięgali na stopniach ołtarza, nie słyszałem ani naszych słów, ani błogosławiącego nas księdza.

Najbardziej mi jednak panny Ponckie zasłaniały, zwłaszcza że przywdziały na tę okazję jakieś ogromne, szerokoskrzydłe kapelusze, tak że cały ołtarz bez mała krył się za tymi kapeluszami. Róża, zdaje się, kremowy, Ewelina chyba w kolorze wschodzącej zieleni. W dodatku stały obie tuż za naszymi plecami, w roli nieomal pierwszych druhen, spychając wszystkich w tył, razem z naszymi rodzinami. Toteż kto chciał nas dokładniej zobaczyć, stojących przy ołtarzu, musiał przykulać się i patrzeć od spodu tych kapeluszy czy wspinać się na palce, czy odchylać się daleko poza brzeg któregoś z tych szerokoskrzydłych rond. A jeszcze dla podkreślenia swojej ważności Ewelina niby to niewidocznie, lecz jednocześnie tak, żeby wszyscy to widzieli, coś tam wciąż na sukni Anny poprawiała, wygładzała, a Róża strzepywała jakieś ją tylko w oczy kłujące pyłki z pleców mojej marynarki, aż mnie w krzyżu od tego swędziało.

Ów widok z ławki, w której siedziałem, nie wydawał się jednak tak wyraźny, jak ten z brzegu miejskiego wzgórza, na zapleczu Rynku, gdzie mnie pan czasem przyprowadzał i skąd, stojąc w którymś z prześwitów między ruderami, patrzyliśmy na rozciągającą się przed nami pogórzoną okolicę, na kościół Świętego Jakuba wyłaniający się ze starych lip,

a zwłaszcza na ów sad z białym domem pośrodku, na przeciwległym wzgórzu, tuż za tą jaskrawozieloną doliną, bliski nieomal na wyciągnięcie ręki. Szliśmy z Anną ścieżką przez ten sad, między nabrzmiałymi od owoców drzewami, popołudniowe, ostre słońce podświetlało te drzewa jak gdyby od ziemi, wyjaskrawiając każdą gałązkę i każdy owoc osobno.

Był koniec sierpnia, rok wyjątkowego urodzaju, jak mówiono, zwłaszcza na jabłka. Zieleń na drzewach już z lekka przygasła, zmatowiała, tak że wydawały się obwieszone tymi jabłkami niczym różnokolorowymi świecidełkami, niektóre tak szczodrze, że aż oczy bolały patrzeć, niektóre wręcz płonęły ogniem buchającym z ich koron, a niektóre jakby były pokropione krwią. Miało się wrażenie, że to z okazji naszego ślubu ktoś zaświecił sad.

Anna szła przede mną, jedną ręką podtrzymując swoją białą suknię, żeby nie uszargać jej dołem po trawie lub nie zaczepić o jakąś spadłą gałązkę, drugą wspierała się w mojej dłoni, który szedłem tuż za nią. Za nami gęsiego, jako że wąskość ścieżki nie pozwała choćby dwojgu iść obok siebie, szli długim szeregiem, wśród głośnych rozmów i śmiechów, weselni goście, przetykani drzewami, ginący wśród obwisłych do ziemi, ciężkich od owoców koron, to wyłaniający się spoza nich, znów ginący, a na szarym końcu, odstając trochę od innych, podreptywały panny Ponckie, Ewelina, za nią Róża czy może odwrotnie.

Nawet z brzegu tego miejskiego wzgórza widać było, że im się niewygodnie idzie na wysokich obcasach, po gliniastej ścieżce, a do tego z górki. Tym bardziej że musiały cały czas uważać na te swoje szerokoskrzydłe kapelusze i przy każdym niemal drzewie pochylały się, odginały na ten czy na tamten bok lub schodziły ze ścieżki, omijając rozłożyste korony po trawie. Chociaż i tak nie zawsze im się udawało, żeby jakaś tam gałązka nie zawadziła o którejś kapelusz, nie poddarła go, nie

przekrzywiła, nie musnęła choćby. Przytrzymywały sobie te kapelusze na głowach, a do tego jeszcze niosły ogromne bukiety kwiatów przeznaczone dla nas, torebki, parasolki, mimo że nie zanosiło się na deszcz, przeciwnie, pogoda była jakby zamówiona na nasz ślub.

Anna, spętana w długą suknię i tak samo na wysokich obcasach, raz po raz udawała, że potyka się i odwracając ku mnie swoje wielkie roześmiane oczy, prosiła z udawanym wyrzutem:

– Trzymaj mnie mocniej. Chcesz, żebym upadła?

W pewnej chwili, wypuszczając z ręki suknię, zerwała napływające na nas niziuteńko, jakby na przygiętej przez kogoś gałązce, jabłko i podtykając mi je pod usta, powiedziała:

– Ugryź. Nie musimy być tacy poważni. To przecież nasz ślub.

Więc ugryzłem kawałek tego jabłka z jej ręki, a następnie ona wbiła w nie swoje białe, uśmiechnięte zęby, aż zachrzęściło, i jedząc to jabłko z radosną zachłannością, odwracała za każdym ugryzieniem te swoje wielkie uśmiechnięte oczy ku mnie. I wśród tych przez ramię posyłanych mi przez nią raz po raz uśmiechów zniknęliśmy w wąwozie prowadzącym do kościoła, niczym poza brzegiem fotografii, a za nami zaczęli znikać weselni goście i na samym końcu w swoich szerokoskrzydłych kapeluszach zniknęły panny Ponckie, zamykając ów widok z tego miejskiego wzgórza.

6
W deszczu

Całą równinę wypełniał huk, łoskot, rzężenie traktorów, spychaczy, koparek i innych trudnych nawet do nazwania maszyn, których hordy dosłownie walczyły z żółtą, gliniastą ziemią, jeżdżąc po niej w różnych kierunkach, przepychając się z jej ogromnymi zwałami, wyrzucając strugi tej ziemi ze swoich paszcz lub wwiercając się w jej głąb aż do trzewi.

Nieoczekiwanie bowiem wzgórze zaczęło się obsuwać i miastu groziła zagłada. Chociaż czy tak nieoczekiwanie? Jak tylko pamięć ludzka sięgała, ciągle pojawiały się w różnych punktach miasta, zwłaszcza po ulewnych deszczach, rysy, pęknięcia, zapadliny, nierzadko wielkości studni, a bywało, że i dużo rozleglejsze. Najczęściej w Rynku lub na którejś z odchodzących od Rynku uliczek, w każdym razie tu najbardziej rzucały się w oczy i o tych zazwyczaj w mieście mówiono. Odgradzano zwykle taką zapadlinę płotkiem i tak stała, póki jej po jakimś czasie nie zasypano. Pękał też niekiedy mur w którejś ze starych kamieniczek i tak samo świecił jakiś czas szramą, póki go nie zasklepiono lub nie skuto żelazną klamrą.

Przyzwyczajono się jednak do tego jak do czegoś naturalnego, że miasto pęka i zapada się, co potwierdzała nie tylko ludzka pamięć, lecz i najstarsze zapisy, bo takie to już widać miasto. A może nawet takie jego przeznaczenie. Nic dziwnego zresztą, położone na lessowym wzgórzu, a wiadomo, co to less, ni ziemia, ni pył, nieodporny na wodę, to i miasta za długo nie utrzyma, jeszcze takiego, co jak w węzeł ściśnięte, że całe prawie na tym wzgórzu, po brzegi.

Najgorsze jednak, że wydrążone w tym wzgórzu kiedyś tam przed wiekami lochy, które w litej skale nie byłyby tak groźne, w lessie to prawie wyrok na miasto. Nie wiadomo, jak głębokie, jak długie, bo nikt ich jeszcze nie przeszedł, nie wiadomo nawet, czy gdzieś wejście do nich jest. Niektórzy więc powtarzali uparcie, że nic się już na to nie poradzi, że miasto pęka i zapada się.

Powiało jednak grozą, gdy pewnego razu ktoś, kupując gazetę w kiosku, zapadł się jak w czeluść w nagle powstałą pod jego stopami dziurę, znikając dosłownie sprzed oczu przerażonego kioskarza, który właśnie wydawał mu resztę. A w jakiś czas później, w czasie targu, zrobiła się szczelina pod koniem z furą. W jednej chwili targ się rozpierzchł wśród paniki, tumultu, krzyków:

– Miasto się zapada! Miasto się zapada!

Całe podgórze było z ziemią zrównane i ta gliniasta, żółta ziemia rozpościerała się zwałami aż do drogi prowadzącej do mostu. Żaden ślad nie został po jakimkolwiek domu, także po tym, gdzieśmy mieszkali kiedyś w suterenie, i w ogóle można było zwątpić, czy kiedykolwiek były tu jakieś Rybitwy. Na domiar złego od pracujących maszyn wzgórze aż do głębi drżało, a to drżenie dochodziło i do naszych stóp, na sam szczyt, gdzieśmy stali z Pawłem. Wydawało się nawet, choć być może to ta pustka po domach i ludziach była tego przyczyną, że to drżenie rozlewa się po całej rozległej równinie. I także dostaje nieba nad tą równiną, wprawiając w drżenie i słońce na niebie.

Coś mi podpowiadało, żeby uznać to drżenie za wygasające odgłosy po wszystkich bitwach, jakie się na tej równinie rozegrały. Byłby to może najdotkliwszy wymiar tej pustki. Tym bardziej że ocalałe jedynie schody, urywając się gdzieś tam w dole, na brzegu tej żółtej, gliniastej ziemi, tuż przed dawnymi drzwiami mieszkania panien Ponckich, zdawały się jakby

prowadzić właśnie do tej pustki. Pewnie dlatego przegrodzone były żelazną barierką z przytwierdzoną do niej tabliczką z napisem: „Nie schodzić! Zakazane!”.

– Zejdźmy tam – mimo to powiedziałem.

Na co Paweł, wyciągnąwszy w obronnym ruchu, albo tak mi się wydawało, rękę w stronę tej tabliczki, rzekł:

– Nie widzisz, zakazane.

– Nie szkodzi – powiedziałem.

– Przecież stąd wszystko widać jak na dłoni – powiedział.

– Ale może tam, niżej, będzie więcej widać? – powiedziałem.

Nic nie odpowiedział, lecz pewnie poczytał moje słowa za objaw dziwactwa, w każdym razie tak to odczułem. Od jakiegoś czasu nie mogłem się pozbyć wobec niego stale towarzyszącej mi podejrzliwości, że wszystko, co powiem, brzmi dla niego jak dziwactwo, co pewnie było znakiem, że powoli ustala się między nami ta ledwo widoczna, lecz coraz bardziej nieprzekraczalna granica, broniąca nas przed sobą, a ściślej mówiąc, jego przede mną. Może nawet już zakreślająca jego własny widnokrąg, mający niewiele wspólnego z tym miejscem na wzgórzu, gdzieśmy właśnie stali u początku schodów, ani z tym miastem. Z wyraźną niechęcią zresztą zgodził się ze mną tu przyjechać. Ta jego niechęć miała w sobie jakiś cień oporu, żeby nie powiedzieć, rozpaczy, co nie zdarzyło się nigdy przedtem. Powiedział nawet coś takiego:

– Ja nie mogę być przecież zamiast matki. Zrozum to.

Powiedziałem:

– Chociaż parę schodków. Być tu i nie zejść tych paru schodków, póki jeszcze są?

Może go zresztą krzywdziłem, bo nie było to wszystko takie proste, jak w swojej podejrzliwości sądziłem. Nieoczekiwanie z łagodną uległością

powiedział:

– To zejdźmy, jeśli masz ochotę. – I nawet ostrzegł mnie, gdyśmy zaczęli już schodzić: – Nie trzymaj się tylko poręczy, bo pewnie spróchniała.

– Tak tylko dłoń po niej zsuwam – powiedziałem. I coś ścisnęło mnie w piersiach od tych jego słów. – Ale wyślizgana. Ileż to rąk musiało po niej przejść. A przecież niewiele mieszkało ludzi na Rybitwach. Można by sobie wyobrazić taki łańcuch rąk, sunący po tej poręczy, gdzieś tam między nimi i moje, twoich dziadków, panien Ponckich.

– Uważaj pod nogi – znów mnie ostrzegł.

Nie zeszliśmy jednak do samego końca, bo gdzieś za połową, w każdym razie już było widać klamkę u drzwi mieszkania panien Ponckich, doleciało nas z dołu, od tej gliniastej, żółtej ziemi, wrzaskliwe upomnienie:

– Zakazane! Czytać nie umieta?! Jest tam na górze tabliczka! Jak wół stoi, że zakazane!

– Chcieliśmy tylko popatrzeć! – odkrzyknąłem.

– Tu nic nie ma do patrzenia! Robi się! Wracać! Zakazane, to zakazane!

Skarceni, chwilę postaliśmy na tym schodku, na którym zostaliśmy zatrzymani, rozglądając się z niepewnością, płynącą być może z poczucia winy, że śmieliśmy tutaj przyjść, choć zakazane.

– A niech się obsunie, na kogo będzie?! – krzyknął nam ów głos z dołu, już nieco pojednawczy, a nawet z odcieniem zrozumienia dla naszego tutaj przyjścia.

– Tu już rzeczywiście nic nie ma – powiedział Paweł jakby odbitym echem tamtego głosu z dołu.

Zawahałem się, czy mu nie przytaknąć, lecz w tej samej chwili ujrzałem w oknie mieszkania panien Ponckich wychylającą się zza wzorzystej firanki całą w papilotach głowę panny Eweliny czy może panny Róży.

Zapragnąłem nawet, żeby jednym ostrym ruchem, zanim zniknie, odsunęła tę firankę z siebie, otworzyła okno i przechylając się przez futrynę, z wyciągniętymi aż tu, na schody, do nas rękami, wyrzuciła z radością, bo tylko one potrafiły tak wyrzucać z siebie radość:

– Ach, pan Piotr!

Podtrzymywała jednak wciąż ręką tę firankę gdzieś w połowie ust, jednym okiem tylko i niecałym policzkiem wyglądając z okna, chociaż widać było cały smutek jej twarzy. Przyszło mi do głowy, że to może przez te papiloty we włosach. Bo papilotów zawsze się wstydziły, jakby ponad potrzebę wstydu. W papilotach czuły się wyjątkowo skrępowane, by nie rzec, zatrzaśnięte niczym w kratkach.

Jeszcze kiedy chodziłem do nich na kakao, nigdy za nic mnie nie przepraszały, choćby dopiero powstawały z łóżek i chodziły w kapciach i szlafrokach, niepozapinane, nieumalowane, rozczochrane, jeśli jednak zastawałem je w papilotach, płoszyły się, jakbym na czymś niestosownym je przyłapał, i jedna przez drugą przepraszały:

– Boże mój, Piotruś, a my w papilotach! Wybacz nam, Piotrusiu. Przepraszamy cię, Piotrusiu. O, zaraz będziesz miał kakao.

I jedna biegła do kuchni robić mi kakao, a druga, siadając przed lustrem, w pośpiechu wysupływała te papiloty z włosów, powtarzając w kółko:

– Zaraz będę uczesana. O, zaraz będę uczesana. A mówiłam Ewelinie, że Piotruś może przyjść i jeszcze nas zastanie w papilotach.

A nim tamta wróciła z kuchni z kakao, ta już miała wszystkie papiloty wydłubane z włosów i ustępowała tamtej miejsca przed lustrem. I teraz tamta, wydłubując w takim samym pośpiechu papiloty ze swoich włosów, powtarzała to samo w kółko:

– Zaraz będę uczesana. O, zaraz będę uczesna. Zanim wypijesz kakao. Pij tylko powoli, bo gorące, Piotruniu.

– Wracajmy – powiedziałem – skoro nas tu nie chcą. – I chwyciwszy się poręczy, zacząłem się z powrotem wspinać. Paweł jeszcze stał i coś tam mówił za moimi oddalającymi się plecami. Po czym, doskakując do mnie nieomal jednym susem przez te kilka schodków, które już przeszedłem, rzucił:

– Może weź mnie pod rękę?

– Nie, dziękuję. Nie miej mnie już za takiego starca – powiedziałem z udanym obruszeniem.

– Nie zrozumiałeś mnie – próbował się usprawiedliwiać.

– Wobec tego wybacz – powiedziałem. – Widać zrozumienie jest trudniejsze od cierpienia. Kto wie, może to najwyższy stan cierpienia.

Spojrzał na mnie podejrzliwie, jakby on teraz nic nie zrozumiał czy może uderzyła go nienaturalna podniosłość moich słów, bo i mnie trochę uderzyła, kiedy już je powiedziałem. I może żeby zatrzeć to wrażenie nienaturalności, nieoczekiwanie dla samego siebie rzuciłem:

– Odpocznijmy trochę.

Nie, nie poczułem się bynajmniej zmęczony. Przeszliśmy zresztą kilkanaście schodków nieledwie, do tego wspinając się bez pośpiechu, noga za nogą, schodek za schodkiem, zwłaszcza że taki rytm narzucały same schody, każdy inny wydawałby się gwałtem na ich naturze. Kiedy dawniej biegałem po nich susami, upominającym mnie ludziom najprawdopodobniej nie chodziło o to, że mogę sobie nogę skręcić czy jakąś inną krzywdę zrobić, lecz właśnie o uszanowanie natury tych schodów. Wtedy jednak nie wiedziałem, że naturą schodów jest ludzkie zmęczenie. Więc może tylko niewygasłe jeszcze echo tamtego czasu odezwało się we mnie, kiedy rzuciłem to:

– Odpocznijmy trochę.

I w następstwie tych słów przystając, a jednocześnie lewą ręką przytrzymując się poręczy, nieomal bezwiednie odwróciłem się od wzgórza ku rozległej równinie. W tej samej chwili uświadomiłem sobie, że przyprowadziłem tu Pawła nie w żadnym innym celu, lecz dla próby tych słów:

– Odpocznijmy trochę.

Poczułem coś w rodzaju wyrzutów sumienia wobec niego, że wciągnąłem go podstępnie w rolę, która była przecież moją rolą, i ogarnął mnie zarazem lęk, że być może nie jestem w stanie sprostać tej roli. Bo powinienem przynajmniej wyciągnąć przed siebie prawą rękę i wskazując ostrą linię widnokręgu w dali, powiedzieć... Ale właśnie co powiedzieć? Czułem pustkę w sobie, najmarniejsze słowo nie chciało mnie nawiedzić. I wydało mi się, że to rozciągająca się przed nami równina zaległa tą pustką we mnie.

Paweł musiał coś przeczuwać i, najwyraźniej chcąc przyjść mi z pomocą, powiedział:

– Może postójmy tu trochę.

Zawahałem się, czy nie powiedzieć:

– Nie, chodźmy już. – I w tym zawahaniu przyłapałem się na tym, że cały czas patrzę po tych schodach gdzieś w dół, aż do tej żółtej, gliniastej ziemi, i śledząc schodek po schodku, oczekuję, aż podejdziemy z ojcem tu, gdzie właśnie staliśmy z Pawłem. W tym oczekiwaniu być może kryła się i nadzieja, że wraz z naszym zbliżaniem się przybędą i słowa. Bo zawsze kiedy tylko przystawaliśmy i ojciec, odwróciwszy się w stronę tej rozległej równiny, wyciągał ku niej rękę, słowa nadlatywały na niego jak stada ptaków i to z tych słów brały się wszystkie bitwy, między słowami się toczyły, słowa nacierały na siebie, słowa przed sobą pierzchały, słowa

broczyły krwią, rzęziły, konały i, prawdę mówiąc, to pokotem słów zaścielała się ta równina.

Zaczął mnie nawet dochodzić jego ciężki oddech z dołu, chociaż wspięliśmy się na dwa, trzy schodki najwyżej, tak mi się przynajmniej wydawało stąd, gdzie staliśmy z Pawłem, a już ledwo ciągnął się po tej spróchniałej poręczy i zapewne tylko wstyd przede mną powstrzymywał go, żeby nie powiedzieć po tych dwóch, trzech schodkach:

– Odpocznijmy trochę.

Coraz szerzej otwierał usta i coraz ciaśniej robiło mu się w piersiach. Nigdy bym wtedy nie przypuszczał, że taka męka wiedzie od schodka do schodka. To dopiero stąd, gdy się tam w dół patrzyło, widać było jego mękę w każdym uniesieniu stopy, w każdym posunięciu ręki o ten skrawek po poręczy. Niósł głowę nisko pochyloną, nakrytą tym jakby za dużym kapeluszem, tak że nie udało mi się dojrzeć ani rąbka twarzy. Widziałem tylko swoją, naburmuszoną jak zawsze, gdy go musiałem prowadzić po tych schodach do lekarza. Szła obok jego chudziutkiego ramienia, przebijającego się tą chudzizną przez gabardynowy płaszcz, też jakby za duży, bo zwisał z niego aż do samych schodów.

Być może domyślał się, że stoimy gdzieś tam w górze, na tych schodach, bo miałem wrażenie, jakby pragnął unieść głowę i spojrzeć ku nam, ale nie udało mu się. Najwyraźniej też poczułem ciepło jego dłoni w poręczy, na której trzymałem swoją dłoń, a nawet dawało się w niej wyczuć jakby słabiuteńkie pulsy jego serca, chociaż nie byłem tak do końca pewny, czy to serce. Bo gdzieżby serce było w stanie sięgnąć od dołu aż tu, do nas, gdzie staliśmy z Pawłem, jeszcze po zwykłej drewnianej poręczy, w dodatku spróchniałej, i to tak schorowane jak jego, ledwo już bijące.

Nieraz jemu samemu wydawało się, że serce przestało w nim bić, i prosił matkę, żeby przyłożyła swoją dłoń do jego boku, czy mu się tylko

tak wydaje, czy przestało. A potem jej dziękował nie wiadomo za co, jakby zamieniła mu to jego na swoje.

Zresztą wszyscy na Rybitwach dziwili się, że z takim sercem chodzimy do lekarza po tych schodach. A to zdziwienie, ma się rozumieć, na mnie przede wszystkim się skrupiało, że nie poprowadzę ojca Browarną, trochę dalej, ale nie tak stromo przecież, czy choćby podgórzem naokoło, a potem koło Zamku, tak samo dużo dalej, lecz byłoby i tak krócej niż tymi schodami. Bo do czego to podobne, żeby z takim sercem prowadzić człowieka po najstromszych i najdłuższych schodach w mieście, nawet przez Ucho Igielne, po drugiej stronie wzgórza, od Świętego Jakuba, nie są takie strome i długie. Ale sam nie chciał inną drogą, tylko zawsze tymi schodami, jak wszyscy.

Nieraz ten i ów z napotkanych znajomych, widząc nas wstępujących na te schody, omal nas zawracał:

– To nie lepiej byłoby Browarną? Browarną, mówię, idźcie. Browarną prowadź ojca.

A czasem ktoś już od pierwszego słowa z oburzeniem na mnie:

– Oj, ty chłopak, chłopak, czy ty nie masz sumienia? Nie daj mu się pan. Dzieci nieraz lubią tak ojców po najgorszym prowadzić. Bywa z żalu, ale bywa i z mściwości.

– To nie on – tłumaczył mnie ojciec.

Lecz nikogo to nie przekonywało.

– Bym tak w dupę gówniarzowi dał – o nic się nie pytając, rzucił kiedyś Funio Salarucha, akurat niepijany. – W dupę, to by ci i do rozumu trafiło. Zdrowy wyjdzie, a na górze jest już mało żywy.

– To nie on, panie Funio.

– Co nie on, już mi pan nie powie. Gówniarze wszystkie takie są.

– A cóż ty pod taką Kalwarię tego ojca prowadzisz, Jezusie Nazareński?! To już nie mogliście Browarną?! – oburzyła się kiedyś na mnie nawet pani Bazylukowa, chociaż zwykle mijała nas obojętnie, gdyśmy spotkali ją na tych schodach, w najlepszym razie spytała: – To do doktora idziecie?

Toteż i ojciec nie uznał za konieczne odpowiedzieć, tylko skinął jej tym swoim za dużym kapeluszem.

I chociaż nie czułem się winny, złościło mnie to. A po jego śmierci pamięć moja, jakby wbrew sobie, zaczęła zbierać te wszystkie ludzkie oburzenia na mnie, a w tych oburzeniach schody wydłużały się, rosły, stawały się coraz stromsze, jakbym gdzieś tam, w zakamarkach pragnienia, pomnażał mękę ojca. Być może za to, że umarł.

Tym bardziej że i matka kiedyś już na spokojnie, bez płaczu, próbując wytłumaczyć sobie, dlaczego umarł, wśród różnych przyczyn, jedna wojna, druga wojna, brak pieniędzy na lepszych doktorów, na lepsze jedzenie, lepsze mieszkanie, powiedziała:

– A i ty gdybyś tymi schodami go wciąż nie prowadził, mógłby jeszcze trochę pożyć. Nieraz cię prosiłam, prowadź go Browarną. Browarną, mógłby jeszcze pożyć. Dobry i ten miesiąc, dwa, jakby jeszcze pożył. Zdrowego by te schody do śmierci przynagliły. A on miał serce jak struchlały ptaszek, aby na nitce uwieszone.

I to samo powiedział pan Jaskóła, kiedyśmy wieźli trumnę z ciałem ojca do dziadków na wieś, bo postanowiła matka tam go pochować, a przy nim i siebie, gdy i ona umrze, tak mi nakazała, bo ty możesz leżeć, gdzie będziesz chciał, ale ja przy ojcu, pamiętaj.

– Gdybyście na równym mieszkali, mógłby ojciec jeszcze pożyć. Ale na takie schody, panie, trzeba serce mieć jak dzwon. Nawet ten raz na dzień żeby pójść do miasta. Ma się rozumieć, tak samo nogi. No, i miechy,

znaczy płuca. Ale na pierwszym miejscu serce. Nogi, płuca – fura, koła. A serce, panie, koń i to ono ciągnie człowieka. To ile to się napompuje, żeby pod takie schody wyciągnąć. Po równym i to nałożysz koniowi pełną furę węgla, worków, skrzynek z piwem, a szybciej nie pociągnie, tylko noga za nogą, choćbyś go batem, nie pociągnie. A człowiek jakby batem wciąż to swoje serce. Szczęście, że niewiele miał ciała na sobie. Choć wziąć i buty, i ubranie, płaszcz, kapelusz, to wszystko zawsze trochę waży i wszystko na to jedno serce. A ono nie większe niż pięść. To choćby ktoś był ćwierć siebie, to i tak za duży na to serce. Po równym jeszcze jakoś, ale nie pod takie schody. A gdy ktoś spasiony, to to serce jak strażacka pompa. Zemści, a pompuje. Nie może, a pompuje. Co to, panie, tyle jeść, żeby waniec aż pod gardło podchodził. Żadnego umiaru już ludzie nie mają. Lepiej setkę strzelić i to samo się czuje. Serca, panie, nie sprzęgniesz z drugim sercem, jak koni. Tak się niby mówi. Ale bajdy. Każde samo musi. – I odwracając się przez ramię do mnie, bo jakkolwiek siedzieliśmy na jednym siedzeniu, to on przodem do koni, ja przodem do trumny: – A nie mogłeś to ojca Browarną prowadzić, tylko ciągnąć go pod takie schody? O, mógłby trochę jeszcze pożyć. Dobry i ten miesiąc, dwa. Każdy woli jutro umrzeć niż dzisiaj. A i dla tych, co zostają, też jakby bliżej było za nim.

Jechaliśmy noga za nogą, bo pan Jaskóła uznał, że z trumną inaczej nie wypada:

– To nie węgiel czy worki, czy skrzynki z piwem. Nawet batem śmignąć na konie nie wypada. Ciągną, to ciągną, już tam one wiedzą, co ciągną, że trumnę z nieboszczykiem. – Nie wiem, dlaczego tłumaczył się przede mną, bo przecież go nie ponaglałem. Może, abym źle o jego koniach nie myślał albo z żalu za ojcem, bo lubił ojca. Często przychodził, żeby sobie pogadać, czy choćby na chwilę wpadał, żeby spytać się o zdrowie ojca. I kiedy tylko matkę spotkał, nigdy nie zapomniał spytać się, jak tam mąż, i tak samo

mnie, jak tam ojciec? – A choć ojciec już na tamtym świecie i może nawet nie wie, że wieziemy go, wyglądałoby, panie, że go jeszcze popędzamy. Niby na dwa konie taka trumna to jakby cztery skrzynki z piwem albo worek zboża, a niechby i więcej, to nie wagę się wiezie. Nie dlatego oba konie zaprzągł, żeby jeden nie uciągnął, tylko jakoś śmierć musi się wyróżnić, bo samo, że ktoś umarł, jeszcze nic nie znaczy. Nie lubi zresztą prędko jeździć, tylko tak jak przyzwyczaił się z węglem czy z workami, czy z piwem. Czy z duszy już tak nie lubi. Bat ma, owszem, ale nigdy konia nie uderzył. Czasem smyrgnie, ale w powietrzu nad zadami i to wszystko. Ale żeby prać, jak to piorą, nigdy. Nie daje koń rady, to znaczy, że nie daje. A spieszyć się, panie, i tak nie ma do czego. Dnia się nie przegoni, a tym bardziej życia. Prędzej ono przegoni. Przez to nie wynajmuje się na żadne wesela, na żadne tam takie, żeby musiał konie gnać. O, lubi, kiedy mu się te końskie zady tak kołyszą przed oczami. I w nim się coś wtedy kołysze. Żeby nie wiem jak był zły, siądzie aby na furę, weźmie lejce, bat w ręce i od razu coś się w nim kołysze, a złość mija. Z babą się pokłóci, to przejedzie się kawałek i kiedy wróci, to na rany przyłóż. Bo nie lubi się i kłócić. A już z własną babą, to jakby sam z sobą się kłócił czy na konie warł. Kiedy córka mu zmarła, nie płakał, bo do kogo miałby płakać? Wystarczyło, że baba płakała. Zaprzągł konie, siadł na furę, wziął bat, lejce i tak jeździł wokół miasta, aż się, panie, ściemniło. Czasem przyśnie, kiedy tak mu się te zady kołyszą, to mu zawsze córka śni się, że na rękach ją kołysze albo na kolanie, bo ją wsadzał nieraz na kolano i kołysał.

Nie wszystko do mnie docierało, co mówił, a nie tylko dlatego że siedzieliśmy plecami do siebie, ale mówił czasem tak cichutko, jakby do tych zadów końskich mówił, kołyszących mu się przed oczyma. A mnie znów ta trumna ojca, która stała głową tuż przy moich kolanach, a właściwie tabliczka na tej trumnie tak jakoś przykuła, że mało co

słyszałem, mało co widziałem. Choć niby cóż na niej było, imiona, nazwisko, żył lat, niech w Bogu spoczywa. Z tej tabliczki dopiero się dowiedziałem, że miał ojciec i drugie imię, Adam. I nawet dziwne podejrzenie mi się nasunęło, że może to imię w innym życiu miał, bo jakieś obce mi się wydawało. Jakby pod tym imieniem krył się ktoś całkiem mi nie znany. Czy może to imię zostało mu po wojsku, gdy w mundurze oficerskim jeszcze chodził, podpięty pod szyją ciasnym kołnierzykiem, zdobionym srebrzystymi zygzakami, w rogatywce na głowie, w pasie, przepasany koalicyjką przez ramię? A wychodząc z wojska, zostawił to imię? Bo nieraz mówił, kto wychodzi z wojska, ten wszystko zostawia, nawet duszę. I już nigdy nie będzie prawdziwym cywilem. Czy na tamten świat może przybrał sobie to drugie imię? Tylko po co? Ale też dziwne wydało mi się na tej tabliczce i jego nazwisko, a przecież to samo co moje. A nawet wątpliwość mnie ogarnęła, czy to moje nie jest inne od jego. Bo to jego ciągnęło się jeszcze, żył lat, niech w Bogu spoczywa. A moje było krótsze.

Choć być może wszystko wynikało z tego, że nie mogłem się przez całą drogę pozbyć zdziwienia, patrząc na tę tabliczkę, że to ja patrzę, ja siedzę na tej furze, mnie grzeje idące krok w krok za nami tą samą drogą słońce, a w tej trumnie między latrami leży on, mój ojciec. To zdziwienie jakby się wahało między niewiarą, że to on, a dotkliwością, że to ja. A chwilami wszystko to rozmazywało się, nikło, że widziałem na tej tabliczce tylko mak, bez imion, bez nazwiska, bez żył lat, bez niech w Bogu spoczywa, tylko mak. I wydawało mi się, że nie jedziemy na tej furze ani niczego nie mijamy, wsi, pól, a jutro, pojutrze trzeba będzie znowu zaprowadzić ojca do lekarza i tak samo spotykani ludzie będą mnie ganili, to nie trzeba było pójść Browarną, czy ty, chłopak, nie masz sumienia prowadzić ojca pod takie schody? A na tych schodach już po paru schodkach, jak zawsze,

wyszepce, łapiąc z trudem powietrze, odpocznijmy trochę. I odwracając się ku tej rozległej równinie, wyciągnie rękę i zacznie mi opowiadać kolejną bitwę. A po paru schodkach dalszy jej ciąg. I tak będziemy wstępowali po tych schodach, które nigdy się nie skończą, póki mi będzie o tej bitwie opowiadał. A może to będzie ta bitwa, w której padł, bo nie mogłem uwierzyć, że zwyczajnie umarł. Najwyraźniej słyszałem dochodzące mnie z trumny słowa:

– Ledwo rąbek słońca wychylił się zza widnokręgu, zagrały surmy i zwarte szyki ruszyły na siebie.

Bo cóż ważniejsze jest od słów, wszystko się ze słów bierze, i nawet najkrwawsza bitwa toczy się o słowa, które po niej zostaną.

Mówił:

– Mgła była gęsta jak mleczna ściana, a kiedy zaczęła opadać, oczom ich ukazały się nieprzyjacielskie zastępy, jakby spod ziemi przed nimi wyrosłe.

Mówił:

– I wtedy przed obliczem króla zjawiło się dwóch konnych rycerzy, zsiedli i wbili dwa miecze przed nim w ziemię.

Mówił:

– Armaty grzęzły po osie w błocie, konie zapadały się po brzuchy i zmęczeni żołnierze musieli je rękami wyciągać, a wielu przy tym padło.

Mówił:

– Wstrzymywał do ostatka swoje lewe skrzydło jazdy, ukryte za pobliskim wzgórzem, aż tamci wbiją się głębokim klinem w środek jego pieszych.

Mówił:

– A hetman na koniu jak olbrzym nad mrowiskiem, z rozwianym włosem, z twarzą ściętą zawziętością i wolą, z szablą rozgrzaną od krwi

nieprzyjaciół.

Mówił:

– Werble im grały, armaty w nich biły, a oni szli zwarci, jeden przy drugim, za nimi następne szeregi, wyrwy się coraz większe między nimi robiły, padali obok, padali przed nimi, toteż ci, co dotarli, nie mieli litości.

Mówił:

– Ktoś krzyknął, że sztandar padł, i wówczas wstyd ich ogarnął, że tak łatwo uznali się za pokonanych, a niektórzy zapłakali, i w tej samej chwili jakaś moc w nich wstąpiła i znów się rzucili do boju.

Mówił:

– Nie nadawał się na wodza, lecz urodzony był wysoko, i też jemu powierzono legiony, ale kiedy wszczął się popłoch pod natarciem ciężkozbrojnej konnicy, stracił głowę i pierwszy rzucił się do ucieczki, zostawiając wojsko na pastwę nieprzyjaciół.

Mówił:

– Kanonada trwała cały dzień i noc, a rano ruszyli do ataku, byli pewni, że nic już ich nie zatrzyma, przejdą jak po polu śmierci, zasłanym poległymi, rannymi lub wystraszonymi, lecz nie znali uporu obrońców.

Mówił:

– Okopy mieli naprzeciwko siebie, w niedalekiej odległości, toteż kiedy był spokój, wychodzili, pozdrawiali się, śmiali, pytali się, co słychać, co jedni i drudzy na obiad jedli, nawet piosenki ci swoje, a ci swoje nawzajem śpiewali, lecz gdy przyszedł rozkaz do ataku, rzucali się na siebie niczym dzikie bestie.

Mówił:

– Spodziewano się, że będzie się przeprawiał i czekano na niego na przeciwległym brzegu, lecz król kazał dla zmylenia rozpalić ogniska i pod

osłoną nocy przerzucił całą armię w dolnym biegu rzeki, i o świcie wśród grzmotu trąb i okrzyków poprowadził wojsko na zaskoczonego wroga.

Mówił:

– A od strony słońca nadleciał biały ptak i zawisł nad rycerstwem, i wtedy ktoś powiedział, to Bóg nam daje znak, że jest z nami, i ruszyli bez lęku.

Mówił:

– Tarcza o tarczę waliła, miecz o miecz uderzał, krwią się wzajemnie bryzgali, pluli wzajemnie sobie w twarze, miotali przekleństwa, a nawet rękami zdzierali się z koni.

Mówił:

– Zatrzymał się cesarz przy roztrzaskanej armacie, pod którą umierał z ran jeden z jego grenadierów, lecz zobaczywszy cesarza, w nadludzkim wysiłku krzyknął, vive l’empereur, co znaczy niech żyje cesarz, i skonał.

Mówił:

– I odrąbawszy mu głowę, wbili ją na pikę i obwozili po pobojowisku, a rozwydrzona tłuszcza szydziła, fetując zwycięstwo.

Mówił:

– Żołnierzom palce przymarzły do cynglów, para z ich ust zamieniała się w szron, wzrok się rozmywał w śnieżnej przestrzeni i niejeden zatęsknił za rodzinnym domem, przeczuwając, że nigdy już nie wróci.

Mówił:

– Naczelnik krzyknął, teraz na was, chłopy, pora, pokażcie, jak umiecie bronić waszej świętej ziemi, i pochylili kosy, i ruszyli ławą, nie oglądając się ani w bok, ani za siebie, tylko w te ziejące ogniem prosto w nich armaty.

Mówił:

– Błagali go, królu, najwyższy już czas, nasze szyki się łamią, za chwilę rzucą się do ucieczki i nic ich nie powstrzyma, lecz on z zimną krwią czekał do ostatka, aż tamci nabiorą pewności, że nie ma więcej wojska.

Mówił:

– Kto tylko żyw, wyległ na mury i nawet chorzy powstawali z łóżek, kalecy, chromi, trędowaci, jeśli tylko mogli się przydać, lali z góry wrzątek, zrzucali kamienie, lecz wszystko nadaremno, bo ktoś zdradził, otwierając zapomnianą furtkę.

Mówił:

– Najpierw lekkozbrojni rozpoczęli harce, starając się wyciągnąć tamtych z ich pozycji, a gdy im się to udało, pierzchli, a zza tarcz wysunęli się łucznicy i zasypali tamtych gradem strzał.

Mówił:

– Deszcz od kilku dni nie ustawał, woda w okopach sięgała żołnierzom do kostek, zimno, jesień, niektórzy cierpieli na biegunkę, niektórych paliła gorączka, kasłali, majaczyli, wszy ich jadły, a rozkaz do ataku nie przychodził.

Mówił:

– I gdy jego żołnierze rozbiegli się po mieście, rabując, podpalając, wyrzynając kobiety, starców, dzieci, on, ich wódz, siadł na ruinach zburzonej świątyni i płakał nad marnością swojego zwycięstwa.

A z drugiej strony, zza pleców, pan Jaskóła mówił z niewielkimi przerwami na zastanowienie się czy żeby tylko nagarnąć sobie słów do myśli. Czasem nawet szturchnął mnie w bok, pokazując w lewo czy w prawo batem.

– O, patrz, czołg. Ale to mu przytryndolili. Aż mu lufę urwało. Musieli się tam spalić, bo cały czarny. Ile to, panie, w takim potworze żelastwa. Podkułby z tysiąc koni. A tam, w zbożu, patrz, drugi. Łeb mu tylko widać.

Jak to zboże, panie, wzeszło, nikt go przecież nie siał, bo kiedy. Myślało się, gdzie głowę schować. O, patrz, armata. W obejściu ją, psie krwie, postawili. Szkoda, że nie w izbie. I kiedy to, panie, wszystko ściągną? Tyle żelastwa. A ile ludzkich kości? Choć kości wcześniej czy później ziemia sama przykryje. A weź zasyp te wszystkie okopy, ziemlanki, doły. Czy bunkier rozbierz, kiedy to z betonu. A będzie już na wieki. Kości, no, to zbutwieją, ale zbutwieje ci taki czołg czy armata, czy bunkier? O, patrz, komin tylko sterczy. Ale to ci miały piec. Wiesz, ile w takim piecu chleba da się upiec? Z siedem bochenków, a każdy jak koło u wozu. U nas, panie, w domu matka takie koła piekła. Dzieża mąki szła. Przedtem podpłomyki. Eh, mówię ci, z kwaśnym mlekiem nie było lepszego jedzenia. O, patrz, sad spalony. Musiało się nasmażyć gruszek, jabłek, śliwek. A mogli się i ludzie, kto wie. Czy stworzenie. O, patrz, miny. Widzisz? Jak nie widzisz? Tam. Napisane, miny. Nielzia. Siedzą przyczajone i czekają. Nie zgniją jak kartofle czy buraki. Mogą latami czekać. Cierpliwe, jebu ich mać. Śpią, aż ktoś ich przebudzi. No, i ktoś w końcu przebudzi. Pewnie ten, co pole jego. O, naurywa jeszcze rąk, nóg, nazabija. Nie skończyła się ta wojna, choć niby już po wojnie.

A czasem zamiast, o, patrz, pytał się:

– Nie za bardzo tam trzęsie? Mów, jakby trzęsło. Ojciec nie powie, choćby go na drugą stronę obróciło. Mogą mu się ręce rozpleść, a takich zastygniętych nie spleciesz potem. Trzeba by na siłę. A siłować się z nieboszczykiem nie uchodzi, panie.

Od czasu do czasu wracał znów do tego, że gdybyśmy na równym mieszkali, mógłby ojciec jeszcze trochę pożyć:

– Bo na równym, panie, inaczej człowiek chodzi, inaczej myśli, inaczej żyje, to serce tylko pyka w nim. Przez cały tydzień się nie namorduje, co pod te schody za jeden raz.

Trzęsło, i to bardzo, chwilami miałem nawet wrażenie, że to ojciec tak się wierci w trumnie. A gdy koło wpadło w głębszy dół czy zawadziło o wybój, trumna aż podskakiwała. I na myśl, że może jeszcze spaść z niej wieko, truchlałem. Nie mówiłem jednak panu Jaskóle, że trzęsie, bo cóż by poradził? Droga była zryta, a wolniej i tak nie dałoby się jechać, niż jechał. Zresztą starał się objeżdżać każdą większą dziurę, nie mówiąc już o lejach. Raz po raz przejeżdżał z jednej strony na drugą, tak że jechaliśmy zygzakiem, a w niektórych miejscach nawet w pole zjeżdżał, gdy uznał, że dla trumny za duża dziura.

– Po równym, panie, chętniej chce się gdzieś iść. Czy do ludzi, czy tak choćby nogi wyprostować. Dom cię tak nie trzyma. Świat więcej ciągnie. I ma się rozumieć, wszędzie dużo bliżej. Z tych naszych Rybitw do miasta po równym byłoby jak na drugą ulicę. Ale pod te schody, to jest jak do drugiego miasta, a dla chorego może i na koniec świata. – I pokazując batem w bok na kolejny czołg: – A nie mogliście w innym mieście osiąść, kiedyście wracali z wysiedlenia, gdzie by równo było? Aż tu ojca ciągnąć? Za Wisłą, tam jest wszędzie równo. I może łatwiej byłoby wynająć jakieś lepsze mieszkanie. Nie w suterenie. Dla chorego suterena grób za życia. Jeszcze serce potrzebuje powietrza, panie. A u was to jedno okienko. Ciasnota, panie. A przy takiej górze jeszcze gorsza ciasnota. Wyjdzie się przed dom, to nie ma gdzie iść, bo jak chcesz do ludzi, to tylko schodami. Chyba że na łąki. Ale co na łąkach? A po równym mógłby ojciec wyjść sobie tam czy tam. Zobaczyłby kogoś, podszedłby, pogadał. Spytał się, co słychać. Czy nawet jak się, panie, człowiek z człowiekiem tylko mija, powiedzieć, dzień dobry, też dużo znaczy. Czasem od dzień dobry wszystko się inaczej układa. O, mądry był, kto dzień dobry wymyślił. Ale to na równym, bo na równym ludzie łagodniejsi, wolniej żyją, wolniej śpią, wolniej mówią, to i wolniej w nich serca biją. A tu wstaniesz, pomyślisz, że

znów pod te schody, i od razu ci się nic nie chce, żałujesz, że już dzień się zaczął. I tak dzień za dniem, tydzień za tygodniem, to na ile ci to twoje serce starczy? Po równym mogłoby cię i sto lat ciągnąć. A tu, no, to jak z ojcem. Nie da się chodzić po ludzku, takie to już miasto. Ktoś wymyślił, panie, że ma być na górze, i wszyscy sapią, stękają, przystają, jeszcze pot cię zalewa, to i krew nieraz zalewa. Bo co chcesz załatwić, wszystko jest na górze, kupić coś, na górze, spotkać kogoś, na górze, urzędy na górze, kościoły na górze. To i nie dziwota, że ludzie wolą siedzieć w domach. O, ma jeden z tamtej strony sad, jak Ucho Igielne, też na górze. Zwoziłem mu kiedyś jabłka, to ani jak wyjechać, ani jak zjechać. Wóz mi się wywalił, połamałem rozworę. Koniom nóg o mało nie poprzetrącało. Myślę sobie, a niech to. Więcej nie pojadę, żeby nie wiem ile chciał mi płacić. A przecież co człowiek jest winny? Sad ma tylko na górze. To nie wina, a nieszczęście. I nie pojechałem. Przychodził, prosił, dwa razy tyle chciał mi płacić. Ale powiedziałem, nie i nie, nie pojadę. Choć nie jestem zawzięty. No, to widzisz, co góra może z człowieka zrobić. Sobie możesz nakazać, ale sercu, panie, płucom, nogom nie nakażesz. Nie powiesz, bij wolniej, tylko bije, jak mu ta góra każe. To ile mniej by się nabiło, gdyby ojciec po równym chodził. O, patrz, znowu czołg. Miny, panie. Pisze, miny, i po rusku, i po polsku. Będzie zbierania. Grudka po grudce trzeba będzie ziemię macać. A tam, patrz, krowa zabita. Łeb tylko i kości. Psy ją musiały tak objeść. Ja, no, to tu się, panie, na Rybitwach, ożeniłem. Dom już był. Stajnia, tyle że bez koni, bo nieboszczyk teść przepił. Wóz przepił, uprząż przepił. A jeszcze długów mi napozostawiał. I kobietę wziąłem, jak to mówią, w jednej koszuli, tyle że z tym domem i stajnią. A kiedy pomyślałem, że jeszcze pod tę górę trzeba będzie mi co dzień wyłazić, to biłem się z myślami, czy się żenić. Ale przecież nie z górą się żenię ani z teściem pijanicą. Zresztą niedługo już pożył, przysiągłem mu tylko, że pospłacam

wszystko, i skonał. A na tę górę, pomyślałem, muszę coś wykombinować. Raz w niedzielę do kościoła można wyjść czy pod wieczór z kimś pogadać. Zza Wisły pochodzę, a tam stół, panie. Z początku chciałem się nawet tam przenieść. Ale tu ten dom, stajnia, choć pusta, no, i baba za skarby nie chciała się ruszyć. Na szczęście miał tu Kuferblum browar, stajnia była, to kupiłem konia i zacząłem piwo rozwozić u niego. A za rok drugiego. A potem przyszły dzieci. Najpierw jedna córka, potem ta, co zmarła, potem chłopak. Potem baba zaniemogła, żylaków na nogach dostała. Prawie z domu przestała wychodzić. Woziłem ją od doktora do doktora, a nogi coraz grubsze się robiły. A takie ci zgrabne kiedyś miała. To przecież nie powiem, że to teraz nie te same nogi. Wszystko przez tę górę. Górę, dzieci. Prać nawet muszę sam, bo przy balii nie ustoi. Na dwór nieraz nie może sama, no, to biorę ją na ręce. Do kościoła to już, mówię, nie chodź, pomodlę się i za ciebie. A kiedyś ci miała jak z marmuru wyrzeźbione.

Zamilkł. Minęliśmy znów jakiś czołg, jakąś armatę, jakieś spalone obejście, a w głębi dalej całą wieś, tylko kikuty kominów sterczały niczym kawałek lasu. Nie szturchnął mnie już więcej w bok, nie powiedział:

– O, patrz, czołg. Patrz, armata. Patrz, spalone obejście. Sad. Cała wieś.

Byłem pewny, że go tak te końskie zady ukołysały i zasnął. Lecz po dłuższej chwili, wydobywając się jakby z tego ukołysania, powiedział:

– To teraz musisz być i za ojca, i za syna. Choć może zawsze tak człowiek jest. – Po czym jakby w rytm tych końskich zadów roztkliwił się: – Mnie ojciec tak samo gdzieś w twoim wieku odumarł. Upił się i w przerębel wpadł. Wracał, panie, nocą z tej strony na tamtą, do siebie. Miał szwagra na tej i z tym szwagrem tak popili. A na Wiśle granica wtedy była. Po tej Ruskie, po tamtej Austryjaki. To ciało dopiero wypłynęło, kiedy Wisła ruszyła. – Wpadliśmy w jakąś wyrwę, aż trumną rzuciło, i dopiero gdy się fura już uspokoiła, dokończył: – O, nawyrządzały rzeki ludziom

nieszczęść. A już granice na rzekach szkoda gadać. Musiał chyłkiem iść po lodzie, żeby go nie zobaczyli. No, i prosto na głowę.

Długo jeszcze mówił o tym swoim ojcu, przeplatając śmierć z Wisłą, granicą, Ruskimi, Austriakami, a zwłaszcza rozwodząc się nad tym, że po obu stronach już dawno Polska, a ta granica wciąż w ludziach siedzi i długo jeszcze będzie siedziała, bo granice nie tak łatwo umierają, pamięć nieraz umrze, a granica żyje. Czasem odwiedza brata po tamtej stronie, to nie może się opędzić myśli, brat to czy nie brat. Albo wozi węgiel od kolei, to mu się wydaje, że z zagranicy wozi.

– Mój, no, to śmierć niespodziewana – w pewnej chwili powiedział – ale u twojego w oczach ją było widać.

Zdumiało mnie, bo jakżeż to śmierć w oczach ojca było widać. Tego samego dnia, kiedy umarł, poszedłem po południu odwiedzić go do szpitala i żadnej śmierci w jego oczach nie widziałem. Właściwie nie tyle poszedłem go odwiedzić, co kazała mi matka zanieść mu krupniku i koc, no, to koca czy krupniku nie zanosi się, jeśli ktoś ma umrzeć. Więc widocznie i ona nie widziała śmierci w jego oczach, a tylko na wszelki wypadek powiedziała, że ojciec chyba już niedługo umrze.

Siedziałem nad zadaniem o deszczu, a dokładnie jaki pożytek mamy z deszczu, kiedy wróciła z miasta z zakupami i od drzwi, że krupniku dzisiaj ugotuje, to zaniosę ojcu do szpitala, bo tak lubi krupnik, i koc, bo mu zimno. Nie na rękę mi to było, nazajutrz miałem lekcję u pana, a po południu chciałem iść na ryby. Najgorsze jednak, że mi nie szło to zadanie, ale co można o deszczu? Że ogródki kropi, sady, pola, że Wisła przybiera, gdy za długo pada, a czasem z brzegów występuje, że w deszczówce się najlepiej włosy myje?

Matka wyszła z rana, to wróciła dopiero na południe, siedziałem więc sam, a nic mi do głowy nie przychodziło. Złość mnie nawet brała na pana,

że akurat musiał mi ten deszcz wymyślić. Chociaż prawdę mówiąc, nie tak go wymyślił, co wyprowadził mnie na spacer, a ledwo znaleźliśmy się w Rynku, nie wiadomo skąd na pogodnym dotąd niebie pojawiła się smołowata chmura i lunęło jak z cebra. Nim zdążyliśmy się schować w najbliższej kamienicy, w bramie, już byliśmy do suchej nitki przemoczeni. Nie dzieliła nas od tej bramy wcale duża odległość, ale deszcz był gęsty, gruby jak powrozy, a pan nie mógł biec i jedynie stukał o bruk szybciej laską, jakby poddając się złudzeniu, że biegnie, a nie mogłem go przecież samego zostawić. Mimo że namawiał mnie:

– Ty uciekaj, ty uciekaj. Tam, do bramy w tej kamienicy. Zaraz i ja tam będę.

Zresztą nigdy nie uciekałem przed deszczem, czy nieledwie siąpił wilgotną szarością, czy kropił jakby z polewaczki, czy walił strumieniami. Największy mnie złapał, a szedłem, jakby na niebie świeciło słońce i nawet strzępek chmury tego nieba nie mącił. Wystawiałem twarz, bo lubiłem, gdy padało mi na czoło, oczy, nos, policzki, brodę, gdy nasiąkając caluteńki tym deszczem, od włosów poprzez ubranie aż do nóg, czułem jakby to przeze mnie padał od nieba do ziemi. Bałem się jedynie piorunów. Lecz w samym deszczu mogłem iść i iść. Ktoś z sąsiadów, mijając mnie w pośpiechu takiego idącego noga za nogą, z twarzą wystawioną w ten deszcz, rzucał najczęściej z przerażeniem:

– A uciekajżeż do domu, skryj się gdzieś. Czy ty dobrze masz w głowie? Czekaj no, powiem matce.

Matka jednak od razu domyślała się, gdy przychodziłem przemoczony, ociekający deszczem, że nie przypadkiem zmokłem, i jak zwykle ze zgrozą załamywała nade mną ręce:

– Chryste Panie! Znowu żeś musiał gdzieś wystawać na tym deszczu. Nie mam już do ciebie siły. Ściągaj mi to wszystko zaraz.

A najbardziej lubiłem wyjść na wzgórze, gdy padało, i stamtąd patrzeć, jak pada na tę rozległą w dole równinę. Pod pozorem, że muszę do wygódki, na co matka nie miała innego sposobu, jak się zdziwić jedynie, że akurat w taki deszcz mi się zachciało, wymykałem się z domu i pędem wspinałem się po schodach na wzgórze. Dziwne, że ojciec nigdy mi się nie dziwił, a nawet wstawiał się do matki, żeby mnie puściła, skoro mi się chce. Może też lubił deszcz, chociaż nigdy o tym nie wspominał, zresztą przeważnie patrzył w sufit nad sobą czy w okno przed sobą, w myślach pogrążony. Toteż wyrzucał tylko z siebie z jakąś obolałą zgodą:

– A dajżeż mu, niech zmoknie. Czegoś musi chcieć.

Deszcz ze wzgórza, nad tą rozciągającą się w dole równiną, był zupełnie inny niż z okna, gdy się przez szybę patrzyło czy kiedy się w bramie stało, mając ten deszcz tuż przed sobą, czy na ulicy, gdy się szło w deszczu, czy na łąkach, gdyśmy paśli z chłopakami krowy. Na łąkach miało się wrażenie, że deszcz nas przygniata, że znajdujemy się pod ogromną, mokrą kopułą. Czasem tylko Fredek kazał nam się rozbierać do naga, że krowy też nago chodzą i nic im, nie kichają, nie smarkają i żadna jeszcze się nie przeziębiła.

Ze wzgórza deszcz wydawał się ogromny, a taki jasny, przezroczysty, że widać było, gdzie się w chmurze zaczyna i gdzie na tej równinie w dole kończy. Gdy się podniosło głowę, wydawał się wysoki jak wysoki las, a gdy się spuściło wzrok na równinę, widziało się pienny, gęsty łan. Miało się ochotę dać krok w przestrzeń tego deszczu i tam, między tym łanem w dole a tym lasem w górze, iść przed siebie, gdzie oczy poniosą, choćby pod samą chmurę, i pozrywać trochę tego deszczu niczym strąków fasoli.

Anna również lubiła deszcz, nie lubiła tylko moknąć, toteż zawsze niosła nad nami rozpostartą parasolkę, choćby ledwo mżyło. Nieraz zamiast do Świętego Jakuba, który był naszym schronieniem, szliśmy gdzieś na

spacer przed siebie, uliczkami, wąwozami, ścieżkami, a bywało, że i poza miasto nas ten deszcz wyprowadzał, w pola czy nad Wisłę. Czasem w tych naszych wędrówkach przychodziliśmy na brzeg wzgórza i patrzyliśmy, jak pada, bo nigdzie tak nie padał. W każdym razie nigdzie tak nie było widać tego deszczu całego, od nieba do ziemi.

W czasie deszczu kiedyś wziąłem ją pierwszy raz pod rękę. Niosła nad sobą tę rozpostartą parasolkę, chociaż ledwo mżyło, a w pewnej chwili powiedziała:

– Wejdź pod parasolkę, bo zmokniesz. – I wychylając się spod tej parasolki: – Bliżej chodź. Pada ci na ramię. – A po paru krokach, w czasie których jakby całe nasze życie się ważyło, z drżeniem w głosie wyszeptała: – Weź mnie może pod rękę. Tak nam będzie wygodniej iść. Jaki ten deszcz długi – zachwycała się, gdyśmy nieraz stali pod tą parasolką na brzegu wzgórza, patrząc, jak deszcz pada od nieba do ziemi. Było coś przejmującego w tych jej zachwyceniach, kto wie, może przeczucie, że każde zachwycenie jest jak deszcz.

Pan wychylił głowę z bramy i powiedział:

– O, już widać koniec chmury. Będziemy mogli wkrótce wyjść. – A gdy wciągnął z powrotem głowę w bramę, jakby odczuł potrzebę usprawiedliwienia się przede mną za ten deszcz: – Tu, na Rynku, tak zawsze. Nie widać, kiedy chmura nadchodzi ani z której strony. Dopiero gdy już jest nad tobą. Tak jak dziś. Słońce, a już leje jak z cebra. To przez te kamienice dookoła. Zamykają Rynek jak podwórko. – I rzuciwszy mimo woli na mnie wzrokiem, zdziwił się: – Aleś to zmókł, zmókł, przeproś, proszę, matkę. To przeze mnie. Ale potrzebny był ten deszcz. Może napiszesz na następną lekcję, jaki pożytek mamy z deszczu.

Siedziałem więc nad tym deszczem, myśląc, lecz przychodziły mi do głowy tylko panny Ponckie, zwłaszcza że gdy rano zaszedłem do nich na

kakao, zobaczyłem pannę Ewelinę nago. Nie miała ani szlafroka pod ręką, żeby złapać i choć się zasłonić. Krzyknęła tylko:

– Boże ty mój, Piotruś! – I objęła się rękami wokół piersi, przykuliła, rzucając w moją stronę błagania: – Odwróć się, Piotruniu! Zamknij oczy! Nie patrz!

Zamknąłem więc, jak mi kazała, lecz nie na wiele się to zdało. Dalej ją widziałem w tych zamkniętych oczach nagą. Usłyszałem śmiech Róży.

– I czemu się, głupia, wstydzisz? Piotrusia się wstydzisz? Nie słuchaj jej, Piotruniu! Otwórz oczy. Patrz.

Więc otworzyłem, jak mi kazała, choć tylko na pół powiek.

– Gdzie jest mój szlafrok?! – Ewelina miotała się za tym szlafrokiem, rozrzucając po pokoju spłoszone nagie ciało. – Gdzie mój szlafrok?! Boże ty mój! Nie widziałaś gdzieś? – A zobaczywszy, że mam oczy półotwarte, zaczęła mnie znów błagać: – Nie patrz, Piotruniu. Zamknij. Poczęstuj się może czekoladką. Na kredensie są. Gdzie ten przeklęty szlafrok?

Więc znowu zamknąłem.

– Musiałaś w kuchni go zostawić – powiedziała Róża i zaczęła się znów śmiać. – Patrz, Piotruniu! Co ma stać przez ciebie z zamkniętymi oczami.

– Nie, Piotruniu. Jeszcze nie. Och, gdzie ten szlafrok? – W głosie Eweliny prawie rozpacz pobrzmiewała.

I może to pod wpływem jej rozpaczy znów otworzyłem oczy, a zobaczywszy ją nagą, natychmiast je zamknąłem. Rzuciła się ku drzwiom, ocierając się tym nagim ciałem o mnie, bo stałem tuż przy drzwiach.

– Nie uciekaj! Nie uciekaj! – Zaśmiała się za uciekającą Eweliną Róża. – Kiedyś i tak mu będziesz musiała się pokazać. – I z nagłym smutkiem w głosie dodała: – Nie ty, to inna. Co za różnica. – Po czym, wysunąwszy krzesełko spod stołu, bez krztyny zdziwienia powiedziała: – O, tu jej

szlafrok. Zawsze gdzieś tak klapnie. A ty wciąż tak będziesz stał z zamkniętymi oczyma? Możesz już otworzyć. Nie ma jej. Uciekła.

Na szczęście matki nie było w domu, bo odkąd poszła z rana do miasta, napisałem ledwo pierwsze zdanie, że bez deszczu nie mógłby człowiek żyć. Już nieraz by mi się spytała, no, jak ci się pisze? Pożytek z deszczu? Wiadomo, wszystko inaczej zaraz rośnie, zieleni się. A bez deszczu schnie i w ogóle napisz, że nie dałoby się żyć. Choć nie na wszystko deszcz poradzi. Pieniądze też nieraz są potrzebne. Nawet tych paru złotych jak nie ma, ile to trzeba się nazachodzić w głowę, skąd wziąć. Choćby na lekarstwa czy na te twoje zeszyty, książki. Ale i pieniądze też na nic, kiedy nie ma zgody. Bez zgody jak bez deszczu, mówi się.

Bo tak zawsze było. Obierała kartofle, gniotła ciasto na kluski, podkładała pod kuchnię, prała, zmywała, a widziała, gdy się tylko zamyśliłem czy choćby obsadkę obgryzałem. I przynajmniej musiała powiedzieć:

– Czasem tak nic nie chce przyjść do głowy. Myślisz, myślisz, a myśli od ciebie uciekają.

A właśnie myśli wciąż uciekały ode mnie i tylko panny Ponckie i panny Ponckie przychodziły mi do głowy. Czasem śmiejąca się Róża, a przeważnie naga Ewelina. Lub na odwrót, Ewelina się śmiała, a naga była Róża. Nieoczekiwanie Ewelina, śmiejąc się, powiedziała:

– Rzeczywiście, głupia jestem. I na cóż mi szlafrok? Piotrusia miałabym się wstydzić? Och, jeszcze tak gorąco dzisiaj. – I wzięła mnie za rękę. – Chodź, pójdziemy do kuchni, Piotruniu, zrobię ci kakao. Zapomniałyśmy na śmierć. Tylko otwórz oczy. Z zamkniętymi oczyma będziesz pił?

Wyjęła puszkę z szafki z napisem kakao, wsypała do kubka dwie czubate łyżeczki. Po cukier musiała się jednak na palcach wspinać, bo stał

na najwyższej półce.

– Stawiamy tak wysoko, żeby nas nie kusił – powiedziała. Dolała kapkę mleka z garnka i postawiwszy garnek z powrotem na ogniu, zaczęła to kakao ucierać, a tak szybko, że aż piersi się jej rozdzwoniły, a nawet parę kropel kakao bryznęło mi na twarz. Zaraz mi otarła swoją ciepłą, mięciusieńką dłonią.

– Och, przepraszam cię, Piotrusiu. Miałbyś piegi przeze mnie. I to już na całe życie.

Chciałem powiedzieć, żeby sobie też otarła, bo ma czubki piersi tak samo pobryzgane tym kakao, lecz zląkłem się, że mi może zniknie, i znów będę musiał myśleć, jaki pożytek mamy z deszczu.

Nagle mleko zaczęło kipieć.

– Och, mleko kipi! – krzyknęła i złapała czerwonymi koniuszkami palców garnek z ognia, odstawiając go w ostatniej chwili, bo już mleko ponad brzegi się wzniosło. Nalała tego mleka do kubka z kakao, rozmieszała łyżeczką i wręczając mi, pogłaskała mnie jednym z tych czerwonych koniuszków po ręce.

– Masz, pij. – Patrzyła, jak piję, czasem głaszcząc mnie, a czasem upominając: – Nie patrz na mnie, pij. – A w pewnej chwili przeciągnęła się i złożywszy głowę na splecionych z tyłu rękach, niczym na poduszce, powiedziała: – Och, jaka szkoda, że nie jesteś już dorosły, Piotrusiu. Podobamy ci się, prawda? A co ci się najbardziej w nas podoba?

Zawstydziłem się, pewnie i zarumieniłem, i nic nie powiedziałem, piłem dalej kakao. Chyba jednak mi nie uwierzyła, że piję, bo coraz zachłanniej pytała:

– Nie wstydź się, powiedz. – Więc tym bardziej zachłannie piłem to kakao, choć było gorące i parzyło mi wargi, gardło, a nawet w żołądku czułem, jak mnie parzy. – Powiedz, proszę. – Położyła dłonie na piersiach

i głaskała się po ciele od tych piersi w dół, wciąż mnie prosząc, a nawet była bliska płaczu: – No, powiedz, Piotrusiu.

– Pępek – nie odrywając kubka od ust, wyrzuciłem jednym tchem.

– Pępek? – Zerwała te dłonie z siebie. – Pępek – wyrzuciła ni to ze zdziwieniem, ni z zawodem w głosie. – Ale dlaczego?

Nie wiedziałem dlaczego. Może to zadanie o deszczu tak mnie tylko natchnęło. Ten pępek pośrodku jej brzucha wydał mi się małą muszelką, tkwiącą w ławicy złocistego piasku, wyrzuconą przez rzekę. A nawet wyobraziłem sobie, że mógłbym tę muszelkę wyłuskać z jej brzucha i wrzucić z powrotem do rzeki.

– Pępek?! – Wybuchła nagle śmiechem i zaczęła wołać w stronę pokoju: – Róża! Róża! Czy może Ewelina! Ewelina! Chodź szybko! Posłuchaj, co się Piotrusiowi najbardziej podoba. Pępek! – I już śmiejąc się bez granic, bawiła się samym słowem: – Pępek! – I aż zanosiła się tym śmiechem: – Pępek!

Wtem nieoczekiwanie jakby spadła w przepaść z tego śmiechu, złapała stojącą na kredensie puszkę, potrząsnęła nią i z przerażeniem wyrzuciła:

– Boże ty mój! Kończy nam się kakao. Kto nam znowu przyniesie? Róża! Róża! Czy może Ewelina! Ewelina! Zabraknie nam wkrótce kakao dla Piotrusia!

W tym momencie drzwi się otworzyły i w drzwiach stanęła matka. Niosła w obu rękach, jak zwykle, gdy wracała z miasta, pełne siatki kartofli, buraków, marchwi, cebuli, chleb, kapustę i pozawijane coś tam w papierach, może kości na zupę, kawałek sera, słoniny. Miała oczy nabrzmiałe jakby od ciężaru tych siatek, lecz kiedy spojrzała na mnie siedzącego przy stole nad zadaniem, domyśliłem się od razu, że coś niedobrego w tych oczach niesie. Może znowu złość na te schody? Ale to by już rzuciła się na mnie:

– Piotrek, pomóż! Co za dziecko, żeby nie wyjść choć na pół schodów po matkę!

Lecz skoro nie złość, to pewnie płacz, pomyślałem. I czekałem w napięciu, kiedy położy te pełne siatki pod kuchnią, potem odsunie sobie gdzieś tam w kąt stołeczek, przysiądzie i zacznie płakać albo ten płacz sam z niej popłynie, jak nieraz, bezszelestnie i bez żadnej, zdawałoby się, przyczyny.

Nie był to jednak i płacz. Bo gdy położyła te siatki pod kuchnią, powiedziała:

– Piszesz, synu? Pisz. Pisz. – I wzięła się od razu za wyładowywanie siatek. – Byłam u ojca w szpitalu. Chyba już niedługo umrze. – A odwijając coś tam z papieru, powiedziała: – O, udało mi się kupić kości, zrobię krupniku, to mu zaniesiesz po południu. Nie chce nic jeść, ale krupniku na pewno zje. Jeszcze na kościach, z natką. Zawsze lubił dużo natki. I koc mu zaniesiesz, bo mu zimno. Gorąco takie, a jemu zimno. Ledwo ubłagałam portiera, bo nie chciał mnie puścić, że po południu są odwiedziny. Nie i nie, że po południu. Męża mi tu przywieźli, mówię. Muszę się dowiedzieć. Coś pan taki zawzięty, przecież widzę, że dobry z pana człowiek. O, ma pan piwne oczy, a to dobre oczy. A wódą zajeżdżało od niego, mówię ci, i patrzył jak zbój. Ale nieraz człowiek musi powiedzieć fałszywie. Bo kto ci się wyprze, że jest dobry czy młody, czy ładny, jak mu powiesz, że dobry, młody, ładny. Pewnie w łapę chciał, ale skąd mu wezmę.

Odwinąwszy znowu coś z papieru, zaczęła się temu nieufnie przyglądać, ważąc w ręku. Przełożyła do drugiej ręki i tak samo ważąc, powiedziała:

– Jest tu ćwierć kilo? Zobacz no. Ćwierć kilo, a jakoś tak mało. Ćwierć kilo, to przecież wiem, ile jest. Musiała mnie, zgaga, oszukać. A żeby ci, zgago, Pan Bóg tym samym odpłacił. Na ręce patrzysz, a cię oszukają.

Muszą odważniki takie mieć, że zamiast dziesięć deko jest dziewięć czy osiem. Albo wagi tak poustawiane. Na jednym deko, na drugim deko, to ile to naoszukują za dzień, Chryste Panie! Nawet wojna ich nie oduczyła. Tyle ludzi na darmo zginęło. Przed wojną tak nie oszukiwali. A choćbyś poszedł sprawdzić do innego sklepu, to wszędzie mają takie same odważniki, takie same wagi. Zresztą nie pójdziesz z tym kawałkiem słoniny, że jest dwa czy deko mniej, bo aż wstyd. A ojciec ich jeszcze bronił, że przewrażliwiona jestem. Jak ma człowiek być nieprzewrażliwiony, kiedy na każdym kroku oszukują. Poszedłby sam kupować, to by się przekonał, czy przewrażliwiona. Umrzeć to najłatwiej, ale jak ty będziesz sama potem żyła...

– Mama mi nie przeszkadza. Piszę – przerwałem jej.

– A zapomniałam. Przepraszam cię, synu. Już więcej nic nie powiem. Pisz. Skosztuj tylko, jaki dobry ser kupiłam. No, skosztuj. Ten okruszek, aby z brzegu. E, dziecko jesteś, a dziwadło. Do kogoś tyś się wrodził? A do wujka Władka pewnie, takie samo dziwadło. Sera w ogóle nie lubi. Ojciec zawsze próbował. Z pracy wrócił, to pierwsze się pytał, co na rynku dzisiaj kupiłam. Powiedziałam mu, że ser, to daj skosztować. I zawsze chwalił, że aż słodzi. Bo nie kupuję nigdy na łapu capu, najpierw obejdę, tu skosztuję, tam skosztuję i dopiero. Kluski ze słoniną i serem jak ugotowałam, to mało co gryzł, tylko łykał. A pogryźżeż choć trochę, mówiłam, bo żołądek tego nie wytrzyma. Wytrzyma, wytrzyma, mam żołądek wojskowy. Tak zawsze z nim było. Nigdy nie dbał o siebie. Wejdziesz, to zaraz na prawo leży. Nie poznałam go. Całą salę przeszłam. Mąż mój, mówię, gdzieś tu leży. I dopiero głosikiem jak nitka, tu jestem. Od pościeli go trudno odróżnić. Siadłam na brzegu łóżka, pytam go się, jak się czujesz, może ci coś trzeba? To wziął mi tylko rękę, przyciągnął do siebie i od razu się spocił, i ani słowa. Powiedziałby tak, siak, lepiej, gorzej. Coś trzeba powiedzieć, a tym

bardziej kiedy wie się, że się umrze. A przecież wiem, że wie. Mnie nikt nie oszuka, tak samo na wadze co na śmierci. To z drugiego łóżka jakiś chory zaczął mnie dopiero pocieszać, niech się pani nie martwi. Zjadł mąż wczoraj kolację, zjadł dzisiaj śniadanie. Ale ja tam swoje wiem. Spojrzę i już wiem. Kołchoźnik na ścianie mają, słuchają sobie. Ten miesiąc, dwa mógłby jeszcze pożyć, bo choćby na pogrzeb skąd tu będzie wziąć, mój Jezu. Sama trumna ile. A ksiądz? Mszę przecież trzeba. Czy organista, zagra czy nie zagra, ale trzeba coś mu dać? Czy kościelnemu nie daj. Pogasi ci świeczki, zanim ksiądz jeszcze skończy kropić. O, jest do płacenia, kiedy człowiek umrze. Każdy niby cię żałuje, a patrzy, co mu dajesz. Co łaska niby, a co łaska, wiadomo, najdrożej. A już grabarze mają dzisiaj używanie. Jeszcze tam u nas, we wsi, ziemia ilasta. To ten zdziertus nie tyle od grobu, co od tej ziemi bierze. Głowa mi już pęka, myślę i myślę. Bym może przez ten czas coś zarobiła, jakby jeszcze trochę pożył. W łokciowym mają mieć w przyszłym tygodniu na wsypy. Na wsypy poszłoby, przez wojnę ludziom się powydzierało. Pamiętasz, jak wtedy ze szklankami byliśmy, tak mnie jedna prosiła? Pani, o, łata na łacie, a mój stary jeszcze kopie przez sen, jakby diabła miał w nogach, to każdego rana cali w piórach jesteśmy. I obieraj to potem z siebie, ile to schodzi, a tu świnie, krowy. Naszych panien znajoma tam sprzedaje, pogadałabym z nimi, może by mi dała na kredyt. Przecież bym jej nie zarwała. Zarwałam co komu?

– Niech mi mama nie przeszkadza. Widzi mama, że piszę – wyrzuciłem jednym tchem, aby ją wyprzedzić, nim zacznie następne zdanie. Ma się rozumieć, nie pisałem i nawet mi to w myślach nie postało. Jeszcze wspomniała o pannach Ponckich i znów Ewelina, czy może Róża, zjawiła mi się nago, zanosząc się śmiechem:

– Pępek! Cha! cha! cha! Pępek!

– A to pisz, pisz, synu. Tak się jakoś rozgadałam. Ale nic już nie powiem. Nieraz tak przychodzi na człowieka. Zamiast płakać, to by się gadało i gadało. A znów innym razem ani płakać się nie chce, ani słowa powiedzieć. Wiadomo, jak ktoś pisze, a ktoś drugi gada, to jakby kamieniami na to pisanie rzucał. I mu myśli uciekają. A jak myśli uciekną, to skąd się co napisze? Z pustej głowy? O, powykładam sobie to wszystko, a ty pisz. Obiad muszę zaraz wstawić. Krupnik zresztą to raz dwa. A jutro chyba zrobię buraczków z kartoflami. Zjadłbyś? Kupiłam kwaterkę śmietany. Dobre będą buraczki. – I znów potok słów zaczynał z niej płynąć, jakby nie miała siły go zatrzymać, chociaż próbowała mu się oprzeć. Starczyło jej jednak tego oporu na tyle zaledwie, żeby wyjąć słoik ze śmietaną z siatki i postawić go na kuchni. Wydał jej się jednak tu niezbyt bezpieczny, bo gdy wyjmowała buraczki, nagle przerwała i przeniosła ten słoik na półkę na ścianie. – Jeszcze wezmę go niechcący strącę. A taką dobrą śmietanę kupiłam. Podrabiają i śmietanę teraz. Mąką z mlekiem. Nożem możesz kroić, jak kto się nie zna, a to podrabiana. Mnie tam na śmietanie nie oszuka. Żeby nie wiem jaka była gęsta. Z mąką, widzisz, nigdy wodą nie podejdzie. I wszystkim paniom się wydaje, że niepodrabiana. A niepodrabiana musi choć troszeczkę podejść, bo co to za śmietana. Najlepszą się z kwaśnego mleka zbiera, to musi podejść. Nawet czysto w tym szpitalu mają. Przyszła pielęgniarka, to im wszystkim poroztrzepywała poduszki pod głowami. Dobrze, że akurat byłam, to choć przytrzymałam ojcu głowę, to i lepiej mu roztrzepała. Pytam go się, był lekarz u ciebie? Był. I co ci powiedział? Nic. Jak to nic? To jaki to lekarz? Już cię jeden taki leczył. Chodziłeś, chodziłeś, aż ci w końcu do szpitala kazał, to przez same te schody ileś zdrowia zdarł? I wciąż tylko kropelki i kropelki. Jakby nie mógł ci jakichś zastrzyków. Niechby kosztowały. Ostatnią sukienkę bym sprzedała. Gdzie to samymi kropelkami wyleczy?

A może też chciał w łapę, choć i tak brał za wizytę, o, brał. Wszyscy by tylko w łapę, gdzie się nie oglądniesz. A skąd na to? Mnie nikt w łapę nie da, że żyję, a jeszcze muszę się tak mordować. O, chleb znowu podrożał. Mówią, że i cukier ma podrożeć. A ty też nie musiałeś ojca ciągnąć tymi schodami i wciąż tymi schodami.

– Mama przestanie. Piszę – syknąłem i ze złości nawet przekreśliłem to, co miałem napisane, że ogródki kropi, sady, pola, Wisła przybiera, a czasem z brzegów występuje, że w deszczówce się najlepiej włosy myje.

– Widzę, że piszesz – obruszyła się. – Ślepa nie jestem. Za każdym razem ci przypominałam, idźcie Browarną. Idźcie Browarną, synu. Czy choćby koło Zamku. Dłużej, ale i tak byłoby bliżej na to jego serce.

– To ojciec nie chciał – wyrzuciłem i jednocześnie pożałowałem tego, bo wydało mi się, jakbym zdradził jakąś tajemnicę, która nas z ojcem łączyła.

– Co nie chciał? – Wyprostowała się i ściskając marchew w ręce, bo akurat wyjmowała marchew z siatki, tą marchwią jakby zaczęła kreślić jakieś znaki w powietrzu, dając wyraz swojemu bólowi: – Co on mógł nie chcieć, kiedy ledwo nogami powłóczył?! A tyś nie chciał! Byś mu powiedział, idziemy Browarną, to by ci się słowem nie sprzeciwił. Zawsze zgodny był. Prędzej już ja się na niego zezłościłam. A on zawsze, zrób, jak uważasz. Niech będzie, jak uważasz. Rozpłakałam się nieraz, to w śmiech to obrócił, aby tylko była zgoda. Nawet zazdrosny o mnie nie był. Cieszył się, kiedy miałam powodzenie. A ja, głupia, mu wypominałam. No, bo jakżeż mąż? Raz tak byliśmy w resursie na sylwestra. Miałam śliczną suknię. Niebieską i takie czarne mazy na niej, czarne pantofle, a jeszcze ci poszłam do fryzjera, Matko Święta, ile to wtedy kosztowało, ale on, idź. Ściął mi trochę, uczesał, tak jak wtedy było modnie. Ojciec też był ładnie ubrany. Miał ten ciemny garnitur. Białą koszulę, krawat w takie paski

niebieskie z granatowym. Siedzimy przy stoliku, orkiestra gra. Mówię mu na ucho, chodź, zatańczymy. Ale nie bardzo tańczył. Jeszcze walczyka jakoś się tam kręcił, ale w tangu deptał mi po nogach, i to ja musiałam go prowadzić. Nie tak ciągle w jedną stronę, mówiłam. Teraz w lewo, w prawo. Zwolnij, zgubiliśmy krok. Za szybko, to tango przecież, nie słyszysz? No, chodź, mówię. Patrzą na nas, czemu nie tańczymy. Wszyscy od stolika poszli tańczyć. Było nas trzy pary, jego koledzy z biura z żonami. A on, najpierw zjedzmy coś, wypijmy, mamy całą noc przed sobą. I wtedy poprosił mnie inżynier Imiela. A ojciec wiedział, że inżynier Imiela podkochuje się we mnie. Ma się rozumieć, spytał się, czy może. Jak on tańczył, mówię ci. Prawie się nie czuło. I tak, i tak. Nie spotkałam jeszcze, żeby ktoś tak tango tańczył. Potem drugi raz mnie poprosił. A ojciec nic. Później znów, grali *Nasza jest noc*. A jaki był przystojny. Wszyscy się dziwili, czemu się nie ożenił. Ale bo to wie się, co w człowieku siedzi? Różne mogą być przyczyny. Już mi przy stoliku zaczęli docinać, a ojciec tylko, zdrowie mojej żony i zdrowie mojej żony, no, i tamtych żon, na zmianę. Ale jak mnie znów poprosił, to już byłam zła, bo żeby choć powiedział, dokąd pan będzie z moją żoną tańczył? Ani słowa. Uśmiechał się, kiwał głową i zadowolony. Wracaliśmy, to przez całą drogę nie mógł się nachwalić, jaki to zdolny inżynier ten Imiela. Aż mu powiedziałam, przestań! Gdzie to, żeby z własną żoną ani razu nie zatańczyć. Dopiero potem się dowiedziałam, że już wtedy był na serce chory. Jak z drożdżami jechałam, spotkałam w pociągu Zacierę. Jego kolega z biura, tylko w innych działach pracowali. Przeżył wojnę, też trochę handlował, trochę przy wodzie sodowej robił. To nic pani nie wiedziała? Jak to? Ano, ciągle przy herbacie brał jakieś kropelki. Zachodziłem czasem do męża na herbatę, to na własne oczy widziałem. Chwileczkę, panie Lucjanie, bo właśnie liczę. Czterdzieści. Proszę siadać. Aż mi się głupio zrobiło, żona

i nic nie wiedziałam. Ale tak zawsze z nim było, miał kłopoty w pracy, to nigdy się nie przyznał. Zmartwiony nieraz, widziałam przecież, że zmartwiony, pytam go się, stało się coś? E, nic. To czemuś zmartwiony? Niezmartwiony, wydaje ci się. I ja, głupia, we wszystko wierzyłam. Dobrze, że choć tego garnituru nie sprzedałam. A tak mnie namawiał, sprzedaj i sprzedaj, bo na sylwestra już przecież nie pójdziemy. Zresztą zacznie pracować, to nowy sobie kupi, a ja nową suknię, pantofle. A w tym spodnie za szerokie, węższe się teraz nosi i marynarki luźniejsze, jednorzędowe, klapy dłuższe, a przerabiać się nie opłaci. Był nawet kupiec, ale co tam dawał. Zezłościł mnie dziad i mu powiedziałam, o, idź pan, idź pan, panu by się cajgowy nadał, a to czysta wełna. Gdzie pan teraz czystą wełnę dostanie? I samo uszycie ile? A mąż miał ze trzy razy ten garnitur na sobie. To prawie nowy. Jeszcze marudził, kiedy przymierzał, że tu mu przyciasny, guziki trzeba by przesunąć. A idź w cholerę, dziadu! Trzeba mieć figurę do takiego garnituru. A ciebie choćby siekierą obciosał, i tak będziesz jak trzy ćwierci wyglądał. Garnituru się zachciało. Mąż był w nim na sylwestra, to wyglądał jak z filmu. Albo może zrobię jutro klusków ze słoniną i z serem, a buraczki pojutrze? Zjadłbyś klusków ze słoniną i z serem? Przed wojną to robiłam ci zawsze zupę ze śliwek, bo ze śliwek najlepiej lubiłeś. Przetarłam, podbiłam śmietaną. Tak lekarz mi poradził, żeby ze śliwek ci robić, z wiśni, z jagód. Pakowałam w słoiki na zimę...

Te zupy nadarzyły mi znów okazję, żeby wedrzeć się w jej słowa. Tym bardziej że dotyczyły mnie, a więc miałem prawo chcieć słuchać o nich albo nie, co znaczyło to samo, co bym wolał zupę z jagód zamiast z wiśni. I powiedziałem:

– Prosiłem, żeby mama mi nie przeszkadzała. Widzi mama, że piszę – powiedziałem łagodnie, podobnie jak ona mówiła łagodnie o tych zupach. Bo mówiła, jakby nie chciała robić poróżnień między zupą śliwkową

a jagodową czy wiśniową, każdej oddając należną jej sprawiedliwość. Toteż wszystkie były jednakowo słodkie, jednakowo smaczne, jednakowo podbite śmietaną, jednakowo zdrowe. I na usprawiedliwienie powiedziałem jeszcze:
– Jutro mam lekcję u pana. Co mu powiem, że nie napisałem?

– Czego i ty?! – nieoczekiwanie ofuknęła mnie, wznosząc się z tej łagodności na szczyt oburzenia. – Jakbym nożem cię dźgała! Mówię tylko. Słowa ci już nie można powiedzieć. Piszę. Piszę. Widzę, że piszesz. Myślisz, że jak piszesz, to już matka nic mądrego nie może powiedzieć? A ja choć nie piszę, też myślę. I nikt mi nie powie, źle czy dobrze. Tylko sama muszę. Piszę. To pisz. Byś myślał, co piszesz, to armaty mogłyby ci walić. A pewnie myślisz o niebieskich migdałach i dlatego przeszkadza ci, co mówię. Matka mu przeszkadza, widzicie go. A co ja znów takiego mówię? I do kogo mam mówić? Do nich pójdę, na górę? Zaczną mi bluzki pokazywać, jakie sobie kupiły? Czy pantofle? Czy tanga niech pani posłucha? Och, jakie śliczne mamy tango! A mnie tango akurat w głowie. Kiedy nawet płakać mi się nie chce. Wypłakałam się już dosyć. I jeszcze na pogrzebie trzeba będzie zapłakać, choćby i nie było już czym, bo cię potem ludzie mogliby obmówić, o, nawet nie zapłakała. Żona. A i potem jeszcze, wiadomo jak długo? To ile to łez trzeba? Śmierć nie przechodzi tak od razu. Do końca życia nieraz się ciągnie. Niektóre nawet mdleją. Ale to też niedobrze, bo powiedzą, że zrobiłaś z siebie widowisko. Muszę gdzieś czarnej chusteczki pożyczyć na głowę, bo w kapeluszu gadaliby, że się wyprymiłam. I niemodny już ten mój kapelusz. Bluzkę na szczęście mam tę czarną w białe groszki. Lato, to groszki nie powinny razić. Nie lubię zresztą, kiedy ktoś tak cały na czarno, że nawet nitki jaśniejszej. Ubranie z bólu nie wyręczy. Ale w co ty się ubierzesz? Myślę i myślę, spać już nie mogę. Ale ty pisz, synu. Nie słuchaj, co tam mówię. Więcej do siebie mówię. Chyba żebyś to marynarskie ubranko założył. Trochę wyrosłeś, ale

ujdzie jeszcze. I kiedy ty tak urosłeś? Takie śliczne ubranko. Mieliśmy nad morze pojechać. Kiedyś mi się tu nawet śniło morze. Statkiem płynęliśmy, a fale były pod niebiosa. I ojciec mówi, trzymaj się, bo cię fala zrzuci. A ja mówię, Zygmunt, Zygmunt. O, i się zbudziłam. Czapki tylko mógłbyś nie zakładać, bo i tak ją na cmentarzu musisz zdjąć. Tylko co na nogi? Nie pójdziesz przecież w jednym bucie innym i drugim innym. Będą tam patrzyli nie tylko, czy płaczesz, ale i co masz na nogach. Mój Boże, ile razy sobie przypomnę, to aż serce mi się kraje. Prawie dwa razy tyle kosztowały, co by u tańszego szewca. Nie czułeś, że lżej ci się zrobiło na plecach? Dwa a jeden to połowa różnicy, kiedy się coś niesie. I nic innego nie niosłeś. A temu łobuzowi dałam taką piękną torebkę, to kulfona ci dorobił. Szubrawiec. Jeszcze w żywe oczy wmawiał, że taki sam. Na świętości się zaklinał, że taki sam i taki sam. Nie chciałam się zgodzić, to wszyscy na mnie. Nawet ojciec, że taki sam. A gdzie taki sam? Gołym okiem widać, że jeden od Kajfasza, drugi od Annasza. Nawet chód masz w tym inny i w tym inny. O, kiedyś mi się tu Potocka pyta, pani, co ten pani chłopak jakoś tak na każdą nogę inaczej chodzi? Niech pani nie daje, bo się przyzwyczai i tak już będzie chodził. A twój, pomyślałam, jeszcze gorzej chodzi, jak kaczka, i ile lat od mojego starszy. Swojego upominaj. Ale powiedziałam, że dziękuję jej, dobrze że mi pani zwróciła uwagę.

I nagle rzuciwszy się w stronę łóżka, uklękła i sięgając ręką w głąb, aż brzeg łóżka wbił się jej w policzek, wyrwała stamtąd te buty.

– No, gdzie taki sam? Gdzie taki sam?

Postawiła z trzaskiem te buty na stole tuż przed moim nosem.

– Mama mi nie stawia na zadaniu – powiedziałem. – Będę potem musiał przepisywać.

– To przepiszesz! Po to chodzisz na lekcje. Gdzie taki sam? Ani trochę niepodobny ten do tego. O, ten ma nosek zgrabny, wąski, a ten kulfon. I już

trochę zachodziłeś. Ale nowe były, to jeszcze gorzej było widać. O, nawet z błota nie oczyścił. Jak ty dbasz? Myślisz, że ci nowe kupię? Za co? Ojca nie ma nawet za co pochować.

– Przecież jeszcze nie umarł – wtrąciłem nieśmiało.

– Nie umarł? – Spojrzała na mnie nabrzmiałymi oczyma, że wydało mi się, buchnie zaraz wielkim płaczem, ale powtórzyła tylko jakby z niedowierzaniem: – Nie umarł? – I zdjęła te buty ze stołu.

Chwilę tak stała z nimi, obracając je przed oczyma, jakby rozdarta między tymi butami a ojcem.

– O, nawet ten jest jaśniejszy od tego – powiedziała. – I w tym zapiętek inny, i w tym inny. I tu szyte inaczej, i tu inaczej. I dziurki w obu inne. To jak taki sam? Pięść do nosa, tak jeden do drugiego podobny. Jeszcze jak w zdrowego chorobę we mnie wmawiał. A żeby cię pokręciło! – wybuchła wściekłością na szewca. – Nie zna się pani. Nie zna się pani. But z lewej i z prawej zawsze będą inne. Ja się nie znam?! Ty partaczu! Podkówki ci najwyżej przybijać. Nie potrafisz, to nie bierz się za buty. – Łzy zaczęły wypychać jej oczy, mogłoby się wydawać, że ze wzburzenia narastającego z każdym słowem. – I ta skóra nie z mojej torebki! Swojej torebki bym nie poznała? A ukradł i z jakiejś starej cholewy ci dorobił. Nie zna się pani. A co ja butów miałam na nogach, to tyś tyle nie naprawił. – Postawiła znów z trzaskiem te buty na stole. – Gdzie taki sam?! Oszust! Złodziej! – I nagle zerwała te buty ze stołu i wybiegła z nimi do panien Ponckich. – Niech one powiedzą, czy taki sam. – I trzasnęła drzwiami za sobą, aż drżenie przeszło po stole, a ze stołu na mnie.

Nie poczułem jednak ulgi. Po jej wyjściu siedziałem jakiś czas zupełnie ścięty, bojąc się obrócić choćby głową na te drzwi czy zakołysać nogą pod stołem, czy umaczać obsadkę w kałamarzu i napisać jeszcze raz to samo zdanie, które skreśliłem w przypływie złości.

Panny Ponckie już mi się nie chciały pojawić, a zaczęło mnie dręczyć, ile było w tym mojej winy, że zgubiłem wtedy tego buta. Nie chciałem go przecież zgubić. Mógłbym nawet na swoją obronę powiedzieć, że było w tym tyle samo winy matki, co mojej. Ledwo słońce wzniosło się nad widnokrąg, a rosa z pól jeszcze nie opadła, powiedziała:

– Ależ to grzeje, grzeje. Wrzesień, a tak grzeje.

I na pierwszym odpoczynku, gdyśmy przysiedli pod starą wierzbą i mieliśmy zjeść po jajku, już sięgając do siatki, w której ojciec niósł te jajka, nagle się zdziwiła:

– Co ty w butach, Piotrek, idziesz? O, jaka to ziemia gorąca. – I dotknęła tuż przy swoich stopach dłonią ścieżki. – Mógłbyś boso iść. Widziałeś, jakeśmy przez tamtą wieś przechodzili, wszystkie dzieci boso były. Czy na tych łąkach, tak samo boso paśli. Nie wiadomo, na jak długo muszą ci te buty starczyć. A tu zima idzie, synu.

Szedłem więc boso, niosąc te buty zawinięte w kurtce na plecach, a skręcone rękawy kurtki trzymałem w garści na piersiach. Toteż nie wiem, jak mi mógł ten jeden wypaść. Na zdrowy rozum biorąc, wydawało się to niemożliwe. Powinienem był przynajmniej coś usłyszeć, od pleców do ziemi kawał wysokości, a but nie piórko, nie mógł bezszelestnie spaść na twardą ścieżkę, a choćby i w trawę na boku. W czasie odpoczynków zresztą matka oglądała po nas miejsca, czyśmy czegoś nie zostawili.

Prawdę mówiąc, wcale mi nie przeszkadzało, że ten dorobiony potem z jej torebki but jest trochę inny, jakby nie od pary. Także ojcu nie wydawał się chyba dużo inny, bo gdy matka piekliła się nieraz na szewca, z tą swoją chorą już wyrozumiałością uspokajał ją, że czego chce od tego buta? Może więc nie był inny, bo gdy szewc go przyniósł i postawił oba przy sobie na stole, tylko matka zobaczyła między nimi różnicę i nie chciała się za nic

dać przekonać, że jest taki sam. Była zresztą nieufna wobec szewca od samego początku.

Kiedy wróciliśmy pod wieczór z powrotem do dziadków po daremnym poszukiwaniu tego buta, na jej usilne molestowania, że trzeba coś zrobić, dziadek z gospodarzem poszli i przyprowadzili szewca. Wyglądało, że i szewc nam współczuje, mimo to matka od razu natarła na niego, że but musi być taki sam.

– Ale żeby był taki sam – z rosnącym naciskiem raz po raz powtarzała, kiedy szewc pod światłem obracał w rękach tego ocalałego buta, oglądając go ze wszystkich stron. Co prawda, dość długo oglądał i oglądał, a do tego jakoś tak dziwnie ni to wzdychał, ni prychał, a słowa nie powiedział, że samo to mogło w matce podnieść napięcie do granic wytrzymałości. – Bo jak nie będzie taki sam, to nie zapłacę. – A widząc, że szewc dalej tego buta obraca i obraca, wyrwała mu go z rąk i przykazywała: – O, kapka, jak i przy tym żeby była. O, i tu szyte, jak przy tym. O, i tu tak samo. I tu, i tu. – Jechała palcem niczym po globusie, pokazując szewcowi wszystkie kraje i kraiki, że ma być, jak i przy tym bucie. A szewc wciąż ni to prychał, ni wzdychał. W pewnej chwili prychnął głośniej, jakby dotknięty nagle w swojej szewskiej dumie, i powiedział, że co mu będzie wywijać i wywijać tym butem, on czy ona szewc? Nie takie buty robił, oficerki robił, na wesela robił, robił skrzypiące i cichuteńkie, robił temu, tamtemu, księdzu proboszczowi robił, dziedzicowi robił, a teraz ruskiemu lejtnantowi robi, co przy generale jest. O, był wczoraj u niego, popili, pośpiewali, przyniósł tuszonkę, a dopiero cholewy na kopyta mu naciągnął. Gdyby nie to, żeśmy wysiedleńce i w nieszczęściu, nie przyszedłby wcale. Ale w nieszczęściu, wiadomo, trzeba drugiemu pomóc, tylko najgorsze, że nie ma takiej skóry. Na spody by ze starego jeszcze coś znalazł, bo kto tam spody ogląda, chodzi się po ziemi, no, a w kościele mógłbym nie klękać,

najwyżej na jedno kolano, na to od tego niezgubionego, póki nie zachodzę potem i tego dorobionego. A długo nie zachodzę? Jesień, zima, ubrecham, na ślizgawkach wyślizgam, to nikt nie pozna, który który. Co innego gdyby nieboszczykowi dorabiał, bo z trumny spodami się na świat wystaje, to spody muszą świecić. Cholewki w trumnie mniej ważne. Ale tutaj musi być na cholewkę taka sama skóra jak w tym, a to giemza. Wojskowej skóry może miałby kawałek. Ale przecież nie dorobi mi z wojskowej skóry, jak ten z giemzy. I rozłożył ręce.

Wtedy matka złapała zawieszoną na poręczy krzesełka torebkę, wysypała z niej wszystko na stół i wręczając ją szewcowi, powiedziała:

– Bierz pan, rób. To jest giemza. Tylko żeby był taki sam.

Widocznie jej ostrość zrobiła na szewcu wrażenie, być może nawet zląkł się jej, bo przestał ni to wzdychać, ni prychać. A gdzieś po tygodniu zjawił się z tym dorobionym butem, od progu już zadowolony ze swojej słowności. Jak powiedział, odłożył ruskiemu lejtnantowi oficerki, odłożył komuś tam, komuś tam jeszcze odłożył, a wziął się za mojego. A tym bardziej wydawał się zadowolony, że tak mu się udało tego buta dorobić, że nie pozna pani, powiedział, gdy postawił oba buty przy sobie na stole. Jednocześnie kazał podkręcić knot na całą lampę. Wujek Władek nawet zdjął tę lampę ze ściany i postawił na stole obok butów, podkręcając knot, aż babka krzyknęła, żeby nie podkręcał tak, bo szkło pęknie.

Wypucowane zalśniły w świetle rozjarzonej lampy, a jeszcze wszystkie oczy, dziadków, wujków, wujenek, ojca, matki, wbiły się w te buty, to i od tych oczu dodatkowo lśniły, a nawet zaczęły się rozpychać własnym światłem w dookolnym półmroku izby. Babka najwyraźniej obruszona, że buty stoją obok chleba, zabrała chleb, a wujek Władek przestawił je na środek stołu, przywarł bokami jeden do drugiego, wyrównał czubki, po czym uniósłszy lampę, krążył dobrą chwilę ponad nimi. Postawił tę lampę

z tyłu przy zapiętkach, w najkorzystniejszym dla butów, według niego, świetle. Szewc dumny, że jego dzieło tak się lśni, siadł na stołeczku pod kuchnią, trochę z dala, i zaczął uwijać sobie skręta.

Serce waliło mi młotem w piersiach i nawet obejrzałem się na izbę, czy ktoś aby nie słyszy. Lecz wszyscy byli zatopieni w tych butach, ważąc pewnie w myślach, czy jeden podobny do drugiego, albo też ważąc same słowa, podobny, niepodobny. Wyciągnąłem rękę, chcąc dotknąć tego dorobionego buta, lecz w tej samej chwili matka powstrzymała mnie warknięciem:

– Zostaw.

– Co pani chłopakowi dotknąć nie da? – powiedział nadąsany szewc. – To jego buty. On będzie w nich chodził, nie pani.

– Skąd wiecie, że będzie? – rzucił wujek Władek. – Nie wiadomo jeszcze, czy podobny. A niech się okaże, że niepodobny?

– Co niepodobny? Jak niepodobny? – żachnął się szewc, wypuszczając wielki kłąb dymu na izbę, aż zawiało i na te buty, jakby chmura na nie naszła.

A wujek Władek, szukając widocznie wsparcia, zwrócił się do matki:

– Co nic nie mówisz?

– Bo co od razu już mówić? – uprzedził matkę dziadek, chociaż nie wiadomo, czy matka miała zamiar wujkowi odpowiedzieć. Patrzyła na te buty i tylko oczy jej rosły. – To tylko u ciebie, chorobo, słowa są na poczekaniu. Potem dopiero myślisz.

W innej sytuacji pewnie by się wujek z dziadkiem już sprzeczali wet za wet, lecz na szczęście był szewc i to na niego przeniósł wujek Władek swój odwieczny żal do dziadka:

– Dobrze choć wyraszplowaliście? Kołków nie napozostawało? Potem będą go obcierać.

– A to niech przymierzy – powiedział szewc i splunąwszy niedopałka pod nogi, roztarł go obcasem jak gada.

– Przymierzyć to i tak musi – powiedział znów dziadek. – Choć najlepiej jakby tak z tydzień pochodził, dopiero dałoby się coś powiedzieć.

– Chyba podobny – wtrącił się milczący dotąd wujek Stefan i nawet jakby cień zdziwienia zabrzmiał w jego głosie: – By się nie wiedziało, toby i nie poznał, który był zgubiony. Zapomnijcie i przypatrzcie się, ten czy ten? – I już podnosił się z ławy, żeby wziąć te buty ze stołu i podsuwając po kolei każdemu pod oczy, pytać, ten czy ten, dla potwierdzenia, że nie poznałby.

– Siedź! – nadąsana aż do granic płaczu matka nie dała jednak wujkowi się podnieść. – Nie zgubiłeś, to i poznać nie potrafisz.

Na co wujenka Jadwinia, chcąc widocznie przyjść z pomocą wujkowi Stefanowi, roztkliwiła się:

– O, najważniejsze, że będzie miał Piotruś w czym chodzić. Mój Boże, nie dość żeśmy wysiedleńce, to jeszcze buta dziecko zgubiło. Na szczęście już po zmartwieniu.

– Bo jak się coś zgubi – odezwała się z półmroków izby babka – to nic nie pomoże, tylko pomodlić się do świętego Antoniego. Mówiłaś, żeście się modlili?

– Bym nie miała torebki, to i święty Antoni by mi nie pomógł – odwarknęła matka.

– Nad czym się tu zastanawiać? – powiedział ojciec z tą samą łagodnością, z jaką zwykł obłaskawiać matkę, gdy widział, że wzburzenie lada chwila może z niej wykipieć. I robiąc ruch, jakby sięgał po pieniądze do kieszeni na piersiach marynarki, zwrócił się do szewca: – To ile jesteśmy panu winni?

– Hola! Zaraz! – Matka stanęła między ojcem a szewcem. – Co tak rwiesz się płacić? Jeszcze nie postanowione, podobny czy niepodobny. Wziąłeś na wieczór już swoje kropelki? To najpierw weź kropelki.

– Jak to niepodobny? – żachnął się szewc. – Toż to, pani, bliźniaki! Jakby jednej matki.

Chyba miał ochotę się zaśmiać, że tak dobrze trafił z tymi bliźniakami, bo twarz mu się jakoś tak skrzywiła, lecz nagle w tym skrzywieniu zastygła, bo oto wujek Władek z groźbą w głosie powiedział:

– Od jednej matki też są różne dzieci. Choćby i bliźniaki. U nas we wsi Pawełko miał bliźniaki, to jeden kruk, a drugi ryży i fałszywy.

– Bo nie zawsze dwa to para – wtrącił wujek Stefan. – Nawet konie, to nie każde dwa możesz zaprząc do jednego dyszla, tylko musi być para. To i z butami, choć ten lewy, a ten prawy, musi być para.

– Przyciemnijcie trochę lampę – rzekł dziadek. – Mniej światła, to nieraz więcej widać.

– A przyciemniajta! – wybuchnął szewc, najwyraźniej wściekły. – Możeta nawet zgasić! – I zabrał się znów do uwijania skręta, lecz ręce mu się trzęsły, że nie mógł nawet tytoniu nałożyć na bibułkę, więc dał spokój i schował z powrotem kapciuch do kieszeni. – Stodoła by się wam paliła i też byśta nic nie widzieli. Nietoperze, cholera, za jasno im! Podobny, niepodobny!

– Bo wcale niepodobny – zawyrokowała nagle matka.

I aż dziwne, szewc nie odezwał się na to ani słowem. Nawet jakby w pokorze przed tym jej wyrokiem spuścił głowę między ramionami i tak siedział niczym worek.

Zapadło milczenie, a po chwili z łóżka odezwała się jakby dopiero co zbudzonym głosem, po raz pierwszy zresztą, wujenka Marta:

– Może przymierz, Piotruś. – Już z wieczora kładła się zwykle spać, bo nie starczyło jej sił na cały dzień. A i w ciągu dnia polegiwała. Mówiła, że jesień to najgorsza pora. Jesienią zawsze jej się wydawało, że już umrze. – Najważniejsze, jak ci się będzie w nich chodziło.

Słowa jej nikogo nie poruszyły, nawet wujka Władka, choć lubił się rzucić, nawet gdy nie było o co, na wujenkę Martę za tę jej chorobę. A może wszyscy już przyzwyczaili się, że nic nie znaczą słowa, które umierają. I żeby może tych słów wujenki Marty nie zostawiać w pustce, wujek Władek zupełnie od rzeczy westchnął:

– O, Kruczek gdyby był.

Lecz i to jego westchnienie nie zachęciło nikogo choćby do pół słowa i mało kto już wbijał wzrok w lśniące na stole buty, więcej w siebie patrzyli, w ziemię, po ścianach, a wujenka Jadwinia siadła sobie w kąciku cichutko, choć zawsze pełno jej było. Toteż jakby w to milczenie ktoś kamieniem rzucił, gdy dziadek, wywlekając niczym nić ze swoich myśli, powiedział:

– I dokąd tak będziemy dalej dumać? Coś trzeba postanowić.

– A o czym tu dumać?! – Zerwał się ze stołeczka szewc, nie pozwalając dokończyć dziadkowi, choć wyraźnie miał dziadek coś jeszcze na wargach. – Powaryjowaliście, ludzie?! – I aż rozkrzyżował ręce. – Nie, to zabieram!

– A reszta skóry gdzie? – natarła na rozkrzyżowanego szewca matka.

– Jakiej skóry? – Szewc opuścił ramiona i klapnął z powrotem na stołeczku.

– No, z mojej torebki?

– Musiałem jeszcze ze swojej dołożyć na kapkę, bo nie starczyło.

– To i widać, że z wołu pan dołożył. A to giemza była. – I złapała tego dorobionego buta ze stołu i wciskając go szewcowi na podołek, wykrzyknęła: – Zabieraj go pan! Mój syn nie będzie chodził w jednym

innym i w drugim innym! Taki sam musi być! Chryste Panie, z giemzowej torebki zrobić takiego kulfona.

Ten kulfon do żywego dotknął szewca, tak że musieli go długo uspokajać, podobnie jak matkę, bo się rozpłakała i siadła w najciemniejszym kącie izby. Lecz w miarę jak się ten płacz w niej wypłakiwał, poddawała się, że może i podobny, a w każdym razie, że nie tak od razu da się poznać, że niepodobny. Jeszcze do tego jesień, zima idzie, to ubrecham i kto tam wtedy pozna, że niepodobny. A szewc, żeby matka już przystała, że podobny, nawet sporo opuścił na cenie.

Te buty jednak nigdy już nie dały jej spokoju. Ani nawet w pamięci nie pozwoliły się zatrzeć. Przy każdej okazji wydobywała różnicę między nimi, jakby nie chcąc się poddać temu, że stają się coraz podobniejsze, w miarę jak przestają być nowe. Może dlatego kazała mi je prawie co dzień czyścić, gdyż wypastowane, błyszczące wyjawiały wszystkie, i te najdrobniejsze, między sobą niepodobieństwa, dając matce tym samym możliwość użalenia się przynajmniej nad nimi:

– Mój Boże, no, nie inny ten a ten? Myślałam, może schodzisz ich trochę, to nie będzie tak widać. Człowiek w najgorszym zawsze szuka dobrego. Ale gdzie tam. Dobrego nieraz nawet nie pamięta się. A po oszuście ślad wieczny. Jak ty go zgubiłeś?

Być może, wcale jej o tego buta nie chodziło, bo ilekroć wypominała mi go, czułem, jakby ten zgubiony but pomagał jej upuścić trochę bólu, gdy była bólem przepełniona. Nie rozumiałem tylko, dlaczego akurat ten but?

Wypominała mi tego buta aż do końca życia. Podobnie jak wypominała ojcu, że ją tak wcześnie odumarł, traktując jego śmierć nie jak śmierć, o której wiedziała, że nie mógł na nią nie wyrazić zgody, lecz jak sprzeniewierzenie, które popełnił z własnego wyboru i w skrytości przed nią. Mówiła zawsze o tej jego śmierci z odcieniem zawodu, z tlącym się

gdzieś w głębi słów przekonaniem, że mógłby nie umrzeć, gdyby chciał. Nieomal obwiniała go o tę śmierć. A w miarę oddalania się od tej śmierci pojawiała się w jej wypomnieniach jakby gotowość przebaczenia mu, gdyby do niej wrócił. A przy tej jego śmierci gdzieś tam wciąż pałętał się mój zgubiony but. Wiele ważniejszych rzeczy całkiem zapomniała, z niektórymi zwracała się do mojej pamięci o wsparcie, nie pamiętasz, bo nie mogę sobie przypomnieć? Lecz tego buta miała zawsze na podorędziu, tak samo jak śmierć ojca, czy kiedy się złościła, czy kiedy płakała, czy bez przyczyny nawet, gotując, cerując, prasując.

Zdarłem dawno te buty, ale w jej pamięci najdrobniejszy szczegół nie chciał się wykruszyć. Pamiętała całą naszą drogę, co nieśliśmy, gdzie odpoczywaliśmy, cośmy jedli, pili, gdzieśmy las mijali, gdzie krowy pasące się na łąkach, gdzie jakie ognisko, gdzie ludzi w polu kopiących kartofle, gdzie wóz mijaliśmy z tymi kartoflami, gdzie babę z zajdami, gdzie chłopa orzącego, a gdzie siejącego, gdzie krzyż, figurę, bajoro, strumyk, rzeczkę. A nawet coraz więcej tego w jej pamięci przybywało.

– O, pamiętasz, gdzieś na Anioł Pański odezwał się dzwon. Ale jakoś nie było widać kościoła. Wieś tu, wieś tam, widać było chałupy, dymy z kominów, a kościoła nie. Powiedziałam, popatrz, może w tamtych krzakach ten but leży. Przeżegnaj się. Bóg jest, choć nieraz jakby go nie było.

Byłem już na studiach i przyjechałem na Boże Narodzenie. Ledwo mnie przywitała, i to wyraźnie przeskakując po słowach, co było znakiem, że spieszy się jej do jakiejś nowiny:

– No, jak tam? Dobrze wszystko? Anna też? Zaproś ją. Gęś upiekłam. – I natychmiast z triumfem w głosie obwieściła: – Wyobraź sobie, chyba wiem, gdzie zgubiłeś tego buta wtedy. Śnił mi się ojciec i powiedział, żebyśmy szukali w tych tarninach. Pamiętasz, cośmy ścieżką szli i takie

tarniny rosły? – Lecz nie pamiętałem, mimo że chciałem zrobić jej przyjemność i przynajmniej przytaknąć, że tak, tarniny pamiętam. – Cały czas drapały nas z boku, a ciągnęły się i ciągnęły. Mnie tu za rękaw od sukienki zaczepiły i trochę mi rozdarły. A tobie się kurtka na plecach rozwiązała i stanęliśmy, żebyś ją poprawił. Nie dziwiłabym się, gdyby gołe pole, ale tarnin nie pamiętać? O, jak bzy wysokie były. Obłamał ojciec nawet gałązkę i dał mi. A taka rozkwitła była, jakby śniegiem obsypana. I przecież tarniny na wiosnę kwitną, a to był wrzesień. A on, że to zamiast kwiatów, bo tak mało ci kwiatów za życia dawałem. I wtedy zobaczyłam, że twój but leży w tych tarninach, tylko nie mogłam go z nich wydostać, tak mnie kłuły. O, i się zbudziłam. Co tarniny mogą znaczyć? Ale kwitnące, to chyba coś innego. Żeby wam się chociaż z Anną inaczej życie ułożyło niż mnie z ojcem. Tarnin żeby nie pamiętać, aż dziwne. To jak ty, co się uczysz, pamiętasz?

Lecz nie pamiętałem żadnych tarnin. Pamiętałem tylko, jak szliśmy z powrotem, przeszukując całą drogę, aż do nocy. Natomiast w tamtą stronę gdyśmy szli, niewiele pamiętałem, w każdym razie nie to samo co matka. Jakby jej i moja pamięć rozeszły się już na zawsze przy tym bucie.

7
W poszukiwaniu zgubionego buta

Matka szła na przedzie, za nią ojciec, a na końcu ja. A choć najwięcej z nas trojga niosła, bo dwie ubite walizki, z trudem dotrzymywaliśmy jej kroku. Niby szliśmy w niewielkiej od niej odległości, lecz nie wiadomo kiedy o ten krok, dwa, trzy, dziesięć pozostawiała nas za sobą, a nieraz całkiem się od nas odrywała, że musiał ojciec wołać, żeby zwolniła, bo gdzie tak pędzi? Stawiała wtedy te walizki i czekając, aż do niej dojdziemy, witała nas zniecierpliwiona:

– Matko Święta, a cóż się tak wleczecie?

– A ty do czegóż się tak spieszysz?

– Będziemy tak szli i szli, a ktoś może za ten czas zająć tę twoją posadę. Zresztą wolniej, to mi się od razu ciężej idzie.

Szliśmy do sąsiedniej gminy, gdzie podobno poszukiwali sekretarza, i ojciec miał nadzieję objąć tę posadę. Poza tym gdyśmy poprzedniego dnia pod wieczór, z dziadkami, wujkami, wujenkami, dwiema krowami i cielęciem, zjechali do wyznaczonego gospodarza, u którego mieliśmy być na wysiedleniu, okazało się, że nie starczy dla nas wszystkich miejsca. Ledwo dziadek ściągnął konie i powiedział, prrry! gdy z chałupy wyskoczyła mała, chuda kobiecina, w chusteczce na głowie, i na nasz widok załamała ręce.

– Jezusie Nazareński, to aż tyle was?! Mówili, że rodzina. Jak rodzina, no, to zgodziliśmy się. A was pełny wóz. Jeszcze krowy, cielę. Gdzie my się wszyscy pomieścimy? I wierz tu sołtysowi, miała być rodzina.

Za nią wyszedł z chałupy mężczyzna, wysoki, z wąsami, i powiedział:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Witajcie! – I warknął na kobietę: – Przestań. Jeść im trzeba dać, bo zdrożeni.

A gdyśmy jedli, gdzie kto mógł, bo nie wszyscy zmieścili się przy stole, gospodarz, popatrując znad talerza na ojca, powiedział:

– Wy to, panie, musicie być kształceni. Tak mi wyglądacie.

Na co matka, która siedziała na brzegu łóżka, trzymając talerz z kartoflanką na podołku, nie dała ojcu, żeby za siebie odpowiedział, tylko sama się wyrwała:

– Ho! ho! ho! I to jak. W biurze mąż przed wojną pracował na poważnym stanowisku. A przedtem był oficerem. Ale to się pan zna na ludziach. Od pierwszego wejrzenia. Ja bym tak nie potrafiła. – I nie tracąc czasu, żeby łyżkę, którą już pod brodą trzymała, do ust donieść, spytała: – A nie byłoby tu jakiejś posady dla męża?

– Posady? – zastanowił się gospodarz. – We wsi każdy jest u siebie na posadzie. Chyba że jak zrobią kołchozy. Coś tak przebąkują. Wtedy wszyscy będziemy na posadach. – Znów się zastanowił, a właściwie to urwał zębami kawał chleba, popchnął łyżką z kartoflanką. – Chyba żeby w gminie – powiedział. – Ale to nie w naszej. W naszej i tak ich jest za dużo. W sąsiedniej. – Tu wymienił jakąś nazwę. – Mówił mi niedawno od nich ktoś, że szukają sekretarza, bo im zaaresztowali, a wójt niepiśmienny. Jakaś śliska sprawa, w sześciu aż po niego z powiatu przyjechali.

Pójdzie na sumę w niedzielę, to się dowie, bo przychodzą czasem z tamtej gminy do kościoła tutaj. Tam im się kościół we front spalił, drewniany był, a tu murowany, to aby go poszczerbiło. Może i wójt przyjdzie? Choć wójty zaczynają coś stronić od kościoła, nie pokazują się jak kiedyś. A niedługo, mówią, że się i wybierać ich nie będzie, tylko

poprzywożą. Ale może przyjdzie, bo nie było go zeszłej niedzieli ani zazeszłej.

I kto wie, czy tą opowieścią o wójtach nie spłoszył matki, bo, wpadając mu w słowa, postanowiła, że jutro idziemy. Gdzie byśmy czekali do niedzieli.

– Drogę nam tylko pan pokaże. I idziemy. Weźmiemy z sobą, co najpotrzebniejsze, a po resztę się potem przyjdzie, i idziemy.

Próbował jej gospodarz przetłumaczyć, że najpierw trzeba się dowiedzieć, co taka w gorącej wodzie kąpana, o, daleko do niedzieli, wtorek dzisiaj, aby środa, czwartek, piątek, sobota i niedziela. I wszyscy byli za tym, żeby najpierw się dowiedzieć. Wujek Władek zobowiązał nawet gospodarza:

– I dowiedzcie się od razu, ile pensji mu zapłacą. Krzyżykami się podpisują, a kształconego chcieliby za byle co, to niech se głupiego poszukają. Albo przyprowadźcie tutaj wójta, to pogada się z nim.

A dziadek obiecywał, że jakby się dowiedział, że jest ta posada, to byśmy was odwieźli. Nie musielibyście piechotą drałować. I byście, co swoje, od razu zabrali. Bo może nadaremno, to szkoda by koni.

Ale matka nie, idziemy.

– Będziemy się dowiadywać, to się wcześniej dowiedzą i jakiegoś przywiozą.

Wyszliśmy ze świtem. Słońce zaczynało wyłupywać się z ziemi niczym pisklę ze skorupy i rosa jeszcze po nocy nie opadła.

– Będzie piękny dzień – powiedziała matka. – A nimbyśmy się dowiedzieli, może być już słota.

Na co gospodarz, który wziął widocznie słowa matki do siebie, odciął się:

– Lepsze pewne w słocie niż daremne przy pogodzie. – Ale zaraz się udobruchał: – Musieli jeszcze nikogo nie znaleźć, to będziecie pierwsi.

Wyprowadził nas za wieś, za ostatnie chałupy, i tu nam pokazując, w którą stronę mamy iść, objaśnił dokładnie, wymieniając nie tylko wszystkie wsie, ale co przed każdą i co za każdą, młyny, stawidła, rzeczki, mostki, łąki, wzniesienia, figury, krzyże, a na końcu dopiero wymienił rzekę San, chociaż wypadała na początku. Stanowiła jednakże największą przeszkodę, bo nie dość, że szeroka i wartka, to i most na niej zburzony i nie wiadomo, jak długo będziemy musieli na prom czekać.

– Przewoźnik, jucha, płynie, kiedy jemu się chce – zamartwiał się za nas. – Jest na tamtej stronie, to możesz go wołać i wołać, a ten w krzakach śpi. Pół dnia nieraz się zmitręży. Chyba że traficie go na tej. Ale to też trzeba go szukać, bo gdzieś w krzakach śpi.

Nie zniechęcił jednak matki.

– Damy sobie radę – powiedziała. – Niech pan wraca. I Bóg zapłać.

– Idźcie z Bogiem – powiedział. A gdyśmy już kawał od niego odeszli, jeszcze krzyknął za nami: – A jakby wam tam coś nie tego, wracajcie! Jakoś się zmieścimy!

Przed wyjściem kazała mi matka założyć buty na nogi, że ranki już chłodne, ziemia zimna po nocy i nie jesteś wiejskie dziecko, żebyś boso szedł. Co innego za krowami i we wsi u siebie. Będą się nas ludzie pytać, gdzie idziemy, to uwierzy kto, że ojciec ma objąć posadę, jak ty boso?

W miarę jednak jak słońce wyciągało się nad nami, coraz niewygodniej szło mi się w tych butach, obcierały mnie, piekły, jak to nowe buty, i może z tego zrobiło mi się gorąco, zdjąłem najpierw kurtkę, potem podwinąłem rękawy u koszuli, a i tak gorąco mi było. Wyglądałem więc sposobnej chwili, kiedy matka znów zarządzi odpoczynek, a może uda mi się ją

przekonać, że gorąco, ziemia ciepła, mógłbym boso iść, szkoda butów, mama.

Odpoczynki jednak były krótkie, bo wyznaczyła sobie matka, że najdalej na południe musimy być w gminie. A gdy raz mi się wyrwało, że gorąco, ofuknęła mnie, że później będzie gorzej gorąco, bo słońce nie mniejsze, tylko większe się zrobi. A gdy ojciec wołał za nią, zwolnij trochę! Gdzie tak pędzisz?! To aby tyle na nas poczekała, cośmy do niej dociągnęli, i łapiąc walizki z ziemi, ruszała dalej.

Ojcu widać też musiało być gorąco, może bardziej niż mnie, niósł co prawda tylko siatkę w jednej ręce i na plecach coś w rodzaju plecaka, lecz ubrany był w garnitur, na głowie miał kapelusz, a przez drugą, wolną, rękę przewieszony płaszcz. Chociaż szedłem dobrych kilka kroków za nim, słyszałem jego zasapany i z lekka chrapliwy oddech. Ale wtedy jeszcze nikt nie wiedział, że na serce jest chory, tylko że ma nerwy przez wojnę zszarpane. Od czasu do czasu zdejmował ten kapelusz z głowy jak gdyby na dowód, że mu jest gorąco, i niósł go razem z płaszczem w wolnej ręce. Raz tak właśnie zdjął go z głowy, wołając za matką:

– Zwolnij trochę! Gdzie tak pędzisz?!

Zatrzymała się, postawiła walizki na ziemi i czekając aż do niej dojdziemy, nagle się zdziwiła:

– A czemuż to kapelusz w ręce niesiesz? Włóż go. Dobrze ci w kapeluszu. Będziesz szedł bez kapelusza, to gotów ktoś pomyśleć, żeś tutejszy.

No, to ja już nie powiedziałem, że chciałbym buty zdjąć.

Szliśmy ścieżką między łąkami, wzdłuż rzędów starych wierzb, ojciec znów zawołał za matką, zwolnij trochę! Przystanęła, obracając się w naszą stronę z tymi walizkami w rękach, i z wyrzutem do ojca:

– A czy to ja wymyśliłam słońce? Też mi jest gorąco. – I dopiero opuściła walizki na ziemię. – O, jak ładnie tu – powiedziała. – Wierzby, łąki. Pędzi człowiek, pędzi i świata nie widzi. Odpoczniemy chwilę. Zjemy choć po jajku. – A gdy siedliśmy pod wierzbą, nagle się zdziwiła: – Co ty w butach idziesz? Dopiero ich w tej rosie musiałeś uflagać. Pokaż no. Może zdejmij, synu. Ziemia już nagrzana. – Dotknęła dłonią ścieżki. – O, jaka to nagrzana. I tu, i tu. Aż gorąca. Nawet w cieniu. A będzie wygodniej ci się szło. Nowe buty trzeba po trochu zachodzić, inaczej obetrą ci nogi. Bąbli ci tylko narobią. Zdejmij. W mieście bym ci nie kazała. Ale tutaj kto cię będzie widział, a trzeba oszczędzać. Przez wsie też nikt na dziecko nie zwróci uwagi, bo i starzy boso chodzą. Przechodziliśmy, to widziałeś?

Zacząłem rozsupływać węzły przy sznurówkach, lecz widząc, że coś dłubię i dłubię, rzuciła mi się do pomocy.

– Daj, sama ci rozwiążę. Tyle razy cię uczyłam wiązać na kokardki, a ty ciągle jakby krowie na rogach. – I nagle rozsierdziła się nie na żarty: – A czegóż tę sznurówkę tak zaplątałeś, Matko Święta! Daj tu nogę. – I przywarłszy ustami do buta, zaczęła mi zębami rozsupływać. – Zawiąż je najlepiej w kurtkę i nieś na plecach.

– Nie będzie mu zimno boso? – ojca naszło zwątpienie. Rozsiadł się z wyraźną ulgą przy sąsiedniej wierzbie, zrzucił plecak z pleców, zdjął kapelusz z głowy, jakby miał nadzieję, że na dłużej się pod tymi wierzbami rozmościmy.

– Co mu ma być zimno? – obruszyła się. – Nie pasł boso krów u dziadków? Nieraz przez całą jesień. Szron już był na łąkach. A tu jakby w środku lata ciepło. – I poderwawszy się z ziemi, rzuciła: – No, idziemy.

– Mieliśmy przecież zjeść po jajku? – ośmielił się zdziwić ojciec.

– Gdzieś dalej zjemy – powiedziała. – Co masz dzisiaj zjeść, zjedz jutro, a co zrobić jutro, zrób dzisiaj, powiedział święty Franciszek. –

I złapała walizki, przestawiając je na ścieżkę.

– Kto tam słyszał, co jakiś święty powiedział – ojciec był wyraźnie zły, że nie zjedliśmy po tym jajku.

– Musieli być, co słyszeli. – Stała już między tymi walizkami na ścieżce, żeby tylko je złapać i ruszyć. – Nie powtarzaliby, gdyby nie słyszeli.

– Co kto chce, to plecie, a potem że święci. – Z wyraźnym ociąganiem ojciec zakładał plecak na plecy. – W wojsku jeden podpułkownik też tak wciąż powtarzał, myślę, więc jestem. Myślę, więc jestem, panowie oficerowie, powiedział święty Augustyn. Aż kiedyś zebrałem się na odwagę i zameldowałem, że to nie święty Augustyn, lecz Kartezjusz, panie pułkowniku. Zmarszczył brwi i kazał mi zostać po naradzie. Pan jest chyba niewierzący, panie poruczniku? Czy nie mylę się?

Ale tego matka pewnie już nie usłyszała, bo jak ruszyła z tymi walizkami, to nim ojciec przewiesił sobie płaszcz przez rękę, wziął siatkę, była już daleko w przodzie. Nie puściłaby płazem, że jakiś tam podpułkownik śmiał ojcu coś zarzucić.

I to było to jedyne miejsce, pod tymi wierzbami, które pamiętałem, że zdjąłem tam buty i już dalej szedłem boso. Buty, tak jak matka mi kazała, zawiązałem w kurtkę, którą zarzuciłem na plecy, trzymając ją jedną ręką na piersiach za splecione rękawy, a w drugiej niosąc małą walizeczkę. Przystawaliśmy i potem na krótsze, dłuższe odpoczynki, a na którymś zjedliśmy wreszcie po tym obiecanym jajku, ojciec trzy, ja dwa, matka jedno, a w którejś wsi poszła mleka kupić do jakiejś chałupy, ale nigdzie nic takiego się nie zdarzyło, co by dało się zapamiętać, że mogłem tutaj zgubić tego buta.

Słońce wspięło się na szczyt nieba, kiedy weszliśmy do wsi, gdzie mieściła się gmina. I przy którejś z chałup z brzegu matka, zobaczywszy na

podwórzu żuraw, wykrzyknęła:

– O, studnia! Poczekajcie, pójdę spytać się, to byś sobie nogi umył i założył buty. Bo jakby to wyglądało, ojciec posadę ma objąć, a ty boso. – Postawiwszy walizki, weszła do chałupy. – Pozwolili – powiedziała, wracając. – Może nawet mieszkanie by się u nich znalazło. Ospę, zboże trzymają, to by na strych wynieśli. Nieduziutkie, ale na początek dobre i takie.

Znów złapała te walizki, pchnęła furtkę w ogrodzeniu. Ojcu kazała siąść na ławce pod ścianą chałupy. Postawiła przy nim walizki.

– Odpocznij, boś jakiś taki blady. Potrzyj może trochę policzków, niech ci się zaróżowią. Gotowi jeszcze pomyśleć w gminie, żeś chory.

Zapuściła żurawia z wiadrem w głąb studni, wyciągnęła i kiedy wsparła wiadro z wodą na ocembrowaniu, zawołała na mnie:

– Chodź tu z tymi butami, Piotrek! Wyciągnij ręcznik z mydłem. Jest w tej siatce, co ją ojciec niósł.

Kiedy rozwiązałem kurtkę, serce mi zamarło z przerażenia. But był tylko jeden. Prawy. Rozścieliłem kurtkę na ziemi i zacząłem macać tu, tam, jakby ten drugi, lewy, mógł się gdzieś w niej skryć.

– No, chodźżeż – ponagliła mnie, a widząc, że w tej kurtce czegoś szukam, rzuciła zaniepokojona: – Co się stało?!

– Jednego buta chyba nie ma – powiedział ojciec, patrząc, jak się tuż obok niego z tą kurtką szamoczę. Powiedział to zwyczajnie, aż z dziwnym spokojem: – Lewego, tak? – Zdjął tylko kapelusz z głowy i otarł dłonią spocone czoło.

– Jak to jeden jest, a drugiego by nie było? – z niedowierzaniem powiedziała matka. I nagle, wypuściwszy z rąk wiadro z wodą, które runęło z ocembrowania w głąb studni i wybuchło gdzieś tam z łoskotem, rzuciła

się ku mnie. – Pokaż no. – Zerwała kurtkę z ziemi i zaczęła nią potrząsać. – Chryste Panie!

Postawiła tego jednego buta na ławce obok ojca, lecz zaraz przestawiła go na drugą stronę i znów z powrotem przestawiła.

– Może tu gdzie jest?

Schyliła się pod ławkę.

– Przesuń się – nakazała ojcu. – Mógł wypaść, jak rozwiązywałeś kurtkę.

Znów złapała tę kurtkę.

– Alboś może przełożył do walizki, nie pamiętasz?

Zaczęła wywalać wszystko z mojej walizeczki, potem z siatki, którą ojciec niósł, powtarzając z narastającą rozpaczą:

– Chryste Panie! Chryste Panie! Mówiłam, nie idź boso! Ziemia zimna już, jesienna! Chryste Panie!

Potem plecak ojca, potem i te dwie walizki, które sama niosła, wszystko przeszukała.

– Może ci gdzieś tutaj wypadł, jak wchodziliśmy.

Z oczami utkwionymi w ziemię pobiegła w stronę furtki.

– Tu czasem nie byłeś? A może tu? – rzucała raz po raz w moją stronę bezradne pytania, szukając po obejściu, obchodząc studnię dookoła, choć nie zdążyłem jeszcze być przy studni. – Może gdzieś na drodze leży. – I pchnąwszy furtkę, wybiegła na drogę.

Spory czas jej nie było. Ojciec siedział milczący i co trochę zdejmował kapelusz, ocierając pot z czoła. Ja stałem z oczami wbitymi w ziemię i bałem się nawet spojrzeć w stronę furtki, mimo że to za nią kryła się ostatnia nadzieja.

Najpierw doszło nas z drogi cichutkie zawodzenie:

– O, mój Jezu. Mój Jezu.

Ojciec znowu zdjął kapelusz, otarł pot z czoła, lecz już go nie włożył na głowę. Mnie po skórze przeszły ciarki. Spojrzałem w stronę tego zawodzenia. Po szczycie płotu przesuwała się pochylona głowa matki. Przez chwilę wydało mi się, że nigdy już matka zza tego płotu się nie ukaże, lecz będzie tak po jego szczycie przesuwała swoją pochyloną głowę, szemrząco zawodząc:

– O, mój Jezu. Mój Jezu.

Nagle pchnęła furtkę i doznałem dziwnego wzruszenia. Miała oczy pełne łez, ale nie płakała, za to mnie chciało się płakać. Poznała widocznie to po mojej minie, bo spojrzała z jakimś bolesnym wyrzutem na mnie: – Nie płacz, moje dziecko. Może jeszcze go znajdziemy. – I rzuciła ostro: – Idziemy.

Ojciec przekonany, że do gminy, podniósł się z ławki, nałożył kapelusz na głowę, sięgnął po plecak, żeby zarzucić go sobie na plecy.

– Ty zostaniesz – osadziła go. – Odpoczywaj. Popilnujesz. Kropelki masz zaraz na brzegu w tej walizce, nie zapomnij na południe wziąć. Poproś gospodyni, żeby wody ci dała do popicia. Może niedaleko zgubił, to niedługo będziemy.

– Gdzie ty chcesz iść? – ojciec ni to westchnął, ni to pożałował matki. – Szkoda tylko twoich nóg, a jak na początku drogi zgubił? Będziesz taki szmat szła? Zgubił, no, to zgubił. Trudno, mówi się. Nowe mu obstalujemy.

– A za co?! – wybuchnęła.

– Będę przecież miał posadę.

– Tobie się zawsze więcej wydawało, niż mogłeś. – I rzęsisty płacz puścił się z jej oczu. Lecz pożałowała widocznie tych słów, bo otarła oczy i powiedziała: – Może jeszcze znajdziemy, nie zaraz, to dalej.

Nie mogła jednak tego płaczu utamować, obcierała wciąż oczy, a łzy jej płynęły i płynęły.

Stanął w drzwiach chałupy gospodarz.

– Co się stało?

– A chłopak zgubił buta – powiedział ojciec.

– Jednego? – zapytał gospodarz, jakby miało to znaczenie. – Prawego czy lewego? – znów bez sensu zapytał. – Psia jucha. – Podrapał się po głowie, jakby nie wiadomo było, gorzej to czy lepiej, że lewego. – Psia jucha – powtórzył. – Ale płakać nie pomoże. Znajdziecie. Kto by się tam na jednego buta połakomił. I lewego. Mańkutów znów tak wiela nie ma. W naszej wsi chyba trzech wszystkiego. – I zaczął wyliczać, ale dwóch ledwo zagiął na palcach ręki, a trzeciego nie mógł jakoś znaleźć, chociaż sobie powtarzał: – Który to trzeci? Psia jucha, który trzeci? – Krzyknął w stronę izby: – Zośka! Nie pamiętasz, kto u nas we wsi mańkut?

Wychyliła sią zza jego pleców gospodyni.

– Na cóż ci mańkuty?

– A bo chłopak zgubił buta.

– Chryste Miłosierny! – Wyszła z drzwi przed gospodarza. – A choć dobre były?

– Nowe – rzekł ojciec.

– Chryste Miłosierny! To lećcie, szukajcie. Od sołdatów, to chcą dziesięć litrów bimbru. I jeden wam sprzeda, a drugi przyjdzie i odbierze, że wojskowe. I na niego to by były za duże, bo wszystko wielkie łapy mają. Chryste Miłosierny! Tą samą drogą tylko idźcie. Będziecie szli tą samą drogą, to znajdziecie. Może już ktoś znalazł i powiesił na płocie czy na ścieżce postawił. Tak ludzie nieraz robią, jak coś znajdą.

– To dawniej tak było – powiedział gospodarz. – Teraz trzeba chałupy na kłódki zamykać. To i lepiej, żeby nikt nie znalazł, bo znajdzie, to już nie

znajdziecie.

– I módlcie się przez całą drogę – poradziła jeszcze gospodyni.

– Męża wam zostawię – powiedziała matka. – Dajcie mu tylko trochę wody, bo musi wziąć kropelki.

– Ma się rozumieć, niech zostanie – powiedziała życzliwie gospodyni. – Co macie wszyscy iść. O, zsiadłego mleka mu zaraz wyniosę. Módlcie się tylko.

Niepewność ogarnęła matkę, gdyśmy minęli ostatnią chałupę i znaleźliśmy się w pustych polach, utkanych z zielono-żółto-szarych kawałków, rozchodzących się aż hen z jednej i drugiej strony drogi.

– Tędy szliśmy? – spytała z cicha jakby samą siebie, rozglądając się lekko spłoszona po tych polach.

Poczułem jakby ciut mocniejsze ściśnięcie w ręce. Bo od razu wzięła mnie za rękę, kiedyśmy tylko odeszli od tamtej chałupy, gdzie zostawiliśmy ojca, choć rzadko brała mnie za rękę.

– Masz choć tego niezgubionego? – powiedziała. – Pilnuj go, bo jakbyś i tego zgubił, nie byłoby po co dalej iść. Spotkamy kogoś, to musimy się spytać, czy tędyśmy szli. Bo jakoś inaczej mi się wydawało w tę stronę.

Ta niepewność, w miarę jak oddalaliśmy się od wsi, coraz bardziej ją dręczyła, czy tą samą drogą idziemy.

– Nie pamiętasz? – zaniepokoiła się, a byliśmy już daleko, bo gdy obejrzałem się, to wieś już na dobre przykurczyła się, a w ostatniej chałupie już okien nie było widać i ledwie, ledwie komin odróżniał się od strzechy. – Tutaj było chyba pole? Zaorane i ciągnęło się aż hen. Pełno wron po nim chodziło. Ktoś musi być bogacz, powiedziałam, takie długie pole.

– Po tej stronie jest – powiedziałem.

Obejrzała się z lękiem na tę drugą stronę.

– Rzeczywiście – wydawało mi się, że westchnęła z ulgą, ale jak się miałem za chwilę przekonać, nie była to ulga. – Rzeczywiście – powtórzyła. – Jak to potrafi się i pole zmienić, czy w tę człowiek idzie, czy w tę. – I zwolniwszy kroku, patrzyła pełnymi oczami na to pole, jakby coś tam się działo, co tylko ona widziała, lub po prostu próbowała uwierzyć, że to jest to samo pole, któreśmy mijali, idąc do wsi. – Rzeczywiście. Popatrz – wciąż się temu polu dziwiąc, jeszcze bardziej zwolniła kroku, że gdyby ktoś nas spotkał, nigdy by się nie domyślił, że czegoś szukamy. – Rzeczywiście. – I w tej samej chwili ta niepewność na nowo w niej odżyła. – Ale tamto, synu, było jakby dłuższe. Na to nigdy bym nie powiedziała, że ktoś bogacz. Bo i jaki tam bogacz, kawał piachu. Kartofle, no, to jeszcze się urodzą. I to jak jest mokry rok. A na tamtym ziemia lśniła od tłustości. I wron nie ma.

– Może odleciały.

– E tam, z tłustej ziemi tak nie odlatują. Dawnośmy zresztą szli? W tłustej ziemi jest tego obrzydlistwa, to mają za czym chodzić. – I przełożywszy sobie z prawej do lewej moją rękę, wyciągnęła tę swoją prawą rękę w górę. – Słońce było tu, a teraz jest tu. To może na łokieć przeszło, nie więcej.

Nagle rzucił mi się w oczy w głębi tego pola wielki głaz, oddzielający je od sąsiedniego, wąziutkiego i zieleniutkiego skrawka. Powiedziałem:

– O, ten sam głaz, mama, co był i na tamtym. Powiedziała mama, że muszą dobrze koty z sobą drzeć, że aż takim głazem się oddzielili.

Spojrzała krótko i niechętnie w stronę tego głazu i przełożywszy z powrotem moją lewą rękę do swojej prawej, rzuciła:

– A może. – I pociągnęła mnie. – Chodźmy szybciej, bo do niczego takie szukanie. Będziemy na głazy patrzeć, a but nam może pod nogami mignąć.

A po parunastu krokach aż zatargała tą moją ręką.

– Nic dziwnego, żeś tego buta zgubił, jak tak wszystko widziałeś. Ja tam nie miałam kiedy się rozglądać, aby prędzej i prędzej. I dwie walizki niosłam.

Przeszliśmy spory kawał od tego pola i obejrzała się już bez lęku raz i drugi na drogę za nami, i twarz miała już pełną zgody, trochę tylko zatroskaną, i nie czułem w ręce, żeby coś ją dręczyło oprócz tego buta, i spokojnie przypominała mi:

– Patrz pod nogi, synu. Ale i na boki się rozglądaj. Bo jak ci z kurtki wypadł, to przy drodze musi być, przecież nie odfrunął.

Ów głaz został już dawno za nami i także przestała się matka rozglądać po polach. Myślałem więc, że całkiem rozproszyła w sobie tę początkową niepewność, czy idziemy tą samą drogą, i pochłonięta jest wyłącznie tym zgubionym butem. Toteż w pierwszej chwili nie zrozumiałem, o co jej chodzi, gdy nieoczekiwanie, wypuszczając moją rękę ze swojej, powiedziała:

– Stój tu. Nie ruszaj się.

I przyspieszonym krokiem zaczęła się ode mnie oddalać, jakby gdzieś tam nagle, w koleinie drogi, zobaczyła przed sobą tego buta i chciała go czym prędzej dopaść. Uszła kawałek, obejrzała się na mnie, czy stoję, i znów mi nakazała:

– Tylko stój tam. Nie ruszaj się. – A po kilkunastu dalszych krokach znów się obejrzała. – Mówiłam, stój.

– Stoję! – odkrzyknąłem.

Patrzyłem, jak coraz dalej odchodzi i wciąż nie mogłem zrozumieć, dlaczego mi każe stać i nie ruszać się. Wydawało mi się nawet, że przyspieszyła kroku i coraz szybciej oddala się ode mnie. Strach mnie

ścisnął, że może chce mnie tak zostawić za karę za tego zgubionego buta, i krzyknąłem za nią:

– Mama!

Obejrzała się.

– Stój, mówiłam!

Doszła do jakiegoś drzewa, pewnie wierzby, bo tylko wierzby spotykaliśmy na drodze, i jakby to ją zatrzymało. Obróciła się i zaczęła iść z powrotem ku mnie, bez pośpiechu już, noga za nogą, rozglądając się z uwagą po polach.

– Może i tędy szliśmy – powiedziała, zbliżając się do mnie, stojącego wciąż w tym samym miejscu, jak mi kazała. – O, chyba nawet to jaskółcze ziele tu na brzegu rosło. Pomyślałam sobie, masz kurzajkę na ręce, muszę jaskółczym zielem ci ją posmarować. Ale to już jak ojciec obejmie tę posadę.

Nieomal z rezygnacją zgodziła się, że to ta sama droga, w każdym razie nie widać było, żeby odczuła jakąkolwiek ulgę. Ale też nie nieufność, czy tą samą drogą idziemy, kazała jej tę drogę sprawdzać. To lęk, czy znajdziemy tego buta, przeniósł się na nieufność wobec drogi. Tak zawsze zresztą było, że swoje udręki, a przynajmniej te, wobec których czuła się bezradna, przenosiła jakby w inną, łagodniejszą sferę, na inne przypadki, inne okoliczności czy inne osoby, a często zmieniając na zupełne przeciwieństwa. Toteż najdotkliwsze cierpienie mogło się u niej objawiać jako radość życia.

Kiedy pierwszy raz miałem przyprowadzić do naszego domu Annę, a właściwie do naszej sutereny, najpierw udała zdziwienie, jakby w najśmielszych wyobrażeniach nie spodziewała się tego. A potem z dnia na dzień zaczął w niej narastać coraz większy niepokój, lecz nie ten, który naprawdę w sobie czuła. Zamartwiała się, czy posprzątała wszystko jak

należy, i ciągle coś tam jeszcze wynajdywała, mimo że zrobiła już wielkie pranie, pobieliła ściany, wymyła podłogę, kuchnię, powytrzepywała, co się dało, pościerała kurz, zmieniła słomę w siennikach, oblekła pościel, a w rogach, gdzie przebijała wilgoć, porozwieszała jakieś kolorowe papiery, poprzestawiała to tu, to tam, a w dzień przyjścia Anny jeszcze poszła gdzieś z rana i przyniosła wielki bukiet kwiatów, który postawiła w wazonie na stole, lecz to można byłoby zrozumieć. Przede wszystkim jednak zadręczała mnie wątpliwościami, co powinna powiedzieć, jak powinna się przywitać, czy tylko podać rękę, czy może ucałować Annę, czy siąść chwilę z nami, czy od razu podać nam herbatę i ciasto, bo upiekła i ciasto, czy spytać Annę i o co, bo żeby nie za dużo pytać, czy najsampierw wysłuchać, co Anna sama powie, czy się uśmiechać serdecznie, czy może z początku być bardziej poważna.

W łóżku już leżała, wydawało się, śpi, a nagle dochodziło mnie jej pełne rozterki westchnienie:

– Może powinnam podejść do drzwi, kiedy zapukacie, i otworzyć wam. A nie tylko przez drzwi powiedzieć, proszę.

– Nie dręcz się głupstwami. Śpij.

– To nie głupstwa, synu. Bo widzisz, gdyby powiedziała, dzień dobry pani, mogłabym powiedzieć, tylko nie przez próg się witajmy, broń Boże przez próg, bo może to nieszczęście wróżyć. Ale bym się uśmiechnęła, żeby nie wypadło to jak przestroga. Musi chyba wiedzieć, że przez próg się nie powinno witać. I może też by się uśmiechnęła. To jak głupstwa? Nieraz pierwsza chwila, a na całym życiu potem waży. Nie na moim przecież, moje już zważone. Na twoim, czyli waszym. Gdyby człowiek mógł, jak nie może, to niejedną taką pierwszą chwilę z powrotem by zawrócił. Wydawało mu się, że mucha mu przed nosem przeleciała, a to już pętla na szyi się zaciskała. Nie głupstwa, synu.

Najdziwniejsze jednak, że przestała się widywać z pannami Ponckimi, jakby się na nie o coś obraziła.

– Coś do naszych panien nie zachodzisz? – zagadnąłem ją.

– A po co? – odburknęła mi, ucinając dalszą rozmowę.

Lecz i panny Ponckie zauważyły tę nagłą zmianę matki wobec nich, bo chodziły wyraźnie zaniepokojone, a nawet unikały nas, jakby bojąc się jeszcze bardziej matce narazić, chociaż zwykle dnia nie było, żeby jedna czy druga do nas nie wpadła, często po kilka razy na dzień.

Wracałem właśnie ze szkoły po lekcjach, gdy Ewelina, być może, czatując w oknie na mnie, bo to okno otwarło się jakby nieledwie za dotknięciem palcem, przywołała mnie szeptem spoza zasłaniających ją pelargonii, za którymi się najwyraźniej kryła:

– Panie Piotrze. Panie Piotrze. Proszę tutaj podejść. Czy pan nie wie, o co mama jest na nas obrażona?

Wzruszyłem ramionami.

– O co by miała być obrażona?

– Ależ tak, jest obrażona. Tak nam przykro. Najgorsze, że nie wiemy o co.

Musiało je to widocznie mocno dręczyć, bo następnego dnia Róża, zdobywając się na odwagę, nieoczekiwanie wpadła do nas, już od progu sztucznie rozweselona i jakby nigdy nic zaczęła wręcz matkę błagać, żeby jeszcze raz podała przepis na ten sernik, co im kiedyś już podała, tylko że gdzieś im się zawieruszył. Ach, cóż za boski sernik, kogo nie poczęstowały, każdy się zajadał. A chciały znowu upiec, bo ktoś bardzo miły ma przyjść w odwiedziny do nich, komu wiele zawdzięczają, i chciałyby go czymś wyjątkowym ugościć. Pomyślały więc, że najlepszy będzie matki sernik, którego wprost boski smak jeszcze dotąd w ustach mają.

Sprytnie to obmyśliły, jako że przepisy, nie tylko na serniki, należały do najczulszych słabości matki. Kto ją chciał rozbroić z zagniewania, obrazy, smutku czy nawet płaczu, lub zwyczajnie wkraść się w jej łaski, wystarczyło, że ją o jakiś przepis poprosił, żeby mu zdradziła. Tak, zdradziła. Nie podała czy użyczyła. Strzegła bowiem tych przepisów jak tajemnic i w wyjątkowych przypadkach je tylko zdradzała. W każdym razie niechętnie i nie każdemu. Musiała kogoś uznać za godnego zaufania lub w przypływie wyjątkowej serdeczności czy też chwilowej bezmyślności. W tym ostatnim przypadku zawsze potem gorzko to sobie wyrzucała:

– A ja jej przepis na kaczkę z wiśniami dałam. Głupia chyba byłam.

Miała tych przepisów kilka grubych zeszytów i pudło po pantoflach z wycinkami z przedwojennych pism „Bluszcz” i „Pani”, które ojciec regularnie jej kupował, jako że sama nie wydałaby grosza na takie zachcianki. Kiedy przynosił te pisma do domu, jakkolwiek radość zapalała się w jej oczach, nie omieszkała mu za każdym razem zrobić wymówki:

– A po coś tyle wydał. Trzeba było jedno kupić, wystarczyłoby.

Te przepisy stanowiły jej dumę, tym bardziej że zapewniały jej uznanie wśród znajomych, które niejednokrotnie w potrzebie zwracały się do matki, jak coś upiec, coś ugotować czy w ogóle żeby poradziła, bo imieniny męża, jakaś tam rocznica, ktoś przyjeżdża, przychodzi, nie mówiąc już, że na każde Boże Narodzenie, Wielkanoc, zarazem głosząc chwałę matki, że nawet książka kucharska nie może się równać z jej przepisami.

Przywiozła te przepisy do dziadków na wieś, kiedy na początku wojny uciekliśmy do nich, chociaż z całego dobytku zabraliśmy tylko tyle, co zdołaliśmy w rękach unieść. Nie zapomniała także zabrać tych przepisów, gdy nas po nadejściu frontu wysiedlali, jakkolwiek nad każdą prawie rzeczą medytowało się, zabrać czy nie zabrać, bo przecież nie tak wiele można było zabrać na furę z całego gospodarstwa i aż tylu rodzin. Nie miała

jednak wątpliwości, jeśli chodziło o te przepisy, zabrać czy nie zabrać, pakując je pierwsze do walizki.

I tak samo gdyśmy wówczas do tej gminy szli, gdzie ojciec miał objąć posadę, zabierając jedynie z sobą, co najpotrzebniejsze, i to na tych kilka dni, póki nam dziadek, jak było umówione, nie przywiezie reszty, te przepisy znowu okazały się najpotrzebniejsze, chociaż zajęły prawie pół walizki. Szła matka nawet lekko przechylona na tę rękę, w której walizkę z przepisami niosła, i co jakiś czas przemieniała ją sobie na drugą rękę.

Także wróciły te przepisy potem z nami z wysiedlenia, jako jedne z niewielu ocalałych po tych wszystkich wędrówkach rzeczy, gdy front ruszył na zachód i mogliśmy już wracać.

Toteż po jej śmierci, gdy paliłem je pod kuchnią, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że oto przesuwają się przez moje ręce kartki pamiętnika matki. Bo też stanowiły jedyny zapis jej życia, jaki po sobie zostawiła. Nasuwały mi nawet na myśl wykopaliskowe, gliniane tabliczki, zapisane jakby dlatego symbolami potraw, żeby każdego, ktokolwiek próbowałby przedrzeć się przez ich tajemnicę, zwieść na manowce. Mogłem więc jedynie domyślać się, że ukryła w nich najbardziej samotne ze swoich myśli, westchnień, tęsknot, żalów, lęków, łez, te, z którymi nie zdradziła się ani przed ojcem, ani przede mną, które, być może, chciała także ukryć przed sobą. Domyślność ma jednak swoje granice, więc czy byłem w stanie czegokolwiek domyśleć się tak naprawdę? A chociaż przed wrzuceniem w ogień niektóre z tych przepisów czytałem po kilka razy, w niektóre wgłębiając się, aby coś wytropić, wyśledzić spoza tych wszystkich, ile mąki, ile jajek, ile masła, ile tego, tamtego, aż do najbardziej, zdawałoby się, błahych szczegółów, odstawić do ostygnięcia, odstawić do ostygnięcia, odstawić do ostygnięcia, niewiele więcej domyśliłem się, niż mogła mi to podpowiedzieć wyobraźnia. Niekiedy, trzymając tępo przed oczyma jakiś

przepis, łapałem się na tym, że waham się, czy go wrzucić w ogień, czy jeszcze raz przeczytać, jakbym oczekiwał, że może sam z siebie wyszepcze choćby to najsmutniejsze ze zdań, jakie kiedykolwiek od niej usłyszałem:

– Co ci będę mówiła, nie pomożesz mi przecież.

Niby tort makowy w czekoladowej polewie, niby schab w beszamelu zapiekany z żółtym serem, niby karp „à la Radziwiłł”, zupa wytrawna z dyni, omlet admiralski, brzoskwinie w galarecie, krem z wina, a miałem wrażenie, że oto stoję wobec jednej z najbardziej nieprzeniknionych tajemnic, a tym bardziej nieprzeniknionej, że zapisanej w najprostszy z możliwych sposobów, a więc zacierającym wszelki ślad po niej. Taka prostota bierze się zazwyczaj z dotkliwego przekonania o bezsilności wobec własnego losu. Aż trudno było mi chwilami uwierzyć, że całe życie matki to te przepisy.

Z każdą z tych kartek, które wkładałem w ogień, rósł we mnie jakiś żal do niej, nie o to, że umarła, tylko że tak wszystko z sobą chce zabrać. Także to, co o niej wiedziałem, jaką ją zapamiętałem, co czułem do niej, a jeszcze tymi przepisami zamazując do szczętu swój obraz we mnie, jakby chodziło jej tylko o to, abym przestał być jej synem, bo oto nadeszła pora, że ani ona nie może być dłużej moją matką, ani ja dłużej jej synem.

Blacha na kuchni aż poczerwieniała i w tej zwykle zimnej, wilgotnej suterenie, z której nieraz wypychało, zrobiło się ciepło, przytulnie. Nie zauważyłem nawet, kiedy wieczór zapadł. Nie chciało mi się jednak wstać, żeby zapalić światło. Zresztą po co? Miałem światła pełno w oczach, siedząc przed otwartymi drzwiczkami, na wprost wygłodniałych płomieni, w dodatku na tym samym stołeczku, na którym zwykła ona siadać, kiedy podkładała drew pod kuchnię, wygarniała popiół z popielnika czy kiedy wróciwszy z miasta z ledwo doniesionym do domu płaczem w oczach, na

tym właśnie stołeczku gdzieś w kącie pozwalała się temu płaczowi wypłakać.

Może to dziwne, lecz chwilami ogarniało mnie nieznane mi dotąd uczucie ukojenia, jakby to światło płomieni bijące z otwartych drzwiczek i ta czerwona poświata unosząca się nad rozżarzoną blachą przenosiły mnie w czas sprzed urodzenia czy już po śmierci, co jest przecież tym samym. I było mi dobrze. Albo to czas tylko stanął w miejscu, zwłaszcza że mało co tych przepisów ubywało z leżącej pod kuchnią sterty, którą sobie ułożyłem. Nigdy bym nie przypuszczał, że aż tyle tych przepisów miała. Zbierała je zresztą do końca życia, i po śmierci ojca, i kiedy na studia już poszedłem, i potem, ilekroć ją odwiedzałem, zawsze prosiła mnie na odjezdne:

– Przywieź mi jakichś starych gazet, gdy następnym razem przyjedziesz.

– Stare będziesz czytać? – dziwiłem się, chociaż wiedziałem, o co jej chodzi.

– Bo może jakieś przepisy będą. W starych są najlepsze.

Przepisywała, wycinała te przepisy, z czego tylko się dało, brała od różnych znajomych, od sąsiadek, a najwięcej panny Ponckie jej przynosiły. Zapisywała te przepisy już nie tylko w zeszytach, lecz i na pojedynczych kartkach, na skrawkach gazet, na kawałkach torebek po zakupach, na kartkach z kalendarza, a często i na niedopisanych miejscach w listach ode mnie czy od Anny, na pocztówkach z życzeniami czy pozdrowieniami, opisując te życzenia, pozdrowienia po brzegach lub nawet wpisując między zdania czy wokół adresu. Potem już tylko na życzeniach, pozdrowieniach ode mnie i od Pawła i w naszych listach. Na kartce z widokiem Akropolu, którą przysłał jej Paweł z wycieczki do Grecji, między jego rozstrzelonymi słowami, „Kochana Babciu, przesyłam Ci najpiękniejsze pozdrowienia

z kraju Apollina, całuję Twoje ręce, Paweł”, wpisała: dwie szklanki mąki, cztery jajka, ćwierć masła, rodzynki, migdały, żółtka ubić osobno...

Nie tylko obie te walizki, które wówczas niosła, gdyśmy szli do gminy, gdzie ojciec miał objąć posadę, okazały się pełne. Lecz gdziekolwiek zajrzałem, cokolwiek otworzyłem, wszędzie te przepisy zalegały. We wszystkich szufladach, w stole, w kredensie, na wszystkich półkach, pod łóżkami, w szafie między bielizną, ale i na szafie jakiś zakurzony, zleżały plik ich znalazłem, co świadczyło, że odkąd je tam położyła, nigdy do nich nie zajrzała. Taki sam plik był wetknięty za obraz z widokiem morza, który jej z Anną przywieźliśmy na urodziny w prezencie, jako że pragnęła mieć choćby nieduży widoczek z morzem, bo tak bardzo lubi morze, mówiła, gdzie tam bardziej niż góry, na morze patrzyłaby i patrzyła, a gór się boi, mimo że nie była nigdy ani tu, ani tu. Zwitek tych przepisów, opasany czerwoną tasiemką, zawiązaną na kokardkę, jakby je miała komuś ofiarować i zapomniała, tkwił w kryształowym wazonie, stojącym, nie wiadomo czemu, za wezgłowiem łóżka, przy nodze. I także w książeczce do nabożeństwa niektóre modlitwy założone były przepisami powycinanymi z gazet. A nawet przepis na ziemniaki „od Maxima” znalazłem w kieszeni jej palta.

Ogień zachłannie zabierał te wszystkie ciasta, mięsa, zupy, przetwory, desery, a ja patrząc, jak się tymi przepisami syci, doznawałem uczucia, że oto teraz dopiero tak naprawdę matka ode mnie umiera, że z każdym z tych przepisów zmieniających się w popiół i ona na zawsze odchodzi w niebyt. W pewnej chwili nawet usłyszałem, jak na pożegnanie mówi:

– Kiedyś muszę to zrobić. Może na twoje imieniny. – Jak gdyby z wdzięczności za to, że wycięła sobie ten przepis z jakiejś gazety, którą jej przywiozłem.

Gdy mieszkaliśmy jeszcze u dziadków na wsi, lubiła tak nieraz, zwłaszcza w niedzielne popołudnie, jakiś przepis w głos przeczytać, nawet nie w zamiarze, żeby namawiać czy kusić, lecz ot tak, żeby powiedzieć:

– Posłuchajcie, jakie to musi być dobre. Kiedyś muszę to zrobić.

Babka nigdy nie mogła wyjść ze zdumienia, że aż tyle trzeba do jednego placka czy potrawy, i raz po raz wzdychała:

– Matko Święta, to aż tyle wszystkiego. Matko Święta...

Wujenkę Martę te przepisy drażniły:

– I po co to czytasz? Przecież wiesz, jak tu się je.

Tylko wujenka Jadwinia była zawsze pełna gotowości, żeby coś upiec czy ugotować z tych przepisów matki, na wszystko znajdując radę:

– O, niech Stefuś tylko spytluje, to upieczemy. Tak mnie nieraz korciło, żeby parę kaczych jaj podsadzić pod kurę. Moglibyśmy na niedzielę taką kaczkę upiec. Może zamienię się kiedyś z Marcową, dam jej jakąś mniejszą gęś za kaczkę i upieczemy. Czasem trzeba coś lepszego zjeść, żeby wiedzieć, jak inni żyją. Co my, gorsi? Albo niech się uda znów kiedyś świnię zabić, to już schabu nikomu nie odstąpię. I zrobimy. Dwa kilo tam pisze? Będę pamiętała. Na Boże Narodzenie zrobimy. Daleko do Bożego Narodzenia? Na Wielkanoc zrobimy. Na Zielone Świątki zrobimy.

Na tych pełnych gotowości chęciach wujenki Jadwini kończyło się jednak i jedliśmy, co jedliśmy, żur, kartoflankę, kluski z serem, kaszę z mlekiem, ze słoniną, czasami pierogi, i tylko na niedzielę zabijało się koguta.

Natomiast dziadek tym przepisom matki zawsze przeciwstawiał chleb:

– Żeby tylko chleb był, to więcej nie trzeba. Co tam jeszcze wymyślać i Boga obrażać.

Narażał się tym chlebem wujkowi Władkowi, który jak zawsze czuł się w obowiązku, żeby sprzeciwić się dziadkowi, a już zwłaszcza gdy chodziło

o Boga:

– Co mieszać Boga z chlebem, ojciec. Bóg pewnie tak samo wolałby z masłem czy z kiełbasą, nie sam. By zresztą wziął kosę do rąk, widzielibyśmy, czy o samym chlebie do pół staja by dokosił. Bóg jak człowiek, umarł jak człowiek, to i zjeść musi wedle roboty. Napracuje się i on z tym światem nie gorzej niż przy żniwie.

Nigdy jednak nie wypomniała matka wujence Jadwini, że obiecała coś upiec czy ugotować z tych jej przepisów. I gdy znów w któreś niedzielne popołudnie, przeglądając te przepisy, coś przeczytała, a wujenka Jadwinia znów obiecała, że upieczemy czy ugotujemy, przyjmowała to z najlepszą wiarą, odkładając nawet ten przepis na wierzch, żeby nie zapomnieć, że mają upiec czy ugotować.

Podejrzewałem, że tak naprawdę to chyba nieważne jest dla niej, czy coś upieką, czy ugotują, i nie mogłem tego w żaden sposób zrozumieć. A jeszcze wyróżniała matka wujenkę Jadwinię z całej rodziny jakąś opiekuńczą wyrozumiałością i zawsze brała ją w obronę, zwłaszcza przed wujenką Martą, która nie lubiła wujenki Jadwini. Także słyszałem, jak nieraz chwaliła wujenkę Jadwinię, chociaż niepotrzebnie, przed wujkiem Stefanem:

– Dobrą dostałeś żonę, Stefan. Młode to, a z każdym by się sercem podzieliła. Bądź i ty dla niej dobry.

A wujek Stefan, który młodszy dużo był od matki i także młodszy parę lat od wujka Władka, a na fotografii z tamtych lat wygląda, jakby co dopiero twarz jego wyłaniała się z dzieciństwa, z pierwszych liści, pąków, gładkiej kory, i gdzieś tak od oczu w górę wchodziła, jeszcze niezauważenie, w sferę smutku, rumienił się na słowa matki, spuszczał oczy i powtarzał bez sensu:

– Ano, jakoś tak się ułożyło. Jakoś się tak ułożyło.

Największą jednak przyjemność, lub może tak mi się wówczas wydawało, sprawiało matce przeglądanie tych przepisów, kiedy była sam na sam z ojcem. Czytając mu jakiś przepis w głos, wyraźnie oczekiwała od niego rady, a nawet czegoś w rodzaju zatwierdzenia:

– O, posłuchaj, może bym to kiedyś zrobiła. Powiedz, smakowałoby ci? – Niepotrzebnie go zresztą pytała, bo jemu wszystko z tych jej przepisów smakowało i cokolwiek mu przeczytała, na wszystko się zgadzał, wszystkiemu przytakiwał i wszystko, co ona chwaliła, chwalił. – Albo to. Muszę kiedyś to zrobić na twoje imieniny, jak już wyzdrowiejesz. Drogie musi być, ale zrobię. Będziesz na posadzie, to może nie będzie takie drogie. Zaprosisz kolegów z biura, jak przed wojną, pamiętasz? Zmienimy mieszkanie. Nie będziesz przecież zapraszał tu, do tej sutereny. Tu bym się chyba ze wstydu spaliła, gdyby nawet ktoś niechcący przyszedł ci życzenia złożyć. Albo może to, o, posłuchaj. Też musi być dobre.

A już zwłaszcza nie dawała mu spokoju tymi przepisami, wciągając go, niczym on mnie w opowieści o bitwach, w te wszystkie ciasta, zupy, mięsa na zimno, na gorąco, drób, ryby, grzyby, pieczenie, desery, gdy gołym okiem było widać, że z jego zdrowiem jest z dnia na dzień coraz gorzej. Bo nieraz tylko wstał, umył się, ogolił, ubrał, zjadł coś na śniadanie, wziął swoje kropelki, a już pobladły, zmęczony, jakby go ta poranna konieczność pozbawiła resztek sił, pokładał się z powrotem, tak w garniturze, zsuwając tylko buty, na zasłanym przez matkę łóżku, głuchy na wszelkie jej namowy, żeby przeszedł się trochę, zaczerpnął świeżego powietrza.

Chociaż w głębi duszy, kto wie, czy nie odczuwała zadowolenia, że nie dał jej się namówić na ten spacer, bo leżąc tak na łóżku, z oczami wbitymi w sufit nad sobą czy w okno przed sobą, wydawał się oczekiwać jakby tylko na to, żeby mu zaczęła czytać te przepisy. A wobec tych przepisów cóż tam spacer i świeże powietrze.

Więc jakby na jego milczące życzenie wyjmowała te zeszyty i pudła i głosem zdradzającym głęboko skrywaną rozpacz czytała mu ten czy tamten przepis:

– Albo to, posłuchaj. Co byś wolał, powiedz? Nie patrz tak bez przerwy w ten sufit. Nie patrz wciąż w to okno. No, co byś wolał?

Zadręczała go, gdy jej nie potwierdził, nie przytaknął choćby, że coś musi być dobre czy nadawałoby się na jego imieniny. A może nie czuł się wcale udręczony, lecz jedynie zastanawiał się, co wybrać w tym bogactwie, i patrzył w sufit czy w okno, jakby spodziewając się stamtąd jakiegoś podszeptu, bo przecież każdemu byłoby niełatwo wybrać to czy tamto, zwłaszcza na swoje imieniny.

Przepis przeganiał przepis, przepis wznosił się nad przepis, ten opadał, ten wzlatywał, to znów inny zaczynał się wzbijać, i gdy mogło się wydawać, że to właśnie ten, znów inny się wyłaniał i nęcił, kusił, a choć wszystkie puszyły się jak stado pawi podszczute do walki na ogony, żaden nie był w stanie nad innymi zatriumfować. Toteż ojciec z rezygnacją poddając się tym wszystkim smakom, zdawał się na matkę:

– To już sama wybierz. Najlepiej wybierzesz. Na pewno będzie wszystkim smakowało.

– Ale mnie chodzi, co tobie.

– Mnie? – dziwił się. – Co tobie, to i mnie. Wiesz przecież.

Nie zadowalało to jednak matki, a nawet miała do niego pretensje, że ją zbywa, szczególnie gdy chodziło o jego imieniny.

– Najłatwiej powiedzieć, wybierz sama. Abyś ty miał święty spokój. Ale co? W głowę aż zachodzę, to czy tamto, żeby mnie nie obmówili potem, że byle co podałam.

W tych jej pretensjach do ojca wyraźnie żal się czaił, kto wie, czy nie o to, że ją samą zostawia, a nie tylko że jej nie chce nic doradzić.

– Sama. Sama. Ale co ty byś mi radził. Czy tak dużo znowu chcę?

Ojciec jednak musiał wiedzieć, że gdyby nawet jej doradził to czy tamto i tak by powiedziała:

– Może jeszcze poszukam czegoś innego.

Więc nic dziwnego, że patrzył w ten sufit nad sobą czy w okno przed sobą i na wszystko się zgadzał, co mu przeczytała, wszystkiemu potakiwał i wszystko mu tak samo smakowało.

– Chodziłoby o Boże Narodzenie czy Wielkanoc albo tak na niedzielę, to bym się ciebie nie pytała. Sama wiedziałabym. Ale na imieniny, to przecież nie wiem nawet, ilu gości zaprosisz. Trzech czy czterech, jakbyś tylko ze swojego pokoju, to by mogło być to czy tamto. Ale jak się zwiedzą, że urządzasz imieniny, to i z innych pokojów przylecą ci pożyczyć, nie bój się. Pamiętasz, przed wojną zwiedzieli się, że urządzasz imieniny, to całe biuro przychodziło ci życzyć. Nawet twoi wrogowie, jak ten, no, jak mu tam, szuja. Latał na ciebie, żeś się w bilansie pomylił. Albo ten, no... Pił jak furman czy szewc. Sto lat i sto lat. Pod koniec to już sobie sam nalewał. Że niby tak ci dobrze życzy. Faryzeusz. Mówiłam, nie rozpowiadaj, proś na ucho czy kiedy sam na sam z kim będziesz. Ale tobie się wydawało, że tak cię wszyscy lubią, szanują. A kto kogo w biurze lubi czy szanuje? Kto niżej, to ma za głupiego tego, co wyżej, choć w oczy nadskakuje mu. A wyżej który, to mu się wydaje, że wszystkie rozumy pozjadał. O, tak się lubią, szanują. Dzień dobry ci taki ledwo mówił, ale na imieniny nie wstydził się przyjść. I żeby choć jaki prezent przyniósł. Ale z wierzchu papierek, wstążeczka, kokarda, a w środku byle co. Czy pół litra wódki. To sam potem to wypił. A co zjadł, to za darmo. Zresztą wstydziłabym się wódkę w prezencie przynosić. To nie mógł choćby krawata czy spinek do mankietów, już by mi nawet tych kwiatków mógł nie przynosić. I to urzędnik? A z wierzchu urzędnik, a w środku cham.

W przeciwieństwie do niej ojciec wydawał się pogodzony z tymi wszystkimi imieninami, które wspominała, jak i z tymi, które zamierzała wyprawić, gdy już wyzdrowieje i będzie na posadzie. I dlatego pewnie patrzył wciąż w ten sufit nad sobą lub w to okno przed sobą i mało kiedy powiedział słowo.

– No, powiedz coś – upominała się u niego, jakby to słowo potrzebne jej było nie tylko, aby wybrać to czy tamto na jego imieniny. – Przecież nawet nie wiem, czy chciałbyś zaprosić ich z żonami. Z żonami byłoby uroczyściej. No, i sami mężczyźni, kiedy sobie popiją, przeważnie głupstwa wygadują. Musi się człowiek za nich wstydzić. Właściwie powinno się takiego, won z mojego domu. Co to, w karczmie jesteś? Czasem ktoś na stanowisku, a bez żony świnia. Tylko jakby któryś chciał z kochanką, to ani mi się waż. Jeszcze by tego brakowało, żebym kochanki w swoim domu przyjmowała. To może już z żonami poproś. Bym się z którą może i zaprzyjaźniła? Bo tak nikogo nie mam, żeby chociaż pójść do kina, jakbyś ty nie chciał. Są zresztą sprawy między kobietami, jak są między mężczyznami. Mężczyzna z mężczyzną na wódkę choćby pójdą, a ja co? Żyję jak ta pustelnica. Wciąż tylko one i one. Już mi się znudziły. A miałam ci powiedzieć, podobno wcale się nie nazywają Ponckie, tylko jedna Śliwka, a druga Kasprzyk. To i siostrami nie są, bo jak? Masz rację, nie dla mnie one towarzystwo. Stroiłyby się tylko, malowały. Nieraz pół dnia przesiedzą w lustrze. Choć nie powiem, dobre są dziewczyny. O, Piotrek po tym ich kakao, patrz, jakich rumieńców dostał. I o co tylko ich poprosić, uczynne, życzliwe. Ale przecież wiadomo. Czy to ja wczorajsza jestem? Dnia nie ma, żeby ktoś ich nie odwiedził. Nieraz dwóch i trzech. A potem śpią do południa. I oczy mają aż podkrążone. Choć po prawdzie to nie takie to znów szczęście. Nie widzę czasem, że płakały, rzęsy rozmazane, to

przecież nie ze szczęścia. Ano, co by o kim nie powiedzieć, każdy swój krzyż niesie na swoją Golgotę.

Mimo więc że przed przyjściem Anny do nas matka wyraźnie od nich stroniła, jakby o coś obrażona, gdy Róża wpadła z prośbą o ten przepis na sernik, nie śmiała jej odmówić, próbując jedynie ją zniechęcić:

– Ale to drogi sernik, panno Różo.

– Nie szkodzi – powiedziała tamta, radosna, że już w pierwszych słowach matka jej nie odmówiła. – Ten, kto ma do nas przyjść, wart jest najdroższego.

– Samej śmietany idzie litr. I nie może być za kwaśna ani, broń Boże, podrabiana. To się nazywa tylko sernik. Ale ile różnych rzeczy w to wchodzi.

– Nie szkodzi – tamta gotowa była wziąć każdą przeszkodę i nie tylko że nie dała się zniechęcić, lecz w miarę jak matka mnożyła te przeszkody, ogarniało ją nieomal podniecenie.

– Do tego pięć jajek, ćwierć kilo masła, rodzynki, migdały, skórka pomarańczowa. Co jeszcze? Ano, kakao. A na wierzchu jeszcze...

– Nie szkodzi – wyrzuciła Róża w tym podnieceniu, jakby chciała wziąć za jednym razem i wszystkie dalsze przeszkody, i matka z rezygnacją zamilkła, a po dłuższej chwili zwróciła się do mnie:

– Daj, Piotrek, jakąś kartkę. A pani niech siądzie i pisze. – Lecz raptem zmieniła zdanie: – Albo ty, Piotrek, pisz. Tylko wyraźnie, żeby nie było potem, że przepis winien. Wstawić cały litr mleka na gotowanie, niech się zagotuje. Wlać potem litr śmietany, tylko, jak mówię, żeby nie za kwaśna i nie podrabiana. Ta ze sklepu się nie nadaje, musi pani pójść na targ. Wbić do tego pięć całych jajek, z pięć minut pogotować na małym ogniu. Potem wlać na sitko i zostawić tak na całą noc, żeby serwatka się dobrze odsączyła. Ćwierć kilo masła utrzeć z jedną szklanką cukru, najlepiej

w makutrze, i kiedy się trze, dodawać tego sera ze śmietany tak po łyżce, żeby nie wszystko na raz. A jak dobrze się już utrze, rozdzielić na dwie części, do jednej wsypać kakao, a druga niech zostanie biała. No, i jakiś zapach, i rodzynki, orzechy, migdały, co się ma, skórka pomarańczowa. Potem kłaść warstwami, ta z kakao i biała, najlepiej w tortownicy, ta z kakao i biała...

– Boże ty mój – wyrzuciła tamta w uniesieniu.

– Ale to nie wszystko. Na wierzchu polać owocową galaretką, zieloną albo czerwoną. I powsadzać morele czy brzoskwinie z kompotu. Najlepszy byłby ananas, ale gdzie pani teraz dostanie ananasa? Przed wojną sprowadzali, to czasem robiłam z ananasem. Ano, może jeszcze kiedyś będą. Choć ja tam już nie doczekam. Ale dzięki Bogu żyłam trochę przed wojną, to przynajmniej wiem, co to ananas. I kurę robiłam czasem z ananasem.

– Kurę? – z niedowierzaniem wyrzuciła Róża.

– A co pani myśli?

– Nie, ja tak tylko – spłoszyła się swoją niezręcznością, choć pewnie chciała wyrazić jedynie podziw dla tej kury z ananasem. I widocznie uznając to za właściwy moment, zadała matce pytanie: – Czy pani jest na nas o coś obrażona? Ani nas pani nie odwiedzi?

– Czemu miałbym być obrażona? – odburknęła matka, jakby potwierdzając, że jest obrażona. I w tym samym tonie dodała: – Przychodzi do nas sympatia syna, to nie mam głowy do żadnych odwiedzin. Samego sprzątania ile? Samo się nie zrobi. A zresztą co mi kto będzie się przypodchlebiał, że go nie odwiedzam. Swoje wiem. Odwiedzanie to nie wszystko. Trzeba czasem też pomyśleć, jak się żyje. Bo do czego to podobne, zamiast żeby za mąż... Taki czy owaki, ale zawsze mąż. Jedno

drugie przynajmniej wesprze. A nie goście i goście. Goście przyjdą i pójdą, a wiecznie się młodym nie będzie...

Rozszlochała się panna Róża. Wybiegła z twarzą w dłoniach, a nawet zapomniała zabrać ten przepis na sernik, który spisany przeze mnie, według słów matki, leżał na stole.

– Wzięła choć ten przepis?

– Zapomniała – powiedziałem.

– A to i lepiej, bo niewarte są. Tak tylko uległam. – I jakby podsycając w sobie tę, zdawałoby się, aż zawziętą, choć nie bardzo zrozumiałą niechęć wobec panien Ponckich, powiedziała: – Jeszcze daj im taki przepis, co go dotąd nikomu nie dałam. Chciała jedna przed wojną, jej mąż był nawet ze szlachty, już tak mnie prosiła. To jej powiedziałam, że jak znajdę, bo mi zginął. A tak tylko przyleciała, niby że po sernik, a chciała się dowiedzieć, kto u nas będzie. Sprząta się, bieli, to musiało je tknąć. Gdzie one by ci taki sernik zrobiły? Zwykłego placka nie widziałam, żeby kiedy upiekły. Wszystko kupują. Poczęstują mnie nieraz, to jak z waty. Żadnego smaku, tyle że słodkie. Tylko nie mów jej, że takie mieszkają nad nami. Mogłaby się jeszcze zrazić. Żeby się chociaż którejś nie zachciało po coś przyjść, jak ona będzie. Dopiero by było, Matko Święta. Bo choćby ich przedstawić, to jak?

I kiedy tylko jej się przypomniało, wciąż mnie i siebie ostrzegała, żeby przy Annie, broń Boże, o pannach Ponckich nie wspomnieć. I nie tylko o pannach Ponckich. Do ostatniej niemal chwili wciąż coś się jej przypomniało, o czym powinniśmy nie mówić, nie wspominać. Nie mówmy o tym, synu, nie mówmy o tamtym, synu. Nie mówmy, po co? Tak będzie lepiej. A nawet tego dnia, kiedy Anna miała przyjść, zaglądając tu i tam, poprawiając jeszcze to i tamto, firankę w oknie, kapy na łóżkach,

talerze, szklanki na półkach, jakby dając już tylko ujście wzrastającemu napięciu, powiedziała:

– Może nie mówmy jej, że ojciec nie żyje.

– Ona wie – powiedziałem.

– Jak wie, to tym bardziej nie ma po co mówić. Żeby tylko żal rozniecać? Mogłoby jej nawet nieprzyjemnie być, bo przecież go nie znała. A gdy kogoś się nie znało, to i nie wiadomo, co powiedzieć. Albo się powie coś fałszywie. Kiedyś tam, w sposobniejszej chwili, jak już będziecie wiedzieli, że chcecie być mężem i żoną.

– Wiemy już – powiedziałem.

– Tak się tylko mówi, a różnie jeszcze może być. Zresztą co za pierwszym razem od razu mówić, kto umarł. Choćby i najbliższy. W każdym domu ktoś umarł. Smucić się ją tu zaprosiłeś? Chciałeś, żebym ją poznała. O, włosy sobie zakręciłam i pończochy nowe kupiłam.

Gdy stanęliśmy w drzwiach, Anna pierwsza, ja za nią, matka stała już naprzeciw, po drugiej stronie progu, witając nas uśmiechem rozkwitłym na całej twarzy. Byłem pewny, że stała tam, zanim zapukaliśmy do drzwi, a może zanim weszliśmy do sionki i zanim zbliżyliśmy się do domu, a może już od chwili, gdy do jej napiętego słuchu doszło echo naszych wyłaniających się z ciszy kroków. A kto wie, czy nie zawsze tam stała, z tym rozkwitłym uśmiechem, od dawna gotowym na nasze przyjście. Ten jej uśmiech wydał mi się za radosny jak na pierwsze odwiedziny, w końcu przecież nieznanej jej Anny. Jakby ułożony ze wszystkich uśmiechów, jakie kiedykolwiek na jej twarzy zakwitły. Pomyślałem, że musiał ją wiele wysiłku ten uśmiech kosztować, bo nie pamiętałem już, kiedy ostatni raz ją widziałem uśmiechniętą.

Zawstydziły się z lekka obie, lecz matka chyba dużo bardziej od Anny, bo przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć, rozjaśniając tym uśmiechem

na przemian twarz lub ścinając ją jakby w zmuszonym jedynie do uśmiechu grymasie. W końcu jednak przemogła to zawstydzenie i powiedziała:

– Ładna panienka.

Nie miało to żadnego związku z tym, co akurat szczebiotała do niej, chcąc pokryć swoje zawstydzenie, Anna. A nawet mogło odnieść się wrażenie, jakby matka cięła po tym szczebiotaniu tą wypowiedzianą niby w nagłym przypływie serdeczności pochwałą:

– I oczy takie duże – brnęła dalej. – Od razu widać, że to dobre oczy.

Anna jeszcze bardziej się zawstydziła, a nawet spłoszyła i bezradnie spojrzała na mnie:

– Najładniejsza w całej szkole – powiedziałem, choć nie tego zapewne oczekiwała ode mnie, bo zaczęła gwałtownie zaprzeczać i nawet uśmiech opuścił te jej wielkie oczy.

– Proszę mu nie wierzyć. On tak tylko żartuje. – Zatłukła zwiniętymi dłońmi w moje piersi. – Ty wstręciuchu.

– Kiedy sama widzę – powiedziała matka, którą to tłuczenie nadąsanej Anny po moich piersiach nagle rozluźniło. – Nie musi mi on mówić. Co ładne, samo w oczy wchodzi. – I jakby w przypływie tym razem prawdziwej serdeczności wyciągnęła ku Annie ramiona. – Niech cię ucałuję, moje dziecko. Jak zdrowia, tak urody nie powinien się człowiek wstydzić. Zresztą i to, i to mija. A najważniejsze, żeby jedno dla drugiego było dobre. O, siądź sobie. Może tu. Zaraz podam wam herbatę.

Anna zaczęła się wymawiać, że dziękuje, że nie trzeba, że niech nie robi sobie matka kłopotu, o, tak posiedzimy trochę, porozmawiamy, bo wpadła nie na długo. A choć płynęło to z nie do końca wystygłego w niej zawstydzenia, matkę prawie dotknęło:

– Jakże to? Nie wypiłabyś w moim domu choć szklanki herbaty? Nawet nie mów mi, moje dziecko. I placek upiekłam. Ciekawam, czy ci będzie

smakował. A porozmawiać można tak samo przy herbacie.

Postawiła na stole kryształową paterę, na której kostki placka poukładane były w gwiaździstą figurę tak równiutko, że z łatwością wyobraziłem sobie, jak je matka przekłada, zamienia, poprawia, a jeszcze obraca tą paterą dookoła, czy z każdej strony są tak samo równe, że żadna nie śmie choćby ciut wystawać przed drugą. A nalewając herbatę do szklanek, powiedziała:

– Kiedyś miałam takie śliczne filiżanki do herbaty. Zachwycali się wszyscy, moje dziecko. O, wiele rzeczy miałam.

Postawiła szklankę przed Anną, szklankę przede mną, sama jak gdyby nie wiedząc, siąść z nami czy nie. Lecz kiedy i talerzyki do placka położyła tylko przed nami, Anna powiedziała:

– Ależ proszę, niech i pani z nami siądzie. Bardzo proszę.

Postawiła więc sobie szklankę z herbatą, ale już bez talerzyka na placek. Najwyraźniej była rozdrażniona. Piła tę herbatę, jakby spiesząc się, pełnymi łykami, choć widać było, że ją w usta parzy. Na szczęście Anna niczego nie zauważyła, zwłaszcza że zajęta była pochłanianiem placka, a nawet wykrzyknęła z zachwytem:

– Pyszne!

Matce radością zajaśniały oczy.

– A bo widzisz, moja droga, pod jabłka zawsze daję smażonej róży. I jabłka nie powinny być w jednym gatunku. Najlepsze są antonówki, ale dobrze jest dodać szarą renetę czy inne.

– Pyszne! – wyrzuciła znów Anna w zachwycie. I znów w oczach matki pojawił się błysk radości.

– Mam jeszcze lepszy przepis – powiedziała. – Upiekę, jak przyjdziesz następnym razem. Albo zrobię sernik. Lubisz sernik? Tylko Piotrek musi mi powiedzieć dużo wcześniej. Bo to nazywa się tylko sernik, a robi się ze

śmietany. I śmietana musi być nie za kwaśna, i broń Boże nie podrabiana. Zamówię u jednej znajomej na targu, co zawsze u niej śmietanę kupuję.

– Mogę jeszcze? – wdzięcząc się, spytała Anna, jakby chciała podkreślić, że tak jej ten placek smakuje.

– Ależ proszę, częstuj się. A dla kogóż upiekłam? – sprawiała wrażenie uszczęśliwionej, a nawet to chwilowe rozdrażnienie jakby przemieniło się w radość. Lecz nieoczekiwanie, mając jeszcze tę radość w oczach, rzuciła w moją stronę: – Nie pamiętasz, Piotrek, wzięła sobie wczoraj Róża ten przepis na sernik?

– Nie wzięła.

– Przecież jej przepisałeś?

– Przepisałem, ale nie wzięła.

– Matko Święta! – najprawdziwiej zaniepokoiła się. – A przecież jakiś ważny gość do nich przychodzi. I tym sernikiem chciały go ugościć. Muszę im pójść zanieść. Gdzie on jest?

Zerwała się z miejsca.

– Akurat teraz musisz iść? – powiedziałem, zdając sobie sprawę, że nic jej nie zatrzyma, bo potrzebuje tego wyjścia jak wysuszona ziemia deszczu. I także Anna zaczęła ją prosić:

– Proszę jeszcze z nami posiedzieć.

Przysiadła, lecz jakby na szpilkach, toteż po chwili znowu się zerwała.

– O, niedługo wrócę. Daleko? Nad nami mieszkają, tylko z tamtej strony się wchodzi. Posiedźcie sobie trochę sami – powiedziała, zarzucając na plecy chustkę. – Macie tam pewnie swoje sprawy. A muszę im zanieść.

Starałem się być posłuszny przykazaniom matki i całą siłą woli przymuszałem się, by o niczym nie myśleć, tylko o tym bucie.

– Będziesz myślał o niebieskich migdałach, to nam but koło nosa może przejść. Samymi oczami nie znajdziesz, jak nie myślisz. Myśli widzą na przestrzał, a oczy aby po wierzchu. Oczy niby patrzą, ale widzą to, co myślisz.

Lecz im bardziej starałem się o tym bucie myśleć, tym więcej różnych myśli nachodziło na mnie, wciskały się nieomal całymi rojami do mojej głowy, a ten but, jakiś dziwnie strachliwy, przed każdą myślą uciekał.

Musiała matka podejrzewać czy może po mojej ręce, którą trzymała w swojej, poznała, że toczę walkę z myślami o tego buta, bo wciąż przypominała mi, żebym o niczym innym nie myślał. Ale i nią targał niepokój. Wyraźnie czułem to w swojej ręce. Czasem zresztą dawała temu wyraz na głos:

– Mój Boże, żeby gdzieś tak tu go znaleźć. O, pod tamtą tarniną. Czy choćby tam, jak ta topola. A niechby nawet gdzie ten kościół, tam.

Czasem próbowała z mojej pamięci coś wycisnąć, nieomal prosząc tę moją pamięć:

– Przypomnij sobie, gdzie poczułeś, że ci się lżej zrobiło? Może nie zauważyłeś, ale przecież musiało ci się lżej zrobić. Co dwa buty, to nie jeden.

A czasem jedynie westchnęła głęboko, lecz słowom nie dała ust opuścić, jakby je dusząc przed wargami. A najdziwniejsze, że coraz mniej na mnie wyrzekała, że zgubiłem tego buta, a jeśli jakiś wyrzut jej się wymknął, brzmiał prawie jak pocieszenie, że może, da Bóg, a znajdziemy tego buta, o, mamy jeszcze kawał drogi przed sobą, to może znajdziemy, bo cośmy przeszli? Za małośmy jeszcze przeszli, żebyśmy mieli już znaleźć. Żeby znaleźć, trzeba swoje przejść. Musi być przecież za to jakaś kara. Bez kary i szczęścia potem by nie było, gdybyśmy go znaleźli. Czyby się znalazło, czy zgubiło, wszystko jedno by było.

Byłem pewny, że przyjdzie mi przez całą drogę wysłuchiwać jej narzekań na mnie, złości, a może i pomst, zwłaszcza jeśli ten but się zaraz nie znajdzie, a przynajmniej do następnej wsi, która wyłaniała sią zza pól przed nami, a najdalej, gdy słońce, które zawisło na wierzchołku nieba, nie zacznie się obsuwać gdzieś na późny obiad i matka, poznając to po naszych wydłużonych cieniach, nagle niby o ojca się upomni:

– Ciekawam, czy mu dali coś jeść. Choćby szklankę mleka mogliby mu dać. Wyglądali mi na dobrych ludzi. Ale co o ludziach można tak na łapu capu powiedzieć, trzeba beczkę soli zjeść.

Nabierałem nawet podejrzenia, że w miarę jak z wierzchu matka łagodnieje, wszystko to się musi w niej w środku dusić, ale gdy wystąpi z brzegów, może złapie mnie nagle za ramiona i zacznie z wszystkich sił potrząsać:

– Gdzieś go zgubił?! Gdzieś go zgubił?! Ty!... Ty!... Wyrodne dziecko! – Może zawróci, zostawiając mnie samego na drodze. – Chodź boso! Przesiedzisz całą zimę w oknie, to na drugi raz nie zgubisz. – Może padnie nagle na kolana i wyrzucając ręce ku niebu, zawoła: – Chryste Jezu! Jakby nie dość ci tej wojny było, jeszcze nam buta musiałeś! W czym on będzie teraz chodził?! Zmiłuj się nad nami! – Albo zacznie najzwyczajniej płakać, starając się ten płacz zarazem powstrzymywać w sobie. Chociaż taki powstrzymywany płacz wybucha potem ze zdwojoną siłą, wstrząsając nie tylko ciałem, lecz bywa, że i całym światem. I tego jej płaczu najbardziej się bałem.

Musiała to wyczuć, bo mimo że bez przerwy szła z oczami utkwionymi w drogę, nagle powiedziała:

– Co tak na mnie zerkasz? Czy nie płaczę? Nie płaczę. Nie idziemy, żeby płakać. Buta musimy znaleźć. Będziesz zerkał na mnie, to ci się może

koło nóg prześliznąć. Masz, to baranek się wydaje, a zgubisz, robi się jak lis chytre.

I niby dalej szła pochłonięta wypatrywaniem tego buta, wydawało się, że już mojej ręki w swojej nie czuje, drogi pod stopami nie czuje, nie czuje słońca na sobie, bicia serca w sobie, gdy raptem zatrzymała się i wypuszczając tę moją rękę ze swojej, powiedziała:

– Może pierwszy idź. Ja będę szła za tobą. Jakby jedno z nas przepuściło, to drugie wtedy znajdzie. A tak co za nami, to przepadło. Patrz tylko dobrze – nie omieszkała mi po raz któryś przypomnieć, czekając, aż odejdę od niej. – Jakbyś sam szedł, patrz. Jakbym wcale nie szła za tobą.

Zacząłem więc odchodzić od niej, raz po raz jednak oglądając się, zwłaszcza że dalej mi przykazywała:

– I natęż pamięć, gdzieś go zgubił. Może sobie przypomnisz. Może w głowie ci się przejaśni. Nieraz lubi się tak przejaśnić, że z dawien dawna nawet się przypomina.

Nieswojo mi się szło, gdy ona tam wciąż, w tyle, stała, jakbym na nie swoich nogach szedł. Nawet droga, do tej pory piaszczysta, równa, zrobiła się dziwnie kostropata, tak że wciąż o coś zawadzałem, w coś wpadałem i z każdym krokiem wydawało mi się, jakby to ona o sto kroków ode mnie oddalała się.

– No, idź, idź – poganiała mnie, czekając, aż odejdę na odległość, którą uzna za wystarczającą. A choć byłem pewny, że już przekroczyłem tę odległość, bo czułem, jak zaczyna mnie ogarniać lęk i coraz dalsze wydawały mi się te jej poganiania, wciąż tam czekała.

– No, idź, idź.

Nie powiedziała mi, że już idzie za mną. Aż się znowu obejrzałem i zobaczyłem, że idzie. A wydała mi się tak daleko, że postanowiłem zwolnić, aby zmniejszyć tę odległość. Toteż ledwo minąłem kilka pól,

dopędziła mnie i przystanąwszy, znów czekała, aż odejdę od niej, poganiając mnie:

– No, idź, idź. Nie oglądaj się. Zaraz idę za tobą.

Głos jej pobrzmiewał łagodnością, nawet troską, jakby nie zauważyła mojego podstępu, siebie obarczając winą, że za szybko idzie. Gdy jednak po raz któryś z tą samą łatwością dopędziła mnie i musiała znowu czekać, aż odejdę, zezłościła się:

– Tak to nigdy tego buta nie znajdziemy. Idziesz, jakbyś nie szedł. Ale z chłopakami to ho, ho. Fiu, wiatr. Wołaj, Piotrek! Piotruś! Iii, nie ma go. – I z tej złości złapała mnie za rękę, przeciągając nagłym ruchem za siebie. – Ja będę szła pierwsza. Ty idź za mną.

Ruszyła, ani się obejrzawszy, czy idę za nią, choćby dla sprawdzenia, w jakiej odległości. Nie umiała zresztą chodzić inaczej. Na spacerach przed wojną zawsze ojciec czuwał, przypominając jej, że to spacer, że powinno się krok za krokiem iść, statecznie, wolno, bo się ciągle wyrywała. Ale i na starość nie potrafiła inaczej. Musiałem ją powstrzymywać, gdyśmy razem szli, wolniej idź, lecz nie na wiele się to zdało, a nieraz i zezłościła się na mnie:

– Matko Święta, a przecież wolno idę, już wolniej nie można. – A czasem mnie nawet zostawiała. – To ty idź, jak idziesz. A ja poczekam tam, na rogu, na ciebie.

Niby szła tylko raźnymi krokami, a mimo to ta odległość niemal w oczach wydłużała się między nami, a wstyd mi było krzyczeć za nią, więc puszczałem się biegiem, nie zatrzymując się, aż dopiero przy niej. Nie karciła mnie, chociaż w jej głosie dawało się wyczuć niezadowolenie:

– Co ty tu? Mówiłam, idź za mną. – I natychmiast przyspieszając jeszcze bardziej kroku, odrywała się ode mnie. – Tylko stój tam, aż odejdę. Stój, nie ruszaj się.

Naprzeciw na drodze pojawił się jakiś mężczyzna, a gdy zwyraźniał na tyle, że dało się rozróżnić, że jest w kapeluszu, że na ramieniu niesie kij z przewieszonym węzełkiem, matka zwolniła i obejrzała się jakby z niepokojem na mnie, gdzie jestem. Pozwoliło mi to znów zbliżyć się do niej. Tamten był już całkiem blisko, więc znów obejrzawszy się na mnie, prawie przystanęła.

– Chodź tutaj z tym butem! – zawołała. – Może on będzie coś wiedział.

Mężczyzna chciał nas pewnie minąć, w każdym razie nie widać było po nim, żeby miał zamiar zatrzymywać się, ani głowy nie skręcił w naszą stronę, ani wzrokiem nie rzucił, aż dopiero matka krzyknęła:

– Niech będzie pochwalony!

Omiótł półprzytomnym spojrzeniem matkę, mnie i ledwo odburknął:

– Na wieki wieków.

– Nie widzieliście gdzieś buta? – matka zapytała. Przystanął, ale jakby nie zrozumiał, o co chodzi. – No, buta. Cóż takiego dziwnego? – obruszyła się.

– Buta? – rzekł z namaszczeniem.

– Zgubił chłopak. Szliśmy tą drogą, tylko w tamtą stronę. I jeden jest, a drugiego nie ma. – Pchnęła mnie lekko w jego stronę. – Idź, pokaż. Nie rzucił wam się w oczy gdzieś na drodze taki sam? Albo może ktoś znalazł i na płocie powiesił? Czy na gałęzi?

Wziął ode mnie tego buta i obracając go w dłoniach, oglądał z uwagą ze wszystkich stron.

– Prawie nowy – powiedział.

– A bo co on tam, ze trzy razy wszystkiego miał na nogach – wyjaśniła matka.

– I zgubił? – jakby nie mógł wciąż zrozumieć.

– Akurat gdy na zimę idzie. Nie znajdziemy, to aż się boję myśleć, w czym on będzie chodził – matka jakby chciała swoim nagłym rozżaleniem wymusić na mężczyźnie, że gdzieś widział tego buta.

Ale ten, wciąż obracając tego buta w dłoniach, z tym samym zdziwieniem powtarzał:

– O, ładny but. Ładny but. Prima but. I zgubił. A ten zgubiony był taki sam?

– Przecież mówię wam – uniosła się. – Jakiż mógłby być, jak od pary?

– Różnie bywa. Czasem taki sam, czasem nie – zamamrotał, jakby swoje wiedział, czym matkę już całkiem rozdrażnił.

– E, dawajcie – powiedziała ze zniecierpliwieniem. – Będziecie oglądać i oglądać – głos jej nabrzmiał gniewem – a nie potraficie powiedzieć, czyście gdzie nie widzieli. Zabierz, Piotrek. Idziemy.

Mężczyzna, nie zbity z tropu, dalej oglądał tego buta.

– O, ładny but. Prima but. Widać, że na obstalunek robiony. – A gdy mu z rąk zabierałem, powiedział: – Znaleźć tylko drugiego i byłaby para.

– Fiś – powiedziała matka, gdyśmy już kawałek odeszli. – Oglądał i oglądał. Jakby gołębia trzymał w rękach. Gruchu, gruchu. Ładny i ładny. Bez niego wiem, że ładny. Wszystkie gołębiarze fisie. Jeszcze trochę, a rzuciłby go w górę i niech leci. Potem szukaj wiatru w polu.

– W tamtej wsi może coś wam powiedzą! – doleciał nas jego głos nabrzmiały współczuciem.

– No, nie fiś? – powiedziała matka, zarazem przykazując mi: – Nie oglądaj się. Powiedzą albo nie powiedzą.

– Dojdziecie do wsi, to się rozpytujcie!

– Sama wiem, czy mam się rozpytywać – zaburczała ze złością. – Nie musi mi nikt podpowiadać.

– Co komu po jednym bucie! – wciąż ten jego głos nie chciał się od nas odczepić. – Na oba mógłby się ktoś skusić! Ale na jednego?!

– I na jednego. Widać, że nie zna ludzi – zamamrotała, nie chcąc widocznie dać sobie wyrwać ostatniego słowa w tej dziwnej rozmowie. – A jak kto ma tylko jedną nogę? Mało to naobrywało ludziom nóg w tę wojnę? Choć daj Boże tylko jedną, to ma jeszcze na czym kicać.

– Rozpytujcie się! – już tylko echem przetoczyło się nad nami.

We wsi jednak nikt nie znalazł, nikt nie widział i nikt nie słyszał, żeby ktoś znalazł. Rozkładali ręce, użalali się nad nami, czasem z niedowiary ktoś wytrzeszczał oczy:

– Buta? Jakiego buta?

– Pokaż, Piotrek.

Ten i ów nas sobie nawet przypominał, gdy matka mówiła, że do południa szliśmy tędy, tylko w tamtą stronę.

– Ano, chyba szliście. Przez okno was chyba widziałem. Powiedziałem do mojej, popatrz, jacyś obcy idą. Matka, ojciec i syn. Tylko czemuż to matka na przedzie? O, jak to się wyrwała. Ojciec powinien na przedzie. A ojca gdzieście zostawili?

Kobiety przeważnie nam radziły, żebyśmy pacierze odmawiali, jak chcemy tego buta znaleźć, a najlepiej litanie. Bo choć się bez Boga zgubi, z Bogiem się powinno szukać. Któraś wyniosła nam kawałek chleba z serem, że jak się tak idzie, a nie wiadomo dokąd, to się i zgłodnieje. Inna obiecywała poszukać jakiegoś buta po swoim chłopaku, którego mina rozerwała, gdybyśmy swojego nie znaleźli, i żebyśmy zaszli do niej, jak będziemy wracać. A nawet się popłakała nad tym butem. Inna znów zabrała się kawałek z nami, bo szła na drugi koniec wsi do siostry, a gdyśmy się rozstawali, rzekła:

– Niech was Jasna Panienka prowadzi. Znajdziecie, znajdziecie. Czemuż mielibyście nie znaleźć?

Za to chłopy, gdy matka któremuś wspomniała, że zgubiłem tego buta, mieli wszyscy jedną radę, żeby zlać mnie, to na drugi raz nie zgubię. Któryś nawet mi pod nogi splunął:

– Nagła krew, buta zgubić. O, bym zlał, bym zlał.

Inny aż zakipiał:

– Surowym rzemieniem bym zlał. I po gołym tyłku. Ażby krew sikała.

A któremuś oczy wyszły na wierzch, twarz spurpurowiała i wycharczał:

– By tak na mojego padło, utopiłbym zarazę. Jak mi Bóg miły, utopiłbym. Albo z domu won! I nie wracaj mi, cholero, póki w zębach nie przyniesiesz.

Schowałem się za matkę, bo ta jego wściekłość przeleciała mnie dreszczem po skórze, a nawet moim sercem zatrzęsła, kiedy krzyknął:

– I nie wracaj mi! Won!

Próbowała mnie matka bronić:

– Czego? Nie chciał przecież zgubić. Chce kto zgubić? Każdy woli znaleźć. Dzięki Bogu, nie wasz on.

– Eh, by tak na mojego padło. By tak na mojego, cholera – w tej wściekłości najwyraźniej żal przebijał, że nie jego chłopak zgubił tego buta.

Ze wszystkich tylko jeden, ale czy to w tej wsi, czy w następnej, nie złościł się, nie przeklinał, nie radził, żeby zlać mnie, obejrzał buta i powiedział:

– Jakbyście nie znaleźli, to za cztery litry bimbru od Ruskich można kupić. I amerykany. Wojskowe. Nie jak w dawnym wojsku podkute, ale na teraźniejszą wojnę umyślnie szykowane. Nad kostki ochraniacze mają. I podeszwy gumowe, nie przemokną. Z pół litra wody można dolać, nie

poznają się. Jakbyście, to tu mieszkam. W tej chałupie. Sroka mi, Walenty. Bo są jeszcze Wincenty, Błażej i Sylwester. Przyjeżdżają czasem do mnie ichnie lejtenanty. To jakbyście...

– Bóg panu zapłać – powiedziała matka po raz pierwszy na tej drodze komuś pan. – Ale może znajdziemy.

– Ano, mówię jakbyście – powiedział.

Minęliśmy za wsią krzyż, gdy matkę nagle strach obleciał, bo wydało jej się, że gdzieś tu ścieżką szliśmy od pól, nie za drogą.

– Pamiętasz? Powiedziałam nawet, o, tam krzyż. Ale pod krzyż nie zachodziliśmy. Wracajmy. Trzeba się kogoś spytać.

Na szczęście jechał chłop furą z kartoflami, a że noga za nogą jechał, jak to z kartoflami, to koń prawie sam przystanął, gdy matka głos unosząc, z niepokojem zawołała:

– Gdzie tu ścieżka?!

– Ścieżka? Zależy, w którą stronę chcecie.

– Zaraz – zawahała się, po czym okręcając się najpierw w lewo, a następnie w prawo, rozglądała się z niepewnością, jakby nie mogła się zdecydować, którą stronę świata wybrać. – A słońce gdzie tu u was wschodzi?

– Tam. – Chłop pokazał batem.

– Bo cały czas pod słońce szliśmy. To musimy teraz chyba tam iść. – Wyciągnęła rękę przed siebie w dal, wciąż niepewna.

– Tak by wypadało – chłop przytaknął. – I czemuż już wracacie? – zaciekawił się, ale jakoś tak pół na pół, jakby był i nie był ciekawy.

– Buta zgubiliśmy – powiedziała matka.

Nie zdziwił się, choćby lejcami nie poruszył ani o nic więcej nie zapytał.

– Tu macie ścieżkę – powiedział – jak ten krzak tarniny.

– A rzeczywiście – powiedziała matka z udanym zdumieniem. – Dziękujemy.

W odpowiedzi smyknął tylko konia batem, wio!

– Bóg zapłać – rzuciła mu jeszcze, kiedy znaleźliśmy się na ścieżce. Ten jednak ani głową nam nie odkiwnął. – Jakiś dziwny – powiedziała, oglądając się z niepewnością za nim. – Żeby nawet nie spytać, co, jak? Choćby i fałszywie, ale mógłby się spytać. Jakby buta zgubić, to tyle co splunąć. Ano, nieraz się wydaje, że kartofle człowiek wiezie, a on ból w sobie wiezie. – Nagle uprzytomniwszy sobie, że idziemy już tą ścieżką, zatrwożyła się: – Patrzysz chociaż? Patrz, synu. Rozglądaj się. Wzrok trzymaj przy ziemi. Mógł się w trawie po boku zaplątać. Czy gdzieś dalej w rolę skoczył i zrobił się do bryły podobny. Patrz i na bryły.

Kark mnie od zwieszania głowy nad tą ścieżką zaczął boleć. Oczy od ciągłego przenoszenia ze ścieżki na boki, na bryły, z powiek mi się obsuwały, że gdy głowę na chwilę uniosłem, wszystko widziałem rozmazane, jakby nie przez moje oczy, bo w moich, prócz tej ścieżki, brył po bokach, nic nie chciało się już zmieścić. Chwilami odnosiłem wrażenie, że ta ścieżka jest wąziutką kładką na jakichś rozległych trzęsawiskach, bajorach, wodach, i łapałem się na tym, że całą napiętą uwagą pilnuję się jedynie, aby nie zlecieć gdzieś w przepaść. I najmniejszy krzaczek, który rósł przy ścieżce, budził we mnie strach, jakby czyhał, żeby mnie z tej ścieżki zepchnąć. Ale to ten but był wszystkiemu winien. Bo na co wzrok mój padł, widziałem tego buta, w każdym zagłębieniu, w każdej kępce trawy, w każdej bryle ziemi, a czasami i pośrodku ścieżki, tuż przede mną, jakby jeszcze się chybotał, bo go matka, nie zauważywszy, potrąciła. Nagle z tego buta wyrwał mnie jej uniesiony w zachwyceniu głos:

– Ależ piękne pola. Tylko jesienią takie pola piękne. I musi być płasko, żeby hen było widać. W naszych stronach tak nie widać. Wądoły, rozdoły, pagóry, jary. A tutaj aż do końca. Patrz, i z tej strony, i z tej. I tam. – Zwolniła, tak że niechcący zbliżyłem się do niej i szedłem tuż za jej plecami. – W mieście człowiek żył, to gdzie miał widzieć pola? Mury tylko. Popatrz, tu zieleńsze, tu żółcieńsze, tam przywiędłe, a tam szare. A gdzie zielone, to zieleń do zieleni niepodobna, choć wszystko zieleń, jak człowiek do człowieka, choć każdy człowiek. Z samej zieleni dałoby się świat uwić. Aż dziwne, po co Panu Bogu był potrzebny jeszcze niebieski czy czerwony, czy inne. Nieraz namawiałam tak ojca, pojedźmy w niedzielę gdzieś za miasto, choć na pola popatrzymy. Ale gdzie on by ci na pola. Do parku to musiałam go siłą wyciągać. Co tam w polach jest do oglądania? Buty tylko sobie człowiek ubrudzi. Tak że tyle, co się na lato do ojców przyjechało, jak miał urlop. Ale u ojców zawsze żniwa. To jakie tam pola we żniwa. Patrzyć się nie chciało. Pot oczy zalewał. W krzyżu łupało. To gdybyś nawet chciał popatrzyć, nic byś nie zobaczył. Bo widzi się to, co się czuje. Nie samymi oczami się tylko widzi. Taki ślepy nie widzi, a ile widzi. Przez mękę to tylko mękę widać. To i pola we żniwa widać aby umęczone. Pociachane kosami, sierpami, jakby ze skóry obdarte. Dopiero jesienią, kiedy wyzdrowieją, wtedy i kolorów, o, ile. I wszystkie z tego zielonego. Żółte, rude, czerwone, wszystkie z zielonego. Nawet jakieś zamyślone się wydają. By tak zgadnąć tylko, o czym? A pewnie o tym samym co każdy. Bo o czym by? Dobrze, że choć tą ścieżką idziemy.

– Szliśmy, mama, tędy, to i teraz musimy tędy iść – wyrwało mi się, choć nie miałem zamiaru jej przerywać.

– Ano, prawda, synu – westchnęła. – Ale by nam tamten chłop nie pokazał, to i nie szlibyśmy. – I w tej samej chwili wyrzuciła w zdumieniu: – O, popatrz, ile ludzi. I tam. I na tamtym. I tam dalej. Zapomniałam przez to

wszystko, że to już kopania, mój Boże. I orzą już niektórzy. Sieją. A tam, popatrz, ognisko. – I prawie całkiem zwalniając obejrzała się na mnie. – No, popatrz. E, taki sam żeś jak ojciec. Namawiać go było, żeby na coś popatrzył. Po co? Na co? Nawet do kina to tylko na wojenne lubił chodzić. A ja wojennych nie lubiłam. Tylko się strzelali albo bagnetami kłuli, ale szłam i na wojenne dla zgody. Cukierka nawet nigdy nie wziął. Nie szeleść mi, mówił. Co ci szeleszczę, kiedy strzelają? Wolałam o miłości. I żeby nie kończyło się smutno. Bo potem człowiek tylko myślał, jacy są nieszczęśliwi. – I w tej samej chwili wykrzyknęła w pola: – Hej, nie widzieliście może buta?!

Jakby zerwany ze snu, podniosłem wzrok znad ścieżki za tym jej krzykiem. W głębi pola jakiś chłop wsiadał właśnie na wóz wypełniony czubato kartoflami, a za nim dalej w głębi kilka pochylonych kopaczek dziabało motykami w uschniętych radlankach.

– Jakiego buta?! – Już miał jedną nogę wspartą na rozworze, a ręką trzymał się kłonicy, lecz puścił i stanął obiema stopami na ziemi, obracając się ku nam.

– No, buta! – wyrzuciła matka w odpowiedzi, prawie obruszona, że nie rozumie, jakiego buta. Przystanęła, ja za nią. – Zgubił chłopak! Szliśmy rano tędy, tylko w tamtą stronę, i jednego nie ma.

Znad radlanek uniosły się kopaczki i któraś krzyknęła:

– Co się stało?!

– Zgubili buta! – odkrzyknął chłop. – Nie wykopała tam która?! – I zarechotał, aż się po polu rozniosło, a koń spłoszony rzucił łbem.

– Buta?! Matko Święta! – Któraś z kopaczek z uniesioną motyką już biegła w naszą stronę, pokrzykując: – Matko Święta! Matko Święta!

Zerwały się za nią i pozostałe i szły na nas z tymi uniesionymi motykami, pokrzykując jakby w jakimś chórze, to w zdziwieniu, to ze

zgrozą: – Matko Święta! Chryste Panie! Matko Święta! Chryste Panie!

A chłop aż się zanosił tym rechotaniem. Coś tam próbował pokrzykiwać do zbliżających się kopaczek, lecz żadne słowo nie mogło się przez ten jego rechot przedrzeć i tylko popluwał jakimiś ćwiartkami, połówkami, strzępami słów, jakby kartoflami z wozu rzucał.

Staliśmy obśmiewani tym jego rechotem, aż w końcu matka zdobyła się na odwagę i krzyknęła:

– I z czegóż się tak śmiejecie jak głupi do sera?! Wyście nic nigdy nie zgubili? To jeszcze zgubicie, da Bóg! Chodź, Piotrek, idziemy. – Złapała mnie za rękę. – Z głupim znaleźć, to już lepiej z mądrym zgubić.

– A śmieję się!... A śmieję się!... – chłop dusząc się, krztusząc, próbował się przedrzeć przez ten swój rechot: – Bo żeby komuś but z nogi zginął!... Jeszcze nie widziałem!...

– Nie z nogi – rzuciła matka, gwałtownie ściągając mnie w swojej ręce. – Boso szedł. Buty niósł na plecach w kurtce zawiązane.

– Aaa... To tak trzeba było mówić – chłopu nieswojo się zrobiło, poklepał konia po pysku, poklepał po boku. – Trzeba było od razu tak. Od razu trzeba było. Stój. – Złapał konia za pysk. I wyraźnie zły, przewlekł mu przez pysk uzdę. – Stój, cholero! – Złapał bat. – Stój, mówię, bo jak cię!...

– Stoi przecież, czego chcecie – powiedziała matka. – Przy takim gospodarzu, to jak baranek ten wasz koń.

– Gdzie on, cholernik, baranek. Po skórze baranek. A w środku diabeł kipi. Po kopaniach sprzedam cholerę. Poorzę, posieję i sprzedam. – Nabrzmiały złością głos zaczął mu się jednak kruszyć i prawie z żalem powiedział: – Niech tak nie doczekam, sprzedam. A wy kto jesteście?

– Wysiedleńcy – powiedziała matka.

– Aaa... To może byście kartofli sobie trochę wzięli?

– Wzielibyśmy, ale jak? Musimy za tym butem.

– A modliliście się do świętego Antoniego? – pierwsza z kopaczek zdyszana dopadła nas. – Na zgubę nie ma jak święty Antoni. Tak mi raz cielę poszło i poszło. Co się naszukałam, napłakałam...

Nie zdążyła dokończyć, bo już nadciągnęły pozostałe kopaczki, tak samo zdyszane, i stanęły przed nami w zmartwionym półwieńcu. Głowy w chustki szczelnie owinięte. Twarze aż do czerwoności rozgrzane, a w ręku każdej motyka, toteż wydawały się kropla w kroplę do siebie podobne i dopiero kiedy przypatrzyłem się im, zobaczyłem, że są młodsze i starsze, brzydsze i ładniejsze, a jedna chyba była w moim wieku.

– A jaki ten but? A co to za but? A gdzieście zgubili? Zgubili, mój Boże. Z prawej czy lewej nogi? – jedna przez drugą dopytywały się, jakby sobie podśpiewując. Na co matka, puszczając moją rękę, rzekła:

– Idź pokaż, Piotrek. – Nie wiem, czemu zawstydziłem się, i to tak głęboko, że wbiłem oczy w ziemię i nie mogłem za nic z miejsca ruszyć. – No, idź pokaż, mówię – ponagliła matka. – Ogłuchłeś? – I lekko mnie ku nim popchnęła.

Wciąż zawstydzony, z oczami w ziemi, z tym butem w wyciągniętej ręce szedłem niczym na skazanie, choć było zaledwie kilka kroków do nich. Skupiły się ciasno głowa przy głowie, aż mnie owionął zapach ich kartoflanego ciepła. Zaczęły wzdychać, współczuć, użalać się, że najchętniej zostawiłbym im tego buta i uciekł. Na szczęście przyszedł mi z pomocą głos chłopa od fury z kartoflami:

– A co tam oglądać! Od oglądania się drugiego nie znajdzie!

Ta od świętego Antoniego znów zaczęła nam radzić, że tylko święty Antoni:

– Ilu tu ludziom święty Antoni już napoznajdywał zgub.

I wsparłszy się na motyce, zaczęła pokazywać dookoła wsie, gdzie, w której święty Antoni co znalazł, te bliższe i te dalsze, z nazw, z chałup, aż

wyobraziłem sobie, że znalazł i mojego buta i trzymając go w ręku, rozgląda się po świecie, czyj to but, a może nawet tam idzie z tym butem, z naprzeciwka ku nam, tą samą ścieżką, wielki pod niebo, wołając po wsiach, polach:

– Hej, buta znalazłem! Z lewej nogi! Czyj to but?! Hej, niech się ktoś odezwie!

Z młodszych kopaczek któraś wtrąciła nieśmiało:

– Stryjna, a Maruta z Kolonii sprzedał krowę na targu i pieniądze zgubił, jak do domu wracał, to mu święty Antoni nie znalazł.

– Bo nie zgubił, tylko przepił pijus, a rozpowiadał, że zgubił. Pijusom święty Antoni nie znajduje. Pijusom, łajdusom, faryzeuszom, krzywoprzysięzcom, latawicom nie znajduje. Jeszcze by czego. – I długo wyliczała, komu nie znajduje, a w pewnej chwili, wyciągnąwszy motykę gdzieś przed siebie, w dal, powiedziała: – O, w Wojciechowie, tam, pod jesionem, zaraz jak wejdziecie do wsi, stoi święty Antoni. Aby kapkę zboczycie. Bo co innego przed świętym Antonim się pomodlić niż tak do siebie. Powiedzcie mu, zima idzie, a chłopak buta zgubił, pomóż, święty Antoni. I musicie mu powiedzieć, żeście wysiedleńce. Wszystko mu powiedzcie. Jak na świętej spowiedzi. Ze wszystkich świętych to najświętszy święty.

– A nie święty Franciszek, stryjna? – wtrąciła znów któraś z kopaczek.

– Do świętego Franciszka tak nie ma potrzeby. A gubić, ciągle się coś gubi. Całe życie się coś gubi.

Nie zboczyliśmy jednak do Wojciechowa, chociaż obiecała matka tamtej, że zboczymy, a nawet żeby ta jej obietnica nie wzbudziła podejrzeń, wypytała się jeszcze o różne szczegóły. Czy ten święty Antoni murowany, czy drewniany? Czy w płotku jest furtka, no, bo jak przez płotek do świętego przełazić? Czy po prawej, czy po lewej stronie drogi stoi? A na

koniec jeszcze upewniła się, Wojciechów mówicie? To tak jak święty Wojciech. Będziemy pamiętać.

Ale kiedy odeszliśmy już spory kawałek, zerknęła za siebie, czy kopaczki wróciły do kopania, i zniżywszy głos do półszeptu, powiedziała:

– A już bym tam zbaczała. Nie w jednym Wojciechowie jest święty Antoni. Zboczymy, a potem nie trafimy z powrotem. O, dojdziemy do tej wsi przed nami, tam też musi być święty Antoni, bo wszędzie jest. Nawet chyba go widziałam, gdzieś tak w krzakach stał.

Toteż ledwo weszliśmy do tej wsi, zaczęła się rozpytywać napotkanych ludzi, gdzie tu jest święty Antoni, jakby zapominając, że szukamy buta. Nikt nam jednak nie umiał powiedzieć, czy w ogóle jest w ich wsi święty Antoni. Kręcili, motali, wymieniając, co jest, że jest krzyż przed wsią z tamtej strony, Pan Jezus w kapliczce, jak dalej pójdziemy, murowany, pod daszkiem, rękę mu tylko odłamek odrąbał, co się nią pod brodą wspierał, i teraz mu głowa wisi, jakby w przepaść z Bożej szyi spadała. Jest Matka Boska przybita na lipie, jest święty Roch, a właściwie był, bo się rozpadł ze starości, ale w tamtą wojnę jeszcze był i po wojnie trochę był, tej wojny jednak nie doczekał. Niektórzy wymieniali nawet, co po domach mają, ale mieli przeważnie Wieczerze, Ogrójce, Ukrzyżowania, Wniebowstąpienia, a świętych mniej. A już świętego Antoniego nikt.

– Co za wieś! – aż się matka zezłościła. – To nic tu nikomu nigdy nie zginęło?

– Kiej zginie, to się szuka. Wieś nieduża. A wam co zginęło?

– But. Pokaż, Piotrek. Jeden jest, a drugiego nie ma.

– W naszej wsi? W naszej wsi nie mógł zginąć. Każdy widzi, kto w czym chodzi. To nie w naszej wsi, żeby ktoś się na buta połakomił. I to jeszcze jednego. To nie w naszej wsi.

– Baranki Boże – wyrzekała matka, gdyśmy znów znaleźli się w polach. – A każdemu złodziejem z oczu patrzyło. Widziałeś? Szliśmy w tamtą stronę, chciałam tu mleka kupić, to u każdego albo śmietana już na wierzch wyszła i nie będzie bełtał, albo na zsiadłe odstawił. To mogli tego buta znaleźć i tylko niepotrzebnie idziemy. Na milę czuć, że złodziejska wieś. Są takie wsie. A pewnie w wojnę coś nakradli i teraz się boją. Świętego Antoniego żeby nie mieli. A przecież widziałam, stał. Ale tak ni stąd, ni zowąd pytasz się o świętego Antoniego, no, to różnie ludzie mogą myśleć. Że cię na przeszpiegi przysłali. I dla zmylenia o świętego Antoniego się pytasz. A może to w tamtej wsi, przed nami.

Toteż w tamtej wsi, przed nami, już się nie pytała, czy mają, czy nie mają świętego Antoniego. Nachylając mi się do ucha, powiedziała tylko:

– Rozglądaj się, może gdzieś tu stoi.

Niosła oczy, prosto przed siebie patrząc, jakby nikt nie był jej potrzebny, chociaż ludzie z ciekawością oglądali się za nami, co za obcy idą przez ich wieś. Niektórzy przystawali, spodziewając się jakiegoś słowa od nas, że idziemy przez ich wieś, sami też gotowi coś powiedzieć. Pod płoty podchodzili z głębi obejść, a nawet z chałupy ten i ów wyszedł, dojrzawszy nas przez okno. Lecz matka niosła te oczy, jakby nie widząc nie tylko ludzi, ale i chałup, i całej wsi. Uwieszony u jej ręki, czułem, że i mnie tak samo przykazuje, żebym nic nie widział, ni ludzi, ni chałup, ani całej tej wsi.

W końcu zaczepił nas jakiś starzec siedzący przed chałupą w słońcu na ławeczce. Wydawał się ze starości już martwy. Jego głowa zadziana na lasce, którą się podpierał pod brodą, ani drgnęła na nasz widok i tylko żywy pies grzał się u jego stóp. I właściwie to jakby ten pies nas spytał:

– Szukacie czegoś?

Bo starzec ani ust nie rozdziawił, ani oczu nie podniósł na nas, i tylko ten pies przeciągnął się w kurzu i zawarczał.

– Cicho, Pyrć – powiedziały jakby same słowa starca. – Zostaw ich. Szukają czegoś.

– A czego mielibyśmy szukać? – obruszyła się matka. – Idziemy. Co, nie wolno już przez wieś iść?

– Wolno – powiedziały słowa. – Wieś do świata tak samo należy. Nie zamurowaniśmy. Ale tak się nie idzie, gdy się samo tylko idzie. Idzie się wedle tego, co się w sobie niesie. Inaczej się z płaczem idzie, inaczej z chorobą, inaczej ze złością, inaczej gdy się z poczty list niesie. A wy czegoś szukacie. Nie inaczej.

– Myślał, że wyciągnie z nas – powiedziała matka, gdyśmy go minęli. – Widziałeś, jaki sprytny? Udaje starego, że do trumny go tylko włożyć. – Podniosła oczy hardo i jakby z wysokości tych podniesionych oczu powiedziała: – Idziemy, to idziemy, co go to obchodzi.

Doszliśmy prawie już do końca wsi, że tylko dwie chałupy od pól nas dzieliły, gdy zwolniwszy trochę kroku, zaczęła z niepokojem rozglądać się na strony.

– Nie pamiętasz? – Przerzuciła spłoszony wzrok z tej na tę. – Szliśmy w tamtą stronę, to gdzieś tu była figura. Nawet pomyślałam sobie, że musi święty Antoni. O, postawiłam walizki na ziemi i spojrzałam w bok. Jakby tam. – Wyciągnęła rękę, całkiem już przystając. – Gdzieś między drzewami. Chyba jakieś przeczucie mnie naszło. Bo skąd mogłam wiedzieć, że zgubisz tego buta. Krzak go trochę zasłaniał. Czy nie dziki bez? I wyście z ojcem doszli do mnie. Ojciec blady, aż się zlękłam, bo przecież nic takiego nie niósł. Ten plecak i siatkę. Oj, nie ma on zdrowia, nie. Żeby chociaż przeżył to wszystko. Jeszcze ten but teraz.

Minęliśmy te ostatnie dwie chałupy i wieś się urwała. Stanęliśmy przed rozlewiskiem pól, jeszcze słonecznych, lecz jakby z lekka już

przydymionych, zmatowiałych od więdnącego nad nimi słońca. Matka omiotła wzrokiem te pola, to więdnące słońce i powiedziała:

– Wracajmy. Przejdziemy jeszcze raz. Był na pewno.

Znów znaleźliśmy się we wsi. Nie zadowoliła się jednak samym rozglądaniem się na boki, lecz powodowana jakby gorączką, zaczęła przebiegać z jednej strony drogi na drugą, przepatrując dociekliwie chałupa po chałupie i wszystkie ogródki przed nimi, i każde drzewo, każdy krzak, nawet w obejścia przez płoty zaglądając, a często zachodziła od tyłu, gdy jakaś dróżka między obejściami wiodła czy przestrzeń je dzieliła, czy choćby szczelina.

– Gdzieś tu musi być – powiedziała z goryczą. – Przecież sobie nie zmyśliłam.

I tak szamocząc się od brzegu do brzegu drogi, znaleźliśmy się znów przy starcu siedzącym na ławeczce, w słońcu, z psem wygrzewającym się u jego nóg. Może byśmy go minęli, tak nas ta figura gdzieś ukryta przed nami pośród chałup, płotów, ogródków, drzew, krzaków zmamiła, lecz nagle jakby spod ziemi doszedł nas jego martwy głos:

– Nie mówiłem, że szukacie czegoś?

– Gdzie ten święty Antoni? – matka omalże napadła na niego.

– Tam – rzucił, lecz nawet nie skinął, w której stronie. Siedział, jak siedział, martwy, z głową zadzianą na lasce, z psem u nóg.

– Tam, to może być wszędzie – powiedziała matka. – I tam, i tam, i tam. – Z wyraźną złością wodziła ręką na wszystkie strony.

– I jest wszędzie – zgodził się starzec.

– A chociaż napisane, że święty Antoni? – spytała już spokojniej, widząc, że złością nic nie wskóra.

– Coś napisane – potwierdził – ale to zależy, co się chce przeczytać.

– To może byście nas zaprowadzili.

– Ja nie – powiedział. – Nogi mi nie dają. Aby z chałupy na tę ławeczkę. Dalej zakazane mam. O, tu gdzie ta laska wbita w ziemię jest granica. Dalej zakazane. Pyrć was zaprowadzi.

– Jak to, pies? – wyrzuciła ze zdziwieniem matka.

– Pies – potwierdził.

– I wie, gdzie jest święty Antoni?

– Wie.

– To jakiś wielce mądry ten wasz pies – powiedziała z lekką drwiną czy może tylko tłumiona złość znów się w jej głosie objawiła. Nic nie odrzekł. – To może by i buta znalazł, jak taki mądry? Zgubił chłopak buta.

– Za wsią nie – powiedział. – Tam już nie zna świata. A we wsi jakbyście zgubili, już by znalazł. – I tym martwym głosem zwrócił się do psa: – Zaprowadź ich, Pyrć. Tylko wracaj, bo i mnie pora wracać.

Pies zerwał się, szczeknął na nas i nie oglądając się, ruszył truchtem przed siebie.

– Matko Święta – powiedziała matka z lękiem w głosie – jeszcze nie widziałam, żeby pies. Kury, gęsi, ale do świętego?

A co dziwne, truchtał jakby według naszych kroków, ani mniej, ani więcej, i tylko tych parę kroków przed nami. Raptem skręcił z drogi w bok, w małą przerwę między dwoma obejściami. W głębi, jak zapamiętała matka, ukazała się naszym oczom ta poszukiwana daremnie figura, okolona krzakami.

– Popatrz no? – powiedziała zdumiona. – A przecież pamiętałam. Ale ten krzak jakby z tej strony ją zasłaniał. I chyba był większy. O, dużo większy. Jak mogliśmy przepuścić? Aż mi w głowie się nie mieści. No, przecież patrzyłam.

Pies tymczasem już stał pod figurą, naszczekując na nas i dając nam tym samym znak, że jesteśmy na miejscu.

– Tylko czy aby to święty Antoni? – powiedziała matka, jakby zaklinając tę figurę, że nie może być inny święty. – O, nawet trochę pochylony, no, to nad czym byłby pochylony? Musi coś podnosić.

Figura była aż burozielona, tak parchem mchu pokryta. Tu i ówdzie poszczerbiona od odłamków. Czubek głowy miała ścięty gdzieś tak do połowy czoła, kawałek szaty oberwany i to wraz z kawałkiem ręki, a u drugiej ręki wszystkie palce jakby ktoś siekierą równiutko odrąbał. Grzeszna myśl mnie naszła, że gdzie taki święty może pomóc nam buta znaleźć, jak nie umiał się od wojny obronić. Był nieduży, tyle że stał na dużo większym od siebie cokole, do którego prowadziły po trzy schodki z każdej strony. Drewniany płotek wokół był miejscami powalony ze starości. Kazała mi matka klęknąć przed tym płotkiem. Sama też uklękła obok.

– Zmów trzy Zdrowaśki za buta, żebyśmy znaleźli – rzuciła półszeptem. – I Ojcze Nasz za ojca, żeby zdrowie miał.

Pochyliła się w skupieniu i tak chwilę trwała, lecz raptownie zerwała się, wyrzucając ze złością:

– Trzeba tego psa odegnać. Bo może to wcale nie pies.

Pies stał za naszymi plecami w sporej odległości, jakby się wahając, czy pobyć jeszcze z nami, czy nas samych zostawić.

– Idź już. No, idź. Wracaj do swojego pana – zaczęła matka go odganiać. Pies patrzył na nią, jakby nie rozumiał, o co jej właściwie chodzi, i nawet nie warknął. – Dziękujemy ci, żeś nas przyprowadził, ale teraz idź, wracaj. Jak do ciebie mówić? – Próbowała dobrocią, próbowała złością. Wracała pod figurę i stwierdziwszy, że pies dalej stoi, szła go znów odganiać. – Poszedł ty! Jeszcze stary pomyśli, że niby świętego Antoniego szukaliśmy, a psaśmy mu ukradli. – Złapała jakąś grudkę ziemi i rzuciła

w psa, potem jakiś patyk i zaczęła tym patykiem wymachiwać, lecz pies ani drgnął.

– Jeszczem takiego imienia nie słyszała. Pyrć. Kto daje psu takie imię. Idź, Pyrć, no, idź.

A gdy ona odganiała psa, oczom moim ukazały się na cokole litery zagubione pośród burozielonych parchów. Wyłaziły powoli, po pół kreski, po kresce. Od og... od ognia... od jny... od wojny... od głodu... i od nagłej śmierci... ucho...waj nas Panie... Wstaw... się... za nami Święty... Święty... Izy...dorze... Roku Pańskiego, tu odłamek wyszczerbił, Balbina i Klemens, znów wyszczerbił.

– To zaraza – rzuciła matka, klękając ponownie obok mnie. – O, to nie jest zwykły pies. Skąd by stary wiedział, że czegoś szukamy? Widziałeś, bał się oczu otworzyć, żebym go nie przejrzała. Laską się podpierał też pewnie dla zmyłki. Igłę w stogu bym znalazła, a ten święty Antoni jak wół stoi i przed oczami mi przeszedł. – I przeżegnała się pospiesznie. Potem złożywszy dłonie, uniosła wysoko aż przed oblicze świętego twarz wypogodzoną pokorą. I z tej wysokości szepnęła ku mnie:

– Tylko myśl cały czas o tym bucie. I święty Antoni, pomóż nam, święty Antoni, pomóż nam, tak się módl.

– Mama – rzuciłem podobnym szeptem. – To nie święty Antoni, tylko Izydor.

– Co i ty? – obruszyła się – nie poznałabym świętego Antoniego?

– Napisane jest.

– To po co czytasz – wyrzuciła ze złością.

– Wstaw... się... za nami... święty Izydorze – przesylabizowałem.

– I co z tego? – nie dała się wybić z pewności. – Myślisz, że jak napisane, to już musi tak być? Napisane można zmazać i co innego napisać.

Powtarzaj, co ci powiedziałam, święty Antoni, pomóż nam, święty Antoni, pomóż nam.

– Wyryte...

– Wyryć też można, co się chce – nie dała mi nawet dokończyć. – A co ma być, to i tak będzie. Módl się, nie wybrzydzaj. – Zatopiła się w modlitwie, lecz widocznie też ją naszły wątpliwości, bo rzuciła przez słowa modlitwy: – Ten święty i ten święty. Tyle że ten od pól, a ten od zgub. Ten powie tamtemu, że szukamy buta, i to samo będzie, jakbyśmy się do tamtego modlili. – Wzniosła złożone ręce jeszcze wyżej, aż na równi z nosem, jakby starając się odciąć od tych wątpliwości, czy święty Izydor, czy święty Antoni, i nie przerywając modlitwy, znów rzuciła: – Tylko powiedz mu, że nie masz innych butów i żeśmy wysiedleńce, pamiętaj. A i tak jeden czy drugi muszą iść z tym do Pana Boga. Dopiero Pan Bóg przykazuje temu, spuść deszcz na pola, bo sucho, a tamtemu, znajdź im tego buta. Módl się, ten czy ten, bez modlitwy nam nie pomogą.

Musiało ją to jednak dręczyć, że święty Izydor, nie święty Antoni, bo już gdzie tam za wsią byliśmy, a nie powiedziała jeszcze ani słowa. Szła w jakimś zatroskanym milczeniu, nie przypominając ani sobie, ani mnie, żebyśmy rozglądali się za tym butem, co było widocznym znakiem, że nie ten but ją dręczy.

W polach roiło się od ludzi kopiących kartofle i niektórzy odchylali się znad motyk na nasz widok, niektórzy wołali za nami, gdzież to Bóg prowadzi, lecz matka jakby gnana tym strapieniem, że święty Izydor, nie święty Antoni, zdawała się nie pamiętać, że ludzie mogą nam tak samo pomóc jak święci. I nawet nikomu nie posłała, szczęść Boże. Dopiero gdyśmy doszli do łąk, jakby chcąc to strapienie wyrzucić wreszcie z siebie, powiedziała:

– Święci i tak nie mają swojej mocy, tylko Pan Bóg musi im swojej użyczyć. – I coś w niej zelżało. – Rozglądasz się chociaż? Rozglądaj się, synu. Święci swoją drogą, a trzeba się i rozglądać.

Ośmieliło mnie to i spytałem:

– To po co, mama, są święci?

– Jak po co? – żachnęła się, lecz po chwili zastanowienia dodała: – Żeby byli. Ksiądz wam na religii nie mówił? Widać tak słuchałeś. Skończy się wojna, to się muszę wziąć za ciebie. Na wsi tylko tak ci na wszystko pozwalałam. Po co święci? Może Pan Bóg nie objąłby sam świata i musi mu ktoś pomagać? Na Pana Boga i tak tego wszystkiego za dużo. Nie tylko przecież ludzie, ale i zwierzęta. Pokazywali kiedyś w kinie, to, Matko Święta, cudaki takie, że od samych zwierząt powinien być osobny Bóg. A gdzie ryby, ptaki? Albo mrówki, pszczoły, komary? O, chmara tego jest. I wszystko to pod tym jednym Bogiem. A żeby wysłuchać z jednej wsi wszystkich żalów, wystarczyłoby i tak dla Boga. Czy nawet z jednej chałupy, gdzie rodzina liczna. A ile takich wsi na świecie, ile chałup, rodzin? A gdzie miasta? I wszystko nieszczęśliwe, bo nawet kto szczęśliwy, to przed Bogiem nieszczęśliwy. To choćby od słuchania, doglądania, pocieszania muszą być święci. Czy kiedy trzeba się wstawić za kimś. Ksiądz spowiada na Wielkanoc, to też musi sobie zaprosić drugiego, a nieraz i dwóch, żeby mu pomogli. Bo zbój czy złodziej, ale na Wielkanoc każdego sumienie rusza. I wysłuchaj to wszystko, rozgrzesz, pociesz, pozadawaj pokuty. W pojedynkę by nie poradził takiej górze grzechów, musi sobie zaprosić. To i święci to tacy z ludzi przez Boga do pomocy zaproszeni. O, jest roboty i dla Boga, i dla świętych. Czy pójdziesz do kościoła, to bez świętych byłoby pusto. Choć Bóg najważniejszy, ale ze świętymi bogaciej.

Zbliżaliśmy się do Sanu, wał już było widać, a zza wału wystające w ciągłej linii zarośla, gdy zaczęła wyliczać wedle litanii do wszystkich świętych, ile to świętych jest, a każdy od czego innego.

– Mama! – przerwałem jej. – San!

Podniosła głowę, przejechała wzrokiem w lewo, w prawo wzdłuż tej linii wału, jakby ogarniając cały świat tym wzrokiem, i powiedziała ze zdziwieniem:

– Święci, święci, a tu San, no, popatrz. Idzie człowiek, idzie, wydaje mu się, że tak będzie szedł i szedł, a tu San. No, popatrz. I dawnośmy tędy szli? Dobrze, że choć zobaczyłeś. – I nagle jakby coś ją szarpnęło: – Matko Święta, a my dotąd nie znaleźliśmy tego buta. I co to będzie?

Zamilkła, głowa jej lekko obwisła, można by pomyśleć, że tak natarczywie zaczęła wypatrywać buta, lecz właściwie to ciągnęła tylko oczy po drodze, a wpatrzona była w siebie. Myślałem, czyby nie pocieszyć jej, że znajdziemy jeszcze tego buta, na pewno znajdziemy, niech się już nie smuci, lecz niepewność mnie naszła, czy aby to ten but ją tak zasmucił.

Słońce coraz bardziej wydłużało nasze cienie, które szły przed nami, i w pewnej chwili zobaczyłem, że cień matki obija się o mój cień, zachodzi na mój cień, chociaż nie szliśmy wcale blisko siebie. Jej cień był zresztą dużo wyższy od mojego, a jeszcze rósł i rósł, a mój malał przy nim, kurczył się, jakby słońce tylko za nią zamierzało zachodzić, a za mną wciąż stało na niebie. Aż się obejrzałem, czy może nie rozdwoiło się na jej i moją połowę.

Zbliżaliśmy się do wału. Droga zaczęła się wznosić łagodnym podjazdem dla koni i wozów, opadając taką samą łagodnością po drugiej stronie i prowadząc niemal w prostej linii przez kępę do brzegu rzeki, gdzie przybijał prom. Na wale zatrzymaliśmy się i matka, rozglądając się po rzece, powiedziała:

– Popatrz no, jest czy go nie ma.

– Stoi, o, tam.

– Ale przewoźnik czy jest? Rano prom tak samo stał, a ten zaraza pijany w krzakach spał. By go ludzie nie wywlekli, to byśmy czekali nie wiadomo dokąd, póki nie wytrzeźwieje. A wódką aż po rzece śmierdziało, kiedy nas przewoził.

Staliśmy wciąż na tym wale, niby rozglądając się za przewoźnikiem, lecz matka rozglądała się po całej równinie, jaka się przed nami roztaczała. A nawet gdzieś za San, gdzie ledwo już co było widać w mroczniejącym słońcu.

– A jak i za Sanem nie znajdziemy? – powiedziała, jakby jej się tylko z myśli wyrwało. – To już nie wiem co. Wrócimy chyba do dziadków. – Wyciągnęła rękę, kładąc ją na jakichś poszarzałych w dalekości, w zachodzącym słońcu poszczerbionych zarysach. – Tam chyba ta wieś. Zawsze to w nieszczęściu raźniej razem. Chyba kościół widać. Widzisz? Nie dostałby ojciec tej posady, to by wujek Władek czy Stefan jutro pojechał po niego. – I nagle zaczęła się zamartwiać, obejrzawszy się na drogę, że jakoś nikogo nie widać, żeby szedł do promu. – Widzisz kogoś? Rano to aż nie mogliśmy się wszyscy naraz zabrać. Musiał drugi raz jechać. A samych to nas może nie będzie chciał przewieźć? Albo zedrze z nas jak z psa skórę? A już! Dostanie! – I złapawszy mnie za rękę, rzuciła: – Niech mu się nie wydaje, że na głupią trafił. Też wiem, co za ile. Za ciebie najwyżej połowę. Tak przed wojną na kolei płaciłam. I co kolej, to nie prom. Trzy godziny do dziadków się jechało, to nie to, co z brzegu na brzeg. Świata się przynajmniej trochę przez okno zobaczyło. Stacji było chyba z piętnaście. A jak towarzystwo się trafiło, to się człowiek i pośmiał, i dowiedział wielu rzeczy. Aż szkoda było nieraz wysiadać. O, niech się cieszy, że mu rano zapłaciłam, bo taki był pijany, że na oczy nie widział,

czy mu płacą, czy nie. Jeden płacił, a w drugim nawet sumienie nie drgnęło. Nie widziałam? Widziałam.

Stanęliśmy nad brzegiem przy promie, a jeszcze nie zdążyliśmy się rozejrzeć, gdzie przewoźnik, gdy od pobliskiego krzaka wikliny doszedł nas jego podchrypiały głos:

– Mieliście szczęście. – Leżał na jakiejś starej kapocie, z rękami podłożonymi pod głowę, i wpatrywał się w niebo, na nas nawet nie zerknąwszy. – O, mieliście szczęście.

– A bo co? – wyrzuciła matka z nadzieją w głosie. – Może buta ktoś znalazł?

– Buta? Nie, tylko miałem już jechać na tamten brzeg. O, i kukuruźnik na niebie mnie zatrzymał. Leci, a nic go nie słychać.

Zadarłem głowę. Po przyciemnionym z lekka niebie sunął dwupłatowy samolot, nie wydając ani szmeru.

– A o bucie pan nie słyszał? Zgubił chłopak. Pokaż, Piotrek.

Popatrzył jakby od niechcenia.

– I czemuście tak długo na wale stali?

– A jakoś tak. – Matka straciła nagle pewność siebie, lecz zaraz znalazła przyczynę naszego stania: – Myśleliśmy, że może ktoś jeszcze będzie szedł do promu.

– O tej porze mało kto się już trafia. – Zwlókł się z legowiska, przerzucił kapotę przez ramię. – Naczekałem się na was, już bym dawno był na tamtym brzegu. Siadajcie.

Podtrzymał matkę za łokieć, gdy dawała krok z brzegu na prom, aż nie mogła ukryć zdziwienia, ale i z podejrzliwością potem patrzyła na niego. Mnie uniósł pod ręce i przesadził jak piórko. Złapał drąg, odbił od brzegu, chwycił za linę rozwieszoną między brzegami i zapatrzył się w bieg pociemniałej rzeki, a lina omal sama przesuwała mu się w rękach.

– Jak to na nas pan czekał? – spytała matka.

– A na kogóż by? – od jego dudniących słów aż się prom lekko zakołysał.

Głos mu się jednak po chwili wypogodził i łagodnie już upomniał mnie, abym nie trzymał się liny, bo mi skórę na rękach pozdziera, co innego jego ręce, wyszlifowane jak schody do kościoła. Matce kazał siąść na skrzyni, że wygodniej jej będzie niż stać, i podsunął jej tę skrzynię.

– Rano, jak was zobaczyłem, od razu pomyślałem, zanim słońce zajdzie, będą wracać. I zachodzi. Zawsze wiem, kto jutro, pojutrze będzie wracał, a kto nigdy. Gdyby nie ten kukuruźnik, już byście mnie nie spotkali. A męża gdzieście zostawili? Rano troje was było? Musi chory być ten wasz mąż.

– Czemu miałby być chory? – odburknęła matka z niezadowoleniem, że ktoś się wtrąca w jej życie, i to aż do bólu. Lecz aby nie urazić przewoźnika, odwróciła bieg rozmowy: – A pan na którym brzegu mieszka?

– Różnie – odparł, jakby strzepnął coś z siebie.

– Jak to? – zdziwiła się matka.

– Gdzie przed nocą przybiję. Raz na tym, raz na tamtym.

– Ale dom gdzie pan ma?

– Mówię, raz na tym, raz na tamtym brzegu.

– To nie ma pan żony, dzieci?

– Żeby żonę, dzieci mieć, trzeba by na tym czy na tamtym brzegu osiąść. A jak tu osiąść, kiedy musi się jeździć. Marynarzem miałem być, to na ziemi już nie bardzo. Do wody mnie ciągnie.

– Jezusie! – wykrzyknęła matka, bo prom, dobijając do brzegu, zakolebał nami.

– Spokojnie – powiedział przewoźnik.

Wytargał koniec łańcucha z promu na brzeg, zaczepił u grubego pala. Tuż za nim zwinnym susem wyskoczyła na brzeg matka. I od razu nastroszyła się:

– To ile płacę? – wyciągnęła z torebki portmonetkę, że gotowa płacić, i z pretensją w głosie, pokazując na mnie, powiedziała: – Za niego nie powinien być cały. Przed wojną na kolei...

– Schować tę portmonetkę – przerwał jej, podciągając prom za łańcuch do samego brzegu. – I tak miałem na ten brzeg jechać, z wami czy bez was.

– Ale przecież coś się chyba należy? – matka niby nie ustępowała, podtrzymując hardość w głosie. – Nie lubię być nikomu dłużna.

– Schować – powtórzył.

Zawahała się.

– To może chociaż za mnie – głos jej zrobił się skruszony, a rękę z portmonetką jakby mimo woli przesunęła nad otwartą torebkę.

Nic już nie powiedział, a umocowawszy łańcuch u pala, zaczął się rozglądać po rzece, po kępie, zadarł głowę w niebo.

– Nie naszukacie się już tego buta – powiedział jakby do tej rzeki, do kępy, do nieba. – Szarawo się robi.

– Gdzie szarawo?! – wyrzuciła z oburzeniem, gdyśmy oddalili się na tyle już od niego, że nie mógł nas usłyszeć. A na wale obejrzała się jeszcze. Stał nad brzegiem, jakby zamyślony w rzece, i z tym samym oburzeniem powiedziała: – To nad rzeką tylko ciemniej jest.

Mogłoby się wydawać, że to oburzenie dawno w niej wygasło, wał za nami ledwo już majaczył, zeszliśmy z drogi znów na ścieżkę, na tę samą, którą nas gospodarz rano ze wsi wyprowadził, i oczy, myśli mieliśmy utkwione jedynie w tej ścieżce, gdy znów wyrzuciła z oburzeniem:

– Gdzie szarawo? Całkiem widno jeszcze. Patrz, jaka bryła, i co, nie zobaczyłam jej? A but nie mniejszy od tej bryły.

Przeszliśmy spory kawał w całkowitym milczeniu, byłem przekonany, że już zapomniała o przewoźniku, gdy nieoczekiwanie, jakby tylko rzucając mi przez ramię strzępek swoich myśli, powiedziała:

– Dziwny jakiś. Nie wyglądał mi na przewoźnika. Rano prędzej, kiedy był pijany. Gdzie to, żeby ani domu, ni żony, ni dzieci. Tylko tak od brzegu do brzegu. – A gdy przeszliśmy znów kawałek, zaczęła już usprawiedliwiać przewoźnika: – Ano, różnie ludziom się układa. Może przez to, że nie został tym marynarzem.

W górze wydawało się jeszcze jako tako widno, lecz przy ziemi zaniosło się już na dobre szarością. W dodatku ta szarość niemal w oczach gęstniała, jakby ktoś tak nam ją słał pod nogami, i na nic się zdały zaklinania matki, że gdzie szarawo. Uklepana przez ludzkie stopy na kamień ścieżka, zwykle przecież jaśniejsza od prowadzących ją pól, ledwo się już od nich odcinała. A na takiej tonącej wśród szarości pól ścieżce znaleźć buta, to chyba żeby się potknąć o niego.

Matka, powtarzając wciąż, gdzie szarawo i gdzie szarawo, z coraz głębszej szarości wyciągała nogi niczym z błotnej topieli. Czasem nawet nie widziałem jej stóp i nie dlatego, że obute były w czarne pantofle, bo moje gołe stopy, białe przecież, tak samo rozmazywały się w tej szarości i jedynie coraz większy chłód dawał mi znać, że dotykam nimi ziemi.

Słońce już na dobre zaszło, został po nim domyślny ledwo poblask w dali nad polami, jak gdyby nie do końca starty ślad, że tam właśnie zaszło. Ale matka za nic miała to zaszłe słońce. Wlepiała oczy w ścieżkę przed sobą, jakby ta ścieżka przyświecała jej teraz swoją światłością. I od czasu do czasu nie omieszkała mi przypomnieć przez ramię:

– Patrz, synu. Rozglądaj się. Nie jest jeszcze tak ciemno, jeszcze trochę widać.

Coraz bardziej wydawała mi się pochylona nad tą ścieżką, że tylko czubek głowy jej z ramion wystawał, a gdy szarość przemieniła się już całkiem w ciemność, i ten czubek gdzieś znikł, i tylko zarys jej przegiętych pleców widziałem przed sobą.

– Mama, już nie widzę – powiedziałem w pewnej chwili, bo od tego patrzenia w niewidoczną prawie ścieżkę ta ścieżka zaczynała mi się plątać pod nogami, schodzić w lewo, w prawo, w dodatku jakby bruzdy, wyboje stawały na przeszkodzie moim bosym stopom. Raz po raz o coś się potykałem, a nawet traciłem pewność, czy jeszcze tą ścieżką idziemy, czy gdzieś w pola zbłądziliśmy.

– O, już nie tak daleko do dziadków. Widzisz tam? To już ich wieś. Rozglądaj się – zachęcała mnie, jakby nie chciała dopuścić, że już ciemno, albo może jej oczy i przez ciemność widziały. – Może na początku tam, we wsi, zgubiłeś, kiedy wychodziliśmy? Nieraz całą drogę szukasz i nie znajdziesz, aż dopiero przy końcu. Czy człowiek był szczęśliwy, też się dowiaduje dopiero przed śmiercią.

– Tam, we wsi, szedłem jeszcze w butach – powiedziałem.

– Jak w butach? Gdzie w butach? Od początku szedłeś boso. To i nic dziwnego, że zgubiłeś.

Ta jej zawziętość była dla mnie aż niezrozumiała, bo ja już się pogodziłem, że tego buta nie znajdziemy, i aby po wierzchu tej ciemności patrzyłem. Szedłem prawie po omacku, tak że ledwo co matkę przed sobą widziałem. Prowadziły mnie jedynie jej stukające po ścieżce kroki. Do tego chłód w stopy coraz bardziej mi dokuczał, a od stóp rozchodził się po całym ciele, że nawet ręce trochę mi zgrabiały. Zwinąłem je w garstkę i podstawiwszy pod usta, zacząłem obchuchiwać. Być może, usłyszała to moje chuchanie, bo nagle zatrzymała się i zrzuciwszy z nóg pantofle, kazała mi je założyć.

– Nikt cię teraz nie zobaczy, a nogi ci się zagrzeją. Wkładaj – powiedziała rozkazująco, domyślając się mojego oporu. I nim zdążyłem się przed nią cofnąć, pochyliła się i bezbłędnie wyłowiwszy moją lewą stopę z ciemności, założyła mi na nią pantofel i tak samo na prawą.

– No, i co, nie cieplej ci? – Podniosła się z klęczek. – Półsłupki to znowu nie takie wysokie, żebyś nie mógł iść. A stopy też już masz niewiele mniejsze od moich. Rosną ci jak na drożdżach. Niedługo wujka Władka przegonisz. A on ma największe w rodzinie.

Jej kroki stały się teraz cichutkie, jakby szła nie po ścieżce, a tuż nad nią, po samej ciemności, oddzielającej niby puszystym kobiercem tę ścieżkę od jej stóp. Za to ja w tych jej pantoflach każdym krokiem klapałem, jakby ktoś tak kosę młotkiem gdzieś w polach w tych ciemnościach wyklepywał. Jeszcze co rusz, nogi krzywiły mi się w kostkach albo spadały niczym z wież z tych półsłupków, zawadzały jedna o drugą, myliły się, że już nie wiedziałem czasem, która lewa, która prawa, którą najpierw dać krok, a którą za nią. Do tego musiałem wciąż nadganiać, bo matka boso dużo szybciej szła, pewnie nie wiedząc o tym, i co trochę całkiem mi ginęła, nawet tego bosego szelestu nie zostawiając za sobą. Być może przyspieszone stukoty, jakie wydawałem podczas nadganiania za nią, sprawiły, że w pewnej chwili zwalniając, rzuciła mi przez ramię:

– A cóż ci się tak źle idzie? Całe życie w takich chodzę i chodzę. A jakby ci tak przyszło na wysokich obcasach założyć, jeszcze, nie daj Boże, tańczyć? A ja musiałam.

Wstyd mi się zrobiło i powiedziałem:

– Mama, ciemno już.

Puściła moje narzekania mimo uszu.

– Nie powiem, lubiłam być elegancka. Ale jak nastały takie wysokie szpikulce i ojciec mi kupił, to sobie w duchu pomyślałam, jak ja w tym

będę chodziła. Kroku chyba nie zrobię. A chodziłam, tańczyłam i w kościele całą mszę nieraz przestałam, choćby na chwilkę nie usiadłam. Inna sprawa, że nie było nigdy gdzie. Piły mnie, obcierały, a nawet ojcu się nie przyznałam. Tanga na półsłupku nie zatańczysz, muszą być wysokie, bo jakby to wyglądało.

– Mama... – znowu mi się wyrwało, bo akurat spadłem z któregoś obcasa, że o mało mnie ze ścieżki w pola nie wyrzuciło.

– Idź, nie marudź – fuknęła. – Nie tak jeszcze ciemno. Za widna nieraz szukasz i nie znajdziesz, a po ciemku samo ci w oczy wejdzie. A przynajmniej czyste sumienie mieć będziemy, żeśmy całą drogę szukali.

W pewnej chwili poprzez dzielącą nas ciemność zobaczyłem, że jej cień pochylił się głęboko nad ścieżką i doszło mnie kląskanie jej dłoni po uklepanej ziemi.

– Chyba mi się zwidziało – powiedziała na usprawiedliwienie, podnosząc ten swój cień znad ścieżki. – W ciemności tak się nieraz lubi zwidzieć.

Po paru jednak krokach znów ten cień jej gwałtownie się pochylił i znów doszły mnie trzy, cztery podobne kląsknięcia. A po paru następnych znów, lecz już się nie usprawiedliwiała, jakby oddając się bez reszty naszłej ją nagle nadziei, że domaca się gdzieś w ciemnościach tego buta. Raz po raz ten jej cień pochylał się, choćby żeby dotknąć ścieżki czy przejechać dłonią po niej. Dzięki temu nie musiałem już podganiać za nią, czasem nawet zwalniałem, żeby ten cień jej zdążył się podźwignąć.

Może gdyby nie to, że w głębi duszy chyba nie do końca mi ufała, szłaby pewnie najchętniej na kolanach, żeby się co rusz nie schylać nad ścieżką, no, a przede wszystkim żeby nie zostawiać od schylenia się do schylenia tych nieobmacanych kawałków. A może i mnie by kazała iść za

sobą jak i ona na kolanach i jak ona obmacywać tę ścieżkę, na wypadek gdyby jej dłoniom ten but w ciemnościach umknął.

Tak mi kazała iść za sobą na kolanach, kiedy przyuczała mnie prosa plewić. Ciągnęła się między rzędami tego prosa, przypłaszczona do ziemi, a ja trzy, cztery kroki za nią. A nie dość, że raz po raz oglądała się na mnie, przykazując mi, żebym szedł na obu kolanach, żebym się nie rozglądał, żebym głowę trzymał niżej, żebym to, żebym tamto, to jeszcze co jakiś czas nawracała, sprawdzając, jak plewię. I wciąż niezadowolona.

– O, tu ci specjalnie ten chwast zostawiłam i ominąłeś. I tu. I tu. E, z takim twoim plewieniem. Zostawisz chwaścik, a jutro, pojutrze wyrośnie ożóg. Nie nauczysz się plewić, to niczego się porządnie nie nauczysz.

Znów się pochyliła, głośnymi kląśknięciami obmacując ścieżkę. Szła już prawie na bałyku, a od kląśknięć jej dłoni aż się echo hen, w ciemności rozlegało.

– Mama, nic nie widzę. Ciemno takie... – zaskamlałem, bo nogi mi się akurat rozeszły i pospadałem z obu obcasów naraz.

– No, i co, że ciemno – rzuciła, gwałtownie się prostując. – Słońca ci nie zaświecę. Szukaj.

8
Niezatańczone tango

Zagrali wreszcie tango. Bo cały czas grali walce, polki, kujawiaki, nawet marsze, a gdy ktoś poszedł prosić ich, żeby zagrali tango, rozkładali ręce, jakby to nie od nich zależało. W najlepszym razie akordeonista, przewodzący orkiestrze, wyciągał spod akordeonu, z kieszonki na opasłym brzuchu, zegarek i zerkając, obiecywał, że będzie i tango, tylko potem, dając tym samym do zrozumienia, że na tanga mają wyznaczony limit.

Stałem w samym końcu sali, wsparty o zawieszone na ścianie drabinki gimnastyczne, i przepuszczałem te wszystkie walce, polki, kujawiaki, marsze, a na pytania rozgrzanych tańcami chłopaków, czemu nie tańczę, wzruszałem tylko ramionami. Nie chciałem odkryć przed czasem swojego zamiaru, który mnie na tę pierwszą moją szkolną zabawę przyprowadził, bo inaczej bym w ogóle nie przyszedł. Zwłaszcza że w ostatniej niemal chwili okazało się, że nie mam krawatu. A te, które zostały po ojcu, wszystkie matka wyprzedała, tłumacząc, że kiedy dorosnę, będą już niemodne, bo nic tak szybko nie wychodzi z mody jak krawaty. Krawaty jak kwiaty, pisali podobno przed wojną w „Pani”, co dopiero kwitły, a już badyle po nich, były wąskie, a są już szerokie modne, były w kropki, a patrzysz, w paski wszyscy noszą. Krawat u mężczyzny to jak perły u kobiety, co prawda, nie tyle kosztuje, ale pierwsze spojrzenie jest zawsze na krawat. Gdyby zresztą nie wojna, miałaby i perły. I ojciec by może żył. Serce, serce, ale to wojna mu tak serce zszarpała. Nie mówił nieraz, będziesz miała i perły. Mogłoby choć trochę jeszcze nie być tej wojny. Mieli prawie całą jego pensję na

książeczce. A przyszedłby bilans, też by przecież zarobił. We wrześniu wybuchła, a w styczniu robili zawsze bilans, to długo?

I myśląc, co tu zrobić z tym krawatem dla mnie, chciała nawet iść do pana Jaskóły pożyczyć, przypomniała sobie bowiem, że jeden z tych krawatów po ojcu dała panu Jaskóle. Przewoził trumnę z ojcem do dziadków na wieś, a nic nie wziął za to. Jeszcze zaprzągł oba konie, wyczyścił zgrzebłem, wyczesał im grzywy, a i sam się przebrał w lepszy strój.

Tak się bowiem złożyło, że dziadek w tym czasie był bez koni, jeden padł podczas orania, trafiając kopytem na ukrytą w ziemi minę, a drugiego ktoś wyprowadził nocą z przegrodzenia, które sklecili z resztek po spalonych chlewach, stajni, stodole, gdy wrócili z wysiedlenia. Dostali nawet urzędowy przydział na konia, ale jak wszyscy, którzy takie przydziały dostali, wciąż musieli czekać, aż te konie przyjadą. Toteż gdy tylko zza wzgórz od zachodu wyłaniał się pociąg towarowy albo gdy choćby po dalekim gwiżdżeniu czy dudnieniu rozpoznawano, że to towarowy, lecieli z tymi przydziałami na stację w nadziei, że może te konie wreszcie jadą, a najpierwszy wujek Władek. Wujek Władek zresztą wychodził i na te ze wschodu, bo, jak mówił, powinni wieźć z zachodu, ale dla zmylenia mogą i ze wschodu. Wychodził także na osobowe, dwa w tym czasie leciały na dzień, jeden z jednej, drugi z drugiej strony, liczył bowiem, że a nuż mogli doczepić te konie i do osobowych. I trudno się było dziwić, jak kania dżdżu, tak ziemia czekała na te konie.

Myśleli wujek Stefan z wujkiem Władkiem, czyby nie przynieść na ramionach tej trumny z ojcem, parę kilometrów z miasta nie było tak znów daleko, a jakoś by przynieśli. Może trafiłby się po drodze jakiś wojskowy samochód czy ktoś furmanką. A nie, to odpoczywając choćby co pół kilometra, jakoś by przynieśli, w najgorszym razie pod wieczór na pewno

by przynieśli. Jeszcze ich usilnie zachęcała wujenka Jadwinia, że przecież mocne są chłopy, a ojciec był chudzina, nieduży i przez chorobę zmarnowany, to nie będzie do niesienia taki ciężki i jakoś przyniosą.

Nie zgodziła się jednakże matka, że we dwóch tyle kilometrów, kiedy z domu na cmentarz niesie się we czterech i co trochę jeszcze się zmieniają, poplączą im się nogi, ręce im zdrętwieją i nie wiedząc kiedy osunie im się trumna z ramion, a nie daj Boże, niech się tak wieko otworzy i ojciec wyleci? I poszła poprosić pana Jaskółę, choć woził akurat węgiel ze stacji od rana do wieczora. Zapewniała, że zapłaci, ile będzie chciał, choć teraz nie ma pieniędzy, ale może coś sprzeda, choć nie bardzo już ma co, czy na handel pojedzie, niech się tylko pozbiera po tej śmierci ojca, a zapłaci, co by nawet przez dzień zarobił przy zwożeniu węgla.

Pan Jaskóła siedział akurat na furze z tym węglem.

– To jutro pani chce? – spytał tylko.

– Jutro. O, Piotrek by z panem pojechał, a ja bym już tam dzisiaj poszła pozałatwiać.

Więc iść teraz pożyczyć tego krawatu od pana Jaskóły, choćby na ten jeden raz, że się zaraz po zabawie odda, nie bardzo wypadało. Mimo że nawet tłumaczyła sobie, że odtamtąd nie widziała u pana Jaskóły tego krawatu, a minęło parę lat, lecz jakoś nie bardzo wypadało.

Zaradziły, jak zwykle, panny Ponckie. Co prawda nie chciała im matka mówić o tym krawacie, zwłaszcza że wcisnęły jej przedtem omal siłą pożyczkę na garnitur i buty dla mnie, gdy się nieopatrznie im pożaliła, że szykuje się w szkole zabawa, lecz nie pójdę, bo nie mam w czym, a chciałaby, żebym poszedł, nie mam żadnego towarzystwa, w książkach tylko siedzę, a towarzystwo dużo w życiu znaczy. Inna sprawa, że jakie tu, na Rybitwach, może być dla mnie towarzystwo. A jeszcze przyniosły mi do tego skarpetki i białą koszulę, nienowe, lecz w dobrym stanie i w sam raz

na mnie, uznały bowiem, że ani koszula, ani skarpetki, które miałem, nie pasują do garnituru. No, może rękawy koszuli były trochę za długie i zanadto wystawały spod rękawów marynarki, ale podłapała matka nitką, o, i teraz w sam raz będą, powiedziała, nie zdejmuj tylko marynarki, mężczyźnie nie przystoi zdejmować marynarki, chyba że na łące. Na łące, nad wodą, w lesie, tak. A przy kołnierzyku, który był trochę za duży, przesunęła mi guzik, no, i miałem jeszcze docisnąć krawatem.

Przez ten krawat jednak wydawało się, że już nie pójdę na zabawę, lecz wpadły do nas panna Ewelina z panną Różą, żeby znów zaprosić mnie na próbę tanga przed tą zabawą, i matce niechcący się wyrwało:

– A co będzie próbował, kiedy nie idzie na zabawę.

Na twarzach panny Eweliny i panny Róży pojawiło się przerażenie, zatrzepotały do siebie oczami.

– Co się stało?

– A co? A krawatu nie ma. A tu ani za co kupić, ani skąd pożyczyć – wyrzuciła matka, odwracając wzrok w stronę okna.

Stały chwilę oniemiałe, jakby nie mogąc zrozumieć, że w domu może nie być męskiego krawatu, po czym zaczęły na przemian wyrzucać to mnie, to matce, dlaczego nic nie powiedzieliśmy:

– Przecież pytałyśmy się pani, czy panu Piotrowi czegoś nie brakuje. A i pan Piotr mógł choć słowem wspomnieć, że nie ma krawatu. Czy nawet powiedzieć, że ma, ale nie bardzo mu pasuje do koszuli czy do garnituru. Boże ty mój, a przecież krawatów u nas w bród!

I zaczęły jedna przez drugą paplać, że przez tyle lat napozostawało tych krawatów po gościach, bo to ktoś zapomniał, a ktoś na pamiątkę im zostawił, bo lubią u mężczyzn ładne krawaty, po krawacie nieraz można poznać, kto jest kto, jak po oczach, po rękach, po głosie, i tylko zalegają im w szafie. Chciały już niektóre powyrzucać albo dać komu, przynajmniej te

dawniejsze, ale z każdym mają jakieś wspomnienia, a znów te późniejsze, to ktoś może jeszcze wrócić i upomnieć się, nigdy nie wiadomo, i dlatego je trzymają. O, żeby tak szczęścia miały, ile tych krawatów.

Wybiegły, a nie minęło pół godziny, gdy wróciły podniecone z pełnymi naręczami tych krawatów i od razu zaczęły mi przymierzać pod szyją. Ten chwaliły, tamten ganiły, a najchętniej wspominały, do kogo należał. I każdy odkładały, że ten jednak nie, pan Piotr ma niebieskie oczy, a w krawacie jest za dużo zielonego, a niebieskie z zielonym kłócą się. Ten, owszem, lecz za ciemny jak na szkolną zabawę, ten za poważny jak dla pana Piotra, pan Piotr jeszcze taki młodziutki, jakby kwiat co dopiero z kielicha się wychyla, a to krawat dla mężczyzny, któremu już skronie zaczynają siwieć. Ten znów jakiś niezdecydowany, a krawat musi mieć charakter, jak mężczyzna. Ten znów może byłby, ale raczej na przyjęcie, uroczystość, imieniny, bo na zabawę krawat powinien mieć więcej radości. Ten, o, nie, zupełnie nie pasuje do pana Piotra, mdły, pan Piotr ma twarz przybladłą, więc przydałoby się coś mocniejszego, wyostrzającego, właściwy krawat potrafi nieraz wydobyć z twarzy, co jest jeszcze ukryte, nieśmiałe, zawstydzone, co w późniejszych latach w zmarszczkach się ujawni, a w jeszcze późniejszych w bruzdach, w wyżłobieniach, w ociężałych oczach, w opadłych powiekach, jakaś gorycz, znużenie, obojętność, co nieraz bardziej kobiety pociąga niż najmłodsza uroda. Bo kiedy człowiek młody jest, wydaje mu się, że młodość i za krawat mu wystarczy, bo za wszystko wystarczy, chociaż młodość bez krawatu jest nie tylko niemęska, lecz i w złym guście. O, ten to powinniśmy już dawno wyrzucić, nie pamiętasz, Ewelina, nie pamiętasz, Róża, czyj to krawat był? Nie warto pamiętać, bo i tacy się przecież zdarzali. Ten to raczej do pucułowatej twarzy, kipiącej, rozgadanej, roześmianej, a tak już z siebie zadowolonej, jakby życie było tylko śmiechem i gadaniem, a co reszta, nieważne. Takie twarze przeważnie

duszą się w krawatach, jedyna męka w takich twarzach to z powodu upijającego pod szyją krawatu. Aż chciałoby się powiedzieć, niech pan sobie ulży i rozluźni ten krawat, po co się tak męczyć. A pan Piotr, choć młodziutki, ma twarz poważną, skupioną, nie, ten zupełnie nie, a ten tym bardziej nie, to już lepiej bez krawatu. Są mężczyźni, którym się wydaje, że byle krawat, a już krawat, tu w sobie taki nawet całkiem elegancki, a pod szyją wisi mu szkaradztwo. O, ten brązowy na pewno nie, nie lubią brązowych, nawet garniturów brązowych u mężczyzn nie lubią, nie lubią brązowych skarpetek, butów, niczego. Mężczyzna w brązowym to taki nie całkiem mężczyzna. Zakonnicy chodzą w brązowych habitach, a to przecież nie mężczyźni, to już bardziej brązowe pasuje kobietom. Ten znów jakby pierś rozpierał, za jaskrawy, za krzyczący, niemal odpust na nim. Mogłoby się wydawać, że Bóg wie co, a za takim krawatem albo maminsynek, albo zastrachany chłoptyś, i tylko na wstydzie przeważnie się kończy. A ten jakby bez koloru, a ten bardziej by pasował lodziarzowi, nie panu Piotrowi, ten by bardziej do biura, a ten raczej na spacer w zwykły dzień tygodnia, za szary i w kratę. A ten, och, zupełnie bez gustu, nie do wiary, że miałyśmy kogoś w takim krawacie, a tego to nawet nie warto przymierzać.

Ale przy niektórych rozczulały się, rozrzewniały, och, ach, Boże ty mój, pamiętasz, no, jakżeż nie pamiętasz? Oczy im mgłą zachodziły lub na odwrót, błyski im się w tych oczach zapalały i tymi błyskami rzucały na siebie, jakby całą pamięć, w najdrobniejszych szczegółach, samymi błyskami potrafiły między sobą wymienić i dokładniej od słów. Toteż taki krawat dłużej niż inne pod moją szyją przymierzały, wahając się, przekonując wzajemnie, zestawiając go ze wszystkimi szczegółami mojej twarzy, z włosami, oczami, nawet brwiami, rzęsami, wargami, nosem, dołkiem w brodzie, nie mówiąc już o garniturze, koszuli, skarpetkach, butach, po czym odkładały go z żalem na osobną kupkę tych wybranych,

przebranych, że się jeszcze potem zobaczy. Przy niektórych znów zbierało im się na rozlewne opowieści, i to tak czyste, niewinne, przepełnione jedynie melancholią, smutkiem za minionym czasem. Ach, cóż to był za mężczyzna, a jaki delikatny, subtelny, nie przyszedł, żeby choć pęczka fiołków nie przyniósł, gdy fiołki właśnie rozkwitały, nazbierałem paniom własnymi rękami tu zaraz, na skarpie, czy choćby gałązki bzu, gdy bez właśnie rozkwitał. A to wie pani, bo przeważnie do matki się zwracały, taki gest więcej nieraz znaczy, niż gdyby ktoś bukiet róż czerwonych przyniósł, bo z róż, choć nie napisane, od razu bije w oczy cena, a jeszcze chciałby pani tę cenę uzmysłowić, patrzcie, dziewczyny, jakie piękne róże wam przyniosłem, to co, wart jestem? Urzędnikiem w magistracie był, a nie zdarzyło się, żeby w tym samym krawacie drugi raz przyszedł. A ten nas przeraził, bledziutki przyszedł i oczy mu bez przerwy latały, i krawat też miał chyba rozchełstany, a nawet nie był ogolony, i powiedział tylko, kochajcie mnie, dziewczyny, bo może to ostatni raz, coraz bliżej chodzą za mną, czuję ich oddechy na karku, i tak dziwnie przeciągnął dłonią po tym karku, i westchnął. A potem nie chciał wziąć tego krawatu, że mu niepotrzebny już. Niech zostanie u nas na pamiątkę, to go może czasem wspomnimy. A potem dowiedziałyśmy się na mieście, że go zaaresztowali. I za co, no, niech pani powie? Że czasem do nas wpadł, no, to cóż takiego, każdemu mężczyźnie wolno. Przychodzili nawet jacyś dwaj się pytać, czy czegoś u nas nie zostawił. A cóż by miał zostawić, o, ten krawat tylko. Proszę, mogą wziąć panowie, nam przecież niepotrzebny. I nie wzięli.

Przy niektórych znów milkły, jakby własną pamięcią zaskoczone, że nawet westchnienie nie wyrwało im się z ust, nie mówiąc już, że ani słowo choćby o kolorze czy wzorze, czy pasuje, czy nie. Lecz po tym, jak wpatrywały się milczące w ten krawat pod moją szyją, przytrzymywany delikatnie przez którąś z ich czterech rąk, jak go odkładały z czułością na tę

kupkę wybranych, przebranych, mogłem się domyśleć, że są z tym krawatem głęboko związane.

A znów przy innych, bywało, wybuchały śmiechem i też nic nie mówiły. A jeszcze przywoływały się poprzez ten śmiech mrugającymi oczyma do milczenia, wręcz nakazując jedna drugiej milczenie, tylko nic nie mów, i ty ani mru mru, pamiętaj. I dopiero gdy zdziwiona tym ich nagłym śmiechem matka próbowała się podpytać, i z czegóż się tak śmiejecie, no, powiedzcie, jedna lub druga najwyżej odpowiadały, a bo wie pani, i dalej się śmiały.

Głupio mi się aż robiło, bo nie byłem wcale pewny, czy to nie w zestawieniu ze mną ten krawat tak ich pobudził do śmiechu. Lecz jakby wyczuwając tę niepewność we mnie, przepraszały, niech pan Piotr się na nas nie gniewa, to nie ma nic wspólnego z panem Piotrem, to tylko ten krawat, a nawet jedna lub druga głaskały mnie pachnącą dłonią po policzku, że z głębi serca przepraszają, naprawdę nie ze mnie, gdzieżby z pana Piotra śmiały się śmiać, panu Piotrowi w każdym krawacie jest naprawdę ślicznie, nawet w tym najobrzydliwszym, co go powinny już dawno wyrzucić, lecz chciałyby wybrać mi najpiękniejszy.

Stałem więc, a one wciąż przymierzały, nie mogąc się na żaden zdecydować, bo gdy jedna już byłaby gotowa wybrać ten, wpadając w zachwyt, druga zaczynała wątpić, grymasić, wyciągać z pamięci jakieś im tylko mówiące coś znaki, a pamiętasz, nie chciał pić kieliszkiem, tylko daj mu szklankę. To znów gdy drugiej zaczynał się jakiś podobać, tamta wydymała wargi. Przecież lubisz ten kolor? Kolor mógłby być, ale mówili, że to tajniak. I na odwrót, co ty panu Piotrowi ten krawat? To przecież tego Niemca, zapomniałaś już? Czy tak dawno wojna się skończyła?

– To do was i Niemcy przychodzili? O, to już niełądnie, moje panny – matka, która ledwo czasem się odezwała i niecałym nawet słowem, jakby

przygaszona podziwem dla tych wszystkich krawatów, nagle dała wyraz swojemu oburzeniu.

– Ale on był oficer, proszę pani. A jaki szarmancki, nie ma pani pojęcia – wydawały się zaskoczone tym matki oburzeniem i próbowały się jedna przez drugą tłumaczyć: – Nigdy z gołymi rękami nie przyszedł. Przynajmniej bombonierkę zawsze przyniósł, a czasem i szampana. Ileśmy różnych rzeczy od niego nadostawały, pończoch, szalików.

– Ale oficer? – matka z uporem trwała przy swoim. – Żeby zwykły żołnierz, prędzej bym zrozumiała, bo to nieraz tacy sami ludzie jak wszyscy, każą im, to wojują.

– Phi – wydęła wargi Ewelina czy może Róża – zwykły żołnierz. Nawet te dwa misie, co na kanapie u nas siedzą, mówiła pani, że takie śliczne, to też od niego.

– A bo nie wiedziałam, nic żeście nie powiedziały od kogo.

– A któż byłby taki hojny? Jaki Polak, no, niech pani powie? Polak myśli tylko, żeby jak najtaniej i raz dwa. A on perfumy, mydła, szminki, tusz do rzęs, i mówił, że to wszystko z Francji.

– Ale Polak, to Polak – matka zaperzyła się, jakby dotknięta na honorze. – A on może był jeszcze gestapowiec?

– A cóż to za różnica Niemiec, Polak – lekkomyślnie wyrzuciła któraś.

Jeszcze gorzej oburzyło to matkę, bo nieoczekiwanie naskoczyła na mnie:

– Zostaw, Piotrek, ten krawat. Jeszcze by tego brakowało, żebyś w gestapowskim krawacie na zabawę poszedł. Twój ojciec też był oficerem, ale prawdziwym.

Panny Ponckie zmieszały się, straciły pewność siebie, a nawet któraś powiedziała z wyrzutem:

– A bo zawsze przychodził po cywilnemu, żeby nas zmylić. A tych jego czekoladek wcale nie lubiłam, to ona się nimi objadała.

– A tyś się za to zlewała cała perfumami. Aż ci kiedyś, pamiętasz, zwrócił uwagę, że dama powinna być dyskretnie uperfumowana. Za uszami, przy szyi i to wszystko.

– A ty dałaś kiedyś do szampana zwyczajne kieliszki, aż następnym razem przyniósł całą paczkę takich na wysokich nóżkach.

Najwyraźniej były rozdrażnione i przymierzały mi te krawaty prawie machinalnie, każdy odkładając, że nie ten kolor, nie ten wzór, że wymięty, że nie nadaje się, i coraz bardziej jedna drugiej dogryzając. Ale pewnie też z narastającej bezradności, że nie potrafią mi żadnego wybrać. Naturalnie przeplatały te dogryzania natychmiastowymi czułościami, och, przepraszam cię, kochanie, nie chciałam, tak mi się wyrwało, ależ to ja cię przepraszam, moja złota, byłam wtedy taka łasa na słodycze. Ach, nie mówmy już, bo i tak się nie wróci. Więc można by pomyśleć, że te dogryzania, często z półuśmiechem czy z ledwo wyczuwalną domieszką goryczy, dotyczyły tych krawatów, że tyle ich, a jednego nie daje się wybrać, bo nawet w pewnej chwili czy Róża, czy może Ewelina powiedziała:

– I pomyśleć, że wszystkie te krawaty tak nam się kiedyś podobały, nie do wiary. A ten, pamiętasz, był przecież taki cham. Boże, jak ja go nie cierpiałam.

– Bo tak już jest, że w swoją porę wszystko wydaje się ładne, mądre, zdrowe – wtrąciła się już udobruchana matka.

Poza tą chwilą oburzenia patrzyła cały czas z prawdziwym podziwem, jak mnie obwieszają tymi krawatami, lecz zarazem z rosnącym niepokojem, że będą widać tak przymierzać i przymierzać, aż żadnego w końcu nie wybiorą i trzeba będzie znów w głowę zachodzić, skąd tu wziąć ten krawat dla mnie. Toteż raz po raz chciała ten lub tamten zatrzymać na mojej szyi.

– O, ten niechby już był, panno Ewelino. O, ten mu pasuje, panno Różo. Nich pani jeszcze raz przymierzy. Dobrze mu, zostawcie. Kark mu już pewnie zdrętwiał, tylko nic nie mówi. Jak, Piotrek, zdrętwiał ci, prawda? Nie będzie mu się potem bawić chciało, jak się tyle naprzymierza. O, ten to nawet taki sam jak miał mąż nieboszczyk. Na sylwestraśmy do resursy szli i kupiłam mu. A chyba go wiśniówką poplamił na imieninach u kolegi i już nie dało się wywabić. I kosztował, że lepiej nie mówić. Zostawcie. No, niech się w lustrze przejrzy. Przejrzyj się, Piotrek.

Niewiele jednak wskórała, a nawet im bliżej było końca, tym bardziej stawały się zawzięte w tym przymierzaniu, i gdy nawet upomniała się matka o mój kark, nie wzbudziło to w nich współczucia.

Kark mi rzeczywiście zdrętwiał i miałem wrażenie, że głowę mam osadzoną na jakimś martwym pniaku i w obawie, by mi z tego pniaka nie zleciała, bałem się choćby dla sprawdzenia odchylić ją w lewo, w prawo, czy unieść, czy opuścić. To zdrętwienie rozprzestrzeniło mi się i na plecy, ramiona, ręce, i czułem, jak postępując, ogarnia mnie całego.

Znacznie jednak gorsze było swędzenie, które czułem w dołku pod grdyką i które z każdym przyłożonym pod szyją krawatem narastało, być może, od ich dotykających mnie wciąż w tym miejscu palców. W każdym razie wydawało mi się, że jeśli się natychmiast gdzieś tam, w środku, nie podrapię, coś strasznego zrobię, może pogryzę im te palce, a nawet któryś połknę. I ratowałem się jedynie coraz częstszym przełykaniem śliny. A one pewnie czując to, starały się mnie podbechtywać i na użalania się nade mną matki odpowiadały:

– Niech się pani o pana Piotra nie martwi. Pan Piotr przecież już mężczyzna. A mężczyzna musi mieć twardy kark. Życie, mówią, od karku przygina.

Zdawało się, że już nie zdołają mi wybrać żadnego z tych krawatów, bo dwa, może trzy zostały do przymierzenia. Co prawda, na wszelki wypadek czekały jeszcze te odłożone osobno, przebrane, wybrane, co do których nie mogły się zdecydować, znaczyłoby to jednak, że przymierzanie zacznie się od początku i znów żadnego nie wybiorą, bo nie w krawatach kryło się to ich niezdecydowanie. Nagle obie z radością wykrzyknęły i aż zakotłowało się od ich rąk pod moją szyją:

– Ach, Boże ty mój! To przecież krawat hrabiego Mundka! Wybieramy, wybieramy, a należało od razu ten panu Piotrowi przymierzyć. Nie potrzebnieśmy pana Piotra tak męczyły. Pewnie kark panu Piotrowi zesztywniał, prawda? Przepraszamy najmocniej. Ach, jakiż piękny, jakiż gustowny!

Krawat był zwyczajny, jednokolorowy, bordo, i nie bardzo rozumiałem, czym się tak zachwycają. Matka pozwoliła sobie nawet na nieśmiałe wyrażenie wątpliwości:

– A może tamten, panno Ewelino czy panno Różo. Byłby może ładniejszy. Niebieski i w grochy. Sameście mówiły, że Piotrek ma niebieskie oczy.

– Ależ, proszę pani!... – obruszyły się. – Do niebieskich oczu wcale nie musi być niebieski. I pan Piotr ma zresztą bardziej stalowe. – I zaczęły się jedna przez drugą rozpływać nad hrabią Mundkiem: – Hrabia Mundek ze wszystkich nosił najpiękniejsze. Hrabia Mundek nigdy by żadnego tu z tych nie założył. Hrabiemu Mundkowi nie zdarzyło się, żeby krawat do koszuli nie pasował czy do oczu. I nigdy mu się nie majtał pod szyją, jak tym wszystkim. Czy żeby był za krótki, za długi. Zawsze przypięty brylantową szpilką. A tak, brylantową, żeby pani wiedziała. Pokazywał nam, taka mała gwiazdeńka w główce się świeciła. I proszę, niech pani weźmie do ręki, czysty jedwab.

– Przecież widzę.

– Ale niech pani weźmie. Hrabia Mundek nosił tylko jedwabne. Będzie pan Piotr przynajmniej wiedział, co ma pod szyją. Od najmłodszych lat, proszę pani, trzeba się do dobrego przyzwyczajać, bo potem na byle co się człowiek godzi. A jak pięknie śpiewał tanga, nie ma pani pojęcia. Głos miał aksamitny, miękki. A ręce, proszę pani. Takich rąk się już dzisiaj u mężczyzn nie widzi. Dzisiejsi mężczyźni mają ręce przeważnie krótkie, grube. Ach, szkoda, że nie chciało mu się żyć. Mówił, że to już nie jego świat. Ale chyba na każdym świecie da się jakoś żyć, prawda, proszę pani?

Udało im się w końcu tymi zachwytami nad hrabią Mundkiem zainteresować matkę i nawet spytała:

– A który to był?

Żachnęły się:

– Przecież pokazywałyśmy go pani. Nie pamięta pani? Umówiłyśmy się, że jak będzie u nas, to któraś zrzuci w kuchni talerz na podłogę i pani wpadnie niby coś pożyczyć. Taki blondyn, wysoki, postawny, z długimi rzęsami. Wszyscy go tutaj w mieście znali. Kiedy szedł, to każdy, hrabia Mundek idzie, hrabia Mundek idzie. Nawet dzieci wołały, o, hrabia Mundek idzie. Zawsze nosił jakiś kwiatek w kieszonce czy w klapie. Goździka czy różę, zależało, co kwitło.

– Aaa... – matka jakby sobie przypomniała czy może tylko udawała i zaczęła się tłumaczyć, że tyle ludzi się przed oczyma przewija, to nie sposób wszystkich zapamiętać. – Nieraz bywa, zapamięta się akurat tego, co aby mignął przed oczami, czy takiego, co by się go nie powinno zapamiętać, a nie zapamięta się, którego się powinno.

Prawdę powiedziawszy, też nie pamiętałem hrabiego Mundka, a przecież mając iść w jego krawacie na zabawę, tym bardziej powinienem. Starałem się choćby jakiś szczegół wygrzebać z pamięci, lecz nie

potrafiłem nawet przypomnieć sobie, czy mu kiedy powiedziałem dzień dobry lub dobry wieczór. Było to o tyle dziwne, że wystarczyło mi raz kogoś zobaczyć, kto odwiedzał panny Ponckie, a na zawsze wbijał mi się w pamięć. I na mieście potem na odległość go rozpoznawałem. Ten był, tamten był, o, ten to sędzia, był, tamten tajniak, fotograf, fryzjer, był, był, był. Ten, przechodzi teraz na drugą stronę ulicy, był i tamten, stoi akturat przed wystawą, i ten, co idzie pod rękę z tą panią, i ten, co z księdzem wokół Katedry spacerują, jakżebym go nie poznał, pytał mi się nawet, czy panienki są w domu i czy obie. A ten, co wszedł teraz do sklepu, po czuprynie mnie potargał na moje dzień dobry. I ten, co jabłka przy straganie kupuje, i ten, co wózek z dzieckiem pcha, i co z magistratu wychodzi, i co się komuś kłania, unosząc kapelusz, tak samo wtedy w kapeluszu był. Ten, co z trybuny przemawia, towarzysze, nasza walka jeszcze nie skończona, był i co psa prowadzi na smyczy, był, i co się zatacza, pijany, i co z kimś tam rozmawia, był, był, był. I nawet gdy niektórzy, rozpoznając i mnie, odwracali spłoszone oczy, chowali się w bramach, przechodzili na drugą stronę jezdni, nie byli w stanie wyrwać się z mojej pamięci. Wszystkim zresztą, gdziekolwiek kogo z nich spotkałem, mówiłem dzień dobry jak dobrym znajomym, żeby wiedzieli, że nie tylko koło domu, lecz tak samo w mieście jestem grzeczny.

Jeden hrabia Mundek, jak kamień w wodę, gdzieś zapodział się w mojej pamięci. Na szczęście panny Ponckie nie spytały, czy go pamiętam. Matkę tylko wciąż zmuszały na wszelkie sposoby, żeby go sobie przypomniała, bo jakżeż to, żeby nie pamiętała hrabiego Mundka.

– O, jeszcze mąż pani wtedy żył.

I matka, przypomniawszy sobie w końcu czy nie przypomniawszy, dla zgody powiedziała:

– To niech będzie już ten hrabiowski. Podoba ci się, Piotrek, co?

Wychodziłem już z domu na zabawę i stanąłem przed nią, żeby popatrzyła, czy wszystko w porządku, a wtedy nawet spodobał jej się ten krawat:

– Ładny ci ten krawat wybrały. Mają gust te nasze panny. Pasuje ci i do garnituru, i do koszuli, i do oczu. – I obciągając mnie tu i tam, wygładzając, obierając niewidoczne pyłki z marynarki, dodała: – To może załóż i ten sygnet po ojcu. Kazał ci go dać, jak dorośniesz. – I schyliwszy się pod łóżko, wyciągnęła blaszane pudełko po herbacie, w którym przechowywała obwinięte w białą szmatkę ich ślubne obrączki i ten sygnet z wielkim czerwonym rubinem. – Załóż. A obrączki, to jak będziesz się żenił. Za duży, co? To włóż na ten palec, może będzie ciaśniej. Ojciec wtedy dobrze wyglądał. Wygrał go w karty, jeszcze w wojsku, też od jakiegoś hrabiego. Może na tym nie będzie ci tak latał?

Lecz na każdym mi latał, toteż poradziła mi, żebym przykurczył trochę dłoń, i tak z tą przykurczoną dłonią poszedłem na zabawę.

– Tylko czasem nie zgub – rzuciła mi jeszcze na odchodnym, gdy już prawie na dworze byłem. – Bo to w razie czego na czarną godzinę.

Kiedyśmy z Anną brali ślub, zaniosłem ten sygnet do jubilera, żeby mi go zwęził, ale potem i mnie palce zgrubiały i stał się już tylko jedną z niewielu pamiątek, jakie mi zostały po ojcu. Miałem jeszcze kieszonkowy zegarek marki „Cyma”, na dewizce, ale matka pożyczyła wujkowi Stefanowi, że mnie jeszcze niepotrzebny, bo za mały jestem do zegarka, a wujek Stefan zawsze coś nam za to przywiezie, kartofli, mąki, kaszy, kawałek słoniny, a będę dorosły, to mi odda, obiecał. Wujek Stefan jednakże nie kwapił się z oddaniem, a upomnieć się wydawało mi się coraz bardziej niezręcznie w miarę upływu lat. I nie tyle ze względu na samego wujka Stefana, co przede wszystkim na wujenkę Jadwinię, która zawsze

mnie witała z tą samą niezmienną czułością, kiedykolwiek ich odwiedzałem:

– O, nasz Piotruś przyjechał. Piotruń, no. Co to, siwe włosy zaczynają ci już wschodzić na skroniach? Przecież nie czas jeszcze. Ale dobrze ci. Coś jakby cię więcej posypało siwizną od tamtego razu, kiedy u nas byłeś, Piotruniu. Mój Boże, a tak wydaje się jeszcze niedawno Kruczkowi jeść zanosiłeś. Podobno w miastach mężczyźni teraz sobie farbują? I nic nie poznać, mówią. A pamiętasz, jak chodziłeś ze mną szmaty prać do rzeki, ja kijanką tłukłam, a ty stałeś w rzece i rączkami mi wodę nalewałeś. Mój Boże. – Zatarło się jednakże w pamięci wujenki, jak kiedyś przyłapała mój wzrok utkwiony w jej rozkołysane nad tą kijanką piersi i skarciła mnie: – Co mi tam tak patrzysz? Nie patrz, Piotruniu. To sam przyjechałeś. A Pawełek gdzie?

Mógł więc i wujek Stefan nie pamiętać, że to mój zegarek po ojcu nosi w swojej kieszonce na piersiach, bo nie krył się z nim przede mną. Przeciwnie, z dumą go wyciągał, patrząc, która godzina, przy czym nie obyło się, żeby go nie pochwalił:

– Widzisz, jakie to kiedyś były dobre zegarki. Słońce nad kominem u Dudy i na nim punkt dwunasta. I ani razu jeszcze mi się nie zepsuł. A jak twój chodzi?

Został mi też pas oficerski, chociaż jeszcze za życia ojca odpadła mu mosiężna klamra i gdzieś się zapodziała. Później poodpadały i mosiężne uchwyciki do przypinania koalicyjki oplatającej w poprzek tors przez lewe ramię. Chodziłem nawet po bazarach, szukając wśród starych rupieci, że może znajdę gdzieś takie same, a może i klamrę, chodziłem i do rzemieślników, że może któryś dorobi, lecz zwykle mi odpowiadali:

– Panie, ten pas niewart tyle, co by to kosztowało. Robota pojedyncza, to nie opłaci się. Nowy niech pan sobie kupi, taniej panu wyjdzie.

A podczas któregoś pobytu u matki znalazłem jeszcze brzytwę, i to wszystko, co po ojcu zostało. Wpadła akurat do matki panna Ewelina, choć najprawdopodobniej to matka sama im doniosła, wychodząc z rana po mleko do miasta, że przyjechałem, bo mieszkały już w Rynku, krawcowymi były, a zobaczywszy tę brzytwę w moich rękach, powiedziała:

– Kiedyś mężczyźni tylko brzytwami się golili. Ale to byli mężczyźni. A pan Piotr czym się goli, jeśli można spytać?

Zacząłem się więc golić tą brzytwą i nie ze względu na to, co powiedziała wtedy panna Ewelina, tylko że pas oficerski ojca nadawał się jedynie do ostrzenia brzytwy, był szeroki i wyszlifowany po wewnętrznej stronie od długoletniego noszenia na sukiennym mundurze. Przypomniałem też sobie, jak to jeszcze w gimnazjum, gdy nie umiałem się golić, dostałem brzytwę od wujka Władka i poszło mi zupełnie dobrze już za pierwszym razem. Wydawało mi się więc, że wystarczy powrócić do tamtego czasu, a ręka z tą samą swobodą zacznie pociągać brzytwę jak po dawnych gładkich policzkach, jednym długim ruchem od skroni po czubek brody, drugim takim samym z drugiej strony i paroma krótszymi od grdyki ku szczęce, i paroma drobnymi, jakby budyń łyżeczką wybierał, spod wargi, znad wargi, a jeszcze to miłe dla ucha skrzypienie się odezwie.

Mimo uporu musiałem się jednak po paru próbach poddać, bo więcej mi to czasu zajmowało niż zwykłą maszynką i po każdym goleniu miałem twarz pozacinaną, że nie mogłem się potem w pracy opędzić od natrętnych pytań, co się stało.

Próbowałem potem nauczyć Pawła, kiedy zaczął się golić. I prawdopodobnie, żeby zrobić mi przyjemność, poddawał się początkowo bez sprzeciwu temu. Aż kiedyś wybiegł z łazienki i z rozpaczą w głosie wyrzucił:

– Ja już nie mogę, tata! Popatrz, jak się pozacinałem. Tak się torturować i dlaczego?

Zabawa na dobre już się rozkręciła, lecz nie udało mi się jeszcze ani razu zatańczyć. Przepuszczałem wciąż te wszystkie walce, polki, kujawiaki, marsze i czekałem od nowa na tango. Lecz gdy po dłużącym się w nieskończoność oczekiwaniu zagrali znów tango, czy za późno ruszałem z miejsca, czy zbyt nieśmiało podchodziłem do Anny, w każdym razie o ten krok, dwa ktoś mnie zawsze uprzedzał. I jak niepyszny wracałem na swoje miejsce pod drabinkami gimnastycznymi, oczekując na następne tango i podsycając w sobie od nowa nadzieję, że to następne będzie na pewno już moje i Anny.

Przy ostatnim przyspieszyłem nawet kroku i już miałem zamiar schylić się w ukłonie przed nią, gdy o ten ukłon właśnie zrobił to szybciej kolega z klasy i Anna poszła w jego ramiona. Wściekły wmieszałem się nie wiadomo czemu w tłum tańczących par i przedzierając się przez środek sali, wróciłem pod drabinki. Nie mogłem zrozumieć, jak to się stało, że i tym razem dałem się uprzedzić, i to koledze z klasy. Staliśmy cały czas razem, obok siebie, przy drabinkach i razem też ruszyliśmy wraz z pierwszymi taktami *Letniej przygody*, nie wiedząc, ma się rozumieć, że ruszamy do jednego celu. Choć on być może wiedział, bo przyglądał mi się z jakimś chytrym uśmiechem przed tym tangiem, a w pewnej chwili, pokazując głową na roztańczoną ciżbę, spytał:

– Nie lubisz tych zwariowanych?

– Nie.

– Ja też nie. Lubię, bracie, tylko tanga. W tangu możesz przytulić i coś poczuć. A to kotłowanina.

I chociaż nieskory byłem do rozmowy, śledząc, gdzie w tej ciżbie znajduje się Anna, znów mnie zagadnął:

– Ty, ten pierścień to twój?

– Mój.

– Pokaż. – I złapał moją rękę w swoje wielkie łapska. – Ale jaja.

A kiedy odpływał już z Anną ku środkowi sali, bezczelnie się do mnie uśmiechnął sponad jej ramienia, co mogło znaczyć, że uknuł już przedtem, gdyśmy pod tymi drabinkami stali, może za ten sygnet właśnie, to zwycięstwo nade mną.

– Co, znowu nie tańczysz? – czyjś znajomy głos użalił się nade mną, a inny szyderczo dorzucił: – Bo pewnie nie umie. – A inny próbował mnie zachęcić: – Będziesz tak czekał, to całą zabawę przeczekasz. O, pozostawało tam kilka na ławkach. Bierz i tańcz. W polce tak nie widać, umie się czy nie, aby w kółko. – A jeszcze czyjś inny radził mi życzliwie: – Trzeba było strzelić sobie jednego na śmiałość.

Wszystko to słyszałem trochę jak przez ścianę, zajęty myślami, jakby tu szybciej dało się przebyć tę przestrzeń dzielącą mnie od Anny, gdy znów zagrają tango. Najlepiej byłoby zawczasu przesunąć się bliżej, póki sala roztańczona w tych walczykach, polkach, kujawiakach, marszach nie zatrzyma się. Lecz przecież nie miałem pewności, czy zaraz potem zagrają tango, czy znów polecą te walce, polki, kujawiaki, marsze. Poza tym wokół sali, pod ścianami, a nawet pod sceną przy orkiestrze wszystkie miejsca i na ławkach, i stojące już były zajęte, a od brzegu do brzegu kotłowała się zabawa, bo walce, polki, kujawiaki, marsze potrzebują miejsca. Rozhulane pary raz po raz wpadały na siedzących czy stojących, omal depcząc po nich. Wydawało się, że rade by wyskoczyć z tych ścian i tańczyć w przestrzeni bez granic.

Anna miała miejsce na ławce pod oknami, ale aż przy końcu sali, bliżej sceny. A właściwie to wciąż goniła po tych walcach, polkach, kujawiakach, marszach, wciąż ktoś ją porywał, że nieraz nie zdążyła nawet usiąść. Więc

przesunąć się i stać tam, przy pustym miejscu, w oczekiwaniu na to niepewne tango, że może zagrają, byłoby jakoś głupio, zwłaszcza gdyby zamiast tanga zagrali znów walca, polkę, kujawiaka, marsza.

Zdjąłem sygnet z ręki i schowałem go do kieszonki na piersiach marynarki, żeby nikogo już nie drażnić. Zresztą ciągle obsuwał mi się z palca i musiałem trzymać dłoń lekko przykurczoną, pamiętając słowa matki, że to na czarną godzinę. Choć zarazem pragnąłem, żeby ten sygnet na moim ręku zobaczyła Anna, gdy już splotę swoją lewą dłoń z jej prawą dłonią. Może by nawet pierwsza powiedziała, pomagając mi wydobyć się z onieśmielenia:

– Ach, jakiż piękny ma kolega sygnet.

A wtedy bym powiedział:

– Cieszę się, że się koleżance podoba. To po ojcu.

– O, to ojciec kolegi musiał być?... – chciałaby mnie pewnie spytać.

– Niestety, nie żyje – powiedziałbym.

– Jakżeż mi przykro – rozczuliłaby się, bo któż by się nie rozczulił. – Pewnie zginął, tak?

Przemilczałbym to pytanie, dając jej tym samym wiele do myślenia. Uznałem bowiem, że tak byłoby najlepiej dla mnie. Od tej chwili rozmowa potoczyłaby się już zapewne gładko, bo nic tak nie zachęca do mówienia, jak pragnienie pocieszenia kogoś. Miałbym w ten sposób pierwszą przeszkodę wziętą. Próbowałem zresztą różnych pierwszych zdań i przed każdym strach mnie ogarniał. Bo powiedzieć: – Chciałem koleżankę już od dawana do tanga poprosić. – To mogłaby odpowiedzieć: – I czemu kolega nie poprosił? – I rozmowa mogłaby się zapaść w przepaść, a przecież nie mogłem się przyznać, że za żadnym razem nie udało mi się zdążyć do niej. Czy powiedzieć: – Świetnie koleżanka tańczy. – To przecież za wcześnie po paru krokach, aby mogło być prawdziwe. To wypada powiedzieć gdzieś tak

po połowie tańca, a najlepiej już przy końcu. Mogłaby zresztą odpowiedzieć: – Kolega też. – I wymyślaj znowu od początku. A spytać się: – Koleżanka może też pierwszy raz na zabawie? – To mogłaby się tylko zdziwić i nic nie powiedzieć albo wykpić mnie: – Gdzie tam, mieliśmy zabawy już w przedszkolu, potem w szkole powszechnej. A kolega nie chodził do przedszkola ani do szkoły powszechnej?

Najlepiej więc zacząć od sygnetu. Od sygnetu rozmowa sama toczyłaby się dalej, nie musiałbym wiele mówić, to ona czułaby się w obowiązku wyrazić żal, a ten żal byłby częściowo i nade mną:

– Ileż to ludzi w tę wojnę zginęło. Naszego sąsiada zabrali którejś nocy i już nigdy nie wrócił. – Mógłbym na to powiedzieć: – Tak, to prawda. – A ona by powiedziała z dziewczęcym uniesieniem: – Lecz wszyscy, co zginęli, są bohaterami. Bo zginęli za ojczyznę. A czym kolegi ojciec był? – I tu czekałby mnie już prawdziwy triumf, bo rzekłbym: – Oficerem.

– Oficerem? – przez chwilę zaskoczona, wyrzuciłaby zaraz jednym tchem: – A już oficerowie są na pewno bohaterami. Może być kolega dumny ze swojego ojca.

A gdyby jeszcze w tym momencie, dając pierwszeństwo skrzypkom, tango załkało żalem, może by się nawet przytuliła do mnie. I byśmy już tylko tańczyli, tańczyli, a tango by wszystko za nas mówiło. W tym się właśnie objawia niezgłębiona moc tanga.

Wsparty o drabinki gimnastyczne, czekałem więc na kolejne tango. Tango wydawało mi się najwłaściwszym tańcem do poznania Anny, więcej, jedynym. Nie mówiąc już, że tanga byłem pewny, że mnie nie zawiedzie. Tango miałem we krwi. Tang byłem nasłuchany, natańczony od małego. Umiałem tańczyć w prawo, w lewo, w zbliżeniu, w oddaleniu, z przegięciem, wolniej, szybciej, a także bez jednego kroku, stojąc w miejscu i poddając się jedynie kołysaniu rytmu. Tanga wciąż

podśpiewywała matka, rozrzewniając się nad każdym, jakie piękne, aż się płakać chce. No, powiedz, Zygmunt, prawda? „Bez śladu ma wielka miłość minie i zostanę sam pewnego dnia, tęsknotę utopię w mocnym winie”. I ojciec przytakiwał, że prawda, patrząc wciąż w okno przed sobą lub sufit nad sobą. Choć gdy się trochę lepiej czuł, czasem do tego przytaknięcia dorzucał jakieś swoje wspomnienie. Raz na balu oficerskim zagrali białe tango i poprosiła mnie pułkownikowa. No, i raz, dwa dostałem awans na pełnego porucznika, choć go powinienem dostać za wojnę z bolszewikami. I gdzie tam już kiedy.

No, a przede wszystkim z mieszkania panien Ponckich wciąż dochodziły melodie tang do naszej sutereny, i to aż do znudzenia, czasem nawet w nocy.

Kiedy przychodziłem jeszcze do nich na kakao, bywało, że panna Róża czy panna Ewelina, nastawiwszy płytę z jakimś tangiem, zapraszały mnie do tańca:

– Jak wypijesz kakao, Piotrusiu, zatańczymy, chcesz? Posłuchaj, jakie to śliczne. Ach, tylko tańczyć, tańczyć albo siąść i płakać.

A nieraz ledwo do nich wszedłem, już od progu wyciągały ku mnie ręce.

– Choć, Piotrusiu, zatańczymy. Potem wypijesz kakao. Musisz się nauczyć tanga tańczyć. Inaczej nigdy nie będziesz prawdziwym mężczyzną. Prawdziwego mężczyznę właśnie po tym poznać, jak tańczy tango. Dostaniesz potem czekoladkę.

I wgarniały mnie w swoje ciała, jeszcze niewystygłe po nocy i pachnące czymś takim, że aż wstydziłem się wdychać. Bo zwykle do południa chodziły rozczochrane, porozmazywane na twarzach, w kapciach, w nocnych koszulach, w szlafrokach, i to niepozapinanych, niepozawiązywanych, jakby nie mogły wypoczwarzyć się jeszcze z łóżek,

o czym świadczyły i te łóżka, nigdy o tej porze nie zasłane. Zmieniały jedynie kapcie na pantofle, gdy zakaprysiło się którejś, żeby ze mną zatańczyć.

Nie broniłem się, że nie umiem czy że za mały jeszcze jestem, bo i tak by to nic nie dało. Ich ręce wyciągały się po mnie jak po przedmiot, któremu nieznana jest siła oporu. Zresztą nie wypadało mi być niewdzięcznym, tym bardziej że czekała mnie jeszcze obiecana czekoladka, i to zwykle nie jedna, a czasem także dla ojca, matki kazały, żebym wziął po jednej.

Plątały mi się nogi, a w sobie robiłem się sztywny niczym kołek. Moją prawą rękę musiały omalże wyciągać ze mnie i same ją kładły na swoich kibiciach, a w lewą jakby w kratę wplatały swoje prawe ręce. A już przytulić się do nich bez ich wyraźnej zachęty czy wręcz przyciągnięcia mnie siłą nie miałem zupełnie odwagi.

– No, przytul się, Piotrusiu, co tak odstajesz? Tanga nie ma bez przytulania. Argentyńskie tylko tańczy się trochę od siebie, ale też nie cały czas. O, tak. Przecież to nie grzech przytulić się. Do mamy się przytulasz, a nas się boisz? Dlaczego?

Nie, nie bałem się. Było mi nawet dobrze przy ich ledwo przesłoniętych nocnymi koszulami piersiach, których ciepło czułem na swoich policzkach, przy ich szyjach strzelistych tuż, tuż, przy ich twarzach nade mną, więc jakże mogłem się ich bać. Jeszcze mnie chwaliły, że coraz lepiej tańczę, chociaż nie byłem o tym przekonany. A zdarzało się, że wybuchały uniesieniem i z nagła mnie ściskając, składały siarczyste pocałunki na moich włosach, policzkach, że coraz lepiej tańczę.

– Wyobraź sobie, moja droga, naszemu Piotrusiowi już świetnie idzie. Wyczuwa rytm. Próbuje nawet sam prowadzić. Niedługo będzie tańczył jak sam, no, wiesz... Pokręć jeszcze korbką i puść to tango od początku. Albo

nie, zmień na *Szczęście trzeba rwać jak świeże wiśnie*. Och, ty, ty. Nasz Piotruś, no. – I pocałunek niczym ptak zlatywał na moją głowę z ust jednej lub drugiej.

Siedział potem na tej mojej głowie nieraz kilka dni. Bałem się grzebienia rano wsadzić we włosy, żeby go nie spłoszyć. I ludziom z nieufnością się przypatrywałem na ulicy, kiedy mnie mijali, czy ktoś nagle nie wykrzyknie:

– Patrzcie, ptak! Ptak na głowie! Żeby ptak na głowie? Sodoma i Gomora.

Toteż matka nieraz z podejrzliwością się pytała:

– Co ty się nie czeszesz, chłopak?

– Teraz ja! Teraz ja! – wykrzykiwała Ewelina czy Róża na zmianę. Podbierały mnie sobie jedna drugiej, podawały z rąk do rąk, wyrywały, a nawet dąsały się na siebie. – Pokręć ty teraz korbką. Taki sam Piotruś twój, jak i mój. Nastaw mi *Już się prześnił sen o miłości*. Albo *Ty przyjdziesz, by ją porwać w ramiona*. Nie jesteś chyba zmęczony, Piotrusiu? Tango nie męczy. A może byś zjadł kanapkę? Nie? To tańczmy. Przytul się. O, tak. I złóż tu głowę. I prowadź mnie, ja będę się poddawała. Pamiętaj, tango tańczy się samymi nogami. A od pasa w górę jakbyś był gdzie indziej i tylko płyniesz, płyniesz. I nie szarp. Rytm nie może być kanciasty. I nasze nogi muszą się zgadzać, jakby do jednego ciała należały. Rzeczywiście, moja droga, on coraz lepiej tańczy.

Czasem wpadała zaniepokojona matka, co tak długo piję to kakao, miałem iść do miasta po chleb, sól, cukier, po lekarstwo dla ojca, a widząc mnie w objęciach panny Eweliny czy panny Róży, z ledwo tłumioną złością dawała wyraz niezadowoleniu:

– Zepsujecie mi chłopaka, moje panny. Gdzie on do tańca. To jeszcze dziecko. Chodź do domu, Piotrek.

Największe jednak niezadowolenie matki potrafiły panny Ponckie załagodzić:

– Ależ proszę pani, tango żeby dobrze tańczyć, trzeba się od dziecka uczyć. Zresztą Piotruś już nie dziecko. Tylko pani jako matka tego nie widzi. Każda zresztą matka tak. Takiego fokstrota wystarczy nogami przebierać. Albo te boogie-woogie, co teraz tańczą, okropność. Walca też można aby w kółko. Ale tango to nawet rękę, tę czy tę, trzeba wiedzieć, jak ułożyć. Kiedy krok powtórzyć, kiedy zmienić, przyspieszyć, zwolnić, przytulić partnerkę, kiedy w rękę ją pocałować, bo inaczej, gdy się rozpoczyna, inaczej, gdy się kończy, nie tak przecież cmok. Niech pani sama powie.

– I te wszystkie nowoczesne tańce przemijają – przychodziła w pomoc jedna drugiej – a tango wciąż się tańczy. Bo tango jest wieczne. Tanga się człowiek uczy nie na jeden sezon, lecz na całe życie. Całe życie trwa sezon. Kto nie umie tańczyć tanga, ten w ogóle jakby żyć nie umiał. Na pewno się Piotrusiowi nieraz przyda. Jak kobieta widzi, że mężczyzna umie tańczyć tango, to co mu powie, no, co? Ach, jak pan świetnie tańczy. A od tego, proszę pani, wszystko się zaczyna. Tango mury rozbija, zasypuje przepaście...

– Ano, to ja tam już nie wiem – łagodniała matka. – Wy się lepiej znacie. Przetańczyłyście tych tang. A ja chyba ostatni raz tańczyłam na sylwestra przed wojną. I mąż, owszem, tańczył tango, ale wolał walczyki. A najbardziej lubił taki jeden. O, tak to szło – zaczęła matka nucić.

– *Nad brzegami Amuru* – zgadła Ewelina czy Róża, czy obie naraz.

– Chyba tak – przytaknęła matka. – Z Rosji jeszcze znał. A już kiedy sobie podpił, to bez przerwy tylko by tego walca śpiewał. I wzdychał, eh, Rassija, Rassija. A przecież nie był Rusek.

– No, i widzi pani, widzi pani – szczebiotały, jakby matka dostarczyła im sama dowodu na konieczność uczenia mnie tanga. I matka potwierdzała to:

– Prawda, czego się człowiek za młodu nauczy, to potem jest jak znalazł.

A już przed tą zabawą, gdy przyniosłem ze szkoły wieść, że będzie zabawa, nie darowały mi ani dnia, żeby jedna czy druga nie przybiegła po mnie.

– To prosimy, panie Piotrze.

– Nie siedź tylko za długo – już z wyrozumiałością wyrażała zgodę matka, a nawet tą swoją zgodą często uprzedzała mnie, nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, choćby dziękuję, zaraz przyjdę, jakby przynajmniej w ten sposób chciała im się za wszystko odwdzięczyć. – Musisz jeszcze lekcje odrobić. A panna Róża czy panna Ewelina też na pewno będą zajęte.

Już nie wyrywały mnie sobie, lecz oddawały dobrowolnie jedna drugiej, nie przetrzymując mnie ani chwili w swych ramionach po skończonym tangu, jakby jakaś umowa między nimi obowiązywała. I tańczyliśmy tylko tanga.

– Walca czy innego z łatwością nauczy się pan Piotr już potem na zabawach. Bo jak się tango umie, to wszystko się umie.

Były zwykle przygotowane na moje przyjście, łóżka zaścielone, pokój posprzątany, stół nakryty koronkowym obrusem, a one same wystrojone, w naszyjnikach, broszkach, bransoletkach, pierścionkach, uczesane, wymalowane, jakby same wybierały się za chwilę na zabawę, a nawet z lekka już poddawały się nastrojowi tej zabawy. W każdym razie mało co przypominały tamte panny Ponckie, z którymi tańczyłem, gdy jeszcze chodziłem do nich na kakao. Przede wszystkim siadały na fotelach i kazały się prosić.

– Teraz proszę podejść, panie Piotrze. Ale miękkim krokiem, nie jak rekrut. O, w tym miejscu proszę się zatrzymać, nie dalej niż o krok, lecz nie bliżej. Teraz proszę się ukłonić, tak, nie samą głową, także w plecach troszeczkę się przygiąć. Ukłon powinien być łagodniejszy, swobodniejszy, nie taki dziarski. Niech pan pamięta, że tango zaczyna się od ukłonu. I zawsze proszę patrzeć prosto w oczy. A w oczach powinno być lekkie zamglenie, nie uśmiech. Na uśmiech przyjdzie jeszcze czas. Nie, ręki proszę jeszcze nie wyciągać. Za wcześnie. To dopiero gdy kobieta wstanie. Teraz tak. I ujmuje pan moją dłoń swoją dłonią od spodu, lecz podnosi ją pan najwyżej do tej wysokości. Wtedy schyla pan głowę i przytula pan do swoich warg. Delikatnie, żeby ledwo dotknęły. I ja sama wchodzę w pańskie ramiona. Proszę nie zapominać, że nie wolno partnerki podciągać ku sobie. Czy, broń Boże, wlec ją aż na środek. Tango zaczyna się tu, gdzie pan stanął i gdzie ja do pana wstaję.

I tak mnie tresowały do samej zabawy, otwierając przede mną najdrobniejsze szczegóły tajemnicy tanga. Tańczyły leciuteńko, bez najmniejszych kantów, zadziorów przy najostrzejszych nawet obrotach, skrętach czy zmianach kierunku. Nie stawiały prawie nóg na podłodze, płynęły jak chmury, bezszelestne, bezcielesne nieomal. Nie obdarowywały mnie, co prawda, już tym ciepłem, jak wówczas, gdy tańczyły w szlafrokach, nocnych koszulach, rozczochrane, nieumalowane, niewystygłe jeszcze po nocy. Ani też nie przytulały mnie do swoich ledwo przesłoniętych piersi, nie rozkazywały, przytul się, Piotrusiu, czy choćby, panie Piotrze. Co najwyżej, jakby chuchając na dmuchawiec, ni to szeptały, ni wzdychały:

– Troszkę bliżej, panie Piotrze. A tę rękę z tyłu proszę trochę wyżej na kibici. I cały czas powinna być w tym jednym miejscu. Proszę nigdy nie jeździć nią po plecach.

Pytałem, gdzie się tak tych tang nauczyły tańczyć, lecz nie mogły wyjść z ról nauczycielek:

– Ach, niech pan nigdy w ten sposób nie zaczyna rozmowy z partnerką. Gotowa pomyśleć, że niezdolny pan do wielkich uczuć. Pierwsze słowa są najważniejsze, panie Piotrze. To już lepiej, żeby pan był nieśmiały, niż miałby pan być pospolity. – Albo wręcz mnie zbywały: – Ach, doprawdy? To przecież nic nadzwyczajnego umieć tańczyć tango. To tak samo jak się umie śmiać czy płakać. Zawsześmy lubiły tańczyć. Nawet dzisiaj nieraz same z sobą tańczymy, gdy nikt nas nie odwiedzi. Naprawdę nic nadzwyczajnego.

Najczęściej jednak odwzajemniały mi się takimi samymi pochwałami, uciekając wyraźnie przed moim natręctwem, które, podejrzewałem, było dla nich czymś więcej niż tylko wyrazem mojego zachwytu.

– Pan Piotr też już świetnie tańczy – wyrzucała z trochę sztucznym uniesieniem jedna, a gdy oddawała mnie w ramiona drugiej, ta przejmowała wraz ze mną i to sztuczne uniesienie tamtej: – O, tak, świetnie. I tak lekko, tak z wdziękiem. – Chociaż i te uniesienia przeradzały się zazwyczaj w rady i uwagi: – Będzie tylko pan Piotr musiał mnie za rękę trzymać trochę luźniej. I głowę nie tak sztywno. I nie tak wysoko unosić się na palcach.

Zdarzało się jednak, zapominały, że to tylko lekcje, i jednej lub drugiej pośród tych rad i uwag nieoczekiwanie wyrywało się westchnienie:

– Och, mieć takiego partnera. Szczęśliwa będzie, którą pan Piotr poprosi do tanga.

Więc grali wciąż te walce, polki, kujawiaki, marsze i oprócz mnie chyba nikt tak uparcie nie czekał, aż zagrają tango. Sala kręciła się niczym karuzela, buchała gorącem, a orkiestra na scenie jeszcze mocniej podgrzewała. A gdzieś tam, pośród tych walców, polek, kujawiaków,

marszów, wirowała wciąż Anna. Śledziłem ją pilnie, lecz raz po raz wymykała się mojemu wzrokowi, ginąc w tłumie roztańczonych par lub pojawiając się daleko od mojego oczekiwania, by mignąwszy mi, znów zginąć i znów się pojawić, choć zdarzało się, nieraz tak blisko, że prawie czułem się przez nią przyłapany na tym, że ją śledzę. Odwracałem wówczas zawstydzony wzrok, chociaż ona pewnie nie zdążyła nawet spojrzeć w moją stronę, bo wir tańca ponosił ją dalej.

Gdybym chociaż wiedział, że przynajmniej się domyśla, że czekam tu, pod drabinkami, na to tango z nią, a po każdym tangu znów czekam od nowa, byłoby mi może łatwiej. Próbowałem sobie nawet wyobrazić, że pośród tych walców, polek, kujawiaków, marszów tańczymy i dla nas orkiestra gra tango, reszcie grając walce, polki, kujawiaki, marsze. I wszyscy wirujący wokół z zazdrością patrzą, że nam jednym orkiestra gra tango, podczas gdy oni muszą tańczyć te walce, polki, kujawiaki, marsze.

W tym oczekiwaniu spoglądałem z napiętą uwagą na scenę, na której po długiej kolacyjnej przerwie powinna pojawić się lada moment orkiestra. Zwłaszcza że przed wyjściem na kolację, odkładając instrumenty po kolejnej wiązance walców, polek, kujawiaków, marszów, zapowiedzieli, że po przerwie będzie tango, wywołując tym wybuch radości na sali i rzęsiście żegnające ich oklaski.

Właśnie zaczęli wracać. Wchodzili na scenę pojedynczo, w sporych od siebie odstępach i jakoś dziwnie ociężale, jakby mieli obwieścić, że nie będą już grali, idą spać. Wyglądali na gorzej spracowanych niż przed przerwą. Instrumenty brali do rąk niepewnie, jakby z trudem przypominając sobie, kto na którym grał, i tym samym wydłużając niepewność nieomal do bólu, czy zagrają to zapowiedziane tango.

Ktoś ze stojących tuż obok mnie chłopaków smętnie zauważył:

– O, fest popili. – A któryś dorzucił: – Też byłoby dobrze jednego się napić. Do tanga powinno się mieć trochę w czubie. Inaczej potem ci się rozłazi. – Któryś na to, nachylając się ku tamtym, ledwo dosłyszalnym szeptem: – Piją w czwartej B na dole. Sroka przywiózł całą bańkę bimbru ze wsi. Trzeba trzy razy zastukać, dwa krótko, raz długo. Może pójdziemy, chłopaki?

W najśmielszych wyobrażeniach nie przyszłoby mi do głowy, jak te słowa mogą mi się przydać, chociaż ledwo obiły się o mnie, tak że nie zauważyłem, czy poszli, czy nie. Wpatrzony w każdy ruch orkiestry na scenie, myślałem jedynie o tym, kiedy powinienem ruszyć, żeby nie za wcześnie, lecz zarazem żeby już na pewno zdążyć. Skrzypek, wysunąwszy się na przód sceny, co było zwykle zapowiedzią tanga, wpychając skrzypki pod brodę, zawiesił nad nimi w pogotowiu smyczek. Saksofonista z puzonistą też wtulili już ustniki w wargi, a bębnista, niczym ptak skrzydła, uniósł pałeczki nad bębnami. A gdy przewodzący orkiestrze akordeonista, wbijając palce w klawiaturę akordeonu, kiwnięciem głowy dał znak, natychmiast ruszyłem, kto wie nawet, czy o ten jeden, dwa kroki nie wyprzedzając pierwszych tonów, i to przez środek sali, na skróty, ku siedzącej na ławce pod ścianą Annie. Byłem pewny, że tym razem wygrałem walkę o to tango. Już całkiem bliziutko zobaczyłem śmiejące się dookoła oczy Anny, jakby tych oczu miała cały bukiet, i właśnie chciałem jej się już ukłonić, gdy nagle jak spod ziemi ktoś wyrósł między mną a nią, na tym króciutkim promieniu, nie mniejszym od jednego, dwóch kroków, które mnie od niej dzieliły, i poszła w jego ramiona, z tym bukietem śmiejących się oczu, mnie nawet nie dostrzegając, że byłem pierwszy. Nic innego tylko jakieś przekleństwo zawisło nade mną na tej pierwszej mojej zabawie. Może hrabiego Mundka, który nie mógł pogodzić się z tym światem, a którego krawat przywłaszczyłem sobie. Lub może tego, od kogo

ojciec wygrał w karty ten sygnet? Przekleństwo, mawiała matka, nieraz lubi zataić się w rzeczach. Stałem jak wryty i nie mogłem tego zupełnie zrozumieć. Spoglądałem przecież czujnie, czy z innego kierunku ktoś się do niej nie skrada. I nikogo takiego nie zauważyłem. Ze wszystkich kierunków szedłem tylko ja, niosąc jej to ledwo rozpoczęte tango jak najgłębszą moją tajemnicę.

Próbowałem podążać za nimi wzrokiem, kiedy odpływali w tym tangu, pozostawiając mnie niezauważonego, a co gorsza, wydanego na pastwę własnej bezsilności i własnego żalu, ale także nienawiści do nich, do całej zresztą zabawy, do orkiestry, do wszystkich tańczących par i także do tego tanga. Przez chwilę miałem jeszcze nadzieję, że może Anna spojrzy ku mnie znad ramienia tamtego i przykuję jej uwagę. Może domyśli się, że to przed nią dalej stoję, a za chwilę skłonię się i poproszę ją do tego tanga, bo już tyle razy daremnie próbowałem, więc należy mi się z nią to tango. Może nawet wyłuska się z objęć tamtego i podbiegnie ku mnie, wtulając się w moje objęcia z poczuciem winy, którym zakwitnie ten bukiet jej oczu.

Tańczące pary zepchnęły mnie pod samą ścianę, tak że chcąc nie chcąc klapnąłem na ławce, może nawet na tym samym miejscu, gdzie przed chwilą siedziała Anna. Ni z lewej, ni z prawej strony, aż do końca, nikt prócz mnie nie siedział. Wszyscy tańczyli tango. Miałem wrażenie, że leżę na równi z mrowiem ich tańczących nóg, a nawet że to po mnie tańczą. Wstyd mi było wracać na swoje miejsce pod drabinkami gimnastycznymi, ale i siedzenie tutaj było trudne do zniesienia. Opuściła mnie całkiem nadzieja, że uda mi się z Anną kiedykolwiek jeszcze zatańczyć. Ta nadzieja, która z każdym tangiem, niepomna doznanego w poprzednim tangu zawodu, od nowa mnie podrywała. Która kazała mi cierpliwie czekać od jednego niezatańczonego tanga do następnego niezatańczonego, przez wszystkie te ciągnące się w nieskończoność walce, polki, kujawiaki,

marsze, aż do tego ostatniego znów niezatańczonego, i to wbrew przeznaczeniu, które było mi widocznie pisane, że znowu ktoś mnie uprzedzi. Bo jak inaczej to wytłumaczyć, jeśli nie przeznaczeniem?

„I miłość rozwiała się z pierwszym dniem jesieni”. Tango roztkliwiało się, rozrzewniało, uciskając mnie gdzieś w piersiach, w głowie, w całym ciele zresztą. Jakby to sam skrzypek zszedł ze sceny i stojąc nade mną, ni płakał, ni grał. Przypomniało mi się, jak któryś z chłopaków przy drabinkach mówił, że w czwartej B piją. Poczułem smak wódki w ustach, choć był to zapewne jedynie smak pragnienia.

Piłem wódkę dotąd tylko raz w życiu, i to przed laty, kiedy mnie wujek Władek poczęstował, jak zabili świnię. A nie była to wówczas łatwa sprawa, bo wszystkie świnie były pokolczykowane, a każdy kolczyk miał swój numer. Za taką świnię mogli i zaaresztować, i powiesić, rozstrzelać czy wysłać do obozu. Udało się jednak załatwić, że świnia na różycę padła. W każdym razie napisali, na różycę, a nawet przyszedł ktoś z gminy na świadka, gdy ją zakopywali. Sporządzili protokół, że w sadzie za stodołą, gdzie wujek Władek nawet dół wykopał, a potem ten dół przy świadku zasypał. I do protokołu dołączyli jeszcze ten kolczyk, i świadek podpisał.

Wujenka Jadwinia nakrajała kiełbasy, salcesonu, kaszanki, chleba, a wujek Władek wyciągnął litr wódki, szklanki i rozstawiając przed każdym, nalewał, mężczyznom gdzieś tak do połowy szklanek, kobietom aby trochę nad dno. I tylko świadkowi z gminy pełną szklankę. Mnie, ma się rozumieć, ominął i wydawało mi się to naturalne, dzieckiem przecież byłem. Lecz kiedy wszystkim już ponalewał, spojrzał nagle na mnie i jakby się zawahał. Po czym podszedł do kredensu, wyjął jeszcze jedną szklankę i stawiając mi ją na podołku, powiedział:

– Przy takim święcie to i Piotrek niech się z nami napije. Następnym razem może zabijemy dopiero po wojnie, jak przeżyjemy. – I nalał mi

gdzieś tak między mężczyznami a kobietami.

– Co ty, wódkę mu?! – Skoczyła jak oparzona matka. – Wściekłeś się! Pijaka chcesz mi z dziecka zrobić?! To ja mu do niedawna sok z marchewki tarłam, z buraczków, z jabłek, żeby rósł, krwi żeby mu przybywało, bo taki wciąż blady i blady. A ty mu wódkę?! Dawaj to, Piotrek!

Chciała mi tę szklankę wyrwać, lecz w tej samej chwili wujek Władek zasłonił mnie swoją piersią, a że chłop był na schwał, nie mogła się matka przez niego przedostać.

– Co się ciskasz? Od takiej kapki? – tłumaczył jej po dobroci, choć matka szarpała z wszystkich sił jego ciałem, próbując je odwalić z drogi ku mnie, ale to jakby dęba chciała odwalić. Tylko tę butelkę z wódką uniósł wujek wysoko nad głową, żeby czasem mu nie wyszarpała. – Zaraz pijak. To trzeba by pić i pić. Przynajmniej ćwiartkę na dzień, świątek, piątek. Spytaj się Franka Kołodzieja, ile pije. Pół litra, mówi, dopiero wiem, że to ja, jestem, żyję. Bez pół litra, Władziu, to jakbym się wcale nie narodził. A nawet nie wiem, chce mi się na ten świat czy nie chce?

Matka jednak, głucha na te tłumaczenia wujka, wciąż poszarpywała nim, a nawet próbowała obejść to jego ciało z lewa, z prawa, od tyłu, i aż dyszała z wściekłości.

– Dawaj to, Piotrek! Dawaj to, Piotrek! Niech cię ręka boska broni! Ani mi się waż!

Wujek jednak przesuwał się wraz z nią to w lewo, to w prawo, okręcał się, broniąc matce do mnie dostępu, i wciąż jej po dobroci, cierpliwie tłumaczył:

– O, zje kawałek kiełbasy czy salcesonu i nawet nie poczuje. Co mu tam nalałem, aby na chrzest. Kiedyś i tak musi zacząć. To wolisz, żeby po kryjomu zaczął? Dowiesz się, jak będziesz go musiała już po wsi szukać. Dzieckiem zawsze nie będzie. Teraz zresztą nie ma dzieci. Chce kto czy nie

chce, musi być dorosły. Taki czas. Jak ty chcesz tę wojnę bez kieliszka wódki przeżyć? O, świnię udało nam się zabić, to ile to zachodu trzeba było. Smaku by to wszystko nie miało, jakbyśmy się nie napili. Nie poznałabyś, co kiełbasa, salceson, kaszanka. Wszystko wiór by było.

Chciałem już oddać tę szklankę z wódką i powiedzieć, że nie wypiję, bo żal mi się matki zrobiło. Przemagała się z tym ciałem-dębem wujka Władka już nie tylko złością, lecz i narastającą w niej rozpaczą. Nie wołała już, dawaj to, Piotrek, ani wujka nie wyzywała, waliła jedynie pięściami po jego piersiach, aż butelka trzęsła się w jego wyciągniętej ręce jakby jabłko na czubku jabłoni. Ale jednocześnie wydawało mi się, żebym zdradził wujka Władka, gdybym tę szklankę oddał nagle matce, że nie wypiję.

– Dupa będziesz, nie chłop – pewnie powiedziałby. I może nawet walnąłby tą butelką z wysokości wyciągniętej ręki o ziemię na świadectwo mojej zdrady. – Człowiek może cały rok nie pić – tłumaczył, przyjmując jakby nigdy nic na swoje piersi te słabnące z wolna, chociaż wciąż wściekłe pięści matki. – Ale przychodzi taka chwila, że musi się napić. Żeby nie wiem co, musi. Żeby nawet wódka mu nie smakowała. Zresztą wódki nie pije się dla smaku. Może mieć ktoś rozum jak cebrzyk, a i tak nie wszystko rozumem sobie przetłumaczy, a wódką wszystko. Nieraz nie ma innego sposobu, tylko napić się. Czy w duszy cię boli, czy w sercu, czy w żołądku, napijesz się ten kieliszek, dwa i od razu jakby ręką odjął. Nieraz Bóg ci nie pomoże, a wódka pomoże. O, nie był głupi, kto wymyślił wódkę. Może nawet i Bóg, bo czy to wiadomo? Wystarczy popatrzeć na ten świat, co go stworzył, to musiał i wódkę. A bij, bij, tylko mi koszuli nie porwij. Na złość tak samo nie ma, jak się napić. A Piotrek ma życie dopiero przed sobą, to lepiej jak zawczasu będzie wiedział, kiedy napić się, a kiedy pomodlić, żeby mu się potem nie plątało. Dajmy na to, spotka go nieszczęście, choć mu przecież nie życzę, ale spotka go, bo każdego musi, nikt się jeszcze nie

wywinął, to nie napije się przecież soku z marchwi czy z buraczków, czy z jabłek. Tylko musi wódki. Wódka przypisana jest do nieszczęść jak skóra do ciała. Choć tak samo do wesel. Ale to od wesel zaczynają się przeważnie nieszczęścia, jak rzeki od źródeł.

I wtedy matka, zadudniwszy z bezradną wściekłością pięściami o wujkowe piersi, obróciła się na izbę, wołając:

– Pomóżcie! Co patrzycie, jak się z tym bykiem szamoczę?! Dziecko mi chce upić!

– Nie pomogą ci – powiedział z tą samą wyrozumiałością wujek. – O, czekają, żebyś dała im się wreszcie napić.

I wyciągnąwszy jak gąsior szyję w górę, wlał sobie trochę w gardło z tej butelki, którą niczym płonącą pochodnię trzymał wciąż na wysokościach nad sobą. W tej samej chwili matka pchnęła go, lecz widocznie niewiele już miała siły, bo nie tylko się wujek nie zatoczył, lecz wlał sobie, co miał wlać, ani kropli nie roniąc, i wyniósł z powrotem tę butelkę na dawne miejsce na wysokościach nad sobą.

– No, niech ojciec powie – zwrócił się jakby o rozsądzenie do dziadka, który siedział na brzegu łóżka z tą czekającą na wypicie szklanką w ręku. – Nie zgłupiała? Co się z nią w tym mieście porobiło? Czyby tam przestali pić? Ale tu się przecież urodziła.

– A tobie, jucho, zachciało się, żeby dziecku – skarcił najpierw dziadek wujka. – Byśmy już wypili. – Po czym dodał: – Nie ma znów tam o co. Na lekarstwo nieraz więcej się wypije. Aby skrzywi się i od razu poleci mu do żołądka. I najlepiej niech kiełbasą zagryzie.

– Może lepiej chlebem, tata, najpierw niech powącha, a potem dopiero zagryzie – wtrącił wujek Stefan.

Matka jednak nie dawała za wygraną. Czerwona na twarzy i, wydawało się, coraz słabsza, a coraz zajadlej napierała na wujka Władka. Próbowała

nawet podskakiwać do tej uniesionej w ręku wujka butelki na wysokościach, spazmując:

– Zbiję ci tę butelkę, szatanie! Nie dam dziecka upić. Będziesz swoje miał, to upijaj. Nie dam...

Ale wujek za każdym jej podskokiem jeszcze wyżej unosił rękę, aż o mało nie dosięgał sufitu. Próbowała mu tę rękę to przygiąć od ramienia, to od łokcia, ale dąb-wujek miał i ręce jak dębowe konary.

– Myślisz, że jak go wykształcisz, to nie będzie pił? – tłumaczył jej dalej niezmiennie po dobroci, bo i on się w tym swoim dębowym spokoju, silnym i cierpliwym, zaparł. – To ci powiem, że kto wie, czy nie więcej. Bo ile to trzeba nieraz wypić na taki wykształcony rozum. To nie to, co na zwykły, że już po ćwiartce nie chce ci się myśleć, a po pół litrze taki rozum przystanie na każde nieszczęście jak sierść do skóry na psie. I każde wtedy jest od Boga.

– Niech Piotruń weźmie moją szklankę, a ja jego wypiję – zgodna jak zawsze wujenka Jadwinia próbowała znaleźć wyjście. – W mojej aby po dnie nalane.

Na co wujenka Marta nieoczekiwanie podeszła do kredensu i wyjęła sobie szklankę, bo oprócz mnie jeszcze tylko ją wujek Władek ominął przy nalewaniu, z czym się bez najmniejszego sprzeciwu zgodziła.

– Nalej i mnie, Władziu – powiedziała. – Jak ta świnia ma być taka ważna.

– Zostaw tę szklankę! – Szarpnął się wujek Władek, na ile mógł się szarpnąć, tarmoszony z wszystkich stron przez matkę, jeszcze z tą butelką w uniesionej ręce. – Nie słyszałaś, co ci doktór mówił?! Mleko, śmietanę możesz.

– To i tak już nie pomoże. Nalej. – Podstawiła wujenka szklankę wysoko ku tej wyciągniętej ręce wujka.

– Jak ci naleję, kiedy widzisz, nie daje mi butelki opuścić?

– Zostaw go – odezwała się spod kuchni babka, gdzie siedziała na stołeczku, też czekając ze szklanką w ręku, kiedy wreszcie będzie można za tę świnię wypić. – O tę trochę wódki tak się szarpać, brat z siostrą? A przecież pobożnie was chowałam. Wszyscyście byli u mnie równi. O, niech się przeżegna, to będzie jakby źródlaną wodę wypił. Tak matuś moja, świeć Panie nad jej duszą, nigdy nie wypiła, zanim się nie przeżegnała. W imię Ojca i Syna, nie licz mi tam, Panie Boże, za grzech tego. Albo inne mi już po dwa policz. Tak mówiła. – I też się przeżegnawszy w imię Ojca i Syna, rzuciła: – A tam, nie będę już na was czekała, aż się pogodzicie. – I wypiła duszkiem. – Uuu, ależ to mocarna. – Skrzywiła się.

– Zagryź – powiedział dziadek.

– A co będę zagryzać? Rozpłynęło się.

– Zagryź. – I wziąwszy z miski kawałek kiełbasy, wcisnął babce w rękę.

– Ty zbóju! Ty taki, owaki! Nie dam dziecka upić! – coraz słabszym głosem wyzywała matka i równie słabnącymi pięściami nie tyle tłukła, co ugniatała dębowe piersi wujka Władka. I nagle złożyła na tych jego piersiach głowę i rozszlochała się. A wujek Władek też ulżył swojemu dębowemu ciału i przytuliwszy matkę do tych obtłuczonych piersi, tą jedną wolną ręką przytulił ją do siebie, drugą wciąż trzymając z tą butelką na wysokościach. Zaraz jednak ściągnął ją i choć niezdarnie, uważając, żeby mu się wódka nie wylała, obiema przytulił matkę.

– Nie płacz. Nikt swojego nie ominie – powiedział. – No, nie płacz.

Czwarta B mieściła się na parterze, w końcu korytarza. Nie musiałem jednak wcale pukać, jak tamci mówili, dwa razy krótko i raz długo, bo korytarz wypełniały, dochodzące aż na schody, podniesione głosy, przeplatane gęsto przekleństwami, ochrypłymi zaśpiewami, ustanawiając gdzieś pośrodku, na podeście, granicę dla ciągnącego się za mną tanga.

Byłem już przy drzwiach, gdy nagle te drzwi jakby ktoś przede mną z tamtej strony otworzył i wytoczył się z nich wprost na mnie podniecony, zmierzwiony, czerwony na twarzy Koza.

– Piotruś. – Objął mnie czule za szyję. – Przyszedłeś? Jak to dobrze, bracie. Chodź. Mamy całą bańkę bimbru. Ale ci jebawa. Hej, chłopaki! – krzyknął, wprowadzając mnie do klasy. – Jeszcze jeden z „Titanika”!

– Piotrek – któryś czknął na mój widok.

– Piotrek? – któryś zdziwił się.

A któryś, przypadając do mnie, powiesił się całym sobą na moich ramionach i wyszeptał z czułością:

– Piotruś.

Któryś, spoglądając na mnie mętnymi oczyma, spytał:

– A jak ci na imię?

– Kiedy wyłowisz rozbitka, nie pytaj go o imię, ciulu! – krzyknął Koza.

A któryś w końcu klasy w tym momencie wrzasnął:

– Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

I wtedy ktoś zaintonował bełkotliwie:

– „Wyklęty powstań, ludu ziemi, powstańcie, których dręczy głód!”

– Gdzie jest ten gościnny kubek?! Dajcie ten gościnny kubek! – zawołał Koza.

– Nie tak głośno, chłopaki. Jak do was mówić? – Z pulpitu katedry podźwignęła się łysa głowa woźnego Skowrońskiego. A właściwie próbowała się podźwignąć, bo co wydała słowo, spadała z powrotem na pulpit. I z mozołem znowu się dźwigała, jakby przemagając się z ciężarem tych słów, a może i z ciężarem katedry, na której spoczywała. – Bydło by zrozumiało! A tu, psia jego mać, kwiat! Przyszłość, mówią! Profesory, doktory, sędzie, inżyniery, a zasrańce i już! Żeby nie było potem na mnie,

że na wszystko wam pozwalam. Nie pozwalam! Słyszycie?! Nie pozwalam! I w ogóle mnie tu nie ma! Pamiętajcie, obwiesie! Huncwoty zatracone! O, już idę. – I słowa jakby ze zdwojonym ciężarem znów przygniotły mu głowę do pulpitu. – Zamknijcie te drzwi! – Ostatkiem sił jeszcze ją poderwał. – Co to, obora?! Szkoła! Porządna szkoła. Przed wojną nosiła imię marszałka Piłsudskiego.

– Baczność! – ktoś ryknął. A ktoś inny zapiszczał: – Na Kijów!

Nim zdążyłem rozpoznać w tym gwarze i kłębach papierosianego dymu, kto jest kto, już miałem pod ustami ten gościnny kubek pełen bimbru, podtrzymywany samarytańską ręką Kozy.

– Pij.

Omiotłem więc tylko wzrokiem klasę. Wszystkie twarze wydawały się porozmazywane, rozcieńczone, jak na wyblakłej szkolnej fotografii. Zwłaszcza że mało kto siedział normalnie, jak to w klasie, lecz ten tyłem, tamten bokiem, wpółleżąc, z głowami na blatach, porozwalani niczym na kanapach, poskręcani, w pozycjach nawet trudnych do określenia, niektórzy z nogami sterczącymi w górze nad ławkami, niektórzy wręcz z butami na ławkach, jakby mścili się na tych Bogu ducha winnych ławkach za swoją codzienną pokorę.

– Pij – uśmiechały się do mnie rozbełtane, lecz szczere oczy Kozy. – Nie wyszło ci, co? Każdemu tu, bracie, coś nie wyszło. Pij. Śmierdzi trochę, ale mocna, mówię ci, aż oczy wyłażą. Pij. – I sam mi przechylił kubek do ust.

Ścisnęło mnie w gardle, że omal oddech mi odcięło. Zacząłem się krztusić, lecz Koza nie pozwolił mi oderwać kubka od ust, choćby dla złapania tchu, i podtrzymując go od spodu mocną ręką, skamlał:

– Nie przerywaj. Nie przerywaj. Do dna pij. Do dna.

Prawie pustą piersią, jakbym się wynurzył z głębokości na powierzchnię, wciągnąłem powietrze. Było ostre, aż kłujące. Wszystko mi w oczach zmętniało, a za chwilę poczułem się, jakbym cały z waty był.

– O, mleczak żeś – zabiadolił Koza, a głos jego tak samo wydał mi się z waty. – Myślałem, że masz łeb. Ale widać nie ten sam łeb do picia jest, co do nauki. Musisz nabrać wprawy. Na sucho nigdy dziewczyny nie poderwiesz. Spytaj się chłopaków. Zawsze znajdzie się ktoś szybszy.

– Hej, Piotrek! – doszło mnie niczym echo. – Chodź tu do nas! Tam będziesz z głupim Kozą!

Zaczęło mi się kręcić w głowie i próbując dać krok, nagle zatoczyłem się na katedrę, aż woźny Skowroński uniósł z pulpitu głowę. Na szczęście podtrzymał mnie Koza i obejmując wpół, podprowadził do pierwszej z brzegu ławki. Próbował mnie w tej ławce posadzić, ale w żaden sposób nie chciałem się zmieścić, aż się w końcu obaj zwaliliśmy. On się jednak podniósł i chyba jakiś czas stał nade mną, bo słyszałem jego słowa:

– Może zjesz kawałek pasztetówki? Co, Piotrek? Zjedz. Dobrze by ci zrobiło. Hej, chłopaki, jest tam jeszcze pasztetówka?!

I chyba nawet poszedł po tę pasztetówkę, a ja zasnąłem.

Niedługo jednak spałem, w każdym razie tak mi się wydawało, bo kiedy ktoś mną zaczął poszarpywać, byłem pewny, że to Koza z pasztetówką. I na myśl, że mi każe jeść tę pasztetówkę, zrobiło mi się niedobrze. I w ogóle poczułem się, jakby oblepiało mnie nie moje ciało. A jeszcze ten ktoś zaczął dźgać mnie słowami niczym sztyletami i wtedy poznałem, że nie był to głos Kozy.

– Ty, wstawaj. No, wstawaj. Rozchodzimy się. Zabawa się skończyła. Masz, napij się strzemiennego. To cię postawi. Hej, Piotrek! Słyszysz? Zbudź się.

Niepotrzebnie mną tak poszarpywał, bo byłem zbudzony. Słyszałem każde jego słowo. Nie byłem tylko w stanie nic nakazać temu oblepiającemu mnie ciału, ani żeby ręką ruszyło, czy głowę uniosło, czy wymamrotało, że nie śpię.

– Chłopaki, postawmy go! – któryś rzucił i też usłyszałem, więc byłem na pewno zbudzony. – Postawimy go, to już potem jakoś pójdzie. Po pijaku najgorzej się podnieść.

– Człowiek maszyna – któryś zadrwił. – La Mettrie.

– Weźmy go pod ręce.

Zaczęli mnie wyciągać z ławki, jakby z korzeniami wyrywać, a ja nie mogłem im nic pomóc, bo wciąż czułem, że to ciało, które mnie oblepia, jest nie moje. Choć, prawdą a Bogiem, byli dziwnie słabi, ręce im się obsuwały po mnie i więcej mnie ugniatali, niż podnosili, a ten i ów nawet się pokładał na mnie.

– Tak się spić. Ty, ileś ty mu wlał?

– Ten gościnny kubek – poznałem głos Kozy.

– Pełny? Nie ma głowy, za dużo kuje.

W końcu złapali mnie z obu stron pod ręce, a ze dwóch podparło mnie jeszcze pod plecy i tak podtrzymywany z wszystkich stron, stanąłem na nogi.

– I stoi – zasapanym głosem westchnął któryś.

Z wysiłkiem otworzyłem oczy.

– O, i patrzy – któryś się nawet ucieszył. – E, dobry już jest. Pójdzie.

– Chłopaki, może by go jednak odprowadzić do domu?

– E, pójdzie. Wyjdziemy na dwór, złapie świeżego powietrza i pójdzie. Co, Piotrek, pójdziesz, prawda?

Kiwnąłem albo i nie kiwnąłem głową, a może z oczu moich wyczytali, bo któryś zawołał:

– Dajcie mu tego strzemiennego! Zaraz mu się lepiej zrobi. – I poprawił mi krawat, obciągnął marynarkę. A za chwilę czyjaś samarytańska ręka podawała mi znów ten gościnny kubek do ust. – Pij.

Nie było tego wiele tym razem, gdzieś po dwóch łykach się urwało. Poczułem się jednak lżej. Głowa mi już tak nie ciążyła i częściowo odzyskałem własność ciała.

Przepchali mnie z klasy na korytarz, choć niełatwo to im poszło, bo starali się w dalszym ciągu podtrzymywać mnie ze wszystkich stron. A potem z korytarza na schody prowadzące na szkolny dziedziniec. Na pierwszym jednak stopniu któryś z tych podtrzymujących mnie z prawej strony, a po prawdzie zwisający mi u łokcia, nagle się oberwał i całą hurmą sturlaliśmy się ze schodów w ciemną przepaść nocy. Posypały się złorzeczenia stąd, stamtąd, co świadczyło, że każdego osobno gdzieś rzuciło, a niektórych daleko od schodów. Pozbierali się wkrótce i nawołując się, jakoś się tam poodnajdywali, zbijając się z powrotem w gromadę, o mnie jednak jakby zapomnieli.

Próbowałem wstać o własnych siłach, lecz nie wiedziałem nawet, od czego zacząć to wstawanie. Gdybym leżał pod drzewem czy pod krzakiem, miałbym czegoś się przynajmniej przytrzymać. Lecz tylko żwir szkolnego dziedzińca miałem pod rękami i ciemną noc wokół.

– Poszłoby się teraz na kurwy, co, chłopaki? – usłyszałem całkiem blisko czyjś głos. – Szkoda takiej nocy marnować na spanie.

Chciałem krzyknąć i przypomnieć im się, że tu jestem, ale tylko ledwo dla mnie samego słyszalny szept udało mi się wycisnąć z gardła.

– To chodźmy – któryś ochoczo podchwycił.

– Tylko gdzie? – któryś zasiał zwątpienie, a inny to zwątpienie pogłębił:

– I za co?

– A jakby tak do panien Ponckich? – któryś aż zaskamlał.

– Też wymyślił – któryś przywołał tamtego do przytomności – wiesz, co te kurwy biorą?

Aż mną zatargało, chciałem zerwać się i rzucić w tę ciemność na nich z krzykiem, że nieprawda, nieprawda, panny Ponckie nie są kurwami, lecz żwir szkolnego dziedzińca wciąż mnie trzymał i choć się dźwignąłem na jedno kolano i już podciągałem drugie, to spadłem z obu.

– Brat mi mówił, że przed wojną – poznawałem i nie poznawałem, czyj to głos, choć nie brzmiał tak czysto, jak kiedy mnie namawiał: – Pij. To było tu kurew jak psów. Polskich, żydowskich i na każdą kieszeń. Wieczorem to aż park się trząsł. Na każdej ławce się pierdolili. A kto chodził do gimnazjum, to nawet na kredyt mu dawały. A za zdanie matury to ten raz za darmo.

– Twojemu bratu miasta się popierdoliły – któryś rzucił z wyższością znawcy. – Przed wojną to tu ani kurew, ani komunistów, tylko procesje i sutanny. A pierdolił się, owszem, obcy klasowo element, reszta robiła dzieci, jak Pan Bóg przykazał. Ale my to zmienimy.

– Chłopaki, mógłbym z dwiema naraz, jak Boga kocham – któryś aż zawył. – Może nam na kredyt dadzą? A potem jakoś uzbierałoby się, to oddalibyśmy.

Nastała cisza i dopiero po dłuższej chwili któryś powiedział ze smutkiem:

– Jak cię tak sparło, to wyciągnij i trzep.

– Ale to nie to samo w swojej ręce, Boluś, nie to samo – odparł tamten z żalem.

– To cześć – nagle któryś rzucił. – Ja idę do domu. – I żwir zachrzęścił pod jego stopami, a po parunastu krokach odwracając się, krzyknął: – Za

późno już na kurwy!

Zapadło milczenie. Wkrótce i pozostali zaczęli się oddalać w stronę bramy, bo tak samo żwir chrzęścił pod ich stopami.

Nie miałem co na nich liczyć, najwyraźniej zapomnieli o mnie wśród tych kurew. A gdy już poza bramą zaczęli się żegnać, znowu spróbowałem się podnieść. Wspierając się dłońmi o kłujący żwir, podciągnąłem najpierw jedno kolano, a klęknąwszy na nim, drugie i, o dziwo, nie spadłem. Potem podsunąłem jedno z tych kolan pod brodę i oderwawszy jedną dłoń od żwiru, a następnie drugą, zacząłem się wyciągać z wolna w górę. Z trudem, lecz stanąłem na nogi. Jakie to tam jednak było stanie. Kolebało mną na wszystkie strony i ciągnęło z powrotem ku ziemi. A jeszcze noc ciemna, że oko wykol, kręciła się wokół mnie niczym karuzela. Bałem się choćby pół kroku dać, choćby na próbę, czy dam radę iść. Całą pijaną wolą trzymałem się miejsca, w którym stałem. A nawet nakazywałem sobie, żeby stać, nie ruszać się, jakby poza tym miejscem czyhała na mnie wszędzie przepaść. Więc stałem, chwiejąc się, w oczekiwaniu, kiedy ta kręcąca się noc wokół mnie zwolni. I wdychałem tę noc.

Nie wiem, jak długo to trwało, w każdym razie najpierw rozpoznałem jedno, drugie drzewo na dziedzińcu, a po chwili niebo nad dziedzińcem z paroma gwiazdami, pewnie tymi najjaśniejszymi, a potem przebiłem się wzrokiem ku majaczącej niedaleko bramie. I wtedy odważyłem się dać pierwszy krok, po nim drugi, trzeci, choć nie byłem pewny, czy każdy w tym samym kierunku. Rzucało mną na boki, w przód, w tył i na wszystkie możliwe strony, ale jakoś dotoczyłem się do bramy. Przekroczywszy ją, wsparłem się o betonowy słup, żeby chwilę odpocząć.

Z ciemności wyszedł ku mnie jakiś cień.

– Chodź, odprowadzę cię do domu – poznałem głos Kozy, jakkolwiek jego postać tylko najogólniej rysowała mi się w oczach. – Wszyscy się

porozchodzili już do domów. Ja tylko zostałem, żeby cię odprowadzić. – Wziął mnie pod rękę. – Aleś to się spił. Nie masz głowy. Ale nic, przejdziemy przez miasto, to otrzeźwiejesz.

Z początku niewiele rozpoznawałem i także niewiele dochodziło do mnie z tego, co mówił Koza. Zacząłem dopiero wyławiać słowa, gdy głos jego zabrzmiał ni to skargą, ni żalem:

– Ty to masz dobrze. W jednym domu, to prawie pod ręką i kiedy chcesz. I pewnie nic od ciebie nie biorą. – I w tej samej chwili omal psie skamlenie przepełniło ten jego głos: – Weź mnie, Piotrek, z sobą. Powiedziałbyś, kolega. Mój najlepszy kolega. Siedzimy w jednej ławce. Gramy razem w siatkówkę. On mi wystawia. Weź mnie. Weźmiesz? Ich dwie i nas byłoby dwóch. Naumyślnie nie wstawałeś z ziemi, żeby poszli, co? Też poszedłem kawałek i schowałem się za drzewem. Mówię ci, takim napalony, żebym szkołę wysadził. Weźmiesz mnie? Kurew ci szkoda?

Całą siłą pijanej woli wyrwałem mu się z ręki, a choć mnie mocno trzymał, jeszcze odepchnąłem go od siebie i rzuciłem się na drugą stronę jezdni po kostropatym bruku. Raz i drugi mną gibnęło, lecz na szczęście, może i od tego, rozwidniło mi się trochę w oczach.

– Co ty, Piotrek?! – gonił mnie jego zawiedziony głos. – Nie uciekaj, Piotrek! A co one, twoje?! – Nie biegł jednak za mną. W każdym razie nie słyszałem za sobą kroków. A w miarę jak się oddalałem, oddalał się i ten jego głos: – Każdy wie, że kurwy! A ty żeś kutas, nie kolega!

Zatrzymałem się dopiero przed Bramą Opatowską, a właściwie zatrzymało mnie, nie wiedzieć czemu, światło zawieszonej w Bramie u sklepienia kutej lampy. Chwilę się wahałem, czy nie odstąpić i nie pójść Browarną, nie tak dużo dalej było na Rybitwy, tylko że po kocich łbach i w zupełnych ciemnościach, bo nie paliła się tam żadna lampa. Uniosłem głowę ku wbitej w ciemne niebo koronie Bramy i przejście pod jej ogromną

wysokością wydało mi się prawie niemożliwe. Przyszło mi do głowy, że może tak przechodzi się na tamten świat, każdy oświetlony taką lampą, a może nawet dźwigający taką bramę na plecach? I strach mnie przeszył. Przypomniało mi się, jak wieźliśmy z dziadkiem Szmulów przez tę Bramę i Szmul spytał:

– Nie zawali się, Józefie? Ale przecież kiedyś się zawali, wieczna nie jest, bo nic nie jest. I po co się stawia takie bramy?

Na co zamyślona Sulka wyskoczyła jak osa z tego zamyślenia i odwracając się gwałtownie w moją stronę, aż rzucona grzywa jej rudych włosów przesłoniła na moment światło w Bramie, a konie kopytami zarwały o bruk, zaśmiała się drwiąco:

– Co tak chwiejesz się, paniczyk? Boisz się przejść? Złap się koła u wozu, przetoczy cię samo.

I dopiero za tym wozem ze Szmulami udało mi się niepostrzeżenie dla samego siebie przejść przez Bramę. Zacząłem nucić z cicha, tak mi się przynajmniej wydawało, tango: „Zamieńmy się ustami, ja tobie dam czerwone, rozwarte krzykiem szczęścia, płonące i spragnione”.

– Nie budź chorych, ty diable!

Rozejrzałem się chwiejnie, któż to do mnie mówi na tej puściutkiej ulicy, wśród murów kamienic i ciemności nocy, rozjaśnionej aby poświatą tej lampy w Bramie. Z szarej ściany wychylała się jakaś siwa głowa i to ona mnie karciła. Uprzytomniłem sobie, że znajduję się przed budynkiem szpitala Świętego Ducha, przywartym do kościoła pod tym samym wezwaniem, i to z drzwi szpitala wychyla się ta siwa głowa.

– Będzie się tu darł po nocy. Siurek! Idź spać, kiedy żeś się schlał!

– Tu w szpitalu umarł mój ojciec – wymamrotałem nieoczekiwanie dla samego siebie.

– I co z tego? – Siwa głowa zadygotała i wraz z ciałem wysz-ła z drzwi na chodnik. – Kupa ojców tu umarła i co dzień umierają.

– Ale mój był oficerem – nie wiem, czemu to powiedziałem.

– Phi – miauknęła lekceważąco siwa głowa. – Nie takie tu szarże umierały. Wynocha, bo zawołam pielęgniarza. Nad Wisłę idź się drzeć.

Nagle jedno z okien na piętrze ze zgrzytem się otwarło i zobaczyłem w nim trupią twarz. Wytrzeszczone oczy najwyraźniej spoglądały w dół, na mnie. Ta twarz podpięta była ciasno pod szyją kołnierzykiem oficerskiego munduru, zdobnym w srebrzyste zygzaki. Zazgrzytało następne okno i wychylił się już pełny mundur po pas, z rzędem srebrzystych guzików, z koalicyjką przez ramię i z taką samą trupią twarzą, osadzoną w ciasnym kołnierzyku. Zaczęły się jedno po drugim otwierać okna w całej szarej ścianie szpitala, pełne tych mundurów z trupimi twarzami w ciasnych kołnierzykach, i jakby w odzewie na moje śpiewanie popłynęło z wszystkich okien to samo tango: „Zamieńmy się ustami, ja tobie dam czerwone, rozwarte krzykiem szczęścia, płonące i spragnione”.

Najspieszniej, jak tylko potrafiłem, rzuciłem się w głąb ulicy, przed siebie. Choć mogło mi się tylko tak wydawać, bo nie czułem, żeby nogi odpychały mnie od bruku.

– Ty, nie masz papierosa?! – między słowami tanga dopadło mnie wołanie siwej głowy. – To pijesz, a nie palisz?! O, kurza jego, tak mi się chce palić! A do rana gdzie tam jeszcze, nim budkę otworzą.

Wtem nogi mi się poplątały, czy może zawadziłem o coś, i jak długi wywaliłem się na bruk. Próbowałem się natychmiast podnieść, ale bruk nie puszczał.

– Nie, siurek? – usłyszałem nad sobą głos tej siwej głowy. – Ale to się schlał. Daj, pomogę ci. – Chwycił mnie pod rękę, aż mnie cała strona ciała zabolała. – Sam byś grzebał się i grzebał. Jeszcze trochę rosy na bruk

spadło. Każdemu się wydaje, że ziemię podniesie, a jak przyjdzie co do czego, to się sam nie może podnieść.

Pomógł mi nie tylko wstać, ale jeszcze chwilę mnie potrzymał, póki jako tako nie złapałem równowagi.

– Z bliska nawet nie wyglądasz na chlajtusa i ładnieś ubrany. W twoim wieku nie musi się tak jeszcze pić. Byś posiedział tak na portierce dzień w dzień przez całe życie. Chodzisz do gimnazjum? A gdzie mieszkasz? To przez Rynek i koło sądu w dół. Będziesz pamiętał?

Miałem na tyle przytomności, że podziękowałem mu. Klepnął mnie życzliwie po plecach.

– Uważaj tylko, żebyś się znów nie przewrócił, bo kto cię podniesie? Noc, wszyscy śpią.

Starałem się jak najmniej zataczać, byłem bowiem pewny, że patrzy za mną, czy się znów nie wywrócę. Dotarłem na szczęście bez upadku do Rynku. Po ściśniętej murami ulicy Rynek wydał mi się bezkresną przestrzenią. Jeszcze na całej swojej szerokości łagodnym pochyleniem spadał ku brzegowi wzgórza, a nie zatrzymywał go nawet mur starych kamieniczek na tym brzegu. Zdawał się wychodzić dalej ponad ich dachami w przestrzeń nocy. A kilka mdłych lamp, palących się tu, tam, wokół, wydawało się gwiazdami w tej bezkresnej przestrzeni.

Poczułem się, jakby ta cała przestrzeń była we mnie, a nad nią władanie moje, że gdybym tylko chciał, mógłbym przechylić w odwrotną stronę Rynek lub na ten czy na tamten bok, mógłbym otworzyć go na wszystkie strony, a nawet rozłożywszy ręce, odbić się od bruku i wzlecieć ponad wysokość stojącego pośrodku Ratusza, ponad kogucika na czubku jego wieży, wskazującego kierunki wiatru, i stamtąd sfrunąć łagodnie na Rybitwy, pod same drzwi panien Ponckich. I zapukać, to ja, Piotr.

A nawet jeszcze śmielsza myśl mnie naszła, żeby wznieść się pod samo sklepienie tej przestrzeni i stać się aniołem. Byłem już aniołem, gdy w czasie wojny, na wsi u dziadków, chodziliśmy po kolędzie. Miałem lnianą nocną koszulę wujenki Jadwini na sobie, a skrzydła mi zrobił wujek Władek z gęsich piór. Wyznaczył mnie na anioła Fredek, bo nikt z chłopaków nie chciał.

– Ty będziesz, z miasta jesteś i włosy masz jak dziewucha. Anioły są bliżej dziewuch niż chłopów.

– Nasz Piotruś to jak prawadziwy aniołek – powiedziała w zachwyceniu wujenka Jadwinia, gdy mnie ubranego w ten anielski strój zobaczyła. – Złóż jeszcze, o, tak rączki, Piotruniu. – I pokazała mi, jak mam złożyć. – Prawdziwy aniołek. No, nie? I tak trzymaj, kiedy do kogoś wejdziecie.

– Tylko wódki nie pij, jakby was częstowali – upomniała mnie babka. – Herod może, śmierć może, diabeł i te inne mogą, ale aniołowi nie uchodzi. Placka zjedz czy kiełbasy, ale wódki, broń cię Boże.

– A tam jednego to i aniołowi nie zaszkodzi – rozgrzeszył mnie wujek Władek. – A kiedyś musi zacząć.

– Jakiego jednego? – rzuciła się matka. – Ja ci dam go namawiać. Albo zdejmuj te skrzydła, Piotrek, i nigdzie nie pójdziesz.

Źle mi szło się w dół, jeszcze wciąż mnie ta przestrzeń Rynku podrywała, a głowa jakby uciekała przede mną, przymuszając i ciało za sobą, tak że parę razy o mało się nie wywróciłem. Miałem wrażenie, że to Rynek tak mnie z tyłu pcha. Na dole stało kilka pustych kramów, czekających na poniedziałkowy targ, i zbita z desek obszerna trybuna, po pierwszomajowym święcie czekająca na niedalekie już lipcowe. Między jednym a drugim świętem nigdy jej nie rozbierano. Toteż była w tym okresie najbardziej gwarnym miejscem na Rynku. Za dnia baraszkowała na niej dzieciarnia i nie tylko z otaczających Rynek kamieniczek, lecz chyba

z całego miasta, tak że przypominała nieraz wielkie gniazdo w czas wylęgu. Za to przed zmierzchem zajmowały ją w swoje niepodzielne władanie już prawdziwe niebieskie ptaki. Roznosiły się wtedy stamtąd po Rynku najwymyślniejsze przekleństwa, czasem odgłosy bijatyk, a czasem śpiewania, grania na mandolinie, harmonii czy choćby organkach, i to do późnej nocy. W dzień targowy natomiast niczym wróble żerdkę obsiadały trybunę wiejskie baby z serkami, masłem, jajkami, śmietaną. Toteż gdy po lipcowym święcie trybunę rozbierano, robiło się na Rynku pusto i bezdomnie.

Nie wiem, co mnie skusiło, żeby wejść na trybunę. Chwyciłem się poręczy schodków i choć z trudem, ale jakoś się wygramoliłem, a potem trzymając się barierki, przesunąłem się na sam przód. Tu stanąłem pośrodku i ściskając barierkę z wszystkich sił w rękach, nieoczekiwanie dla samego siebie krzyknąłem na cały Rynek:

– Towarzyszki i towarzysze!

Chwilę się rozglądałem, jak to brzmi w tej przestrzeni, nocą, wobec wieków zaczajonych tu w każdej kamieniczce, w Ratuszu, a może i w bruku, i w tej nocy nad Rynkiem. Lecz w tej samej chwili zakręciło mi się w głowie, a ciało moje bezwładnie przechyliło się przez barierkę. I tak wisząc, coś dalej wykrzykiwałem, a właściwie mamrotałem:

– Nich żyje rewolucja! Wszystkie pary tańczą tango! Zamieńmy się ustami. Tu mnie nikt już nie uprzedzi. O, nie.

Wtem niedaleko aż huknęło:

– Hej, wy tam, nie rzygać z trybuny!

W poblasku lampy jak przez mgłę dojrzałem milicjanta. A właściwie dwóch i wcale mi się nie dwoiło, bo najwyraźniej mówili na dwa głosy, podbiegając ku mnie.

– Stać! Nie ruszać się! – pokrzykiwał jeden. – Sukinsynowi na trybunie się zachciało.

– Nie drzyj się tak. Stoi – uspokajał go drugi. – Nie widzisz, ledwo się barierki trzyma.

Wbiegli na trybunę i któryś położył mi rękę na ramieniu.

– Pokażcie twarz. – I próbował mnie siłą odwrócić ku sobie, lecz jeszcze mocniej wczepiłem się w barierkę, tak że nie dał rady mnie oderwać: – Cholernik, jak to się zaparł. Stawia opór władzy. Czekaj ty. – I ścisnął mnie jedną ręką pod brodę, a drugą złapał za pasek od spodni i mocnym ruchem prawie uniósł mnie nad trybunę. Miałem wrażenie, że tylko moje ręce zostały na barierce. Drugi wpakował mi latarkę w twarz.

– To gówniarz jeszcze – powiedział z odcieniem pogardy.

– W takim gówniarzu też się już pali – powiedział ten, który mnie trzymał. – I gdzieś się tak spił, co?

– Gdzieś na melinie musiał – powiedział ten drugi, ratując mnie w ten sposób od odpowiedzi, że w szkole, chociaż nie wiem, czybym im się przyznał, bo nawet to, że mnie mogą zabrać z sobą, nie budziło we mnie najmniejszego lęku.

– Byś tak moim synem był – powiedział już nie wiem który – rżnąłbym i solił. A ojciec kim jest?

Na szczęście ten z latarką odpowiedział za mnie:

– A pewnie siedzi. I nawet nie ma gówniarza kto przypilnować.

– A gdzie mieszkasz?

– Na Rybitwach – wymamrotałem.

– To ma niedaleko – powiedział jeden do drugiego. – Dać kopa w dupę i niech idzie.

Sprowadzili mnie z trybuny i w tej samej chwili silny kopniak wyrzucił mnie ponad Rynek, aż poszybowałem pod budynek sądu. A od sądu już siłą bezwładu stoczyłem się w dół, zatrzymując się dopiero tuż przed schodami prowadzącymi na Rybitwy. Chwyciłem się zresztą poręczy, bo kto wie, czybym nie stoczył się i dalej po tych schodach, być może, aż pod drzwi panien Ponckich. Stałem, kiwając się, i nie wypuszczałem tej poręczy z rąk. Wtem zrobiło mi się sennie i klapnąłem na pierwszym schodku.

Na Rybitwach już się nie paliło choćby najbledsze światełko, jakby to była nieprawda, że są tam domy i mieszkają ludzie, że my z matką tam mieszkamy. Zawalony ciemnością dół. Nie świeciło się także w oknach panien Ponckich. To mnie jednak ucieszyło, chociaż nie wiedziałem dlaczego. Pomyślałem, że pewnie śpią. I wyobraziłem sobie ich głowy na poduszkach, wśród pukli rozrzuconych włosów, zamknięte oczy w ich twarzach, białe ramiona wystające spod kołder. Sen ich nie był jednak głęboki, być może, czuwały, kiedy będę wracał z zabawy, bo oto Ewelina wystawiła stopę spod kołdry, zwieńczoną pomalowanymi na czerwono koniuszkami palców, a Róża dorodne, białe kolano. Potem jeszcze wyciągnęły ręce i położyły je na kołdrach, a potem spod tych kołder wysunęły się ich pełne ulgi piersi, które zajaśniały w tych ciemnościach niczym cztery lampy.

Chwyciłem za poręcz i podniosłem się. Trzymając się jej obiema rękami i wymacując w ciemnościach czubkiem stopy każdy schodek, zanim postawiłem całą stopę, zszedłem kilka schodków w dół. Lecz przed dalszym schodzeniem opuściła mnie odwaga. Wróciła mi jednak przytomność na tyle, że wyjąłem z kieszeni chusteczkę do nosa i rozścieliwszy ją sobie na schodku, znów klapnąłem.

Kręciło mi się w głowie, lecz już słabiej, przynajmniej ta ciemność w dole, która przywalała Rybitwy, stała w miejscu. Jednak niebo nad nią,

kiedy próbowałem podnieść głowę, zaczynało się obracać wokół jakiejś niewidzialej osi, a wraz z tym niebem, czułem, obracam się i ja. Jakkolwiek było równie ciemne co ta ciemność w dole, że nie rozróżniłby, na jakiej wysokości przebiegała granica między tymi dwiema ciemnościami.

To mnie sen morzył, to próbowałem sobie przypominać, jaka to była ta ostatnia bitwa, gdy odprowadziłem ostatni raz ojca do lekarza. A tego samego jeszcze dnia po południu zawiozłem go z panem Jaskółą do szpitala. Wyszła siostra na korytarz, rozejrzała się po czekających, a dostrzegłszy mnie, powiedziała:

– Ty nie czekaj. A jutro niech ktoś ojca odwiedzi.

Pod Waterloo? Nie. Pod Gaugamelą? Nie. Pod Savannah? Nie. Nad Marną? Na Kulikowym Polu? Nad Wisłą? Do tej ostatniej często wracał, i to przy byle okazji, jakby gdzieś tam jeszcze się toczyła nieskończona, nierozstrzygnięta. Nie była to zwykła bitwa, ale cud. Tak mówił, cud. A właściwie mówił, że tak o niej mówią, bo jako frontowy oficer nie wierzył w cuda. To tylko ludzie lubią rozporządzać Bogiem i mówią, cud. A kto nie był w takiej bitwie, ten nie może wiedzieć, jak taki cud wygląda. Zresztą dla tych, co zwyciężą, każda bitwa to cud. Każda z pomocą Boga jest wygrana. A przecież Bóg nie byłby Bogiem, gdyby chciał walczyć po którejś ze stron. Bóg nad każdą bitwą płacze. I czy wygrana, czy przegrana, dla Boga zawsze jest przegrana.

Toteż podejrzewałem go, że może nie był na froncie. Może w taborach, a tabory to nie było dla mnie wojsko. Albo na zapleczu w kancelarii siedział, gdzie ledwo huk dział dochodził, i wydawał na front tyle konserw, tyle chlebów, butów, pasów, onuc. Lub spisywał, ilu zabitych, ilu rannych każdego dnia i wysyłał do ojców, matek, żon, że na polu chwały, na polu chwały, na polu chwały. I pod każdym kładł swój podpis jak na przeznaczeniu. Ładny zresztą miał ten podpis, ostry, zamaszysty, niczym

zygzak okopu. Został jakiś list do matki jeszcze z czasów narzeczeństwa. Kochana Ty moja. Z takim właśnie podpisem jakby z któregoś z tych przeznaczeń.

Może pod Racławicami? Ale to przecież bitwa pacierz, nie mógłbym jej tak łatwo zapomnieć. Nawet u dziadków na wsi wisiał strażacki kalendarz z widoczkiem tej bitwy między miesiącami i dniami, ma się rozumieć, sprzed wojny jeszcze. Nie zdejmowano go jednak z powodu tej bitwy. I ciągle o tej bitwie mówiono, jakby dalej się toczyła. Wujek Władek, gdy go czasem jej wir porwał, zrywał się i ściskając wielką garść tuż przed tym jej widoczkiem, wyrzucał z zajadłością w głosie:

– O, bym tak sukinsynów wszystkich w garści ścisnął, toby tylko sok z nich poszedł i byśmy za jednym zamachem wygrali. A nie każdego kłuć osobno szpilką. Gdzie szpilką wykłuje takie mrowie?

– To nie szpilki, jucho. Kosy – wyjaśniał dziadek.

– I co z tego, że kosy? Przecież widzę, że kosy. Ale na takich sukinsynów, ojciec, to jak szpilki kosy.

– Szkoda, że nasi nie mieli wtedy czołgów, a choćby karabinów maszynowych – wtrącał wujek Stefan. – Prędzej by ich załatwili niż ty w tej swojej garści. I mielibyśmy dawno Polskę.

– Jak mogli mieć, kiedy nie było jeszcze wtedy czołgów ani karabinów maszynowych – obruszał się dziadek.

– Wiem przecież, że nie było. Ale szkoda.

I słuchając, jak się wujkowie spierają z dziadkiem o tę bitwę, zasnąłem.

9
Zabijcie i mnie, panowie!

Msza rozpoczęła się przed chwilą, tak że niewiele się spóźniły. W matce jednak na długo przed mszą, a prawdę powiedziawszy, gdyśmy tylko przyszli do kościoła i usiedli w rzędzie krzeseł ustawionych dla najbliższej rodziny przed trumną, już zaczął narastać niepokój, że ich nie ma. A im bliżej było do mszy, choć wpatrzona, jak przystało na wdowę, wciąż w trumnę, coraz częściej przechylając się ku mnie, szeptała z podnoszoną o jeden ton w kolejnym szepcie natarczywością:

– Obejrzyj się, czy ich nie ma. Spójrz, może już są. Nie patrzyłeś, przyjechały?

Kiedy ksiądz wyszedł z zakrystii, zrobiła nawet ruch głową, jakby sama miała zamiar się obejrzeć. Musieliśmy jednak powstać z miejsc i to ją powstrzymało. Usłyszałem tylko, jak z zawodem przemieliła w ustach ni to myśl, ni szept:

– Widać nie przyjadą. A obiecywały.

Ksiądz podszedł do mszału, gdy wyciągnęła z rękawa sukienki chusteczkę i ocierając łzy w oczach, znów się przechyliła ku mnie i dusząc słowa, żeby nie przekroczyć miary szeptu, spytała:

– Nie ma ich, nie widziałeś? – I dodała z goryczą: – To oszukanice.

Ksiądz odwrócił się na kościół i rozkładając jak skrzydełka ręce, zaintonował Dominus, gdy z tym Dominusem na ustach raptem znieruchomiał, a jego oczy skoczyły przez kościół aż pod chór, ku drzwiom. I jakby na komendę wszyscy obecni w kościele przenieśli za

księdzem oczy aż pod chór, ku drzwiom. I także w naszym rzędzie dziadkowie, wujenki, wujkowie, aż zrobiło się trochę rumoru od trzeszczących krzesełek. Myślałem więc, że i matka, idąc za oczami księdza, przynajmniej zerknie za siebie czy w najgorszym razie znów przechyli się ku mnie, szepcząc:

– Obejrzyj się, czy to one.

Lecz matka nieoczekiwanie pociągnęła mnie za rękaw, przykazując ostrym półszeptem:

– Nie oglądaj się. Rozumiesz? – I nieomal z zawziętością w oczach, jakby na przekór wszystkim, wpatrzyła się w trumnę z ojcem.

Nie mogłem jednak oprzeć się pokusie, po kryjomu przed nią obejrzałem się i aż mi dech zaparło:

– Mama – zdusiłem głos, żeby nie krzyknąć – panna Ewelina z panną Różą przyjechały. Są. A jaki wielki wieniec przywiozły.

Nie zrobiło to na matce najmniejszego wrażenia, w każdym razie tak się wydawało, a nawet zamaszyście przeżegnała się, jakby dając znak, że zatopiona jest w modlitwie i nie obchodzi ją, na kogo wszystkie oczy patrzą. Nachyliła się ku niej siedząca z drugiego boku wujenka Jadwinia, a zdziwienie aż rozsadzało jej szept:

– Cóż to za jedne?

– Takie jedne panie – rzuciła matka obojętnie, chociaż z wyczuwalnym w głosie cieniem dumy.

Ksiądz dokończył vobiscum i przekręcił się twarzą do ołtarza. Za to ludzie niechętnie odginali się i co rusz ktoś odwracał wzrok pod chór, ku drzwiom. W naszym rzędzie najczęściej wujek Władek, aż go w pewnej chwili dziadek skarcił:

– Nie oglądaj się. Patrz na trumnę.

Inna sprawa, że zrobiło się w tych drzwiach trochę zamieszania. A to przez wieniec, który był ogromny, aż pękaty od kwiatów i z szerokimi szarfami, na których już potem, gdy leżał u stóp trumny, przeczytałem: „Drogiemu i zacnemu sąsiadowi – Ewelina i Róża, pogrążone w żalu sąsiadki”. Ten wieniec najpierw pojawił się w drzwiach, zasłaniając całkowicie tego, kto go niósł. Mogłoby się wydawać, że sam bez nikogo przyszedł, to i sam przejdzie przez kościół i sam ułoży się u stóp trumny z ojcem. Lecz po chwili szamotania wycofał się i wtedy dopiero ukazały się w drzwiach panna Ewelina z panną Różą, które zapewne w obawie, aby nic się wieńcowi nie stało, jako że drzwi były tylko w połowie otwarte, osłaniając wyciągniętymi rękami gałązki, kwiatki, a także przeciągając na przód szarfy, wprowadziły wieniec do kościoła razem z zasłoniętym dorożkarzem, który, jak się okazało, ten wieniec niósł. Przyjechały bowiem dorożką, a spóźniły się, bo koło wpadło w wyrwę na drodze zrytej przez wojnę i resor pękł, toteż nie dało się już konia popędzić i jechały noga za nogą. W dodatku prawie całą drogę przekrzywione na bok, aż ich głowy rozbolały, tak że szczęście, że w ogóle dojechały.

Dorożkarz był niedużego wzrostu, więc, być może, tylko przy nim ten wieniec wydawał się taki ogromny, jakkolwiek nie to było przyczyną, że szedł z tym wieńcem przez kościół prawie po omacku. Po pierwsze, kazały mu ten wieniec nieść wysoko przed sobą, tak że wystawały mu spod niego tylko buty do pół cholew. A po drugie, w gęstwinie jedliny i kwiatów trudno byłoby mu znaleźć jakiś prześwit na oczy. Co prawda, prowadziły go pod łokcie, z jednej strony panna Ewelina, z drugiej Róża, niosąc w drugich rękach końce szarf, lecz i tak niepewnie ciągnął nogi, co najlepiej świadczyło, że idzie po omacku. Musiał także buty mieć podbite gwoździami, bo wydawał stuk, jakby po wojskowemu przybijał do posadzki.

Za to panna Ewelina z panną Różą szły prawie bezszelestnie, chyba nawet ciszej, niż kiedy stąpały w kapciach po suficie nad naszymi głowami. I wolniutko, nie spiesząc się, a pewnie i powstrzymując prowadzonego pod łokcie dorożkarza. Widać było, że starają się dopasować kroki do powagi śmierci ojca, jakkolwiek dorożkarz przybijając, trochę tę powagę mącił. Podeszły do trumny, dorożkarz wsparł wieniec o katafalk i wreszcie się odsłonił. Zaraz go jednak odesłały na tył kościoła, a same z równą powagą, z jaką szły z tym wieńcem przez kościół, wygładziły gałązki, kwiaty, rozpostarły szarfy, tak żeby unaocznił się ów napis z „drogim i zacnym sąsiadem” na jednej szarfie i „pogrążonymi w żalu sąsiadkami” na drugiej. Po czym też chciały się wycofać. Lecz matka wskazała im ruchem ręki miejsca obok siebie, Ewelinie z lewej, Róży z prawej strony, jednocześnie odsuwając na dalsze krzesełka mnie i wujenkę Jadwinię. Być może, z powodu tego wieńca z jej zawzięcie wpatrzonych w trumnę oczu zaczęły spływać gęste łzy, co mogłoby świadczyć, że nie chciała płakać, a tylko przybycie panien Ponckich, których już się nie spodziewała, w dodatku z tym ogromnym wieńcem, tak ją rozczuliło. Tym bardziej że był to jedyny wieniec, jaki ojciec dostał, nie mówiąc już, że takiego wieńca pewnie nikt tu jeszcze nie widział jak cmentarz cmentarzem i na żadnym pogrzebie.

Zresztą we mnie też pomieszał się żal za ojcem z dumą z powodu tego wieńca, no, a przede wszystkim z powodu przyjazdu panien Ponckich. Wydawało mi się wręcz nierzeczywiste, że siedziały między nami przy tej trumnie, takie same smutne jak my wszyscy, i kiedyśmy wstawali, wstawały jak my, jak i my klękały, jak i my biły się w piersi, żegnały, szeptały pacierze. Myślałem o nich nieomal jak o świętych, które zeszły z obrazów na ścianach kościoła, żeby wywyższyć tę śmierć ojca, jak to nieraz czyjąś śmierć się wywyższa, dodając do jednego księdza drugiego, nieraz i trzeciego, a nieraz i biskupa. Zwłaszcza że ubrane były najsmutniej

ze wszystkich. Caluśkie na czarno, w czarnych sukniach, w czarnych kapeluszach z czarnymi woalkami zakrywającymi im twarze, w czarnych pantoflach, pończochach, rękawiczkach aż po same łokcie i z niedużymi czarnymi torebkami w rękach. Z tych torebek od czasu do czasu to jedna, to druga wyjmowały bieluśkie chusteczki i wkładając je pod woalki, ocierały najpewniej łzy, bo tych łez nie było widać. Wszystkim jakieś łzy skapywały po twarzach, wujenkom, wujkom, dziadkom, nie mówiąc już o matce, rzadsze, gęściejsze, ale widać było, że to łzy, a one tylko te bieluśkie chusteczki wkładały pod woalki jak pod jakieś kratki.

Zapragnąłem w pewnej chwili zobaczyć te ich łzy pod tymi woalkami i wyobraziłem sobie, że muszą być jak ziarno dorodne, w przeciwieństwie do łez wujenek, wujków, dziadków czy choćby matki, którzy płakali zwyczajnymi łzami i takimi samymi jak zawsze, niezależnie od przyczyny. Pomyślałem, że widocznie łzy łzom są nierówne, a te najboleściwsze muszą być zakryte czarnymi woalkami i wycierane bieluśkimi chusteczkami, bo co boli naprawdę, nie może być tak zwyczajnie na wierzchu, jak nos, uszy, oczy, włosy.

Ludzie wciąż popatrywali w naszą stronę, choć nie na nas, bo co tam w nas mogli widzieć. Czasem czułem, jak ich oczy niby mrówki przełażą z panny Róży, siedzącej tuż obok, na mnie i robiło mi się aż swędząco, że gdyby nie żal za ojcem, zacząłbym się drapać. I także ksiądz, przechodząc ze strony na stronę ołtarza, czy do mszału, czy do kielicha, a już zawsze, gdy odwracał się na kościół, musiał choćby przez okamgnienie spojrzeć na pannę Różę czy pannę Ewelinę. Być może i jego naszły wątpliwości, czy nie są to jakieś święte, bo jakkolwiek chował tu różnych i na dziesiątki, setki, a takich zjaw jeszcze na niczyim pogrzebie nie widział. A kiedy czytał Ewangelię, to już prawie znad każdego słowa wzrok kierował ku nim, jakby to o nich była Ewangelia, chociaż była o tych, którzy wejdą lub

nie wejdą do Królestwa Niebieskiego. A podczas komunii, do której wraz z nami przystąpiły i one, wyraźnie ręka mu się trzęsła, kiedy wkładał białe płatki pod te ich lekko uchylone woalki. Bo mnie położył zwyczajnie na języku, aż od razu cały płatek przylepił mi się do podniebienia. Panna Róża klęczała obok mnie, więc widziałem, jak zbliżał i zbliżał ten płatek do jej ust w trzęsącej się ręce.

Potem gdy okadzał po mszy trumnę z ojcem, aż dwa razy majtnął kadzielnicą w stronę Eweliny i Róży. I podobnie kiedy na cmentarzu okrapiał trumnę święconą wodą, okropiwszy i ludzi, nad Eweliną i Różą najwyraźniej trochę dłużej przytrzymał kropidło. Schodziliśmy z cmentarza po pogrzebie, to usłyszałem, jak Ewelina szepnęła do Róży, a szedłem tuż za nimi:

– Ależ to nas ksiądz zmoczył, zmoczył. – I zaśmiały się z cicha pod tymi woalkami, a Róża spłoszona, że ktoś mógł usłyszeć, obejrzawszy się, z ulgą powiedziała: – To tylko Piotruś idzie za nami.

I wzięły mnie zaraz między siebie, i Róża pogładziła mnie po włosach, a Ewelina powiedziała:

– Musisz teraz być mężczyzną, Piotrusiu.

Żałowałem, że ojciec tego wszystkiego nie widzi, może też poczułby się dumny, że ma taki pogrzeb. Co prawda, nie darzył panien Ponckich serdecznością, a czasem wypominał matce, że z nimi przestaje, lecz kto wie, czy po tym pogrzebie nie zmieniłby zdania. Bo nie tylko ten wieniec mu przywiozły, lecz pożyczyły matce, o czym też nie wiedział, na trumnę i na pogrzeb, tak że nie musiałby się martwić, skąd matka na to weźmie.

Bo tym się najbardziej martwił, gdy go matka odwiedziła tego ostatniego dnia w szpitalu. Próbowała go pocieszać, że nie wygląda wcale źle, że na pewno mu w szpitalu pomogą, że jeszcze nieraz wybiorą się do

kina, a dostanie posadę, to zmienią i mieszkanie, będą gości przyjmować, w goście chodzić, lecz kiedy tych pocieszeń jej wysłuchał, rzekł tylko:

– Skąd ty weźmiesz na mój pogrzeb, na trumnę? Dobrze, że garnitur chociaż mam. – I z tym zmartwieniem umarł.

Tak naprawdę to jedynie przez to jego zmartwienie odczułem tę śmierć. Kiedy stałem w kościele czy potem na cmentarzu przed jego trumną, nie mogłem pozbyć się przekonania, że on wciąż się martwi, skąd matka weźmie na pogrzeb, na trumnę. A najgorsze, że nie mogłem mu powiedzieć, że nam panny Ponckie pożyczyły, niech się już nie martwi, oddamy, jak będziemy mieli, tak matce powiedziały. I jakkolwiek, co zrozumiałe, z każdym rokiem wyrastałem z tej jego śmierci, oddalając się i pamięcią coraz bardziej od niej, nie mogłem się już nigdy pozbyć tamtego przekonania, że on wciąż się martwi, skąd matka weźmie na pogrzeb, na trumnę. A nawet odczuwałem coś takiego, jakby to zmartwienie nie pozwalało mu tak naprawdę umrzeć już na zawsze. Stało się ono jakby moim zmartwieniem. A chociaż po latach i matka umarła, nieraz mnie to zmartwienie jeszcze nawiedzało, skąd matka weźmie na ten pogrzeb i tę trumnę. I nie zmieniło mojego przekonania nawet to, że już dawno oddaliśmy pannom Ponckim, co nam na ten jego pogrzeb i tę trumnę pożyczyły.

Nie, to nie była niezgoda na jego śmierć, raczej ułomność wyobraźni wobec czegoś takiego jak śmierć. Bo tak samo wyrzucałem sobie, co było już zupełnie nie do usprawiedliwienia, że tego ostatniego dnia, kiedy matka odwiedziła go w szpitalu z rana, a mnie wysłała do niego z kocem i krupnikiem po południu, nie wspomniałem mu ani słowem o tym wieńcu, który panny Ponckie mu przywiozły na jego pogrzeb. Na pewno by się ucieszył, tym bardziej że nie spodziewał się żadnego wieńca. Miałem poczucie, jakbym ten wieniec naumyślnie przed nim zataił, wiedząc, że

byłby się ucieszył. Może chciałem mu się odpłacić, nie za to, że umarł, ale że tak skrycie, nie wspominając ani słowem, że to już ostatnie jego chwile, kiedy mu przyniosłem ten koc i krupnik. A sam nie potrafiłem się domyślić.

Co prawda, byłem trochę zły na niego, bo akurat miałem iść po południu na ryby nad Wisłę wypróbować nową wędkę z trójramiennym haczykiem na szczupaki. Nałapałem sobie przedtem nawet parę kiełbi na żywca i bałem się, że mi zdechną. Do tego gdy wszedłem do sali, nie raczył się choćby odezwać, tu jestem, tylko musiałem go szukać oczyma pośród kilkunastu takich samych łóżek, takich samych głów wystających z pościeli niczym kamienie spod śniegu. A znajdź tu swój kamień w takiej rozległej bieli śniegu, im dłużej go wypatrujesz, tym bardziej ci się w oczach biało robi.

Stałem z tym kocem i krupnikiem przy drzwiach i bałem się dać kroku w tę biel. Aż dopiero z najbliższego łóżka jeden z tych kamieni spytał:

– Ty do kogo?

– Ojciec tu mój leży – powiedziałem.

– Tu wszyscyśmy ojcowie – powiedział. – A kiedy go przywieźli?

– Wczoraj – powiedziałem i poczułem, że serce mi stanęło.

– To tam jest. – Wyciągnął spod tego śniegu rękę i wskazał na łóżko pod oknem, w rogu sali.

Myślałem, że śpi, bo gdy podszedłem do niego, jakoś tak chrapliwie oddychał, jak kiedy się coś niedobrego śni, i oczy miał całkiem przymknięte. Stałem nad nim chwilę, zanim oczy otworzył i bez najmniejszego zdziwienia powiedział, a właściwie wyszeptał:

– To ty. – I spojrzał w jedną stronę sali, w drugą i tak samo wyszeptał: – To mój syn.

Ale żaden, nawet z tych najbliższych, po sąsiedzku leżących kamieni nie wydusił z siebie choćby słowa czy uśmiechu. Patrzyli wszyscy jak

ślepcy, a może nawet nie wiedzieli, że patrzą. Tylko z najdalszego łóżka jakiś kamień spod śniegu powiedział:

– U mnie też był wczoraj syn.

Rzuciłem mu ten koc na nogi, krupnik postawiłem na szafce obok jego głowy.

– Mama powiedziała, żeby tata zaraz zjadł, póki nie wystygnie, i garnek mam zabrać – powiedziałem z pośpiechem w głosie.

– Zjem potem – wyszeptał. – Siądź sobie, o tu, na łóżku, przy mnie – wymuszał słowa, jedno od drugiego odległe, poprzez ten chrapliwy oddech, zapadając się między słowem a słowem w przepaść. I, być może, te odległe coraz bardziej od siebie słowa były jedynym znakiem, że umiera.

Zresztą gdy go prowadziłem do lekarza, już po paru schodkach oddech robił mu się tak samo chrapliwy i łapiąc powietrze, tylko te dwa słowa wymawiał, odpocznijmy trochę, a jedno od drugiego było tak samo odległe i z każdym tak samo zapadał się w przepaść. Lecz już za chwilę, odwróciwszy się od poręczy ku tej rozległej równinie, wyciągał ku niej rękę i zaczynał mi opowiadać jakąś bitwę.

Wyszeptał:

– Spieszy ci się?

– Nie – wydusiłem z siebie, lecz nie mogłem się powstrzymać, żeby nie dodać: – Miałem tylko iść na ryby.

– To pójdziesz – powiedział. – A powiedz mi, co ci pan zadał?

– E, nic – wystękałem.

– Nic? – zdziwił się między tymi zatykającymi go oddechami. – Musiał ci coś zadać – wymuszał słowa z coraz większymi przerwami, toteż każde jakby szpikulcem zagłębiało się we mnie.

– O deszczu – wyrzuciłem, jakbym chciał powiedzieć: – Nie kłuj mnie.

– O deszczu? – kłuł mnie jednak dalej spoza tego chrapliwego oddechu. – A co o deszczu?

– Jaki mamy pożytek – powiedziałem.

– Pożytek z deszczu – powtórzył, lecz bardziej w swoich myślach niż na głos. Po czym najwyraźniej zmęczony rzucił: – To idź już. I zabierz ten krupnik i koc. Nie chce mi się jeść. I przeproś matkę.

Na cmentarzu panny Ponckie wyglądały jeszcze ładniej niż w kościele. Może dlatego że pełno było wokół słońca. I tak naprawdę dopiero na cmentarzu, w tym słońcu, objawiły się w pełni. Bo w kościelnym półmroku były tylko czarne, a na cmentarzu okazało się, że mają obie inne suknie, inne pantofle, inne kapelusze, a nawet te woalki na twarzach każda w inne wzory. I choć dalej były czarne, ta czerń świeciła różnymi kolorami na nich.

W dodatku było tuż po wojnie, a ślady tej wojny znać było i na cmentarzu, tu krzyż przetrącony, tam Pan Jezus poszczerbiony, tam wyrwa w grobowcu, lej w ścieżce, no, i wszyscy byle jak ubrani, dziadek mimo lata w wojłokowych butach, wujek Władek w połatanych na kolanach spodniach, więc tym bardziej panny Ponckie sprawiały wrażenie, jakby sfrunęły z nieba prosto w nasz smutek i ból.

Ksiądz, zajęty przecież przenoszeniem ojca do wieczności, raz po raz rzucał na nie wzrokiem. I kto wie, czy to nie ich obecność sprawiła, że wygłosił nad ojcem egzortę, choć nie zamawiała matka, bo nie miała już za co. Gdy ojca pokropił, okadził, położył na jego trumnie grudkę ziemi na ostatek i wydawało się, że sobie pójdzie, nieoczekiwanie wzniósł oczy ku niebu i wyrzucił głosem nabrzmiałym rozpaczą:

– Żal serce ściska, gdy przychodzi nam żegnać na wieczność kogoś z naszych braci lub sióstr.

Matka aż wstrzymała w oczach łzy, które cały czas jej płynęły, i spojrzała z przerażeniem na niego, jakby chciała krzyknąć, żeby przestał,

nie ma przecież za co, już mu to mówiła, a jałmużny nie chce. Lecz widocznie uznała, że tej jego rozpaczy nie da się już zatrzymać, bo to jakaś głębsza rozpacz i nie z powodu ojca, zwłaszcza że za pierwszym zdaniem płynęły już następne i następne, wznosząc coraz wyżej i wyżej tę rozpacz od ziemi ku niebu, więc i ona puściła na powrót te zatrzymane łzy z oczu. Zresztą wszyscy się rozpłakiwali, w miarę jak ksiądz mówił. Nie tylko dziadkowie, wujenki, wujkowie, lecz kto tylko był na cmentarzu, jeśli nawet jedynie ciekawość go na ten pogrzeb przywiodła. Bo słowa księdza tchnęły taką mocą, jaką nadaje słowom tylko rozpacz, że gdy nawet komuś łzy czaiły się jedynie w oczach, puszczał je, żeby płynęły.

Czułem jednak, że prawdziwie płacze tylko matka, a nie jedynie dlatego że nie może pogodzić się ze śmiercią ojca, lecz jeszcze dręczy ją pytanie, jak tu teraz żyć? Bo jeśli o mnie chodziło, nie byłem taki pewny, czy łzy, które płynęły mi z oczu, to prawdziwy płacz, czy też płaczę podobnie jak wszyscy, bo wypada na pogrzebie ojca płakać. Robiła mi nawet matka potem wymówki, że płakałem, jakbym wcale nie płakał, aby mi się czasem łzy w oczach pokazały, ale to pojedyncze i kapeńki, widziała, choć płakała, a tak to się więcej rozglądałem, niż płakałem. Z tyłu to by wcale nie poznał, czy płaczę.

Kto wie, czy nie miała racji, bo czułem coś takiego, że gdybym potrafił, wciągałbym z powrotem w siebie łzy czy, jak mi wyrzucała, te kapeńki, żeby także z przodu nikt nie poznał, że płaczę. I zazdrościłem pannie Ewelinie i pannie Róży, że mają te czarne woalki na twarzach. Wyobraziłem sobie nawet, że i ja mam taką samą woalkę, upiętą u szczytu czoła i spadającą mi tuż za nos, spoza której rozglądam się dookoła, a wszystkim i tak się wydaje, że płaczę. A jeszcze mnie ta woalka niczym sierścią króliczą muska po twarzy. Toteż matka w pewnej chwili pochyliła się ku mnie i syknęła ze zgorszeniem w głosie:

– Gdzie patrzysz? Płacz.

Bo patrzyłem właśnie na grób burmistrza, będąc pewny, że mnie ta woalka ukrywa. Zresztą sam ściągnął mój wzrok. I nie dlatego że stał zaledwie parę grobów dalej od grobu ojca, lecz był najokazalszym grobem na cmentarzu i chcąc nie chcąc ściągał zawsze wzrok. Otoczony grubymi, kutymi łańcuchami, spływającymi z czterech narożnych słupków, i oddzielony od najbliższych grobów wolną przestrzenią, sprawiał w dodatku wrażenie, że stoi na osobności. Mówiono też, że stoi w samym środku cmentarza, a nawet że wyznacza ten środek. Jakkolwiek cmentarz długo nie był ogrodzony czy choćby odorany od przylegających doń pól, podobno od grobu burmistrza do każdego z czterech brzegów cmentarza było w prostej linii tyle samo kroków i tak samo do każdego z czterech jego rogów.

Tak się bowiem złożyło, że kiedy burmistrza chowano, było wszystkiego kilkanaście grobów na cmentarzu, jako że parafię ustanowiono dopiero tuż przed wybuchem wojny. Kościół wybudowano nieduży i w pośpiechu, aby tę parafię jedynie na razie zaświadczyć, póki się większego nie wybuduje. Natomiast z cmentarzem ciągnęło się i ciągnęło. Był, co prawda, kawał pola za kościołem obiecany przez dziedzica na cmentarz z jego znajdujących się tu wszędzie pól, lecz dokładnie jeszcze nie wyznaczony, tak że chowano dalej nieboszczyków na cmentarzu w dawnej parafii. Jedynie od północnej strony w sposób naturalny granicę cmentarza wyznaczała Głęboka Droga, była to bowiem jedyna droga prowadząca do pól dziedzica, no, i kościół stał właśnie po tej jej stronie. Poza tym nic nie było wiadomo, odkąd dokąd ma ten cmentarz sięgać, ani na długość, ani na szerokość, ani w głąb tych dziedzicowych pól. Zwłaszcza że dziedzic wszystkie pola dalej obsiewał razem z tym obiecanym cmentarzem, razem z tym cmentarzem kosił, orał i znowu obsiewał, tyle że na przemian to

pszenicą, jęczmieniem, łubinem, lucerną, i podobno wciąż nie mógł się zdecydować, czy cmentarz ma być bliżej kościoła, czy dalej, z tego krańca, czy z tamtego jego rozległych pól.

Niektórzy mówili, jakoby mu wciąż było szkoda, mimo że obiecał, takiej ziemi na cmentarz, bo ziemia tu rzeczywiście była żyzna, lessowa, jak masło. Pszenica urosła, to wysokiemu nawet chłopu pod oczy, jęczmień też niedużo mniejszy, lucerna jak gąszcz, łubin niczym dywan. I teraz zamiast pszenicy, jęczmienia, lucerny, łubinu groby? A będą ludzie marli, jak mrą, to przecież te groby wyjdą kiedyś z cmentarza i pójdą dalej w pola, bo gdzie? I będą tak iść i iść, aż wszystko pole dziedzicowi zajmą. Dla grobów nie ma, czyje pole, chłopskie czy dziedzica, a przecież nie będzie dziedzic z grobami się prawował, że to jego pole.

Inni znów mówili, że dawno już dziedzic wyznaczył ten cmentarz, tylko trzyma w tajemnicy, aż sam będzie umierał, bo chce być pierwszy pochowany, żeby od niego cmentarz się zaczynał, skoro pole jego. Próbowano nawet odgadywać tę tajemnicę, kierując się jedynym tu drzewem, stojącym nad Głęboką Drogą, a chociaż tym drzewem był dąb, nie zdołano jej odgadnąć, bo dla jednych ten dąb miał wyznaczać lewy brzeg cmentarza, dla innych prawy, a dla innych tylko wszystko mylił, bo tajemnicy nawet dąb nie zdradzi, zwłaszcza że i dąb był dziedzica.

Namawiali niektórzy księdza, żeby chociaż poświęcił tę ziemię, cóż z tego, że niewyznaczoną, to może prędzej dziedzic wyznaczy. Ksiądz jednak nie chciał się zgodzić i trudno było mu się dziwić, bo co miałby poświęcić, pszenicę, jęczmień, lucernę, łubin, a choćby i zaorane pole, gdy po żniwach zaorali? Kiedy święci się ziemię pod cmentarz, trzeba wiedzieć, gdzie jej brzegi, bo to jakby wydzielał z tego świata kawałek i przeznaczał na tamten świat.

Aż któregoś dnia latem, wczesnym popołudniem, gruchnęła po wsi wieść, że zastrzelili Niemcy partyzanta w Głębokiej Drodze. Widziano, jak go wieźli zakutego w otwartym samochodzie, ich było dwóch i kierowca, a on między nimi na tylnym siedzeniu. Musiał przeczuwać, że go na śmierć wiozą, bo wyrywał im się, szarpał, bił ich tymi kajdankami, jednemu aż czapka spadła na drogę, lecz nie zatrzymali się po tę czapkę, tak im się spieszyło, żeby go zastrzelić.

Podniósł tę czapkę z drogi ktoś ze wsi i zaniósł do gminy, ale w gminie nie chcieli jej przyjąć, tylko kazali mu zanieść na posterunek. Bał się jednak iść na posterunek, że go mogą jeszcze aresztować albo i zastrzelić, no, bo niech mu nie uwierzą, że ją z drogi podniósł? Nie uwierzyć zawsze mogą, to i wszystko mogą. Aż w końcu wbił kołek tuż przy drodze, w miejscu, gdzie ta czapka spadła, i na tym kołku ją powiesił, daszkiem ku drodze, i nawet z lekka w niebo ją zadarł, żeby w razie czego wyglądała na uszanowaną. Wisiała na tym kołku kilka dni, niektórzy omijali ją, niektórzy przystawali, próbując odgadnąć, jakiej jest szarży, jedni tę szarżę podbijali, inni obniżali, z czego wynikało, że i ten partyzant nie był byle kto. Na szczęście którejś nocy razem z kołkiem czapka znikła.

Musiało im się i w drodze powrotnej bardzo spieszyć, bo niczym błyskawica przelecieli przez wieś, ciągnąc za sobą tuman kurzu, a choć ich ten kurz nakrywał, widziano, że jeden był z gołą głową, lecz nie zatrzymali się, żeby przynajmniej o tę czapkę spytać, czy ktoś znalazł.

Mówiono, że jechali do lasu tego partyzanta zastrzelić, zwłaszcza że w lesie był już jeden grób z kilkudziesięcioma zastrzelonymi zaraz na początku wojny i parę pojedynczych z zastrzelonymi w następnych latach. Wszystkie ślady, ma się rozumieć, równali zaraz z ziemią, a nawet darnią pokrywali, lecz ludzie potem szli i usypywali groby, wstawiali krzyże, zanosili kwiaty, palili świeczki, no, i mówiło się zawsze, groby. Wjechali

w Głęboką Drogę, tak że do lasu mieli już z kilometr, ale zaczął ich podobno kąsać i nie dało się go dalej wieźć.

Pierwszy raz widziałem zastrzelonego. Zdziwiło mnie, że tak zwyczajnie wygląda, jakby umarł, bo nawet czerwona plamka, którą miał pośrodku czoła, wydawała się, jakby sobie wiśnią tylko tak upaprał. Był blady jak to zwykle umarły i leżał tak samo na wznak, i oczy miał zamknięte, jakby ktoś mu już po śmierci zamknął. I nawet ręce, skute tymi kajdankami, ułożone miał na brzuchu, jak się zmarłym po śmierci układa i splata. Dziwne się wydawało, że mu zostawili te kajdanki na rękach, już zastrzelonemu. Ale może dopiero wtedy przestraszyli się go i chcieli jak najszybciej od niego odjechać? Dlatego też zapomnieli i o tę czapkę się spytać, gdy wracali, tak ich ten strach gnał. A ten, którego ta czapka była, może z tego strachu nawet nie czuł, że jest z gołą głową?

Ludzi ze wsi też ogarnął strach, bo gdy można było mieć już pewność, że tamci nie wrócą, gdzieś tak z pierwszym zmierzchem wysłano najpierw do Głębokiej Drogi starego Kowalika na zwiad. Stary Kowalik był rzeczywiście bardzo stary, miał prawie sto lat i nikogo z rodziny, a jedynie psa, kota, takich samych starych jak on. I dopiero gdy stary Kowalik, przetarłszy drogę, wrócił do wsi i oznajmił, że nikogo nie ma prócz zastrzelonego, poszedł ten i ów, na wszelki wypadek skradając się od strony pól, od tych wysokich brzegów drogi, obrośniętych leszczynami, jałowcami, tarninami, głogami, w których można było jeszcze przycupnąć i pośledzić, czy rzeczywiście nikogo już nie ma, prócz tego zastrzelonego.

Byłbym może nie poszedł, ale Fredek z chłopakami mnie wyciągnęli, z tym że Fredek poszedł pierwszy, a my za nim, i to w sporej odległości. Stało już tam, przy zastrzelonym, paru chłopów i ciągle ktoś nowy przybywał, spuszczając się z jednego czy drugiego brzegu drogi, z tych leszczyn, jałowców, tarnin, głogów, i każdy z pytaniem, nie ma ich? Stary

Kowalik wodził rej wśród zgromadzonych i każdemu z nowo przybyłych w kółko opowiadał, co zobaczył, jak tu przyszedł na zwiad, z czego wynikało, że to samo co i teraz było widać. Nikt mu jednek nie przerywał, a nie dlatego że był stary i że przyszedł tu pierwszy, lecz wszystkich trapiło, co z tym zastrzelonym zrobić. Aż dopiero Fredek nie wytrzymał i przerywając Kowalikowi, wyrzucił na wierzch to strapienie wszystkich:

– Nie pieprzcie już. O, trzeba pomyśleć, co z nim zrobić. Nie będzie tak na wierzchu leżał.

Rozsierdził się stary Kowalik, aż chciał Fredka laską bić, a być może, nie dlatego że mu Fredek odebrał całe to pierwszeństwo przyjścia tutaj, lecz kto wie, czy nie coś znacznie ważniejszego. Bo też gdyby nie stary Kowalik, któż oswoiłby tę przywiezioną tutaj obcą przecież śmierć, która była tak całkiem inna od tutejszej, że niezrozumiała aż się wydawała.

– Ty zaprzańcze! Ty psie nasienie! – pienił się Kowalik, wymachując laską ku Fredkowi, lecz nie mógł w żaden sposób Fredka dostać, bo co postąpił krok, to Fredek odskakiwał na dwa kroki. – Mnie nad grobem będziesz gadał, nie pieprzcie?! Smarki ci pod nosem wiszą! Ty gówno śmierdzące!

I może nie tyle w obronie Fredka, co żeby uspokoić starego, bo jakże to nad zastrzelonym tak złorzeczyć, któryś z chłopów powiedział:

– Nie złośćcie się, Macieju, trzeba przecież coś z nim zrobić. Nie będzie tu tak leżał.

– Ale co on, gówniarz, szczyl, do mnie? – Zasapany kłuł już tylko laską w ziemię i głos mu się łamał, jakby dużo za dużo na te swoje sto lat słów powiedział naraz.

– Ano, gówniarz – ktoś potaknął – ale i gówniarz czasem powie, co trzeba.

A ktoś inny dorzucił:

– A co trzeba? Trzeba go pochować. Tylko gdzie?

A ktoś na to, jakby dając upust bezradności wszystkich zgromadzonych:

– Zastrzelili go, ale pochować, to sukinsyny dupę w troki i pojechali.

Zapadło jakieś pulsujące milczenie, jakby każdy osobno zaczął dumać, co tu zrobić. W górze nad wysokimi brzegami drogi zachodzące słońce jeszcze rozświetlało ziemię, ale tutaj, w dole, zmierzch już słał się coraz gęściej i coraz chłodniejszy. Miało się wrażenie, że wszyscy porobili się grubsi, wyżsi, jakby to ten zmierzch tak każdego pootulał, każdemu ponaddawał i nawet stuletni Kowalik, wiór już, a urósł, zmężniał, chyba i odmłodniał w tym zmierzchu.

Najgęściej jednak pokryła się tym zmierzchem twarz zastrzelonego, może dlatego że przy samej ziemi czy też stojący wokół ludzie pokrywali go i swoim zmierzchem, w każdym razie prawie już nie było widać tej rozgniecionej na jego czole wiśni. W końcu ktoś powiedział ni to sam do siebie, ni do innych:

– Pochować by go, ale nie ma nawet łopaty.

A ktoś na to:

– Łopatę by się poszło i przyniosło, tylko gdzie?

Znów zapadło to pulsujące milczenie i gdy się wydawało, że tak będą w tym milczeniu stać nie wiadomo dokąd, odezwał się Fredek:

– A gdzie? A tam. – I wskazał ręką w górę, na wysoki brzeg drogi. – Ma być przecież cmentarz.

– A bo to wiadomo, gdzie ma być? – ktoś się zawahał. – Jeszcze dziedzic się nie namyślili.

– Pochowamy go, to się namyślą – rzucił Fredek hardo. – I od niego potem będzie szło, tak jak ludzie będą marli.

– A jak dziedzic potem powie, że nie stąd, tylko stamtąd? – ktoś powsiadł na Fredka. – Będziesz tu się mądrzył, gówniarzu, a on zostanie

w polu. Póki co, jeszcze dziedzicowe pole.

– Już nie będzie wtedy dziedzicowe. Najwyżej może nam nadmuchać – nie przeląkł się Fredek i dziedzica.

– Ale tam pszenica – ktoś aż się zapienił. – Mają dopiero po niedzieli kosić.

– To nie skoszą – zaperzył się Fredek. – A wy bójta się dalej, to wam dziedzic umrzeć nie da, bo się jeszcze nie namyślił. Dziedzic, dziedzic – zaszczekał z pogardą, czym rozsierdził chłopów, że któryś nawet rzucił się ku Fredkowi.

– Poszedł won, ty najduchu! Widać cię za mało jeszcze ojciec pierze!

Nieoczekiwanie jednak wziął w obronę Fredka stuletni Kowalik:

– O, Freduś to ma głowę – odezwał się głosem nabrzmiałym uznaniem, a nawet czułością dla Fredka. – Ma głowę. – W tym głosie nie odnalazłby ani śladu niedawnej jeszcze złości na Fredka. I stuknąwszy laską w ziemię, powiedział: – I bunt ma. Bo głowa bez buntu, to jak buda bez psa. Choćby najmądrzejsza. Dzięki Fredusiowi będziemy mieli wreszcie cmentarz. Panie Boże, zapłać mu. Nie trzeba będzie składać kości w obcej wsi i taki kawał od chałupy.

Chłopom nieswojo się zrobiło po tych słowach Kowalika. W górze, nad brzegami drogi, już resztki poświaty wygasały po zaszłym słońcu, a nawet na skraju nieba, z rozrośniętego krzaka leszczyny, zaczął wychylać się bladawy jeszcze księżyc.

Słowa starego Kowalika musiały podnieść na duchu i Fredka, bo nie czekając, aż ktoś z chłopów pierwszy się odezwie, powiedział:

– To idę po łopatę.

– Idź, Freduś, idź, moje dziecko – podchwycił Kowalik, nawet jakby z odcieniem dumy w głosie, że nie zawiódł się na Fredku. – Rękami, wiadomo, nie da rady go zakopać.

I wtedy odezwał się i któryś z chłopów:

– To może i siekierę byś od razu przyniósł? Krzyż mu trzeba będzie jakiś zbić.

Na wyciętych z leszczyny gałęziach, splecionych jakby w nosze, wyciągnęli zastrzelonego na ten wysoki brzeg drogi, chociaż ciężko im to szło, parę razy się obsunęli, bo brzeg był stromy, zarośnięty, że samemu wyjść nie było łatwo. Ale dzięki temu już nie medytowali, tu, tam, bliżej, dalej, z prawa, z lewa, tylko już na górze któryś od razu wbił łopatę w pszenicę i powiedział:

– Tu będzie w sam raz. Naprzeciw akurat, gdzie go zastrzelili.

I tak zaczęli kopać. Ktoś najpierw zebrał z ziemią kawał tej pszenicy, ktoś obrysował na pół sztycha, jak ma być ten grób długi, szeroki, ktoś wziął siekierę i poszedł wysokim brzegiem drogi poszukać jakiegoś młodniaka na krzyż, a ktoś powiedział:

– Ty pierwszy zacznij, Fredek. Potem każdy z nas po trochu.

Pszenicę jeszcze skosili, zebrali, ale ścierniska już nie zaorywali. To ściernisko ludzie z czasem sami zadeptali, w miarę jak zaczęło przybywać grobów na cmentarzu, a przybywało ich niemal w oczach, a najwięcej tuż po wojnie. Bo choć wojna odeszła, to śmierć zbierała dalej swoje żniwo. Można by powiedzieć, pracowała nawet na zdwojonych obrotach, jakby chciała czym prędzej zapełnić ten cmentarz, żeby dziedzic się czasem nie rozmyślił, chociaż nie były to już pola dziedzica, bo dwór rozparcelowali, a dziedzica wywieźli nie wiadomo gdzie. Zginął zresztą i Fredek, umarł stary Kowalik i leżeli w tym samym rzędzie co ten zastrzelony.

Kiedyśmy chowali ojca, jeszcze to ściernisko po dziedzicowej pszenicy nie całkiem było zadeptane i tu, tam przeświecało spod ziemi. Cmentarz był już jednak poświęcony, a nawet obsadzony rajskimi jabłonkami. Podobno ksiądz wpadł na taki pomysł, żeby rajskie jabłonki, a nie świerki,

modrzewie, tuje. Chociaż mówili niektórzy, że nie ksiądz, a księża gospodyni, bo miała zamiar z tych rajskich jabłek powidła smażyć. Grodzić jednak dalej cmentarza nie grodzono, leżał więc wśród pól, a nawet wyglądało, że nie jest z tych pól wydzielony, lecz wszystkie obejmuje, i tylko tyle wiadomo było, że tam, gdzie ten zastrzelony leży, jest jeden jego róg i od tego rogu szły rzędy grobów.

Tak że kiedy burmistrza chowali gdzieś tak w rok po tamtym zastrzelonym, od jego właśnie grobu wymierzali po przekątnej środek cmentarza, bo w środku miał grób burmistrza stanąć. No, a gdy był i róg, i środek, być może, uznano, że cmentarz jest dostatecznie wyznaczony i nie ma potrzeby jeszcze grodzić, bo i tak wcześniej czy później wyjdzie z tego ogrodzenia w pola.

Grób zastrzelonego niczym szczególnym się nie wyróżniał, zwykły kopczyk z ziemi i brzozowy krzyż na nim, tyle że cała pamięć wsi w nim się zagnieździła, że to on rozpoczął cmentarz i że w rogu leży. Za to grób burmistrza był okazały, jak na środek cmentarza przystało. Takim grobem mało który cmentarz mógłby się poszczycić. Wyróżniał się nie tylko wtedy spośród wszystkich grobów, lecz i spośród tych późniejszych, wyróżniał się z dookolnych pól i nieba nad nimi, spośród kościoła, wsi, rzeki, widocznego lasu w dali, spośród wszystkich pogrzebów, wszystkich płaczów, bicia dzwonów, miało się nawet wrażenie, że nie pośrodku cmentarza stoi, lecz pośrodku widnokręgu, wyznaczając ziemi i niebu tę dookolną linię, według której stykają się z sobą.

Nie było na nim ni krzyża, ni Pana Jezusa, ni żadnej świętej figury, jak na wszystkich innych. Tylko biała postać kobiety w powłóczystej szacie, zwieszona w omdleniu na czarnym cokole jakby na wieść, że burmistrz zastrzelony. Niektórzy mówili, że to burmistrzowa. Lecz inni mówili, że nie może to być burmistrzowa, bo burmistrzowa miała włosy ciemne i tuż po

karku ostrzyżone, jakby co dopiero od fryzjera wyszła. A włosy kobiety na tym grobie były białe, długie, przez cały cokół się wiły w nieładzie czy może tak z bólu rozrzucone, a ręce, którymi ten cokół obejmowała, nie z ramion wyciągała, lecz spod tych włosów. A wśród tych włosów, między obejmującymi cokół rękami, jakby to z jej szyi zwisał nieduży biały krzyżyk. Bez żadnego łańcuszka, jakby zza jej zgrzebnej szaty się wysunął, gdy padła omdlała, żeby powierzyć Bogu swoją rozpacz i wstawić się za burmistrzem.

Bo też miał burmistrz grzechów, o, miał. I sprać potrafił, i skląć od najgorszych, a nawet zamknąć na dzień, dwa i więcej w gminnym areszcie. Chociaż i uratować, niejednego uratował przed wysłaniem na roboty czy do obozu. I od kontyngentu nieraz odjął, jak ktoś przyszedł i poprosił, że nie ma z czego, czy na świnię, jak ktoś zabić chciał, przymknął oko, gdy ktoś przyznał mu się uczciwie, że chce zabić, a nawet doradził, żeby na różycę padła czy kolczyk żeby z zabitej przełożyć na prosię. Więc nie był tak całkiem dla nieba stracony i było o co do Boga się wstawić.

Zresztą chodzili oboje z burmistrzową co niedziela do kościoła, a często i w dni powszednie. W pierwszym rzędzie z lewej strony mieli swoją ławkę. Zawsze zasłuchani w słowa księdza, zapatrzeni w ołtarz, choć mówiono, że ona jest innej wiary, bo Niemka, ale nie widać było tego po niej. Tak samo się żegnała, klękała, wstawała, a nawet przyjmowała komunię, on za to nigdy, więc to może on był innej wiary? A gdyby nawet były to dwie wiary, jak mówili ludzie, musiały się widocznie w nich obojgu łączyć w jakąś jedną wspólną.

Zawsze pod rękę ją prowadził. Ona zwykle wyprostowana, choć łagodna w oczach ni to z lekka zdziwionych, ni spłoszonych, on za to przytulony do niej, nieomal uwisły u jej ręki jakby miał kłopoty z kręgosłupem, przez to i trochę zmalały, prawie głowa w głowę z nią

równy, choć za biurkiem czy na koniu wydawał się na schwał. A co najdziwniejsze, jakby z nieśmiałością odpowiadał na ukłony ludzi tak samo zdążających do kościoła. Zupełnie niepodobny do tego za biurkiem, a zwłaszcza na koniu. Na koniu zawsze w kapeluszu nadgiętym nad oczyma, w bryczesach, w butach z cholewami, ze szpicrutą w ręku budził strach, choćby przez wieś jechał stępa, zamyślony i niezwracający uwagi, czy ktoś mu się ukłonił. Bo gdy stępa i zamyślony jechał, wiadomo było, że wypuścił się jedynie ot, tak na wieś. Co innego, gdy gnał cwałem, wzbijając za sobą tuman kurzu, o, wtedy już ofiary szukał, choćby takiej, która mu się nie ukłoni lub uczyni to niedbale albo, nie daj Boże, zacznie przed nim uciekać.

Krzyk już od gminy niósł się przez wieś, gdy gnał cwałem:

– Burmistrz goni! Burmistrz goni! Uciekajta, ludzie!

I kto żyw, uciekał, jakby mór z wiatrem przez wieś gnał. Matki łapały z drogi od zabawy dzieci. Zganiano gęsi, kaczki, psy do bud, a nawet starzy na wszelki wypadek schodzili z ławeczek przed domami i niczyja twarz nie śmiała się pokazać w oknie, choćby zza kwiatków czy firanki. Bo kiedy cwałem gnał, gnał ponad ludźmi, stworzeniem, chałupami, a przeleciał wieś do końca, nawracał i znowu gnał, i znowu nawracał, póki się cała wściekłość w nim nie wypaliła. W tej wściekłości zatratował nieraz przelatującego mu drogę psa, kota, to mógł każdego i wszystko zatratować. A zdarzało się nawet, że wyciągał pistolet i strzelał w niebo, a ludzie mówili, że do Pana Boga.

Gdy jednak w tym cwale nikogo nie spotkał, kogo mógłby choćby po pysku wytrzaskać czy szpicrutą zdzielić, a nawet kot czy pies mu drogi nie przeleciał, tylko pusta wieś w tę i z powrotem, bez ludzi, bez gęsi, kaczek, bez starców przed chałupami i dzieci na drodze, a jeszcze wszędzie puste

okna, osadzał konia przed pierwszą lepszą chałupą, wpadał w drzwi i jakby spragniony, rzucał:

– Macie zsiadłe mleko?

Zastrzelono go w środku tygodnia, w środę albo w czwartek, tuż po mszy. Było w kościele zaledwie kilkoro dziadków i babek, jak to w zwykły dzień tygodnia, zwłaszcza w lecie, gdy tuż po rozpoczęciu mszy weszło do kościoła trzech w wojskowych mundurach, w oficerkach, z kaburami u pasów, stanęli pod chórem i jakby nigdy nic, modlili się, klękali, wstawali. Mógłby kto pomyśleć, że przypadkiem obok kościoła przechodzili, a usłyszawszy dzwonienie sygnaturki, wstąpili, żeby się pomodlić. Jeden z nich nawet przyjął komunię. A jeszcze tak się złożyło, że ukląkł obok burmistrzowej, która też przyjmowała komunię, bo nim od chóru doszedł pod ołatrz, nie było już wolnego miejsca i burmistrzowa ścieśniwszy się trochę, jakby zaprosiła go obok siebie.

Opowiadał ksiądz, że dawał znaki, aby dziadki, babki się ścieśniły, ale dziadki, babki kiedy już pouklękają, ani siłą ich nie ruszy. I opowiadał, że ręka mu drżała, kiedy kładł opłatki na języki, a nawet zastanawiał się, czy nie powinien w takim dniu odmówić wszystkim Chrystusa, bo przeczuwał, po co ci trzej przyszli. Choć mówili niektórzy, że nie tyle przeczuwał, co wiedział, bo ci trzej zaszli najpierw do niego, jeszcze przed mszą, do zakrystii. To raczej burmistrz musiał coś przeczuwać, bo jak nigdy nie oglądał się w kościele, tak kiedy tamci weszli, zaraz się oglądnął, a potem już się całą mszę raz po raz oglądał.

Weszli cichutko, ani oficerki żadnemu nie skrzypnęły. Bąk gdyby wleciał, byłoby głośniej, niż gdy oni weszli. Ani po drzwiach nie dało się poznać, że ktoś wszedł, a do tego aż trzech. A przecież drzwi w kościele potrafiły nieraz skrzypnąć, że aż po księdzu przy ołtarzu było widać, że go mrowie przeszło i pewnie upuszcza w sobie jakieś złe słowo na

kościelnego, że tych drzwi nie nasmarował. Podobnie podłoga, zwłaszcza przy wejściu, była od ludzkich nóg tak sfatygowana, że prawie co niedziela ksiądz przypominał z ambony, że trzeba choć kawałkiem nową wstawić i prosi o ofiarę.

Msza się skończyła i wszyscy powychodzili już z kościoła, a burmistrz z burmistrzową, jak i tamci trzej, wciąż nie wychodzili. Myśleli ludzie, że może w jakiejś tajnej zmowie są, a umówili się w kościele, nie w gminie, żeby się nie rzucało w oczy, i dlatego nie wychodzą.

Pierwsza ukazała się burmistrzowa, za nią, wyraźnie opóźniając to wyjście, uwieszony całym sobą u jej ręki burmistrz. Ona przekroczyła już próg kościoła, a on jakby się o ten próg zapierał. Wtedy ona przycisnęła mocniej jego rękę do swojego boku i omal go przez ten próg przeciągnęła. Szli noga za nogą, ona jak zwykle dumna i wyprostowana, chociaż widzieli niektórzy, że w oczach miała szklisto. On przytulony do niej jeszcze bardziej niż zwykle, toczący się po jej drobnych krokach, z głową opuszczoną ku ziemi, jakby nie miał siły iść, a tylko ona podciągała go, coraz mocniej przyciskając jego rękę uwieszoną u jej łokcia.

W dobrą chwilę za nimi wyszli z kościoła tamci trzej. Zaraz za progiem nałożyli beretki, obciągnęli mundury, pasy i zaczęli iść krok w krok za burmistrzem i burmistrzową, nawet jakby starając się trafiać w drobne kroki burmistrzowej. Szli cichutko, choć od drzwi kościoła do bramy w ogrodzeniu prowadził bruk. W każdym razie słychać było tylko stukot pantofelków burmistrzowej na tym bruku. Ten, co przyjmował komunię, najwyższy z nich trzech, szedł pośrodku, mając tamtych dwóch niższych po bokach. Szarżą nie był najwyższy, miał ledwie trzy belki, a jeden z tych po bokach dwie gwiazdki, a ten trzeci jakoś nie zapadł ludziom w pamięć i różnie mówiono.

Doszli tak do bramy i wydawało się, że za bramą wszyscy się rozejdą i oni pewnie pójdą w Głęboką Drogę, która prowadziła do lasu, a burmistrz z burmistrzową skierują się w stronę gminy. Kiedy jednak przekroczyli bramę, ten z dwoma gwiazdkami podskoczył do burmistrzowej, trzepnął obcasami, przyłożył dwa palce do beretki i coś powiedział albo może nie powiedział, w każdym razie ująwszy burmistrzową pod łokieć, odłączył ją od burmistrza, i nawet bez żadnego z jej strony oporu. Burmistrz pozbawiony oparcia w burmistrzowej, z ręką jak ją jeszcze pod jej bokiem trzymał, obrócił się na tamtych dwóch i wtedy ten, co przyjmował komunię, wyrwał pistolet z kabury i strzelił burmistrzowi w pierś, a burmistrzowa krzyknęła:

– Zabijcie i mnie, panowie!

Burmistrz jeszcze bardziej się przykulił i tą ręką, którą wciąż trzymał pod ręką burmistrzowej, zrobił nagły ruch, jakby chciał się tej ręki burmistrzowej mocniej złapać. Tamten strzelił drugi raz. I wtedy burmistrz obsunął się na ziemię. Strzelił już do leżącego jeszcze trzy razy, raz po raz, chociaż ludzie mówili, że niepotrzebnie, bo po tych dwóch strzałach burmistrz nie żył.

Wszyscy trzej zasalutowali burmistrzowej, lecz musiała nie widzieć, bo twarz miała ukrytą w dłoni i coś wstrząsało jej ciałem, choć nie wyglądało to na płacz. A po tamtych nie wiadomo skąd podjechała bryczka, wskoczyli i odjechali.

Musiał burmistrz przeczuwać swoją śmierć i kto wie, może to przeczucie śmierci tak gnało go ciągle na tym koniu i nie tylko w dzień, ale i nocami. Nieraz ani gwiazd na niebie, ani księżyca, wieś głucha, pusta, a on jakby jakiś duch pokutujący na tym koniu człap, człap. Wyszedł ktoś za potrzebą, a choćby po białej bieliźnie dojrzał go w obejściu, zaraz przywoływał do płotu i pytał się o to czy o tamto, przeważnie o byle co:

– Spać nie możesz? I ja nie mogę.

W każdym razie na wypadek gdyby zginął, nie życzył sobie żadnych zakładników, a tym bardziej żeby mieli kogoś rozstrzeliwać czy wieszać, taką wolę podobno zostawił. Zażyczył za to sobie, aby go pochować na tutejszym cmentarzu i miał tylko jedno mściwe pragnienie, żeby cała wieś była na jego pogrzebie. Orkiestra też miała być nie żadna wojskowa czy skądś sprowadzona, tylko Barucha ze wsi. Jakby na zadatek sprał nawet kiedyś Barucha, choć prawdę powiedziawszy bez żadnej przyczyny. Baruch szedł poboczem, a ten środkiem drogi jechał na koniu i z daleka jeszcze Baruch mu się ukłonił. Lecz widocznie już był wtedy Baruch upatrzony, że zagra na jego pogrzebie, bo mu na osłodę powiedział:

– Zagrasz mi za to na moim pogrzebie.

Miał mu też śpiewać tutejszy chór kościelny. Tak samo ksiądz miał być tutejszy, a nawet do pomocy nie życzył sobie, żeby jakiegoś innego jeszcze przywozili, choć cóż to było dla nich przywieźć jednego czy dwóch księży, a choćby i biskupa. Bóg był z nimi, mieli to na klamrach u pasów wypisane. Ale może tylko ludzie tak mówili, bo skąd by burmistrz zdążył tak dokładnie obmyślić swój pogrzeb. Jeśli nawet spodziewał się śmierci, to na pewno nie zaraz, lecz kiedyś tam, jak każdy. I podobno to z jego woli miało nie być na pogrzebie żadnych przemówień, pożegnań. Tak że zaśpiewał mu tylko chór w kościele, a na cmentarzu pograł mu Baruch ze swoją orkiestrą *W mogile ciemnej śpij na wieki*. To wszystko.

W dniu pogrzebu, zanim słońce wzeszło, otoczyli wieś, a gdy już się wzniosło trochę ponad ziemię, zaczęli chodzić chałupa w chałupę po dwóch, po trzech wojskowych i jeden cywil z nimi, w hełmach, z pistoletami maszynowymi na piersiach, z oczami jak u wilków, a ten cywil zapisywał, kto obecny jest w chałupie, i przykazywał, że wszyscy mają ubrać się w co najlepsze i stawić się o tej i o tej godzinie pod gminą,

skąd miał ten pogrzeb ruszyć. Zwalniali tylko niedołężnych i chorych, i to gdy leżeli w łóżkach. Dzięki temu wujkowi Władkowi udało się nie pójść, bo gdy zobaczył ich przez okno, że wchodzą w obejście, tak migiem zrzucił spodnie, buty i wskoczył do łóżka. I od razu zaczął kasłać, zanim tamci jeszcze weszli do izby. Cywil spytał go się, co mu jest, to udając, że z trudem przedziera się przez ten kaszel, wykrztusił, suchoty. Potem żałował, bo przypomniał sobie, jak to burmistrz przysiadł się do niego wtedy wieczorem na ławce przed domem, dzieląc z nim do późna w nocy tę udrękę, kto mógł wybić oko Kruczkowi.

Z wyjątkiem wujka Władka poszliśmy wszyscy, bo i mnie zabrała matka, mimo że mnie ten cywil nie policzył za obecnych, uznając widocznie, że za mały jeszcze jestem jak na taki pogrzeb. Ojca wtedy nie było, bo pracował i przyjeżdżał tylko czasem na niedzielę, więc, być może, chciała matka, żebym go zastąpił przy niej. Kazała mi się ubrać w to marynarskie ubranko, tylko bez czapki. Sama też się wystroiła w czarną suknię, w czarne pantofle, w czarny kapelusz, w czarne niciane rękawiczki, torebkę, że w połowie tak nie wyglądała na pogrzebie ojca. Zawahała się tylko, czy wziąć książeczkę do nabożeństwa.

– Będziemy się modlić?

Niby nic takiego nie było w jej pytaniu, a wszyscy nagle pogrążyli się w zamyśleniu, jakby przestali wiedzieć, czy będziemy, czy nie będziemy się modlić za burmistrza. Dopiero z łóżka prawie chorym głosem odezwał się wujek Władek:

– Już on tylko dusza teraz. Na konia nawet już nie wsiądzie. – I nagle się ożywił, jakby już wyzdrowiał. – A ciekawym, co też z tym koniem jego zrobią? Podpytałby się tam ojciec, czy nie będą go sprzedawać?

– Zaraza – dziadkiem aż zatrzęsło. – Szkoda, że nie powiedziałem temu, co spisywał, żeś zdrowy jak byk. Suchoty, zaraza.

Na co wujek Stefan, żeby załagodzić wiszącą w powietrzu kłótnię, powiedział:

– Co taki koń, ni do pługa, ni do wozu.

– To pod wierzch by się czasem przejechało – powiedział wujek Władek.

– Masz siodło?

– Na oklep.

Pod gminą zebrała się już chmara ludzi. Nigdy bym nie przypuszczał, że aż tyle ludzi jest we wsi. Zdumiało to i wujenkę Jadwinię:

– Matko Święta, a skądżeż tyle ludzi?

– Może skądś poprzywozili – powiedział wujek Stefan.

– To byś od razu poznał – powiedział dziadek. – A to muszą swoi.

Od budynku gminy, który znajdował się w głębi, oddzielony od szosy rozległym placem, ludzie wylewali się aż na szosę i wciąż nowi przybywali. Matka chwyciła mnie za rękę.

– Pilnuj się. Mogą cię jeszcze zatratować, jak to ruszy.

Wokół gminy, a także wzdłuż szosy po obu stronach stali jeden przy drugim ci w hełmach, z pistoletami maszynowymi na piersiach i z oczami jak u wilków. Rozglądali się czujnie po ludziach, a nawet jakby na wylot przewiercali każdego z osobna, choć najchętniej zapewne naciskaliby spusty. Ktoś obok nas wyszeptał z grozą w głosie:

– Nie wilki, no, spójrzcie. Jeszcze nas tu pozabijają.

A ktoś inny to przypuszczenie potwierdził:

– Może tak to sobie tylko umyślili, że niby każą nam się zejść na pogrzeb burmistrza.

A ktoś inny przytaknął:

– Ano, coś sobie musieli umyślić, bo nie darmo nikogo nie zaaresztowali.

I tylko czyjś piskliwy półszept nie chciał się z tym zgodzić:

– Iii, tam. A kto by kontyngenty im oddawał?

Zebrało się jakby na ostatnią wolę i dziadkowi:

– Gdyby co, to choć Władek na gospodarce zostanie. O, miał rozum, że do łóżka wskoczył.

Wszyscy spojrzeli po sobie, co też dziadek wygaduje, a wujenka Marta prychnęła:

– Władek. Władek. Sam zostanie, to raz dwa wszystko zmarnuje.

W miejscu gdzieśmy stali, szosa lekko się wznosiła, tak że było widać, co się dzieje pod gminą. A tam tłum ze wszystkich stron przypierał aż do ścian. Tylko wokół ganku na niewielkiej przestrzeni, wyznaczonej przez tych w hełmach i z pistoletami maszynowymi, którzy stali ciasnym pierścieniem, było trochę luźniej. Choć i tam roiło się od mundurów, sztandarów, wieńców, a pośrodku stał koń burmistrza, nakryty czarną derką od grzywy po ogon i z siodłem na grzbiecie. Tuż przed jego łbem sterczał krzyż i powiewała czarna chorągiew.

Na ganku pojawił się oficer w wyprężonej czapce i cały jak struna wyprężony. Chwilę się rozglądał, po czym zszedł z ganku, przeszedł obok konia, chorągwi, krzyża i wolnym krokiem wszedł w tłum, który gwałtownie zaczął się przed nim rozstępować, jakby przełamując się na pół. Kiedy przeszedł kilka kroków między tymi dwiema przełamanymi połowami, ruszyło za nim dwóch podobnych oficerów, choć zapewne niższej rangi. Za nimi dwóch następnych, ci byli w czarnych mundurach i z czerwonymi opaskami na lewych rękawach.

Uszli spory kawałek w tym przełamującym się przed nimi na dwie połowy tłumie, gdy z wieży kościelnej odezwał się dzwon. Jakby mrowie

przeszło po ludziach, a nawet tym w hełmach, wydawało się, pistolety maszynowe nagle zmiękły na piersiach i oczy im złagodniały. Bo też dzwon dziwnym jękiem się rozniósł, chyba nigdy tak jeszcze nie dzwonił. Spojrzałem na matkę, to nawet ona miała oczy trochę nieswoje.

– Musi Grela nie sam się huśtać – powiedział wujek Stefan – bo wali, że to wali.

– A pęknie jeszcze kiedy – powiedział dziadek. – Myślą, że co głośno, to prędzej Bóg usłyszy.

W sporej odległości za oficerami ruszył krzyż niesiony przez kościelnego Zubka, którego prowadziło z obu stron dwóch tych w hełmach i z pistoletami maszynowymi na piersiach. Za krzyżem czarna chorągiew i też po jej obu stronach takich samych dwóch. Potem wieńce, sztandary i też wśród szpaleru tych w hełmach i z pistoletami maszynowymi na piersiach. Potem przerwa i koń burmistrza, prowadzony za łeb z dwóch stron przez oficerów w wyprężonych czapkach.

– I po cóż, choroby, tego konia ciągną? – ktoś się ni to zdziwił, ni obruszył obok nas. – Owsa by mu lepiej dały.

– Ano, może burmistrz chciał, żeby wszystko z nim szło, a nie tylko my.

– To we wsi jakby tak chciał, to i krowy, i świnie by musiały iść. A za gospodynią to i kury, gęsi, kaczki.

– Może zawidziało mu się ten ostatni raz przejechać, skąd wiecie?

– Przejechać? E, pleciecie.

– Może dusza jego siedzi tam, w siodle? Skąd wiecie?

Ciarki mnie przeszły, bo przez chwilę zobaczyłem burmistrza, jak siedzi w tym siodle pochylony, jakby senny, w kapeluszu nadgiętym nad oczy, w bryczesach, w oficerkach, a szpicruta zwisa mu w bezwładnej ręce wzdłuż cholewy. I może nie tylko ja widziałem, bo gdy ten koń przechodził

wśród przełamanego na dwie połowy tłumu, na wprost nas, dziadek wyrzucił złym półszeptem:

– Zaraza, a ten mi kazał się podpytać, czy go nie będą sprzedawać.

Na co wujek Stefan powiedział:

– E, smutny jakiś. Nic by z niego nie było w gospodarce.

W niewielkiej odległości za koniem szedł ksiądz z organistą, a za nimi trumna niesiona przez czterech strażaków ze wsi w złotych kaskach, a po ich bokach czterej oficerowie. Dwóch innych oficerów, w czarnych mundurach jak żałobnicy, prowadziło pod ręce burmistrzową, a jeszcze dwóch innych szło po bokach tamtych. Wyglądało, że nie ma nikogo z rodziny, bo dalej szły już tylko w czarnych strojach stare baby ze wsi, wynajęte do śpiewania i płaczu.

Kiedy kondukt wyszedł już z placu przed gminą na szosę, jeden z tych oficerów z otoczenia burmistrzowej, odwróciwszy się, dał babom znak. Lecz widocznie nie zrozumiały, czy do płakania, czy do śpiewania, i jedne zaczęły spazmować, a inne śpiewać: „Dobry Jezu, a nasz Panie, daj mu wieczne spoczywanie”. I nie pomogło, że oficer pokazywał im na usta, z czego wynikało, że do śpiewania, tylko ich to spłoszyło, tak że przestały w ogóle i śpiewać, i spazmować. Dopiero stójka z gminy przedarł się przez tłum, wymachując rękami, że mają śpiewać, śpiewać, a nawet sam zaintonował: „Dobry Jezu, a nasz Panie”, no, i już zgodnie poniosły to śpiewanie za stójką.

Ci w hełmach, z pistoletami maszynowymi na piersiach, zaczęli nagle pokrzykiwać na nas, stojących na szosie, pokazując lufami, żebyśmy też ruszali. Wciskali się nawet w tłum i tymi lufami wskazywali, że nie jak kto chce, tylko równymi szeregami mamy iść i szereg od szeregu z przerwą. Być może, chcieli widzieć, gdyby się w tłumie coś działo, choć cóż

mogłoby się dziać? Gadać i to nikomu się nie chciało, bo też o czym tu gadać?

Dziwny to był pogrzeb i każdy musiał to czuć. Może koń to spowodował, bo jeszcze nikt tu nie widział konia w pogrzebie, chociaż każdy miał konia, niektórzy po dwa, a niektórzy i źrebię. Ten koń przytłoczył śmierć burmistrza, bo ten i ów co rusz wyciągał szyję z tłumu, wypatrując nie gdzie trumna, tylko czy ten koń idzie. Czasem nawet jeden drugiego pytał:

– Widzicie tam, idzie koń?

Od trumny z trudem przebijało się skrzekliwe śpiewanie bab, czasami prawie zanikało, przechodząc nieledwie w jakieś dalekie szemranie ni to rzeki po kamieniach, ni piskląt pod kwoką. Lecz kto wie, czy to nie ta skrzekliwość starych głosów powodowała, że to szemranie wydawało się nagłośniejsze, w każdym razie najdotkliwsze z całego pogrzebu. Niemal słyszało się, jak w kondukcie cichną ludziom nogi, a od trumny dochodzi niemy płacz idącej tam burmistrzowej, chociaż nie było jej przez tłum widać, a mówiono także potem, że wcale nie płakała. A może by nawet wyłowił, gdyby się tak dobrze w to szemranie wsłuchać, i drżenie burmistrza, gdy sposobiąc go do strzału, wyjęto mu rękę spod ręki burmistrzowej. Musiała i matka to słyszeć, bo w pewnej chwili wyciągnęła chusteczkę z torebki i otarła sobie oczy, a po niej wierzchem dłoni zrobiła to samo wujenka Jadwinia.

W kondukcie jednak wciąż tego śpiewania nikt nie podejmował i przez to pieśń nie mogła się unieść ponad ocieranie się ciał, szuranie nóg, ponad wątpliwość, śpiewać czy nie śpiewać. Ci w hełmach i z pistoletami maszynowymi na piersiach jakby coraz gęściej szli z jednej, z drugiej strony pogrzebu, a na końcu jeszcze zbici w dwa zwarte szeregi, zamykali szczelną obręczą cały pogrzeb. Oczy mieli wciąż jak u wilków, a lufy

skierowane w tłum i bez przerwy tymi oczami latali między szeregami, i nie tylko po prześwitach, ale i po każdym idącym z osobna. Sądząc po tych oczach, może nawet nie wiedzieli, że idą w pogrzebie, bo cały czas pilnowali tylko, żeby był porządek i żeby nikt się nie wychylił z konduktu poza żwirowany pas szosy. A gdy ktoś się choćby na pół kroku niechcący obsunął na pobocze, zaraz go lufami wpychali z powrotem w tłum.

Szliśmy z matką brzegiem, tuż obok wycelowanej w nas lufy, która była tak bliziutko, że nabrałem nieprzepartej ochoty, aby wetknąć w dziurkę u jej końca palec. Matka jednak widocznie coś przeczuła, bo syknęła:

– Chodź tu, w środek. – I przeciągnęła mnie z tego brzegu między siebie a wujenkę Jadwinię.

Za trumną pieśń w pewnej chwili jak gdyby skonała, nie dochodząc do nas choćby tym dalekim szemraniem, i nieoczekiwanie uratowała ją babka, która zaczęła śpiewać: „Dobry Jezu, a nasz Panie, daj mu wieczne spoczywanie”. Jakiś czas to jej śpiewanie ciągnęło się samotnie, a niektórzy nawet ze zgorszeniem spoglądali na babkę, lecz na szczęście wspomogła babkę swoim skowronkowym głosem wujenka Jadwinia, a potem matka, a za chwilę wujenka Marta, dołączyło też nieśmiało parę innych głosów kobiet z najbliższego otoczenia. A gdy pieśń ponownie rozbrzmiała, wujek Stefan, który wydawał się najgorzej zawzięty, żeby nie śpiewać, i na wujenkę Jadwinię spoglądał ze złością, jakby ulegając jej skowronkowemu głosowi, też zaczął otwierać usta, choć z początku tylko na niektórych słowach. A za wujkiem i dziadek, który, co prawda, tylko mełł tę pieśń w wargach, a głośniej wyrzucał jedynie samo „Dobry Jezu”.

A potem ten i ów, z bliższa, z dalsza. I tak przybywało powoli tych głosów, toteż wkrótce mało kto nie śpiewał. Ten śpiew rósł, potężniał, wylewał się aż gdzieś w pola, a z pól jakby powracał do konduktu ze zdwojoną siłą. Zagłuszył bicie dzwonu na kościelnej wieży, zagłuszył nóg

szuranie po szosie, zagłuszył stare baby za trumną, że wydawało się, nie miał swojego początku ani swojego końca przy końcu pogrzebu.

Tę białą postać, razem z czarnym cokołem, przywieźli już gotową na grób burmistrza gdzieś tak w miesiąc po pogrzebie i burmistrzowa wówczas wyjechała. Mówiono, że do Niemiec, ale tak naprawdę nikt nie wiedział gdzie. Rozdała wszystkie swoje rzeczy, zabierając jedynie tyle, ile zmieściło się w dwóch walizkach. Wujek Władek, który próbował się dowiedzieć w gminie, co zrobili z koniem, też niczego się nie dowiedział nie tylko o koniu, ale i o burmistrzowej. Koń podobno jeszcze w stajni gminnej parę dni po pogrzebie stał i stójka go karmił, czyścił i co dnia wyprowadzał, żeby się nie zastał, bo tak mu kazali. Lecz i on nic pewnego nie wiedział, tarł się po łysinie tylko i przebąkiwał, że mogli go gdzieś do dworu odstawić, żeby był między innymi końmi do czasu, aż przyjdzie nowy burmistrz, bo też może będzie chciał jeździć na koniu. Podejrzewał jednak wujek, że w gminie muszą coś wiedzieć, tylko boją się wiedzieć i dlatego nie wiedzą.

Kiedyś, już gdzie tam po wyjeździe burmistrzowej, wybrał się wujek Władek na cmentarz i zdumiało go, że na grobie burmistrza świeży wieniec, świeże kwiaty i lampki się paliły. W dodatku wyglądało, że musiały być tuż przed przyjściem wujka zapalone, bo aby z wierzchu trochę roztopione były, a knoty ledwo na czubku upalone. Pokłócił się nawet z Bolechem, który robił coś przy grobie swojej żony i od rana na cmentarzu siedział, a nic nie widział. W dodatku i uwierzyć nie chciał, choć przyprowadził go wujek na grób burmistrza, żeby niewiernemu pokazać, że świeży wieniec, świeże kwiaty i lampki przed chwilą zapalone. To przecież nie wyszedł burmistrz z grobu, żeby sam sobie zapalić. Jeszcze kiedy powiedział, że ta biała postać wygląda, jakby rzucała się z wysokiej skały w przepaść, a Bolech zaprzeczył, że nie może w przepaść, bo nie ma w okolicy takiej

skały, żeby pod nią była przepaść, wyprzezywał Bolecha, że głąb i nic nie rozumie, a kto wie, czy to nawet nie on wybił oko Kruczkowi.

Odtamtąd zresztą zawsze, kiedy tylko przyjechałem na Wszystkich Świętych, na grobie burmistrza leżał świeży wieniec, stały kwiaty, paliły się lampki. A nikt nigdy przy tym grobie nie stał, jak przy wszystkich innych. Nikt też nie wiedział, kto przyniósł ten wieniec i kwiaty, kto zapalił lampki. Chociaż i nikt się temu nie dziwił, jakby tak powinno być, zwłaszcza w taki dzień jak Wszystkich Świętych, gdy cały cmentarz w kwiatach i aż pod niebo płonie tysiącami lampek, to może groby grobom same z siebie użyczają w taki dzień pamięci. Dziwiono by się, gdyby na grobie burmistrza było inaczej.

Na moją ciekawość, kto ten wieniec, te kwiaty przynosi, kto zapala lampki, odpowiadano mi w najlepszym razie, że musi burmistrzowa z Niemiec komuś tu pieniądze przysyłać, ale przyzna ci się kto? To znów innym razem usłyszałem, nie bój się, musiała tu komuś nielichy majątek zostawić, że starczy do końca świata na te wieńce, kwiaty, lampki. Z dwiema walizkami wyjeżdżała, a przywozili ich ciężarowym autem. Tylko komu? Najprędzej po wojnie odbudował się tu Gugała. Dom, chlewy, stodołę we dwa lata, to z czego myślisz? A niektórzy w ziemiankach dokąd jeszcze mieszkali, a stworzenie pod gołym niebem stało. Opowiada, że brat go z Ameryki wspomógł. Ale nikt jakoś tego brata nie pamięta. Nie dojdziesz. A zresztą po co ci dochodzić, lżej ci będzie od tego?

Wujek Władek też nie umiał nic powiedzieć. Razu jednego użyłem nawet podstępu i zagadnąłem go o konia burmistrza, o którego chodził się dowiadywać po pogrzebie, że może od tego konia w jego pamięci coś odpryśnie i o burmistrzowej. Lecz zdziwił się:

– Konia? A faktycznie, jeździł burmistrz na koniu. Ale nie powiem ci już, kasztan to był czy bułanek. Pamięć już mam, Piotruś, jak przetak

dziurawą. To nie to, co dawniej. O, już tu kiedyś prawie wiedziałem, kto wybił oko Kruczkowi, i mi wyleciało. Muszę od początku. A i on już nie burmistrz. Zmienili mu tu tabliczkę na doktor praw, widziałeś? I kto by pomyślał, że taki kształcony i burmistrzem był w naszej wsi? Że też chciał, dziwię mu się. Bo teraz same głupki, Piotruś, mówię ci. A pijanice. Przez to burmistrzami ich nawet nie mianują, tylko ciągle im zmieniają. Z wójtów na przewodniczących, z przewodniczących na naczelników. I pewnie znów im zmienią. A mostu przez rzekę jak nie było, tak nie ma. Przyjdzie większa woda, to ni przejść, ni przejechać. O, był porządek za niego, mówię ci. Krowa nasrała na drodze, to dopóty dochodził, aż doszedł czyja i kazał zbierać. Czasem w pysk strzelił, ale niejednemu się przydało.

Mogłoby się wydawać, że to pamięć pogrzebu burmistrza przyciągała mnie do jego grobu i teraz, bo ilekroć byłem na cmentarzu, przystawałem choć na chwilę przy tym grobie. Tłumaczyłem sobie, co prawda, że jakkolwiek jestem tu już prawie obcy i nie obowiązuje mnie pamięć, lecz przynajmniej przez tę chwilę ktoś powinien postać przy tym grobie, zwłaszcza w taki dzień jak Wszystkich Świętych. I nie dla burmistrza, bo cóż burmistrz, proch jego ciało, jak mówił wujek Władek, i proch jego winy, lecz dla samego grobu. Jednak sam w to swoje tłumaczenie nie bardzo wierzyłem. Czasem nawiedzało mnie podejrzenie, że to burmistrzowa, zawsze nieobecna i jednocześnie każdego roku obecna w tym wieńcu, kwiatach, palących się lampkach, wybrała mnie jako jedynego z tych, którzy uczestniczyli w pogrzebie burmistrza, abym uczestniczył i w jej tajemnicy teraz. Ta jej tajemnica nie stawała mi się przez to wcale mniej mroczna, za to coraz bliższa. Być może, samo poczucie obecności w tej nieobecności, niezauważanej, przemilczanej, niebudzącej nawet niczyjego tutaj zdziwienia, a przecież tak dotkliwie naocznej, pozwalało mi przynajmniej przez tę chwilę odnaleźć i siebie w tej

wciąż zakwitającej każdego roku od nowa rozpaczy burmistrzowej. Bo tak naprawdę jedyna droga do tajemnicy prowadzi przez rozpacz. Można by wręcz powiedzieć, szczęśliwi, których stać na rozpacz.

Ta biała postać na grobie zdawała się być potwierdzeniem nieprzemijalności tej rozpaczy ponad przemijalność nawet tego, co stanowiło jej przyczynę. Co prawda, nie kojarzyłem nigdy tej białej postaci z burmistrzową, jak niektórzy tu mówili. Gdy ją tu przywieźli, postawili i pobiegliśmy z chłopakami zobaczyć, przyszła mi na myśl od razu Sulka Szmulów. Chłopaki mnie wyśmiali, a Fredek powiedział, głupi jesteś. Lecz niby dlaczego nie mogłaby Sulka omdleć z rozpaczy na wieść, że burmistrz zastrzelony? Tu, na cmentarzu, jedni z drugimi dzielili już tylko rozpacz. Prócz tego jedna Sulka we wsi miała takie same długie włosy jak ta biała postać na cokole i tak samo w nieładzie zawsze rozrzucone. Gdy do kogoś mówiła, odgarniała te włosy z twarzy, żeby zobaczyć do kogo, choć czasem i przez te włosy mówiła, jakby było jej obojętne do kogo. Albo gdy siedziała na schodach przed domem, z głową złożoną na ściągniętych kolanach i nie chciało jej się na świat patrzeć, zrzucała te włosy przed siebie aż do ostatniego schodka. Tak samo gdy je odrzucała do tyłu i wsparta na cofniętych rękach, wypinając się nieomal w łuk ku niebu, ku słońcu, a nogi przed sobą rozkraczała na całą szerokość, te włosy zaścielały całe schody za nią. Aż zaniepokojony Szmul wychodził nieraz z drzwi i mówił, zabierz, Suluś, te włosy, bo nie ma jak przejść, chociaż nigdzie nie szedł. Kto wie zresztą, czy zrzucając te włosy przed siebie lub odrzucając je do tyłu, nie wypowiadała Sulka w ten sposób swojej rozpaczy, bo inaczej nie umiała, tylko tymi włosami, a słowom i łzom nie ufała. I także tymi rozkraczonymi nogami, chociaż wszyscy we wsi uważali ją za bezwstydnicę.

Aż któregoś roku wybrałem się znów na Wszystkich Świętych z zamiarem zatrzymania się na kilka dni. W odnowionym bowiem po latach Zamku, z którego przedtem wyprowadzono więzienie, urządzono w baszcie pokój gościnny, a że dyrektorem Zamku był Koza, zaprosił mnie, że mógłbym się zatrzymać nawet kilka dni. Obiecywałem sobie, że wreszcie poodwiedzam tych już nielicznych znajomych, jacy mi jeszcze w tym mieście zostali. Zwykle wpadałem na jeden, półtora dnia najwyżej, zawsze się spiesząc. Tym razem tak się złożyło, że byłem sam, bez Pawła, więc mogłem sobie na ten kilkudniowy pobyt pozwolić. Naturalnie pierwsze kroki skierowałem do panien Ponckich, jakże by mogło być inaczej. Zresztą za każdym pobytem, choćby nie wiem jak mi się spieszyło, starałem się wpaść do nich, przynajmniej żeby pokazać im się, że żyję, no, i wręczyć czy kwiaty, czy bombonierkę na dowód pamięci. Były mi najbliższymi osobami w mieście, żeby nie powiedzieć, prawie kimś z rodziny. Tak to czułem, tak o nich myślałem. Czasem nawet łapałem się na tym, że doznaję ich nieustającej obecności przy mnie, a nie miało to nic wspólnego z przywoływaniem ich przez pamięć czy wyobraźnię. Stąpały bezszelestnie jakby gdzieś nad moją głową, po suficie, lub zjawiały się w dalekim echu jakiegoś tanga, które ni stąd, ni zowąd napływało na mnie. Czasem w nagłym zdziwieniu, och, pan Piotr. Czasem w cieple ich piersi, do których przytulały moją głowę, gdy przychodziłem do nich na kakao.

Były teraz znanymi w mieście krawcowymi, a odkąd Rynkowi przywrócono dawną świetność, zajmowały całe piętro w jednej z kamieniczek, w której zresztą i przedtem mieszkały, tyle że w niewielkim pokoiku z maciupeńką kuchnią i z oknami wychodzącymi na zaniedbane, cuchnące zaplecze.

Przywitały mnie, jak zwykle, z radością, serdecznie, naściskały, naobcałowywały, nie było końca ochom, achom. Ewelinie łzy stanęły

w oczach, a Róża zaczęła trzepotać niczym motyl powiekami, najwyraźniej broniąc się przed łzami, tak że przez chwilę poczułem się znów tym małym Piotrusiem, który przychodził do nich na kakao. Kto wie, może nawet czekałem, że którejś choćby mimowolnie, dla żartu, się wyrwie, napijesz się, Piotrusiu, kakao?

Nigdy jednak nie sięgały tak daleko pamięcią, a już zwłaszcza pilnowały się, żeby słowem nie wspomnieć o tym kakao. Zawsze tylko, kawy czy herbaty pan Piotr się napije? A może wina? I zjawiała się zaraz ta kawa czy herbata, wino, ciasteczka, czekoladki, orzeszki. Po czym zaczynały się słowa, a po prawdzie potoki słów. Co u pana Piotra słychać? Nic a nic pan Piotr się nie zmienił. Nawet lepiej panu Piotrowi z tą siwizną, dostojniej. A czy wie pan Piotr, że teraz taka moda nastała, że mężczyźni farbują sobie włosy? Ten z banku, znał go pan Piotr przecież, tyle lat, a zawsze taki sam kruczy, żeby choć nitka siwizny. A jak Paweł? No, to chociaż tyle ma pan Piotr radości. Niełądnie nas tak długo nie odwiedzać czy choćby kartki nie napisać. My tu wyglądamy, tęsknimy. Boże ty mój, w głowy nieraz zachodzimy, czy coś się nie stało. Aż klientki nas czasem pytają, mają panie jakieś zmartwienie? Pan Piotr to dla nas jakby ktoś z innego już świata.

Te potoki słów, ma się rozumieć, rwały się, wpadały w wiry, zawracały, płynęły coraz szerszym strumieniem, lecz nigdy na tyle szerokim, żeby groziło mu wystąpienie z brzegów. W razie czego jedna czy druga potrafiły temu w porę zapobiec, tak że wspomnienie tego kakao, niewinne przecież, nie pojawiło się nigdy między nami. W tej ich serdeczności, mimo że wylewnej, uniesionej, tkliwej, a czasami jakby rozżalonej, zawsze wyczuwałem jakiś rodzaj skrępowania, którego nigdy dawniej nie zauważałem, nawet gdy jeszcze chodziły w mojej obecności nie całkiem rozbudzone, ziewające, rozczochrane, prześwitując ciałami przez nocne

koszule, z piersiami wychylającymi im się spod tych koszul przez szerokie dekolty czy kiedy przytulały moją głowę do tych piersi w tangu.

To ich skrępowanie z początku ledwo co uchwytne, a nawet zrozumiałe wobec coraz dłuższych przerw w moich odwiedzinach, zaczęło się ujawniać z latami, a właściwie gdy wyprowadziły się z naszego wspólnego domu na Rybitwach. Wróciliśmy wtedy z Pawłem znad morza, a ponieważ zostało mi jeszcze kilka dni urlopu, postanowiłem, że pojedziemy na te kilka dni do matki. I pierwsze słowa, pełne żalu zresztą, jakie od matki usłyszałem, to że panny Ponckie się wyprowadziły i mieszkają teraz w Rynku. Paweł miał niecałe pięć lat. A choć go widziały przedtem kilka razy, gdyśmy je odwiedzili w tym nowym mieszkaniu, wybuchły na jego widok nieprzytomną wprost radością, jakby po raz pierwszy go ujrzały. Naściskały go, naprzytulały, naobcałowywały, powtarzając w niekończących się uniesieniach, wykapany pan Piotr, wykapany pan Piotr, i pozwalając mu na baraszkowanie po całym mieszkaniu. Stłukł im jakąś porcelanową figurkę, lecz zaraz wzięły go przede mną w obronę, że nie szkodzi, dziecko przecież, bawi się, to miał prawo stłuc. A na wiadomość, że byliśmy właśnie nad morzem, postanowiły mu uszyć marynarskie ubranko i od razu wzięły miarę.

Tym razem jednak to ich skrępowanie dało znać o sobie także w pytaniach o Pawła. Wyczuwałem z ich strony niepewność, czy nie powinny mówić o nim, pan Paweł, jak pan Piotr. Ponadto każde z pytań było najstaranniej dobrane, aby, broń Boże, nie przekraczało jakiejś im tylko wiadomej granicy, tak że nie zapytały nawet, czy ma już jakąś dziewczynę, co byłoby przecież naturalne i do czego miały prawo chociażby z tytułu tej stłuczonej im przed laty porcelanowej figurki.

Wydawało mi się to tym bardziej dziwne, że były jednocześnie wylewne jak rzadko kiedy. Spoza ich zwierzeń, co prawda, wychylała się

nieustannie jakaś gorycz, zwracająca mimo woli uwagę na ich pomięte szyje, podwieszone u podbródków fałdy, zmarszczki wokół ust, pod oczyma, na skroniach, mniej na same zwierzenia. Zwłaszcza że i te zwierzenia wydawały się równie starannie dobrane, ułożone, i dotyczyły na ogół kłopotów z klientkami, że coraz wybredniejsze, rozkapryszone, marudne, ciągle im poprawiaj, pruj, bo tu za wąsko, tam za luźno, za długo, za krótko, tu podszewka obciąga, to guziczki nie takie, a jak któraś ma już męża na stanowisku, to uważa, że wszystkim rzuć, a jej szyj. A niektórej nie chce się nawet pofatygować do przymiarki, bo korona by jej z głowy spadła, tylko do niej przyjdź, w najlepszym razie przysyła łaskawie samochód. Ach, niełatwo być i krawcowymi teraz, panie Piotrze. A pan Piotr najlepiej wie, że najwyższe nawet stanowisko męża nie doda żonie ni urody, ni figury. To nie to, co pani Anna, takiej figury ze świecą dzisiaj szukać. Ach, nie ma pan pojęcia, jak lubiłyśmy dla pani Anny szyć. Ta ostatnia sukienka, pamięta pan Piotr? W takie piękne kwiaty. I wtedy Ewelina do Róży czy Róża do Eweliny, jakby nagle sobie coś przypominając, powiedziała:

– Wyciągnij za pamięci materiał tej Niemki. Mamy jej przecież na pojutrze miarę zrobić.

– To widzę, że już i Niemki przyjeżdżają szyć do pań – powiedziałem w uznaniu dla ich krawieckiej sławy, nic jeszcze nie podejrzewając.

– Ach, nie – zaprzeczyła Róża, kiedy Ewelina poderwała się, żeby wyciągnąć ten materiał. – U nas taka jedna mieszka. Jej mąż był w czasie wojny gdzieś tu we wsi burmistrzem.

Coś mnie ścisnęło za gardło. Chciałem sięgnąć po kieliszek wina, lecz poczułem się obezwładniony, jakby coś mi nagle zabrano lub czymś w nadmiarze obdarowano, co na jedno wychodzi. Nie dałem jednakże nic poznać po sobie, a nawet wypowiedziałem coś od rzeczy, błahego, być

może próbując w ten sposób jeszcze unieważnić tę wiadomość lub przynajmniej ją odwlec. Bo kto wie, czy tak naprawdę pragnąłem poznać tajemnicę burmistrzowej. Może dzięki temu, że przystałem na to, aby pozostała dla mnie na zawsze tajemnicą, a więc na ten wieniec, te kwiaty i palące się lampki, których nikt nie składał i nikt nie zapalał, odnalazłem w tej tajemnicy i swoje miejsce. A to znaczyło dla mnie więcej, niż ją poznać.

Na szczęście Róża, czy może Ewelina, zaczęła o tym materiale, że przecudny, bawełna, a jakby jedwab:

– Musi z Niemiec dostawać, u nas skąd, nie ma takich materiałów. Starsza już, a ma gust. I musiała być kiedyś bardzo ładna. A jaka kulturalna, delikatna, zawsze uśmiechnięta, wyrozumiała. Żadna z naszych klientek się do niej nie umywa. Przyniesie taka blachę, nie materiał, a uszyj jej, żeby spływało, jakby chiński jedwab przyniosła. Ach, panie Piotrze, nie ma pan pojęcia, jakie są klientki.

– A jak się ta Niemka nazywa? – spytałem niby od niechcenia, gdzieś między ich słowami o tych różnych materiałach, klientkach, gdy już się jako tako ułożyłem z tą nieoczekiwaną wiadomością.

– Róża, jak się ona nazywa? Ewelina, jak się ona nazywa? Jakoś tak dziwnie. To znaczy wiedziałyśmy, tylko że wciąż się mówi, Niemka, Niemka, to i przyzwyczaiłyśmy się, Niemka. O, nawet w zeszycie z jej miarą mamy napisane, Niemka. A tak śmiesznie mówi, że od razu by pan Piotr poznał, że Niemka.

Musiałem teraz uważać, żeby nie wzbudzić podejrzenia swoim zainteresowaniem akurat tą jedną z ich klientek. Podjąłem więc najpierw temat tego materiału, że właśnie Paweł przywiózł mi w zeszłym roku z Holandii podobną koszulę w prezencie, z bawełny, a jakby z jedwabiu, i dopiero potem z udaną obojętnością spytałem:

– A gdzie mieszka?

– A obok Bramy Opatowskiej. Zajmuje facjatkę na poddaszu. W tej samej kamienicy, co kiedyś doktor Sobkiewicz. Pamięta pan Piotr doktora Sobkiewicza? Cóż to był za doktor. Ach, a jaki mężczyzna. Jego żona też sobie czasem coś u nas uszyje.

Biłem się z myślami, pójść, nie pójść, może chociaż pod tę kamienicę, choćby popatrzeć w okno tej facjatki. Coś mnie kusiło i jednocześnie przestrzegało. Straciłem przez to nawet chęć odwiedzenia tych paru jeszcze dawnych znajomych, jakich miałem zamiar odwiedzić, i z którego to powodu przede wszystkim zatrzymałem się na te kilka dni. A także nie chciało mi się na miasto już wyjść, żeby pospacerować po starych kątach. Być może bałem się, aby mnie ten spacer mimo chcąc nie podprowadził pod tę kamienicę, a potem, siłą bezwładu, kto wie, może i na schody, może i pod jej drzwi. Bo co wtedy? Zapukać czy odejść? Może usłyszawszy skrzypienie schodów, bo w takich kamienicach schody pod najlżejszymi stąpnięciami skrzypią, sama otworzyłaby mi drzwi, żeby zobaczyć, któż to do niej idzie? Czyżby listonosz z przesyłką, znów z jakimś materiałem na sukienkę? Co prawda, mógłbym spytać się, gdzie tu mieszka wdowa po doktorze Sobkiewiczu, lecz wydało mi się to tchórzliwe.

Uznałem w końcu, że najlepiej dla mnie będzie, jeśli wsiądę w samochód i wyjadę, skoro słońce tylko zajdzie. Panny Ponckie, na szczęście, odwiedziłem, a innych innym razem odwiedzę. Zastanawiałem się jedynie, jak powiadomić Kozę, że opuszczam przed czasem tę jego basztę. Mogłem zatelefonować lub zostawić mu karteczkę na portierni, lecz nie bardzo wypadało wobec jego życzliwego zaproszenia mnie tu. Poczułby się pewnie urażony, że tak nagle, bez uścisków, bez wgarnięcia się w ramiona, bez przyklepania po plecach naszych młodych lat, jakby gdzieś w tych plecach jeszcze się ostały. A nie bardzo chciało mi się iść do niego

do domu, zwłaszcza że wiedziałem, że bez wódki by się nie obeszło, jak to, raz na parę lat się widzimy i nie napijemy się? A pamiętasz w gimnazjum, co dzieńśmy się widzieli i jak żeśmy pili. Były czasy, choć nie było za co. A pamiętasz Fudalę? O, on ci, bracie, pił. Nie pamiętasz? Teraz gruba ryba. Zawsze wiedział, jak postawić i z kim wypić. A na takim Zamku, sam rozumiesz. Jeszcze kiedy go odbudowywali, można było coś tam. Ale teraz z samej tylko pensyjki, toś dyrektor a dziad. Powiem ci, że gdyby moja tego sklepiku nie miała, nie wiem, jakby związał koniec z końcem. Nieraz mnie namawia, rzuć w cholerę ten Zamek, stań za ladą. Ale jak bez tego Zamku, Piotruś? Tylu królów na tym Zamku, rozumiesz? A pamiętasz tę Tereskę z trzeciej B? No, z warkoczykami taka? Chodziłem z nią trochę. Nieduziutka, śliczności dziewczyna. Odbił mi ją Biernacki. Na raka umarła. Popatrz, jak nie wierzyć w przeznaczenie. A pamiętasz?

Nie, nie chciałem nic pamiętać. Patrząc zresztą na Kozę, odechciewało mi się cokolwiek pamiętać. Bez ciągłego przymuszania się trudno byłoby uwierzyć, że to ten sam płowy, drobny, chudy jak patyczek Koza. Cały czas w rozkroku na krześle, bo brzuch wylewał mu się wielką falą znad paska u spodni, jakby przybór znad brzegu, że miało się ochotę powiedzieć, odepnij się, Koza, nie męcz się tak. A w rozpulchnionej twarzy jedynie przy najlepszej woli dało się odnaleźć ślady dawnych rysów Kozy. Wyłysiały, wciąż pocierał się po tej łysinie, pocącej mu się jakby od nieustającego naporu tej pamięci. A pamiętasz? Ta pamięć rozsadzała go, szalała w nim. Miało się wrażenie, że cały czas walczy tą pamięcią o jedność tego płowego, drobnego, chudego jak patyczek Kozy i tłustego, łysego dyrektora Zamku. Ty, a pamiętasz? Miałem ochotę mu powiedzieć, przestań Koza, jeśli nie chcesz na siebie, spójrz na mnie, czy nie zdaje ci się, że nasza pamięć drwi z nas? Wobec tej jego pamięci czułem się zwykle bezradny, żeby nie powiedzieć, zawstydzony, a może i upokorzony. Toteż najchętniej

wyrzekłbym się wszelkiej pamięci. Odczuwałem tę pamięć nieomal jak winę. Eh, Piotr, Piotr. A pamiętasz po tej szkolnej zabawie? I czegoś ty się tak spił wtedy? I tak została twoją żoną. Eh, była z niej dziewczyna. Też się po cichu w niej kochałem. Wszyscy się kochali.

Słońce jakoś dziwnie wolno zachodziło, jakby utkwiło w zakratowanym oknie baszty, wychodzącym akurat na kościół Świętego Jakuba na przeciwległym wzniesieniu, wśród jesiennie poszarzałych ogrodów. Ogarniała mnie coraz dotkliwsza bezwolność, a gęstniejący półmrok pokoju najwyraźniej sprzyjał tej bezwolności. Nie mogłem się nawet zdobyć, żeby wstać z fotela i spakować się, skoro powziąłem już postanowienie, że wyjeżdżam zaraz po zachodzie słońca.

Patrzyłem wciąż w to zakratowane okno i miałem wrażenie, że moje myśli przepływają gdzieś obok mnie, ponade mną, po suficie, po ścianach, wsiąkają w półmrok tego pokoju czy też z tego półmroku wyłaniają się poza moją wolą. I zapewne to z tej bezwolności wyobraziłem sobie, że jestem zamurowany w tej baszcie. Nie umiałem sobie tylko wyobrazić powodu, dla którego mnie tu zamurowano. Wydawało mi się nawet, że to zakratowane okno, wychodzące akurat na zachód słońca i na kościół Świętego Jakuba, jest moim ostatnim skrawkiem świata, jaki mi łaskawie zostawiono. Chociaż jednocześnie trudno było mi uwierzyć, że to ten sam zachód słońca i ten sam kościół, w którym braliśmy z Anną ślub. Ale może właśnie dlatego zostawiono mi ten skrawek świata, abym patrząc nań, nie mógł uwierzyć. Bo udręka niewiary jest najdotkliwsza z udręk.

Wobec tej udręki, nawet przy bezwolności, jaka mnie ogarnęła, wydało mi się całkiem łatwe pójść odwiedzić burmistrzową. Wyobraziłem sobie, że chwilę waham się na ostatnim schodku, gdzie już mroczno przed jej drzwiami. Uniosłem już rękę i wskazujący palec zgiąłem do pukania, lecz jeszcze się waham, czy nie odejść, po czym delikatnie pukam, żeby tam, po

drugiej stronie drzwi, nie spłoszyć jej. Z początku cisza, a we mnie nadzieja, że może nie ma jej w domu, może wyszła na miasto, i serce wali mi młotem, że za chwilę ktoś na niższym piętrze wychyli głowę z jakichś drzwi i potwierdzi:

– Tej pani nie ma w domu. Poszła do tych kurew szyć sobie sukienkę. Tfu, myślą, że już wszyscy zapomnieli, kiedy zrobiły się krawcowymi. Zostawić karteczkę. Tak kazała, gdyby ktoś przyszedł. Ale kto by tam do niej przychodził. Ma karteczkę, ołówek czy dać?

Pukam drugi raz, ciut głośniej, i słyszę przez drzwi czyjeś przytłumione kroki, zbliżające się do drzwi, a po chwili dochodzi mnie omal przytulony do mojej głowy z tamtej strony szept:

– Kto tam?

– Proszę otworzyć – odpowiadam podobnym szeptem, tak samo przytulając głowę po tej stronie drzwi.

– Czego pan chce? – znów ten szept, może tylko bardziej stanowczy.

– Nie mogę pani tak przez drzwi tego wytłumaczyć – staram się głosowi nadać jak najłagodniejsze brzmienie. – Proszę się nie obawiać.

Szept po tamtej stronie jest wciąż nieustępliwy:

– Nie mogę tak każdemu otwierać, kto tylko zapuka. Nie słyszał pan, że najczęściej ofiarami padają samotne staruszki?

– Pani przecież nie jest stara – wyrażam zdziwienie.

Głos po tamtej stronie milknie, a po chwili, gdy mnie znów dochodzi, jest miękki, drżący:

– Proszę przynajmniej powiedzieć, kim pan jest. I tak to będzie wymagało, abym panu uwierzyła.

– Niestety, tego tak do końca nie wiem. Musiałaby mnie pani zobaczyć. Choć to też niewiele pani powie.

Cisza coraz dłuższa, zaczynam się już niepokoić, że może bezszelestnie odeszła od drzwi i nigdy ich przede mną nie otworzy, gdy niespodziewanie zazgrzytał klucz w zamku i drzwi z lekka odstąpiły od futryny, a z wąskiej szczeliny spojrzały na mnie duże, zwiędnięte oczy. I wtedy jednym tchem wyrzuciłem coś najbardziej głupiego:

– Pan burmistrz wpadał czasem do moich dziadków na zsiadłe mleko.

W tych oczach pojawił się ni to zawód, ni pobłażliwy uśmieszek.

– Ach, tak. Proszę, niech pan wejdzie.

Zacząłem coś od razu mówić, że nie chciałbym jej przeszkadzać, na chwilę tylko, zaraz uciekam, zatrzymałem się wyjątkowo na kilka dni w tym mieście, żeby odwiedzić znajomych, przyjaciół i przypadkowo dowiedziałem się, że i ona tu mieszka, a pamiętam ją, szliśmy z dziadkiem do gminy, a ona siedziała w ogrodzie pod parasolką i czytała książkę, dziadek jej się ukłonił, i ten widok żyje do dziś w mojej pamięci, lipiec to chyba był, tak, lipiec, bo słońce rozpościerało się na całym niebie i było tak gorąco. Przerwała mi:

– Napije się pan herbaty?

– Z przyjemnością – powiedziałem. – Ale proszę nie robić sobie kłopotu. Ja naprawdę na chwilę.

– Żaden kłopot – powiedziała. – Herbata już się parzy. Być może spodziewałam się pana. A poza tym zwykle pijam o tej porze.

Skąd mogła się mnie spodziewać, pomyślałem. Nie dałem jednak nic poznać po sobie i powiedziałem:

– Miło tu u pani, przytulnie – powiedziałem, chociaż nie umiałem sobie w żaden sposób wyobrazić, jak mogłaby wyglądać ta jej facjatka. Wszystkie, które przychodziły mi na myśl, nie odpowiadały zupełnie tej chwili.

– Proszę, czy pan słodzi? – wyciągnęła do pół stołu rękę, podsuwając mi srebrną cukiernicę – bo ja nie.

Nie zwróciłem w pierwszej chwili uwagi. Dopiero kiedy przysunąłem sobie tę cukiernicę bliżej filiżanki, zobaczyłem, że na szczycie wieczka stoi taka sama biała postać, tylko że maleńka, co na grobie burmistrza. Z lękiem ująłem ją w palce przy otwieraniu wieczka i dlatego nabrałem cukru aby na koniec łyżeczki.

– Dziękuję – powiedziałem, słysząc najwyraźniej, jak głos mi drży. I mimo że starałem się jak najdelikatniej mieszać łyżeczką, raz po raz uderzałem z brzękiem o ścianki filiżanki, a przypomniało mi to daleki pogłos bijącego dzwonu. – Dziękuję – powtórzyłem.

– Już pan dziękował – powiedziała.

Wstyd mi się zrobiło. Szukałem gwałtownie w myślach, co by tu powiedzieć, tym bardziej że wbrew mojej woli łyżeczka wciąż pobrzękiwała o ścianki filiżanki pogłosem tego dzwonu.

– Może niech pan już przestanie mieszać – powiedziała.

– Ach, rzeczywiście – powiedziałem i wyjąłem łyżeczkę z filiżanki, kładąc ją na spodeczku. I wówczas powiedziałem coś równie głupiego, jak przedtem o tym zsiadłym mleku:

– Pan burmistrz obiecał mojemu wujkowi, że znajdzie tego, kto wybił Kruczkowi oko.

Uniosła w zdziwieniu brwi znad filiżanki.

– Czyżby po to pan do mnie przyszedł?

– Ach, nie. Nie wiem tylko, co powiedzieć. Proszę mi wybaczyć.

Postawiła filiżankę na spodeczku, a po chwili z wyrozumiałością dla mojej niezręczności spytała:

– I któż to ten Kruczek?

– Taki pies sprzed lat – powiedziałem z wdzięcznością. – Pasł czasem ze mną krowy.

– Ach, rozumiem. To wiele wyjaśnia – powiedziała i jakby się właśnie nad tym Kruczkiem przez chwilę zamyśliła. – Ładne imię Kruczek dla psa – powiedziała z głębi tego zamyślenia.

Zapadło między nami wyjątkowo dokuczliwe milczenie i gdyby nie pobrzękiwania stawianych od czasu do czasu na spodeczkach filiżanek, można by pomyśleć, że nas to milczenie na zawsze od siebie oddaliło, bo nawet nie podnosiliśmy już na siebie oczu. Ja patrzyłem na zachód słońca w tym zakratowanym oknie w baszcie i na kościół Świętego Jakuba w jego tle, ona prawdopodobnie piła tylko herbatę i, być może, smak herbaty bardziej ją zajmował niż moje do niej przyjście.

– Właściwie nie wiem, dlaczego panią odwiedziłem.

Nie wydawała się tym zaskoczona.

– Widocznie miał pan jakiś powód – powiedziała obojętnie, podnosząc filiżankę do ust, a dotknąwszy ustami ledwo brzeżku, opuściła ją z powrotem na talerzyk, podtrzymywany w drugiej ręce.

– Może miałem nadzieję, że pomoże mi pani ten powód znaleźć.

– Ja? – żachnęła się. I trzymana za uszko filiżanka lekko zadygotała na podtrzymywanym w jej drugiej dłoni talerzyku.

Znów zapadło milczenie i tylko piliśmy herbatę, a nawet nie słychać już było brzęku stawianych na talerzykach filiżanek.

Słońce na szczęście zaszło w tym zakratowanym skrawku świata i jeszcze tylko jego dopalającymi się resztkami świeciła czerwień murów kościoła Świętego Jakuba.

10
Dotknięcie

Wydawało mi się, że wystarczy rozłożyć ręce, odbić się piętami o schodek, a poniesie mnie ze wzgórza gdzieś w tę noc ciemną, ponad naszym domem, ponad tą rozległą równiną, ponad światem. Lecz co próbowałem się podnieść, ściągało mnie z powrotem do ziemi i ani ręce nie chciały mi się dać rozłożyć, ani głowa wyciągnąć z szyi, a w dodatku mdliło mnie. Byłem pewny, że kiedyś sfruwałem z tego wzgórza. Przypomniało mi się nawet, że gdy mnie matka po coś do miasta wysłała, a nie chciało mi się zbiegać po schodach, sfruwałem aż pod same drzwi naszej sutereny. A nieraz przelatując ponad naszym domem, głuchy na jej dochodzące mnie z ziemi okrzyki, czy kupiłem chleb, sól, cukier, szybowałem gdzieś hen, na Góry Pieprzowe czy za Wisłę, czy do mostu kolejowego i tam osiadałem na którymś z przęseł. Ale widocznie wraz z tą pierwszą moją rozpaczą skończył się i mój skrzydlaty wiek.

Z trudem, bo z trudem domacałem się w końcu poręczy, najpierw jedną ręką, potem drugą i wszystkimi siłami, jakbym się ku niebu podciągał, uniosłem się na tyle, że udało mi się zarzucić ciało na tę poręcz. Już mnie teraz na szczęście poręcz sama podtrzymywała. Co prawda, raz mnie bardziej na nią zarzucało, raz mnie odciągało od niej, lecz wczepiony w nią całą siłą pijanych rąk, nie dałem jej sobie wyrwać.

Przyszło mi do głowy, czyby się nie rozpłakać. Dać wolność oczom i niech poleją się łzy. Noc, nikt nie będzie widział, a byłoby może to samo, co gdybym wzniósł się z tego wzgórza na rękach i poszybował gdzieś hen. W tej samej chwili usłyszałem w dole schodów skrzypienie poręczy. Po

samym tym skrzypieniu poznałbym, że to ojciec. Nie, nie miałem wątpliwości, szedł ku mnie. Nawet nie przystawał dla złapania tchu, tylko ta poręcz coraz ciężej skrzypiała i coraz głośniej biło w niej jego serce. Zobaczyłem tuż w ciemnościach jego wytrzeszczone oczy i nie tyle usłyszałem słowa, co to wdychane ciężko powietrze jakby nabrzmiałe od słów:

– Nie płacz. Spójrz, jaka na równinie bitwa. Zaraz ci opowiem o niej.

– Nie, nie chcę już o bitwach – powiedziałem. – Idę teraz do panien Ponckich. Muszę wreszcie zacząć swoje życie. Na razie mi nie wyszło. Ale nic. Nie mógłbyś mnie zaprowadzić? Pijany, widzisz, jestem. Tyle razy prowadziłem cię po tych schodach do lekarza. Mógłbyś ty mnie ten jeden raz. Nie sądzisz, że to lepsze niż gdzieś odlatywać, hen, czy płakać?

Po moście kolejowym przelatywał akurat pociąg, lecz nie zadudnił choćby dalekim echem, dając jedynie znać migającymi światełkami okien, że przelatuje. To tylko gdy się miało na deszcz, drżenie od mostu roznosiło się po całej równinie, a nawet przenikało wzgórze, mówiło się wtedy:

– Deszcz będzie. Pociąg słychać na moście.

Trzymając się ze wszystkich sił obiema rękami poręczy, zsuwałem stopę po stopie ze schodka na schodek, przedtem jeszcze obmacując czubkiem buta, czy zsuwam ją na twardy grunt, a nie w pustkę. I tak schodziłem coraz niżej i niżej. Czasami przystawałem, nasłuchując nie wiadomo czego w tej ciszy i w tej ciemności. Czasami mdliło mnie.

Musiałem być przy końcu schodów, bo prawie już widziałem, jak Ewelina z Różą patrzą na mnie z niewiarą, że to ja. Ach, nareszcie. Pan Piotr. Zrywają się z łóżek. Tyle lat pod jednym dachem. Tak długo nam kazał pan Piotr na siebie czekać. I czy to Róża, czy Ewelina szepcze mi do ucha, nie szkodzi, że pan Piotr jest troszeczkę pijany. I czy to Róża, czy Ewelina pyta gdzieś nad moją głową, a może pan Piotr napiłby się kakao?

I w tej samej chwili opuściła mnie odwaga, a w dodatku skończyła mi się poręcz w rękach. Klapnąłem więc na schodku, a był to już ostatni, i pożałowałem, że nie dałem się jednak odprowadzić Kozie. Ich dwie, nas dwóch, byłoby od razu wiadomo, po co przychodzimy. Nie wiem, czemu przypomniały mi się ich czarne woalki na pogrzebie ojca i zapragnąłem, żeby choć na chwilkę zajrzeć pod którąś z tych woalek, czy to Eweliny, czy Róży. Kto wie, może ich płacz pod tymi woalkami krył i moją udrękę. Bo wszystkie pozostałe płacze wyglądały przy tych czarnych woalkach, jakby deszcz po twarzach jedynie pokropił, nawet płacz wujenki Jadwini, chociaż jej zawsze uśmiechnięte oczy zdawały się być zaprzeczeniem płaczu, i także wujenki Marty, która płakała już więcej nad sobą, nie mówiąc o wujku Władku, który wciągał i wciągał ten płacz nosem, aż mu matka szepnęła do ucha, idź no, się wysmarkaj.

W oknach ich mieszkania wydawało się ciemniej niż na świecie i ciszej od tej ciszy, która zalegała nad Rybitwami. Nie udało mi się wyłowić choćby cieni kwiatków czy firanek w tych oknach. Pomyślałem, że już pewnie śpią głębokim snem, gdy wtem w drzwiach jakby zaskrobała mysz, po czym wyraźnie zazgrzytał przekręcany klucz, a chociaż ostrożnie, zgrzytnięcie rozległo się w tej ciszy na całe Rybitwy. Drzwi się uchyliły i jakby przeciśnięty przez nie, wytoczył się jakiś mężczyzna. Nie zdążył jeszcze oderwać ręki od futryny, na której wsparł się przy tym przeciskaniu, tyle że przekroczył próg, gdy drzwi natychmiast się za nim zamknęły i znów zazgrzytał, tym razem pospiesznie, przekręcany klucz. Popchnięty przez te drzwi, czy może siłą bezwładu, potoczył się przed siebie. Zaparł się jednak zaraz w ziemię i zaczął gmerać przy rozporku, rozglądając się po ciemnościach. Zadarł nawet głowę w niebo, jakby wypatrując gwiazd nad sobą. Kołysał się na wszystkie strony, wciąż tarmosząc się z tym

rozporkiem. Postąpił dwa, trzy kroki, jakby pchnięty jeszcze tamtą, nie wyhamowaną do końca siłą bezwładu.

Nie miałem wątpliwości, najwyraźniej zmierzał w moją stronę. Przedzierając się wzrokiem przez dzielącą nas ciemność, zaczął mi się z uwagą przyglądać, lecz zarazem jak gdyby niepewny, czy mu się nie zwiduję. Znów postąpił dwa, trzy kroki i ciemność między nami na tyle się przerzedziła, że wyłonił się na tej jego twarzy całkiem miły uśmiech. Byłem przekonany, że to do mnie się uśmiecha, doszedłszy widocznie do wniosku, że mu się jednak nie zwiduję, lecz prawdziwie siedzę na schodach, a kto wie, może i z wdzięczności, że oto odnalazł w tych ciemnościach bratnią duszę. Czekałem więc tylko, kiedy coś powie.

Wciąż jednak gmerał przy rozporku, a postąpiwszy znów dwa, trzy kroki, zaczął szczać. I choć niby dalej się do mnie uśmiechał, nabrałem podejrzenia, że mnie w ogóle nie widzi, mimo że ja go widziałem całkiem dobrze. Nie tylko ten uśmiech, lecz i czoło, nos, brodę, a przede wszystkim oczy, które to otwierał na całą szerokość, a wówczas i ten uśmiech rozkwitał, to znów ze znużeniem przymykał, a wtedy i ten uśmiech jak gdyby zasypiał.

Dzieliła go ode mnie jeszcze dość bezpieczna odległość, toteż strumień wydawał mi się kląskać miękko, pieniście, jakby nie na ubitą ścieżkę, lecz gdzieś poza nią, w rozpulchnioną ziemię. Widocznie jednak stanie w jednym miejscu nie przynosiło mu ulgi, bo nie przerywając sobie, znów podsunął się dwa, trzy kroki ku mnie. Strumień zaczął nagle spadać niczym z wysokości wieży, a nawet miałem wrażenie, że rozbryzguje się już całkiem niedaleko moich stóp. Na wszelki więc wypadek ściągnąłem stopy pod siebie.

Chciał się znów podsunąć, lecz kiwnął się przy tym tak głęboko, że mogło się wydawać, jakby przed upadkiem uratowało go jedynie to, że

przytrzymywał się prawą ręką przy rozporku. Nie patrzył już w moją stronę, spuścił głowę ku temu spadającemu na ziemię strumieniowi, być może, w niemym podziwie dla samego siebie czy też w oczekiwaniu upragnionej ulgi. Wyglądało, że to nieustający napór pęcherza tak pcha go wciąż naprzód i naprzód, bo znów potoczył się, a tak gwałtownie, jakby miał zamiar zatrzymać się dopiero przy mnie. Chciałem już powiedzieć, tylko nie bryzgaj pan na mnie, gdy całą siłą woli, aż go zarzuciło do tyłu, wyhamował. Chwilę kiwał się w przód, w tył, aż nagle poderwał spadającą mu wciąż głowę, wyciągnął lewą rękę przed siebie i jakby z trudem odrywając stopy od ziemi, ruszył chwiejącym się krokiem ku schodom. Złapał się tą wyciągniętą ręką poręczy, a wstąpiwszy na pierwszy schodek, na którym siedziałem, wsparł się nawet z lekka drugą ręką na moim ramieniu.

Poznaliśmy się w kilka lat później. Byłem już na studiach i po zakończeniu roku zjechałem na wakacje do matki. Siedział przy stole pod oknem, a matka, stojąc przy kuchni, wdrabiała cebulę do garnka. Nie miałem wątpliwości, że to on. Wsparty łokciem o stół, z głową złożoną na dłoni, wpatrywał się w okno i nawet nie uniósł głowy, kiedy wszedłem. Przywitałem się z matką, która zaraz jednak wypuściła mnie z objęć, wskazując na niego.

– O, poznaj się z panem inżynierem. To mój syn. Wspominałam panu, że dzisiaj przyjedzie. A pan inżynier most tu będzie budował, wiesz? Przydałby się, bo ten aby na tymczasem postawili i od wojny stoi.

Wtedy dopiero zdjął głowę z tej dłoni i wyciągnąwszy niedbale ku mnie rękę przez stół, burknął coś, co miało być nazwiskiem, a z którego usłyszałem nieledwie jakąś sylabę. Nie lubiłem nikogo obcego zastawać, kiedy przyjeżdżałem do matki, toteż matka, wiedząc o tym i chcąc mnie

pewnie ułagodzić, a zarazem i pochwalić się przed nim, zarzuciła mnie od razu pytaniami:

– No, jak tam? Pozdawałeś wszystko? Gdziebyś ty zresztą czegoś nie zdał. Anka też przyjechała? O, mówiłam tu panu, że od małego tak się dobrze uczyłeś. Sam się czytać nauczył, sam pisać. Po froncie szkół jeszcze nie pootwierali, to chodził do jednego tu nauczyciela, starszy już był człowiek, to takie mądre zadania mu zadawał, mówię panu. Jedno takie raz mu zadał... o czym to było? Przypomnij no mi.

– Niech mama przestanie – próbowałem jej przerwać, zwłaszcza że tamten znów się zapatrzył w okno i słuchał albo i nie słuchał.

– A, o dzwonie, przypomniałam sobie. Że dzwon jak bije, to zawsze na nieszczęście. Na śmierć, na wojnę, na powódź, ogień. A choćby na Anioł Pański kiedy bije, to tak samo nie na radość bije. Już coś takiego w dzwonach jest. Tu, u nas, na dziewiątą wieczór od Katedry bije to jakby, o, gdzieś w tej górze, pod miastem bił. Aż ciarki przechodzą. I tak pięknie napisał, mówię panu.

– Prosiłem, żeby mama...

– Czego i ty – obruszyła się. – Co prawda, to prawda. Spytaj się pana. No, niech pan powie, czy nieprawda, tak dzwony biją.

Ale on wciąż patrzył w okno, a gdy nawet przeniósł wzrok na izbę, to w jego znużonych oczach widać było jedynie to zapatrzenie się w okno. I poza tą sylabą, gdy wyciągnął do mnie rękę na powitanie, nie odezwał się ani słowem. Toteż matka, jak zawsze gotowa do przyjścia w chwilach trudnych z pociechą, powiedziała:

– Przyjdą, przyjdą. O, już powinny być. O tej porze nigdy na długo nie wychodzą. – A chociaż ocierała sobie raz po raz wierzchem dłoni łzy, które wyciskała z jej oczu cebula, zadarła głowę i wskazując nożem w wyciągniętej ręce na sufit, powiedziała: – Będzie tutaj słychać. Jak są

w domu, zawsze na suficie słychać. W ciapkach mogą chodzić czy boso, a słychać. Wiesz, pan inżynier jest kuzynem naszych panien. Chodził pan koło domu, no, to zaprosiłam pana, żeby u nas poczekał. A to ci dopiero, nigdy mi nie powiedziały, że mają kuzyna inżyniera. O, wymówię im.

Zamiast wziąć w obronę kuzynki, schylił się, sięgnął do teczki stojącej na podłodze, tuż przy nodze, i wyciągnął litrową butelkę wódki. Odbił jednym uderzeniem w dno, postawił na stole i z tą samą niedbałością, z jaką wymawiał przy powitaniu nazwisko, rzucił:

– Da nam pani szklanki? Napijemy się z synem.

Jakby błysk radości pojawił się w załzawionych od cebuli oczach matki.

– A może podać kieliszki?

– Nie, szklanki – powiedział.

Postawiła więc dwie szklanki, jedną przed nim, drugą przede mną.

– Tylko synowi niech pan dużo nie leje. Jeszcze po tych egzaminach. O, jaki to wymizerowany. Nie zje tam jak trzeba. Nie wyśpi się.

– Pani się z nami nie napije? – spytał z tą samą niedbałością w głosie.

– A to może troszeczkę. – Postawiła jeszcze jedną szklankę, lecz nie dała sobie więcej nalać niż po dnie. – Może przyszykować coś na przekąskę? Nie mam nic, ale chociaż po kawałku chleba z serem.

– Nie. Chyba że syn.

– Dać ci coś? – podchwyciła matka.

– Dziękuję – powiedziałem. A choć nie miałem najmniejszej ochoty do picia, ta wódka wydawała mi się ratunkiem, bo cały czas czekałem w napięciu, że może powie:

– Myśmy się chyba już gdzieś spotkali? Tylko gdzie? Nie w pociągu czasem? Albośmy jechali od stacji tą samą dorożką? Widzi pan, młodzieńcze, jaki świat jest mały.

Ta noc sprzed lat odżyła we mnie z taką dotkliwością, że widziałem go wyraźniej tam kiwającego się przede mną, niż siedzącego tu, po drugiej stronie stołu.

Nalał po pół szklanki mnie, sobie i uniósłszy swoją szklankę, kiwnął mi głową, bez jednego słowa. Po czym odchyliwszy się, wlał całą zawartość w gardło, postawił szklankę na stole i nie spojrzawszy nawet, czy i ja wypiłem, zapatrzył się znów w okno.

– Ależ to mocna, mocna – powiedziała matka i zabierając swoją szklankę ze stołu, wróciła do kuchni, coś tam zamieszała, przestawiła i spojrzawszy nagle w sufit, wyrzuciła:

– Też i one. Żeby tak długo nie przychodzić. I gdzież to poszły? A to ci dopiero, nie przyznać się, że mają takiego kuzyna. Musiały się pana nie spodziewać, boby mi powiedziały, że kuzyn ma do nich przyjechać. Dużo rzeczy mi mówią. I pewnie by się przyszykowały. Co jak co, ale gościnne są, nie powiem. Może chciałyby coś upiec, toby przyszły, żeby przepis im dać. O, kiedyś tu im dałam na schab ze śliwkami, to tak wszystkim smakowało. Imieniny którejś były. Większe towarzystwo nawet zaprosiły. Ze trzy kilo schabu poszło. A dzisiaj tak schabu nie dostanie, żeby pójść do sklepu i kupić. Trzeba znajomości mieć. Przed wojną kazałam sobie u rzeźnika trzy kawałki ze środkowego, to mi się jeszcze pytał, z tego środka czy z tego łaskawa pani sobie życzy. A dzisiaj kto panu powie, łaskawa pani. Stoją jak te drągi za pustymi ladami, a wszystko mają pod ladami schowane i dla swoich tylko.

Odwrócił głowę od okna i znów nalał bez słowa. Sobie jak za pierwszym razem do połowy szklanki, mnie do tej miary jedynie dopełniając, bo nie wypiłem więcej niż połowę połowy, którą mi za pierwszym razem nalał, a i to przez ściśnięte gardło. Ale jakby go w ogóle nie obchodziło, czy piję, czy nie.

Uniósł szklankę, znów mi kiwnął, przechylił, wypił, a właściwie wlał w gardło, i na powrót zapatrzył się w okno. Także tym razem upiłem niewiele tej połowy. Od tej pierwszej szkolnej zabawy prawie nie piłem wódki. A gdy już musiałem, bo okazja nie pozwalała odmówić, to kieliszek, dwa najwyżej. Znów nalał, znów mi kiwnął, przechylił, wypił i znów zapatrzył się w to okno. Matka, zajęta przy kuchni, też jakoś zamilkła.

W głowie zaczynało mi się kręcić. Dotknąłem się policzka, to jakbym czegoś obcego się dotknął, a przeniosłem wzrok gdzieś na ścianę czy w głąb na mieszkanie, to nic nie chciało już wisieć czy stać w tym samym miejscu. Po którejś kolejce nawet wódka nie wydała mi się już tak obrzydliwa jak na początku. I zapewne gdyby nie to, że między jednym a drugim nalaniem ciągnęły się niemal epoki milczenia, byłbym już dobrze pijany, jak wtedy po tej szkolnej zabawie. To milczenie coraz bardziej mi ciążyło, bo jakże to pić i nie mówić? A nawet czułem się za nie winny, bo on przynajmniej postawił tę wódkę, tym samym zapraszając mnie przecież do rozmowy. Raz i drugi, odwróciwszy głowę od okna, przejechał nawet wzrokiem po izbie, po mnie, po matce. A w pewnej chwili z nagła zawiesił na mnie wzrok i zaczął mi się z uwagą przyglądać, jakby coś mu się w związku ze mną przypomniało. Jakkolwiek nie spodziewałem się, że tamta noc, czekałem w napięciu, że coś powie:

– Nie, to nie było, młodzieńcze, w pociągu. Ani też nie jechaliśmy razem dorożką. Zaraz. Czy nie nad morzem?

Nic jednak nie powiedział i odwrócił na powrót głowę do okna. Nagle wyrwał ją z tego okna i znów nam nalał.

Postanowiłem wreszcie coś powiedzieć. Kto wie zresztą, czy nie czekał na to, bo gdy uniósł szklankę z wódką, chwilę ważył ją w ręce, przechylając w jedną, w drugą stronę, i wpatrywał się w rozkołysany w szklance płyn, jakby odnalazł w nim właśnie wspomnienie naszego spotkania nad

morzem. I gdzieś w głębi oczu uśmiechnął się do tej szklanki. Nic jednak nie przychodziło mi do głowy, więc po chwili, nie kiwnąwszy mi nawet, przechylił, wypił i znów odwrócił głowę do okna.

Zastanawiałem się, czyby go o te plany nie zapytać, po które wówczas do panien Ponckich wrócił, czy to może były plany tego mostu. Lecz wydało mi się to nie na miarę milczenia między nami, tym bardziej że nie chciał pamiętać tamtej nocy. Milczałem więc dalej i coraz częściej, już prawie bezwiednie, sięgałem do niedopitej wódki w szklance.

To milczenie zaniepokoiło w końcu i matkę, bo spojrzawszy po raz któryś w sufit, wyrzuciła prawie oburzona:

– Matko Święta, a czegóż ich nie ma?! Kuzyn do nich przyjechał, a te poszły i poszły. – I zamieszawszy w garnku, przeniosła resztkę tego oburzenia na mnie: – I co tak nic nie mówisz? Pan inżynier liczył, że sobie pogadacie. Chciał już iść, tylko pana powstrzymałam, że przyjedziesz, to na pewno pogadacie, a przez ten czas i one przyjdą. A ty nic. Przecież nie jesteś taki milczek. I nie pij tyle, bo ci zaszkodzi.

Ręką jakby nieco omdlałą objął butelkę i znów nalał. Po raz pierwszy wypiłem, jak i on, do dna. Matka coś tam mówiła, że niech się jej tylko zagotuje, to pójdzie zobaczyć, może śpią, bo już sama nie wie, gdzie mogłyby na tak długo pójść. A lubią czasem i w dzień pospać. O, cisza na suficie, wydaje się, że gdzieś poszły, a one śpią. Z trudem unosiłem już wzrok i na co spojrzałem, zjawiało mi się podwójnie, ta butelka między nami, szklanki, on, choć siedział tuż naprzeciw mnie. A chwilami jakby nie mieścił się w moim wzroku lub zjawiał mi się z dwiema szklankami w dwóch uniesionych rękach, z których każda z osobna wlewała wódkę w jego osobne gardła.

– Miałeś dobrą podróż? – spytała matka. Kiwnąłem głową, że dobrą. – Siedziałeś czy stałeś? A nie pokrapywało, jak od stacji szedłeś? Jaka ci tu,

u nas, wczoraj była ulewa. Browarną to tak woda waliła, wprost rzeka. Nałapałam pełne wiadro deszczówki, to sobie włosy umyjesz. Aha, miałam ci powiedzieć, panu Jaskóle koń zdechł, ten siwy. Ze dwa tygodnie temu będzie. Przyszedł weterynarz, to było już po koniu. A i te weterynarze dzisiaj. Zamiast zastrzyk jakiś dać, to kazał go w boki gnieść. Może idź go odwiedź jutro. Pytał mi się tu kiedyś, chyba syn niedługo przyjedzie?

Zobaczyłem znów jego wyciągającą się niepewnie rękę w kierunku butelki, a przez moment dwie i obie mu drżały. Jakby już trochę po omacku próbował na tę butelkę trafić. Chwycił ją mocno za szyjkę i zbierał chwilę siły, zanim uniósł ją ze stołu. Nalał tym razem najpierw sobie, rozlewając trochę po stole, i jakby pytającym wzrokiem spojrzał na mnie, czy też mi nalać. Po czym wzniósł rękę z tą butelką wysoko ponad stół i z tej wysokości dopiero zaczął schodzić z wolna ku mojej szklance. Ręka chwiała mu się niczym gałąź na wietrze, obsuwała się poza otwór szklanki, więc wyciągnął ją na całą długość i unosząc ponownie, jeszcze wyżej, znów zaczął ten sam manewr, schodząc z tą butelką niczym schodek po schodku. Jednak moja szklanka jakby odsuwała się od tej jego ręki z butelką, tak że chlusnął wódką na stół. Wstał, choć z wyraźnym trudem, i przytrzymując się jedną ręką brzegu stołu, drugą, z tą butelką, podjął próbę od nowa. Matka wyraziła nawet coś w rodzaju żalu:

– O, jakby nawet przyszły, to już widać nie nacieszą się dzisiaj kuzynem. Oj, nie. Ale dobrze im tak, mogły siedzieć w domu.

Przechylony całym ciałem ku mnie, naprowadzał trzęsącą się ręką tę butelkę przez stół nad moją szklankę. Sapał przy tym coraz bliżej mojej głowy, a nawet przymknąwszy lewe oko, prawym mierzył w otwór szklanki, jakby w umykający mu wciąż cel. Pot mu rosił się na twarzy, choć zarazem wydawało mi się, że tym celującym okiem uśmiecha się do siebie, śledząc, jak ta szyjka nie może ustać nad otworem szklanki, tylko wciąż

obsuwa mu się wraz z ręką na boki. W końcu z tej szyjki, częściowo do szklanki, częściowo na stół, zaczął wypływać taki sam trzęsący się jak ta jego ręka strumyczek.

Niewiele mi nalał, tak na palec ponad dno, więcej rozlewając po stole, po czym ciężko klapnął, aż krzesełko pod nim zatrzeszczało. Z ulgą postawił butelkę na stole. Nie odmykał jednak dalej lewego oka i patrzył tylko tym prawym, jakby gdzieś wciąż celował. Nagle objął szklankę całą dłonią, jakby chciał ją zgnieść, i odchylając się, wypił. Stuknął opróżnioną szklanką o stół. Łypnął do mnie tym celującym okiem, otwierając zarazem i drugie, i głosem jakby mozolnie wyciąganym z głębi nagromadzonego milczenia wymamrotał:

– A co pan sądzi o Szekspirze?

Spojrzałem na matkę. Stała podwójna przy kuchni, z podwójną kopyścią wspartą nieruchomo o dwa brzegi dwóch garnków i chyba nawet podwójnie czekała, patrząc na mnie, co odpowiem.

– Odpowiedz, kiedy cię pan pyta. – Uśmiechnęła się nawet jakby ze skrytą nadzieją, że wreszcie będzie mogła udowodnić tamtemu, że nie darmo jest dumna ze mnie. – No, co nic nie mówisz?

Tamten rozłożył ręce na stole, opuścił głowę ledwo już podtrzymywaną na karku i wwiercał się jakby od dołu we mnie rozbełtanymi oczyma. Matka spłoszona, że nie odpowiadam, zadarła nagle głowę w sufit i nasłuchując, powiedziała z przejęciem:

– Cicho. Chyba są. O, ktoś chodzi po suficie. – Wyciągnęła rękę w górę. – Jakby tu. Muszą boso chodzić. W ciapkach trochę głośniej je słychać. Siedźcie, a ja polecę zobaczę.

Wybiegła z mieszkania, a tamten uniósł głowę i trzęsącą się ręką objąwszy butelkę, zaczął ją po stole przyciągać do swojej szklanki. Miał właśnie zamiar ją dźwignąć, gdy wpadła matka, z radością oznajmiając:

– Są! Panie inżynierze, są kuzynki! Co dopiero przyszły. Zgadłam, że jeszcze nie zdążyły ciapków założyć. Boso chodzą.

Z trudem wstał, wspierając się obiema rękami o stół. Chwilę rozglądał się po mnie, po matce, po mieszkaniu, jakby próbując przypomnieć sobie, gdzie się znajduje, i na przemian to wytrzeszczał, to przymrużał oczy.

– Ucieszyły się, jak im powiedziałam, że kuzyn do nich przyjechał – powiedziała matka, zapewne chcąc go podtrzymać, żeby z powrotem nie usiadł. Uśmiechnął się, ale tak w ogóle, nie do niej. Spróbował schylić się po teczkę, lecz matka, widząc, że nie bardzo daje sobie radę, sama mu tę teczkę podniosła i podała do ręki.

– Całuję... rączki – wymamrotał. I chwiejnymi zakosami wytoczył się z mieszkania.

– Czemuś mu nie odpowiedział? – zapytała z wyrzutem matka, zamykając za nim drzwi. – Jeszcze gotów pomyśleć, że nie wiesz.

Słyszałem go, jak wspinał się ciężko po schodach za moimi plecami, a chyba i ciągnął się po poręczy, bo poskrzypywała, lecz coraz ciszej, aż całkiem ucichła. Za chwilę jednak od góry zadudniły kroki. W pośpiechu wracał, a gdy mijał mnie na tym ostatnim schodku, gdzie siedziałem, rzucił:

– Cholera, teczkę zostawiłem. Hej, dziewczyny! – Zatłukł w okno. – Teczkę z planami zostawiłem.

Cichutko zazgrzytał przekręcany w drzwiach klucz i aby tylko na tę teczkę drzwi się uchyliły. Nie spostrzegłem, czy podała mu ją jakaś ręka, czy ta teczka sama się z uchylonych drzwi wysunęła. Ledwo ją złapał, drzwi się natychmiast zamknęły i znów zazgrzytał przekręcany klucz.

Jak za pierwszym razem, tak i teraz, mijając mnie, wsparł się ręką o moje ramię.

– Wolne są – wymamrotał. – Takim długo nie trzeba.

Nie wiem, czybym do nich poszedł bez tej jego zachęty. Zwłaszcza ta zostawiona teczka, po którą wrócił, dodała mi odwagi. Chwyciwszy się poręczy, spróbowałem wstać i dużo łatwiej mi poszło niż tam, na górze. Chwiałem się jeszcze, lecz najważniejsze, że mnie już nie mdliło. Podsunąłem się wolniutko, uważając na każdy swój krok, do okna i zaskrobałem delikatnie w szybę. Po tamtej stronie odpowiedziała mi cisza. Przesunąłem się więc do drugiego okna i już trochę głośniej zapukałem, lecz i to nie wzbudziło żadnego odzewu. Czyżby tak od razu zasnęły po tej teczce, pomyślałem. Zapukałem jeszcze głośniej, wszystkimi palcami, i dopiero odezwał się Róży czy Eweliny oburzony głos:

– Śpimy już. Proszę jutro przyjść.

– To ja, Piotr – przystawiając usta do szyby, wyszeptałem, lecz widocznie za cicho, bo znów doszedł mnie oburzony głos Eweliny czy Róży:

– Nawet w środku nocy nie dadzą spokoju. Proszę odejść od okna. Natychmiast!

Zatłukłem już całą pięścią.

– Cóż za natręciuch! – któraś wykrzyknęła. I w tej samej chwili tuż naprzeciw mnie odsunęła się firanka i ich głowy przylgnęły do szyby, wychylając się z ciemności, ze stojących w oknie pelargonii.

– To ja, Piotr – zaskamlałem.

– Boże ty mój, pan Piotr. – Zakotłowało się od ich głów i także od tych pelargonii.

Zazgrzytał przekręcony pospiesznie klucz i drzwi się otworzyły na całą szerokość. Stały obie przede mną w nocnych koszulach, boso, spłoszone, żeby nie powiedzieć, przerażone, wypychając się nawzajem z tych drzwi.

– Co się stało? Czyżby z mamą coś? – zasypały mnie pytaniami.

Ewelina czy Róża pobiegła przodem i zanim mnie wprowadziły, zapaliła nocną lampkę. Lampka ledwo oświetlała pokój, lecz mimo to rzucał się w oczy bałagan, jaki tu panował. Nie tylko zmierzwione łóżka, co było o tej porze zrozumiałe, ale dosłownie wszystko zdawało się być nie na swoim miejscu, porozrzucane tu, tam, skotłowane, jakby ktoś zatrząsł tym pokojem niczym szkatułką. Sukienki, majtki, staniki, koszule walały się po podłodze. A na rozścielonym kocu między stołem a tremem kłębiły się kolorowe poduszeczki, którymi zwykle upiększały kanapę i łóżka. Narzuta z kanapy też była zdarta i rzucona gdzieś pod stół. W oknie, od strony naszej sutereny, ledwo trzymała się na wpół oberwana firanka. Krzesełka każde gdzieś osobno, jedno do góry nogami wywrócone. A na stole pośród filiżanek, kieliszków, talerzyków z resztkami jedzenia, papierków z czekoladek stał pantofelek Eweliny czy Róży.

Przypomniało mi się, jak ojciec razu jednego opowiadał matce, że oficerowie, kiedy się bawili, z pantofelków pili. I matka nie chciała uwierzyć.

– Z pantofelków? A idźżeż ty. To jakieś zboczeńce. Może kaprale? Gdzie by ci oficerowie.

Nie rozglądałem się, bo w oczach mi się to wszystko mieszało, lecz widocznie spostrzegły, że chcąc nie chcąc widzę, bo Róża czy Ewelina bardziej ze smutkiem niż usprawiedliwieniem powiedziała:

– Ano, musiał pan Piotr kiedyś prawdę poznać. Życie, panie Piotrze, nie ma tylko jednej strony. Po tej się człowiek śmieje, a po tamtej płacze, po tej tęskni, ma nadzieję, a po tamtej czas płynie. – A Ewelina czy Róża, załamując nade mną ręce, wykrzyknęła: – Boże ty mój, jak pan Piotr wygląda! Cała marynarka, o, i spodnie. Czy pan Piotr nie upadł gdzieś? O, i tu, na łokciu, i tu, na kolanie. I jednego guzika pan Piotr nie ma. Nic, zaraz wyczyścimy, odprasujemy, przyszyjemy. Gdzieś taki guzik powinnyśmy

mieć. Nie może pan Piotr w takim stanie wrócić do mamy. Proszę to zaraz zdjąć z siebie.

Szamotałem się i szamotałem, ale nie mogłem wyjąć nawet ręki z rękawa. Dopiero same mi zdjęły marynarkę, jedna ściągając jeden rękaw, druga drugi.

– Pan Piotr, zdaje się, troszeczkę podpity – powiedziała któraś filuternie. A nim wydusiłem z siebie, dziękuję, rozpięły mi pasek u spodni, ściągnęły spodnie, zzuły buty i posadziły mnie w fotelu.

– Pan Piotr się nie wstydzi – powiedziała Róża czy Ewelina. A Ewelina czy Róża rzuciła: – Jakie ma pan Piotr buty zabłocone, Boże ty mój! Nic, wyczyścimy i będą znowu lśniły.

Gdy się tak uwijały przy mnie, przez ich nocne koszule bił zapach ni to ich ciał, ni perfum, ni czegoś, czego nie umiałem sobie z niczym skojarzyć. Biegając w tych koszulach po pokoju, przypominały mi, nie wiem czemu, powiewające sztandary. Może dlatego że powiewające sztandary zagnieździły się w moim krajobrazie razem z kościołami, wzgórzami, sadami, no, a przede wszystkim z tą rozległą równiną, na której toczyło się tyle bitew świata, a nad każdą powiewał las sztandarów. Wtem któraś załopotała, jakby wiatr tak powiał sztandarem.

– Ach, trzeba przecież choć trochę posprzątać! Zapomniałyśmy. – I złapała tego pantofelka ze stołu, ciskając go pod łóżko. W jakimś nienaturalnym pośpiechu zaczęły przenosić filiżanki, kieliszki, talerzyki, i co tam tylko stało, na pobliski kredens, a papierki po czekoladkach zrzucać na podłogę. W tym ich pośpiechu dawało się wyczuć rozdrażnienie. Potrącały się, wchodziły sobie w drogę, rzucały na siebie pełne żalu spojrzenia i jedna drugiej zabierała spod ręki czy to talerzyk, czy filiżankę, a nawet milcząco jakby sprzeczały się, nie ruszaj tego, to moje, a ty zabrałaś przedtem moje.

Nagle Róża schyliła się pod stół i zaczęła zbierać papierki po czekoladkach i chyba coś między tymi papierkami znalazła, bo rzuciła z oburzeniem:

– Świnia. – I wszystkie te zebrane papierki przyciskając w garści do piersi, wyniosła do kuchni. – Pan Piotr nam wybaczy – powiedziała. – Nie spodziewałyśmy się pana Piotra.

– Pan Piotr już nie dziecko – wyrzuciła Ewelina – nie przyszedł do nas na kakao. Rano zwykle pan przychodził, pamięta pan? – I łapiąc leżące tuż przy łóżku na podłodze majtki, spytała: – A co te majtki tu robią?

– Mnie się pytasz? – obruszyła się Róża. – Sama je tam rzuciłaś. Tak ci się widocznie spieszyło.

– Ja rzuciłam? Ja? – zaperzyła się Ewelina. – Zaczęła zbierać, a właściwie zrywać z podłogi, z krzesełek leżące w nieładzie części bielizny i potrząsając nimi pod oczyma Róży, wybuchała: – To też moje? I to? I to? – I rzucała wszystko z powrotem w ten sam nieład. – To tobie się spieszyło. O, nawet ciastka do końca nie zjadłaś. – I podbiegłszy do kredensu, złapała talerzyk z niedojedzonym ciastkiem i podsunęła pod oczy Róży.

Na co Róża z wyniosłością odparła:

– To nie moje ciastko. Wiesz przecież, że nie lubię kremówek.

Ewelina, jakby się wahając, czy nie upuścić talerzyka z tym niedojedzonym ciastkiem na podłogę, nagle rozpłakała się. Wtedy Róża wyjęła jej z ręki ten trzęsący się od płaczu talerzyk i odstawiając go z powrotem na kredens, powiedziała:

– Nie płacz. Musimy panu Piotrowi garnitur wyczyścić, wyprasować. Przynieś szczotkę i trochę wody, ja nastawię żelazko.

Przymknąłem powieki, udając, że mnie sen morzy. Zląkłem się bowiem, żeby Ewelina nie podsunęła mi tego niedojedzonego ciastka, domagając się

ode mnie rozstrzygnięcia na swoją korzyść:

– Niech pan Piotr powie, komu się spieszyło? Proszę, niech pan będzie bezstronny. Mówiła, że nie lubi kremówek. A czy to jest kremówka? Niech pan weźmie skosztuje. To nie jest kremówka. Nie jest kremówka. Nie jest.

A potem już nie chciało mi się tych powiek otworzyć, tym bardziej że kręciło mi się trochę w głowie i poczułem ponowny przypływ mdłości.

Przelatywały wciąż to jedna, to druga obok mnie, szykując ten stół do czyszczenia, prasowania i owiewając mnie raz po raz ni to zapachem swoich ciał, ni perfum, ni czegoś, czego nie umiałem sobie z niczym skojarzyć. Wystarczyłoby mi wyciągnąć rękę, aby czy jedną, czy drugą chwycić w tym przelocie i choćby powiedzieć, panna Róża siądzie przy mnie, proszę, panna Ewelina siądzie przy mnie, proszę. Słyszałem, jak rozkładają mój garnitur na stole, któraś prycha wodą, czyści, a któraś czyści moje buty. W pewnej chwili, zniżając głosy, zaczęły wymieniać się szeptami:

– Na szczęście zasnął. – I zachichotały cichutko. – Nawet ładnie mu w tym krawacie hrabiego Mundka. – Znów chichnęły. – Ach, kiedy tylko przypomnę sobie hrabiego Mundka, zaraz mi się chce płakać. Potrzymaj mi ten rękaw. Jakiż on był delikatny, Boże ty mój. Cóż, przyszedł teraz czas na inżynierów, moja droga. Och, żeby tylko. Musimy się przyzwyczaić. Pryśnij mi tu wody.

Zapadła cisza. Słychać było tarcie żelazka po stole, szum szczotki na bucie. Któraś prychnęła wodą i zawołała w moją stronę:

– Pan Piotr położy się w moim łóżku. Zanim wyczyścimy, wyprasujemy, to pan Piotr się prześpi. Albo w moim – powiedziała druga. – Niewygodnie panu Piotrowi w tym fotelu.

– Nie śpię – gwałtownie zaprzeczyłem. I wbrew sobie otworzyłem oczy. – Nie chce mi się spać.

Spojrzały jedna na drugą. A Ewelina nabrała szybko z kubka wody w usta, lecz nie udało jej się prysnąć na moje spodnie, które akurat czyściła, śmiech bowiem buchnął z niej razem z tą wodą, aż się zakrztusiła. A Róża powiedziała:

– Byłoby dziwne, gdyby się panu Piotrowi nie chciało. Po takiej zabawie.

– Naprawdę nie chce mi się – zacząłem się usprawiedliwiać. – Przespałem się trochę na schodach.

– Na schodach? – któraś podejrzliwie się zdziwiła.

– Jakiś mężczyzna wychodził od pań i mnie zbudził – powiedziałem, żeby podeprzeć to usprawiedliwienie.

Najwyraźniej się spłoszyły, lecz natychmiast Róża nadąsana rzuciła:

– Od nas?

A Ewelina gwałtownie zaprzeczyła:

– To niemożliwe. Nikogo u nas nie było. Nic dziwnego, na schodach mógł pan Piotr mieć taki sen. Położyłyśmy się zaraz z wieczora. Jeszcze w łóżkach trochę tang tylko posłuchałyśmy.

– Ale nie do końca, pamiętasz, bo kazałaś zgasić, że już śpisz.

Tak mnie skołowały, że nie miałem śmiałości upierać się przy swoim. A nawet zacząłem się zastanawiać, czy rzeczywiście mi się nie przyśniło, że tamten wyszedł od nich, że stał przede mną, szczał i mówił.

– W snach się najdziwniejsze rzeczy śnią – powiedziała Ewelina. – Jeszcze po zabawie. Nieraz dalej zabawa się śni. Tańczy się, tańczy, a nawet się czuje, że w czyichś ramionach. I człowiek się budzi cały zlany potem. Jeszcze jak na sali gorąco.

– Pewnie mają panie rację – zgodziłem się nieśmiało. – Mnie na przykład często morze się śni, a nie byłem nigdy nad morzem. Miałem

tylko w dzieciństwie marynarskie ubranko. I w którejś klasie napisałem na klasówce, że chciałbym zostać marynarzem.

– Marynarzem? – wyrzuciła ze zgorszeniem Róża.

– Marynarzem – potwierdziłem. – Śniło mi się kiedyś, że słońce w morzu tonie i od tego tonącego słońca morze się podnosi i podnosi, sięga mi do kostek, do kolan, do pasa, do szyi i zbudziłem się.

– Czyli widzi pan Piotr, że nikt u nas nie mógł być – z irytacją wyrzuciła Ewelina i aż przybiła żelazkiem o stół, jednocześnie z wyrzutem zwracając się do Róży: – Czemuś mi nie popryskała wodą? Szmatka mi się przypaliła. – I jakby dając upust jakiemuś żalowi, powiedziała: – Nikomu nic się nie śni za darmo. Na sny trzeba życiem zarobić, i to nieraz gorzko. Och, jak gorzko. Nie przyśni się ból, gdy na jawie nie boli. Nie przyśni się też miłość, jeśli na jawie się nie kocha.

A Róża, jakby chcąc uwolnić tamtą od ciężaru tego żalu, powiedziała z wyraźnym rozdrażnieniem:

– Tak zawsze jest z gimnazistami. Przychodzą do nas szukać swoich snów, śmieszni. Ni to mężczyźni, ni cherubini. Nie dość, że ich matkami jeszcze czuć, to każdego ucz. Szczęście, że nie mają pieniędzy. Zadręczyliby nas.

Głowa mi pękała. Chociaż gorzej od głowy dokuczało mi coraz wstydliwsze poczucie, że tu przyszedłem. Nic bowiem nie zapowiadało, że któraś choćby w przypływie kaprysu, jak nieraz w przypływie kaprysu nastawiały płytę i brały mnie w swoje ramiona, gdy przychodziłem do nich na kakao, odejdzie od tego czyszczenia, prasowania i chociaż pogłaszcze mnie po ręce, po głowie lub przynajmniej przypomni sobie:

– Pan Piotr też przecież gimnazista. Ach, Boże, jak te lata lecą.

Lecz tylko jedna do drugiej rzuciła oschle:

– Uważaj, bo znowu przypalisz.

Noc za oknami już z lekka zaczęła się przecierać, a one czyściły, prasowały, prasowały, czyściły. Nagle jedna drugiej wręczając żelazko, powiedziała prawie obrażona:

– Poprasuj teraz ty. Ręka mnie już zabolała. Miłość! Miłość! Co oni wszyscy wiedzą o miłości. To się wie dużo później, a nieraz dopiero na końcu. Miłość to nie to, z kim by się... – zawiesiła głos, jakby nagle o coś się potknęła – lecz z kim by się umierać chciało. – Była bliska płaczu. Toteż tamta szybko złapała od niej to żelazko i jakby przejmując i jej płacz na siebie, powiedziała z wyrzutem:

– Pan Piotr nie powinien. Nie powinien. Sądziłyśmy, że przynajmniej pan Piotr... Że dla pana Piotra jesteśmy... jak... jak... starsze siostry. Bo my pana Piotra uważałyśmy zawsze za braciszka. Młodszego, kochanego braciszka.

Teraz w tej zaczął narastać płacz, przejęty od tamtej, i z coraz większym trudem dusiła ten płacz, jednocześnie przygniatając coraz mocniej żelazko do nogawki moich spodni, bo akurat prasowała spodnie.

– Świtać już zaczyna – oznajmiła sucho Ewelina. Podeszła do okna, odgarniając firankę. – Dziwne, że jeszcze ptaki nie wrzeszczą. O tej porze zawsze tak straszliwie wrzeszczą. Z najgłębszego snu człowiek musi się zbudzić. – I odwracając się na pokój, z wymuszoną beztroską spytała: – A jak pan Piotr bawił się na zabawie? – głos jeszcze miała drżący po tym niedoszłym płaczu, lecz jej oczy rzucały już zimne odbicia świtu. – Często grali tanga?

Miała pewnie ochotę zarzucić mnie dalszymi pytaniami, bo już zaczęła, a pan Piotr, lecz Róża znad żelazka przerwała jej:

– Pan Piotr by do nas nie przyszedł, gdyby dobrze się bawił. Do nas szczęśliwi nie przychodzą.

Na co Ewelina w nagłym przypływie uniesienia przerwała z kolei Róży:

– Ach, nie ma piękniejszych melodii od tang. Tango można tańczyć bez końca. Tango nigdy się nie znudzi. Jeszcze w czyichś mocnych ramionach, słysząc czułe szepty przy uchu. Bez końca. W tangu o wszystkim się zapomina, wszystko przestaje boleć, tylko by się tańczyło, tańczyło.

Zaczęła się kołysać w takt jakby rozbrzmiewającego w jej duszy tanga, a po chwili popłynęła na pokój, omijając zręcznie meble i zawiewając nocną koszulą niczym sztandarem. Wydawała się nic nie słyszeć, prócz tego tanga. Czasem wpadała w ostry rytm i gwałtownie się okręcając, zamierała w miejscu, po czym znów płynęła, wiotka, bezszelestna, niesiona przez to rozbrzmiewające w jej duszy tango, ledwo szemraniem bosych stóp dając znać, że tańczy.

– Może teraz ty byś poprasowała – powiedziała znad żelazka Róża, przygniatając całą sobą żelazko do stołu.

– Później – rzuciła w rozmarzeniu Ewelina. I nagle przyspieszając rytm, podpłynęła ku mnie, muskając po moich gołych nogach powiewem nocnej koszuli. Zatrzymała się i rozpościerając tę koszulę po bokach niczym suknię balową, zgięła się w półukłonie.

– Czy można braciszka prosić? – Ujęła moją rękę i prawie wyszarpnęła mnie z fotela. – Proszę się nie przejmować, że nam nic nie gra. Pan Piotr też ma przecież duszę pełną tang, prawda?

Chciałem powiedzieć, że w głowie mi się kręci i bez spodni jestem, więc może nie wypada, lecz mnie uprzedziła:

– Niech się braciszek nie wstydzi. Też jestem boso i w nocnej koszuli.

Wtuliła mnie mocno w siebie, zachłannie, tak że uderzył mnie zwielokrotniony zapach ni to jej ciała, ni perfum, ni czegoś, czego nie umiałem sobie nawet w tej bliskości z niczym skojarzyć.

– Niech pan Piotr się nie smuci – usłyszałem jej czuły szept tuż przy uchu. – Zdąży pan Piotr następnym razem czy następnym. Będzie jeszcze

niejedna zabawa. Ma pan Piotr całe życie przed sobą. Do miłości wiedzie cierniowa droga, panie Piotrze. Miłość to nie poryw. Nie otrzymuje się jej ot, tak w darze, i to na pierwszej lepszej zabawie, do tego szkolnej. Miłość trzeba wytęsknić, wycierpieć, wypłakać. A i tak nie ma pewności, czy się zjawi. Proszę mnie mocniej przytulić. W tangu powinno się być blisko. Uczyłyśmy pana Piotra. I tę rękę na plecach troszkę swobodniej.

Trudno powiedzieć, że tańczyliśmy, ona może tak, bo raz po raz próbowała wprowadzić mnie w rytm tego tanga, które rozbrzmiewało w jej duszy. Lecz w mojej duszy było głucho i w dodatku znów zaczęło mnie mdlić, a zapewne i wstyd mnie też usztywnił, że jestem bez spodni i boso. Toteż nogi mi się plątały jak nie swoje. Co ona chciała w prawo, to ja w lewo, ona w lewo, to ja w prawo, jakbym nigdy w życiu nie tańczył tanga. Deptałem jej raz po raz po nogach, lecz zarazem bałem się przepraszać za to deptanie, żeby nie wyszło na jaw, że więcej depczę, niż tańczę. Dobrze, że byliśmy oboje boso. Zapewne czując ten mój strach, po każdym nadepnięciu szeptała:

– Nie szkodzi. To nawet miłe. – I nie przejmując się tą moją niezdarnością, przechylała mnie od siebie, do siebie, odsuwała, przyciągała, wymyślając najróżniejsze figury, z których większości nie znałem. Nagle przyspieszając rytm, okręcała mną po kilka razy w jedną, drugą stronę, aż musiałem się na niej wesprzeć, żeby nie stracić równowagi. Lub przytrzymując mnie mocniej w ramionach, martwiała na moment, wciskając mnie ze wszystkich sił w swoje piersi, w swój brzuch, po czym próbowała płynąć, jakbyśmy jednym ciałem byli, szepcząc mi do ucha jakieś czułe słowa lub darząc mnie tkliwymi westchnieniami, które miały mówić więcej niż słowa, a kto wie, czy nie mówiły wszystkiego.

Miałem cały czas wrażenie, że ciągnę się przy niej półsenny, zmartwiały, bez chęci do życia. I pewnie chciała wyrwać mnie z tego stanu,

obudzić, dodać wiary w siebie, bo powiedziała:

– Wspaniale pan Piotr tańczy.

Nieoczekiwanie w ten nasz taniec wdarła się znad żelazka Róża:

– A czy to prawda, panie Piotrze, że podobno tanga są teraz zakazane na zabawach? To aż takie straszne czasy przyszły? I cóż komu winne? A do nas przychodził taki jeden, zawsze na trybunie w święta stał i defilady przyjmował. To on lubił tanga. Zawsze chciał, żeby mu najpierw jakieś tango puścić. A najbardziej lubił *Nasza jest noc*. Nieraz w kółko kazał to puszczać.

Przepływaliśmy właśnie koło stołu, kiedy Róża spojrzała na nas pełnymi łez oczami.

– My to tak kochamy tanga, pan Piotr sobie nie wyobraża. Nieraz słuchając, lubimy się nawet smucić. A nieraz się i popłaczemy. A z kim pan Piotr najwięcej tańczył? Z jedną czy z wieloma? Tango powinno się tylko z jedną. Z tą wybraną, wymarzoną, z którą by się chciało życie przeżyć. Hrabia Mundek zawsze mówił, że tango to modlitwa dwóch serc do siebie.

– Hrabia Mundek, hrabia Mundek – usłyszałem nadąsany szept Eweliny tuż przy uchu i w tej samej chwili zostałem gwałtownie okręcony, aż o mało co nie wypadłem z jej ramion. Lecz widocznie przewidziała to, bo przytrzymała mnie z całej siły. – Nie ma już hrabiego Mundka – powiedziała na głos. – Po co ciągle wspominać. – I tak samo gwałtownie wtuliła mnie w swoje piersi, w swój brzuch. – Trzeba z życiem płynąć, prawda, panie Piotrze? – I złożyła głowę na moim ramieniu, jakby chciała się poddać teraz mojej woli.

Kołysaliśmy się w miejscu, ona z tą głową na moim ramieniu, a co chciałem dać krok, jeszcze mocniej wtulała mnie w siebie, najwyraźniej żądając, abyśmy tak kołysali się w tym jednym miejscu, bo widocznie tak to tango kołysząco rozbrzmiewało w jej duszy.

– Ach, jak on pięknie potrafił mówić – powiedziała znów Róża. – Już nikt tak teraz nie potrafi. – Postawiła żelazko, nabrała wody w usta, prysnęła, po czym całą sobą przygniotła to żelazko do stołu. – A kto mówić nie potrafi, ten i kochać nie potrafi. Czy nie tak, panie Piotrze? Teraz wszyscy strasznie schamieli po tej wojnie. Nasłuchamy się nieraz, Boże ty mój.

Ucho moje nagle wychwyciło cichuteńkie szemranie na moim ramieniu. Chciałem spytać, pani płacze? Na szczęście przytuliłem głowę do jej głowy i nie miałem już wątpliwości, że słyszę to rozbrzmiewające kołysząco w jej duszy tango, które przypominało trochę płacz. Znów nas doszedł głos Róży znad żelazka:

– To spodnie ma pan Piotr już uprasowane. Można wkładać. Jeszcze tylko marynarka. Ale to już ty odprasuj, a ja zatańczę teraz z panem Piotrem.

Bez słowa sprzeciwu, nie czekając, aż się tango skończy, Ewelina zostawiła mnie w miejscu, gdzieśmy się kołysali, i w to kołysanie weszła Róża.

– Z naszym kochanym braciszkiem – powiedziała czule. – Miłym takim, słodkim. – I cmoknęła mnie w policzek. – To tylko siostrzany – zastrzegła się. I wtuliła mnie jak tamta w swoje piersi, w swój brzuch i kołysaliśmy się dalej, jak z tamtą, w tym samym miejscu, a pewnie i to samo tango rozbrzmiewało w jej duszy.

Od tego kołysania sen mi z wolna zaczął sklejać powieki, tak że było mi wszystko jedno, z tą czy z tamtą tańczę, a nawet wcale nie odczułem tej zamiany. Taki sam jak od tamtej bił i od tej zapach ni to ciała, ni perfum, ni czegoś, czego nie umiałem sobie z niczym skojarzyć. Ziewnąłem, a ona natychmiast powiedziała:

– O, nasz braciszek kochany śpiący. – I nie tając złości, potrząsnęła mną. – Proszę nie spać. Tańczymy. Proszę mnie przytulić – rozkazała, kładąc mi ręce na ramionach. – Mocno. Mocno. I nie stójmy już w miejscu.

– Nasz braciszek dzisiaj biedny, zawiedziony – powiedziała Ewelina znad żelazka, a nawet wydawało mi się, że z prawdziwym współczuciem.

– Biedny, zawiedziony? – Róża zerwała głowę z mojego ramienia i spojrzała mi w oczy. – Ale chyba nie z naszego powodu? My byśmy panu Piotrowi nieba przychyliły. Pan Piotr wie o tym, prawda?

– Może powinnaś pocieszyć naszego braciszka – odezwała się znów Ewelina.

– Ach, nie, panie Piotrze. – Róża pogłaskała mnie po policzku. – Nie wolno zabijać tej pierwszej rozpaczy w sobie. Jakież zresztą z nas pocieszycielki. – I złożywszy znów głowę na moim ramieniu, westchnęła: – Szkoda, że pan Piotr już wyrósł z tych lat, kiedy przychodził do nas na kakao. Taki pan Piotr był wtedy miły, tak się tulił do nas. Wystarczyło pana Piotra po główce pogłaskać, poczęstować czekoladką. – Nagle zerwała głowę z mojego ramienia i gwałtownie zakręciła nami, jakby rzucając nas w wir uciekającego czasu. – Cudowne, prawda? A jakiż rytm.

Nie czułem żadnego rytmu, raczej wydawało mi się, że biegamy dookoła pokoju, aby szybciej i szybciej, a jeszcze co rusz obijałem się o wystające meble.

– Musimy się zapomnieć – szepnęła zdyszana. – Zatracić się. Ach, jakie to byłoby piękne umrzeć w tangu. Taka noc nigdy już się nam nie zdarzy. Nigdy. – I w tej samej chwili zwolniła, jakby nagłe zmęczenie ją opadło. – Nie, pokołyszmy się lepiej. – I znów złożyła głowę na moim ramieniu. – Czy bardzośmy się postarzały, panie Piotrze, od tamtego czasu?

Świt wdzierał się przez okno coraz bielszy. I pewnie tak by się skończyła ta noc, że kołysalibyśmy się, kołysali, ażby w jej duszy to tango

ucichło, gdyby tamta nad żelazkiem nie powiedziała od rzeczy:

– A czy pan Piotr słyszał, że najwięcej samobójstw jest z powodu tang? Nawet gdzieś czytałyśmy, że jeden taki ułożył tango i zastrzelił się.

– Nie zastrzelił, tylko przez okno wyskoczył – powiedziała Róża znad mojego ramienia głosem sennym czy może tylko zasłuchanym w to kołyszące nas coraz wolniej tango.

– A nieprawda, zastrzelił. – Ewelina aż przybiła żelazkiem o stół.

– Co za różnica, wyskoczył czy zastrzelił – powiedziała Róża obojętnie.

– Chyba nawet mamy to tango. – Ewelina, odstawiwszy żelazko, podbiegła do etażerki zastawionej gęsto płytami. – Zaraz puszczę panu Piotrowi.

– Nie mamy – powiedziła Róża i wtuliła się całą sobą we mnie jakby w przypływie lęku. – Hrabia Mundek nam stłukł. Nie pamiętasz?

– A właśnie, że mamy. Mamy.

I zaczęła nerwowo przebierać na chybił trafił w tych płytach po półkach. Wyszarpywała je stąd, stamtąd i ledwo rzucając na nie wzrokiem, odkładała w nieładzie na podłogę.

– W tę ostatnią noc, kiedy u nas był – powiedziała Róża. – Jeszcze powiedział, pamiętam, więcej śmierci niż miłości jest w tym tangu.

Tamta jednak coraz zawzięciej szukała tego tanga.

– O, w tym miejscu, gdzie właśnie tańczymy z panem Piotrem, stłukł. Rozprysło się na cały pokój. Jeszcze potem długo znajdowałyśmy kawałeczki przy sprzątaniu. Zresztą po co budzić pamięć. Pamięć jest okrutna, prawda, panie Piotrze?

Wysunęła się delikatnie z moich ramion i podbiegła do Eweliny.

– Czekaj, pomogę ci. – Zaczęła zbierać z podłogi te porozrzucane płyty, wkładając je z powrotem na półki.

Wtem Ewelina obtuliła się rękami i z jakąś skargą w głosie powiedziała:

– Och, jak mi zimno, zimno mi. Przytul mnie.

I Róża, objąwszy ją, przytuliła do siebie.

– Może nie tę płytę stłukł – powiedziała. – Może pomyliłam. To znajdziemy ją. Na pewno znajdziemy. – I niemal z błaganiem w głosie zwróciła się do mnie: – Bardzo proszę. Niech pan Piotr już idzie.

– Nie skończyłam panu Piotrowi prasować marynarki. Przepraszam – wyszeptała z żalem znad jej ramienia Ewelina.

– Pan Piotr nam wybaczy, prawda? – powiedziała Róża, tuląc wciąż do siebie Ewelinę. – Tam mama pewnie niepokoi się przez sen o pana Piotra. Matki mają sny jak ptaki czujne. Albo kto wie, może w ogóle nie śpi. Proszę nam wybaczyć. – I z takim samym gasnącym żalem westchnęła: – Braciszek nasz kochany.

Matka rzeczywiście już nie spała albo miała tylko taki czujny sen, bo ledwo wszedłem, otworzyła na całą szerokość oczy, aż błysnęło na poduszce. Jakkolwiek starałem się jak mysz wchodzić i najdrobniejszy nawet ruch wykonywałem w zwolnieniu, rozkładając go na wiele czynności. Dzięki temu ani klamka nie zazgrzytała przy naciśnięciu, ani drzwi nie zaskrzypiały, choć zwykle skrzypiały, i to tak zjadliwie, że matka już nie wytrzymywała i wciąż postanawiała pójść poprosić pana Jaskółę, aby coś z nimi zrobił, nasmarował czy zawiasy zmienił, bo nie dość, że głowa jej od zmartwień pęka, jak tu, skąd tu, zasnąć nieraz nie może, to jeszcze te drzwi.

Świt w naszej suterenie był spóźniony w stosunku do świtu u panien Ponckich i jedynie pod oknem trochę jaśniej było, cała reszta natomiast, a zwłaszcza gdzie łóżko matki stało, zalegała jeszcze w półmroku.

– To ładnie zaczynasz, nie ma co – odezwała się z tego półmroku. Głos miała wyraźnie wzburzony, lecz trzymała go na wodzy. – Kto to widział,

żeby o tej porze z zabawy wracać. I to uczeń. O, ładnie, nie ma co. Profesory też do tej pory hulały z wami? A i popiłeś, widzę. Jak to, nie widzę? Mnie tak łatwo nie oszukasz. Gdzieś tak długo był?

– Siedzieliśmy w parku z chłopakami – skłamałem.

– O tej porze w parku?

Lecz jakby ten park, a trochę i ciekawość, przezwyciężyły w niej oburzenie.

– To jak tam było? – spytała ciut już udobruchana. – Tańczyłeś?

Kiwnąłem jej głową i zacząłem się rozbierać, bo sen mnie taki morzył, że najchętniej uwaliłbym się w ubraniu na łóżku. Krawat nie chciał mi się dać zdjąć z szyi, guziki przy koszuli wymykały mi się z palców, a nawet z paskiem u spodni miałem kłopoty, jakby był na węzeł tak ściśle zawiązany. Na szczęście, okazując wyrozumiałość dla mojego stanu, przerzuciła się na panny Ponckie:

– A te nasze tak samo całą noc hulały. Sufit aż się trząsł. Jakby je gonili, tak latały. – Uniosła się z poduszki i wyciągnąwszy rękę, pokazywała po suficie, gdzie tak je gonili. – Nie jeden musiał u nich być. I musieli dobrze popić, bo trzeźwi tak się nie ganiają. Nawet kroków nie mogłam odróżnić, tylko jeden kłąb, tak się to przewalało. Myślałam, że tańczą, ale nie było słychać muzyki. Aż dziwne. Cichutko nieraz grają, a słychać. A ty z kim najwięcej tańczyłeś?

– Z taką jedną.

– Na imię ma jak?

– Anna.

– Dobrze chociaż tańczy? – usłyszałem już przez sen, a nawet byłem pewny, że śni mi się i w tym śnie matka do mnie mówi, o coś mi się pyta, a mnie ten sen muruje usta. – Najpierw choćby w tańcu dobrze się sprawdzić, bo potem w życiu może być za późno.

Naciągnąłem na siebie pierzynę i pod tą mięciutką pierzyną sen mnie trochę zwolnił z uścisku, a nawet zobaczyłem pod przymkniętymi powiekami, że i w naszej suterenie już na dobre świta.

– Bo nasermater takie życie, kiedy jedno w tę, drugie w tę ciągnie. A jak przynajmniej jedno i drugie dobrze tańczy, to mogą potem i żyć dobrze. Bo co to za życie z drągiem, co nie potrafi kroku dać. Nie wyciągniesz ani na zabawę, ani w żadne towarzystwo. I w domu tylko siedź. Do pracy, z pracy. Taka to ci i spojrzeć nie da na inną, tylko od razu zazdrość. Ludzie taneczni więcej potrafią zrozumieć jedno drugie. Od tańca wspólne życie się zaczyna, a że na łzach się nieraz kończy, to już takie ono jest i niczyja w tym wina. A już kobieta musowo powinna umieć tańczyć. Mężczyźnie więcej uchodzi. Twój ojciec nie bardzo umiał, mówiłam ci chyba. Tango to aby chodził, a przeważnie deptał mi po nogach. Miałam nieraz czubki u pantofli całe pogniecione.

Zjawiła mi się Anna, ale nie wiem, czy to we śnie, bo zarazem słyszałem, jak matka do mnie mówi. Zagrali właśnie tango, lecz nikt do niej nie podchodził. Wszyscy patrzyli w moją stronę, a ja stałem ze spuszczoną głową przy ścianie, wsparty o drabinki gimnastyczne, zawstydzony i pełen dręczącej mnie winy, że najchętniej bym uciekł z zabawy, lecz i na to nie było mnie stać.

– Nieraz sobie myślę, czy wyszłam z miłości za twojego ojca – w ten sen, nie sen, weszła znowu matka. – Choć nie powiem, dobry był z niego człowiek. A że nie umiał tańczyć, to każdy czegoś tam nie umie. Choć kto wie, czy tylko z żalu tak nie mówię. Z żalu nieraz co innego człowiek mówi, niż myśli, czuje. Nie opowiadałam ci chyba, jak się poznaliśmy?

Sen mnie na dobre już zmorzył, lecz gdybym nawet powiedział, że opowiadała, nie odstręczyłoby jej to, żeby mi jeszcze raz opowiedzieć.

– Jechaliśmy z jarmarku z Ostrowca – usłyszałem jej zamierający głos. Chociaż mógł to być także ostatni puls mojej własnej pamięci, bo znałem to na pamięć, jak się poznali. A jechało się przez Ćmielów, niewielkie miasteczko, słynne z karczem i kiełbas, no, a przede wszystkim z fabryki porcelany. Miałem nawet przed wojną taki dzbanuszek do kakao, z dużym, łukowatym uchem, w którym mieściła się cała moja dziecinna rączka, i wychodzącą od podstawy łabędzią, długą szyjką, przez którą ciągnęło się to kakao. Na jednej stronie kubka widniał napis „Ćmielów” i pod nim ruiny zamku, a na drugiej „kakao” i właśnie ta fabryka porcelany z wysokim kominem.

Dostałem ten dzbanuszek od którejś z licznych ciotek ze strony ojca, z których jednak żadna na stałe nie zdołała zadomowić się w mojej pamięci. Pojawiają się na jej obrzeżach czasem jakieś szczątki twarzy, spojrzeń, uśmiechów, które, gdy chcę je zatrzymać, płoszą się, znikają. Słyszę jakieś głosy, lecz bardziej ich melodię niż słowa, ze słów nie udałoby się nawet zdania złożyć, widzę jakieś sukienki w groszki, w kwiaty, kołyszące się na ich biodrach, jakieś korale, broszki, bransolety, imiona szukające bezradnie po mojej pamięci swoich właścicielek. Oprócz jednej ciotki Heli, rodzonej siostry ojca, kaleki, proszącej mnie za każdym razem, gdy nie może przejechać na wózku przez próg z kuchni do pokoju, popchnij mnie, Piotruniu. Ale też tylko przychodzi mi na myśl w związku z tym dzbanuszkiem, kiedy przez jego łabędzią szyjkę z dziecięcą zachłannością ciągnę w pamięci to kakao. Kto wie, może to właśnie przez ten dzbanuszek z łabędzią szyjką tak polubiłem kakao?

Matka od którejś z tych ciotek dostała w prezencie ślubnym komplet do owoców, składający się z dwunastu talerzyków i patery, z widokami raju, a na każdym talerzyku inny. Na żadnym jednak nie było, żeby Bóg wyganiał Adama i Ewę. Toteż jakoś mi się nie chciały te talerzyki zgodzić

z tym, co ksiądz mówił na religii w szkole, i kiedyś nawet spytałem o to matkę.

– A bo kto tam wie, jak naprawdę było – powiedziała. – Wygnał albo i nie wygnał. W fabryce też niegłupi pracują, wiedzą, co malują. Ale lepiej słuchaj księdza, bo dwóję dostaniesz.

Najpierw stłukła się ta patera, podobno jeszcze przed moim urodzeniem, a ostatni talerzyk, jaki został z całego kompletu, trzymała matka schowany w szafie i owinięty w bielusieńką szmatkę. Zastanawiając się, jak najgościnniej przyjąć Annę, gdy miałem ją pierwszy raz do nas przyprowadzić, wyciągnęła ten talerzyk, mówiąc:

– O, podam jej ten talerzyk od mojego ślubu, z rajem. – I z nieukrywaną dumą tak właśnie powiedziała do Anny: – A to talerzyk jeszcze od mojego ślubu, z rajem. Już ostatni. – I coś chyba dodała o raju jak te talerzyki kruchym.

Dla chłopów jeżdżących na jarmarki przez Ćmielów do Ostrowca liczyły się jednak przede wszystkim te karczmy i kiełbasy, a nie porcelana. Wyjeżdżano tuż po zmierzchu, zwłaszcza że z naładowanymi wozami konie wlokły się noga za nogą, a do Ostrowca było prawie pięćdziesiąt kilometrów, tak że jechali całą noc bez mała, jeszcze droga była pełna dziur, wybojów. Jeżdżono zwykle raz do roku, z końcem lata, po zbiorach, czasem drugi raz na przedwiośniu. Zawsze w burki ubrani albo, jak mówiono, w bondy do ziemi, z kapturami, podobne do mnisich habitów, bo noce o tej porze były zwykle chłodne, więc tym bardziej gdy potem wracali, musieli się gdzieś zatrzymać, żeby coś zjeść, wypić, jak to po jarmarku. A Ćmielów był akurat po drodze, no, i dziesięć kilometrów tylko za Ostrowcem, i te karczmy, kiełbasy, to hulaj dusza. Niejeden cały utarg z jarmarku tu zostawiał. Niejednego potem konie same przyciągały do domu.

Najsłynniejsza wśród tych karczem była podobno karczma mojego późniejszego dziadka, w samym rynku, naprzeciw ratusza. Nie mówiło się zresztą nigdy karczma, lecz restauracja, bo karczmy tylko na wsiach są, obruszała się matka, gdy ktoś powiedział karczma. Trzy sale, bufet, stoliki, krzesełka i gości kelner obsługiwał, więc tym bardziej nie mogła być to karczma, tylko restauracja. Miała nawet nazwę „U Balcera”, bo tak na imię było dziadkowi.

W tej to karczmie „U Balcera”, czyli restauracji, od lat zatrzymywał się, wracając z Ostrowca z jarmarku, ojciec matki, czyli mój późniejszy drugi dziadek, tak że dziadkowie już znali się na długo przedtem, nim poznali się ojciec z matką.

Zwykle z dziadkiem na te jarmarki jeździł wujek Stefan albo wujek Władek, czasem obaj, lecz ten jeden jedyny raz wybrała się z nimi i matka, żeby kupić sobie na sukienkę i jakieś pantofle, poza tym trochę nici, igieł, haftek, zatrzasek, tasiemek. Podobno nie chcieli jej z sobą zabrać, bo żadna z kobiet nigdy nie jeździła na jarmarki do Ostrowca, a już zwłaszcza panny, a to ze względu na odległość i noce, tak że były to męskie jarmarki. Nawet burki nie mieli dla niej, lecz poobwijała się w jakieś ciepłe chusty i pojechała. Mówiła potem, że to było przeznaczenie, zwłaszcza że nie kupiła sobie ani na sukienkę, ani żadnych pantofli, trochę tylko tych nici, igieł, haftek, zatrzasek, tasiemek, a po to samo nie opłaciło się jej całą noc trząść na wozie i marznąć.

Jak zwykle zajechał dziadek w powrotnej drodze pod karczmę drugiego dziadka, a jeszcze nie zdążył lejców owinąć na kłonicy ani zawiesić reptucha koniom u łbów na dyszlu, gdy drugi dziadek wyszedł z karczmy, żeby zobaczyć, kto to podjechał, a zobaczywszy matkę na wozie, rzucił gromko, jak to miał we zwyczaju:

– Córka?

– Córka.

– Ależ to ślicznocha, ślicznocha. Czemu żeście jej do tej pory nigdy nie przywieźli. – I zawołał w głąb karczmy, czyli restauracji: – Chodź no tutaj, Zygmunt! Zobaczysz, jaką to ślicznochę przywieźli!

Ojciec wyszedł co dopiero z wojska i przyjechał do dziadka odpocząć po tylu latach służby, no, a przede wszystkim zastanowić się, co ma dalej robić. Namawiał go dziadek, żeby nigdzie już nie jeździł, tylko został tutaj i poprowadził tę karczmę, czyli restaurację, a dziadek wreszcie by sobie odpoczął, bo mu się już należy. Obiecywał nawet, że się szyld zmieni, zdejmie się „U Balcera”, a powiesi „U Zygmunta”. Lecz ojciec nie widział się za karczmarza, a choćby i restauratora. Nie lubił gwaru, krzyków, wódki też mało co pił i niewiele mówił. Wiecznie jakby gdzieś w siebie zapadły, zapatrzony, zamyślony. Nieraz miało się wrażenie, że co innego widzi, choć na to samo patrzy co wszyscy. Dziadek twierdził, że to dlatego za tyle lat służby dosłużył się ledwo porucznika, choć powinien być co najmniej majorem. Bo to tak jak z restauratorem, nie wyjdzie mu z pół litra dwanaście pięćdziesiątek, to lepiej, żeby zwinął interes. A czasem jakby całkiem wzrok go opuszczał. Matka już po jego śmierci mówiła, że nosił w sobie jakąś tajemnicę, do której nigdy jej się nie przyznał. Nie był zresztą najmłodszy, gdy się pobierali, a matka była w kwiecie wieku.

Przywołany przez dziadka, gdy wyszedł przed karczmę, czyli restaurację, i zobaczył siedzącą na wozie matkę, w pierwszym odruchu chciał się cofnąć, jakby coś go spłoszyło. Lecz dziadek, widocznie przewidując takie zachowanie ojca, przytrzymał go za ramię.

– Pokaż no, żeś oficer. Pomóż tej ślicznocie zejść.

I dopiero wtedy odżył w ojcu na chwilę oficer, podskoczył do wozu, podał matce rękę, a gdy zeskakiwała, chwycił ją w pasie i zestawił na ziemię.

– No, co, byłaby z nich para – powiedział dziadek restaurator. – Jak mi Bóg miły, musi być moją synową. – I do tamtego dziadka, który zakładał u dyszla reptuch z obrokiem koniom: – To co, żenimy ich, Józefie?

– Ano, jakby chciała. Ale to już sami muszą.

– Ptasiego mleka by im nie zabrakło. Restauracja dopiero by ruszyła, jakby taka ślicznocha za bufetem stała – rozmarzył się dziadek restaurator. – Proszę, wejdźcie. Siadajcie, o, tam. – Posadził ich przy najlepszym stoliku. Sam przyniósł wódkę, kiełbasę, kieliszki, talerzyki, sam ponalewał, porozkładał.

Ojciec tymczasem wycofał się w najodleglejszy kąt sali, gdzie zalegał półmrok, i tam oparty jakby o ten półmrok, patrzył wytrzeszczonymi oczami, jak oni jedli, pili, śmiali się, a matka miała wrażenie, że coś więcej widzi tymi wytrzeszczonymi oczami, niż tylko to, że oni jedzą, piją, śmieją się. Mówiła, że nie bardzo jej się podobał, lecz właśnie oczy miał jakieś takie głębokie, że same przyciągały.

– Nie skąpcie sobie. Jesteście dzisiaj moimi gośćmi – zapraszał na dobre już rozochocony dziadek restaurator. – A niechby czasem tylko pobyła trochę za bufetem, waliliby drzwiami i oknami. Szedłby interes, o, już widzę. Można byłoby i gorące wprowadzić. Kotlety, flaki, bigos. I zwracając się do stojącego wciąż tam, w najodleglejszym kącie sali, ojca: – Nie musiałbyś nigdzie wyjeżdżać, Zygmunt, i posady szukać. Tu miałbyś do końca życia posadę. No, co, synu? Weź sobie krzesełko, przysiądź się do nas. Co tam tak wystajesz? Ta ślicznocha jeszcze gotowa pomyśleć, żeś niezdatny. A przecie żeś oficer. Rzuć no jakąś komendę, niech usłyszą. Baczność! – zaśmiał się dziadek restaurator, a drugi dziadek powiedział:

– Zostawcie go, muszą sami. Jak żyta czy pszenicy nie przyspieszy, żeby prędzej dojrzało, tak i z ludźmi. Muszą sami. Nikt się tego samego dnia nie poznaje i tego samego dnia nie żeni. Muszą sami.

A matce żal się ojca zrobiło, bo w tych jego wytrzeszczonych oczach, gdy tak stał w tym półmroku w najodleglejszym kącie sali, jakby już wtedy śmierć zobaczyła, i z tego żalu go pokochała. Ale być może dlatego tak mówiła, bo nie mogła mu darować, że ją odumarł. Kiedy oświadczyłem się już Annie i powiedziałem jej o tym, spytała mnie:

– Kochasz ją? Bo ja za twoim ojcem bym w ogień skoczyła.

To znów innym razem powtarzała, że ojciec z ojcem ożenili ich, to nie miała nawet kiedy go pokochać, a po ślubie zaczęły się zmartwienia, z czego będą żyli, gdzie będą mieszkali i inne, więc tym bardziej nie miała kiedy.

Rok mieszkali u dziadka restauratora i matka stała za bufetem. Chłopy rzeczywiście walili drzwiami i oknami, jak przewidywał dziadek, lecz dziadek się za to rozpił, rozpił się też kelner i musiała matka sama z pijakami się szamotać, rozpędzać awantury, łagodzić kłótnie, sama podawać, sama nalewać, podliczać, sama sprzątać. I wtedy ojciec się zbuntował, że nie upadł jeszcze tak nisko, żeby jego żona z pijakami, i wyprowadzili się.

Po owej nocy u panien Ponckich poczułem się winny wobec Anny. I nie wiem dlaczego, bo przecież nie znaliśmy się. Co prawda, była już moją udręką, odkąd pierwszy raz ją ujrzałem na którejś z przerw w szkole, lecz ja zapewne, takie mnie przynajmniej nawiedzały przypuszczenia, jeszcze w ogóle nie istniałem dla niej. Chociażby na tyle, abym pojawił się, niechby i przelotnie, w widzeniu tych jej wielkich, zdziwionych oczu na którejś z przerw.

To poczucie winy objawiało się przede wszystkim tym, że chodziłem za nią i zarazem jej unikałem. Gdy tylko gdzieś ją tam dojrzałem, czy na mieście, czy w parku, czy kiedy po lekcjach ze szkoły wracałem, choćby daleko przede mną szła, skręcałem w bok, w pierwszą nadarzającą się

uliczkę, wpadałem w jakąś bramę, do sklepu, do knajpy, do kościoła, przylegałem z nagła zapatrzony do jakiejś wystawy, kryłem się za ludźmi, za drzewami czy po prostu przystawałem, aż odejdzie na bezpieczną odległość, żeby nawet gdy odwróci głowę, nie dojrzała mnie. Podobnie na przerwach w szkole wybierałem zwykle takie miejsca na dziedzińcu, skąd mógłbym ją widzieć, sam nie będąc widziany. Choć jeśli to nie była duża przerwa, najczęściej w ogóle nie opuszczałem klasy w obawie, żebyśmy się na siebie nie natknęli.

Co jednak najdziwniejsze, to poczucie winy nie było mi tak całkiem nieprzyjazne, a nawet łapałem się często na tym, że jakkolwiek dręczy mnie, dobrze mi z nim. Wystarczyło, że jakiegoś dnia nie zobaczyłem jej w szkole, nie spotkałem przypadkiem na mieście, wówczas wręcz wypychało mnie z domu i krążyłem po ulicach, zaułkach, wzdłuż i wszerz miasta, nieraz do samego zmierzchu, wezbrany udręczoną nadzieją, że ją spotkam. A gdy zdarzyło się, że spotkałem ją, kryłem się jak zwykle, żeby mnie nie spostrzegła.

Miasto było ścieśnione na niewielkiej przestrzeni, wyznaczonej przez wzgórze, na którym leżało, toteż można by przyjąć, że to ono narzucało mi takie postępowanie, a nawet to postępowanie, ze współczucia dla mojej udręki, usprawiedliwiało. Było bowiem zbyt małe, żeby można się było nie spotkać. Te kilkanaście ulic, a właściwie uliczek, trochę dłuższych, trochę krótszych, nierzadko maciupeńkich, odrastających jedna od drugiej, a wszystkie razem niczym odnóża rozgwiazdy od Rynku, z natury rzeczy powodowało ciążenie ludzi ku sobie, i to niezależnie od tego, kto z jakim zamiarem wychodził z domu i w jakim zmierzał kierunku.

Toteż często poszerzałem je sobie aż po obrzeża i dalej, wędrując to za koszary, które właściwie znaczyły już koniec miasta, czy na Rokitek, gdzie rozrzucone pojedynczo wśród pofałdowanych pól ubogie chałupki jakby

wyciszały miasto w niebyt, to znów na sam koniec spadzistej ulicy Zawichojskiej, stanowiącej jeden z głównych wjazdów do miasta, to na most, jeszcze wówczas drewniany, prowadzący od podgórza Zamku na drugą stronę Wisły.

Czasem przechodziłem na tę drugą stronę, gdzie rozciągała się już tylko bezdomna równina, ale widocznie moja udręczona nadzieja potrzebowała nie ciasnych uliczek, nie zaułków, nie miasta, lecz przestrzeni zamkniętej jedynie przez okrążający mnie w dali widnokrąg. I niby szedłem, a nie mogłem oprzeć się przekonaniu, że to ta przestrzeń idzie ku mnie, a ja stoję jakby w oczekiwaniu, że wraz z tą idącą ku mnie przestrzenią wyłoni się spoza tego widnokręgu Anna.

Co prawda, było takie miejsce, na zapleczu Rynku, na brzegu wzgórza, że gdybym tylko chciał, mógłbym zawsze tam pójść i postawszy krócej, dłużej, zobaczyć Annę, jak wchodzi czy wychodzi z domu, czy po sadzie brodzi, bo dom i sad było widać z tego miejsca jak na dłoni. To miejsce jeszcze pan mi pokazał, gdy czasem zamiast lekcji wiódł mnie na spacer i skręcając w którąś z tych maciupeńkich, bocznych uliczek od Rynku, prowadził mnie na brzeg wzgórza i tu wskazując na ten dom i sad na przeciwległym wzgórzu, mówił:

– No, co, ładnie tu. Popatrz na ten sad, jak gęsto w nim od słońca. Widzisz? Jakby to słońce szło po ziemi, a my jakbyśmy nad nim stali. – Ni to zachwyt, ni smutek pobrzmiewał w jego starym głosie. – A tam, na lewo, przesłonięty tymi starymi lipami kościół Świętego Jakuba. Widzisz? Pójdziemy tam kiedyś.

Zaczął się nowy rok szkolny, wrzesień, i chłopaki wybierali się z dziewczynami na kajaki na Wisłę w niedzielę, a zabrakło im akurat jednego do pary. Staliśmy na dużej przerwie z Kozą, gdy któryś podszedł do nas i spytał się najpierw Kozy, czyby się nie wybrał z nimi. Ale Koza

wybierał się gdzieś z matką w niedzielę, i wtedy tamten spytał mnie, a może ty, Piotrek? Nie wiem nawet, czemu się zgodziłem, bo i mnie matka zapowiedziała, że musimy w niedzielę pójść na grób ojca, posprzątać, kwiatków trochę zanieść, no, i dziadków, wujków, wujenki odwiedzić, zwłaszcza że wujenka Marta nie wstawała już z łóżka, a przy okazji może coś nam dadzą, mąki, kaszy, fasoli, serek czy jajek.

Powiedział jakoś tak ogólnie tylko, że z dziewczynami, nie wymieniając żadnej z imienia, i może dlatego nie wzbudziło to we mnie najmniejszego podejrzenia. Chociaż i tak żałowałem, że zgodziłem się, bo nie miałem nawet porządnych kąpielówek, nie mówiąc już, że byłem chudy jak szczapa, najchudszy chyba w klasie, a kto wie, czy nie w całej szkole, tak że na zajęciach gimnastycznych, gdy się rozebrałem, zawsze któryś z chłopaków nie omieszkał mnie spytać, czemuś ty taki chudy, lub przynajmniej rzucić, więcej kluchów jedz. A i pan od gimnastyki spoglądał zwykle na mnie ni z politowaniem, ni z zadumą, jakby w tym jednym moim przypadku nie sprawdzała mu się rzymska zasada, w zdrowym ciele zdrowy duch, którą nam ciągle powtarzał.

Na szczęście kąpielówki znalazły się u panien Ponckich, które gdy się dowiedziały, że wybieram się w niedzielę na kajaki na Wisłę z dziewczynami, przyniosły mi aż dwie pary, abym sobie wybrał. Wybrałem granatowe z białymi pasami po bokach i białą mewą w locie na lewej nogawce. Nikt z chłopaków nie miał takich kąpielówek, toteż z wyraźną zazdrością popatrywali na mnie, biorąc za to odwet na moich wystających żebrach i zwisających z chudych ramion chudych jak patyki rękach, które, jak mogłem wyczytać z ich szyderczych spojrzeń, nie powinny były nawet wiosła udźwignąć, a co dopiero nim wiosłować.

Matka, wbrew moim obawom, z łatwością przełożyła pójście na grób ojca na następną niedzielę.

– Jemu już tam czas nie leci – powiedziała – to w tę czy w następną niedzielę. A ciebie kiedy już zaprosili na te kajaki, to idź, bo za drugim razem cię nie zaproszą. Przed wojną na kajakach to tylko lepsze towarzystwo się woziło. A reszta siedziała na brzegu i im zazdrościła. O, i tak nieraz wyglądała niedziela. Ale miło było chociaż popatrzeć. A kąpielówki ci kupię. Albo może spytam się, czy nasze panny nie mają. Mają tyle krawatów, to i kąpielówki może jakieś znajdą.

Najpierw posiadaliśmy do kajaków my, chłopaki, a dziewczyny miały sobie wybierać, która z którym w parze siądzie, choć niektóre nie czekając, od razu razem z chłopakami posiadały, co znaczyło, że już są w parach. Trochę to przypominało białe tango, tyle że bez muzyki i nie na zabawie, a na Wiśle.

Byłem pewny, że przypadnie mi ostatnia, która z nieśmiałości nikogo nie wybierze i zostanie na brzegu, może taka sama chuda jak ja, a żaden z chłopaków nie zachęci jej choćby spojrzeniem, żeby siadła do niego, bo każdy będzie czekał, żeby wybrała go ta, którą sobie upatrzył, a w każdym razie ładniejsza. I już pogodziłem się z tą myślą, a nawet zacząłem się rozglądać po brzegu, która tu najchudsza, gdy nagle, z lekka zadyszana i przepraszając za spóźnienie, zjawiła się Anna.

Serce mi załomotało i bardziej się spłoszyłem, niż uradowałem. Co prawda, na chwilę przed jej przyjściem któryś z chłopaków, rozglądając się, czy już wszyscy są, rzucił:

– Anki jeszcze nie ma.

Nie skojarzyłem jednak tego z nią, zwłaszcza że o tym imieniu było kilka dziewczyn w szkole. Zresztą zaproszenie mnie na te kajaki było przypadkowe i zastępcze, więc dlatego pewnie nikt nie raczył mnie uprzedzić, które z dziewczyn będą, lecz ogólnie tylko, że dziewczyny. W pierwszej chwili pomyślałem nawet, że musi mieć już kogoś wybranego

i zaraz do niego siądzie. A nawet zacząłem zgadywać, który to, chociaż z wszystkich prawie kajaków, także tych, gdzie siedziały już dziewczyny, szczerzyli do niej zęby w szerokich uśmiechach, jakby kusząc ją, żeby do nich siadła.

Ściągnęła sukienkę, pantofle i już w samym kostiumie, boso, omal bez chwili zastanowienia skierowała się do mojego kajaka i rzucając mi zalotne spojrzenie swoich wielkich oczu, spytała:

– Można do kolegi siąść?

Ścięty zaskoczeniem, nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, już jedną nogę postawiła w kajaku, aż się kajak huśnął.

– Och! – wykrzyknęła z udanym przerażeniem. – Proszę mi pomóc. – I wyciągnęła ku mnie rękę.

Ująłem tę jej rękę i tak po raz pierwszy dotknęliśmy się. Ten dotyk nigdy już nie znikł z mojej dłoni, mimo że potem nieraz trzymaliśmy się za ręce, zwłaszcza gdy chodziliśmy na spacery za miasto. Usadowiwszy się na przednim siedzeniu, odwróciła do mnie głowę i obdarzając mnie niby zawstydzonym uśmiechem tych swoich wielkich oczu, powiedziała:

– Ale ja nie umiem wiosłować.

– Damy sobie radę – powiedziałem, czując, że zabrzmiało to jak przechwałka, lecz chciałem jedynie ukryć drżenie głosu.

Jednym mocnym pchnięciem wiosła odbiłem od brzegu, po czym ze wszystkich sił wparłem się tym wiosłem z jednej, z drugiej strony w rzekę, tak że kajak nabrał z miejsca rozpędu. Niektórzy wciąż jeszcze nie odbili, czekając, aż dziewczyny ich wybiorą, większość jednak kajaków już była o kilka długości przed nami. Coraz szybciej przebierając wiosłem i zarazem nadając jego uderzeniom coraz bardziej wyrównany rytm, wyszliśmy wkrótce na czoło. Mogłoby się wydawać, że ledwo zanurzam pióra w wodzie, lecz kajak coraz ostrzej pruł rzekę, coraz większe bryzgi

wyrzucał spod dziobu, tak że prawie w oczach oddalaliśmy się od pozostałych kajaków. Byłem z wiosłowaniem dobrze obeznany. Tuż po wojnie większość czasu spędzałem na Wiśle, jeżdżąc, czym się dało, łódką, tratwą, a także kajakiem, rzucałem miny na ryby, wypływając aż na środek, nie mówiąc już, że szukałem skarbów, nurkując po dnie, bo mówiono, że rzeka zasłana jest skarbami po tej wojnie.

Czułem w sobie omal dziką siłę, tak że woda prawie nie stawiała mi oporu. Być może, brałem ja z kolei teraz odwet za te moje wystające żebra i te zwisające z moich chudych ramion chude jak patyki ręce, które nie powinny były udźwignąć wiosła, a co dopiero nim wiosłować. I niewiele tamtym za nami pomagało, że też zaczęli przyspieszać, a nawet włączyły się do wiosłowania dziewczyny. Coraz bardziej oddalaliśmy się od nich. Coraz mniejsi się robili, coraz bardziej przypłaszczeni do rzeki. Zaczęły nas gonić ich skamlące nawoływania, poczekajcie! zwolnijcie! Ale i one po trochu wygasały, aż w pewnej chwili całkiem się urwały. A w końcu zniknęli nam z oczu za przełomem rzeki. Myślałem, że może Anna wstawi się za nimi i usłyszawszy któreś z tych zamierających nawoływań, powie z żalem:

– Może poczekajmy na nich.

Siedziała jednak nieruchomo z twarzą wystawioną ku słońcu i milczała jak zaklęta. Czasem tylko przebrała wodę palcami z jednej, z drugiej strony kajaka, a raz odwróciwszy na krótko głowę, uśmiechnęła się tymi wielkimi oczyma do mnie, nie rzuciwszy choćby przelotnym spojrzeniem w dal, czy gdzieś tam jeszcze płyną za nami te skamlące kajaki. Gdyby nie miasto, które szło razem ze wzgórzem wzdłuż brzegu, rozświetlając rzekę jaskrawymi promieniami, odbijającymi się od jego murów, dachów, iglastych wież kościołów, znaleźlibyśmy się w zupełnej pustce, bo i za

nami, i przed nami tylko rzeka pluszczyła, a z boków wymierzały nam tę pustkę jej gęste, zielone brzegi.

Wiosło jakby samo, z własnej woli, zelżało mi w rękach i ledwo muskało po powierzchni wody, co jednak wystarczyło, aby bieg rzeki nie znosił kajaka. Siedziałem za plecami Anny, a ona z pełną ufności twarzą, wystawioną ku słońcu, być może nawet nie myślała o mnie, lecz odżyło we mnie to dręczące poczucie winy wobec niej, a tym bardziej że nie mogłem się już skryć w żadnej uliczce, w sklepie, w kościele, za żadnym drzewem, w żadnym cieniu czy choćby w skamlących nawoływaniach tamtych za nami. Czułem, że powinienem przynajmniej coś powiedzieć, bo tylko jakieś słowo mogłoby mnie wybawić z tej winy. Ten kajak, ta rzeka, ta pustka dopominały się zresztą jakiegoś słowa, może nawet zapracowały sobie na jakieś słowo, a kto wie, czy cała ta wyprawa nie była w gruncie rzeczy po to słowo, które powinienem powiedzieć. Nic jednak nie przychodziło mi do głowy, a cokolwiek mi przyszło, jakiś lęk od razu je ścinał, nie pozwalając choćby z myśli mu się wykluć. I jakby domyślając się tej mojej niemocy, mimo że ciągle z tą twarzą wystawioną ku słońcu, od niechcenia i spod przymkniętych powiek Anna powiedziała:

– Świetnie kolega wiosłuje. – A nie mogąc się doczekać choćby potaknięcia z mojej strony, dodała: – Myślałam, że będziemy płynąć za wszystkimi, ostatni. Ale nie wołalibyśmy za nimi, żeby poczekali, prawda? Niechby sobie płynęli. – I gwałtownie odwracając ku mnie twarz, aż się kajak zakołysał, uśmiechnęła się tymi swoimi wielkimi oczyma. – Mówmy sobie po imieniu, chcesz? Anna. Naprawdę świetnie wiosłujesz.

– Piotr – wydusiłem z mozołem, jakbym pierwsze w życiu słowo wymawiał.

– Nie wierzysz mi?

– Wierzę – powiedziałem i chyba z przejęcia uderzyłem mocniej wiosłem o wodę.

– Zawsze mi wierz – powiedziała i ponownie zaczęła układać twarz ku słońcu. Nagle pochyliwszy głowę, z przerażeniem w głosie wyrzuciła: – Och!

Chciałem spytać się, co się stało, lecz nie wiem czemu, ogarnęło mnie zawstydzenie, może ot, tak, na wszelki wypadek, bo przecież po tym jej och! nie mogłem niczego się domyślać. Wiosło zamarło mi w rękach, a rzeka, wydało mi się, wstrzymała bieg.

– Kostium mi pękł – powiedziała wyraźnie spłoszona. – I to akurat na piersi.

Serce mi nieomal stanęło i jako otwartą ranę wyobraziłem sobie wychylający się z tego pęknięcia biały skrawek jej piersi.

Pochyliwszy głębiej głowę, oglądała to pęknięcie, jak gdyby czekając, żebym coś powiedział. Lecz to nie takie proste powiedzieć coś w takiej chwili. Chyba nigdy dotkliwiej nie odczułem, jakim brzemieniem mogą być te wszystkie słowa, których tak pełno się w sobie nosi. Nagle pierzchają przed tobą, kryją się, wymawiają ci posłuszeństwo, zostawiając cię jedynie z tym twoim lękiem, z twoim drżeniem pisklęcia, które co dopiero opuściwszy skorupkę, nie wie jeszcze, że jest już na świecie.

– To cóż takiego – powiedziałem po chwili i zrobiło mi się głupio, a nawet uciekłem oczami z jej pleców, za którymi kryło się to pęknięcie, i przeniosłem je na zielony brzeg rzeki, jakkolwiek nie byłem pewny, czy widzę ten brzeg, bo moje oczy uciekały przed widzeniem czegokolwiek.

– Jak to się mogło stać? – niby się zastanawiała, lecz wyraźnie zmartwienie przebijało w jej głosie. – I kostium przecież niedawno dostałam od cioci Józi w prezencie na imieniny. Co ja teraz zrobię?

Jakby uciekając i od tego jej pytania, obejrzałem się za siebie. Na szczęście tamtych wciąż nie było widać zza przełomu rzeki.

– Nie widać ich, prawda? – spytała, a właściwie stwierdziła. Zdumiało mnie, bo żeby choć zerknęła za siebie, ale cały czas z pochyloną głową oglądała to pęknięcie. – Będziesz mnie chyba musiał podwieźć na brzeg i przebiorę się w sukienkę.

Poruszyłem mocniej wiosłami.

– Albo nie – powiedziała nagle z jakąś stanowczością. – Siądę przodem do ciebie. Chcesz? – I już miękko, prawie tkliwie dodała: – Powiedz, że chcesz.

Nie czekając, aż wyduszę to, chcę, przeniosła się z siedzenia na burtę i moszcząc się w obramowaniu falochronu kajaka, uśmiechała się do mnie tymi swoimi wielkimi oczyma, z których biła jednak niepewność. Kajak się rozkołysał, a dziób pod jej ciężarem głębiej zanurzył się w wodzie.

– A nie będzie ci za ciężko tak wiosłować? – spytała z lekka łamiącym się głosem. – Bo nie chciałabym, żeby nas dogonili.

Uciekałem wciąż z oczami to na jeden, to na drugi brzeg rzeki, przenosząc wzrok to ponad jej głową, to znów niziutko po wodzie, ledwie zahaczając o jej bose stopy, wsparte tuż przede mną na kratce w dnie kajaka. Chyba nie spostrzegła tego mojego uciekania, bo nachyliwszy znów głowę nad tym pęknięciem, spytała:

– Nie masz może agrafki? Zresztą po co cię pytam. Chłopaki nie noszą takich rzeczy. Gdybym miała agrafkę, bym spięła sobie. A tak, no, spójrz.

Wydawało się, że bezwiednie to powiedziała, bo nie sprawdziła, czy spojrzałem, lecz wciąż oglądając to pęknięcie, zaczęła wyrzucać słowa, jakby z nagłej potrzeby usprawiedliwienia się:

– Musiał być zleżały. Bo gdyby to na brzegu, mogłabym o coś zawadzić. Choćby o jakąś gałązkę. Ale tu, na wodzie? Kiedy wsiadałam,

wszystko było w porządku, widziałeś, prawda? Nawet wiosła nie wzięłam do ręki. I to w takim miejscu. Aż dziwne.

Być może tym nadmiarem słów próbowała podtrzymać w sobie odwagę, która okazała się ponad jej siły.

– Teraz często zleżałe towary sprzedają. Mama kupiła kiedyś obrus, to po pierwszym praniu dziurki w nim powypadały. Mama mówi, że ludzie jeszcze sprzed wojny wyciągają zapasy i sprzedają. Ale przed wojną były przecież inne kostiumy. Dużo bardziej zasłonięte. Ciocia Józia ma jeszcze taki kostium, przymierzałam kiedyś. Tak jak u mnie na plecach paski na krzyż, to u niej całe łopatki zasłonięte. I tu, z przodu, w dekolcie, prawie pod samą szyję. I ramiączek takich nie było jak teraz. Jakby rękawy u sukienki poodpruwał. A na udach nic nie podniesione, tylko prościutko, o, tak. Ciocia Józia mówi, że dzisiejsze dużo ładniejsze. Przez to dziewczyny nie muszą się tak wstydzić jak przed wojną. Przed wojną mogły najwyżej ręce, nogi opalać. A i tak uważano, że zgorszenie sieją. Ciocia Józia żałuje, że się później nie urodziła. Mówi, że sprawiłaby sobie taki kostium, co dół osobno i góra osobno. Dopiero by zobaczyli, co to jest zgorszenie. Widziała już gdzieś taki. Ciocia Józia to nie masz pojęcia, jaka ona jest. Nawet pokazuje, jak byłoby wycięte, tu, tam, aż mama ją strofuje, wstydziłabyś się, Józia. Byś przy Ance chociaż takich rzeczy nie gadała. Ale dla cioci Józi wszystko to przesądy, zacofanie. O kobietach zawsze mówi, że rodzić, płakać to ich los. A o mężczyznach, że trutnie. Papierosy nawet pali, wiesz. A do kościoła nawet w niedzielę jej nie wyciągniesz. Mówi, że co jej tam Bóg pomoże. O, nie pomógł jej, żeby wujek Karol nie zginął. Teraz ma wujka Henryka. A przed wojną miała wujka Edwarda. Nigdy żaden nie był u nas. Sama zawsze przyjeżdżała. Na mnie mówi tak śmiesznie, Aniutka. Prawda, że śmiesznie? Ten kostium i jeszcze na sukienkę mi w tym roku przywiozła. Kochana jest ciocia Józia. Zawsze mi coś przywozi. Co wy,

zakonnicę chcecie zrobić z tej Aniutki? Tak mówi. Gdzie to, żeby na płaskich obcasach chodziła. Toż to panna już. Śmieszne, prawda? Nawet gorszy ją, że zwykłym mydłem myję włosy. Czym ty myjesz, Aniutka? Masz tu szampon. Sama mnie czesze, podcina, kręci mi loki. Kochana jest ciocia Józia. Do czego to podobne, żeby taka panna z warkoczykami. Tak mówi. A jak mama mówi, że jestem jeszcze uczennicą, to ciocia Józia, że przecież mnie ze szkoły nie zabiera. Śmieszne, prawda? Chcieliby, żebyś kurka wciąż była. Spójrz, przyjrzyj się sobie, jaka jesteś naprawdę. Nie wolno się siebie bać. – Głos jej od jakiegoś czasu coraz bardziej rozedrgany, postrzępiony, nagle jakby o coś zawadził. – Piotr – wyrzuciła z żalem – czemu nie spojrzysz? Spójrz.

To nie takie jednak proste spojrzeć, gdy się spojrzeniem dotyka bólu. Toteż oczy moje wciąż jednak trzymały się uparcie jednego z tych gęstych, zielonych brzegów rzeki, a nie mogłem im nawet wolą przykazać, żeby spojrzały. Bo cóż wola wobec przeczucia, które mi nie dawało spokoju, że w tym jednym moim spojrzeniu na wyłaniający się z tego pęknięcia w kostiumie biały skrawek jej piersi kryje się nasze wspólne przeznaczenie. Więc może chcąc mi dodać odwagi, żebym wyszedł temu przeznaczeniu naprzeciw, powiedziała:

– Mogę rozerwać jeszcze dalej, chcesz? I tak się tego już nie zaceruje. Zawsze będzie ślad. – Lekkim szarpnięciem poszerzyła to pęknięcie. Można by najwyżej wyhaftować różę czy piwonię, żeby to zakryć. – Nagle jakby się spłoszyła. – Nie widać ich, prawda?

Spojrzałem za siebie i wczepiłem się wzrokiem w odległy przełom rzeki, jakby lada chwila mieli się zza niego wyłonić, a nawet miałem wrażenie, że słyszę coraz wyraźniejsze, nieomal skokami niosące się po rzece ich pokrzykiwania, śmiechy, plusk wioseł.

– Nie zostawiaj mnie tak, Piotr – usłyszałem nie tyle jej głos, co jej drżenie. – Spójrz tu na mnie. Spójrz mi w oczy. No, spójrz.

Nie byłem jednak w stanie dłużej niż przez mgnienie tych jej oczu znieść. Wielkie, a jeszcze jakby nabrzmiałe, patrzyły na mnie nie widzeniem, lecz wyczekującą bezbronnością, pełne zwątpienia i ufne aż do bólu zarazem. Być może, to tylko słońce tak się wilgotno od rzeki w tych jej oczach odbijało, lecz wydało mi się, że w tym mgnieniu mojego spojrzenia upuszczały już nad nami pierwszą łzę. I uciekłem znów wzrokiem na jeden z tych gęstych, zielonych brzegów rzeki.

– Możesz sobie myśleć, co chcesz, o mnie – powiedziała, a od jej słów kajak się z lekka zakołysał. – Nie wstydzę się ciebie. – I głosem przybladłym, jakby zanurzonym w zamyśleniu, powtórzyła: – Nie wstydzę się.

Włożyła dłoń do wody i wpatrując się, jak między jej palcami przepływa rzeka, niby do tej rzeki powiedziała:

– Nie chce mi się już wstydzić. – I może to od tej przepływającej między jej palcami rzeki naszło ją przypomnienie tej szkolnej zabawy: – Szkoda, że ci się wtedy nie udało poprosić mnie do tanga. Tak czekałam. Z każdym tangiem miałam nadzieję, że zdążysz. Że tym razem na pewno już zdążysz. Musisz zdążyć. Przyganiałam cię w myślach, pospiesz się, Piotr. Prędzej, Piotr. Choć nie ma to już znaczenia. Dla mnie i tak odtamtąd jesteśmy już razem. Rozmawiamy, dąsamy się na siebie, sprzeczamy. Czasem nawet jestem pewna, że tańczyliśmy. Byłeś taki nieśmiały. Powiedziałam, przytul mnie. I przytuliłeś mnie, ale jakby cię to zabolało. Powiedziałam, w tangu się zawsze szepce coś miłego do ucha. Szepnij mi coś miłego. To przynajmniej uśmiechnijmy się do siebie. Nie możemy być tacy smutni, Piotr. Popatrz, wszystkie pary uśmiechają się do siebie. Pamiętasz, nadepnąłeś mi na palce i nawet nie powiedziałeś przepraszam.

Nie pamiętasz? To pewnie i nie pamiętasz, że odprowadziłeś mnie po zabawie pod sam dom. Księżyc świecił taki ogromny. Sad tak biało kwitł, pachniał. A ty powiedziałeś... No, co powiedziałeś? Przypomnij sobie. Czy to takie trudne przypomnieć sobie? A może nie chcesz pamiętać? Może nie chcesz, żeby tak było? Nie chcesz, tak?

I wpatrzona wciąż w rzekę przepływającą między palcami jej zanurzonej dłoni, jakby bawiąc się tą rzeką, prawie z obojętnością rzuciła, a słowa ledwo wysunęły jej się z ust:

– Chcesz dotknąć?

Nie przerywała sobie jednak tej zabawy rzeką. To rozwierała, to zwierała palce, to nabierając w garstkę wody, polewała po zmarszczonej, srebrzącej się powierzchni lub rozsiewała po tej powierzchni kropelki i patrzyła, jak rzeka te kropelki zabiera, to muskała po tej rzece całą powierzchnią dłoni.

– Albo nie. – Wyszarpnęła nagle tę dłoń z rzeki. – Daj rękę.

I tą dłonią ociekającą jeszcze wodą sama mi zdjęła rękę z wiosła i przyłożyła ją sobie do tego wychylającego się z pęknięcia w kostiumie białego skrawka swojej piersi.

– Nie bój się – powiedziała. – To nie boli.

Uciekłem oczami znów na jeden z tych gęstych, zielonych brzegów. Miałem wrażenie, że tą moją ręką, wbrew temu, co powiedziała, dotknęła ukrytego w tym białym skrawku piersi jakiegoś niewyklutego jeszcze bólu. Ten ból wyraźnie w tym dotknięciu czułem. Szedł od tego dotknięcia omal pokłuwającym drżeniem przez moje palce, rękę, ramię, ku mojemu sercu. A pewnie szedł i ode mnie ku niej, bo dotknięcie nie ma kierunku ani brzegów jak rzeka.

– Bezwstydna jestem, pewnie myślisz? – powiedziała.

Kajak, niepodtrzymywany wiosłem, zaczął raptem obracać się dziobem z biegiem rzeki, lecz zarazem w nagłym przyspieszeniu prawie bokiem zmierzał ku brzegowi. Raptownie jednak okręcony wokół własnej osi jakby przez jakiś podskórny wir, odbił i w poprzek rzeki, nie licząc się zupełnie z jej biegiem, zaczął znosić nas na środek. Tutaj znów gwałtownie zmieniając kierunek, popłynął już prosto na ów przełom, spoza którego tamtych wciąż nie było widać.

Dla kogoś nieobeznanego z tą leniwie toczącą wody rzeką mogłoby się to niezrozumiałe wydawać. Znałem jednak rzekę i wiedziałem, że pod jej skórą płynie swoim niezależnym biegiem inny nurt, pokręcony, a gdzieniegdzie oszalały i zupełnie niewidoczny dla ludzkiego oka, jakby rzeka w rzece, jedna drugiej na przekór.

Toteż pewnie bym się tym nie przejął, że kajak nas niesie, gdzie sam chce, lecz nagle poczułem, że Anna jak gdyby w przypływie przerażenia przytuliła mocniej moją rękę do tego wychylającego się z pęknięcia w kostiumie skrawka swojej piersi. A nawet byłem pewny, że usłyszałem jej przerażone błaganie:

– Powstrzymaj go, Piotr!

I być może tym jej przerażeniem spojrzałem na nią. Ona tymczasem spokojnie podniosła oczy z toni rzeki i jakby potrącając słowami jedynie o jakąś zaległą ciszę w sobie, powiedziała:

– To nie tak, Piotr, jak myślisz. – I w ogóle zdawała się nie zauważać, że ten kajak nas niesie, jak sam chce. Delikatnie odłożyła moją rękę z powrotem na wiosło, a oczy na powrót zatopiła w toni rzeki. – Nie teraz, to kiedyś może to zrozumiesz – jakby chciała już tylko przynajmniej słowami zasłonić ten skrawek swojej białej piersi, wychylający się z pękniętego kostiumu po zdjęciu mojej ręki.

Było coś niedokończonego w tych jej słowach lub tak mi się tylko wówczas wydawało, bo właściwie było wszystko. Zrozumiałem to dopiero po latach. Niewiele przecież trzeba słów, żeby zamknąć w nich nasze przeznaczenie. I, być może, ze wszystkich słów tylko te niedokończone są jak ziarna, kiełkują, rosną. Cokolwiek bym jej zresztą odpowiedział i tak to nie miało już znaczenia. Tym bardziej że kajak nie pozwolił mi. Najechał nagle na jakiś oszalały wir i zaczął dosłownie tańczyć, tak że przebierając wiosłem nieomal równocześnie z obu stron, z szybkością, na jaką tylko stać było moje ręce, musiałem wbijać pióra głęboko w rzękę, aby go z tego wiru wyprowadzić.

Morze zdawało się odpychać daleki widnokrąg coraz dalej i dalej, niewystygłe jeszcze całkiem po wczorajszej kipieli. Słońce miało kawał do zachodu, ale już po trosze czerwieniało, a od tej jego czerwieni raz po raz zapalały się nad widnokręgiem czerwone, krótkie błyski, jakby ktoś tam dawał znać, że płynie, lecz nie mógł się w żaden sposób zza tego widnokręgu wychylić. I kto wie, czy to nie dla niego właśnie morze odpychało ten widnokrąg coraz dalej i dalej, jakkolwiek daremnie. Zdawało się bowiem zamknięte tym widnokręgiem niczym końcem świata i nie pozwalało się zmącić ani wyobraźnią, ani myślą, jakby samo w sobie stanowiło i wyobraźnię, i myśl, jakby wyobraźnia i myśl były wobec niego jedynie ułomnością nadmiaru.

Przypłaszczony do piasku, z głową aby uniesioną na podłożonych pod brodą dłoniach, poddawałem się obezwładniającej błogości, która napływała z tej z lekka falującej równiny, niewystygłej jeszcze całkiem po wczorajszej kipieli. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że patrzę na to morze ze szczytu tamtych schodów prowadzących ze wzgórza, na którym leżało miasto, do naszego domu. A nawet czułem, jak schodzę schodek po schodku, coraz niżej i niżej, coraz mocniej przytrzymując się spróchniałej

poręczy, ku tej równinie morza i pełen skrywanego drżenia staram się odgadnąć, kiedy będzie ten ostatni schodek. Błogość bowiem nigdy nie jest taka jednoznaczna. Toteż wciągała mnie i odstręczała zarazem, budziła ufność i nieufność zarazem, jakby coś obiecywała po tamtej stronie widnokręgu i przejmowała równocześnie trwogą.

Kto wie, może oczekiwanie należy do natury widnokręgu, bo śledziłem te dalekie czerwone błyski, jakbym od tego widnokręgu i ja czegoś oczekiwał. Pozwalało mi to przynajmniej nie słyszeć tych wszystkich wrzasków, nawoływań, pisków, śmiechów, unoszących się nad plażą, ani też nie odczuwać gęstości ludzkich ciał cisnących się jedno przy drugim jakby do jakiegoś ogromnego wodopoju.

Paweł na szczęście baraszkował z dziećmi tuż przy samej wodzie na wprost mnie, tak że miałem go cały czas na widoku. Zresztą starał się, jak mu przykazałem, nie zanurzać głębiej niż do pół łydek, a gdy woda podchodziła mu do kolan i wyżej, z piskiem przed nią uciekał do mnie, okrzykami pełnymi podniecenia zapewniając, że nie wchodzi głębiej, niż mu pozwoliłem:

– Tatuś! Tatuś! Bawimy się!

Wtem jak gdyby tknięty niezrozumiałym przeczuciem, że coś mu się właśnie niedobrego przydarzyło, poderwałem gwałtownie głowę i zacząłem go szukać wzrokiem pośród tych ciał, a nie spojrzałem choćby odruchowo przed siebie, gdzie cały czas na moich oczach przecież baraszkował. Podniosłem się na kolana. Wydało mi się przez moment, że leży gdzieś tam między tymi ciągnącymi się wzdłuż plaży ciałami, wymęczonymi, omdlałymi z pragnienia, spalonymi przez słońce, przygnieciony czyjąś nogą, brzuchem, tułowiem, barkiem. Zerwałem się na nogi. Chciałem już krzyknąć na całą tę plażę:

– Paweł!!!

Lecz coś mnie ostrzegło, abym tego nie robił, bo cóż mu powiem, gdy przybiegnie do mnie, najwyżej go się spytam:

– Nie chce ci się pić? – A pić mu się chciało zawsze. – Może co zjesz? – Choć jeść mu się nigdy nie chciało.

– Dotknij – powiedziała i domyślając się, że się zawahałem, chociaż trwało to nieledwie mgnienie, sama wzięła moją rękę i położyła ją na swoim wygórzonym brzuchu. – Czujesz?

Czułem tylko to moje dotknięcie, niby ciepłe, a drżące, zalęknione, najpierw w samych końcach palców, potem w całej dłoni, w całej ręce, w całym sobie, a dopiero po chwili także w tym jej wygórzonym brzuchu, który, wydawało mi się, zaczął róść, rozkwitać, rozprzestrzeniać się w jakąś ranę, aż zatraciłem to poczucie dotknięcia, które wyznaczały moja dłoń i jej brzuch, i już tylko czułem tę ranę w nas obojgu. Coś w tej naszej ranie wyraźnie się poruszyło. Serce we mnie zamarło, poczułem ucisk w gardle i gwałtownie zerwałem rękę z jej brzucha. Wydawała się nie być wcale zaskoczona. Uniosła głowę i patrząc mi w oczy, bez cienia żalu czy zawodu, a nawet z tonem pocieszenia w głosie, powiedziała:

– Nie bój się, to nie ty na świat przychodzisz.

– Tatuś! Tatuś! – doszło mnie nagle wołanie Pawła nadbiegającego od morza, gdzie baraszkował w tym samym miejscu naprzeciw mnie. – Zbudujesz mi zamek?! Zbuduj. Proszę.

Oczy pałały mu podnieceniem, był zbryzgany cały wodą, tak że nawet z włosów ściekały mu po twarzy strużki.

– Mówiłem, żebyś nie wchodził do morza głębiej niż do pół łydek.

– Zbudujesz? Tatuś?

– Idź się jeszcze trochę pobaw. Potem ci zbuduję.

Odszedł nadąsany, a pewnie i zawiedziony, choć wiedziałem, że nie za długo na powrót przybiegnie. Słońce coraz bardziej zniżało się nad

widnokrąg, coraz większe, czerwieńsze, coraz mocniej wyostrzając granicę między morzem a niebem. To morze zatrzymane tam przez niebo, jak i niebo zatrzymane przez morze, spiętrzały się wzajemnie, zachodziły na siebie, tworząc jakby gruby szew, czerwony od czerwonych promieni zachodzącego słońca. Nagle na tym szwie, jakby wyłaniając się z tamtej jego strony niczym zza krawędzi, pojawił się malutki, ot, drobina, stary Kaziuń z pastwiska. Nie, nie miałem wątpliwości, że to on. Byłem pewny, że go dawno zapomniałem. W każdym razie ze wszystkich żywych i umarłych jego najmniej mógłbym się spodziewać, był przecież nieledwie chwilą w moim życiu. W tym samym starym kapeluszu, z kijem na ramieniu, z tobołkiem zawieszonym na tym kiju, tak jak nas opuścił wtedy na pastwisku, szedł po tym szwie, to znikając w czerwoności słonecznych promieni, że ledwo kapelusz mu wystawał, to znów się spoza tych promieni wyłaniając. Wydawał się tylko bardziej pochylony, jakby się z trudem tam mieścił, w tej ciasnej przyległości morza z niebem. Drobił też jakby krótsze kroki niż zazwyczaj, kto wie, ze zmęczenia czy też z ostrożności, żeby go to morze nie zmyło.

– Jacusiowi tatuś buduje zamek. Irusiowi buduje. Wszyscy tatusiowie budują zamki – usłyszałem rozżalony głos Pawła, stojącego jakby już od dawna nade mną.

Uniosłem głowę. Zawsze kiedy rozżalenie miało w nim wybuchnąć płaczem, wsadzał w buzię paluszek.

– Wyjmij ten paluszek z buzi – powiedziałem, podnosząc się. – I idź, przynieś wody.

Złapał wiadereczko i popędził ile tchu ku morzu, obwieszczając z radością po drodze, zapewne tym Jacusiom, Ireczkom:

– Tatuś mi też zbuduje zamek! Tatuś mi też zbuduje!... Tatuś mi też!...

Za chwilę był już z powrotem, w jednej ręce niosąc to wiadereczko, a drugą ochraniając wodę przed wylaniem się, choć z tej radości doniósł ledwo pół.

– Tu wylej – powiedziałem, wskazując mu miejsce na piasku.

Nosił te wiadereczka biegiem w tę i z powrotem, toteż za każdym razem ledwo pół donosił.

– Wystarczy – powiedziałem.

Przykucnął tuż naprzeciw mnie i z podnieceniem patrzył, jak wybieram piasek z dołka. Nagle jakby dając upust rozpierającej go radości, skłonił głęboko główkę i zaglądając w moje pochylone oczy, zasapanym jeszcze od noszenia wody głosikiem tchnął:

– Tatuś.

I to tę właśnie chwilę ktoś utrwalił, stojąc, jak można się domyślić z fotografii, w bliskiej od nas odległości i patrząc na nas z góry, tak że ani rąbek morza się na niej już nie zmieścił, ani nikt w tle. I któż to mógł być, bo nikogo takiego pamięć moja nie zachowała? Czyżby ojciec któregoś z tych Jacusiów, Ireczków, z którymi Paweł się bawił? I zapewne też chodziło mu przede wszystkim o Pawła, bo moja pochylona głowa wyłania się zza brzegu fotografii jakby jakiś cień nad radością Pawła, a nawet ma się wrażenie, że tę radość, którą płoną jego rozwarte, uniesione ku mnie oczy, zakłóca. Ta radość niczym słońce rozświetla fotografię. A nawet jakby nie mogąc się w niej zmieścić z tą rozpierającą go radością, przyklęknął i prawie dotykając rozpromienioną buzią moich niewidocznych oczu, wyrzucił:

– Przynieść ci jeszcze morza?

Projekt okładki
Witold Siemaszkiewicz

Na okładce fragment obrazu Stanisława Baja Rzeka Bug (2015)

Opieka redakcyjna
Małgorzata Szczurek

Korekta
Piotr Mocniak
Katarzyna Onderka

Copyright © by Wiesław Myśliwski
© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o. 2019

ISBN 978-83-240-6002-3

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37
Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracowany na podstawie *Widnokrąg*, Kraków 2007

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink

woblink.com